

**JODI PICOULT**

# **KRUCHA JAK LÓD**

Przełożył Michał Juskiewicz

Tytuł oryginału HANDLE WITH CARE

*Dla Marjorie Rose,  
która sprawia, że scena rozkwita kwiatami,  
śle mi plotki, kiedy jestem pół świata dalej  
i wie, że bez ekologicznej torby  
nigdy nie jest się w pełni ubraną.*

NPTiNZ [patrz str. 323]

## PODZIĘKOWANIA

Być może to zabrzmiało banalnie, gdy powiem, że nie pracowałam sama, ale tak właśnie było. Przede wszystkim pragnę podziękować rodzicom dzieci chorych na *osteogenesis imperfecta*, czyli wrodzoną łamliwość kości, którzy pokazali mi, jak wygląda życie z tą chorobą, oraz ich pociechom, pełnym humoru, potrafiącym codziennie udowodnić mi, że siła to o wiele więcej niż tylko miara fizycznej wytrzymałości. Dziękuję zatem Laurie Blaisdell i jej córeczce Rachel, Taryn Macliver i jej synowi Matthew, Tony'emu i Stacey Moss oraz ich córce Hope, a także Amy Phelps i jej synowi Jonathanowi. Dziękuję mojej drużynie lekarzy wyborowych w składzie: Mark Brezinski, David Toub, John Femino, E. Rebecca Schirrer, Emily Baker, Michele Lauria, Karen George i Steve Sargent, jak również moim orłom Temidy: Jen Sternick, Lise Iwon, Chrisowi Keatingowi i Jennifer Sargent. Bardzo wiele zawdzięczam Debbie Bernstein, która opowiedziała mi, jak to jest być adoptowanym dzieckiem (i pozwoliła podkraść wiele wątków z tejże opowieści). Podobnie jestem dłużniczką Donny Branki, która dla mnie przywołała z pamięci bolesne wspomnienia i z całą wspaniałomyślnością odpowiadała szczerze na wszystkie moje pytania. Dziękuję Jeffowi Fleury, Nickowi Giaccone i Frankowi Moranowi za pomoc w opisanu policyjnej pracy Seana. Nie mogę też zapomnieć o innych ekspertach; dziękuję Michaelowi Goldmanowi (który pozwolił mi też wykorzystać fantastyczne hasło ze swojej koszulki), Steve'owi Alspachowi, Stefanie Ryan, Kathy Hemenway, Jan Scheiner, Fonsace Malyan, Kevinowi Lavigne, Ellen Wilber, Sindy Buzzell oraz Fredowi Clowowi. Dopuściłabym się ciężkiego niedopatrzania, gdybym nie wspomniała, że powodzenie moich książek to w olbrzymiej mierze zasługa wydawnictwa Atria Books. Wyrazy mojej wdzięczności zechcą przyjąć Carolyn Reidy, Judith Curr, David Brown, Kathleen Schmidt, Mellony Torres, Sarah Branham, Laura Stern, Gary Urda, Lisa Keim, Christine Duplessis, Michael Selleck, cały rewelacyjny dział sprzedaży oraz wszyscy, którzy swoją ciężką pracą sprawili, że moje książki wprost z księgarnianych półek trafiły do rąk i serc czytelników. Specjalne podziękowania należą się Camille McDuffie, mojej tajnej broni *vel* reklamowej cudotwórczym. Dziękuję Emily Bestler, dzięki której zawsze czuję się jak gwiazda (a jeśli wszyscy dookoła widzą we mnie gwiazdę, to także dzięki niej). Dziękuję Laurze Gross - w tym roku obchodziliśmy dwudziestolecie współpracy, którą stawiam na najwyższej półce razem z moim małżeństwem. Jane Picoult, mojej mamie, dziękuję natomiast za to, że pierwsza we mnie uwierzyła, a także za to, że zawsze umiała

się roześmiać i rozplakać, kiedy trzeba.

Gwoli ścisłości muszę wspomnieć, że zmieniłam datę zjazdu chorych na OI, który jednak rzeczywiście odbył się w Omaha. Podobnie kompletowanie składu ławy przysięgłych odbywa się w New Hampshire w nieco inny sposób niż to opisałam - ławników nie wybiera się pojedynczo, lecz w ten sposób o ileż ciekawiej się to czyta!

Dwóm osobom chcę podziękować w sposób szczególny. Pierwsza z nich nazywa się Katie Desmond i jest dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałam; jej autorstwa są wszystkie przepisy Charlotte O'Keefe z niniejszej książki. Jeśli kiedyś spotka was to szczęście i otrzymanie od niej zaproszenie na kolację - niech nic was nie zatrzyma. Druga to Kara Sheridan, jedna z najbardziej inspirujących kobiet, jakie dane było mi poznać: studiuje zagadnienia związane z cielesnym ego i poczuciem własnej wartości u niepełnosprawnej młodzieży, czynnie uprawia sport, bijąc pływackie rekordy, a już wkrótce będzie miała cudownego męża.

Á propos, jest też chora na *osteogenesis imperfecta* typu III. Karo, dziękuję ci za to, że pokazałaś światu po pierwsze: że ograniczenia są po to, aby je przełamywać, po drugie: że upośledzenie z nikogo nie czyni kaleki, i po trzecie: że nie ma rzeczy niemożliwych.

Na koniec muszę po raz kolejny podziękować Kyle'owi, Jake'owi i Sammy - za to, że tak cudownie do nich wracać, a także Timowi, który jest moim happy endem.

A czy dostałeś od tego życia  
To ostatecznie, czego chciałeś?

Dostałem.

A czego chciałeś?

Wiedzieć, że jestem kochany, czuć, że ktoś

Na tej ziemi mnie kocha.

RAYMOND CARVER, „Urywek późnego dzieła”

## PROLOG

### CHARLOTTE

*14 lutego 2002 r.*

Wciąż coś się łamie, coś pęka. Pękają szyby, napięte liny, naciągnięte struny. Pękają pąki na drzewach. Można złamać przepis, szyfr i słowo. Przełamać pierwsze lody. Można łamać sobie język i głowę. Słyszysz się złamane głosy, widzisz złamane barwy. Pękają okowy, ale także ludzie, kiedy złamać ich opór.

Ostatnie dwa miesiące ciąży upłynęły mi pod znakiem notowania tych wszystkich rzeczy. Miałam nadzieję, że w ten sposób będzie mi łatwiej cię urodzić.

Złamana przysięga.

Złamane serce.

A ostatniej nocy przed twoim przyjściem na świat obudziłam się, siadając na posłaniu. Przyszło mi do głowy, że koniecznie trzeba coś dodać do tej listy. Zaczęłam grzebać w szufladzie szafki nocnej, szukając papieru i ołówka, ale po chwili poczułam na udzie ciepłą dłoń.

- Charlotte - zapytał Sean - wszystko w porządku?

I nie czekając na odpowiedź, przygarnął mnie do siebie, ciało do ciała, a ja zasnęłam w poczuciu bezpieczeństwa, zapominając zapisać to, co mi się przyśniło.

Dopiero kilka tygodni później, gdy byłeś już z nami, przypomniałam sobie, co takiego obudziło mnie tamtej nocy. Śniłam o uskokach tektonicznych. O miejscach, gdzie pęka ziemia, ogniskach wstrząsów sejsmicznych, kolebkach wulkanów. Innymi słowy: śniłam o tym, że świat rozpada się pod nami; twarda ziemia, o którą opieramy stopy, jest tylko złudzeniem.

Przyszłaś na świat podczas burzy śnieżnej, której nikt nie przewidział. Przywiał ją północno-wschodni wiatr znad Atlantyku; później podano, że wichura, wbrew oczekiwaniom, zamiast pognać na północ, do Kanady, uderzyła z całą wściekłością w wybrzeże Nowej Anglii. Serwisy telewizyjne przerwały obowiązkowe walentynkowe reportaże o starszych panach, których w domu opieki los zetknął z niegdysiejszą licealną ukochaną (co musiało skończyć się ślubem) i zaczęły nadawać systematyczne doniesienia o sile wiatru oraz wyliczać miejscowości, gdzie opady śniegu odcięły mieszkańcom prąd. Amelia siedziała wtedy przy stole w kuchni i wycinała walentynki, a ja wyglądałam przez drzwi na taras, patrząc, jak wiatr usypuje dwumetrowe zasy. W telewizji pokazywali samochody, które w zamieci wypadły z drogi.

Zmrużyłam oczy, kiedy za jednym z nich, leżącym na dachu, zatrzymał się radiowóz z migającym kogutem; chciałam zobaczyć, czy kierowca to może Sean.

Nagle coś walnęło o szybę, aż podskoczyłam.

- Mammo! - zawołała Amelia, tak samo wystraszona.

Odwróciwszy się, zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak wichher ponownie ciska gradem prosto w tarasowe drzwi, zostawiając na szybie rysę małą jak paznokieć, która na naszych oczach rozsypała się w pajęczynę pęknięć wielkości pięści.

- Tata naprawi - powiedziałam.

I w tym momencie odeszły mi wody.

Amelia spojrzała na podłogę pomiędzy moim stopami.

- Coś ci się stało - zauważyła.

Potoczyłam się kaczym krokiem do telefonu, ale ponieważ Sean nie odbierał komórki, zadzwoniłam do dyspozytora policji.

- Jestem żoną sierżanta O'Keefe - poinformowałam go. - Właśnie zaczęłam rodzić.

Dyspozytor powiedział, że może wysłać po mnie karetkę, tylko że dojazd prawdopodobnie trochę potrwa, bo pogotowie ma pełne ręce roboty przy wypadkach drogowych.

- W porządku - uspokoiłam go, przypominając sobie, jak długo rodziła się twoja siostra. - Zdaje się, że mam czas.

Niespodziewany skurcz zgiął mnie wpół; był tak silny, że słuchawka wyfrunęła mi z dłoni. Amelia nie spuszczała ze mnie wzroku, a oczy miała coraz szersze.

- Nic mi nie jest - skłamałam, uśmiechając się tak szeroko, że aż zabolowały mnie policzki. - To ten telefon taki śliski.

Podniosłam słuchawkę z powrotem i tym razem zadzwoniłam po pomoc do Piper. Ona nie mogła mnie zawieść. Wierzyłam w to bezgranicznie.

- Rodzisz? Niemożliwe - zdziwiła się, choć wiedziała, że owszem, to możliwe; była nie tylko moją najlepszą przyjaciółką, ale też położnikiem prowadzącym moją ciążę. - Cesarzkę masz dopiero w poniedziałek.

- Dzidzia chyba o tym nie słyszała - wydyszałam, zgrzytając zębami, gdy targnął mną kolejny skurcz.

Piper nie powiedziała na głos tego, o czym obie w tamtej chwili myślałyśmy: nie było możliwości, żebyś urodziła się siłami natury.

- Gdzie jest Sean? - usłyszałam w słuchawce.

- Nie... nie wiem... Och, Piper!

- Oddychaj - powiedziała odruchowo. Zaczęłam dyszeć, tak jak mnie uczyła: ha-ha, hi-hi.

- Zadzwoń do Gianni i powiem jej, że już jedziemy.

Doktor Gianna Del Sol, perinatolog, prowadziła mnie przez ostatnich osiem tygodni; włączyła się na prośbę Piper.

- Jedziemy? - powtórzyłam. - Razem?

- A chciałaś prowadzić sama?

Kwadrans później byłam gotowa do wyjścia. Spacyfikowałam twoją siostrę, sadzając ją na kanapie i włączając telewizor; na Nickelodeonie akurat leciało „Śladem Blue”. Przycupnęłam obok niej, otulona zimowym płaszczem twojego taty - nic innego już na mnie nie pasowało.

Kiedy zaczynałam rodzić moje pierwsze dziecko, pod drzwiami czekała na mnie spakowana torba. Miałam plan porodu i nagraną taśmę z różnymi kawałkami do puszczenia w sali porodowej. Wiedziałam, że będzie bolało, ale nagrodą za ból miało być to niesamowite, wyczekiwane od tyłu miesiący spotkanie z dzieckiem. Kiedy zaczynałam rodzić po raz pierwszy, byłam zachwycona.

A teraz paraliżował mnie potworny strach. W moim łonie byłaś bezpieczniejsza niż po przyjściu na świat.

I wtedy nagle drzwi stanęły otworem, a zanim zdążyłam się obejrzeć, wszędzie było pełno Piper. Jej różowa kurtka wypełniła cały pokój, a pewny siebie głos dobiegał ze wszystkich stron. Przyjechała z mężem; Rob wszedł za nią, niosąc na rękach Emmę, która trzymała w dłoni śnieżkę.

- „Śladem Blue”? - powiedział, przysiadając się do twojej siostry. - To mój ulubiony program... Zaraz po „Potyczkach Jerry'ego Springera”.

Amelia. Nawet nie pomyślałam o tym, kto z nią zostanie, kiedy ja pojedę do szpitala, żeby cię urodzić.

- Co ile? - zapytała mnie Piper.

Miałam skurcze co siedem minut. Czując kolejny, który szarpnął mną niczym potężna fala, chwyciłam się poręczy kanapy i zaczęłam liczyć do dwudziestu, koncentrując wzrok na pękniętej szybie w tarasowych drzwiach.

Siateczkę cienkich rys obrastały wąsy szronu; piękne, a jednocześnie straszne.

Piper usiadła obok i wzięła mnie za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, Charlotte - obiecała, a ja byłam na tyle głupia, że jej uwierzyłam.

Szpitalny oddział ratunkowy pełen był ludzi poszkodowanych w wypadkach, do których doszło z powodu śnieżycy: młodych mężczyzn przyciskających do głów zakrwawione ręczniki, dzieci piszczących na noszach. Piper błyskawicznie przeprowadziła mnie pomiędzy nimi, prosto na porodówkę; doktor Del Sol czekała już tam na nas, krążąc po korytarzu. Dziesięć minut później byłam znieczulona i wieźli mnie na cesarkę.

Po drodze wróżyłam sobie w myśli: jeśli na suficie w korytarzu naliczę parzystą ilość lamp, to Sean zdąży do mnie dojechać; jeśli do windy wejdzie z nami więcej mężczyzn niż kobiet, to okaże się, że to wszystko był jeden wielki błąd lekarzy. Piper, nie czekając, aż ją o to poproszę, przebrała się w fartuch, aby zastąpić Seana; planowaliśmy poród rodzinny.

- Zdąży - zapewniła, spoglądając na mnie.

Sala operacyjna była jasna i sterylnie chłodna. Pielęgniarka o zielonych oczach - niczego więcej nie było widać pomiędzy maską a czapką chirurgiczną - rozchyliła mi szpitalną koszulę i przetała brzuch betadyną. Kiedy zawiesili mi na wysokości pasa sterylną zasłonę, zaczęłam panikować. A może dostałam za mało środka znieczulającego i poczuję, jak skalpel mnie rozcina? A jeśli, wbrew wszystkim moim nadziejom, nie przeżyjesz porodu?

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Do sali wpadł Sean; wionęło od niego zimą, twarz zasłaniał maską, a jałową bluzę miał niedbale wetkniętą za pasek.

- Proszę poczekać! - zawołał, podchodząc do stołu. Poglądził mnie po policzku. - Przepraszam, kochanie - powiedział. - Przyjechałem od razu, gdy tylko mi przekazali...

Piper poklepała go po ramieniu.

- We trójkę będzie nam ciasno - oznajmiła i wycofała się, lecz najpierw jeszcze ostatni raz ścisnęła moją dłoń.

A potem Sean zajął miejsce obok mnie. Jego dłonie ogrzewały moje ramiona, dźwięczny, donośny głos odwracał uwagę od doktor Del Sol, która stała nade mną ze skalpelem.

- Miałem przez was niezłą psychozę - powiedział mój mąż. - Same do szpitala, w taką pogodę? Zastanowiłyście się chociaż?

- Tak. I wyszło nam, że lepiej nie rodzić na podłodze w kuchni.

Sean potrząsnął głową.



- To się mogło skończyć nieszczęściem.

Poczułam szarpnięcie za białą zasłoną i wciągnęłam mocno powietrze, odwracając głowę. Przed oczami stanął mi jeden obraz: powiększone zdjęcie USG z dwudziestego siódmego tygodnia ciąży, na którym widać, że masz siedem złamanych kości, a rączki i nóżki wygięte łukowato, jak główka skrzypiec. „To się już skończyło nieszczęściem”, pomyślałam.

A potem usłyszałam, że płaczesz, choć przecież podnieśli cię delikatnie jak laleczkę z chińskiej porcelany. To nie był prosty, urywany płacz noworodka; krzyczałaś tak, jakby cię rozrywali na kawałki.

- Uważaj - doktor Del Sol ostrzegła pielęgniarkę. - Trzeba podtrzymywać całe...

Rozległ się trzask, jakby pękł balon; choć to wydawało się niemożliwe, krzyknęłaś jeszcze głośnie.

- O Boże - jęknęła pielęgniarka histerycznie zdławionym głosem. - Złamana? To przeze mnie?

Wyciągałam szyję, chcąc cię zobaczyć, ale udało mi się dostrzec tylko rozognione policzki i usta niczym cięta rana.

Otaczał cię cały zespół lekarzy i pielęgniarek, którzy nie umieli zrobić nic, żebyś przestała szlochać. Wydaje mi się, że dopóki nie usłyszałam twojego płaczu, gdzieś w głębi serca wciąż wierzyłam, że wszystkie USG i inne badania były spartaczone, a lekarze się pomylili. Dopóki nie usłyszałam twojego płaczu, martwiłam się, że nie będę wiedziała, jak mam cię kochać.

Sean zerknął doktorom przez ramię.

- Aniołek - oznajmił, odwracając się w moją stronę, ale głos miał niepewny jak szczeniak z podkulonym ogonem; czekał, żebym potwierdziła to, co powiedział.

Aniołek nie płacze tak głośno, że matce krwawi serce. Aniołek wygląda jak aniołek, a w środku wszystko ma tak, jak trzeba.

- Nie podnoś jej ręki - mruknęła któraś z pielęgniarek.

- To jak mam ją zawinąć bez dotykania? - odpowiedziała inna.

A wśród tego gwaru ty znowu krzyknęłaś, lecz tym razem na zupełnie nową nutę.

- Willow - wyszeptałam imię, które wybraliśmy razem z twoim ojcem. Zgodził się, chociaż musiałam go przekonać. *Willow*, wierzba. „Nie nazwę jej tak - mówił Sean - wierzby płaczą”. Ale ja chciałam, żeby twoje imię niesło ze sobą wróżbę, dlatego wybrałam to drzewo; wierzba gnie się tylko, lecz nigdy się nie łamie.

- Willow - powtórzyłam szeptem, a ty usłyszałaś mnie, choć salę wypełniał gwar głosów i szum aparatury medycznej.

- Willow - powiedziałam głośno, a ty nadstawiłaś ucha, jakby to słowo zawierało w sobie mój maczyny uścisk. - Willow - powiedziałam, a ty w jednej chwili przestałaś płakać.

Kiedy byłam w piątym miesiącu ciąży, zadzwonili do mnie z restauracji, gdzie przedtem pracowałam. Matka szefa pracowni cukierniczej złamała sobie biodro, a wieczorem mamy gościć krytyka kulinarnego z „The Boston Globe”, więc czy nie mogłaby pani - oczywiście wiemy, że to na pewno nie w porę i w ogóle bezczelność z naszej strony - wpaść na chwilę i zrobić czekoladowe *mille-feuille*, takie jak to tylko pani potrafi, z lodami czekoladowymi doprawionymi na ostro, awokado i bananowym *crème brûlée*?

To było samolubne, przyznaję. Czułam się gruba i ciężka; chciałam sobie przypomnieć, że kiedyś byłam dobra w czymś nieco bardziej skomplikowanym niż gra w wojnę z twoją siostrą czy rozdzielanie prania na ciemne i jasne. Zostawiłam więc Amelię z opiekunką - jakąś nastolatką z agencji - i pojechałam do Capers.

Upłynęło już parę lat, ale kuchnia wyglądała tak samo jak za moich czasów, chociaż w spiżarni nowy szef wprowadził własny porządek. Od razu po przyjściu uprzątnęłam mój stół i zabrałam się do miksowania ciasta filo. Mniej więcej w połowie roboty upadło mi masło. Pochyliłam się, żeby je podnieść - ktoś mógł się przecież na nim poślizgnąć i przewrócić. Lecz nagle dotarło do mnie, że nie mogę już złożyć się wpół, tak jak kiedyś. Ucisnęłaś mnie od środka, zapierając dech w piersi; domyśliłam się, że sama musiałaś poczuć coś podobnego.

- Przepraszam, skarbie - powiedziałam, prostując się z powrotem.

Teraz zastanawiam się: czy to wtedy pękło ci te siedem kości? Czy zrobiłam ci krzywdę w momencie, gdy chciałam pomóc jakiejś innej, nieznannej osobie?

Urodziłaś się kilka minut po trzeciej, jednak zobaczyłam cię dopiero o ósmej wieczorem. Sean wychodził co pół godziny i przynosił najświeższe informacje: Robią jej prześwietlenie. Pobierają krew. Mówią, że chyba ma jeszcze złamaną nogę w kostce. Aż wreszcie, o szóstej, przyniósł mi najlepszą wiadomość z możliwych. Rozpoznali typ III, powiedział. Ma siedem zrastających się złamań i cztery świeże, ale oddycha bez trudności. Leżałam na łóżku i nie mogłam przestać się uśmiechać; z całą pewnością byłam jedyną matką w dziejach tego szpitala, której podobne wieści sprawiły radość.

Dwa miesiące wcześniej dowiedzieliśmy się, że jesteś chora na OI. Ten skrót, dwie litery,

które miały odtąd być naszym drugim nazwiskiem, oznacza *osteogenesis imperfecta*. Jest to defekt kolagenu; w jego następstwie kości są tak kruche, że aby je złamać, wystarczy się potknąć, wykręcić albo kichnąć. Istnieje kilka odmian tej choroby, ale tylko dwa z nich dają objawy w postaci złamań wewnątrzmacicznych, takich, jakie widzieliśmy na USG. Lecz mimo wszystko radiolog nie umiał stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, czy masz typ II, który zabija po urodzeniu, czy typ III, o ostrym przebiegu, powodujący postępującą deformację. Teraz wiedziałam już, że czekają cię setki złamań, było to jednak dla mnie zupełnie nieważne, bo oprócz tych złamań czekało cię też życie.

Kiedy śnieżycą osłabła, Sean pojechał do domu po twoją siostrę, żeby mogła cię zobaczyć. Na kanale meteo pokazywali obraz z radaru dopplerowskiego, który śledził burzowe chmury podążające na południe, aby tam zrzucić lodowaty deszcz i na trzy dni sparaliżować wszystkie lotniska w Waszyngtonie. W pewnej chwili usłyszałam pukanie do drzwi. Uniósłam się odrobinę na posianiu, choć przyszło mi to z wielkim trudem, bo świeże szwy zapłonęły w odpowiedzi żywym ogniem.

- Hej - powiedziała Piper, wchodząc do środka i przysiadając na skraju mojego łóżka. - Słyszałam dobre wieści.

- Wiem. - Skinęłam głową. - Mamy wielkie szczęście.

Zawahała się na ułamek sekundy, ale potem przytaknęła z uśmiechem.

- Już ją tutaj wiozą... - zaczęła i właśnie w tym momencie do sali weszła pielęgniarka, pchając przed sobą łóżeczko dla noworodków.

- Tu jest mamusia! - zaszczebotała.

Spałaś sobie w najlepsze, leżąc na plecach w plastikowym pojemniku wyłożonym gąbką. Rączki i nóżki, w tym lewą kostkę, miałaś owinięte bandażami.

Z wiekiem twoja choroba miała stawać się coraz bardziej widoczna. Wystarczy wiedzieć, na co zwrócić uwagę, żeby od razu rozpoznać objawy *osteogenesis imperfecta*: łukowato wygięte ręce i nogi, trójkątna twarz, a do tego wzrost - najwyżej półtora metra, może z niedużym hakiem. Ale wtedy, nawet cała w bandażach, wyglądałaś jak marzenie. Skóra jaśniutka, brzoskwiniowa, usta jak malinka. Włoski miękkie i delikatne, złociutkie, rzęsy długie jak paznokiec najmniejszego palca u ręki. Wyciągnęłam dłoń, chcąc cię dotknąć, ale zaraz ją cofnęłam, przypominając sobie, jak wygląda sytuacja.

Tak zaprzątnęło mnie pragnienie, abys przeżyła poród, że nie zawracałam sobie już głowy

tym, ile wyzwań będzie oznaczać twoje życie. Oto miałam prześliczną córeczkę, lecz delikatną jak bańka mydlana. Jako matka miałam cię chronić - a jeśli mimo najlepszych intencji zrobię ci krzywdę?

Piper i pielęgniarka wymieniły spojrzenia.

- Chcesz ją potrzymać, prawda? - zapytała moja przyjaciółka i wyjęła gąbkową wkładkę z pojemnika; pielęgniarka podtrzymała ją na brzegach, żeby nie opadły ci rączki. Powoli ułożyły mi cały ten kram w zgięciu łokcia.

- Hej - szepnęłam, tuląc cię do siebie.

Szorstka gąbka ocierała ramię przygwożdżone twoim ciężarem. Próbowałam zgadnąć, kiedy będę mogła wziąć cię na ręce bez tego opakowania, netto, poczuć twoje dotknięcie. Przypomniałam sobie Amelię w wieku niemowlęcym; tak często płakała, a ja brałam ją wtedy do swojego łóżka, karmiłam i w końcu zasypiałam, trzymając ją w ramionach. Za każdym razem bałam się, że we śnie obrócę się z boku na bok i zrobię jej krzywdę. Ale ciebie mogłam skrzywdzić o wiele łatwiej: choćby przy wyjmowaniu z łóżeczka. Albo przy masowaniu plecków.

Spojrzałam na Piper.

- Może lepiej ty ją weź...

A ona usiadła na posłaniu obok mnie i przesunęła palcem po twojej główce, okrągłej i jasnej niczym wschodzący księżyc.

- Charlotte - powiedziała - ona nie jest ze szkła.

Obie wiedziałyśmy, że to nieprawda, ale zanim zdążyłam jej to wytknąć, do pokoju wpadła Amelia. Na czapce i rękawiczkach miała śnieg.

- Już jest, już jest! - zaśpiewała.

Kiedy jej powiedziałam, że będzie miała rodzeństwo - ciebie - zapytała, czy zdążysz na obiad; myślała, że pojawisz się jeszcze tego samego dnia. Uświadomiłam ją, że musi poczekać około pięciu miesięcy - a wtedy uznała, że to za długo, i zaczęła udawać, że już się urodziła: nosiła na rękach swoją ulubioną lalkę i mówiła do niej „siostrzyczko”. Czasami, gdy nudziła się zabawą albo była rozkojarzona, zdarzało jej się upuścić tę lalkę na podłogę, głową w dół. Twój tata śmiał się wtedy:

- Dobrze, że to tylko wersja do ćwiczeń.

Sean stanął w drzwiach, tymczasem Amelia zdążyła już się wdrapać na kolana Piper i

wydała werdykt na temat siostry.

- Za mała, żeby jeździć ze mną na łyżwach - orzekła. - I dlaczego jest ubrana jak mumia?

- To wstążki - odpowiedziałam. - Jak na prezencie.

Wtedy właśnie po raz pierwszy skłamałam w twojej obronie, a ty, zupełnie jakbyś wyczuła, co się święci, wybrałaś sobie ten moment,

żeby się obudzić. Nie płakałaś, nie zaczęłaś się wiercić.

- Co ona ma z oczami? - zachłysnęła się Amelia. Wszyscy zauważyliśmy wizytówkę twojej choroby: twardówka, normalnie biała, u ciebie lśniła jaskrawym błękitem.

W środku nocy na oddziale noworodków zmieniły się pielęgniarki. Kiedy do pokoju weszła tamta kobieta, obie spałyśmy twardo. Ocknąłam się powoli, zawieszając wzrok na jej fartuchu, identyfikatorze, kędzierzawych, rudych włosach.

- Chwileczkę - powiedziałam, widząc, że sięga po róg kocyka, którym byłaś owinięta. - Niech pani uważa.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Spokojnie, proszę mamy. Nie pierwszy raz zmieniam maluchowi pieluchę.

Wtedy nie nauczyłam się jeszcze, że muszę być twoim rzecznikiem, a ona, rozwijając kocyk, pociągnęła go za mocno. Obróciłaś się na bok i zaczęłaś krzyczeć - nie kwilić, jak przedtem, kiedy byłaś głodna, tylko wyć, tak samo przenikliwie jak po urodzeniu.

- Ją to boli! - zawołałam.

- A gdzie tam, po prostu nie lubi wstawać w środku nocy...

Już sam twój krzyk był dla mnie najgorszym koszmarem z możliwych, lecz nagle cała zsiniałaś, a twój oddech zaczął się spazmatycznie rwać. Pielęgniarka pochyliła się nad tobą ze stetoskopem.

- Co się stało? Co jej jest? - dopytywałam się.

Osluchiwała ci klatkę piersiową, marszcząc brwi. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, cała zwiotczałaś. Pielęgniarka sięgnęła do przycisku za moim łóżkiem.

- Reanimacja! - usłyszałam i naraz mój maleńki pokoik wypełnił się tłumem ludzi, choć był przecież środek nocy.

W powietrzu, niczym rakiety, zaczęły śmigać informacje: hipoksemia... robimy gazometrię... saturacja: czterdzieści sześć procent... podłączamy tlen.

- Zaczynam masaż serca - powiedział ktoś.

- Ten dzieciak ma OI.
- Przeżyje tych kilka złamań, a bez tego umrze.
- Potrzebne prześwietlenie klatki piersiowej, natychmiast...
- Kiedy to się zaczęło, po lewej stronie nie było szmeru oddechowego...
- Nie ma sensu czekać na prześwietlenie. To może być odma prężna...

Pośród tej ludzkiej gęstwiny złowiłam okiem błysk igły wbijanej pomiędzy twoje żebra, a chwilę później tuż poniżej przesunął się skalpel, zaperliła kropla krwi, ktoś podał zacisk, ktoś wsunął długą rurkę wprost do twojej klatki piersiowej. Patrzyłam, jak ją przyszywają do skóry; wiała się obok ciebie niczym wąż.

Kiedy do pokoju wpadł Sean, oszalały ze strachu i z obłędem w oczach, już cię nie było; pojechałaś na oddział intensywnej opieki noworodków.

- Pocięli ją - załkałam; to były jedyne słowa, jakie przyszły mi do głowy. Sean mnie przytulił, a wtedy pękła tama przerażenia, za którą aż do tej chwili trzymały się wszystkie moje łyzy.

Do pokoju zajrzał facet o wyglądzie licealisty.

- Państwo O'Keefe? Jestem doktor Rhodes.

Sean chwycił mnie mocno za rękę.

- Co się dzieje z Willow? - zapytał.

- Możemy ją zobaczyć? - dodałam.

- Jak najbardziej, już niedługo - przytaknął lekarz, a mój ściśnięty żołądek rozluźnił się nieco. - Prześwietlenie klatki piersiowej potwierdziło złamanie żebra. Przez kilka minut państwa córka była w hipoksemii z powodu narastającej odmy prężnej, co w rezultacie doprowadziło do przemieszczenia śródpiersia, ucisku na narządy klatki piersiowej i zatrzymania krążenia.

- Boże jedyny... - warknął Sean. - Niech pan mówi po ludzku.

- Przez kilka minut pana córka nie otrzymywała tlenu. Klatka piersiowa wypełniła się powietrzem, przepychając serce, tchawicę i płuca na przeciwną stronę ciała. Założony drenaż opłucnowy umożliwi im powrót na właściwe miejsce.

- Nie otrzymywała tlenu - powtórzył Sean, a słowa zamierały mu w gardle. - Czyli to uszkodziło jej mózg?

- Niewykluczone. Na razie nie możemy tego stwierdzić.

Sean zgiął się w pół, zaciskając pięści tak mocno, że pod zbielełą skórą wystąpiły kostki.

- Ale serce... - wyjąkał.

- W obecnej chwili państwa córka jest stabilna, jednak istnieje możliwość ponownego zatrzymania krążenia. Nie wiemy jeszcze, jak zareaguje na to, co zrobiliśmy.

Wybuchnęłam płaczem.

- Nie chcę, żeby ona znów musiała tak się męczyć. Nie mogę im na to pozwolić, Sean.

Lekarz spojrział na nas przygnębionym wzrokiem.

- Może warto zastanowić się nad podpisaniem zakazu reanimacji. Jest to formularz, który dołączy się do akt medycznych państwa córki. Zasadniczo mówi on o niepodejmowaniu żadnych wyjątkowych środków, aby utrzymać Willow przy życiu, jeśli taka sytuacja się powtórzy.

Przez ostatnie tygodnie ciężko szykowałam się na najgorsze; teraz okazało się jednak, że wyobrażenia zawiodła mnie na całej linii.

- Niech państwo się namyślą - powiedział doktor Rhodes.

Być może, powiedział Sean, nie byliśmy jej przeznaczeni. Być może Bóg tak chciał.

A jeśli ja, ja chciałam inaczej, zapytałam. Co wtedy? Bo ja chcę, żeby z nami była. Od samego początku tego chciałam.

Przez okno mojego pokoju widać było trawnik przed szpitalem, pochyły stok zasypany oślepiająco białym śniegiem. Dzień był jasny, słońce raziło w oczy; kto by pomyślał, że jeszcze kilka godzin wcześniej szalała tutaj śnieżna zamieć. Jakiś pełen inwencji ojciec, chcąc zająć czymś swojego syna, zabrał go na dwór i dał mu tacę ze stołówek, żeby zjechał sobie z górki na pazurki. Chłopiec piał z radości, spod tacy tryskała fontanna białego puchu. Gdy był już na dole, skoczył na równe nogi, machając w stronę szpitalnych okien; w jednym z nich, takim samym jak moje, zapewne ktoś stał i patrzył na niego. Ciekawe, pomyślałam, czy to jego mama tutaj leży, czekając na poród? A może jest już po? Może stoi tuż obok, za ścianą i patrzy przez okno, jak jej syn zjeżdża sobie z górki?

Moja córka, pomyślałam mimowolnie, nigdy nie będzie mogła tego robić.

Kiedy stałyśmy nad twoim łóżeczkiem na oddziale intensywnej opieki noworodków, Piper z całej siły ścisnęła mnie za rękę. Spomiędzy twoich posiniaczonych żeber wciąż jeszcze wystawał dren, a ręce i nogi miałaś ciasno owinięte bandażami. Zachwiałam się lekko.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Piper.

- Mną się nie przejmuj. - Spojrzałam na nią. - Zapytali nas, czy chcemy podpisać zakaz reanimacji.

Piper wytrzeszczyła oczy.

- Kto was o to pytał?

- Doktor Rhodes...

- Doktor Rhodes to stażysta. - To ostatnie słowo wymówiła z pełnym niesmaku naciskiem, jakby „stażysta” miało znaczyć tyle samo, co „degenerat”. - Nie wie nawet jeszcze, gdzie jest stołówka, a co dopiero mówić o obchodzeniu się z matką, która przed chwilą widziała, jak serce jej dziecka przestało bić. Żaden pediatra nie proponowałby rodzicom podpisania zakazu reanimacji, dopóki badanie mózgu nie wykaże nieodwracalnych uszkodzeń...

- Rozcięli ją na moich oczach - powiedziała drżącym głosem. - A kiedy próbowali przywrócić akcję serca, słyszałam, jak pękają jej żebra.

- Charlotte...

- Podpisałaś?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, przeszłam na drugą stronę łóżeczka; znalazłaś się pomiędzy nami, niczym sekret, o którym nikt trzeci nie ma prawa wiedzieć.

- Czy tak właśnie ma odtąd wyglądać moje życie? - zapytałam.

Przez długi czas Piper milczała. Stałyśmy wsłuchane w otaczającą cię symfonię szmerów i sygnałów aparatury medycznej. Patrzyłam, jak drżysz przez sen, kuląc paluszki u stóp i rozkładając szeroko rączki.

- Twoje życie? - powtórzyła Piper. - Nie. Jej życie - owszem.

Jeszcze tego samego dnia, gdy jej słowa wciąż dźwięczały mi w uszach, podpisałam zakaz reanimacji. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na błaganie o litość, lecz pomiędzy wierszami widać było wyraźnie co innego: tego dnia po raz pierwszy skłamałam, mówiąc, że wołałabym, abyś nigdy nie przyszła na świat.



## I

Złamać można praktycznie wszystko, nawet serce.

Lekcje, których udziela nam życie, nie przynoszą  
mądrości, lecz blizny i zrosty.

WALLACE STEGNER, „Ptak-obszawator”

**Hartować:** podgrzewać powoli i stopniowo.

*W kuchni, podobnie jak w kuźni, hartowanie odbywa się metodycznie i bez pośpiechu. Żółtka hartujemy, zalewając je małymi ilościami gorącego płynu. Chodzi o to, żeby je podgrzać, ale tak, żeby się nie ścięły. W ten właśnie sposób robi się custard, słodki sos, który może służyć jako polewa albo też składnik bardziej złożonego deseru.*

*Ciekawostka: konsystencja gotowej mieszanki nie zależy od tego, jakim płynem ją podgrzejemy. Im więcej jajek, tym będzie ona gęstsza i bardziej kaloryczna.*

*Innymi słowy - wynik określają składniki wyjściowe.*

### CRÈME PÂTISSERIE

*2 szklanki pełnotłustego mleka*

*6 żółtek (w temp. pokojowej)*

*140 g cukru*

*40 g mąki kukurydzianej*

*1 łyżeczka wanilii*

W rondlu z nierdzewnej stali podgrzać mleko prawie do temperatury wrzenia. Ubić żółtka z cukrem i mąką kukurydzianą w nierdzewnym naczyniu, a następnie zahartować gorącym mlekiem. Tak przygotowaną mieszankę podgrzewać, bez przerwy ubijając, aż się zagotuje; potem zdjąć z ognia. Dodać wanilię i przelać do naczynia z nierdzewnej stali. Delikatnie posypać cukrem i szczelnie przykryć folią. Przechowywać w lodówce. Podawać schłodzone. *Crème pâtisserie* jest używany do tart owocowych, napoleonek, ptysiów, eklerów itp.

## **Amelia**

*Luty 2007 r.*

Nigdy w życiu nie byłam nigdzie na wakacjach. Nigdy nie wyjechałam nawet z New Hampshire, chyba że liczyć ten raz, jak mama zawiozła cię do Nebraski, a ja zabrałam się z wami - i chyba nawet ty przyznasz, że trzy dni siedzenia w szpitalnym pokoju i oglądania starych jak świat odcinków „Toma i Jerry'ego”, żeby przeczekać twoje badania, trudno porównać z wczasami na plaży albo wycieczką do Wielkiego Kanionu. Łatwo więc sobie wyobrazić moje emocje, kiedy dowiedziałam się, że na ferie w lutym rodzice planują zabrać nas do Disneylandu. Mieliśmy mieszkać w hotelu, przez który jeździła kolej jednotorowa.

Mama zaczęła spisywać atrakcje, które obejrzymy: „Mały ten świat”, „Dumbo, latający słońnik”, „Lot z Piotrusiem Panem”.

- To dla dzieci - burknęłam.  
- Ale bezpieczne - przypomniała.  
- „Kosmiczna Góra” - zaproponowałam.  
- „Piraci z Karaibów” - odpowiedziała.  
- No super! - wrzasnęłam. - Pierwszy raz w życiu jadę gdzieś na wakacje i nie będę nawet mogła robić nic fajnego.

Pobiegłam do naszego pokoju, na górę. Wiedziałam dobrze, co teraz mówią rodzice: „Znowu problem z Amelią”.

Zabawne jest to, że w takich sytuacjach (które powtarzają się praktycznie cały czas) mama nigdy nie próbuje przywrócić zaburzonego porządku. Ona przecież musi pilnować, żeby tobie nic się nie stało, więc obowiązki rozjemcy spadają na tatę. No tak, o to też jestem zazdrosna: dla ciebie on jest tatą, dla mnie tylko ojczymem. Nie znam mojego prawdziwego taty. Mama rozstała się z nim, jeszcze zanim się urodziłam i teraz zapewnia mnie, że to najlepszy prezent, jaki mogła mi dać w życiu. Sean mnie adoptował i zachowuje się tak, jakby kochał nas obie dokładnie tak samo - ale ja nie mogę zapomnieć, że to absolutnie niemożliwe; ta myśl jest jak ostra, czarna drzazga tkwiąca głęboko w głowie.

- Melciu - powiedział, stając w drzwiach (nikomu innemu nigdy, przenigdy nie pozwolę tak do siebie powiedzieć; to zdrobnienie kojarzy mi się z tymi robakami, co lęgną się w mące, ale nie wtedy, kiedy on tak mówi). - Wiem, że jesteś już duża i możesz jeździć na tych większych

karuzelach i kolejkach. Ale chcemy, żeby Willow też się dobrze bawiła.

Bo kiedy Willow jest dobrze, wszystkim nam jest dobrze, pomyślałam. Nie musiał tego mówić; zrozumiałam go bez słów.

- Chcielibyśmy pojechać na wakacje jak zwyczajna rodzina - dodał jeszcze tata.

Po chwili wahania usłyszałam własny głos:

- Karuzela z filiżankami.

Tata obiecał, że spróbuje namówić mamę, i chociaż broniła się rękami i nogami (a co będzie, jak uderzysz się o grubą, gipsową ścianę filiżanki?), udało mu się ją jednak przekonać, że możemy wziąć cię pomiędzy siebie i wtedy będziesz bezpieczna. Kiedy mama uległa, uśmiechnął się do mnie szeroko, pękając z dumy; za nic w świecie nie umiałabym mu powiedzieć, że mam w nosie tę całą karuzelę z filiżankami.

Zaproponowałam ją tylko dlatego, że przypomniała mi się reklamówka Disneylandu, stara, sprzed kilku lat. Pokazywali tam Czarodziejskie Królestwo, gdzie Dzwoneczek śmigła jak komar nad głowami uśmiechniętych zwiedzających. Była wśród nich rodzina z dwoma córkami dokładnie w naszym wieku; cała czwórka kręciła się w filiżankach na Karuzeli Szalonego Kapelusznika. Nie mogłam oderwać wzroku od tych ludzi - starsza dziewczyna miała nawet brązowe włosy jak ja, a gdy zmrużyć oczy, ich ojciec robił się bardzo podobny do naszego. Wszyscy byli tacy szczęśliwi, że aż brzuch bolał od patrzenia. Wiedziałam, że pewnie to w ogóle nie jest prawdziwa rodzina, że mama i tata to aktorzy, ona niezamężna, on niezonaty, a swoje niby-córki zobaczyli pierwszy raz na planie zdjęciowym, kiedy rano przyszli kręcić tę reklamówkę - ale chciałam, żeby było inaczej. Chciałam uwierzyć, że chociaż wciąga ich ten dziki, nieokielznany wir, ich radość, ich uśmiechy są prawdziwe.

Zbierzcie dziesięć osób nieznających się nawzajem, posadźcie je w jednym pokoju i zapytajcie, komu bardziej współczują: tobie czy mnie. Wiadomo, kogo wybiorą. Trudno zamknąć oczy na to, że wciąż nosisz gips, masz wzrost dwulatki, chociaż skończyłaś już pięć lat i śmiesznie zarzucasz biodrami przy chodzeniu - oczywiście kiedy jesteś na tyle zdrowa, żeby chodzić o własnych siłach. Nie mówię, że masz łatwo. Po prostu ja mam jeszcze gorzej, bo za każdym razem, kiedy sobie myślę, że moje życie jest do bani, przyglądam się tobie i mam siebie jeszcze bardziej dość za takie myśli.

Jak to jest być mną? Proszę, oto parę migawek:

„Amelia, nie skacz po łóżku, bo zrobisz Willow krzywdę”.

„Amelia, ile razy ci mówiliśmy, że nie wolno zostawiać skarpetek na podłodze? Przecież Willow może się przewrócić”.

„Amelia, wyłącz ten telewizor” (choć włączyłam go dopiero pół godziny temu, a ty siedziałaś przed nim pięć godzin bez przerwy, wgapiona jak jakieś zombi).

Wiem - wychodzę na samoluba, ale to, że ktoś ma rację, nie znaczy, że nie może mi być przykro. Mam dopiero dwanaście lat, zgoda, ale zapewniam was: więcej nie trzeba, żeby zakapować, że nasza rodzina nie jest i nigdy nie będzie taka jak inne rodziny. Przykład: kto „na wszelki wypadek” zabiera na wakacje całą walizkę pełną bandaży elastycznych i wodoodpornych gipsów?

Która mama całymi dniami zbiera informacje o wszystkich szpitalach w Orlando?

Przed samym wyjazdem, kiedy tata pakował bagaże do samochodu, usiadłyśmy razem w kuchni, żeby zagrać sobie w „papier, nożyczki, kamień”.

- Trzy, cztery - powiedziałam i obie pokazałyśmy nożyczki. To było do przewidzenia: zawsze pokazywałaś nożyczki. - Jeszcze raz. Trzy cztery... - powtórzyłam, tym razem pokazując kamień. - Kamień tępi nożyczki. - Stuknęłam cię pięścią w wierzch dłoni.

- Uważaj - powiedziała mama, chociaż stała odwrócona w zupełnie inną stronę.

- Wygrałam!

- Zawsze wygrywasz - mruknełaś.

Roześmiałam ci się prosto w nos.

- Bo ty zawsze pokazujesz nożyczki.

- Nożyczki wynalazł Leonardo da Vinci.

O każdej porze miałaś pod ręką jakąś ciekawostkę, jakiś fakt, o którym nikt nigdy nie słyszał, a jeśli słyszał, to zaraz zapomniał. Było tak, ponieważ wciąż czytałaś książki, siedziałaś w Internecie albo oglądałaś History Channel, który mnie z reguły usypiał. Ludzie robili wielkie oczy, dowiadując się od pięciolatki, że woda w ubikacji spływa w tonacji es albo że *town* to najstarsze słowo w języku angielskim, ale według mamy wiele dzieci chorych na OI wcześniej zaczyna czytać i ma dar wymowy. Dla mnie to było tak jak z treningiem mięśni: używałaś mózgu częściej niż innych części ciała, które wciąż ci się psuło, nic więc dziwnego, że nawijałaś jak młody Einstein.

- Czy wszystko wzięłam? - zapytała mama, ale to było do siebie. Sprawdziła swoją listę chyba po raz tysięczny. - Zaświadczenie - przypomniała sobie i spojrzała na mnie. - Amelia,

musimy zabrać zaświadczenie lekarskie dla Willow.

Ten dokument, wypisany przez doktora Rosenblada, zawierał garść oczywistych informacji: jesteś chora na *osteogenesis imperfecta*, leczysz się u niego w Children's Hospital - wszystko na wypadek, gdybyś niespodziewanie coś sobie zrobiła. Szczerze mówiąc, śmieszne to było, bo tych niespodziewanych wypadków zawsze miałaś mnóstwo, złamanie goniło złamanie. Zaświadczenie było w naszym samochodzie, w schowku, razem z dowodem rejestracyjnym, instrukcją obsługi vana marki Toyota, podartą mapą Massachusetts, paragonem ze stacji wymiany oleju i listkiem gumy do żucia, który obrósł futrzastym brudem, bo nie miał papierka. Zrobiłam raz remanent w schowku, kiedy mama płaciła za benzynę.

- Jest w samochodzie - poinformowałam mamę. - Nie możesz go wyjąć po drodze na lotnisko?

- Nie, bo zapomnę - odpowiedziała i w tym momencie wszedł tata.

- Wszystko załadowane - zameldował. - No co, Willow? Jedziemy zobaczyć Myszkę Miki?

Uśmiechnęłaś się do niego promiennie, zupełnie jakby w Disneylandzie można było zobaczyć prawdziwą Myszkę Miki, a nie jakąś nastolatkę, która paraduje w przebraniu i z wielką plastikową głową, bo taką pracę udało jej się złapać na lato.

- Miki ma urodziny osiemnastego listopada - poinformowałaś tatę, kiedy pomagał ci zsunąć się z krzesła. - Amelia wygrała ze mną w „papier, nożyczki, kamień”.

- Bo zawsze pokazujesz nożyczki - odpowiedział. Mama, marszcząc brwi, ostatni raz sprawdziła listę.

- Sean, zabrałeś ibuprofen?

- Dwa duże opakowania.

- A aparat?

- Kurka wodna... Wyjąłem go i został na komodzie na górze... - Tata spojrzał na mnie. - Kotku, przyniesiesz? Ja usadzę Willow w samochodzie.

Skinęłam głową i pobiegłam na górę. Wróciwszy z aparatem, zobaczyłam mamę, która stała sama na środku kuchni, obracając się powoli, jakby nie wiedziała, co robić, kiedy nie ma cię przy sobie. Zgasiła światło i zamknęła dom na klucz, a ja pobiegłam w podskokach do naszego vana. Oddałam aparat tacie, usiadłam obok twojego fotelika, zapięłam pas i pozwoliłam sobie na chwilę szczerości: otóż kręcił mnie ten wyjazd, chociaż to straszny obciach mieć dwanaście lat i

podniecać się Disneylandem. Myślałam o słońcu, piosenkach z filmów Disneya i jednotorowej kolejce w hotelu, a nie o zaświadczeniu od doktora Rosenblada.

Co oznacza, że to wszystko była moja wina.

Nawet nie zobaczyliśmy tej głupiej karuzeli z filizankami. Po wylądowaniu, zanim udało nam się dotrzeć do hotelu, było już późne popołudnie. Pojechaliśmy do parku i ledwie postawiliśmy stopę na głównej ulicy - prowadzącej jak strzełił do zamku Kopciuszka - zaczęło lać jak z cebra. Powiedziałaś, że jesteś głodna, więc weszliśmy do lodziarni o staromodnym wystroju. Tata stanął w kolejce, trzymając cię za rękę, ja wybrałam stolik, a mama przyniosła serwetki.

- Patrz - powiedziałam, pokazując palcem Goofy'ego, który ścisnął dłoń jakiemś rozwrzeszczanemu bobasowi. I dokładnie w tym samym momencie mamie upadła jedna serwetka, tata puścił twoją rękę, sięgając po portfel, a ty podskoczyłaś do okna, żeby zobaczyć to, co pokazałam, i poślizgnęłaś się na tym maleńkim strzępku papieru.

Oglądaliśmy to wszystko w zwolnionym tempie: nogi po prostu wyjechały spod ciebie, tak że klapnęłaś ciężko na tyłek. Białka oczu, które podniosłaś na nas, błysnęły błękitem, jak zawsze, kiedy coś w tobie pękało.

Można by pomyśleć, że obsługa Disneylandu tylko na to czekała. Wystarczyło, żeby mama powiedziała facetowi w stoisku z lodami, że złamałaś nogę, a zaraz pojawiło się dwóch ratowników z miejscowego punktu medycznego. Przynieśli nosze i pod jej nadzorem (komenderowała nimi tak samo jak każdym lekarzem) ułożyli cię na nich, choć nie bez trudności. Nie płakałaś, chociaż w sumie rzadko widywałam u ciebie łzy, kiedy coś sobie złamałaś. Sama raz miałam złamany mały palec u ręki: dostałam piłką od tenisa, taką na uwięzi. Spuchł mi cały i poczerwieniał, a ja świrowałam jak nie wiem co. Ty jednak nie płakałaś nawet przy otwartym złamaniu ręki.

- Boli cię? - zapytałam szeptem, kiedy ratownicy podnieśli nosze, którym nagle wyrosły nogi z kółkami.

Kiwnęłaś głową, zagryzając dolną wargę.

Przy głównej bramie czekał już na nas ambulans. Obejrzałam się jeszcze ostatni raz na główną ulicę parku, łowiąc wzrokiem stożkowaty metalowy dach Kosmicznej Góry i dzieciaki, które właśnie tam wchodziły, zamiast wychodzić, tak jak my; potem wsiałam razem z tatą do podstawionego dla nas samochodu i ruszyliśmy za tobą i mamą do szpitala.

W izbie przyjęć było dziwnie, zupełnie inaczej niż w naszym szpitalu. Tam wszyscy cię znali, a każdy lekarz słuchał mamy. Tutaj nikt nie zwracał na nią uwagi. Powiedzieli, że druga kość udowa też może być złamana, i że istnieje ryzyko krwotoku wewnętrznego. Mama poszła z tobą na prześwietlenie, a my z tatą zostaliśmy w poczekalni, przycupnięci na zielonych plastikowych krzesłach.

- Przykro mi, Melciu - powiedział, a ja tylko wzruszyłam ramionami. - Może to nie jest nic bardzo poważnego i jutro będziemy mogli tam wrócić.

Słyszałam, jak w Disneylandzie rozmawiał z nim jakiś facet w czarnym garniturze, który mówił, że gdybyśmy chcieli przyjść innego dnia, dostaniemy gratisowe bilety (choć nie wiedziałam za bardzo, co to znaczy gratisowy).

Stał tam telewizor, ale w sobotę wieczorem pacjenci z izby przyjęć to o wiele ciekawszy widok niż jakiś program. Było na przykład dwóch chłopaków w wieku mniej więcej studenckim. Każdy z nich miał rozciętą skórę na czole, dokładnie w tym samym miejscu co ten drugi; wystarczyło, że spojrzeli na siebie i od razu zaczęli się śmiać. Był też starszy pan w spodniach wyszywanych cekinami, ściskający się kurczowo za prawy bok, i dziewczyna, która mówiła tylko po hiszpańsku i trzymała na rękach rozwrzeszczane bliźnięta.

Nagle drzwi po prawej stronie otworzyły się z hukiem i do poczekalni wpadła mama, a za nią pielęgniarka i jeszcze jakaś kobieta w obcisłej spódnicy w cieniutkie paski i czerwonych szpilkach.

- Zaświadczenie! - zawołała mama. - Sean, co z nim zrobiłeś?

- Z czym? - zapytał tata, ale ja już wiedziałam, o co jej chodzi. Ni stąd, ni zowąd zrobiło mi się niedobrze, a żołądek podjechał do gardła.

- Pani O'Keefe - powiedziała kobieta w szpilkach - bardzo panią proszę, załatwmy to gdzieś na osobności.

Musnęła palcami rękę mamy, a ona - inaczej nie umiem tego opisać - złożyła się wpół. Poszliśmy do jakiegoś pokoju, gdzie stała obszarpana czerwona kanapa i nieduży owalny stolik, a na nim wazon sztucznych kwiatów. Na ścianie wisiało zdjęcie przedstawiające dwa misie panda. Oglądałam je sobie, a tymczasem kobieta w obcisłej spódnicy - przedstawiła się jako Donna Roman z Wydziału ds. Rodzin i Opieki nad Dziećmi - rozmawiała z rodzicami.

- Wezwał nas doktor Rice, ponieważ zaniepokoiły go obrażenia państwa córki - wyjaśniła. - Łukowaty kształt rąk oraz zdjęcia rentgenowskie wskazują, że nie było to jej



pierwsze złamanie, czy to prawda?

- Willow jest chora na *osteogenesis imperfecta* - powiedział tata.

- Pani już o tym wie. - Mama skrzywiła się w odpowiedzi. - Nie chciała mnie słuchać.

- Ponieważ nie przedstawili państwo zaświadczenia lekarskiego, mamy obowiązek zbadać tę sprawę. Takie są zasady, dzieci trzeba chronić...

- Toteż ja właśnie chcę chronić moje dziecko - przerwała jej mama tonem ostrym jak brzytwa. - Proszę mi tylko nie przeszkadzać, a Willow będzie pod najlepszą opieką.

- Doktor Rice jest specjalistą...

- Gdyby faktycznie nim był, wiedziałby, że mówię prawdę - odparowała mama.

- Jak rozumiem, doktor próbuje się obecnie skontaktować z lekarzem, który prowadzi państwa córkę - powiedziała Donna Roman - ale ponieważ jest sobota wieczór, nie może się dodzwonić. Tymczasem więc proponuję, żeby podpisali państwo zgodę na szczegółowe badanie Willow, czyli pełną scyntyografię kości oraz testy neurologiczne, a dopóki lekarze nie skończą, możemy sobie porozmawiać.

- Willow nie potrzebuje już żadnych nowych badań... - zaczęła mama.

- Proszę pani - wpadł jej w słowo tata - jestem policjantem. Nie sądzi pani chyba, że próbuję panią oszukać?

- Rozmawiałam już z pańską żoną, panie O'Keefe, i będę chciała zamienić kilka słów także z panem... Ale najpierw poproszę na rozmowę siostrę Willow.

Otworzyłam usta i zamknęłam je z powrotem, nie mówiąc ani słowa. Mama wbiła we mnie wzrok, jakby usiłowała czytać mi w myślach; spuściłam głowę. Po chwili na podłodze tuż pod moim nosem pokazały się tamte czerwone szpilki.

- Domyślam się, że ty jesteś Amelia - powiedziała ich właścicielka. Przytaknęłam. - Przejdziemy się?

W drzwiach minęliśmy policjanta, który wyglądał prawie tak samo jak tata, kiedy wychodzi do pracy.

- Proszę rozdzielić tych państwa - poleciła Donna Roman, na co on skinął głową. Zaprowadziła mnie do automatu ze słodyczami stojącego na końcu korytarza. - Na co masz ochotę? Osobiście przepadam za czekoladą, ale może wolisz chipsy?

Gdy rodzice zniknęli z pola widzenia, zrobiła się dla mnie przesympatyczna, a ja bez chwili wahania pokazałam palcem snickersa, uznając, że trzeba korzystać z okazji.

- Pewnie inaczej wyobrażałaś sobie te wakacje? - zapytała, ale potrząsnęłam przecząco głową. - Czy to znaczy, że Willow miała już takie wypadki?

- Jasne. Często sobie coś łamie.

- W jaki sposób?

Inteligencją ta pani raczej nie błyszczała. W jaki sposób można sobie coś złamać?

- Przewraca się. Albo czymś dostanie.

- „Czymś” dostanie? - powtórzyła Donna Roman. - A może „od kogoś”?

Raz w przedszkolu, na placu zabaw, wpadła na ciebie jedna koleżanka. Generalnie miałaś spory talent do uników, ale tego dnia wyszło ci trochę za wolno.

- Czasami i tak się dzieje - przyznałam.

- Z kim była Willow tym razem?

Przypomniałam sobie lodziarnię i tatę trzymającego cię za rękę.

- Z tatą.

Donna Roman zacisnęła usta. Wrzuciła kilka monet do innego automatu, z którego wypadła butelka wody. Odkręciła ją. Chciałam, żeby mnie poczęstowała, ale wstydziłam się poprosić.

- Był zdenerwowany? - padło pytanie.

Zobaczyłam w myślach jego twarz, kiedy pędziliśmy do szpitala w ślad za karetką. Zaciśnięte, wsparte na udach pięści, gdy czekaliśmy, żeby nam powiedzieli, co tym razem Willow sobie złamała.

- Tak - odpowiedziałam. - Bardzo się denerwował.

- Czyli twoim zdaniem zrobił to, bo pogniewał się na Willow?

- Jak to? Co zrobił?

Donna Roman przyklęła przede mną i zajrzała mi w oczy.

- Amelio - odezwała się - możesz mi powiedzieć, co naprawdę się stało. On już nic ci nie zrobi, dopilnuję tego.

Nagle dotarło do mnie, jak ta kobieta rozumiała moje słowa.

- Tata nie gniewał się na Willow. - Pokręciłam głową. - Nie uderzył jej. To był wypadek!

- Takie wypadki nie powinny się zdarzać.

- Nie... Pani nie rozumie... To wszystko dlatego, że Willow...

- Zachowanie dziecka nigdy nie usprawiedliwia przemocy - mruknęła Donna Roman pod

nosem, ale i tak wszystko usłyszałam.

Szła już z powrotem do pokoju, gdzie zostali moi rodzice, i nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi, chociaż krzyczałam za nią na całe gardło.

- Obejmujemy państwa dzieci opieką urzędową - zakomunikowała mamie i tacie.

- Pan pozwoli ze mną na posterunek. Musimy porozmawiać - powiedział policjant do taty.

Mama przygarnęła mnie do siebie.

- Opieka urzędowa? Co to znaczy?

Donna Roman chwyciła mnie mocno z drugiej strony, próbując od niej oderwać; nie obyło się zresztą bez pomocy policjanta.

- Musimy zapewnić państwa dzieciom bezpieczeństwo, dopóki ta sprawa się nie wyjaśni - oświadczyła. - Willow spędzi noc tutaj. - Chciała mnie wyprowadzić, ale zapałam się w drzwiach.

- Amelia - zapytała mama, cała w nerwach - co ty powiedziałaś tej pani?

- Mówiłam, jak było!

- Dokąd pani zabiera moją córkę?!

- Mamó! - wrzasnęłam, wyciągając do niej rękę.

- Chodź, skarbie. - Donna Roman złapała moją dłoń i musiałam jej ulec. Wyciągnęła mnie z tego szpitala, chociaż kopałam i darłam się wniebogłosy. Trwało to pięć minut, a potem popadłam w całkowite omdlenie. Zrozumiałam wtedy, dlaczego nie płaczesz, chociaż bardzo boli: czasem o bólu trzeba milczeć, bo nie da się go wypowiedzieć.

Spotkałam się już nieraz z wyrażeniem „dom zastępczy” w książkach i programach telewizyjnych. Wydawało mi się, że jest to miejsce dla sierot i dzieci handlarzy narkotyków z dzielnic nędzy, a nie dla takich dziewczyn jak ja, które mają gdzie mieszkać, dostają mnóstwo prezentów pod choinkę i nigdy nie kładą się spać o pustym żołądku. Okazało się jednak, że pani Ward, prowadząca tymczasowy dom zastępczy, do którego trafiłam, wygląda zupełnie jak zwyczajna mama; przypuszczalnie nawet nią była, sądząc po zdjęciach, którymi wytapetowano wszystkie ściany. Otworzyła drzwi, ubrana w czerwony szlafrok i różowe kapcie w kształcie świnek.

- Ty pewnie jesteś Amelia - powiedziała, uchylając je odrobinę szerzej.

Spodziewałam się zastać tam gromadę dzieciaków, ale akurat nikt u niej nie mieszkał. Zaprowadziła mnie do kuchni, pachnącej płynem do naczyń i ugotowanymi kluskami. Postawiła

przede mną szklankę mleka i talerzyk pełen czekoladowych markiz.

- Musisz być strasznie głodna - powiedziała, ale zaprzeczyłam, chociaż rzeczywiście aż mnie skręcało. Nie chciałam od niej niczego przyjąć, bo to by oznaczało kapitulację.

W moim pokoju stała komoda i wąskie łóżko nakryte kołdrą w wisienki. Był tam też telewizor z pilotem. Rodzice nigdy w życiu by mi nie pozwolili mieć telewizora w pokoju; mama mówiła, że telewizja to samo zło. Powiedziałam to pani Ward, a ona się roześmiała.

- Być może - zgodziła się - ale czasem nic tak dobrze nie robi, jak obejrzeć sobie odcinek „Simpsonów”.

Otworzyła szufladę w komodzie, wyciągając czysty ręcznik i koszulę nocną, o kilka numerów na mnie za dużą. Ciekawe, zastanowiłam się, skąd się tu wzięła ta koszula. Ile nocy przespała w tym łóżku ostatnia dziewczyna, która miała ją na sobie.

- W razie czego jestem w pokoju na końcu korytarza - powiedziała pani Ward. - A może czegoś byś chciała?

Chcę do mamy. Chcę do taty. Do ciebie. Do domu.

- Jak długo - zapytałam, odzywając się po raz pierwszy w tym domu - mam tutaj zostać?

Pani Ward uśmiechnęła się smutno.

- Tego nie wiem, Amelio.

- A czy rodzice... też są w jakimś domu zastępczym?

Chwila wahania.

- Można tak powiedzieć.

- Chcę się zobaczyć z Willow.

- Jutro, z samego rana - obiecała mi. - Zawiozę cię do szpitala. Może być?

Skinęłam głową. Bardzo, bardzo chciałam jej uwierzyć. Po takiej obietnicy mogłam zasnąć, jakbym miała ze sobą ulubionego pluszowego łośia, który został w domu. Po takiej obietnicy mogłam sobie wmówić, że będzie lepiej, bo musi i już.

Położyłam się, próbując przypomnieć sobie te twoje nikomu niepotrzebne ciekawostki, które zawsze nadajesz przed snem, tak że muszę cię uciszać, żebyś się wreszcie zamknęła. Żaba, kiedy chce przełknąć, musi zamknąć oczy. Jednym ołówkiem można narysować linię długości pięćdziesięciu sześciu kilometrów. „Skok” i „trop” to „koks” i „port” pisane wspak.

Powoli zrozumiałam, dlaczego obnosisz się z tymi głupimi informacjami, tak jak inne dzieciaki ciągną wszędzie ze sobą przytulanki albo ulubione kocyki; kiedy sama zaczęłam je

sobie powtarzać, to nawet mi to trochę pomogło. Nie wiedziałam tylko, czy dlatego, że dobrze jest coś wiedzieć, gdy całe życie to jeden wielki znak zapytania, czy może dlatego, że przypominały mi Ciebie.

Wciąż ścisnęło mnie w środku, ale nie umiałabym powiedzieć, czy to z głodu, czy z dojmującego poczucia pustki. Kiedy pani Ward poszła do swojej sypialni, zsunęłam się po cichu z łóżka, zapaliłam światło w korytarzu i zeszłam na dół, do kuchni. Po otwarciu drzwi lodówki zalało mnie światło, a na białe stopy spłynął chłód. Wodziłam wzrokiem po plastikowych paczkach wędliny, po brzuhatych jabłkach i brzoskwiniach wrzuconych do jednego pojemnika, po kartonach soku i mleka stojących rzędkiem jak żołnierze na zbiorce. Nagle wydało mi się, że na piętrze coś skrzyknęło, więc złapałam, co wpadło mi w ręce - bochenek chleba, plastikowy pojemnik do żywności pełen spaghetti, garść tamtych czekoladowych markiz - i pognałam z powrotem do pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi i rozłożyłam moje skarby na pościeli.

Zacząłem się od ciastek, ale potem zaburzało mi w brzuchu i zjadłam spaghetti, do ostatniej kluski - palcami, bo nie miałam widelca. Do tego kromka chleba, i jeszcze jedna, i następna... Zanim się obejrzałam, po bochenku zostało plastikowe opakowanie. Co się ze mną dzieje, pomyślałam, spoglądając w lustro. Kto zjada naraz cały chleb? Wyglądałam ohydnie - nijakie brązowe włosy, kręcące się same z siebie w kiepską pogodę, oczy rozstawione zbyt szeroko, krzywy ząb na przodzie i opona tłuszczu wylewającego się ze spodni - ale wewnątrz miałam jeszcze gorsze. Wyobrażałam je sobie jak czarną dziurę, która wsysa wszystko, co ją otacza. W zeszłym roku uczyliśmy się o czarnych dziurach na fizyce. „Próżnia nicości”, tak mówił o nich nauczyciel.

Moje dobre strony, wszystko to, co widzieli we mnie inni ludzie, zatrzał ten cichy głos, który w najciemniejszej godzinie nocy szeptał: „Chcę mieć inną rodzinę”. Prawdziwa ja to podła świnka, która umiała wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby Cię nie było. Prawdziwa ja patrzyła, jak Cię pakują do karetki i przez ułamek sekundy żałowała, że nie może zostać w Disneylandzie. Prawdziwa ja była duszą bez dna; potrafiła w dziesięć minut pochłonąć cały bochenek chleba i znalazłaby jeszcze miejsce na więcej.

Nienawidziłam siebie.

Nie mam pojęcia, co mnie popchnęło, żeby pójść do łazienki (mój pokój miał własną łazienkę: tapeta w różyczki, mydełko w różnych kształtach leżące na mydelniczkach obok umywalki) i wepchnąć sobie palec do gardła. Może czułam, jak do krwi sączy mi się trucizna, i

chciałam się jej pozbyć. Może to miała być kara. A może chciałam zapanować nad tym, co było we mnie nieposkromione, tak żeby podporządkować swojej woli całą siebie. „Szczyry nie umieją rzygać”, powiedziałaś mi kiedyś i teraz to sobie przypomniałam. Jedną ręką odgarnęłam włosy i zwymiotowałam do ubikacji, nie przestając, dopóki, poczerwieniała na twarzy, spocona i opróżniona ze wszystkiego, nie poczułam ulgi na myśl, że tak, potrafię coś zrobić jak należy, nawet jeśli jest mi potem jeszcze gorzej.

Ból ściśniętego żołądka i gardło palące od żółci - to było okropne, ale przynajmniej miałam wreszcie fizyczny powód, żeby czuć się źle.

Oslabiona, potoczyłam się na miękkich nogach do wypożyczonego mi łóżka i sięgnęłam po pilota do telewizora. Oczy mnie piekły jak zasypane piaskiem, gardło bolało, ale nie mogłam sobie pozwolić na sen, więc skakałam po kanałach, zamieniając programy o dekoracji wnętrz na kreskówki, a te na nocne talk-show i turniej kucharski „Iron Chef”, aż wreszcie na Nickelodeonie, w dwudziestej drugiej minucie któregoś tam odcinka programu Dicka Van Dyke'a, trafiłam na tę starą reklamówkę Disneylandu. To było jak kpina, jak szyderstwo, ostrzeżenie. Poczułam się tak, jakbym oberwała pięścią w brzuch: proszę, tutaj Dzwoneczek, a tu szczęśliwa rodzinka na karuzeli z filizankami. To mogliśmy być my.

A jeśli rodzice już nigdy nie wrócą?

A jeśli ty nie wyzdrowiejesz?

A jeśli zostanę tutaj na zawsze?

Kiedy zaczęłam płakać, wepchnęłam sobie róg poduszki głęboko do ust, żeby pani Ward nie usłyszała. Wyłączyłam dźwięk w telewizorze i patrzyłam, jak rodzina w Disneylandzie kręci się w kółko na karuzeli.

## Sean

Zabawne, jak człowiek potrafi być stuprocentowo pewien, że wie, co ma myśleć o tym czy o tamtym - dopóki sam nie znajdzie się w takiej sytuacji. Na przykład aresztowanie: ludzi, którzy nie pracują w policji, zawsze bulwersuje fakt, że dochodzi do pomyłek przy zatrzymaniach, nawet jeśli są one usprawiedliwione. Kiedy tak się stanie, zwalnia się aresztanta, tłumacząc, że to było konieczne. Ostatecznie lepiej aresztować niewinną osobę niż pozwolić kryminaliście robić, co chce. Zawsze tak uważałem: do diabła ze wszystkimi, którzy głoszą libertarianizm, a nie mają zielonego pojęcia, jak wygląda prawdziwy przestępca. Wierzyłem w to święcie, dopóki nie trafiłem na komisariat w Lake Buena Vista, podejrzany o to, że znęcam się nad własnym dzieckiem. Kiedy lekarze zobaczyli na twoich prześwietleniach dziesiątki złamanych kości, a do tego zauważyli, że prawe przedramię jest łukowate, a powinno być proste - momentalnie dostali małego rozumu; jeden telefon i już o wszystkim wiedział Wydział ds. Rodziny i Opieki nad Dziećmi. Już dawno dostaliśmy od doktora Rosenblada zaświadczenie, które miało nas chronić przed aresztem, dokąd podobno trafia wielu rodziców dzieci cierpiących na OI; kiedy nie mogą udokumentować choroby, automatycznie zarzuca im się przemoc domową. Charlotte na wszelki wypadek zawsze woziła je w naszym minivanie, ale dziś musieliśmy spakować tyle rzeczy na wyjazd, że o tej jednej już nikt nie pamiętał, dzięki czemu mogliśmy sobie zobaczyć, jak wygląda komisariat i przesłuchanie.

- Zaczynjcie wreszcie myśleć! - krzyknąłem. - Moja córka się przewróciła. W miejscu publicznym. Widziało to co najmniej dziesięć osób. Dlaczego ich tutaj nie ma? Nudzi wam się, że ciągniecie ludzi po komendach?

Grałem na przemian dobrego i złego gliniarza, ale okazało się, że ani jedno, ani drugie nie działa na policjanta z innego stanu. Była sobota, a w dodatku dochodziła już północ; doktor Rosenblad mógł być nieuchwytny nawet do poniedziałku. Nie widziałem Charlotte, odkąd przywieźli nas na przesłuchanie - w takich wypadkach rozdzielamy rodziców, żeby nie mogli ustalić między sobą fałszywych zeznań. Problem w tym, że nawet gdy mówiliśmy prawdę, brzmiało to jak głupia bajeczka. Dziewczynka trafiła do szpitala z połamanymi nogami, bo poślizgnęła się na serwetce? Nie potrzeba moich dziewiętnastu lat stażu w policji, żeby coś takiego wyglądało podejrzanie.

Byłem pewny, że Charlotte odchodzi od zmysłów, nie mogąc być przy tobie, kiedy cię

boli; jeszcze straszniejsza była świadomość, że ktoś zabrał Amelię i wywiózł Bóg wie dokąd. Przypomniało mi się, że kiedyś bardzo nie lubiła spać przy wyłączonym świetle, a ja musiałem w środku nocy zakradać się do jej pokoju, żeby zgasić lampkę, kiedy już zasnęła. „Boisz się? „, zapytałem kiedyś. „Nie - odpowiedziała - tylko nie chcę niczego przegapić”. Mieszkaliśmy w New Hampshire, w Bankton, małym miasteczku, gdzie ludzie rozpoznają się w samochodach i trąbią na powitanie, a ekspedientka w sklepie spożywczym, kiedy zapomni się karty kredytowej, pozwala wziąć jedzenie i zapłacić przy następnych zakupach. Co bynajmniej nie oznacza, że brudna strona życia jest tam czymś nieznanym: policjanci wiedzą, że za białymi parkanami i lśniącymi drzwiami czają się wszelkie wyobrażalne okropieństwa: powszechnie szanowani obywatele maltretują swoje żony, szkolni prymusi ćpają na potęgę, nauczyciele ściągają z sieci dziecięcą pornografię. Ale ja swoją pracę w policji rozumiałem po części tak, że cały ten syf zostawiam w komendzie, żebyście wy - ty i Amelia - mogły sobie rosnąć w błogiej niewiedzy. A tymczasem co się stało? Na Florydzie policja zabrała wam rodziców ze szpitala, tak jak stali. Amelia trafiła do jakiegoś ośrodka opiekuńczego. Ile złych wspomnień miały was kosztować te głupie, poronione wakacje?

Po dwóch rundach przesłuchania detektyw dał mi spokój. Znałem tę metodę: zostawić gościa, niech zmięknie. Tylko najpierw musiał wyciągnąć ze mnie tyle, żebym potem dał się zastraszyć i przyznał się, że to ja połamane ci nogi.

Bardzo chciałem wiedzieć, czy Charlotte jest w tym budynku, na przesłuchaniu czy może już w areszcie. Musieli nas aresztować, żeby zatrzymać na noc, a podstaw do tego bynajmniej nie brakowało. Świeże obrażenia odniesione tutaj, na Florydzie, w połączeniu ze starymi, które uwidoczniło prześwietlenie - to już było dość, aby domniemywać przestępstwo. Żeby nas wypuścili, ktoś musiał potwierdzić wyjaśnienia, których udzieliliśmy. A, do diabła z tym, pomyślałem. Mam dość tego czekania. Jestem wam potrzebny - tobie i twojej siostrze.

Wstałem i walnąłem pięścią w lustro, zza którego - byłem tego pewien - obserwował mnie przesłuchujący.

Detektyw wrócił do salki. Był chuderlawy, miał rude włosy i pryszcze; na pewno nie skończył jeszcze trzydziestu lat. Ja ważyłem sto dwa kilo - same mięśnie - przy wzroście metr dziewięćdziesiąt. Od trzech lat regularnie wygrywałem nieoficjalne zawody w podnoszeniu ciężarów, które urządaliśmy w wydziale przy okazji dorocznych testów sprawnościowych. Gdybym tylko zechciał, mógłbym połamać tego gościa na kawałki; ta myśl przypominała mi, z



jakiego powodu mnie tu przesłuchują.

- Zaczniemy jeszcze raz od początku, panie O'Keefe - powiedział detektyw.

- Chcę się zobaczyć z żoną.

- W tej chwili to niemożliwe.

- A może mi pan chociaż powiedzieć, jak ona się czuje?

Głos mi się załamał na tych ostatnich słowach; słysząc to, facet momentalnie zmiękł.

- W porządku - uspokoił mnie. - Jest na przesłuchaniu.

- Chcę zadzwonić.

- Nie został pan aresztowany - padła odpowiedź.

- Widzę - zaśmiałem się ironicznie.

Detektyw wskazał mi telefon stojący na środku biurka.

- Na miasto kręcimy przez dziewięć.

Rozsiadł się na krześle, krzyżując ręce na piersi - żeby było jasne, że nie mam co liczyć na prywatność.

- Zna pan numer do szpitala, gdzie leży moja córka?

- Nie może pan do niej zadzwonić.

- Dlaczego? Przecież nie jestem aresztowany - powtórzyłem jego własne słowa.

- Jest już późno. Dobry ojciec nie budzi córki po nocy. Ale pan nie jest dobrym ojcem, prawda?

- Dobry ojciec nie zostawia córki samej w szpitalu, kiedy wie, że jest przerażona i bardzo ją boli - odparowałem.

- Dokończmy nasze sprawy, to może zdąży pan jeszcze się do niej dodzwonić, zanim zaśnie.

- Nie powiem ani słowa, dopóki z nią nie porozmawiam. - Spróbowałem targu. - Ale jak poda mi pan ten numer, opiszę dokładnie, co się naprawdę dzisiaj stało.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Tę technikę też znałem. Kto robi w tym fachu tak długo jak ja, widzi po oczach, co jest prawdą, a co nie. Ciekawe, pomyślałem, co ten facet dostrzega we mnie. Może rozczarowanie sobą samym? Tatuś policjant, a nie umiał nawet zapewnić ci bezpieczeństwa.

Detektyw podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Poprosił o połączenie z twoim pokojem i przez chwilę rozmawiał cicho z pielęgniarką, która odebrała. Potem podał mi słuchawkę.

- Ma pan minutę.

Byłaś półprzytomna, bo pielęgniarka wyrwała cię ze snu. Szeptalaś cichutko jak skrzacik, który zmieściłby mi się do kieszeni.

- Willow - powiedziałem - to ja, tata.

- Gdzie jesteś? A mama?

- Przyjedziemy po ciebie, kotku. Jutro z samego rana będziemy w szpitalu. - Wiedziałem, że to się dopiero okaże, ale za nic w świecie nie pozwoliłbym, żebyś pomyślała, że cię zostawiliśmy. - Jeden czy dziesięć? - zapytałem.

To była nasza własna gra: kiedy coś sobie złamałaś, wymyślałem skalę bólu, żebyś mogła mi pokazać, jaka jesteś dzielna.

- Zero - szepnęłaś.

Ten szept był jak cios pięścią.

Powiem teraz o sobie coś, co trzeba wiedzieć: ja nigdy nie płaczę. Ostatni raz zdarzyło mi się płakać po śmierci ojca. Miałem wtedy dziesięć lat. Przyznam, że kilka razy byłem bliski łez. Na przykład kiedy się urodziłaś - i o mały włos zaraz nie umarłaś. Albo dwa lata później, kiedy musiałem patrzeć, jak od nowa uczysz się chodzić, bo złamałaś sobie biodro i przez pięć miesięcy nosiłaś gips. Albo dziś, kiedy odrywali Amelię od matki. Dobrze wiem, jak to jest, kiedy łzy ściskają za gardło, ale ktoś musi mieć siłę, żeby wam wszystkim było lżej. Tak więc wziąłem się w garść i przełknąłem łzy.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem, skarbie - poprosiłem.

To też była nasza gra: codziennie, kiedy wracałem z pracy, chwaliłaś się nową rzeczą, której się dowiedziałaś. Mówię serio, nigdy jeszcze nie widziałem, żeby dziecko tak chłonęło informacje. Twoje ciało było zawodne i psuło się na każdym kroku, ale mózg nadrabiał jego braki.

- Jedna pani pielęgniarka powiedziała mi, że serce żyrafy waży jedenaście kilo - wyrecytowałaś.

- To bardzo dużo. - Ja też siedziałem tu z ciężkim sercem; ciekawe, ile ważyło. - Posłuchaj mnie, Wills: masz się dzisiaj dobrze wyspać, żebyś jutro, kiedy po ciebie przyjedziemy, była już na chodzie.

- Obiecujesz?

Przełknąłem ślinę.

- Jasne, kotku. Pchły na noc.

Oddałem słuchawkę detektywowi.

- Wzruszające - powiedział zimnym tonem, odkładając ją na widełki. - No dobrze, zamieniam się w słuch.

Oparłem łokcie na blacie stołu.

- Przyjechaliśmy do parku. Zaraz przy bramie była lodziarnia. Willow powiedziała, że jest głodna, więc weszliśmy tam. Moja żona poszła po serwetki, Amelia wybrała stolik, a ja stanąłem z Willow w kolejce. Po chwili Amelia zauważyła coś za oknem. Willow pobiegła, żeby to zobaczyć, przewróciła się i złamała obie kości udowe. Moja córka cierpi na chorobę zwaną *osteogenesis imperfecta*. To jest wrodzona, ostra łamliwość kości. Występuje raz na dziesięć tysięcy urodzeń. Co pan jeszcze chce wiedzieć, do jasnej cholery?

- Przed godziną zeznał pan dokładnie to samo. - Detektyw rzucił na stół długopis, który trzymał w palcach. - Miał mi pan powiedzieć, co się naprawdę stało.

- Powiedziałem. Tylko że pan chce usłyszeć coś innego.

Detektyw wstał z krzesła.

- Aresztuję pana.

Następnego dnia, w niedzielę, o siódmej rano, byłem już wolny i czekałem, aż wypuszczą Charlotte. Krążyłem niecierpliwie w tę i z powrotem po poczekalni. Dyżurny sierżant, który zwolnił mnie z aresztu, stał za mną, w zakłopotaniu przestępując z nogi na nogę.

- Na pewno pan nas rozumie - mruknął. - W tej sytuacji musieliśmy zrobić to, co do nas należy.

Zacisnąłem zęby.

- Gdzie moja starsza córka?

- Już ją tutaj wiozą.

Powiedzieli mi - koleżeńska grzeczność - że Louie, nasz dyspozytor, potwierdził, że jestem policjantem z komendy w Bankton i wspomniał też, że chorujesz na wrodzoną łamliwość kości, jednak ci z Wydziału ds. Rodziny i Opieki nad Dziećmi nie chcieli wypuścić Willow bez poświadczenia dyplomowanego lekarza. Modliłem się przez pół nocy, ale ostatecznie to nie Jezus wyciągnął nas z aresztu, ale twoja mama. Charlotte oglądała serial „Prawo i porządek”, więc zażądała telefonu od razu, kiedy policjant odczytał jej prawa. Co dziwne, nie zadzwoniła do ciebie, tylko do Piper Reece, swojej najlepszej przyjaciółki.

Lubię Piper, naprawdę. Uwielbiam ją wręcz, Bóg mi świadkiem. Za co? A za to, że jakimś cudem udało jej się dodzwonić do Marka Rosenblada o trzeciej nad ranem (w niedzielę) i namówić go, żeby skontaktował się ze szpitalem, gdzie leżałaś. Gdyby nie ona, nie miałbym też żony - bo to właśnie dzięki niej i Robowi poznałem Charlotte. Jednak wdzięczność wdzięcznością, lecz czasami Piper... trochę przesadzała. Była inteligentna, ale przemądrzała, chociaż najczęściej okazywało się, że jednak ma rację, co bywało dołujące. Kiedy kłóciłem się z twoją mamą, to z reguły o coś, co Piper wbiła jej do głowy. Chodziło o to, że do niej arogancja i pewność siebie jak najbardziej pasowały, natomiast do Charlotte już mniej, przez co miałem wrażenie, że oglądam dziewczynkę, która dla zabawy założyła bluzkę mamusi. Moja żona jest spokojniejsza, bardziej tajemnicza; zamiast manifestować swoje atuty tak, żeby aż biły w oczy, woli odkrywać je tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa. Piper zawsze pierwsza zwracała na siebie uwagę: krótkie blond włosy ostrzyżone na chłopaka, nogi do samej ziemi, szeroki uśmiech - ale to o Charlotte się myślało następnego dnia i jeszcze później. Chociaż z drugiej strony zwolnienie z aresztu w Lake Buena Vista zawdzięczałem właśnie tej obcesowej zawziętości, która czasem sprawiała, że z Piper naprawdę trudno było wytrzymać. A to, jak przypuszczam, oznacza, że w ostatecznym rozrachunku mam jednak za co jej dziękować.

Nagle drzwi do poczekalni stanęły otworem i zobaczyłem Charlotte - oszołomioną, bladą, z twarzą przeciętą brązowymi kosmykami, które wyrwały się spod gumki do włosów.

- Liczę do dziesięciu - zapowiedziała groźnym tonem eskortującemu ją policjantowi - i jeśli nie zobaczę tutaj Amelii, to przysięgam, że...

Boże, jak ja kocham twoją mamę. W najważniejszych sprawach myślimy dokładnie tak samo.

Charlotte zauważyła mnie i przerwała swoją gniewną tyradę.

- Sean! - Rzuciła mi się na szyję.

Chciałbym, żebyś mogła się przekonać, jakie to uczucie odnaleźć cząstkę siebie, właśnie tę, której brakuje, tę, która daje siłę. Dla mnie ten element to Charlotte. Jest niska, ledwie metr pięćdziesiąt siedem, ale jej toczone krągłości (ma kompleks na ich punkcie, bo Piper idealnie mieści się w ubrania rozmiaru S) kryją niezłą niespodziankę: silne mięśnie wyrobione najpierw przez lata noszenia worków z mąką - Charlotte była kierownikiem cukierni - a potem ciebie i twojego ekwipunku.

- Wszystko w porządku, kochanie? - mruknąłem, zanurzając twarz w jej włosach.

Pachniała jabłkami i olejkiem do opalania. Jeszcze na lotnisku kazała nam wszystkim się wysmarować - „dla bezpieczeństwa”.

Nie odpowiedziała, kiwnęła tylko głową przyciśniętą do mojej piersi.

Usłyszeliśmy cienki krzyk; Amelia biegła do nas od drzwi.

- Zapomniałam - chlipnęła. - Mamo, zapomniałam zabrać tego zaświadczenia.

Przepraszam. Przepraszam.

- To nie jest niczyja wina. - Przyklęknąłem, żeby obetrzeć jej łzy z policzków. - Chodźmy już stąd.

Dyżurny zaproponował, że odwiozą nas do szpitala radiowozem, ale kazałem mu zadzwonić po taksówkę; a niech ich wszystkich zjedzą zbiorowe wyrzuty sumienia za brak umiejętności oceny sytuacji. Kiedy taksówka zajechała pod komendę, ruszyliśmy do drzwi, razem, zwartą grupą. Puściłem Charlotte i Amelię przodem, a sam wsiałem na końcu.

- Do szpitala - powiedziałem kierowcy, zamykając oczy i opierając głowę na miękkim zagłówku.

- Dzięki Bogu - westchnęła twoja mama. - Dzięki Bogu, że to już koniec.

- To jeszcze nie koniec. - Nawet nie zadałem sobie trudu, żeby otworzyć oczy. - Ktoś za to zapłaci.

## Charlotte

Dość powiedzieć, że powrót do domu nie należał do przyjemności. Założyli ci gips typu „żabka”, czyli bez wątpienia jedno z najwymyślniejszych narzędzi tortur, jakie zrodziła medycyna. Sięgał od żeber po kolana, unieruchamiając cię w pozycji pólężącej (bo tylko taka gwarantowała zrost), z nogami rozłożonymi szeroko, aby kości udowe ustawiły się prawidłowo. Powiedziano nam, że:

1. Będziesz nosić ten gips przez cztery miesiące.
2. Po upływie tego czasu gips zostanie rozcięty na pół i przez kolejnych kilka tygodni będziesz w nim tkwić jak ostryga w otwartej muszli, ćwicząc mięśnie brzucha, żeby móc siedzieć prosto.
3. Nieduży otwór wycięty w gipsie na wysokości brzucha pozwoli żołądkowi rozciągać się podczas jedzenia.
4. Drugi otwór, pozostawiony pomiędzy nogami, umożliwi ci korzystanie z łazienki.

Nie powiedziano nam natomiast następujących rzeczy:

1. Nie będziesz mogła ani usiąść całkiem wyprostowana, ani położyć się w pozycji horyzontalnej.
2. Podczas podróży powrotnej w samolocie nie zmieścisz się w normalnym fotelu.
3. Nie położysz się nawet na tylnym siedzeniu samochodu.
4. Przez długi czas nie będziesz mogła usiąść wygodnie w wózku inwalidzkim.
5. Na tak wielki gips nie wejdzie żadne z twoich ubrań.

Dlatego właśnie nie wyjechaliśmy z Florydy od razu. Wynajęliśmy duży rodzinny samochód z trzema rzędami siedzeń. Amelia usiadła na samym tyle, a ty miałaś dla siebie cały środek. W supermarkecie nakupiliśmy koców do wysłania kanapy oraz męskie T-shirty i bokserki, na tyle obszerne, że można je było naciągnąć na gips, a luz zebrać i związać gumką do włosów; na pierwszy rzut oka mogły udawać zwykłe szorty. Nie był to żaden szczyt mody, ale przynajmniej miałaś zasłonięte krocze - a gips typu „żabka” unieruchamia nogi w szerokim rozwarciu.

Dopiero wtedy ruszyliśmy w długą podróż do domu.

Zasnęłaś; leki przeciwbólowe, które dali ci w szpitalu, nie przestały jeszcze działać. Amelia dla rozrywki rozwiązywała łamigłówki, przerywając tylko po to, żeby zapytać mnie, czy

jeszcze daleko. Jedliśmy w barach z okienkami dla zmotoryzowanych, bo nie mogłabyś usiąść przy stole.

Po siedmiu godzinach jazdy Amelia zaczęła się wiercić na tylnym siedzeniu.

- Pani Grey zawsze po wakacjach zadaje nam wypracowanie, w którym trzeba opowiedzieć, co fajnego się robiło. Ja opiszę, jak się uczyliście sadzać Willow na sedesie.

- Ani mi się waż - ostrzegłam.

- Muszę, bo inaczej nie będę miała o czym pisać.

- Może zatrzymamy się po drodze w jakimś fajnym miejscu - zaproponowałam. -

Przejeżdżamy przez Memphis, więc możemy zwiedzić Graceland... A może Waszyngton?

- A może pojedziemy prosto do domu i niech to się już skończy? - odpowiedział Sean.

Spojrzałam na niego. Było ciemno, tylko odbłask zielonego światła z tablicy rozdzielczej kładł się dookoła jego oczu niczym maska.

- Pojedziemy do Białego Domu? - ożywiła się Amelia.

Wyobraziłam sobie skwar i duchotę Waszyngtonu o tej porze roku, a potem nas, jak tłuczemy się po schodach do Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej, dźwigając cię na rękach. Czarna szosa rozwijała się przed maską samochodu niczym wstążka ze szpulki toczącej się zbyt szybko, byśmy ją mogli pochwycić.

- Tata ma rację - powiedziałam.

Gdy wreszcie dotarliśmy do domu, okazało się, że wieść o twoim wypadku zdążyła już obieć sąsiedztwo. Na stole w kuchni leżał liścik od Piper, a w nim nazwiska wszystkich życzliwych, którzy wpadli do nas z jakimiś domowymi przysmakami. Piper schowała je do lodówki, stosując następujący system znakowania: pięć gwiazdek- to zjedzcie najpierw, trzy gwiazdki - lepsze niż konserwa, jedna - uwaga, botulizm! Dzięki tobie nauczyłam się już dawno, że ludzie, kiedy chcą być mili, wolą przynieść blachę z zapiekany makaronem i serem, natomiast jak ognia unikają osobistego zaangażowania. Wręczasz półmisek i z głowy - w nic nie musisz się mieszać, a sumienie masz czyste. Żywność to ekwiwalent pomocy.

Bez przerwy ci albo tamci mnie pytają, jak sobie radzę, jak się czuję, ale tak naprawdę nikt nie chce tego wiedzieć. Patrzą tylko na twoje ciało tkwiące w gipsie: jaskrawopomarańczowym, rażąco różowym albo w panterkę. Przyglądają się, jak wyjmuję z samochodu twój balkonik, z nogami zabezpieczonymi piłkami do tenisa: z jego pomocą możemy dreptać sobie wolniutko po ścieżce, zostawiając za plecami ich własne dzieci bujające się na

drabinkach albo grające w zbijaka. Dla nich to normalka, dla ciebie - gwarancja złamania. Uśmiechają się do mnie, ponieważ tak każe im grzeczność albo polityczna poprawność, ale w myślach powtarzają bez przerwy: „Dzięki Bogu. Dzięki Bogu, że to spotkało ją, a nie mnie”.

Twój tata mówi, że jestem niesprawiedliwa, osądzając ludzi w ten sposób. Że czasami ci, którzy pytają, jak sobie radzę, szczerze chcą mi pomóc. Odpowiadam mu wtedy, że gdyby naprawdę chcieli coś dla mnie zrobić, to nie wciskaliby mi zapiekane z makaronem, tylko zabraliby Amelię na przykład na zbieranie jabłek albo na łyżwy, żeby mogła wyjść sobie z domu, kiedy ty nie możesz, ewentualnie pomogliby oczyścić rynny, które po burzy zawsze się zatykają. A gdyby naprawdę chcieli wybawić mnie od kłopotów, zadzwoniliby w moim imieniu do naszej firmy ubezpieczeniowej i sami przez bite cztery godziny wyklócaliby się o odszkodowanie.

Sean nie widzi, że ludzie, którzy ofiarowują nam pomoc, nie robią tego dla nas, tylko dla siebie, bo to im poprawia samopoczucie. Szczerze mówiąc, wcale nie mam im tego za złe. To taki przesąd: jeśli przyjdiesz z pomocą potrzebującej rodzinie... jeśli rzucisz szczyptę soli przez ramię... jeśli będziesz patrzeć pod nogi, to może nie spotka cię nic złego. Może nawet zdołasz uwierzyć, że los oszczędzi ci tego, co stało się moim udziałem.

Żeby było jasne: ja bynajmniej nie narzekam. Ludzie patrzą na mnie i myślą: „Biedna kobieta, ma upośledzone dziecko”. Ale ja, kiedy patrzę na ciebie, widzę dziewczynkę, która w wieku trzech lat umiała na pamięć całą „Bohemian Rhapsody” Queen, która zawsze chce spać ze mną, kiedy jest burza - wcale nie dlatego, że się boi, tylko dlatego, że ja się boję - i której śmiech od samego początku wprawiał moje ciało w wibracje, jakbym była kamertonem. Za nic nie chciałabym mieć zdrowego, sprawnego dziecka, bo to dziecko mogłoby nie być tobą, ale zupełnie kimś innym.

Następnego dnia przez pięć godzin dyskutowałam przez telefon z firmą ubezpieczeniową. Nasza polisa nie obejmowała przejazdów karetką, jednak według zasad przyjętych w szpitalu na Florydzie pacjent w gipsie typu „żabka”, aby zostać wypisanym, musi opuścić szpital w karetce. Typowe błędne koło, choć, jak się okazało, tylko dla mnie; rozmowa na ten temat przypominała najprawdziwszy teatr absurdu.

- Nie wiem, czy do końca pana rozumiem - oznajmiłam czwartemu z kolei agentowi, z którym miałam tego dnia przyjemność.

- Chce mi pan powiedzieć, że nie musiałam wzywać karetki, więc firma nie pokryje kosztów przejazdu.



- Zgadza się, proszę pani.

Siedziałaś na kanapie, podparta poduszkami i kolorowymi mazakami malowałaś sobie paski na gipsie.

- Proszę mi zatem powiedzieć, co innego mogłam zrobić w takiej sytuacji.

- Najprawdopodobniej mogła pani zostawić pacjentkę w szpitalu.

- Czy pan nie rozumie, że taki gips zakłada się na kilka miesięcy? Miałam może trzymać córkę w szpitalu, dopóki go jej nie zdejmą?

- Nie, proszę pani. Tylko do momentu załatwienia transportu i wypisania.

- Przecież o to właśnie chodzi, że nie wypisaliby jej, gdybyśmy nie zamówili karetki! - powiedziałam. Twoja noga zaczęła przypominać biało-czerwony słupek drogowy. - Czy polisa pokryłaby dodatkowy pobyt w szpitalu?

- Nie, proszę pani. Maksymalna liczba refundowanych dób szpitalnych w wypadku takich obrażeń wynosi...

- Wiem, już o tym mówiliśmy. - Westchnęłam.

- Moim zdaniem - powiedział cierpko agent - nie ma pani powodu do niezadowolenia. I tak musiałaby pani zapłacić, a prywatna wycieczka karetką jest tańsza niż pobyt w szpitalu.

Poczułam, że policzki mi płoną.

- A pan, moim zdaniem, jest pieprzonym idiotą! - wrzasnęłam, rzucając słuchawką.

Odwróciłam się i natychmiast wpadł mi w oko mazak wysuwający się z twojej dłoni, który zawisł tuż nad siedzeniem kanapy, niebezpiecznie blisko obicia. Byłaś skręcona jak obwarzanek: dolna część tułowia i nogi unieruchomione gipsem, głowa odwrócona do okna.

- Karny słoik - mruknęłaś.

Sean płacił dwadzieścia pięć centów za każde przekleństwo, które wyrwało mu się przy tobie. Zbierałaś monety do słoika oklejonego błyszczącym papierem. W tym miesiącu wpadły ci tam już całe czterdzieści dwa dolary, bo podliczałaś nas przez całą drogę z Florydy do domu. Wrzuciłam więc do stojącego pod ręką słoika wygrzebaną z kieszeni ćwierćdolarówkę, ale nie patrzyłaś na mnie; wyglądałaś przez okno, śledząc wzrokiem Amelię śmigającą na łyżwach po zamrożonej sadzawce na skraju trawnika.

Twoja siostra nauczyła się jeździć na łyżwach, kiedy miała... cóż, tyle lat, co ty. Dwa razy w tygodniu chodziła na treningi razem z Emmą, córką Piper, a twoim największym marzeniem było ją naśladować. Tymczasem łyżwiarstwo to dla ciebie sport absolutnie zakazany. Już raz

bawiłaś się w lodowisko: zrobiłaś jaskółkę w skarpetkach na kuchennym linoleum i skończyło się to złamaną ręką.

- Jak dalej będziemy z tatą tak kłąć, to niedługo będzie cię stać na bilet lotniczy i polecisz sobie w świat - zazartowałam, żebyś przestała patrzeć w to okno. - Dokąd się wybierzesz? Może do Vegas?

Odwróciłaś głowę.

- To by było głupie. Żeby grać w blackjacka, muszę mieć skończone dwadzieścia jeden lat.

Sean nauczył cię grać w blackjacka, a także w kierki i w pokera: dobieranego i Texas Hold'em. Byłam przerażona, dopóki nie zrozumiałam, że wielogodzinne granie w wojnę nie jest zabawą ani rozrywką, tylko torturą.

- A więc na Karaiby - domyśliłam się.

Jakbym nie wiedziała, że nigdy nie będziesz mogła swobodnie podróżować, a każdy wyjazd będzie ci przypominać tegoroczną wycieczkę do Disneylandu.

- Chciałam kupić trochę książek. Na przykład bajki doktora Seussa. „Kot Prot” i te inne.

Umiałaś czytać na poziomie szóstej klasy, gdy tymczasem twoi rówieśnicy z trudem dukali abecadło. Była to jedna z niewielu zalet twojej choroby: kiedy nie mogłaś chodzić, siedziałaś z nosem w książce albo buszowałaś po Internecie. Doszło nawet do tego, że Amelia, kiedy chciała ci dogryźć, przezywała cię „Wikipedia”.

- Bajki doktora Seussa? - zdziwiłam się. - Naprawdę?

- To nie dla mnie. Moglibyśmy je wysłać do tego szpitala na Florydzie. Tam mają tylko jakieś czytanki dla przedszkolaków. To już się strasznie nudzi za piątym albo szóstym razem.

Zaniemówiłam. Podczas gdy ja z całych sił starałam się wyrzucić z pamięci tamten głupi szpital, kiedy chciało mi się wyc na samą myśl o tym koszmarnym galimatiasie z ubezpieczeniem i piekielnej katordze, jaką będą dla ciebie cztery miesiące w gipsowych spodniach - ty zdążyłaś już to wszystko przełknąć. Owszem, miałaś wszelkie prawo uważać się nad sobą, ale nigdy z niego nie korzystałaś. Czasami wręcz wydawało mi się, że ludzie gapią się na ciebie nie z powodu kalectwa, lecz ponieważ dostrzegają w tobie zdolności, o których sami mogą tylko pomarzyć.

W tym momencie po raz kolejny odezwał się telefon; przez ułamek sekundy widziałam oczyma duszy samego dyrektora firmy ubezpieczeniowej, który dzwoni, aby osobiście nas

przeprzeć. Jednak była to tylko Piper; zażądała sprawozdania.

- Zły moment? - zapytała.

- Tak jakby - przyznałam. - Spróbuj za kilka miesięcy.

- Bardzo ją boli? Dzwoniłaś do Rosenblada? Gdzie Sean?

- Bardzo, nie dzwoniłam, a Sean jest w pracy, skąd, mam nadzieję, przyniesie dość pieniędzy, żeby zapłacić za wakacje, których nie mieliśmy.

- Dobrze, w takim razie ja zabiorę jutro Amelię na trening, razem z Emmą. Będziesz miała jedno zmartwienie z głowy.

Z głowy? Zmartwienie? Nawet nie wiedziałam, że Amelia ma jutro trening. Jej treningi po prostu nie figurowały w moim rozkładzie zajęć.

- Coś ci potrzeba? - zapytała Piper? - Zakupy? Benzyna? A może Johnny Depp?

- Chciałam cię poprosić o coś na depresję... Ale Johnny może być.

- Tak właśnie myślałam. Masz męża jak Brad Pitt - tylko lepiej zbudowanego - a marzy ci się uduchowiony artysta z długimi włosami.

- Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma - odparłam, patrząc jednym okiem, jak usiłujesz ustawić sobie na kolanach starego laptopa, który wciąż się zsuwał z gipsu. Podłożyłam poduszkę i stanął jak na stole. - Niestety, tu, gdzie akurat jestem, panuje w tej chwili dość ponura atmosfera.

- Czekać, muszę kończyć. Pacjentka mi rodzi i chyba widać już główkę.

- Gdybyś płaciła dolara za każdym razem, kiedy to od ciebie słyszę...

Piper parsknęła śmiechem.

- Charlotte - poradziła - otwórz się trochę.

Odłożyłam słuchawkę.

- Co robisz? - zapytałam, widząc, jak stukasz zawzięcie dwoma palcami w klawiaturę.

- Zakładam gupikowi Amelii konto na Gmailu - odpowiedziałaś.

- To mu się raczej nie przyda...

- Dlatego właśnie poprosił o to mnie, a nie ciebie...

„Otwórz się trochę”.

- Willow - powiedziałam - wyłącz tego laptopa. Idziemy na łyżwy.

- Żartujesz. - Nie.

- Przecież mówiłaś...

- Chcesz się ślizgać czy dyskutować?

W odpowiedzi uśmiechnęłaś się promiennie; takiej radości nie widziałam u ciebie od czasu tego wyjazdu na Florydę. Naciągnęłam sweter i buty, a potem ubrałam ciebie. Na górę poszedł mój zimowy płaszcz, nogi owinęłam ci dwoma kocami i tak przygotowaną posadziłam sobie na biodrze. Byłaś filigranowa i lekka jak piórko, ale w tym gipsie ważyłaś pełne dwadzieścia cztery kilo.

Gips typu „żabka” do jednego nadaje się wręcz idealnie: w niczym lepiej nie nosi się dziecka na biodrze. Mogłaś się nawet trochę odchylić, a i tak bez problemu utrzymywałam cię jedną ręką. Precyzyjnie się przez korytarz, wyszliśmy przed dom.

Widząc, jak lawirujemy żółwim tempem pomiędzy zaspami i zamrzniętymi kałużami, Amelia przestała kręcić kółka na lodzie.

- Będę jeździć na łyżwach! - oznajmiłaś śpiewnym trellem. Twoja siostra spojrzała na mnie pytająco.

- Dobrze słyszałaś - potwierdziłam.

- Dajesz jej jeździć na łyżwach - powtórzyła Amelia. - A kto chciał, żeby tata zasypał tę sadzawkę? Mówiłaś, że dla Willow to jest jak kara, okrutna i wymyślna.

- Otwieram się.

- Co robisz?

Delikatnie posadziłam cię na lodzie, owinawszy dodatkowy koc dookoła bioder.

- Amelia - powiedziałaś - musisz mi teraz pomóc. Pilnuj jej - nie spuszczaaj z niej oka. Ja skoczę po moje łyżwy.

Pobiegłam z powrotem do domu, zatrzymując się tylko raz, na progu, chcąc się upewnić, że Amelia patrzy, co robisz, tak jak ją prosiłam. Moje łyżwy leżały gdzieś na samym dnie skrzyni na buty w przedpokoju; nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miałam je na nogach. Węzeł na sznurówkach łączył je jak parę kochanków. Zarzuciwszy łyżwy na ramię, zabrałam fotel na kółkach, stojący przy biurku z komputerem, a po wyjściu z domu odwróciłam go i uniosłam wysoko, opierając sobie na głowie. Przypomniały mi się Afrykanki w jaskrawych spódnicach, noszące w ten sposób worki z ryżem albo kosze pełne owoców - pożywienie dla swoich rodzin.

Dotarłszy tak nad sadzawkę, ustawiłam fotel na lodzie, odchylając oparcie w tył i rozsuwając poręcz, żebyś mogła zmieścić się tam w gipsie. Wreszcie podniosłam cię z lodu i

usadziłam na siedzeniu pokrytym miękką siateczką, sama zaś przysiadłam, żeby zawiązać sznurówki.

- Trzymaj się, Wiki - powiedziała Amelia, a gdy zacisnęłaś palce na poręczach, stanęła za fotelem i odepchnęła się łyżwami od lodu. Koce na twoich nogach wyduły się jak żagle.

- Ostrożnie! - zawołałam na Amelię. Ale ona była ostrożna. Przechylona przez oparcie, przytrzymała cię jedną ręką na siedzeniu i mknęła po lodzie coraz szybciej. Nagle szybkim rzutem ciała zmieniła pozycję; jechała teraz przodem do ciebie, ciągnąc fotel za poręcze.

Odrzuciłaś głowę w tył i zamknęłaś oczy. Amelia zakręciła z tobą kółko na lodzie. Spod wełnianej czapki w paski wysypywały się jej ciemne loki; twój śmiech łopotał w powietrzu niczym barwna flaga.

- Mamo! - zawołałaś. - Patrz!

Stanęłam chwiejnie na drżących nogach.

- Czekajcie na mnie - powiedziałam, z każdym krokiem nabierając pewności.

## Sean

Pierwszego dnia po powrocie z urlopu znalazłem w szatni mój mundur, świeżo z pralni. Obok niego wisiał list gończy z moim zdjęciem, przekreślony czerwonym napisem: zatrzymany.

- Świetny żart - mruknąłem, drąc go na kawałki.

- Panie O'Keefe! - Jeden z kolegów podszedł do drugiego, udając dziennikarza i podsunął mu pod nos zaciśniętą pięść, jakby trzymał w niej mikrofon. - Gratuluję wygranej w Super Bowl! Co teraz pan zrobi?

Triumfalny wymach rąk.

- Jadę do Disneylandu!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Dziewczyna z biura podróży dzwoniła do ciebie! - zawołał jeszcze któryś. - Na następny urlop chce cię wysłać do Guantanamo.

Kapitan uciszył chłopaków, podszedł do mnie.

- Sean, wiesz chyba, że tak się tylko z tobą drażnimy. Jak się czuje Willow?

- W porządku.

- Jeśli możemy wam jakoś pomóc... - Reszta niedokończonego zdania rozwiła się jak dym.

Skrzywiłem się, co miało oznaczać, że bawią mnie ich żarty i wcale nie czuję się pośmiewiskiem całej komendy.

- Nie macie nic do roboty, chłopaki? - zapytałem. - A może szkolili was na Florydzie?

Skwitowali to gromkim śmiechem i wysypali się z szatni, zostawiając mnie, żebym się przebrał. Trzasnąłem pięścią w drzwiczki mojej szafki. Odskoczyły, a ze środka wyfrunęła karteczka - znowu moje zdjęcie, tym razem z dorysowanymi uszami Myszki Miki i podpisem: „Hakuna matata”.

Zamiast się przebrać, poszedłem do dyżurki dyspozytora i zdjąłem z półki książkę telefoniczną. Rozłożywszy ją, zacząłem przeglądać drobne ogłoszenia, aż nie znalazłem nazwiska, o które mi chodziło, setki razy widywanego późną nocą w telewizyjnych reklamówkach: „Robert Ramirez, pełnomocnik powodów. Twoje sprawy w najlepszych rękach. Zaslugujesz na to”.

Zasluguję na to, zgodziłem się w myślach. I moja rodzina też.

Wykręciłem więc ten numer.

- Dzień dobry - powiedziałem do słuchawki. - Chciałbym się umówić na rozmowę.

Miałem w domu funkcję nocnego strażnika. Gdy ty i twoja siostra już spałyście, a Charlotte, wykąpana, leżała w łóżku, ja wyłączałem światła, zamykałem drzwi na klucz i robiłem ostatni obchód. Odkąd założyli ci ten gips, tymczasowo rezydowałeś na kanapie w dużym pokoju na parterze. Wyleciało mi to z głowy i już chciałem wyłączyć nocną lampkę w kuchni, lecz przypomniawszy sobie w porę, zostawiłem światło włączone. Podeszedłem do kanapy, żeby pocałować cię w czoło i okryć kocem po samą brodę.

Ruszyłem na górę i zajrząwszy do Amelii, wróciłem do naszej sypialni. Charlotte była w łazience; owinięta ręcznikiem, myła zęby. Włosy miała mokre. Stałem za nią, kładąc jej dłonie na ramionach i nawinałem sobie na palec jeden wilgotny kosmyk.

- Strasznie to fajne - mruknąłem, przyglądając się, jak rozprostowany lok zwija się z powrotem w serpentynę, taką samą jak przedtem. - Twoje włosy mają własną pamięć.

- Prędszej własną wolę - odpowiedziała, potrząsając głową, a potem pochyliła się, aby przepłukać usta. Gdy się wyprostowała, pocałowałem ją.

- Miętowa świeżość - oznajmiłem.

- Co jest? - zaśmiała się. - Kręcimy reklamówkę dla Blend-a-Medu?

Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze. Zawsze chciałem wiedzieć, czy Charlotte widzi we mnie to samo, co ja w sobie widzę. Albo, jeśli już o tym mowa, czy zauważyła, że zaczynam lekko łysieć na ciemieniu.

- Czego chcesz? - spytała.

- Skąd wiesz, że czegoś chcę?

- Stąd, że jesteśmy siedem lat po ślubie?

Poszedłem za nią do sypialni, patrząc, jak rozwija się z ręcznika i wkłada koszulkę do spania, za dużą o kilka numerów. Wiem, że nie chciałabyś o tym słyszeć - które dziecko by chciało? - ale jedną z wielu rzeczy, które uwielbiałem u twojej mamy, było to, że nawet po siedmiu latach małżeństwa, gdy przebierała się na moich oczach, to wciąż odwracała się wstydliwie, tak jakbym nie znał na pamięć każdego skrawka jej ciała.

- Chciałbym jutro zabrać ciebie i Willow w jedno miejsce - powiedziałem. - Do kancelarii prawniczej.

Charlotte opadła na posłanie.

- Po co?

Z wysiłkiem dobrałem słowa, mające wyrazić uczucia, które musiały starczyć za wyjaśnienie.

- To, jak nas potraktowali... Aresztowanie... To nie powinno im ująć bezkarnie. Nie mogę na to pozwolić.

Otworzyła szeroko oczy.

- Przecież to ty chciałeś jak najszybciej wrócić do domu i mieć to już za sobą.

- Fakt, ale wiesz, jak za to zapłaciłem dzisiaj w pracy? Cały wydział się ze mnie śmieje. Już zawsze będę dla nich policjantem, który dał się aresztować. W tej pracy nie mam nic oprócz reputacji, a tamci mi ją odebrali. - Umilkłem, siadając obok Charlotte. Wahałem się. Każdego dnia broniłem prawdy, ale samemu mówić szczerze - to już nie zawsze mi się uśmiechało, zwłaszcza kiedy musiałem się w ten sposób odsłonić. - Odebrali mi rodzinę. Siedziałem w tej celi, myślałem o tobie, o Amelii, o Willow i marzyłem tylko o jednym: zrobić komuś krzywdę. Stać się tym, kogo tamci i tak już we mnie widzieli.

Charlotte uniosła wzrok i spojrzała mi w oczy.

- Tamci? A kto to właściwie jest?

Splotłem palce z jej palcami.

- Tego, mam nadzieję - odparłem - dowiemy się od adwokata.

Ściany poczekalni w kancelarii Roberta Ramireza były obwieszane starymi, zrealizowanymi czekami, które głośno mówiły o sumach, jakie otrzymali jego klienci w ramach ugody sądowej. Założywszy ręce za siebie, przechadzałem się powoli, zerkając to tu, to tam: „Wypłata w kwocie 350 000 USD”. „1 200 000 USD”. „890 000 USD”. Amelia oglądała automat z kawą, zmyślną maszynkę serwującą różne smaki; wystarczyło wstawić kubek i nacisnąć przycisk.

- Mamo - zapytała - mogę się napić?

- Nie - odpowiedziała Charlotte, która siedziała z tobą na kanapie; musiała cię przytrzymywać, żebyś nie ześlizgnęła się ze sztywnego skórzanego obicia.

- Ale tu jest też herbata. I kakao.

- Powiedziałam: nie!

Sekretarka prawnika wyszła zza biurka.

- Pan Ramirez zaprasza państwa do siebie.



Wzięłem cię na rękę, sadzając sobie na biodrze, i ruszyliśmy korytarzem. Sekretarka zaprowadziła nas do sali konferencyjnej za ścianą z matowego szkła. Otworzyła nam drzwi, ale musiałem wnieść cię bokiem - inaczej nogi nie zmieściłyby ci się w przejściu. Nie spuszczałem wzroku z Ramireza, chcąc zobaczyć, jak zareaguje na twój widok.

- Witam, panie O'Keefe - powiedział prawnik, wyciągając do mnie rękę.

Podąłem mu dłoń.

- Moja żona Charlotte i córki: Amelia i Willow.

- Witam panie. Briony - Ramirez zwrócił się do sekretarki - możesz przynieść kredki i kilka książeczek do kolorowania?

Amelia, schowana za moimi plecami, prychnęła cicho. Wiedziałem, co teraz myśli: facet chyba się kompletnie nie zna na rzeczy, bo książeczki do kolorowania są dla małych dzieci, a nie dla dziewczyn, które zaczynają już przymierzać biustonosze.

- Setna miliardowa kredka wyprodukowana przez firmę Crayola była w kolorze fioleto-woniebieskim - powiedziałaś.

Ramirez uniósł brwi.

- Dobrze to wiedzieć - odparł. - Państwo pozwolą, że przedstawię - wskazał kobietę stojącą obok niego - moja współpracownica, Marin Gates.

Z wyglądu - klasyczna prawniczka. Włosy spięte spinką, granatowy kostium. Byłaby całkiem ładna, ale mimo wszystko coś mi w niej jednak nie pasowało. Uznałem, że chodzi o wyraz ust; wyglądała tak, jakby przed chwilą wypluła coś ohydneho.

- Zaprosiłem Marin do udziału w spotkaniu z państwem - poinformował Ramirez. - Proszę usiąść.

Lecz zanim zdążyliśmy zająć miejsca, wróciła sekretarka. W rękę trzymała książeczkę do kolorowania, którą podała Charlotte; była to czarno-biała broszurka z dużym, drukowanym napisem na górze: robert ramirez, kancelaria prawnicza.

- Patrzcie - powiedziała twoja mama, rzucając mi miażdżące spojrzenie. - Kto by pomyślał, że są książeczki z ilustracjami karalnych obrażeń ciała?

Ramirez uśmiechnął się szeroko.

- Internet to niezwykle miejsce.

W tak wielkim gipsie nie mogłaś zmieścić się na żadnym fotelu. Po trzech nieudanych próbach dałem za wygraną, wzięłem cię z powrotem na rękę i tak zacząłem rozmowę z

prawnikiem.

- Jak możemy panu pomóc, panie O'Keefe? - zapytał.

- Sierżancie O'Keefe - poprawiłem. - Jestem funkcjonariuszem komendy w Bankton. Pracuję tam już od dziewiętnastu lat. Byliśmy niedawno na wycieczce w Disneylandzie i właśnie o tym chcę z panem porozmawiać. Jeszcze nigdy w życiu nie zaznałem tak złego traktowania. Wycieczka do Disneylandu to chyba najnormalniejsza rzecz pod słońcem, prawda? Tymczasem nie: ja z żoną spędzamy noc w areszcie, opieka społeczna zabiera mi dzieci i umieszcza w placówce zastępczej, młodsza córka zostaje sama w szpitalu, nieprzytomna ze strachu... - Nabrałem tchu. - Prawo do prywatności to rzecz absolutnie podstawowa, a tymczasem prywatność mojej rodziny naruszono w skandaliczny sposób.

Marin Gates odchrząknęła cicho.

- Rozumiem, że wciąż to pana denerwuje, panie sierżancie. Spróbujemy panu pomóc, ale musi pan zacząć od początku i nie spieszyć się tak. Dlaczego pojechaliście państwo do Disneylandu?

Wyjaśniłem jej, dlaczego tam pojechaliśmy. Opowiedziałem o twojej chorobie, o lodziarni, opisałem, jak się przewróciłaś. Nie zapomniałem ani o facetach w czarnych garniturach, którzy wyprowadzili nas z parku i wezwali karetkę, jakby chcieli się nas pozbyć jak najszybciej, ani o kobiecie, która zabrała nam Amelię, ani też o wielogodzinnych przesłuchaniach na policji, gdzie nikt nie chciał mi wierzyć. Powtórzyłem też żarciki kolegów z mojej własnej komendy.

- Muszą za to odpowiedzieć - oznajmiłem. - Chcę kogoś zaskarżyć, im szybciej, tym lepiej. Chcę, żeby dostali za swoje: i ci w Disneylandzie, i ci w szpitalu, i ci z opieki społecznej. Ktoś ma wylecieć za to z pracy i niech zapłacą odszkodowanie za ten koszmar, który nam zafundowali.

Kiedy skończyłem, twarz mi płonęła. Nie odważyłem się spojrzeć na twoją matkę; bałem się zobaczyć jej minę po tym, co powiedziałem.

Ramirez skinął głową.

- Taki proces, o jaki panu chodzi, sierżancie, to bardzo kosztowna sprawa. Każdy prawnik, który chciałby się tego podjąć, musi najpierw przeprowadzić analizę kosztów i korzyści. Muszę pana jednak uprzedzić, że nie może pan liczyć na odszkodowanie.

- Ale w pańskiej poczekalni wisi tyle czeków...

- Każdy z tamtych pozwów był oparty na uzasadnionych roszczeniach. Tymczasem z tego, co pan nam powiedział, wynika, że pracownicy Disneylandu, szpitala oraz Wydziału ds. Rodziny wykonywali tylko swoje obowiązki. Prawo zobowiązuje lekarzy do zgłaszania podejrzeń o stosowanie przemocy wobec dzieci. Policja stanu Floryda, nie otrzymawszy zaświadczenia od lekarza pańskiej córki, miała podstawy, aby państwa aresztować. Wydział ds. Rodziny i Opieki nad Dziećmi ma obowiązek chronić dzieci, zwłaszcza te, które są jeszcze bardzo małe i nie potrafią same wyjaśnić, na co chorują. Jestem pewien, że umie pan spojrzeć bez emocji na fakty, a fakty są takie: natychmiast po otrzymaniu informacji od lekarza z New Hampshire zwolniono państwa z aresztu i oddano dzieci... Jako policjant potrafi pan to właściwie ocenić. To było straszne, rozumiem. Najedliście się państwo wstydu, ale to nie jest powód, żeby iść do sądu.

- A straty emocjonalne? - Uniosłem się. - Ma pan pojęcie, co ja przeżyłem? Co przeżyły moje dzieci?

- Jestem przekonany, że to była drobnostka w porównaniu z trudami codziennej opieki nad dzieckiem z taką chorobą - odparł Ramirez. Charlotte podniosła oczy, a on uśmiechnął się do niej ze współczuciem. - Domyślałem się, że to niełatwe zadanie. - Zgarbił się, marszcząc lekko brew. - Nie wiem zbyt wiele o tej... Jak to się nazywa? Osteo...

- *Osteogenesis imperfecta* - odpowiedziała cicho Charlotte.

- Ile złamań miała Willow?

- Pięćdziesiąt dwa - odpowiedział, wyręczając mamę. - A wie pan, jakiej kości do tej pory jeszcze nikt nie złamał na nartach? Tej w uchu wewnętrznym.

- Nie wiedziałem - przyznał się Ramirez, zbity z tropu. - Macie państwo wyjątkowe dziecko.

Wzruszyłem ramionami. Byłaś sobą, po prostu. Willow, jedyna na całym świecie. Od pierwszej chwili, kiedy tylko wziąłem cię na ręce - przez gąbkę, żeby nie zrobić ci krzywdy - wiedziałem, że twoja dusza jest silniejsza niż ciało. Lekarze mówili swoje, a ja i tak zawsze wierzyłem, że to właśnie dlatego tak często sobie coś łamiesz. Bo czy zwyczajny szkielet zniesie ciężar serca wielkiego jak cały świat?

Marin Gates odchrząknęła.

- W jaki sposób Willow została poczęta?

- Lee - skrzywiła się Amelia, o której zdążyłem kompletnie zapomnieć - ale ohyda.

Potrząsnąłem głową, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Mieliśmy spore trudności - wyjaśniła Charlotte. - Zdecydowaliśmy się w końcu na in vitro, ale wtedy nagle się okazało, że jestem w ciąży.

- Jeszcze gorzej - skomentowała twoja siostra.

- Amelia! - Oddałem cię mamie i wziąłem ją za rękę, podnosząc z fotela. - Poczekasz na korytarzu - poleciłem, zniżając głos.

Kiedy wyszliśmy do poczekalni, sekretarka spojrzała na nas, ale nie powiedziała ani słowa.

- O czym im teraz powiesz? - zakpiła Amelia. - O swoich hemoroidach?

- Dość już tego. - Bardzo się starałem nie stracić panowania nad sobą przy pracownicy Ramireza. - Niedługo skończymy.

Wracając do sali konferencyjnej, usłyszałem za sobą stukot wysokich obcasów.

- Napijesz się kakao? - zapytała sekretarka Amelię.

Gdy zamknąłem za sobą drzwi, Charlotte nadal mówiła.

- ...ale miałam już trzydzieści osiem lat. Wiecie państwo, co w takim wieku wpisują wam do karty? „Starcza ciąża”. Bałam się, że urodzę dziecko z zespołem Downa. Nazwa *osteogenesis imperfecta* wtedy jeszcze nawet nie oblała mi się o uszy.

- Czy miała pani wykonaną amniopunkcję?

- Amniopunkcja nie wykaże automatycznie, że płód jest chory na OI. Kiedy w rodzinie występuje to schorzenie, wtedy trzeba brać je pod uwagę. Ale u Willow to była przypadkowa mutacja, nie dziedziczna choroba.

- A więc przed porodem nie wiedzieliście państwo, że Willow jest chora? - spytał Ramirez.

- Wiedzieliśmy, bo na drugim USG pokazały się połamane kości - odpowiedziałem mu. - Możemy już kończyć? Jeśli państwo nie chcecie tej sprawy, znajdę kogoś...

- Pamiętasz tamten dziwny szczegół na pierwszym USG? - przerwała mi Charlotte.

- Jaki dziwny szczegół? - zainteresował się prawnik.

- Radiolożka powiedziała, że obraz mózgu jest za ostry.

- Obraz nie może być „za ostry” - powiedziałem.

Ramirez i jego współpracowniczka wymienili spojrzenia.

- A co powiedział lekarz prowadzący pani ciążę?

- Nic. - Charlotte wzruszyła ramionami. - Nikt nawet nie wspomniał o *osteogenesis imperfecta* aż do dwudziestego siódmego tygodnia, kiedy na drugim USG pokazały się te wszystkie złamania.

Ramirez spojrział na Marin Gates.

- Sprawdzisz, czy tę chorobę kiedykolwiek rozpoznano tak wcześnie podczas ciąży - polecił, po czym zwrócił się z powrotem do Charlotte: - Czy zgodzi się pani przekazać nam swoją dokumentację medyczną? Musimy zebrać informacje, żeby stwierdzić, czy istnieje przyczyna wniesienia powództwa...

- Mówił pan, że nie możemy iść z tym do sądu - przypomniałem mu.

- Z tym nie, sierżancie. - Robert Ramirez spojrział na ciebie, jakby chciał wbić sobie w pamięć twoje rysy. - Ale z czym innym... niewykluczone.

## Marin

Dwanaście lat temu, kiedy nie miałam zielonego pojęcia, co ze sobą zrobić po ukończeniu szkoły średniej, usiadłam z mamą przy stole w kuchni (wróć jeszcze do tej rozmowy) i powiedziałam jej tak:

- Nie wiem, kim chcę zostać.

Był to szczyt ironii, ponieważ zasadniczo nie wiedziałam też, kim tak naprawdę jestem. Kiedy skończyłam pięć lat, rodzice powiedzieli mi, że zostałam adoptowana; to słowo stanowi politycznie poprawny termin na określenie osoby, która nie wie, skąd się wzięła.

- A co chciałabyś robić? - zapytała mama, pociągnawszy łyk kawy. Piła zawsze czarną - ja z mlekiem i cukrem. Ta i setki innych różnic między nami nieodmiennie nasuwały mi na myśl pytania, nigdy niewypowiedziane na głos: czy moja biologiczna matka też pije kawę z mlekiem i cukrem? Czy ma, tak jak ja, niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe, czy też jest leworęczna?

- Lubię czytać - odpowiedziałam, po czym przewróciłam oczami. - To głupie.

- Lubisz się też kłócić.

Skwitowałam to lekkim uśmieszkiem.

- Książki i kłótnie. Skarbie - mama rozpogodziła się nagle - jesteś urodzonym prawnikiem.

Przeskakujemy dziewięć lat w przód: dostaję wezwanie do ginekologa - nieprawidłowy wynik cytologii. Czekając, aż zjawi się lekarz, myślałam o wszystkim, co ominęło mnie w życiu: o dzieciach, do których mi się nie spieszyło, bo zawsze byłam zajęta, jak nie studiami, to karierą; o randkach, na które się nie umawiałam, zajęta przygotowywaniem publikacji do przeglądu prawniczego; o domu na wsi, którego nie kupiłam, bo pracowałam do późna i zwyczajnie nie miałabym czasu, aby cieszyć się górskim widokiem i przestronnym tarasem z drewna tekowego.

- Czy w rodzinie zdarzały się podobne choroby? - zapytał mój ginekolog, a ja odpowiedziałam standardowo:

- Nie wiem, byłam adoptowana.

Ostatecznie okazało się, że nic mi nie dolega - nieprawidłowy wynik był pomyłką laboranta. Ale to właśnie tego dnia postanowiłam, że spróbuję odnaleźć swoich biologicznych rodziców.

Wiem, co sobie teraz myślicie: nie była szczęśliwa u rodziny, która ją adoptowała? Otóż byłam i dlatego właśnie aż do tej pory - a miałam już trzydzieści jeden lat - nie przyszło mi nawet do głowy szukać tamtych ludzi. Zawsze byłam szczęśliwa i wdzięczna losowi, że trafiłam do tej rodziny. Innej nie chciałam i nie potrzebowałam. Miałam też wielkie opory przed powiedzeniem mamie i tacie o tej decyzji, bo byłam pewna, że złamie im to serce.

Ale pomimo że przez całe życie nie brakło mi całkowitej pewności, iż moim drugim rodzicom zależy na mnie wręcz do szaleństwa, to jednak podświadomie nie mogłam zapomnieć, że ci pierwsi mnie nie chcieli. Od mamy usłyszałam kiedyś dyżurne wytłumaczenie, że pewnie byli jeszcze za młodzi i nie dojrzeli do założenia rodziny; było to nawet logiczne, lecz na poziomie emocjonalnym czułam się odrzucona jak niepotrzebna rzecz. Chyba po prostu chciałam się dowiedzieć, dlaczego tak postąpili. Tak więc po rozmowie z przybranymi rodzicami - mama obiecała mi pomoc, płacząc przy tym przez cały czas - z ociąganiem zabrałam się do realizacji pomysłu, który chodził mi po głowie już od sześciu miesięcy.

Być adoptowanym dzieckiem jest jak czytanie książki, z której ktoś wydarł cały pierwszy rozdział: fabuła i bohaterowie mogą się podobać, ale chciałoby się też poznać początek. Tylko że kiedy idzie się do księgarni i pokazuje, że w książce brakuje pierwszego rozdziału, oni mówią, że nie mogą jej wymienić na taki egzemplarz, który ma wszystkie strony. A jeśli po przeczytaniu brakującego pierwszego rozdziału czytelnik uzna, że powieść jest do kitu i napisze złośliwą recenzję na Amazon.com, co z kolei urazi autora? Lepiej już niech się obejdzie bez części tekstu i cieszy tym, co ma.

Archiwum centrum adopcyjnego nie jest instytucją otwartą, nawet dla kogoś takiego jak ja, kto wie, na jakie przepisy trzeba się powołać, żeby coś załatwić. Skutkiem tego musiałam wykonać istic herkulesową pracę przy miażdżącej przewadze porażek nad sukcesami. Przez pierwsze trzy miesiące zatrudniałam prywatnego detektywa, który brał ode mnie ponad sześćset dolarów za informację, że niczego nie udało się dowiedzieć. Tyle mogłabym ustalić sama i za darmo.

Problem tkwił w tym, że w pracy przeszkadzała mi ...praca.

Naskoczyłam na szefa, kiedy tylko zamknęliśmy drzwi za państwem O'Keefe.

- Mam być szczerą? Taka skarga jest bezpodstawna.

- Ciekawe, czy zmienisz zdanie - zamyślił się Bob - kiedy zasądzą nam najwyższą wypłatę z tytułu niedobrego urodzenia w historii stanu New Hampshire?

- Jak możesz być pewien...

- To zależy - przerwał mi, wzruszając ramionami - co wykaże jej dokumentacja medyczna.

Skarga z tytułu niedobrego urodzenia opiera się na następującym założeniu: gdyby matka wiedziała, że jej dziecko urodzi się z poważnym upośledzeniem, to mogłaby się zdecydować na przerwanie ciąży. W takiej sytuacji główny ciężar odpowiedzialności za kalectwo dziecka spada na położnika. Z punktu widzenia powoda czy też powódki jest to sprawa o błąd w sztuce lekarskiej. Obrońca oskarżonego musi natomiast rozważyć kwestię natury moralnej: kto ma prawo decydować, z jaką ułomnością warto żyć, a z jaką już nie?

W wielu stanach wnoszenie skarg z tytułu niedobrego urodzenia zostało zabronione. W New Hampshire jest to możliwe. Było tutaj kilka spraw wygranych przez rodziców dzieci urodzonych z rozszczepem kręgosłupa albo mukowiscydozą, a także jeden proces chłopca z wadą genetyczną, która doprowadziła do głębokiego upośledzenia umysłowego oraz przykuła go na stałe do wózka; nie miało znaczenia, że był to pierwszy rozpoznany przypadek takiej choroby, więc nikt w żaden sposób nie mógł się jej dopatrzeć podczas badań prenatalnych. W stanie New Hampshire rodzice upośledzonych dzieci mają prawny obowiązek opiekować się nimi nie do dnia osiemnastych urodzin, ale przez całe życie; to już sam w sobie jest wystarczający powód, aby dochodzić odszkodowania. Willow O'Keefe bez wątpienia była ciężko doświadczonym dzieckiem (wystarczyło spojrzeć na jej ogromny gips), lecz kiedy jej ojciec wyszedł na chwilę z sali, a Bob zaczął ją zagadywać, odpowiadała mu rozsądnie i z uśmiechem. Mówiąc wprost: była urocza, bystra i wygadana - niezwykle trudno wcisnąć ławie przysięgłych, że ktoś taki jest biedną ofiarą losu.

- Jeśli położnik pani O'Keefe nie wykonał swojej pracy rzetelnie - powiedział Bob - to powinien ponieść odpowiedzialność, aby coś takiego już nigdy się nie powtórzyło.

Przewróciłam oczami.

- Nie można grać ławnikom na sumieniu, kiedy na stole leży kilka milionów dolarów. Poza tym to jest równia pochyła: położnik decyduje, że dziecko z łamliwością kości nie powinno się urodzić - i co dalej? Badanie prenatalne wykazuje niski iloraz inteligencji, więc wyskrobujemy płód, bo jak dorośnie, nie dostanie się na Harvard?

Szef poklepał mnie po plecach.

- Miło spotkać kogoś z takim zaangażowaniem. Bo ja, kiedy podnoszą się głosy, że nauka



próbuję leczyć zbyt wiele ludzkich przypadłości, zawsze się cieszę, że kiedy szalały gruźlica, polio i żółta febra, nikt nie przejmował się zbyttnio kwestiami bioetyki.

- Wracaliśmy już do swoich gabinetów, gdy Bob zatrzymał się nagle i spojrzał na mnie. - Jesteś neofaszystką?

- Co takiego?!

- Tak właśnie myślałem. Ale gdybyś w procesie karnym miała bronić neofaszysty, to czy potrafiłabyś wywiązać się z zadania, nawet potępiając jego poglądy?

- Oczywiście. To jest pytanie na poziomie pierwszego roku prawa - odpowiedziałam bez zastanowienia. - Tylko że tutaj mamy kompletnie inną sytuację.

Bob potrząsnął głową.

- Cały problem w tym, Marin - odparł - że wcale nie.

Wydałam z siebie jęk frustracji, odczekawszy tylko, aż zamknie za sobą drzwi. Potem weszłam do własnego gabinetu, zsunęłam z nóg szpilki i człapiąc bosymi stopami, dotelepałam się do fotela za biurkiem. Briony przyniosła mi nowe listy, porządnie związane gumką. Przerzuciłam je szybko, segregując według spraw, do których się odnosiły, aż została mi w ręce koperta z nieznanym adresem nadawcy.

Miesiąc wcześniej, po zrezygnowaniu z usług prywatnego detektywa, wysłałam do sądu hrabstwa Hillsborough list z prośbą o wydanie orzeczenia o mojej adopcji. W sądzie można zamówić kopię oryginalnego dokumentu, kosztuje to dziesięć dolarów. Mając ją w garści, uzbrojona dodatkowo w informację, że urodziłam się w szpitalu Świętego Józefa w mieście Nashua, planowałam trochę powęszyć; zapowiadał się twardy orzech do zgryzienia, lecz nie traciłam nadziei, że uda mi się ustalić imię mojej biologicznej matki. Inną nadzieję wiązałam z personelem sądowym: może jakiś niedouczony stażysta zapomniał wymazać na dokumencie imię, które otrzymałam po urodzeniu, a przed adopcją. Pech chciał, że moją sprawą zajmowała się urzędniczka nazwiskiem Maisie Donovan, pracująca w sądzie hrabstwa od zarania dziejów. To od niej był list, który trzymałam teraz w drżących dłoniach.

SĄD HRABSTWA HILLSBOROUGH,

STAN NEW HAMPSHIRE

W ODPOWIEDZI NA WNIOSEK O PRZYSPOSOBIENIE

NOWORODKA PŁCI ŻEŃSKIEJ ORZECZENIE KOŃCOWE

Dn. 28 lipca 1973 r., po rozpatrzeniu załączonego wniosku o przysposobienie oraz

rozpoznaniu sprawy, przeprowadzonym w celu potwierdzenia prawdziwości deklaracji złożonych przez wnioskodawców, sąd hr. Hillsborough, uzyskawszy pełną wiedzę odnośnie do potrzeby zaproponowanej adopcji, uznaje, że deklaracje wnioskodawców są zgodne z prawdą, a zaproponowana adopcja posłuży dobru osoby adoptowanej, i orzeka, że wymieniona we wniosku adopcyjnym [nazwisko wymazane], noworodek płci żeńskiej, niniejszym nabywa pełnię praw potomka i spadkobiercy małżonków Arthura Williama Gatesa oraz Yvonne Sugarman Gates, podlegając tym samym wszelkim obowiązkom właściwym dziecku ww. małżonków i będzie od tej chwili używać nazwiska Marin Elizabeth Gates.

Przeczytałam dokument drugi raz. Potem trzeci. Zerknęłam na podpis sędziego: Alfred jakiś tam. Wyszło na to, że zapłaciłam dziesięć dolarów za dwie wstrząsające informacje:

1. Jestem osobą płci żeńskiej
2. Nazywam się Marin Elizabeth Gates.

Ale w sumie czego miałam się spodziewać? Kartki od biologicznej matki z zaproszeniem na tegoroczny zjazd rodzinny? Otworzywszy szafę na dokumenty, z westchnieniem schowałam orzeczenie do aktówki opisanej osobiste. Potem wyjęłam nową tekturową teczkę i podpisałam ją nazwiskiem o'keefe.

- Niedobre urodzenie - mruknęłam, próbując, jak będą smakować te słowa. Bez niespodzianek - były gorzkie niczym ziarna kawy. Usiłując skupić się na pisaniu skargi, która całkiem wprost sugerowała, że pewne dzieci w ogóle nie powinny przychodzić na świat, złożyłam w duchu podziękowanie mojej biologicznej matce, że w tej kwestii miała jednak inne poglądy.

## Piper

Formalnie rzecz biorąc, byłam twoją matką chrzestną. Miało to chyba znaczyć, że powinnam zatroszczyć się o wychowanie cię w duchu wiary - doskonały żart, bo w odróżnieniu od twojej mamy, która rzadko kiedy opuściła niedzielną mszę, nigdy w życiu nie byłam w kościele; wszystko przez zdrowy strach przed pożarem i walącym się dachem. Wolałam się postrzegać jako chrzestną matkę z bajki, taką, która pewnego dnia sprawi (na własną rękę albo z pomocą czeredy myszy w maleńkich kombinezonach), że poczujesz się jak księżniczka.

Dlatego właśnie tak rzadko pojawiałam się u was z pustymi rękami. Charlotte mówiła, że cię rozpieszczę, ale przecież nie obsypywałam cię brylantami ani nie wciskałam kluczyków do hummera. Pokazywałam ci magiczne sztuczki, przynosiłam batoniki i filmy dla małych dzieci, których Emma już dawno nie oglądała. Nawet jadąc do was prosto ze szpitala, miałam przy sobie jakiś drobiazg: balon z gumowej rękawiczki, siateczkę na włosy podebraną w sali operacyjnej.

- W dniu, kiedy przyniesiesz jej wziernik - mawiała Charlotte - przestaniesz być mile widziana w tym domu.

- Cześć! - zawołałam od progu. Jeśli mam być szczerą, to nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek pukała do waszych drzwi. - Pięć minut - rzuciłam za Emmą, która pognęła na górę, szukając Amelii. - Nie zdejmuj nawet kurtki.

Powędrowałam korytarzem w stronę dużego pokoju na parterze. Siedziałś na kanapie, zamknięta w swojej gipsowej skorupie, i czytałaś książkę.

- Piper! - zawołałaś, rozjaśniając się na mój widok.

Bywały chwile, że nie dostrzegałam u ciebie nienaturalnie wygiętych kości, nie rzucał mi się w oczy twój niski wzrost, nieodłączny atrybut choroby, na którą cierpiełaś. Zamiast tego przypominało mi się, jak twoja mama, cała zapłakana, mówiła: znowu miesiąc w plecy, nie jestem w ciąży. Ale równie dobrze pamiętałam, jak wyciągała mi z uszu słuchawki od detektora tętna, żeby posłuchać kolibrzego trzepotu twojego serduszka.

Usiadłam obok ciebie, wyciągając z kieszeni płaszcz prezent dnia: piłkę plażową. Zapewniam, że trudno dostać coś takiego w lutym.

- Nie byliśmy na plaży - poinformowałaś mnie - bo się przewróciłam.

- Ale to nie jest zwykła piłka - odparłam, dmuchając plastikową powłokę, aż zrobiła się niczym ciąża w dziewiątym miesiącu, okrągła i twarda. Następnie wcisnęłam ci ją pomiędzy

kolana - utkwiała tam sztywno, ściśnięta gipsem - i zaczęłam poklepywać ją otwartą dłonią. - To bębenek.

Roześmiałaś się, okładając razem ze mną nadmuchany plastik. Hałas zwabił Charlotte.

- Wyglądasz jak psu z gardła - zawiadomiłam ją. - Ile nie spałaś?

- Tak, tak, Piper, ciebie też miło widzieć...

- Amelia gotowa?

- Na co?

- Na trening?

Charlotte trzasnęła się w czoło.

- Zapomniałam na śmierć. Amelia! - krzyknęła głośno, po czym z powrotem odwróciła się do mnie: - Dopiero co wróciliśmy od adwokata.

- I co? Sean dalej taki zawzięty? Poda do sądu cały świat?

Zamiast odpowiedzieć, Charlotte postukała palcami w piłkę. Nie lubiła, kiedy nabijałam się z jej męża. Twoja mama była moją najlepszą przyjaciółką, ale twój ojciec czasami koszmarnie mnie drażnił. Jak sobie wbił coś do głowy, to był koniec - nie ustąpił ani o włos. Świat był dla niego całkowicie czarno-biały, ja tymczasem zawsze miałam słabość do kolorów.

- Piper, a wiesz co? - odezwałaś się nagle. - Ja też jeździłam na łyżwach.

Zerknęłam na Charlotte. Potwierdziła skinieniem głowy. Generalnie bała się panicznie tej sadzawki za waszym domem, za bardzo, jej zdaniem, kuszącej dla dzieci. Najchętniej wysłuchałabym tej historii na miejscu, ze szczegółami.

- Skoro zapomniałaś o treningu Amelii - dzielnie zmieniłam temat - to o cieście na kiermasz dobroczynny pewnie też?

Charlotte skrzywiła się niechętnie.

- Co upiekłaś?

- Ciastka czekoladowe - odpowiedziałam - w kształcie łyżew. Sznurówki i ostrza z lukru.

Po prostu lukrowa jazda figurowa.

- Upiekłaś ciastka czekoladowe? - powtórzyła Charlotte, odwracając się.

Poszłam za nią do kuchni.

- Tymi rękami. Jestem u mamuś na czarnej liście, bo na wiosnę, kiedy był poprzedni kiermasz, pojechałam na zjazd lekarzy. Teraz staram się odpokutować.

- Ale kiedy to zrobiłaś? Znalazłaś czas przy zszywaniu nacięcia krocza czy po półtorej

doby dyżuru? - Charlotte otworzyła spizarkę i poszperawszy na półkach, wyciągnęła paczkę kruchych ciasteczek z kawałkami czekolady. - Powiedz mi, Piper, czy ty naprawdę zawsze musisz wszystko robić najlepiej?

Wysypała ciastka na półmisek i zaczęła dziabnąć je widelcem.

- Zaraz, zaraz - zaprotestowałam. - A tobie co?

- Dziwisz się? Przylatujesz cała w skowronkach i mówisz mi, że wyglądam jak psu z gardła, a potem jeszcze wychodzę przy tobie na jakąś niedorajdę...

- Jesteś mistrzem cukiernikiem, Charlotte. Wypieki masz w małym... Co ty właściwie robisz?

- Domowe ciastka z kupnych - wyjaśniła. - Bo nie jestem już mistrzem cukiernikiem. Od dawna.

Poznałam Charlotte w momencie, gdy obwołano ją najlepszym cukiernikiem w New Hampshire. Czytałam nawet o niej w gazecie, gdzie wychwalali ją za umiejętność łączenia kompletnie nieprzewidzianych składników i wymyślanie niezwykłych smakołyków. Nigdy nie przychodziła do mnie z pustymi rękami - przynosiła babeczki udekorowane delikatnym ażurkiem z karmelu, placki z jagodami pękającymi w ustach jak fajerwerki, balsamiczne budynie. Jej suflety były lekkie niczym obłoki sunące po letnim niebie. Kiedy zrobiła fondant czekoladowy, człowiek zapominał, że coś mu w życiu nie wyszło. Powiedziała mi kiedyś, że w kuchni odzyskuje równowagę duchową: przestaje myśleć o pobocznych sprawach i przypomina sobie, do czego jest stworzona. Zazdrościłam jej tego. Byłam lekarzem z powołania - cholernie dobrym lekarzem - ale Charlotte miała talent. Marzyła o własnej ciastkarni i wydaniu bestsellerowej książki z przepisami. Widać było po prostu, że cukiernictwo jest największą miłością jej życia - dopóki nie pojawiłaś się ty.

Odsunęłam półmisek na bok.

- Charlotte, wszystko w porządku?

- Poczekaj, niech się zastanowię. W weekend byłam aresztowana, zagipsowali mi córkę po same pachy, nie mam czasu nawet się wykąpać... Spoko, czuję się cudownie. - Wychyliła się z drzwi kuchni, wołając w kierunku schodów na piętro: - Amelia! Zbieraj się!

- Emma też głuchnie, kiedy do niej mówię - mruknęłam. - Mogę przysiąc, że celowo mnie ignoruje. Wczoraj osiem razy ją prosiłam, żeby sprzątnęła ze stołu...

- Wiesz co - przerwała mi Charlotte znużonym głosem - naprawdę nie obchodzą mnie

twoje problemy wychowawcze.

Po prostu szczeka mi opadła. Charlotte zwierzała mi się ze wszystkiego, nigdy jednak nie traktowała mnie jak worek treningowy.

Zrobiłam wielkie oczy, ale ona opamiętała się natychmiast.

- Przepraszam. - Potrząsnęła głową. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie powinnam wyzywać się na tobie.

- Nic się nie stało - powiedziałam.

W tym momencie nasze córki zbiegły z tupotem do kuchni i przemknęły obok, szepcząc i chichocząc. Położyłam dłoń na ramieniu Charlotte.

- A przy okazji - oznajmiłam stanowczo - to wiedz, że nie znam drugiej matki, która dała swojemu dziecku tyle, co ty. Zrezygnowałaś ze wszystkiego, żeby opiekować się Willow.

Zgarbiła się, a potem przytaknęła, spoglądając na mnie.

- Pamiętasz jej pierwsze USG?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Zobaczyliśmy, jak ssie kciuk - powiedziałam z uśmiechem. - Nawet nie musiałam wam pokazywać, wszystko było widać jak na dłoni.

- Wszystko - powtórzyła twoja matka. - Jak na dłoni.

## Charlotte

*Marzec 2007 r.*

A gdyby się okazało, że ktoś tu naprawdę zawinił?

Ta myśl była zalążkiem nasienia, który wyniosłam z kancelarii Roberta Ramireza w owym pustym miejscu w głębi piersi. Leżałam w łóżku obok Seana, a krew pulsowała mi w żyłach, szepcząc głosem dudniącym jak bicie bębnow: a gdyby... a gdyby... a gdyby... Znałam cię i kochałam już od pięciu lat, nie odstępowałam na krok, nosiłam na rękach, kiedy coś sobie złamałaś. Dostałam dokładnie to, czego z całych sił pragnęłam: cudowną córeczkę. Czy mogłabym więc się zdobyć na wyznanie (najtrudniej chyba byłoby przyznać się do tego sobie samej), że jesteś największym cudem, ale też największym trudem mojego życia?

Zazdrościłam ludziom, którzy skarżyli się, że ich dzieci są niegrzeczne, niekulturalne albo że wręcz chuliganią. W dniu osiemnastych urodzin czekała je samodzielność i odpowiedzialność za własne błędy. Ale ciebie nie mogłam wypuścić w świat. Bo co by było, gdybyś się przewróciła?

A mnie nie byłoby obok, żeby cię złapać?

Minął tydzień, potem następny, i powoli do mnie dotarło, że pracownicy Roberta Ramireza brzydzą się kobietą, która w skrytości ducha żywi takie myśli. Ja zresztą też się nią brzydziłam. Dwoiłam się więc i troiłam, żeby sprawić ci radość. Grałyśmy w scrabble, aż w końcu mogłam z pamięci wyrecytować wszystkie dwuliterowki; programy na Animal Planet oglądałyśmy tyle razy, że wykułam je na blachę, słowo w słowo. Twój tata pracował już normalnie, a Amelia wróciła do szkoły.

Tamtego ranka stałam nad tobą w ciasnej łazience na parterze naszego domu. Siedziałaś na sedesie, a ja podtrzymywałam cię za rękę, żebyś mogła zrobić siusiu.

- Te worki mi przeszkadzają! - skarżyłaś się.

Poprawiłam jedną ręką worki na śmieci, którymi obłożyłam ci uda, ale ciążyłaś mi tak mocno, że aż stęknęłam z wysiłku. Dopiero po kilku nieudanych próbach doszliśmy do tego, jak w gipsowych spodniach korzystać z toalety - kolejna ciekawostka, którą lekarze nie uznali za wskazane podzielić się z nami. Rodzice na internetowym forum radzili zabezpieczać brzeg otworu foliowymi workami na śmieci - w ten sposób można utrzymać gips w czystości. Nie muszę chyba dodawać, że każda wycieczka do łazienki zajmowała w ten sposób około pół

godziny; po kilku niemiłych wpadkach nauczyłaś się przewidywać, kiedy ci się zachce, żeby nie czekać z tym do ostatniej chwili.

- Co roku czterdzieści tysięcy ludzi robi sobie krzywdę, korzystając z toalety - poinformowałaś mnie.

Zacisnęłam zęby.

- Willow, na miłość boską, skoncentruj się, bo zaraz dołączysz do tej statystyki.

- Dobrze, już skończyłam.

Po raz kolejny dokonałam cudów ekwilibrystyki, żeby podać ci rolkę papieru toaletowego, po czym podtrzymałam cię, żebyś mogła sięgnąć pomiędzy nogi.

- Dobra robota. - Pochyliłam się, by spuścić wodę. Potem uniosłam cię, ostrożnie wycofując się z łazienki. Niestety, poślizgnęłam się na dywaniku i rymnęłam na podłogę, wykręcając ciało tak, żeby zamortyzować twój upadek.

Nie wiem już teraz, która z nas pierwsza parsknęła śmiechem, ale nieoczekiwany dzwonek do drzwi, do spółki z telefonem, który zadryndał w tym samym momencie, dołączyły jeszcze oliwy do ognia. Może powinnam zmienić powitanie na automatycznej sekretarce, pomyślałam. „Przepraszam, nie mogę odebrać telefonu. Moja córka jest w wielkim gipsie, który waży dwadzieścia parę kilo, a ja sadzam ją właśnie na sedesie”.

Oparłam się na łokciach, unosząc cię na sobie. Dzwonek u drzwi zadzwieczał ponownie, z nutką zniecierpliwienia.

- Już idę! - zawołałam.

- Mamo - pisnęłaś. - Nie mam spodni!

Nosiłaś w domu flanelowy dół od pizamy. Zdjęłam ci go przed wypadem do łazienki i byłaś półgoła. Zakładanie potrwałoby kolejnych dziesięć minut, więc ściągnęłam jeden z worków na śmieci, owijając cię nim jak czarną, plastikową spódnicą.

Na ganku stała pani Dumbroski, nasza sąsiadka. Miała dwóch wnuków, bliźniaków w twoim wieku. W zeszłym roku byli u niej z wizytą; podkradli jej okulary, kiedy spała i podpalili nimi stos zgrabionych liści. Gdyby nie listonosz, który zjawił się we właściwym momencie, nie miałyby już garażu.

- Witaj, moja droga - powiedziała pani Dumbroski. - Nie przeszkadzam?

- Nie, skądże - odpowiedziałam. - My właśnie... - Spojrzałam na ciebie, tkwiącą w tym worku i obie znów wybuchnęłyśmy śmiechem.



- Czy mogę prosić o zwrot półmiska?

- Jakiego półmiska?

- Niedawno przyniosłam wam lasagne. Mam nadzieję, że smakowało.

To znaczyło, że jej żaroodporny półmisek był w zamrażalniku razem z resztą żarcia, które czekało na nas w domu po powrocie z tej koszmarnej wycieczki do Disneylandu. Prawdę mówiąc, zjedliśmy tylko trochę tych darów serca; pozostałe powoli pokrywały się szronem, bo nie były szczelnie zapakowane. Nie starczyłoby nam miejsca w żołądkach, żeby pomieścić te wszystkie zapiekanki z makaronem i serem, lasagne i pieczony makaron *ziti*.

W moim przekonaniu, jeśli się przyniosło posiłek dla kogoś, kto jest chory, to nagabywanie go, żeby skończył się posilać i oddał garnek, graniczyło z impertynencją.

- Pani Dumbroski, czy możemy się tak umówić, że znajdę pani półmisek, a Sean go pani podrzuci jakoś niebawem?

- No cóż - odparła sąsiadka, ściągając wargi - zapiekanka z tuńczyka musi więc poczekać.

Przez jedną chwilę chciałam wcisnąć cię babie w te wątle łapki - niech się zatoczy pod twoim ciężarem - a samej pójść do kuchni, znaleźć te głupie lasagne, przynieść i rzucić jej pod nogi. Ale zamiast to zrobić, tylko się uśmiechnęłam.

- Dziękuję za wyrozumiałość. Willow chce się teraz zdrzemnąć, muszę ją położyć - przeprosiłam, zamykając drzwi.

- Nie śpię w dzień - zwróciłaś mi uwagę.

- Wiem. Powiedziałam to, żeby już sobie poszła. Inaczej bym ją chyba zabiła.

Wtańczyłam z tobą do dużego pokoju i posadziłam cię na kanapie, podtykając poduszki pod plecy i uda, żebyś miała wygodnie. Potem sięgnęłam po twoje spodnie od piżamy, po drodze stukając palcem w migający przycisk automatycznej sekretarki.

- Najpierw lewa noga - zakomenderowałam, naciągając obszerną gumkę na gips.

„Masz jedną nową wiadomość”.

Wsunęłam następnie twoją prawą nogę w nogawkę i podciągnęłam flanelowe spodnie powyżej krawędzi gipsu.

„Dzień dobry. Mówi Marin Gates z kancelarii prawniczej Roberta Ramireza. Chcielibyśmy przedyskutować z państwem pewną sprawę”.

- Mamo - jęknęłaś, kiedy zamarłam, wciąż obejmując cię w pasie.

Związałam luźno wiszącą tkaninę w węzeł.

- Już. - Serce waliło mi jak szalone. - Już prawie skończyłam.

Amelia była w szkole, ale ty musiałaś pojechać z nami. Tym razem byli już lepiej przygotowani: przy automacie do kawy stały kartoniki z sokiem, a na stoliku, obok magazynów o architekturze, leżał nieduży stosik książeczek z obrazkami. Sekretarka zaprowadziła nas na spotkanie z prawnikami, już nie do sali konferencyjnej, tylko do gabinetu urządzonego w studeńskich odcieniach bieli: od podłogi z ługowanych desek przez kremową boazerię po kanapy obite jasną skórą. Wykręcałaś szyję na wszystkie strony, żeby przyjrzeć się dokładnie temu wnętrzu. Czy taki wystrój miał naśladować niebo? A jeśli tak, to kim jawił się tutaj sam Robert Ramirez?

- Pomyślałem sobie, że na tej kanapie Willow będzie wygodniej - powiedział gładko prawnik - a zamiast wysłuchiwać nudnej rozmowy dorosłych, może pooglądać sobie film. - Pokazał nam okładkę DVD. „Ratuj” - całkiem przypadkowo trafił na twój ulubiony film. Po pierwszym obejrzeniu zrobiliśmy na obiad prawdziwe *ratatouille*.

Marin Gates przyniosła przenośny miniodtwarzacz DVD i parę eleganckich słuchawek. Włożyła wtyczkę do gniazdka i usadowiła cię na kanapie, włączyła film i podała ci kartonik soku z wbitą słomką.

- Panie sierżancie, szanowna pani - zaczął Ramirez. - Uznaliśmy, że tej sprawy lepiej nie omawiać w obecności Willow, ale jednocześnie rozumiemy, że w jej obecnym stanie to fizycznie niewykonalne. Marin wpadła na pomysł z filmem. To również ona od dwóch tygodni rzetelnie pracuje nad waszą sprawą. Przeanalizowaliśmy dostarczoną przez państwa dokumentację medyczną oraz zleciliśmy jej ocenę fachowcowi. Czy mówi państwu coś nazwisko Marcus Cavendish?

Sean i ja spojrzeliśmy po sobie i potrząsnęliśmy przecząco głowami.

- Doktor Cavendish pochodzi ze Szkocji. Jest jednym z największych specjalistów w dziedzinie *osteogenesis imperfecta* na świecie. Jego zdaniem macie państwo mocne podstawy, aby wnieść skargę o błąd w sztuce lekarskiej przeciwko położnikowi, który prowadził ciążę. Pani O'Keefe przypomniała sobie, że obraz USG w osiemnastym tygodniu był zbyt ostry... To ewidentnie dowodzi, że położnik jest winien niedopatrzenia. Powinien umieć rozpoznać chorobę u pani dziecka już wtedy, na długo przed drugim badaniem USG, na którym pokazały się złamania. Powinien był też przekazać pani tę informację w takim momencie ciąży, aby... mogła pani zmienić jej przebieg.

Miałam mętlik w głowie, a Sean wyglądał na kompletnie pogubionego.

- Chwileczkę - powiedział. - Z jakiego tytułu ma być ten pozew?

Ramirez rzucił okiem w stronę kanapy, na której siedziałaś.

- Określa się to mianem niedobrego urodzenia.

- I co to, do diabła, niby znaczy?

Prawnik zerknął na swoją współpracowniczkę. Marin Gates odchrząknęła cicho.

- Pozew z tytułu niedobrego urodzenia wnoszą rodzice ubiegający się o rekompensatę szkód poniesionych w wyniku urodzenia poważnie upośledzonego dziecka i konieczności specjalnej opieki nad nim - wyrecytowała. - Założenie jest takie, że gdyby lekarz prowadzący poinformował panią w trakcie trwania ciąży, że pani dziecko będzie upośledzone, miałyby pani wybór: usunąć albo urodzić.

Przypomniałam sobie, jak kilka tygodni wcześniej warknęłam na Piper: „Czy ty naprawdę zawsze musisz wszystko robić najlepiej?”.

A gdyby się okazało, że ten jeden raz, kiedy nie zrobiła czegoś najlepiej - to było twoje USG?

Zupełnie tak samo jak ty, tkwiłam niczym przyrośnięta do swojego siedzenia. Nie mogłam się ruszyć, nie mogłam oddychać. Sean odezwał się za mnie:

- Twierdzi pani, że nasza córka w ogóle nie powinna się urodzić? - zagrział oskarżycielskim tonem. - Że to było co? Błąd? Nie chcę słuchać tych gównianych bredni.

Spojrzałam w twoją stronę: zsunęłaś słuchawki na szyję i łowiłaś łapczywie każde nasze słowo.

Twój ojciec wstał. Robert Ramirez też podniósł się z miejsca.

- Panie sierzancie, wiem, że to brzmi okropnie, ale termin „niedobre urodzenie” jest określeniem czysto prawniczym.

Nie uważamy, że pańska córka nie powinna przyjść na świat - to przepiękne dziecko. Po prostu jesteśmy zdania, że pacjentowi należy się opieka na pewnym poziomie, a kiedy lekarz nie potrafi jej zapewnić, ktoś musi ponieść za to odpowiedzialność. - Zrobił krok naprzód. - Popelniono błąd w sztuce lekarskiej. Proszę pomyśleć, ile czasu i pieniędzy już pochłonęła opieka nad Willow, a ile jeszcze pochłonie. Dlaczego to pan ma płacić za czyjąś pomyłkę?

Sean postąpił do przodu i stanął przed Ramirezem; przez chwilę myślałam, że mu przyłoży, ale tylko dźgnął go palcem w pierś.

- Kocham moją córkę - oznajmił ochryplym głosem. - Kocham ją - powtórzył z

naciskiem.

Porwał cię na ręce, wyrywając przy tym wtyczkę słuchawek z gniazdka; szarpnięty odtwarzacz potrącił kartonik z sokiem, wywracając go prosto na skórzane obicie.

- Och! - zawołałam, szukając w torebce chusteczki do wytarcia plamy. Taka piękna kremowa skóra zniszczona.

- Nic się nie stało, pani O'Keefe - mruknęła Marin, przyklękając obok mnie. - Proszę się tym nie przejmować.

- Tatusiu, film się jeszcze nie skończył - powiedziałaś.

- Skończył się. - Sean ściągnął ci z szyi słuchawki i rzucił je na kanapę. - Charlotte, chodźmy stąd, do cholery.

Rzucił to przez ramię, bo zdążył już wyjść, i kroczył, rozsierzony, korytarzem. Ja dalej wycierałam plamę. Zorientowawszy się, że oboje prawnicy patrzą na mnie, wyprostowałam się, nie wstając z podłogi.

- Charlotte! - Z poczekalni dobiegł mnie głos Seana.

- Chciałam... państwu podziękować - powiedziałam. - Naprawdę mi przykro, że zawracaliśmy państwu głowę. - Wstałam, oplatając się ramionami, jakby mi było zimno albo jakbym nie chciała rozpaść się na kawałki. - Tylko że... Jedno pytanie... - Spojrzałam na nich, odetchnęłam głęboko. - Co by było, gdybyśmy wygrali?

## II

Chcę spocząć w głębinie morza.  
Pochowajcie mnie w soli i wodzie.  
Lemiesz rolnika kości mych nie dotknie,  
A żaden Hamlet z moją czaszką w dłoni  
Nie wspomni: „Ten niegdyś słynął z żartów”.  
Żarłoczne wije morskie wyjedzą mi oczy,  
Z ławicą rybek się zabawię w chowanego  
I będę pieśnią gromu, rykiem fal  
W otchłani, w soli i wodzie.  
Chcę spocząć... w głębinie morza.

CARL SANDBURG, „Kości”

**Zakładanie masy:** *delikatne łączenie dwóch substancji. Do zakładania używamy dużej metalowej łyżki ewentualnie łopatk.*

*Kiedy mówimy o zakładaniu czy też zakładce, mamy na myśli coś, co rozdziela: kartonik pomiędzy stronicami w książce, fałdę na plisowanej tkaninie. W wypadku zakładania masy jest odwrotnie: chodzi o połączenie dwóch odmiennych substancji, ale tak, żeby różnica pomiędzy nimi nie znikła całkowicie. Prawidłowo założona masa jest lekka i aksamitna, a jej składniki wciąż są wyczuwalne.*

*Można to nazwać zjednoczeniem w zawieszeniu: jedna substancja ulega drugiej, jak pokerzysta, który dostał kiepskie karty, jak łagodny człowiek wciągnięty w kłótnię, jak to się zawsze dzieje w sytuacji, kiedy jedna ze stron po prostu musi się poddać.*

### SUFLET CZEKOLADOWO-MALINOWY

*1/2 litra purée z malin*

*8 jaj, osobno białka i żółtka*

*115 g cukru*

*85 g mąki uniwersalnej*

*225 g dobrej gorzkiej czekolady, drobno posiekanej*

*55 g likieru Chambord*

*2 łyżki stołowe stopionego masła*

*cukier do wysypania kokilek*

Purée malinowe podgrzać do letniej temperatury w rondlu z grubym dnem. Żółtka ubić razem z cukrem (85 g) w dużej misie, dodać mąkę i maliny, znowu ubić i przelać z powrotem do rondla.

Gotować na średnim ogniu, cały czas mieszając, dopóki nie zgęstnieje. Nie dopuścić do wrzenia. Po zgęstnieniu zdjąć z ognia i mieszając, dodawać czekoladę aż do jej całkowitego rozpuszczenia. Dolać likier, zamieszać. Zakryć naczynie folią, żeby nie zrobił się kozuch.

Sześć kokilek natłuścić masłem i wysypać cukrem. Rozgrzać piekarnik do 220°C. Do białek dosypać pozostałe 30 g cukru i ubić na sztywną pianę.

I tutaj dochodzimy do momentu spotkania dwóch kompletnie odmiennych substancji, bo teraz należy założyć ubite białka oraz czekoladę z malinami. Ani jedno, ani drugie nie zrezygnuje tak łatwo ze swojego charakteru: ciemna czekolada zespoli się z białkową pianą i vice versa.

Przełożył mieszalinę do kokilek, do pełna, na pół centymetra od brzegu i natychmiast

zapiec w piekarniku. Suflet jest gotowy, kiedy się porządnie podniesie i zarumieni na wierzchu, a na obrzeżu będzie z wyglądu jakby wyschnięty - zajmuje to ok. 20 minut. Tylko niech cię nie zdziwi, kiedy po wyjęciu z piekarnika zapadnie się, jakby nie mógł udźwignąć ciężaru własnej obietnicy.

## Charlotte

*Kwiecień 2007 r.*

Życie przynosi ciosy. Kiedy lekarze wyjaśniali nam, dlaczego *osteogenesis imperfecta* to błędne koło, zaczęli właśnie od tego: musisz być aktywna, ale nie możesz sobie niczego złamać, bo kiedy coś złamiesz, nie będziesz mogła być aktywna. Rodzice, którzy zabraniają dzieciom chorym na OI wstawać albo pozwalają im chodzić tylko na czworakach, bo tak jest trudniej o upadek i uraz, mogą doprowadzić do tego, że mięśnie i stawy dziecka nigdy nie rozwiną się w pełni, tak aby chronić kości.

Sean nie bał się ryzyka, jeśli chodzi o ciebie, ale z drugiej strony to nie on siedział z tobą w domu, kiedy coś sobie złamałaś. Rok po roku powtarzał mi natomiast, że jeden czy drugi gips to niska cena za prawdziwe życie; myślałam, że być może teraz mnie uda się przekonać jego, że te dwa głupie słowa: „niedobre urodzenie” nie znaczą absolutnie nic w porównaniu z przyszłością, którą dzięki nim zyskasz. Sean nie chciał słuchać prawników i wyszliśmy z kancelarii, lecz mimo to miałam nadzieję, że jeszcze się do mnie odezwą. Zasnęłam, rozmyślając o tym, co powiedział Robert Ramirez, a po obudzeniu poczułam w ustach dziwny, obcy smak, na pół słodki, na pół kwaśny; dopiero po kilku dniach dotarło do mnie, że tak po prostu smakuje nadzieja.

Byłyśmy w Bostonie. Siedziałaś na szpitalnym łóżku, czytając książkę z ciekawostkami, od pasa w dół przykryta kocem zasłaniającym gips. Czekaliśmy na wlew pamidronianu. Początkowo musiałaś przyjmować ten preparat co dwa miesiące; teraz wystarczyły dwie wyprawy do Bostonu na rok. Pamidronian nie mógł wyleczyć chorego na OI - był tylko środkiem profilaktycznym. Dzięki niemu osoby mające typ III, a więc taki sam jak ty, mogły w ogóle chodzić, zamiast przez całe życie jeździć na wózku. Gdyby nie to, każdy krok mógł spowodować mikrozłamania kości stopy.

- Trudno w to uwierzyć, patrząc na te połamane kości udowe, ale wskaźnik Z-score znacznie się poprawił - powiedział doktor Rosenblad. - Wynosi teraz minus trzy.

Po urodzeniu w szpitalu zrobili ci pomiar gęstości kości metodą DEXA. Wynik: minus sześć. Dziewięćdziesiąt osiem procent ludzkiej populacji mieści się pomiędzy plus a minus dwa. Kość odnawia się nieustannie, wchłaniając jednocześnie swoje stare komórki. Pamidronian spowalnia tempo wchłaniania; dzięki temu mogłaś się poruszać i poprzez ruch wzmacniać swoje



kości. Doktor Rosenblad zilustrował to kiedyś, pokazując mi zwykłą kuchenną gąbkę: kość jest porowata, a pamidronian wypełnia nieco dziury w jej strukturze.

Regularnie przyjmując ten lek, w ciągu pięciu lat miałas ponad pięćdziesiąt złamań; nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak wyglądałoby twoje życie bez niego.

- Mam dziś dla ciebie niezłą ciekawostkę, Willow - powiedział doktor Rosenblad. - W razie konieczności mleko z orzecha kokosowego może zastąpić człowiekowi osocze krwi.

Otworzyłaś szeroko oczy.

- Robił pan to kiedyś?

- Myślałem, że może dzisiaj spróbujemy... - Lekarz błysnął zębami w uśmiechu. - Żartuję. Chcesz jeszcze o coś spytać, zanim się zacznie?

Wsunęłaś rączkę do mojej dłoni.

- Kłujemy igłą dwa razy i koniec, tak?

- Takie są zasady - odpowiedziałam. Gdyby pielęgniarki nie udało się założyć kroplówki za drugim podejściem, kazałabym jej wyjść i przyprowadzić kogoś, kto umie to zrobić.

Zabawne: kiedy umawialiśmy się z jakimś kolegą Seana i jego żoną, zawsze byłam nieśmiała i wstydliwa. Nie urodziłam się duszą towarzystwa, w sklepie nigdy nie rozmawiałam z ludźmi stojącymi obok mnie w kolejce, za to w szpitalu walczyłam za ciebie do upadłego. Dopóki nie umiałaś sama zadbać o swoje sprawy, musiałam występować w charakterze twojego rzecznika. Kiedyś byłam inna - kto nie chce wierzyć, że doktor zawsze wie najlepiej? - ale dotarło do mnie, że niektórzy lekarze nigdy w życiu nie zetknęli się osobiście z chorym na OI. To, że ktoś mówi: „Wiem, co robię”, nie oznacza jeszcze, że można mu zaufać.

Piper stanowiła wyjątek. Uwierzyłam jej, kiedy zapewniała, że twojej choroby w żaden sposób nie można było wykryć wcześniej.

- Chyba możemy zacząć - powiedział doktor Rosenblad.

Zabieg zajmował trzy dni, codziennie po cztery godziny. Najpierw gromada pielęgniarek i specjalistów przez dwie godziny mierzyła ci puls, temperaturę, ciśnienie, masę ciała i wzrost (czy komuś się naprawdę wydawało, że przez trzydzieści minut urośniesz albo przybierzesz na wadze?), a potem wzywano doktora Rosenblada i pobierano próbkę moczu. Następna była krew; musiałaś oddać sześć probówek, a ścisłaś mnie przy tym za rękę tak mocno, że na skórze zostawały mi ślady twoich paznokci jak maleńkie półksiężycy malowane na płótnie. Na koniec pielęgniarka zakładała ci kroplówkę. Z tym były największe problemy. Słyszac kroki na

korytarzu, zaczęłam cię zagadywać, wynajdując różne ciekawe fakty w twojej książce.

„Języki flamingów w starożytnym Rzymie uchodziły za wielki przysmak”.

„W Kentucky prawo zabrania noszenia lodów w tylnej kieszeni”.

- Cześć, słoneczko - powiedziała pielęgniarka, wchodząc do pokoju. Miała burzę włosów w nienaturalnym odcieniu żółci, a na szyi stetoskop, na którym wisiała małopka-zabawka. Przyniosła ze sobą niedużą plastikową tackę; leżały na niej waciki nasączone alkoholem, igła do kroplówek oraz dwa kawałki białej taśmy samoprzylepnej.

- Igły są do duszy - powiedziałaś.

- Willow! Jak ty się wyrażasz!

- Przecież „dusza” to nie jest brzydkie słowo. Odkurzacze są do duszy.

- Zwłaszcza kiedy trzeba samej sprzątać cały dom - mruknęła pielęgniarka, przecierając ci skórę. - Uwaga, policzę do trzech i kłujemy. Jesteś gotowa? Raz... dwa!

- Trzy! - pisnęłaś. - Oszustwo!

- Czasami lepiej to zrobić bez uprzedzenia - wyjaśniła pielęgniarka, ale zobaczyłam, że ponownie unosi igłę. - Nie wyszło. Spróbujemy jeszcze raz...

- Nie - przerwałam jej. - Czy może to zrobić inna siostra?

- Zakładam ludziom kroplówki od trzynastu lat...

- Ludziom, ale nie mojej córce.

Lodowate spojrzenie.

- Poproszę siostrę przełożoną.

Wyszła, zamykając drzwi. Zostałyśmy same.

- Przecież to była dopiero pierwsza próba - powiedziałaś.

Usiadłam obok ciebie.

- Za sprytna była ta pani. Nie chcę ryzykować.

Gładziłaś palcami stronicę książki, jakbyś czytała alfabetem Braille'a. Wpadło mi w oko jedno zdanie: „Dziesiąty rok życia jest statystycznie najbezpieczniejszy ze wszystkich”. A ty byłaś w połowie drogi.

Dobłą stroną wizyt w szpitalu było to, że nie musiałam się martwić, że tam wylądujesz, co mogło się zdarzyć w każdej chwili - wystarczyło, żebyś poślizgnęła się w wannie albo zaplątała ramię w rękawie. Kiedy skończyła się pierwsza kroplówka i pielęgniarka przepłukała wenflon, spałaś już głęboko. Wymknęłam się z pokoju i poszłam w stronę wind, gdzie na ścianie

wisiały automaty telefoniczne.

- Co u Willow? - zapytał Sean bez żadnych wstępów.

- Nudzi się. Nosi ją. To samo, co zwykle. A jak Amelia?

- Dostała piątkę ze sprawdzianu z matematyki i zrobiła mi awanturę, bo kazałem jej zmywać po kolacji.

- Czyli też to samo, co zwykle. - Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Zgadnij, co było na obiad? - powiedział Sean. - Kotlet z kurczaka *de volaille*, pieczone ziemniaki i fasolka szparagowa smażona po chińsku.

- Jasne - prychnęłam. - Ty nawet jajka nie umiesz ugotować.

- Przecież nie mówię, że sam to zrobiłem. Bufet w sklepie spożywczym był dziś wyjątkowo dobrze zaopatrzone.

- No dobrze. Willow natomiast raczyła się puddingiem z tapioki, rosółkiem z kluskami i galaretką.

- Chciałbym do niej zadzwonić jutro przed wyjściem do pracy. O której się obudzi?

- O szóstej, kiedy zmieniają się pielęgniarki.

- Nastawię sobie budzik.

- Przy okazji: doktor Rosenblad znów pytał o tamtą operację.

To była - dowcip niezamierzony - nasza kość niezgody. Chirurg ortopeda chciał po zdjęciu gipsu zespolić ci kości udowe za pomocą gwoździ śródszpikowych, aby zapobiec przemieszczaniu się odłamów w razie kolejnych złamań. Zespolenie chroni także przed wyginaniem kości, które u chorych na OI rosną spiralnie. Zdaniem doktora Rosenblada to był najlepszy sposób na walkę z tą chorobą, ponieważ jej wyleczenie nie wchodziło w grę. Sęk w tym, że ja myślałam do przodu, gotowa na każde szaleństwo, żeby oszczędzić ci cierpienia w przyszłości, Sean natomiast troszczył się o to, co jest tutaj i teraz - a operacja zespolenia kości udowych znów unieruchomiłaby cię na jakiś czas. Już widziałam, jak się spina na drugim końcu kabla.

- Przecież sama wydrukowałaś artykuł z sieci, w którym pisali, że zespolenie hamuje wzrost u dzieci z OI... - zaczął.

- Chodziło o zespolenie kręgow - odparłam. - Kiedy Willow dostanie skoliozy i trzeba będzie ustabilizować kręgosłup, to faktycznie przestanie rosnąć. Ale to coś innego. Doktor Rosenblad mówi, że technika poszła już tak do przodu, że teraz gwoździe śródszpikowe są

teleskopowe i będą rosły razem z nią.

- A jeśli Willow nigdy już nie złamie nogi? Wtedy cała ta operacja będzie psu na budę.

Szansa na to, że już nigdy więcej nie złamiesz kości udowej, można by porównać z prawdopodobieństwem tego, że słońce nie wzejdzie rano. W tym także różniliśmy się od siebie: ja byłam dyżurną pesymistką w naszej rodzinie.

- Naprawdę chcesz, żeby znowu ją wsadzili w wielki gips typu „żabka”? Sam wiesz, jak trudno się nią wtedy opiekować. A jeśli to się stanie, kiedy będzie miała siedem, dziesięć, dwanaście lat? Kto ją wtedy uniesie?

Sean westchnął.

- To jest dziecko, Charlotte. Pozwól jej pobiegać chociaż trochę.

- Ja jej niczego nie zabraniam. - Zjeżyłam się, dotknięta. - Ale takie są fakty: będą wypadki i będą złamania. Nie zwalaj winy na mnie. Ja chcę jej pomóc na przyszłość.

Chwila wahania.

- Wiem, jak ci ciężko - powiedział wreszcie Sean. - Wiem, ile dla niej robisz.

Już wyraźniejszej aluzji do tamtej tragicznej wizyty w kancelarii Ramireza być nie mogło.

- Ja wcale się nie skarżę... - zaczęłam.

- Nie mówię, że się skarżysz. Chodzi mi tylko o to, że... wiedzieliśmy, że łatwo nie będzie, prawda?

Prawda. Wiedzieliśmy. Chociaż jednocześnie chyba nie zdawałam sobie sprawy, że będzie aż tak trudno.

- Muszę kończyć - rzuciłam, udając, że nie słyszę, kiedy Sean pożegnał się słowami: „Kocham cię”.

Odwiesiłam słuchawkę i natychmiast podniosłam ją z powrotem, by wybrać numer Piper.

- Dlaczego faceci są tacy? - zapytałam.

W tle słychać było szum wody z kranu i pobrząkiwanie naczyń w zlewie.

- To jest pytanie retoryczne? - zaciekawiała się.

- Sean nie chce, żeby Willow przeszła zespolenie kości udowych.

- Zaraz, zaraz. Nie jesteście przypadkiem w Bostonie na wlewie pamidronianu?

- No, jesteśmy i właśnie dziś Rosenblad mnie o to pytał. Już od roku nas namawia, ale Sean wciąż nie chce się zdecydować. A Willow wciąż sobie coś łamie.

- Nie przekonuje go, że na dłuższą metę dzięki temu będzie miała lepsze życie?

- Nie.

- Cóż - rzekła Piper - wyjście jest jedno: metoda „Lizystraty”.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Od miesiąca śpię z Willow na kanapie na dole. Mam powiedzieć Seanowi, że seksu nie będzie? Pusta groźba.

- I proszę, to jest rozwiązanie - oznajmiła Piper. - Świece, ostrygi, peniuarek... Niech mu niczego nie zabraknie, a jak już będzie miał słodko i błogo, to wtedy go zapytaj. - W słuchawce zabrzmiał czyjś przytłumiony głos. - Rob mówi, że to go odmieni jak czarodziejskie zaklęcie.

- Podziękuj mu za wotum zaufania.

- A przy okazji: powiedz Willow, że nos człowieka ma tę samą długość co kciuk.

- Poważnie? - Uniosłam dłoń do twarzy, żeby sprawdzić. - To się jej spodoba.

- Czekaj, coś dzwoni... O kurczę, wzywają mnie z dyżuru. Dlaczego dzieci muszą się rodzić o dziewiątej wieczorem? Nie mogą rano?

- To jest pytanie retoryczne?

- I tak oto kółko się zamknęło. Do jutra, Char.

Przez długą chwilę wpatrywałam się w odwieszoną słuchawkę. „Na dłuższą metę dzięki temu będzie miała lepsze życie”. Tak powiedziała Piper.

Czy naprawdę w to wierzyła bez żadnych zastrzeżeń? I nie chodziło mi już tylko o to zespolenie kości udowych, lecz o każde działanie, którego podejmie się dobra matka.

Nie miałam pojęcia, czy w ogóle starczy mi odwagi, żeby wnieść skargę z tytułu niedobrego urodzenia. Już nawet czysto teoretyczne stwierdzenie, że pewne dzieci nie powinny się urodzić, było trudne do przełknięcia, a tutaj trzeba było się posunąć jeszcze o krok dalej i wskazać jedno konkretne dziecko - moje dziecko - które nie powinno było przyjść na świat. Ale co to za matka, która staje przed sędzią, przed ławą przysięgłych i mówi: „Byłoby lepiej, gdyby moje dziecko się nie urodziło”?

Taka matka albo wcale nie kocha swojej córeczki... albo kocha ją za mocno. Bo wtedy nie ma takich słów, których by nie powiedziała, aby zapewnić jej lepsze życie.

Ale rozwiązanie tego moralnego problemu nie wyczerpywało bynajmniej zagadnienia, bo dodatkowo gryzłam się jeszcze tym, że miałabym pozwać nie jakąś obcą osobę, tylko swoją najlepszą przyjaciółkę.

Przypomniałam sobie, jak wykładaliśmy twoje łóżeczko i nosidełko gąbką i jak czasami,

wyjmując cię, widziałam na niej odcisk twojego ciała; był jak wspomnienie albo zjawą, a po chwili zniknął niczym zaczarowany. My też pozostawiłyśmy na sobie nawzajem swój ślad, Piper i ja - możliwe jednak, że nie był on nieusuwalny, jak mi się dotąd zdawało. Przez tyle lat wierzyłam, gdy mnie zapewniała, że badania nie mogły wykazać *osteogenesis imperfecta* wcześniej, ale chodziło jej o badania krwi. Nigdy nie wspomniała choć słowem, że inne badania prenatalne - na przykład USG - mogły wykryć twoją chorobę. Próbowwała mnie w ten sposób pocieszyć - a może usprawiedliwić siebie?

To jej w niczym nie zaszkodzi, szepnęła głos w mojej głowie. Przecież każdy lekarz ma ubezpieczenie od skutków swoich błędów. Wiedziałam jednak, że musiałyby to zaszkodzić naszym wzajemnym relacjom. Nie zawieść twojego zaufania oznaczało stracić przyjaciółkę, której nauczyłam się ufać, jeszcze zanim przyszedł na świat.

W zeszłym roku Emma i Amelia były w szóstej klasie. Zdarzyło się raz, że na wychowaniu fizycznym, kiedy dziewczynki grały w softball, a Emma czekała za linią, żeby wejść na boisko, wuefista stojący z tyłu ścisnął ją za ramiona. Był to najprawdopodobniej zupełnie niewinny gest, ale potem Emma powiedziała mamie, że się przestraszyła.

- Co mam zrobić? - zapytała mnie Piper. - Albo uwierzę nauczycielowi na słowo, albo wyjdę na nadopiekuńcza mamusię-kwokę.

Zanim jednak zdążyłam powiedzieć, co myślę, sama rozstrzygnęła swoje wątpliwości.

- To moja córka - oznajmiła. - Jeśli będę siedzieć cicho, mogę tego pożałować.

Kochałam Piper Reece. Ale ciebie zawsze będę kochać bardziej.

Z bijącym sercem wyjęłam wizytówkę z tylnej kieszeni spodni. Prędko, żeby nie stchórzyć w ostatniej chwili, wystukałam numer.

- Marin Gates - zabrzmiało w słuchawce.

- Och - jęknęłam, zaskoczona. O tak późnej porze człowiek spodziewa się raczej automatycznej sekretarki. - Myślałam, że nie będzie pani w pracy...

- Kto mówi?

- Charlotte O'Keefe. Byłam u państwa kilka tygodni temu z mężem, rozmawialiśmy o...

- Tak, pamiętam - odpowiedziała.

Owinęłam sobie kabel od słuchawki dookoła ręki, niczym węża pokrytego metalową łuską, obracając w myślach słowa, które miałam w niego wtłoczyć, wypuścić na świat, wcielić w życie.

- Pani O'Keefe? Słucham panią.

- Chciałabym... złożyć skargę.

Na chwilę zapadła cisza.

- Najlepiej będzie, żebyśmy umówiły się na spotkanie - zaproponowała wreszcie adwokatka. - Przekażę sekretarce, żeby jutro do pani zadzwoniła.

- Nie - powiedziałam, a potem jeszcze pokręciłam głową. - To znaczy, możemy się umówić, ale jutro nie będzie mnie w domu. Jestem z Willow w szpitalu.

- Przykro mi to słyszeć.

- Nie, nie, wszystko w porządku. To znaczy: nie wszystko, bo przecież jest chora, ale przyjechałyśmy na rutynową terapię. Wracamy w czwartek.

- Zanotuję sobie.

- Dobrze. - Oddech miałam krótki, pospieszny. - Dobrze.

- Proszę pozdrowić męża i córki - powiedziała Marin Gates.

- Mam tylko jedno pytanie - wypaliłam, ale ona zdążyła już odłożyć słuchawkę. Przcisnęłam wargi do metalowego sitka, czując jego gorzki smak. - Czy pani by to zrobiła? - wyszeptałam. - Czy na moim miejscu zrobiłaby pani to samo?

- „Aby uzyskać połączenie - odezwał się mechaniczny głos automatycznej centrali - odłóż słuchawkę i spróbuj ponownie”.

Co powie Sean?

Nic. Nic nie powie, bo ja mu nic nie powiem. Nie przyznam się, co zrobiłam.

Wróciłam do twojego pokoju. Spałaś, pochrapując cichutko. Ekran włączonego telewizora (przed zaśnięciem oglądałaś film) zalewał łóżko czerwienią, zielenią i złotem, barwami wczesnej jesieni. Położyłam się na rozkładanym fotelu, a uczynna pielęgniarka pomogła mi urządzić posłanie; dostałam od niej wytarty koc i poduszkę trzeszczącą jak pękająca kora.

Przeciwległą ścianę pokrywało malowidło: stara mapa, na której widniał piracki statek mierzący dziobem poza jej granice. Jeszcze nie tak dawno temu żeglarze wierzyli, że wszystkie morza spadają do otchłani, a płynąc według kompasu, można dotrzeć do miejsc, gdzie żyją smoki. Wyobraziłam sobie odkrywców wyruszających na krańce świata. Jak bardzo musieli się bać, wiedząc, że ryzykują upadek w bezdenną przepaść, i jak wielkie musiało być ich zdumienie, kiedy się okazało, że zamiast zagłady czekają na nich miejsca, jakie do tej pory widzieli tylko w snach.

## Piper

Znałam Charlotte od ośmiu lat. Spotkałyśmy się na najbardziej chyba mroźnym lodowisku w całym stanie New Hampshire, w szatni, gdzie przebierałyśmy nasze czteroletnie wtedy córki do występu w zimowej rewii na lodzie, urządzanego przez miejscowy klub łyżwiarski; przez czterdzieści pięć sekund miały być gwiazdami. Czekałam na Emmę, która kończyła wiązać łyżwy, a dookoła inne mamy czesały swoim córkom włosy w koczki i zaciągały wstążki przy ich lśniących kostiumach. Szło im to jak z płatka, pośród rozmów na takie tematy, jak kiermasz ozdobnego papieru do pakowania świątecznych prezentów organizowany przez klub łyżwiarski dla zgromadzenia funduszy albo też nierozgarnięty mąż, który zapomniał porządnie naładować kamerę. Charlotte mocno odstawała od tego swobodnego pokazu sprawności i umiejętności. Siedziała osobno, gdzieś na boku, i próbowała przekonać wyjątkowo upartą Amelię do upięcia włosów.

- Inaczej pani nie puści cię na lód. Wszystkie musicie wyglądać jednakowo.

Pomyślałam, że skądś ją znam, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć, żebyśmy już się spotkały. Podałam jej kilka wsuwek do włosów.

- W razie potrzeby - uśmiechnęłam się - mam też uniwersalny klej i lakier okrętowy. To nie jest nasz pierwszy sezon w tym Auschwitz na lodzie.

Charlotte roześmiała się głośno, biorąc ode mnie wsuwki.

- Przecież one mają dopiero po cztery lata!

- Trzeba wcześniej zaczynać, żeby mieć co opowiadać psychoterapeucie - zażartowałam. -

A tak przy okazji, jestem Piper, dumna i twarda matka małej łyżwiarki.

Wyciągnęła do mnie dłoń.

- Charlotte.

- Mamo - wtrąciła Emma - to jest Amelia. Opowiadałam ci o niej w zeszłym tygodniu.

Dopiero co tutaj przyjechała.

- Przeprowadzka za pracą - wyjaśniła Charlotte.

- Kto dostał tu posadę? Ty czy twój mąż?

- Nie mam męża - odpowiedziała. - Jestem nowym kierownikiem cukierni w restauracji

Capers.

- Ach, to stąd cię znam. Czytałam o tobie w gazecie. Był taki artykuł...



Charlotte oblała się rumieńcem.

- Nie wierz w to, co wypisują gazety...

- Powinnaś być dumna! Ja nie potrafię upiec nawet ciasta z torebki. Na całe szczęście moja praca nie wymaga takich umiejętności.

- A czym się zajmujesz?

- Jestem lekarzem położnikiem.

- No, to moja specjalność wysiada przy twojej - powiedziała Charlotte. - U mnie w pracy ludzie tyją. U ciebie przeciwnie, tracą na wadze.

Emma wetknęła palec w dziurę w swoim kostiumie.

- Spadnie mi to, bo nie umiesz szyć - poskarżyła się.

- Nic ci nie spadnie. - Westchnęłam. - Musiałam zszyć pacjentkę i na zszycie kostiumu nie wystarczyło już czasu - wyjaśniłam nowej znajomej - więc skleiałam szwy pistoletem z gorącym klejem.

- Następnym razem - obiecała Charlotte mojej córce - przesyję ci kostium razem z kostiumem Amelii.

To mi się spodobało: ona już liczyła na to, że zostaniemy przyjaciółkami. Pisany nam był wspólny los wywrotowych matek mających za nic ustalony porządek. Dokładnie w tym właśnie momencie do szatni zajrzała nauczycielka.

- Amelia! Emma! - warknęła. - Wszyscy na was czekają! - Dziewczynki, szybciutko. Słyszycie, pani Ewa Braun czeka.

Emma spojrzała na mnie z naganą.

- To jest pani Helen, mamusiu.

Charlotte zaśmiała się głośno.

- Połamania nóg! - zawołała za dziewczynkami drepczącymi pospiesznie w kierunku wyjścia na taflę. - A może to nie działa, kiedy scena jest z lodu?

Mówią, że każdy z nas może odnaleźć w swojej przeszłości ścieżkę prowadzącą do ostatecznego celu, zamaskowaną jak tajemne oznaczenia na starej mapie, które pokazują drogę do skarbu. Nie wiem, czy to prawda, ale tamte słowa Charlotte, te życzenia powodzenia, zapadły mi głęboko w pamięć. Czy to dlatego, że urodziłaś się chora? A może odwrotnie - urodziłaś się, bo pamiętałam, co powiedziała twoja mama?

Rob objął mnie, całując w usta i pocierając kolaniem o moje uda.

- Nie możemy - szepnęłam. - Emma jeszcze nie śpi.

- Przecież tutaj nie wejdzie...

- Jesteś pewny?

Zwiesił głowę, kładąc mi twarz na ramieniu.

- Ona wie, że uprawiamy seks. Inaczej by jej nie było.

- A ty lubisz myśleć, co twoi rodzice robili w łóżku?

Skrzywił się niechętnie i odsunął ode mnie.

- No dobra, udało ci się zepsuć nastrój.

- Daj Emmie jeszcze dziesięć minut - zaśmiałam się na to. - Jak zaśnie, popracuję nad nastrojem.

Rob podłożył ręce pod głowę, zapatrzył się w sufit.

- Jak myślisz, ile razy w tygodniu Charlotte i Sean to robią?

- Nie wiem!

Zerknął na mnie z ukosa.

- Wiesz, na pewno. Dziewczyny gadają o takich rzeczach.

- No dobrze. Więc po pierwsze primo: dziewczyny nie gadają o takich rzeczach. A po drugie primo, nawet gdybyśmy o tym rozmawiały, to nie ciekawi mnie, jak często moja najlepsza przyjaciółka uprawia seks ze swoim mężem.

- Jasne - parsknął Rob. - I może jeszcze nigdy nie ciekawiło cię, jaki Sean jest w łóżku?

Uniosłam się na łokciu.

- A ty?

- On nie jest w moim typie... - Wyszczrzył zęby.

- Umieram ze śmiechu. - Przyjrzałam mu się uważnie. - Charlotte? Naprawdę?

- No, wiesz... Tak tylko z ciekawości. Nawet Gordon Ramsay czasami sobie przypomni, że na świecie jest coś takiego jak Big Mac.

- Czyli ja jestem wykwintnym daniem dla smakoszy, a Charlotte to fast food?

- Kiepska przenośnia - przyznał Rob.

Sean O'Keefe był wysoki, silny, groźny z wyglądu i wręcz kwadratowej budowy w porównaniu ze szczupłym Robem, który miał sylwetkę biegacza, delikatne dłonie chirurga i nałogowo pochłaniał książki. Zakochałam się w nim między innymi dlatego, że zaimponowałam mu intelektem, a nie nogami. Jeżeli nawet byłam kiedyś ciekawa, jak by było w łóżku z Seanem,

to zdusiłam tę ciekawość w zarodku; po tylu latach rozmów z Charlotte znałam go zbyt dobrze, żeby mógł mi się fizycznie podobać.

Sean miał emocjonalny charakter, który przenosił się także na jego postawę wobec rodziny. Kochał do szaleństwa swoje dziewczynki, a w stosunku do Charlotte był dyskretny i troskliwy. Rob natomiast działał mózgiem, nie instynktem. Jak by to było stać się nagle celem tak skumulowanego, żarliwego uczucia? Spróbowałam sobie wyobrazić Seana w łóżku. Czy spał w spodniach od pizamy, tak jak Rob? A może na waleta?

- O - zauważył Rob. - Nie wiedziałem, że jak się rumienisz, to rumieniec sięga ci aż do...

Podciągnęłam kołdrę pod brodę.

- Jeśli już jesteś taki ciekawy - powiedziałam - to sądzę, że rzadziej niż raz w tygodniu. Willow jest chora, a Sean pracuje na zmiany, więc najczęściej pewnie nie mają nawet okazji zbyt często leżeć w nocy w jednym łóżku.

To było dziwne, ale uświadomiłam sobie w tej chwili, że nigdy nie rozmawiałam z Charlotte o seksie. Nie dlatego, że się przyjaźniłyśmy, ale dlatego, że byłam jej lekarzem. Musiałam pytać swoje pacjentki, czy mają problemy podczas stosunku. Czy pytałam o to Charlotte? A może pominęłam ten punkt wywiadu, bo o coś takiego można zapytać obcą osobę, nie przyjaciółkę? Wtedy seks służył wyłącznie celom praktycznym: zająć w ciążę, urodzić dziecko. A teraz? Czy Charlotte była szczęśliwa? Czy rozmawiali z Seanem w sypialni o tym, o czym my w tej chwili, czy porównywali się z nami?

- A my, tak się składa, leżymy dziś w jednym łóżku. - Rob pochylił się nade mną. - Możemy skorzystać z tej okazji?

- Emma...

- Już dawno śpi. - Rob ściągnął ze mnie górę od pizamy. - Ja natomiast nie śpię, ale chyba śnię...

Objęłam go za szyję i pocałowałam. Głęboko, powoli.

- Dalej myślisz o Charlotte?

- O kim? - mruknął, oddając pocałunek.

Raz w miesiącu chodziliśmy z Charlotte do kina, a po filmie - do obskurnej knajpy noszącej nazwę Pod Paskiem. Ta nazwa zawsze mnie bawiła ze względu na ginekologiczne skojarzenie, które, jestem tego całkiem pewna, umknęło całkowicie właścicielowi lokalu. Zwał się on Maxie, był stary i siwy, pochodził z Maine, gdzie był rybakiem, a gdy raz zamówiliśmy

chardonnay, poinformował nas, że takiego piwa to on nie prowadzi. Nawet kiedy w kinie grali tylko jakieś straszne, krwawe horrory albo komedie dla nastolatków, wyciągałam Charlotte na ten jeden wieczór. Gdyby nie to, nie wychodziłaby z domu na krok przez nie wiem ile dni z rzędu.

Największą atrakcją knajpy Maxiego był jego wnuk Moose, który grał kiedyś w uniwersyteckiej drużynie futbolowej na pozycji wspomagającego, ale wyleciał, kiedy na uczelni wybuchł skandal po wykryciu fałszowania wyników egzaminów. Wrócił do domu, żeby przemyśleć swoje położenie, a tymczasowo zatrudnił się u dziadka jako barman - i tak już zostało. Pracował tutaj od trzech lat. Miał dwa metry wzrostu, blond włosy, piękną muskulaturę i umysł dorównujący ostrością szpatułce.

- Proszę - powiedział, puszczając po kontuarze kufel jasnego piwa, które zamówiła Charlotte. Nawet na niego nie spojrzała.

Widziałam, że coś ją gryzie. Próbowала odwołać nasz wypad do kina, ale stanowczo się nie zgodziłam - i co z tego, kiedy przez cały czas była nieobecna i rozkojarzona. Myślałam, że martwi się o ciebie, bo rzeczywiście było o co: wyjazd na wlew pamidronianu, połamane nogi, zespolenie kości udowych. Uznałam więc, że muszę ją czymś rozerwać.

- Mrugnął do ciebie - oznajmiłam, kiedy tylko Moose odwrócił się, żeby obsłużyć innego klienta.

- Nie wygłupiaj się - prychnęła Charlotte. - Za stara jestem na podryw.

- Czterdzieści cztery lata to dwadzieścia dwa w nowym wymiarze.

- Pogadamy, jak sama będziesz tyle miała.

- Przecież jestem od ciebie wszystkiego dwa lata młodsza! - zaśmiałam się, pociągając łyżeczek piwa. - Boże, ależ jesteśmy żalodne. On pewnie teraz myśli: „Biedne mamuśki, co mogę dla nich zrobić? Chyba udam, że mi się podobają, chociaż trochę”.

Charlotte uniosła swój kufel.

- Za mojego męża, który ma już tyle lat, że może wynająć samochód.

To ja poznałam ze sobą twoich rodziców. Taka już chyba jest ludzka natura, że kiedy ma się męża albo żonę, a przyjaciele są wciąż samotni, to coś każe koniecznie znaleźć im partnera. Charlotte nigdy nie wyszła za mąż - ojciec Amelii był narkomanem, próbował zerwać z nałogiem, kiedy Charlotte była w ciąży, poległ na całej linii, a potem wyjechał do Indii z siedemnastoletnią tancerką na rurze. Tak więc kiedy pewnego razu zatrzymał mnie za

przekroczenie prędkości naprawdę przystojny policjant, który dodatkowo nie miał na palcu obrączki, to od razu zaprosiłam go na kolację, żeby poznał Charlotte.

- Nie bawię się w randki w ciemno. - Usłyszałam od twojej mamy.

- To znajdź go w Internecie.

Dziesięć minut później oddzwoniła przerażona; oprócz Seana O'Keefe z policji w Bankton znalazła też przestępcę o tym nazwisku, który siedział za molestowanie dzieci, ale niedawno wyszedł na zwolnienie warunkowe. Dziesięć miesięcy później była już żoną tego pierwszego.

Zerknęłam na Moose'a; ustawiał szklanki za barem, a światło pięknie grało na jego mięśniach.

- Jak ci idzie z Seanem? - zapytałam. - Przekonałeś go już?

Charlotte podskoczyła, o mały włos nie wylewając swojego piwa.

- Do czego? - zapytała.

- Do zespolenia kości udowych. Kojarzysz?

- A, prawda. Zapomniałam, że ci o tym mówiłam.

- Przecież codziennie do siebie dzwoniemy. - Przyjrzałam się jej uważniej. - Na pewno wszystko w porządku?

- Muszę się tylko porządnie wyspać - odpowiedziała, ale nie patrzyła na mnie, tylko w swój kufel. Wodziła palcem po krawędzi, aż szkło zaczęło dźwięczeć. - Wiesz, w Bostonie wpadł mi w ręce jakiś magazyn... Znalazłam artykuł, gdzie pisali, że rodzice pozwali szpital, bo ich syn urodził się chory na mukowiscydozę.

Potrząsnęłam głową.

- Ta psychologia doprowadza mnie do szału. Zwal na kogoś winę, od razu czujesz się lepiej.

- Może naprawdę ktoś był winny.

- To kwestia szczęścia. Wiesz, co by powiedział położnik? „O, urodziło im się dziecko z defektem”. I to nie jest ocena, tylko stwierdzenie faktu.

- Dziecko z defektem - powtórzyła Charlotte. - Chcesz powiedzieć, że moje dziecko jest właśnie takie?

Czasami potrafię palnąć coś bez zastanowienia, tak jak wtedy; za późno przypomniałam sobie, że Charlotte ma osobisty stosunek do tego zagadnienia. Twarz zaczęła mi płonąć.

- Nie mówiłam o Willow. Ona jest...

- Idealna? - dokończyła Charlotte wyzywającym tonem.

Sękałam w tym, że ty naprawdę byłaś idealna. Umiałaś pokazać najzabawniejszą parodię Paris Hilton, jaką w życiu widziałam. Znałaś alfabet wspak i mogłaś go wyśpiewać na życzenie. Miałaś twarzyczkę o rysach delikatnych jak elf z bajki. Te łamliwe kości były najmniej istotną częścią twojej osoby. Nagle Charlotte skapitulowała.

- Przepraszam. Nie powinnam tak mówić.

- Nie, to ja powinnam najpierw ruszyć mózgowicą, zanim coś powiem.

- Po prostu jestem ciężko zmęczona - powiedziała Charlotte. - Lepiej pójdę już do domu. -

Powstrzymała mnie, widząc, że też zsuwam się ze stołka. - Zostań, dopij piwo.

- Odprowadzę cię do samochodu...

- Jestem dużą dziewczynką, Piper. Tylko zapomnij, o czym mówiłam.

Skinęłam głową. I zapomniałam, idiotka.

## Amelia

No więc siedzę sobie w szkolnej bibliotece - jest to jedno z bardzo niewielu miejsc, gdzie mogę udawać, że twoja choroba nie rządzi niepodzielnie także moim życiem - kiedy nagle widzę w jakimś magazynie zdjęcie kobiety, która wygląda kubek w kubek jak ty. Dziwne to było, zupełnie jak na liście gończym FBI, kiedy szukają dziecka porwanego dziesięć lat wcześniej; postarza się wtedy ostatnie zdjęcie, żeby ludzie mogli rozpoznać zaginioną osobę na ulicy. Tamta kobieta miała, tak jak ty, miękkie, jedwabiste włosy, spiczasty podbródek i krzywe nogi. Poznałam już w życiu kilkoro dzieci chorych na OI i wiedziałam, że wszystkie wyglądacie podobnie, ale to już była przesada.

A jeszcze dziwniejsze było to, że ta kobieta trzymała na rękach dziecko, a obok niej stał prawdziwy olbrzym. Obejmował ją ramieniem i uśmiechał się do obiektywu, prezentując ohydny przodozgryz.

„Alma Dukins - głosił podpis - ma tylko 96 cm wzrostu. Jej mąż Grady - 192 cm”.

- Co robisz? - zapytała Emma.

Emma była moją najlepszą przyjaciółką od... w sumie od zawsze. Po tym koszmarnym wypadku do Disneylandu, kiedy w szkole się rozeszło, że zabrali mnie na noc do rodziny zastępczej, Emma po pierwsze nie odwróciła się ode mnie jak od trędowatej, a po drugie ogłosiła, że każdy, kto mnie tak potraktuje, dostanie od niej osobiście. Kiedy przeglądałam ten magazyn, stanęła za mną i zajrzała mi przez ramię.

- Hej, ta babka wygląda jak twoja siostra.

Skinęłam głową.

- Też jest chora na OI. Może Willow zamienili w szpitalu?

Emma opadła na wolne krzesło stojące obok.

- To jej mąż? Mój tata by mu poprawił ten zgryz. - Przyjrzała się bliżej. - Boże, jak oni w ogóle to robią?

- Nie bądź wstrętna - przerwałam jej, chociaż sama się nad tym zastanawiałam.

Emma strzeliła balonem z gumy.

- Pewnie jak się leży i świntuszy, to wszyscy są jednego wzrostu - powiedziała. - Myślałam, że Willow nie będzie mogła mieć dzieci.

Mnie też się tak wydawało. Chyba nikt jeszcze z tobą nie rozmawiał poważnie na ten

temat, bo miałaś dopiero pięć lat, a ja, zapewniam cię, naprawdę nie chciałam zawracać sobie głowy takimi brudami - ale skoro coś mogło ci pęknąć od zwykłego kichnięcia, to w jaki sposób miałaś wypchnąć na świat dziecko, nie mówiąc już o wepchnięciu... no, wiesz?

Wiedziałam, że jeśli kiedyś zechcę mieć fasolkę, to się o nią postaram i już. Ale w twoim wypadku to nie mogło być łatwe, chociaż może i możliwe. niesprawiedliwość losu, powiedziałaabyś. Racja - czy dla ciebie los w ogóle był kiedyś sprawiedliwy?

Nie mogłaś jeździć na łyżwach. Ani na rowerze. Ani na nartach. Nawet kiedy bawiłyśmy się w coś, co wymagało fizycznego wysiłku - na przykład w chowanego - mama zawsze się upierała, żeby dla ciebie odliczać dwa razy dłużej. Udawałam, że mi się to nie podoba jak nie wiem co, żebyś nie czuła się specjalnie traktowana, ale w głębi serca wiedziałam, że tak trzeba. W aparacie ortopedycznym, o kulach czy na wózku nie mogłaś poruszać się tak szybko jak ja i o wiele dłużej zajmowało ci dotarcie do kryjówki. „Amelia, zaczekaj!” - słyszałam zawsze od ciebie, kiedy szłyśmy dokądś razem - i zawsze czekałam, wiedząc, że mogę zostawić cię w tyle na sto różnych sposobów.

Dorosnę, a ty dalej będziesz miała wzrost dziecka.

Pójdę na studia, wyprowadzę się z domu i nie będę musiała się martwić, czy dam radę zdjąć pistolet z dystrybutora z benzyną albo dosięgnąć klawiszy w bankomacie.

Może nawet znajdę sobie faceta, który nie będzie mnie uważał za kompletną ofiarę, wyjdę za niego i urodzę fajne dzieciaki. I będę mogła nosić je na plecach, nie bojąc się mikrozlamań kręgosłupa.

Przebiegłam wzrokiem tekst artykułu, drobne literki obok zdjęcia.

5 marca 2007 r. Alma Dukins, lat 34, urodziła zdrową córkę. Alma choruje na *osteogenesis imperfecta* typu III. Ma 96 cm wzrostu, a przed ciążą ważyła 17,5 kg. W trakcie ciąży przybrała na wadze 8,5 kg. Poród odbył się poprzez cesarskie cięcie w 32. tygodniu, kiedy filigranowe ciało nie mogło dłużej pomieścić powiększającej się macicy. Córka Almy, Lulu, po urodzeniu ważyła 1,98 kg przy wzroście 42 cm.

W chwili obecnej byłaś na etapie zabawy lalkami. Mama mówiła, że ze mną było tak samo, chociaż ja pamiętam tylko, że wrywałam lalkom ręce i nogi, a do tego strzygłam je na tyso. Widziałam czasem, że przygląda się z pochmurną twarzą, jak gipsujesz rękę lalce, temu sztucznemu dziecku; pewnie myślała o tym, że prawdziwego możesz nigdy nie urodzić, ciesząc się jednocześnie, że nie dowiesz się, jak to jest, kiedy kość z twojej kości łamie się, pęka, sto,



tysiąc razy. Bo ona to wiedziała.

Ale niezależnie od tego, co myślała mama, ten artykuł był dowodem, że chorzy na OI mogą założyć rodzinę. Ta cała Alma Dukins miała typ III, jak ty, tylko że ty mogłaś chodzić, a ona była przykuta do wózka inwalidzkiego. Mimo to jednak udało jej się znaleźć męża (nieważne, że z takim głupim uśmiechem) i urodzić własne dziecko.

- Powinnaś pokazać to Willow - powiedziała Emma. - Weź sobie to pismo. Nikt nie zauważy.

Rozejrzałam się więc, czy bibliotekarka dalej siedzi przed kompem i zamawia ciuchy na Gap.com (podejrzałyśmy ją kiedyś), a potem, udając, że złapał mnie kaszel, zgięłam się wpół i schowałam magazyn pod kurtkę. Na koniec uśmiechnęłam się słabo do bibliotekarki, która zerknęła na mnie, sprawdzając, czy nie zamierzam wypluć płuc na podłogę.

Emma myślała, że zaniosę ci ten artykuł, może nawet pokażę go mamie, żebyście zobaczyły, że kiedyś, jak dorośniesz, będziesz mogła wyjść za męża i mieć dzieci. Ale ja ukradłam ten magazyn z zupełnie innego powodu. Bo widzisz, w tym roku szłaś do przedszkola. Potem miałaś pójść do szkoły, a pewnego dnia znaleźć się w siódmej klasie, tak jak ja. I mogłaś w tej samej bibliotece natknąć się na ten sam głupi magazyn i zobaczyć to samo, co ja zobaczyłam na tym zdjęciu: przepaść pomiędzy Almą a jej mężem i to dziecko, olbrzymiego noworodka w jej maleńkich ramionach.

Dla mnie tak nie wygląda szczęśliwa rodzina. To był normalny cyrk, tylko bez namiotu i areny. Inaczej kto by o tym napisał? Zwyczajne rodziny nie interesują dziennikarzy.

Na angielskim wyszłam do łazienki. Wyrwałam stronę z artykułem i podarłam ją na drobniutki, jak najdrobniejsze kawałeczki, które potem spuściłam w ubikacji. Musiałam cię chronić, a nic lepszego nie mogłam dla ciebie zrobić.

## Marin

Ludzie myślą, że prawo to jakiś mityczny pałac sprawiedliwości, jak w telewizji, ale w rzeczywistości moja praca bardziej przypomina kiepski serial komediowy. Reprezentowałam kiedyś kobietę, która kupiła w lokalnym sklepie indyka na Święto Dziękczynienia i włożyła go do reklamówki; torba pękła, indyk wypadł i złamał jej kość śródstopia. Kobieta pozwała sklep, ale dołączyliśmy do skargi także producenta reklamówek i nasza klientka wyszła z sądu - dodam, że na własnych nogach, nie o żadnych kulach - bogatsza o kilkaset tysięcy dolarów.

Inna kobieta wracała samochodem do domu o drugiej w nocy. Jechała sto trzydzieści na godzinę i wpadła na ciężarówkę z naczepą; było to na bocznej drodze, a kierowca zgubił się i cofał, żeby zawrócić. Zginęła na miejscu. Jej mąż chciał pozwać producenta ciężarówek za brak boczego oświetlenia naczepy; gdyby było w tym miejscu, jego żona zobaczyłaby je i zahamowała w porę. Oskarżyliśmy też kierowcę o spowodowanie, w wyniku zaniedbania, śmierci tej kobiety oraz o pozbawienie małżonka wsparcia wynikającego z pożycia małżeńskiego, domagając się milionów dolarów tytułem zadośćuczynienia za fakt, że ten mężczyzna stracił ukochaną. Niestety, w trakcie postępowania obrońca pozwanego odkrył, że żona mojego klienta miała romans i tej nocy wracała od kochanka.

Raz się wygrywa, raz się przegrywa.

Patrząc na Charlotte O'Keefe, która siedziała w moim gabinecie, kurczowo ściskając w dłoni komórkę, nie miałam wielkich wątpliwości, jak zakończy się ta sprawa.

- Gdzie jest Willow? - zapytałam.

- Na rehabilitacji - odparła. - Ma zajęcia do jedenastej.

- Co z jej nogami? Goją się dobrze?

- Odpukać - westchnęła.

- Czeka pani na telefon?

Charlotte spojrzała ze zdziwieniem na swoją komórkę, jakby dopiero zauważyła, że ją trzyma w ręce.

- Nie, nie. To znaczy, mam nadzieję, że nikt nie zadzwoni. Chcę tylko być uchwytana, gdyby Willow coś się stało.

Wymieniłyśmy uprzejme uśmiechy.

- Czy będziemy... - zapytałam z wahaniem - ...czekać na pani męża?

Rumieniec.

- Sean nie przyjdzie.

Jeśli mam być szczerą - zaskoczył mnie telefon od Charlotte O'Keefe i jej prośba o spotkanie. Jej mąż bardzo jasno wyraził swoją opinię, urządzając awanturę i wychodząc bez pożegnania z gabinetu Boba. Po tym ostatnim telefonie można było się domyślać, że ochłonął i dojrzał do złożenia skargi, lecz teraz, gdy spojrzałam na Charlotte, opadło mnie złe przeczucie.

- Ale mąż chce, żeby był proces, prawda? - zapytałam.

Nerwowe drgnięcie.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogę zrobić tego sama.

- Oczywiście odpowiedź na to pytanie brzmi: bo on wcześniej czy później i tak o wszystkim się dowie. Ale jest też przeszkoda natury prawnej. Opieka nad Willow i jej wychowanie to państwa wspólna odpowiedzialność. Powiedzmy, że na własną rękę wynajmie pani adwokata i uzyska odszkodowanie od lekarza, o którym tutaj mowa, a potem wpadnie pani pod samochód i umrze. Pani mąż może ponownie pozwać tego samego lekarza, ponieważ nie wystąpił jako strona w procesie, który przeprowadzono na pani polecenie, i nie zwolnił rzeczonoego lekarza z odpowiedzialności. Z tego względu każdy pozwany będzie nalegał, aby porozumienie stron bądź też, jeżeli dojdzie do rozprawy, wyrok, uwzględniały oboje rodziców. A to oznacza, że nawet jeśli sierżant O'Keefe nie chce wnieść skargi, to i tak zostanie przypozwany - czyli wezwany do udziału w sprawie - aby uniknąć kolejnego procesu o to samo.

Charlotte zmarszczyła brwi.

- Rozumiem.

- Czy to będzie stanowiło problem?

- Nie - odpowiedziała. - Nie będzie z tym problemu. Ale... my nie mamy pieniędzy na adwokata. I tak już ledwie wiążemy koniec z końcem. Willow potrzebuje wielu rzeczy. Dlatego właśnie... dlatego chciałam z panią porozmawiać o procesie.

Każda kancelaria adwokacka - Bob Ramirez nie był wyjątkiem - zaczyna pracę od analizy kosztów i korzyści. Państwo O'Keefe musieli czekać tak długo na naszą odpowiedź po pierwszym spotkaniu, ponieważ w tym czasie konsultowałam zasadność roszczenia ze specjalistami oraz badałam z należytą starannością przebieg podobnych spraw i wysokość wypłaconych odszkodowań. Upewniwszy się, że możemy liczyć przynajmniej na zwrot kosztów pracy kancelarii i honorariów dla biegłych, zadzwoniłam do naszych potencjalnych klientów z

informacją, że ich roszczenie jest uzasadnione.

- O wynagrodzenie dla adwokatów nie musi się pani martwić - powiedziałam bez zająknięcia. - Odszkodowanie je pokryje. Z tym że musi pani wiedzieć jedno: w praktyce większość spraw z tytułu niedobrego urodzenia nie trafia do sądu i kończy się ugodą opiewającą na mniejszą sumę, niż mogłaby zasądzić ława przysięgłych, ponieważ firmy ubezpieczające lekarzy od skutków błędów w sztuce nie chcą, żeby pisały o nich gazety. Natomiast siedemdziesiąt pięć procent spraw rozstrzyganych sędownie kończy się orzeczeniem na korzyść pozwanych. Pani skarga opiera się na błędnie zinterpretowanym obrazie USG, co może nie trafić do przekonania ławnikom, bo sonogramy nie należą do najbardziej przekonujących dowodów. Poza tym sprawa będzie pod baczny okiem opinii publicznej. Zawsze tak jest, kiedy ktoś wnosi pozew z tytułu niedobrego urodzenia.

Charlotte uniosła głowę.

- Ludzie pomyślą, że robię to dla pieniędzy. To pani chce powiedzieć?

- A nie jest tak? - zapytałam po prostu.

Jej oczy nagle zaszklily się łzami.

- Robię to dla Willow. Wydałam ją na świat, więc mam obowiązek zrobić wszystko, żeby cierpiała jak najmniej. To jeszcze nie czyni ze mnie potwora. - Otarła palcami kąciki oczu. - A może właśnie czyni?

Zacisnęłam zęby i podałam jej pudełko chusteczek, myśląc: cóż, oto jest pytanie za sto punktów.

Było całkiem możliwe, że ta sprawa będzie szła do sądu tak długo, że tymczasem ty dorośniesz i będziesz mogła w pełni zrozumieć konsekwencje decyzji twojej mamy - tak jak ja to rozumiałam w dniu, gdy powiedziano mi, że jestem adoptowana. Znałam to uczucie: pomyśleć, że własna matka cię nie chce. Bo tak naprawdę przez całe dzieciństwo próbowałam ją tłumaczyć. Fantazja numer 1: była zakochana do szaleństwa w chłopaku, z którym zaszła w ciążę, ale jej rodzina nie mogła znieść piętna wstydu i wysłała ją do Szwajcarii, niby to do szkoły, ale tak naprawdę, żeby urodziła tam dziecko, czyli mnie. Fantazja numer 2: chciała wyjechać jako wolontariuszka na misję Korpusu Pokoju i kiedy okazało się, że jest w ciąży, uznała, że dobro innych ludzi jest ważniejsze niż jej własna chęć posiadania dziecka. Fantazja numer 3: była aktorką, kochała ją cała Ameryka; gdyby się wydało, że jest samotną matką, straciłaby popularność na środkowym zachodzie, gdzie ludzie stawiają rodzinę na pierwszym miejscu.

Fantazja numer 4: klepała biedę u boku mojego ojca na jakiejś farmie mleczarskiej; oboje chcieli, żebym miała lepsze życie niż to, które mogli mi zaoferować.

Domyśliłam się, że każda kobieta ma w życiu jedną taką chwilę, kiedy uświadamia sobie, co to znaczy być matką. Dla mojej biologicznej matki mógł to być ten moment, kiedy oddała mnie pielęgniarce i powiedziała: żegnaj. Matka, która mnie wychowała, przeżyła to, siadając ze mną w kuchni i mówiąc: adoptowaliśmy cię. Twoja mama natomiast dowiedziała się tego w dniu, gdy postanowiła złożyć skargę do sądu, pomimo sprzeciwu najbliższych i potępienia ze strony opinii publicznej. Wydaje mi się, że dobra matka gotowa jest zaryzykować utratę swojego dziecka.

- Tak bardzo chciałam mieć jeszcze jedną córeczkę - powiedziała cicho Charlotte. - Przeżyć to razem z Seanem. Marzyłam, że będziemy chodzić na spacerów do parku i bujać ją na huśtawkach. Że będę z nią piec ciastka i chodzić na jej szkolne przedstawienia. Że nauczę ją jeździć na koniu i na nartach wodnych. Że to ona zaopiekuje się mną na starość. - Uniosła na mnie wzrok. - Nie myślałam, że będzie odwrotnie.

Przebiegł mnie dreszcz. Nie chciało mi się wierzyć, że ktoś, kto dał życie dziecku, może tak łatwo dać za wygraną, kiedy pojawiają się trudności.

- Rodzice przeważnie chyba się spodziewają, że czasem może być pod górkę - powiedziałam, siląc się na spokój.

- Nie miałam złudzeń. To nie było moje pierwsze dziecko. Wiedziałam, że Willow trzeba będzie się zająć, kiedy coś sobie zrobi, że będę musiała wstawać do niej w środku nocy, kiedy coś jej się przyśni. Ale nie spodziewałam się, że będzie chorować całymi tygodniami, całymi latami nawet. Że będę musiała być przy niej co noc. I że nigdy nie wyzdrowieje.

Spuściłam głowę, udając, że układam jakieś papiery, a tymczasem pomyślałam sobie: a jeśli moja matka oddała mnie, bo nie spełniałam jakichś jej oczekiwań?

- A jak sama Willow to przyjmie? - zapytałam, otwarcie występując jako adwokat diabła. - Jest bystra. Sądzi pani, że dobrze to zniesie, kiedy usłyszy, jak jej mama mówi: to dziecko nie powinno było się urodzić?

Charlotte zachnęła się niespokojnie.

- Ona wie, że to nieprawda - odpowiedziała. - Nie wyobrażam sobie życia bez niej.

W mojej głowie zapłonęło ostrzegawczo czerwone światło.

- Dosyć. Proszę mi tego nie mówić. Nawet prywatnie i półsłówkami. Jeśli wniesie pani tę

skargę, będzie musiała pani zaręczyć - pod przysięgą - że gdyby dowiedziała się pani na czas o chorobie córki, gdyby tylko miała ten wybór, to na pewno przerwałaby pani ciążę. - Zawiesiłam głos i odczekałam, aż Charlotte spojrzy mi w oczy. - Czy to będzie dla pani problem?

Uciekła wzrokiem gdzieś za okno.

- A czy można tęsknić za kimś, kogo się nigdy nie znało?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzała recepcjonistka Briony.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Marin - powiedziała - ale już jedenasta. Przyszedł następny klient.

- Jedenasta? - Charlotte zerwała się na równe nogi. - Spóźnię się. Willow umrze ze strachu. - Chwyciła torebkę i przerzuciwszy ją przez ramię, wybiegła na korytarz.

- Odezwę się do pani! - zawołałam za nią.

Dopiero po południu, kiedy zaczęłam się zastanawiać nad tym, co od niej usłyszałam, dotarło do mnie, że Charlotte O'Keefe na moje pytanie w kwestii aborcji odpowiedziała innym pytaniem.

## Sean

W sobotni wieczór, o godzinie dwudziestej drugiej, zrozumiałem z całą jasnością, że pójdę prosto do piekła.

W sobotnie wieczory człowiek nagle przypomina sobie, że każde senne miasteczko, jakie widuje się na pocztówkach z Nowej Anglii, cierpi na rozdwojenie jaźni. Wtedy zdrowych, uśmiechniętych chłopców, jak prosto z okładki magazynu „Yankee” można zobaczyć w lokalnej knajpie nieprzytomnych, pijanych w sztok. W sobotnie wieczory samotne nastolatki z akademików wieszają się w szafach, a studenci gwałcą licealistki.

W sobotni wieczór policjant zatrzymuje nietrzeźwego kierowcę, który tak się telepie za kółkiem, że tylko patrzeć, jak kogoś potrąci. Tamtego wieczoru przystanąłem naprzeciwko parkingu pod bankiem. W pewnej chwili minęła mnie biała toyota camry. Wlokła się jak żółw, jadąc praktycznie po żółtej przerywanej linii. Włączyłem koguta i ruszyłem za samochodem, czekając, aż zjedzie na pobocze.

Wysiadłem z radiowozu i podszedłem do okna od strony kierowcy.

- Dobry wieczór - zacząłem - czy wie pan, dlaczego... - Ale nie usłyszałem, czy wie, dlaczego go zatrzymałem. Bo kiedy szyba zjechała w dół, wyjrzała zza niej twarz naszego księdza.

- O, Sean, to ty - powiedział ojciec Grady. Miał bujną siwą czuprynę (Amelia mówiła, że czesze się „na Einsteina”), a pod szyją koloratkę. Zaszklone oczy lśniły w półmroku.

Zawahałem się chwilę.

- Proszę księdza, muszę poprosić o prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

- Oczywiście. - Ojciec Grady sięgnął do schowka. - To twoja praca. - Patrzyłem, jak się grzebie i trzy razy upuszcza prawo jazdy, zanim trafił z nim do okna, żeby móc je wziąć. Zajrzałem do środka, ale w samochodzie nie było żadnych butelek ani puszek.

- Jechał ksiądz zygzakiem, od pobocza do pobocza.

- Tak?

Zalatywało od niego alkoholem.

- Pił ksiądz coś dziś?

- Co to, to nie...

Księża też mogą kłamać, prawda?

- Proszę wysiąść.

- Nie ma sprawy, Sean. - Ojciec Grady wytoczył się z samochodu i oparł o maskę, wciskając dłonie do kieszeni. - Coś nie widziałem ostatnio twojej rodziny w kościele...

- Czy nosi ksiądz soczewki kontaktowe?

- Nie...

Jest to pierwsze z serii pytań, które zadaje się przy sprawdzaniu, czy kierowca nie ma oczopląsu poziomego, który może wskazywać na odurzenie alkoholem.

- Proszę podążać wzrokiem za światłem - powiedziałem, wyjmując kieszonkową latarkę i unosząc ją tak, że promień padł na czoło księdza, tuż nad oczami. - Tylko wzrokiem, bez poruszania głową - dodałem. - Rozumie ksiądz?

Przytaknął. Sprawdziłem, czy źrenice są równej wielkości i czy nie ma problemów z koncentracją spojrzenia, zauważając, że ruch gałki ocznej nie jest płynny; w jej krańcowym położeniu, kiedy promień latarki musnął lewe ucho księdza, wychwyciłem oczopląs.

- Dziękuję księdzu. Teraz proszę stanąć na prawej nodze, o tak.

- Zademonstrowałem, a on uniósł lewą nogę. Zachwiał się, ale ustał prosto. - A teraz na lewej - poprosiłem i tym razem zatoczył się w przód. - Dobrze, proszę księdza, jeszcze ostatnia rzecz: proszę przejść kilka kroków, stawiając stopy w jednej linii. - Pokazałem, o co chodzi, a potem patrzyłem, jak ojciec Grady potyka się o własne nogi.

Bankton jest tak małe, że na patrolu jeździliśmy pojedynczo, bez partnerów. Mógłbym pewnie puścić naszego księdza; nikt by się o niczym nie dowiedział, a być może on sam szepnąłby za mną dobre słówko tam, do góry. Ale gdybym tak zrobił, oszukałbym siebie - a to był równie ciężki grzech jak jazda po pijaku. Przecież nie wiadomo, kogo zalany ksiądz mógł spotkać na drodze do domu. Nastolatka, który miał dziś randkę? Ojca wracającego z podróży służbowej? Matkę wiozącą chore dziecko do szpitala? Zamiast pomagać kapłanowi, musiałem zatroszczyć się o tych, których mógł skrzywdzić w obecnym stanie.

- Bardzo mi przykro, ale muszę aresztować księdza za jazdę pod wpływem alkoholu. - Odczytałem mu prawa i łagodnie pociągnąłem go w kierunku tylnych drzwi radiowozu.

- A mój samochód?

- Zostanie odholowany. Jutro go ksiądz odbierze.

- Przecież jutro jest... niedziela!

Byliśmy niecały kilometr od komendy, co mnie cieszyło, bo nie dałbym rady prowadzić



towarzyskich pogaduszek z naszym księdzem po tym, jak go aresztowałem. Na posterunku powiedziałem ojcu Grady'emu, że chcę go zbadać alkomatem, najpierw jednak odwałem całą skomplikowaną procedurę związaną z dorozumianą zgodą zatrzymanego na test.

- Ma ksiądz prawo zażądać, aby podobne badanie przeprowadziła osoba wskazana przez księdza - poinformowałem go. - Będzie to badanie dodatkowe i zostanie ksiądz zapytany, czy chce się mu poddać. Odmowa wykonania testu alkomatem przez funkcjonariusza policji grozi utratą prawa jazdy na czas stu osiemdziesięciu dni, jeśli zaś zostanie ksiądz sądownie ukarany utratą prawa jazdy za jazdę pod wpływem alkoholu, powyższa kara nie będzie wliczona do wyroku.

- Nie trzeba, ufam ci, Sean - odparł ojciec Grady.

I nie zdziwiłem się wcale, kiedy wydmuchał 0,15.

Ponieważ to był koniec mojej zmiany, zaproponowałem, że odwiozę go do domu. Kręta droga prowadziła obok kościoła, na zbocze wzgórza, gdzie stała plebania, nieduży biały domek. Zaparkowałem wóz na podjeździe i pomogłem księdzu dotrzeć do drzwi szlakiem biegnącym mniej więcej po linii prostej.

- Byłem dziś na czuwaniu przy zmarłym - powiedział, obracając klucz w drzwiach.

- Nie musi się ksiądz tłumaczyć - westchnąłem.

- Młody chłopak, dwadzieścia sześć lat. Zabił się w czwartek na motorze, pewnie o tym słyszałeś. Wiedziałem, że będę wracał do domu samochodem, ale była tam rozpaczająca matka i bracia, kompletnie zdruzgotani... Chciałem w jakiś sposób uczcić pamięć zmarłego, nie zostawiać ich samych z poczuciem straty.

Nie miałem ochoty tego wysłuchiwać. Niepotrzebne mi były czyjeś problemy, miałem dość własnych. A mimo to stałem i tylko kiwałem głową.

- Wznieśliśmy kilka toastów, poszło parę kieliszków whiskey - mówił dalej ojciec Grady.

- Nie zamartwiaj się tym, co się dziś stało, Sean. Ja wiem, że czasami, żeby zrobić dla kogoś coś dobrego, trzeba postąpić wbrew samemu sobie.

Drzwi stanęły otworem. Nigdy jeszcze nie oglądałem plebanii od środka; było to niewielkie, przytulne wnętrze, na ścianach wisiały cytaty z psalmów w ramkach, na stole w kuchni stała miska pełna M&M-sów, a nad kanapą zauważyłem proporczyk New England Patriots.

- Położę się - wymamrotał ojciec Grady, wyciągając nogi na kanapie.

Zdjąłem mu buty i przykryłem go wyciągniętym z szafy kocem.

- Dobranoc księdzu - powiedziałem.

Uchylił oczu.

- Widzimy się jutro na mszy?

- Jasne - przytaknąłem, ale on już zaczął chrapać.

Charlotte, kiedy rano oznajmiłem, że chcę iść do kościoła, zapytała, czy dobrze się czuję. Zwykle trzeba mnie wyciągać na siłę, ale tym razem byłem ciekawy, czy ojciec Grady uwzględni w kazaniu nasze wczorajsze spotkanie. Mógłby je zatytułować „Grzechy ojców naszych”, pomyślałem, gdy siedzieliśmy już w ławce, i parsknąłem pod nosem, a Charlotte uszczypnęła mnie, sycząc bezgłośnie: „Cicho!”.

Nie przepadałem za chodzeniem do kościoła z wielu powodów, a jednym z nich są spojrzenia ludzi. Pobożność i litość - łączy je ta kłująca końcówka; ciężko znoszę i jedno, i drugie. Kiedy jakaś starsza pani z niebieskimi włosami powiedziała mi, że modli się za ciebie, podziękowałem jej z uśmiechem, ale tak naprawdę byłem wkurzony. Kto ją prosił, żeby się za ciebie modliła? Nie domyśla się, że wystarczą ci moje modlitwy?

Charlotte tłumaczyła mi, że ofiarowanie się z pomocą wcale nie ma na celu wytykania komuś słabości i że kto jak kto, ale policjant powinien o tym wiedzieć. Ale, do diabła, jeśli mam być szczery, to kiedy jakiś zabłąkany przyjezdny pyta mnie o drogę albo kiedy daję jakiejś kobiecie zmaltretowanej przez męża wizytówkę i proszę o telefon, w razie gdyby potrzebowała pomocy, myślę sobie tak: sam się w to wpakowałeś, sam się z tego wyciągnij. Moim zdaniem jest wielka różnica pomiędzy człowiekiem, który nieoczekiwanie budzi się w świecie rodem z koszmaru, a tym, który sam sobie ten koszmar zafundował.

Ukryłem uśmiech, widząc, jak ojciec Grady krzywi się, kiedy organista mocnym uderzeniem w klawisze rozpoczął jakiś szczególnie żarliwy hymn. Trzeba było wczoraj zrobić biedakowi coś na kaca, pomyślałem, zamiast stawiać mu na stoliku szklankę wody.

W którejś ławce za nami rozległo się zawrodożenie dziecka. To było podłe z mojej strony, ale ucieszyłem się, że wszyscy patrzą na kogoś innego, nie na nas. Złowiłem uchem zajadłe szepty rodziców, uzgadniających, które ma wyjść z maluchem na dwór.

Amelia trąciła mnie łokciem, pokazując na migi, że chce coś do pisania. Podałem jej długopis wyciągnięty z kieszeni, a ona narysowała na dłoni sznur ze stryczkiem i linię z sześciu kreseczek. Uśmiechnąłem się i wypisałem literę A palcem na jej udzie.

Dwa trafienia: \_ \_ A \_ A \_.

M, zgadywałem dalej.

Potrząsnęła przecząco głową.

T?

\_ \_ATA\_.

L, P, R, rzucałem po kolei. Trzy razy pudło. S?

Promienny uśmiech: S \_ A T A \_.

Parsknąłem; Charlotte rzuciła nam ostrzegawcze spojrzenie. Amelia wpisała brakujące Z i N, po czym uniosła dłoń, demonstrując mi rozwiązanie zagadki. I wtedy ty zapytałaś, głośno i wyraźnie:

- A co to jest szatan?

Mama oblała się rumieńcem, porwała cię z ławki i prawie że wybiegła z kościoła.

Po chwili ja i Amelia dołączyliśmy do was. Charlotte posadziła cię na schodach, a sama przycupnęła obok, trzymając na kolanie tamto dziecko, które darło się przez całą mszę.

- Dlaczego wyszliście? - zapytała.

- Uciekamy przed gromem z jasnego nieba - wyjaśniłem, uśmiechając się do brzdąca, który pakował sobie do buzi garście trawy. - A to kto? Pasażer na gapę?

- Jego mama poszła do łazienki - powiedziała Charlotte. - Amelia, popilnujesz siostry i tego malucha.

- A zapłacisz mi za to?

- Uszom nie wierzę. Masz jeszcze czelność o to pytać, po takim zachowaniu w kościele? - Charlotte wstała ze schodów. - Chodź, przejdźmy się.

Poszliśmy. Charlotte zawsze pachniała kruchymi ciasteczkami; dowiedziałem się w końcu, że to waniliowy aromat, którym nacierała się za uszami i na nadgarstkach - perfumy w sam raz dla cukiernika. Między innymi dlatego właśnie ją pokochałem. Uwaga, wiadomość dla pań: jeśli myślicie, że wszyscy faceci marzą o typie Angeliny Jolie - chuda, kanciasta, wystające łokcie - to jesteście w błędzie. Bo my wolimy przytulić się do takiej kobiety jak Charlotte, która w męskich ramionach to sama miękkość, a na koszuli przez cały dzień może mieć biały ślad z mąki i wcale go nie zauważy, nie przejmie się nim, nawet gdyby szła na zebranie komitetu rodzicielskiego. Do kobiety, która nie jest jak wycieczka do egzotycznych krajów, ale jak dom, dokąd wraca się z radością i ochotą.

- Wiesz co? - oznajmiłem pogodnie, obejmując ją ramieniem. - Życie jest piękne. Słońce świeci, jestem z rodziną, nie muszę siedzieć w tym ponurym kościele...

- A ojciec Grady na pewno ubawił się po pachy, kiedy usłyszał, co powiedziała Willow.

- Ojciec Grady ma w tej chwili większe zmartwienia, możesz mi wierzyć.

Zostawiliśmy za sobą przykościelny parking. Przed nami rozciągała się łąka zarośnięta koniczyną.

- Sean - powiedziała Charlotte - muszę ci się do czegoś przyznać.

- Spowiedź? Wyszliśmy już z kościoła.

- Byłam znów u tych prawników.

Stałem jak wryty.

- Co takiego?

- Spotkałam się z Marin Gates, żeby porozmawiać o skardze z tytułu niedobrego urodzenia.

- Charlotte, na miłość boską...

- Sean! - syknęła, rzucając okiem przez ramię, w stronę kościoła.

- Jak mogłaś? Za moimi plecami, jakbym nie miał nic do powiedzenia?

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- A ja mam coś do powiedzenia? Obchodzi cię moje zdanie?

- Oczywiście, ale na pewno nie będę słuchał, co powie jakaś hiena adwokacka, mam to gdzieś. Nie widzisz, o co im chodzi? O pieniądze, wyłącznie o pieniądze. Nie obchodzisz ich ty, nie obchodzę ich ja ani Willow; nie interesuje ich, czyj to był błąd. Chcą nas wykorzystać. - Podszedłem o krok bliżej. - Zgadza się, Willow ma ciężkie życie. Ale kto ma lekkie? Jedne dzieciaki żyją z ADHD, inne włączają się po nocy, palą i piją, jeszcze inne dostają w szkole wycisk od kolegów, bo lubią matematykę, ale ich rodzice jakoś nie próbują zwalić winy za to na kogoś, od kogo można wyciągnąć kasę.

- I to mówi facet, który był gotowy zaskarżyć Disneyland na Florydzie i połowę tamtejszej opieki społecznej? Który chciał od nich odszkodowania, czyli właśnie pieniędzy? Na czym tu polega różnica?

Zadarłem wysoko głowę.

- Tamci zrobili z nas idiotów.

- A jeśli lekarze też? - Charlotte nie dawała za wygraną. - Jeśli Piper się pomyliła?

- No to się pomyliła! - Wzruszyłem ramionami. - Czy to by coś zmieniło? Gdybyś wiedziała, że Willow będzie non stop coś sobie łamać, że co chwila trzeba ją będzie wozić na pogotowie, że tyle będziemy musieli dla niej robić, tobyś jej nie chciała?

Otworzyła usta, a potem zamknęła bez słowa. I to mnie wystraszyło jak jasna cholera.

- Co z tego, że musi wciąż nosić gips? - Wziąłem Charlotte za rękę. - Zna też na pamięć każdą najmniejszą kosteczkę, nie cierpi żółtego koloru, a wczoraj powiedziała mi, że jak będzie duża, to chce hodować pszczoły. To nasza córeczka, Charlotte. Niepotrzebna nam niczyja pomoc. Żyjemy z tym od pięciu lat; poradzimy sobie sami.

Odsunęła się ode mnie.

- Jacy „my”, Sean? Ty pracujesz, chodzisz z kumplami na pokera. Mówisz, jakbyś dzień i noc siedział z Willow, ale prawda jest taka, że nie masz pojęcia, jak to wygląda.

- W takim razie wynajmiemy pielęgniarkę, opiekunkę...

- A kto jej zapłaci? - wybuchnęła Charlotte. - A skoro już o tym mowa, to nasz samochód ma już prawie trzysta tysięcy kilometrów i ciekawe, skąd weźmiemy pieniądze na nowy i to taki, w którym zmieści się i wózek dla Willow, i chodzik, i jeszcze kule. Jak zapłacimy za operacje, których nie pokrywa jej ubezpieczenie? Za instalację w jej przyszłym domu rampy dla niepełnosprawnych i umywalki na wysokości wózka?

- Czyli to ja nie potrafię zarobić na utrzymanie własnego dziecka? - Mój głos uderzył w wyższe tony.

Zupełnie niespodziewanie cały gniew Charlotte gdzieś się ulotnił.

- Och, Sean. Jesteś najlepszym ojcem na świecie. Ale... nie jesteś matką.

Nagle rozległ się wrzask, a my instynktownie rzuciliśmy się z powrotem w stronę kościoła, spodziewając się zobaczyć Willow na chodniku, z otwartym złamaniem ręki albo nogi. Ale nie: to Amelia trzymała niemowlaka daleko od siebie, w wyciągniętych rękach, a na koszulce miała wielką spływającą plamę.

- Obrzygał mnie! - piszczła.

Z kościoła wybiegła mama malucha.

- Bardzo państwa przepraszam - powiedziała do nas i do Amelii, gdy tymczasem ty, siedząc na ziemi, zaśmiewałaś się z pechowej przygody siostry. - Chyba coś złapał...

Charlotte wyjęła dziecko z rąk Amelii.

- To może być jakiś wirus - powiedziała. - Spokojnie. Takie rzeczy się zdarzają.

Cofnęła się, a tamta kobieta podała Amelii chusteczki do wyczyszczenia koszulki.

- Nie chcę wracać do tej rozmowy - powiedziałem półgłosem, spoglądając na Charlotte. -

Koniec i kropka.

Charlotte pokoiysała malucha na ramionach.

- Nie ma sprawy, Sean - zgodziła się, ale zbyt łatwo, zdecydowanie zbyt łatwo. - Jak sobie życzysz.

O szóstej wieczorem okazało się, że niemowlak faktycznie „coś złapał”, bo Charlotte złapała to samo. Wymiotowała jak szalona, więc zamknęła się w łazience. Miałem tego dnia nocną zmianę, ale szybko stało się jasne, że nie pójdę do pracy.

- Trzeba pomóc Amelii w lekcjach - wymamrotała Charlotte,

ocierając twarz wilgotnym ręcznikiem - i zrobić kolację...

- Zajmę się tym - powiedziałem. - Coś jeszcze?

- Chcę umrzeć - jęknęła w odpowiedzi, odpychając mnie, i padła na kolana przed muszlą klozetową.

Wycofałem się z łazienki. Zamknąłem za sobą drzwi i zszedłem na dół. Siedziałaś na kanapie w dużym pokoju, trzymając w ręce banana.

- Nie będziesz chciała jeść kolacji - ostrzegłem ją.

- Ja go nie jem, tato, tylko leczę.

- Leczysz - powtórzyłem, zauważając, że przed tobą na stole leży nóż. Nie wolno ci było brać noży do ręki; zanotowałem w pamięci, żeby ochrzanić Amelię, bo to ona ci go dała. Skórka banana była rozcięta na samym środku.

Otworzyłaś przybornik do szycia, który zabraliśmy z hotelu na Florydzie, wyjęłaś z niego nawleczoną igłę i zaczęłaś zszywać ранego banana.

- Willow - zapytałem - co to ma być?

Podniosłaś głowę, mrugnęłaś do mnie.

- Operacja.

Po pierwszych kilku szwach, kiedy mogłem już być spokojny, że nie ukłujesz się w palec, wrzuciłem ramionami. Nie będę przecież wchodzić w drogę nauce.

Amelia siedziała w kuchni przy stole, na którym leżały różne flamastry, tubka kleju i duży karton.

- Powiesz mi, dlaczego dałaś Willow nóż do obierania?

- Bo mnie poprosiła.

- A gdyby cię poprosiła o piłę łańcuchową, to też byś jej przyniosła?

- No, piła do banana to już lekka przesada, nie uważasz? - Amelia obrzuciła krytycznym wzrokiem swoje dzieło i westchnęła. - To jest do chrzanu. Mam zrobić grę planszową opartą na układzie trawiennym. Będą się ze mnie nabijać, bo każdy wie, gdzie się kończy układ trawienny.

- Zgrabnie to ujęłaś - zażartowałem.

- Przestań. O-hy-da.

Wyjąłem garnki z szafki i postawiłem patelnię na kuchni.

- Mogą być naleśniki na kolację? - zapytałem, chociaż w zasadzie wyboru nie było: nic innego nie umiałem zrobić, oprócz kanapek z dżemem i masłem orzechowym.

- Na obiad były naleśniki. Mama usmażyła - skrzywiła się Amelia.

- Wiedzieliście, że rozpuszczalne szwy robi się ze zwierzęcych jelit? - zawołałaś z pokoju.

- Nie i trochę mi szkoda, że już wiem... - odkrzyknąłem.

Amelia posmarowała karton klejem.

- Co z mamą? Już jej lepiej?

- Jeszcze nie, kotku.

- Ale obiecała, że pomoże mi narysować przelyk.

- Ja ci pomogę.

- Ty nie umiesz rysować, tato. Jak gramy w kalambury, to zawsze rysujesz domek, nawet jak chodzi zupełnie o coś innego.

- Tak trudno narysować przelyk? Przecież to zwykła rura. - Sięgnąłem do szafki, szukając mąki.

Nagle rozległ się głuchy łomot; nóż upadł ci na podłogę.

- Czekaj, Wills, podam ci go - zawołałem, widząc, że się krzywisz i wiercisz.

- Już mi niepotrzebny - odparłaś, ale wierciłaś się dalej.

Amelia westchnęła.

- Willow, nie zachowuj się jak dziecko, bo w końcu zlejesz się w spodnie.

Obejrzałem się na nią, potem na siebie.

- Chcesz iść do łazienki?

- Zawsze robi taką minę, jak próbuje wytrzymać... - zaczęła Amelia.

- Dość - przerwałem jej, idąc do dużego pokoju. Przykucnąłem przed tobą. - Kochanie,

nie ma się czego wstydzić.

Zacisnęłaś mocno usta.

- Chcę, żeby mama mnie zabrała.

- Mamy tu nie ma - burknęła Amelia.

Podniosłem cię z kanapy i poszliśmy do łazienki na parterze. Kiedy już udało nam się przecisnąć przez drzwi, usłyszałem:

- Zapomniałeś o workach.

Charlotte mówiła, że kiedy korzystasz z toalety, okłada brzeg twojego gipsu plastikowymi workami na śmieci, jednak odkąd ci go założyli, ani razu nie musiałem zabierać cię do łazienki - za nic w świecie nie chciałaś pozwolić, żebym to ja zdjął ci spodnie. Sięgnąłem za drzwi, do suszarki, gdzie mama trzymała opakowanie tych worków.

- Dobrze - powiedziałem. - Jestem nowy, więc musisz mi mówić, co mam robić.

- Przysięgnij, że nie będziesz podglądał.

- Słowo honoru.

Rozluźniłaś węzeł podtrzymujący gigantyczne bokserki, które dla ciebie kupiliśmy, a ja uniosłem cię tak, żeby opadły ci na kostki.

- Nie patrz na dół! - pisnęłaś, kiedy sięgnąłem, żeby je zdjąć.

- Jasne. - Spojrzałem ci głęboko w oczy i zacząłem na oślep manewrować worowatymi spodenkami. Uporawszy się z nimi, wziąłem do ręki plastikowy worek, który miał trafić do wycięcia w kroku. - Chcesz to zrobić sama? - zapytałem, oblewając się rumieńcem.

Chwyliłem cię pod ramiona, a ty z niemałym wysiłkiem upchnęłaś worek tam, gdzie trzeba.

- Już - powiedziałaś wreszcie i mogłem posadzić cię na sedesie. - Nie tak, trochę dalej. -

Poprawiłem i zamarłem w oczekiwaniu.

I nic.

- Willow, rób siusiu.

- Nie mogę, bo słuchasz.

- Nie słucham...

- Słuchasz.

- Mama też zawsze słucha...

- To co innego - odpowiedziałaś, wybuchając płaczem.



Kiedy jedna słuza puściła, puściły też wszystkie pozostałe. Zerknąłem do muszli, ale rozplakałaś się jeszcze głośniejsze:

- Miałaś nie podglądać!

Wbiłem oczy w sufit, unosząc cię lewą ręką, prawą zaś sięgnąłem po papier toaletowy.

- Tato! - wrzasnęła Amelia z kuchni. - Chyba coś się pali...

- Cholera jasna - mruknąłem, a w myślach mignął mi twój karny słoik. Wsunąłem ci papier do ręki. - Pospiesz się, Willow - poprosiłem, spuszczaając wodę.

- M-muszę umy-yć rę-ęce - jęknęłaś głośniejsze przerywanym czkawką.

- Później - zgrzytnąłem, wynosząc cię z powrotem do dużego pokoju. Rzuciłem ci na kolana bokserki i pogałem do kuchni.

Nad przywęgłonymi naleśnikami stała Amelia.

- Wyłączyłam palnik - kaszlnęła, nałykawszy się dymu.

- Dzięki - powiedziałem, a ona kiwnęła głową, sięgając obok mnie po coś, co leżało na szafce... Czy ja dobrze widzę? Owszem, widziałem dobrze: Amelia usiadła przy stole i chwyciła w dłoń pistolet z gorącym klejem, który posłużył jej do obramowania kartonu kilkudziesięcioma sztonami do pokera - moimi dobrymi, glinianymi sztonami.

- Amelia! - krzyknąłem. - To moje sztony!

- Masz ich dużo. Ja potrzebowałam tylko parę...

- Pozwoliłem ci je wziąć?

- Nie, ale nie zabraniałeś - odparła.

- Tatusiu - zawołałaś z dużego pokoju - muszę umyć ręce!

- Dobrze - szepnąłem. - Już dobrze. - Policzywszy do dziesięciu, wziąłem patelnię, żeby ją oskrobać nad kubłem na śmieci, ale gorący metalowy brzeg sparzył mnie w dłoń i poleciała prosto na podłogę.

- Ja pierdzielę! - warknąłem, wsuwając rękę pod kran i odkręcając zimną wodę.

- Chcę umyć ręce! - zawyłaś.

Amelia przekrzywiła głowę.

- Wisisz jej ćwierć dolara.

O dziewiątej obie już spałyście, garnki były opłukane, zmywarka w kuchni szumiała cichutko. Obszedłem dom, gasząc światła, a na koniec wślizgnąłem się do ciemnej sypialni. Charlotte leżała w łóżku, zasłaniając oczy ręką.

- Nie musisz chodzić na palcach - powiedziała. - Nie śpię.

Opadłem na posłanie obok niej.

- Lepiej się czujesz?

- Schudłam mniej więcej o numer. Co z dziewczynkami?

- W porządku. Pacjent Willow, niestety, nie przeżył.

- Co?

- Nic... - Odwróciłem się na plecy. - Na kolację były kanapki z dżemem i masłem orzechowym.

Charlotte na oślep poklepała mnie po ramieniu.

- Wiesz, za co cię kocham?

- Hmm?

- Przy tobie czuję się mistrzynią świata...

Podłożyłem ręce pod głowę, zapatrzyłem się w sufit.

- Nie pieczesz już ciast.

- Nie palę też naleśników. - Uśmiechnęła się słabo. - Amelia cię wsypała, kiedy przyszła powiedzieć dobranoc.

- Ale ja mówię poważnie. Pamiętasz, jak robiłaś *crème brûlée*, ptifurki, eklery z czekoladą?

- Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie - odpowiedziała.

- Chciałaś kiedyś otworzyć własną ciastkarnię. Miałaś ją nazwać „Sylaba” ...

- „Syllabub” - poprawiła Charlotte.

Przekręciłem nazwę, ale pamiętałem, co oznacza, bo sam ją o to pytałem: *syllabub* to najstarszy angielski deser. Robią go dojarki, spuszczać ciepłe mleko prosto z krowiego wymienia do wiadra z jabłeczniakiem albo sherry. Mówiła, że *syllabub* przypomina ajerkoniak i obiecała kiedyś go zrobić, żebym mógł spróbować. A kiedy już dotrzymała słowa - było to w nocy – palcem zanurzonym w tym słodkim kremie wyrysowała mi na piersi długą linię, po czym zlizwała ją do czysta.

- Tak to już jest z marzeniami - powiedziała Charlotte. - Życie podcina im skrzydła.

Usiadłem na posłaniu, skubiąc szew kołdry.

- Chciałem mieć dom z ogródkiem i gromadkę dzieci. Dobrą pracę. Co jakiś czas wyskoczyć gdzieś na urlop. Chciałem trenować drużynę softballową i jeździć z córkami na narty.

I nie marzyło mi się wcale, żeby być na ty z każdym cholernym lekarzem na oddziale ratunkowym w szpitalu Portsmouth Regional. - Odwróciłem się do Charlotte. - Być może nie jestem z nią cały czas, ale czuję, kiedy sobie coś łamie. Przysięgam, że to czuję. I zrobiłbym dla niej wszystko.

Spojrzała mi w oczy.

- Wszystko?

Oczywistość tego pytania była rażąca, w żaden sposób nie można było zamknąć na nią oczu: chodziło o pozew.

- To jest... - zacząłem - ...wstrętne. Jakbyśmy powiedzieli, że jej nie kochamy, bo jest... taka, jaka jest.

- Właśnie dlatego, że ją kochamy, że chcemy ją mieć przy sobie, właśnie dlatego w ogóle o tym pomyślałam - powiedziała Charlotte. - Nie jestem głupia, Sean. Wiem, co powiedzą ludzie: że skusiłam się na odszkodowanie, im wyższe, tym lepiej. Wiem, co sobie pomyślą: że jestem najgorszą matką na świecie, najgorszą, najbardziej samolubną - niepotrzebne skreślić. Ale mnie nie obchodzi, co będą gadać na mój temat. Mnie obchodzi tylko Willow. Chcę wiedzieć, że będzie mogła pójść na studia, żyć samodzielnie i robić wszystko, o czym sobie zamarzy. I niech cały świat nazwie mnie potworem. Czy to ważne, co mówią inni, kiedy ja wiem, dlaczego robię to, co robię? - Spojrzała mi w oczy. - Stracę najlepszą przyjaciółkę - dodała. - Nie chcę przy okazji stracić i ciebie.

W jej dawnym życiu, kiedy prowadziła cukiernię, nieraz widywałem, jak filigranowa Charlotte dźwiga dwudziestokilowe worki z mąką. Nie mogłem się temu nadziwić: ta kobieta daleko przerastała mnie siłą, chociaż wcale nie jestem ułomkiem.

Świat, który widziałem, był zupełnie czarno-biały; dlatego właśnie zostałem policjantem. Ale jeśli naprawdę za tymi przykrymi słowami - pozew, proces, niedobre urodzenie - krył się tylko środek prowadzący do celu? Czy coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak skończone świństwo, mogło przynieść prawdziwy, niepodważalny pożytek?

Przesunąłem ręką po kołdrze i odnalazłem dłoń Charlotte.

- Nie stracisz mnie - zapewniłem.

## **Charlotte**

*Koniec maja 2007 r.*

Pierwszych siedem kości pękło ci, jeszcze zanim przyszedł na świat. Następne cztery - w chwilę po porodzie, kiedy pielęgniarka wyciągała cię z mojego łona. Potem złamałaś jeszcze dziewięć, kiedy trzeba było cię reanimować. Dziesiąta: leżałaś mi na kolanach i nagle usłyszałam cichy trzask. Jedenasta: przewróciłaś się z boku na bok i uderzyłaś ręką o pręt łóżeczka. Numery dwunasty i trzynasty to były kości udowe, czternasty - piszczelowa, piętnasty - złamanie kompresyjne kręgosłupa. Szesnaście: zeskoczyłaś z werandy. Siedemnaście: potrąciła cię koleżanka na placu zabaw. Osiemnaście: poślizgnęłaś się na okładce filmu DVD leżącej na dywanie. Do dziś nie wiemy, co było przyczyną dziewiętnastego złamania. Dwudzieste zafundowała ci Amelia, która skoczyła na łóżko, gdzie leżałaś, dwudzieste pierwsze - piłka nożna, którą oberwałaś w łydkę. Po dwudziestym drugim odkryłam wodoodporne szyny gipsowe i nakupiłam ich tyle, że starczyłoby dla całego szpitala; teraz zalegały w garażu. Dwudziesta trzecia kość pękła ci we śnie. Dwudziesta czwarta i piąta to były przedramiona, trzasnęły jednocześnie, kiedy wywróciłaś się w śniegu. Dwudziesta szósta, strzałkowa, i dwudziesta siódma, piszczelowa, połamały się paskudnie, napinając skórę jak namiot. Było to na zabawie w Halloween, na którą poszłaś przebrana - jak na ironię - za mumię;

bandaże z tego kostiumu przydały mi się do unieruchomienia nogi w łubkach. Dwudziesta ósma kość pękła ci przy kichnięciu, dwudziesta dziewiąta i trzydziesta to były żebra, połamane o krawędź stołu. Numer trzydzieści jeden - biodro - wymagał skręcenia metalową płytką na sześciu śrubach. Odtąd przestałam liczyć twoje złamania, aż do czasu tamtego wypadku w Disneylandzie. Ale tym razem nie było numerów, tylko imiona: Mickey, Donald i Goofy.

Po czterech miesiącach twój wielki gips został rozcięty. W szpitalu spięli te dwie połówki jakimiś tanimi klamerkami, które popękały już po kilku godzinach; zastąpiłam je kolorowymi rzepami. W domu mieliśmy zdejmować górną część, żebyś mogła ćwiczyć siadanie, w ten sposób wzmacniając osłabione mięśnie brzucha i łydek. Doktor Rosenblad mówił, że po dwóch tygodniach będziesz musiała już tylko spać w tej gipsowej łupinie, a po kolejnych ośmiu staniesz na własnych nogach przy balkoniku. Cztery tygodnie później miałaś po raz pierwszy pójść samodzielnie do łazienki.

Najlepsze w tym było jednak co innego: mogłaś wrócić do przedszkola. Chodziłaś na

prywatne zajęcia do świetlicy urządzonej w piwnicach kościoła, codziennie dwie godziny przed południem. Byłaś o rok starsza niż reszta dzieci, ale opuściłaś tyle dni, że postanowiliśmy powtórzyć ten rok - czytałaś już na poziomie szóstej klasy, ale potrzebne ci było towarzystwo rówieśników, żeby nauczyć się obracać wśród ludzi. Nie miałaś zbyt wielu kolegów - dzieci albo bały się wózka i balkonika albo, co dziwne, zazdrościły ci gipsów. Jechałyśmy właśnie na pierwsze twoje zajęcia po przerwie; zerknęłam w lusterko.

- No, to gdzie najpierw będziesz się bawić?

- W piaskownicy.

Pani Katie, którą uwielbiałaś niemalże na równi z Panem Jezusem, zrobiła dla was olbrzymią piaskownicę wypełnioną ziarenkami ryżu barwionego na różne kolory. Dzieci mogły przesypywać go do różnych pojemników, większych i mniejszych. Uwielbiałaś dźwięk, który wydawały przesypane ziarna; powiedziałaś mi kiedyś, że tak samo brzmi deszcz.

- I w spadochron.

Ta zabawa polegała na tym, że dzieci rozciągały w powietrzu płachtę kolorowego jedwabiu, a jedno pod nią przebiegało.

- Na to będziesz musiała jeszcze poczekać, Wills - zapowiedziałam jej, parkując pod kościołem. - Nie wszystko naraz.

Wystawiłam twój wózek, usadziłam cię i wtoczyłam go po rampie, którą kierownik przedszkola dobudował w zeszłym roku, kiedy zaczęłaś tutaj chodzić. Korytarz był już pełen dzieci; wieszaly ubrania na swoich haczykach, a ich mamy zwijały obrazki malowane palcami, zostawione poprzedniego dnia na wieszaku do wyschnięcia.

- Wróciłaś! - powiedziała jedna z nich, uśmiechając się do ciebie. Potem spojrzała na mnie. - Kelly w zeszłym tygodniu miała urodziny i zostawiła dla Willow paczkę słodczy. Zaprosiłybyśmy ją, ale zabawa była w dziecięcym klubie gimnastycznym i pomyślałam, że Willow czułaby się pominięta.

A jak jej nie zaprosiłyście, to tak się nie czuje, pomyślałam, lecz mimo to uśmiechnęłam się miło.

- Dziękuję za troskę.

Jakiś chłopczyk przesunął palcem po krawędzi twojego gipsu.

- Jeju... - zachłusnął się. - A jak się w tym robi siku?

- Nie robi się - odpowiedziałaś bez cienia uśmiechu. - Od czterech miesięcy nie byłam w

łazience. Uważaj, Derek, bo w każdej chwili mogę wybuchnąć jak wulkan.

- Willow - mruknęłam pod nosem - po co mu dogryzasz?

- To niech nie zaczyna...

Pani Katie, słysząc, że się zjawiłyśmy, wyszła na korytarz.

Gdy zobaczyła cię w rozpołowionej gipsowej skorupie, zamarła na ułamek sekundy, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Willow! - zawołała, przyklękając przed twoim wózkiem. -

Miło cię widzieć! Sylvio - poprosiła swoją pomocnicę - możesz popilnować Willow? Ja muszę porozmawiać z jej mamą.

Poszłam za nią korytarzem. Minęłyśmy łazienki z mikroskopijnymi kabinami i weszłyśmy do sali gimnastycznej służącej jednocześnie jako pracownia muzyczna.

- Charlotte - powiedziała Katie - najwyraźniej źle cię zrozumiałam. Kiedy mówiłaś mi przez telefon, że Willow wraca do nas, myślałam, że zdjęli jej już ten gips!

- Niedługo go zdejmą. To się dzieje stopniowo. - Uśmiechnęłam się do niej. - Ona się bardzo cieszy, że może już wrócić.

- Chyba niepotrzebnie się tak spieszysz...

- Bez obaw, naprawdę. Willow potrzebuje ruchu. Nawet jeśli znów sobie coś złamie, to po kilku tygodniach porządnej zabawy. To będzie dla niej zdrowsze niż siedzenie w domu. Nie musisz się bać, że dzieci coś jej zrobią, ani specjalnie jej pilnować. Wystarczy tak, jak zawsze. My się z nią siłujemy. Łaskoczemy ją.

- No tak, ale robicie to w domu - odparła nauczycielka z naciskiem na ostatni wyraz. - A w przedszkolu... Tutaj jest większe ryzyko.

Cofnęłam się o krok. Przekaz był jasny i zrozumiały: kiedy Willow jest na naszym terenie, to my jesteśmy za nią odpowiedzialni. Pomimo postanowień Amerykańskiej Ustawy o Niepełnosprawnych bez przerwy czytałam na forach internetowych, że prywatne przedszkola nie chcą przyjmować chorych na OI dzieci z niewygojonymi urazami, zasłaniając się troską o ich dobro, gdy tak naprawdę chodzi raczej o wyższe składki ubezpieczeniowe. W rezultacie powstawało błędne koło: zgodnie z prawem można było zaskarżyć taką placówkę o dyskryminację, jednak z drugiej strony gwarantowało to dziecku zupełnie inne traktowanie po zakończeniu procesu - nawet gdyby się go wygrało.

- Kto ponosi to większe ryzyko? - zapytałam, płonąć na twarzy. - Zapłaciłam czesne, żeby

moja córka mogła tutaj chodzić. Kate, nie możesz mi mówić, że nie ma tu dla niej miejsca!

- Chętnie zwrócę ci czesne za miesiące, które Willow opuściła. I nigdy nie usłyszysz ode mnie, że nie ma tu dla niej miejsca. Kochamy ją i bardzo się za nią stęskniliśmy. Chcemy tylko, żeby była u nas bezpieczna. - Kate potrząsnęła głową. - Spójrz na to z naszego punktu widzenia. W przyszłym roku Willow pójdzie do zerówki i będzie tam miała specjalną opiekunkę tylko dla siebie. My nie możemy jej tego zapewnić.

- W takim razie ja będę jej opiekunką. Zostanę z nią. A wy tylko pozwólcie jej... - głos mi się załamał jak nogi pod śmiertelnie zmęczonym człowiekiem - ...poczuć się jak normalne dziecko.

Kate spojrzała mi w oczy.

- Uważasz, że będzie się czuła jak normalne dziecko, kiedy mamusia będzie z nią siedziała.

Odebrało mi mowę; aż gotowałam się ze złości, wracając korytarzem. Czekalaś na mnie, demonstrując pani Sylvii, jak się odpina rzepy przy twoim rozciętym gipsie.

- Musimy jechać - powiedziałam, połykając łzy.

- Ale ja chcę się pobawić kolorowym ryżem...

- Wiesz co? - zaproponowała Kate. - Dostaniesz całą torbę ryżu do domu! Pani Sylvia zaraz ci przyniesie. Dziękuję, że przyszłaś zobaczyć się z kolegami i koleżankami, Willow.

Spojrzałaś na mnie zdezorientowana.

- Mamusiu, dlaczego nie mogę zostać?

- Później ci powiem.

Pani Sylvia wróciła z plastikową torbką pełną fioletowych ziarenek.

- Proszę, skarbie.

- Powiedzcie mi - spojrzałam na jedną przedszkolankę, potem na drugą - po co żyć, kiedy nie pozwalają ci korzystać z życia?

Wypchnęłam twój wózek za drzwi. Wciąż buzowała we mnie wściekłość, więc dopiero po dłuższej chwili zauważyłam, że milczysz jak głaz. Kiedy dotarliśmy do samochodu, miałaś już wilgotne oczy.

- Nic się nie stało, mamó. - W twoim głosie brzmiała rezygnacja, której nie powinna znać żadna pięciolatka. - I tak nie chciałam tam zostać.

To było kłamstwo: dobrze wiedziałam, że nie mogłaś się doczekać spotkania z

koleżankami.

- Widziałaś kiedyś, jak kamień leży w strumyku, a woda go omija, zupełnie jakby go wcale nie było? - zapytałaś. - Tak samo robiły dzisiaj wszystkie dzieciaki, jak ty poszłaś porozmawiać z panią Katie.

Jakim cudem oni wszyscy - i przedszkolanki, i przedszkolaki - mogli nie zauważyć, jak łatwo cię zranić?

- Dzisiaj - obiecałam, całując cię w czoło - urządzimy sobie taką zabawę, że padniesz.

Wyjęłam cię z wózka, ale jeden z rzepów łączących połówki twojego gipsu rozpiął się nagle.

- Kurczę - mruknęłam pod nosem, a kiedy oparłam cię na biodrze, żeby poprawić zapięcie, upadła ci torebka, którą dostałaś od pani Sylvii.

- Mój ryż! - krzyknęłaś, odruchowo wykręcając się po zgubę i dokładnie w tym samym momencie w uszy zakłuł mnie trzask, jakby pękła gałązka albo skórka na pierwszym jesiennym jabłku.

- Willow? - zapytałam, ale całkiem niepotrzebnie; twoje oczy zalśniły błękitem, jasnym jak błyskawica i zawisałaś bezwładnie w moich ramionach, wpadając w ten półsenny trans, który zawsze cię ogarniał przy wyjątkowo paskudnych złamaniach.

Kiedy ułożyłam cię w bagażniku naszej furgonetki, oczy miałaś już prawie do końca zamknięte.

- Kochanie, powiedz, gdzie boli? - prosiłam, ale nie odpowiadałaś. Zaczęłam delikatnie obmacywać twoją rękę, od nadgarstka w górę, próbując znaleźć bolące miejsce.

Kiedy dotknęłam zagłębienia pod obojczykiem, nagle zakwiliłaś. Pamiętałam jednak, że tę rękę miałaś już złamaną, a teraz kość nie przebiła skóry, nie przekrzywiła się o dziewięćdziesiąt stopni - w ogóle nie było żadnych objawów charakterystycznych dla poważnego urazu z rodzaju tych, które wprawiały cię w taki letarg. Może odłamek kości dosięgnął jakiegoś organu?

Mogłam wrócić do przedszkola i poprosić o wezwanie karetki, ale to, co zrobiłby ratownik medyczny, umiałam wykonać sama. W bagażniku znalazłam stary numer magazynu „People”, który posłużył mi jako prowizoryczny łubek. Unieruchomiłam ci rękę za pomocą bandaży elastycznego, modląc się, żeby nie musieli jej zagipsować, bo od tego spada gęstość kości, a miejsce, gdzie znajduje się krawędź opatrunku, podlega największemu osłabieniu i grozi



kolejnym złamaniem. Zazwyczaj wystarczał ci but ortopedyczny, stabilizator albo szyna; wyjątkiem były złamania kości biodrowych, udowych oraz kręgow. Wtedy milkłaś i wiotczałaś, tak jak teraz, a ja wiozłam cię prosto do szpitala na oddział ratunkowy, bojąc się działać na własną rękę.

Zaparkowawszy na miejscu dla niepełnosprawnych, zaniiosłam cię do izby przyjęć.

- Moja córka ma *osteogenesis imperfecta* - poinformowałam dyżurną. - Złamała sobie rękę.

Pielęgniarka wydeła usta.

- A może najpierw dyplom, a potem diagnozy?

- Coś nie tak, Trudy? - Nagle stanął przed nami jakiś młody lekarz, tak młody, że nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby się jeszcze nie golił. Przyjrzał ci się uważnie. - Czy dobrze słyszałem, że pani córka ma OI?

- Tak - potwierdziłam. - Chyba złamała kość ramienną.

- Zajmę się tym - powiedział. - Jestem doktor Dewitt. Może posadzi ją pani na wózku...

- Nie trzeba. - Poprawiłam cię na rękach. Młody lekarz poprowadził nas korytarzem na radiologię. Po drodze sama zreferowałam mu wywiad, a on przerwał mi tylko raz - kiedy musiał zbajerować technika obsługującego aparat rentgenowski, żeby ten szybko nas wpuścił na zdjęcie.

- Dobrze - powiedział, kiedy leżałaś już na stole do prześwietleń. Pochylił się nad tobą, kładąc ci dłoń na przedramieniu. - Rączkę trzeba przesunąć odrobinę...

- Nie. - Podeszłam do stołu. - Może pan przesunąć aparat, prawda?

- No cóż... - zająknął się doktor Dewitt, kompletnie zaskoczony. - Zazwyczaj tak się nie robi.

- Ale można?

Spojrzał na mnie jeszcze raz, po czym przestawił maszynę i przykrył cię ciężką ołowianą kamizelką. Wycofałam się, żeby mógł zrobić zdjęcie.

- Świetnie, Willow - powiedział lekarz. - Teraz jeszcze przedramię.

- Nie - powiedziałam.

Podniósł wzrok, tym razem już zniecierpliwiony.

- Proszę się nie obrazić, ale muszę. To mój obowiązek.

Każde z nas miało własne obowiązki. Do moich należało ograniczanie prześwietleń do minimum. Czasami, pomimo złamania, zakazywałam ich w ogóle, jeśli nie miało to wpływu na

metodę leczenia.

- Wiemy już, że kość jest złamana - zaczęłam rozumować. - Myśli pan, że doszło do przemieszczenia?

Słyszając medyczny termin, lekarz otworzył szerzej oczy.

- Nie - odparł.

- W takim razie nie musi pan prześwietlać przedramienia, tak czy nie?

- To zależy.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, ile prześwietleń jeszcze czeka moją córkę? - zapytałam.

Doktor Dewitt skrzyżował ręce na piersi.

- Dobrze, wygrała pani. Nie muszę prześwietlać przedramienia.

Gdy czekałyśmy na wywołanie kliszy, masowałam ci plecki. Powoli wybudzałaś się z tego zamroczenia, które zawsze ogarniało cię po złamaniu. Zaczęłaś się wiercić i pojękiwać. Dostałaś dreszczy, które przyprawiły cię o nowe cierpienia.

Wyrzałam z sali, żeby poprosić technika radiologa o koc, i zobaczyłam doktora Dewitta, który niósł twoje zdjęcie.

- Willow ma dreszcze - powiedziałam, a on w jednej chwili ściągnął fartuch i okrył nim twoje ramiona.

- Dobra wiadomość jest taka - zaczął - że tamto wcześniejsze złamanie ładnie się goi.

Jakie wcześniejsze złamanie?

Dopiero kiedy doktor Dewitt pokazał palcem szczegół na zdjęciu twojego ramienia, dotarło do mnie, że powiedziałam to na głos. Niełatwo było to dostrzec - z powodu defektu kolagenu obraz twoich kości był mętny, mleczny - ale faktycznie, we wskazanym miejscu widniało zgrubienie, znak gojącego się złamania.

Poczułam ukłucie winy. Kiedy to sobie zrobiłaś i jak mogłam nie zauważyć?

- Na oko ma mniej więcej dwa tygodnie - mruknął w zamyśleniu doktor Dewitt i wtedy sobie przypomniałam, jak na zawołanie: niosłam cię w nocy do łazienki i mało brakowało, żebym cię upuściła. Mówiłaś, że nic ci nie jest, ale, jak się okazało, kłamałaś, żebym się nie martwiła.

- Willow, przyznaję, że jestem zdumiony - powiedział lekarz. - Udało ci się złamać łopatkę, czyli jedną z najtrudniejszych do złamania kości w ludzkim ciele. - Pokazał drugi szczegół na zdjęciu, wyraźne pęknięcie biegnące przez sam środek kości łopatkowej. - Trudno ją

uszkodzić, bo jest bardzo ruchoma.

- Co teraz zrobimy? - zapytałam.

- Cóż, Willow jest już w gipsie... Najlepszy chyba będzie temblak, chociaż to i tak prawie mumifikacja. Przez parę dni będzie bolało, ale każde inne rozwiązanie byłoby okrutną i wymyślną torturą. - Unieruchomił ci bandażem rękę przy piersi, tak jak usztywnia się złamane ptasie skrzydło. - Nie za ciasno?

Podniosłaś głowę, aby spojrzeć na niego.

- Złamałam sobie kiedyś obojczyk. To bolało bardziej. A wie pan, że obojczyk po łacinie jest *clavicula* i to znaczy „kluczyk”, nie tylko dlatego, że tak wygląda, ale też dlatego, że łączy wszystkie kości klatki piersiowej?

Doktor Dewitt otworzył szeroko usta ze zdumienia.

- Cudowne dziecko? - zapytał. - Doogie Howser, lekarz medycyny?

- Dużo czyta - uśmiechnęłam się.

- Łopatka, mostek, wyrostek mieczykowaty - wyrecytowałam. - *Scapula, sternum, ksifos*. I wiem też, jak to się pisze.

- Cholera... - szepnął doktor i zaczerwienił się. - Chciałem powiedzieć: choroba. - Spojrzał mi w oczy ponad twoją głowę. - To mój pierwszy pacjent z OI. Musicie mieć szalone życie.

- Zgadza się - przytaknęłam. - Szalone.

- Coś ci powiem, Willow: jeśli zechcesz pracować u nas na ortopedii, to masz kontrakt jak w banku. A gdyby pani - skinął mi głową - potrzebowała z kimś porozmawiać... - Wręczył mi wizytówkę wyjętą z kieszeni na piersi.

Schowałam kartonik, uśmiechając się z zażenowaniem. To najprawdopodobniej nie był akt życzliwości, tylko raczej troska o Willow - ten lekarz miał dowody mojej niekompetencji, czarno na białym, dwa złamania na kliszy rentgenowskiej. Udałam, że szukam czegoś w torebce, czekając tylko, aż sobie pójdzie, a on po chwili dał ci lizaka i pożegnał się wreszcie.

Czy miałam prawo twierdzić, że wiem, co dla ciebie najlepsze, co ci się należy, skoro w każdej chwili mogłam dostać od losu taką podkreconą piłkę jak dziś i po raz kolejny uświadomić sobie, że nie zapewniłam ci należytej opieki? Czy proces, o którym myślałam, miał się odbyć dla twojego dobra, czy może chciałam w ten sposób odpokutować za wszystkie swoje błędy?

Jakie? Na przykład marzenie o drugim dziecku. Każdego miesiąca, kiedy znów się

okazywało, że nie jestem w ciąży, stawałam naga pod prysznicem i podstawiając twarz pod strumień wody, modliłam się do Boga, żeby tym razem się udało, za wszelką cenę.

Wzięłam cię na ręce, opierając na lewym biodrze, żeby nie urazić złamanej prawej łopatki i wyszliśmy na korytarz. Wizytówka doktora Dewitta paliła mnie w kieszeni; byłam tak rozkojarzona,

że mało brakowało, a potrąciłabym jakąś dziewczynkę w drzwiach szpitala.

- Przepraszam, kochanie - powiedziałam, wycofując się, żeby ją przepuścić. Była mniej więcej w twoim wieku i szła z mamą, trzymając ją za rękę, ubrana w różową spódniczkę baletnicy i kalosze z zabimi pyszczkami na czubkach. Na głowie nie miała ani jednego włosa.

A ty zrobiłaś dokładnie to, co zawsze najbardziej cię drażniło: zaczęłaś się na nią gapić.

Ona na ciebie też.

Bardzo szybko się nauczyłaś, że dziewczynka na wózku przyciąga ciekawskie spojrzenia. Radziłam ci, że trzeba wtedy się uśmiechnąć i powiedzieć: „dzień dobry” - pokazać, że jest się człowiekiem, a nie jakimś dziwolągiem. Amelia była twoim najzagorzalszym obrońcą: kiedy tylko zauważyła, że któryś chłopak się na ciebie gapi, od razu podchodziła i mówiła mu, że tak kończą dzieci, które mają bałagan w pokoju albo nie chcą jeść warzyw. Kilka razy doprowadziła tym jakieś maluchy do łez, a ja naprawdę nie miałam serca, żeby ją za to karcić, bo widziałam, jak po takiej interwencji od razu prostujesz się na wózku, zamiast udawać, że cię nie ma.

Ale teraz to było co innego: spotkanie równych sobie.

Zacisnęłam palce dłoni, którą obejmowałam cię w talii.

- Willow - mruknęłam z przyganą.

Matka tamtej dziewczynki spojrzała na mnie. W naszych oczach odbiło się tysiąc niewypowiedzianych słów. Skinęła mi głową, odpowiedziałam tym samym.

Wyszliśmy ze szpitala w ten późnowiosenny dzień. Powietrze pachniało cynamonem i asfaltem. Zmrużyłaś oczy i chciałaś osłonić je dłonią, ale nie wyszło, bo była unieruchomiona bandażem przy piersi.

- Mamusiu - zapytałaś - dlaczego ta dziewczynka tak wyglądała?

- Bo jest chora i musi brać lekarstwo, które tak właśnie działa.

Zastanowiłaś się nad tym przez chwilę.

- Ja to mam szczęście - powiedziałaś w końcu - że od mojego lekarstwa nie wypadają włosy.

Zawsze bardzo się starałam, żeby nie płakać przy tobie, ale wtedy nie mogłam powstrzymać łez. Miałaś trzy złamania. Miałaś stary uraz, o którym nawet nie wiedziałam. Miałaś po prostu takie życie.

- Tak, to jest szczęście - zgodziłam się.

Pogładziłaś mnie dłonią po policzku.

- Już dobrze, mamo - powiedziałaś i tak jak ja ciebie w izbie przyjęć, poklepałaś mnie delikatnie po plecach, w tym samym miejscu, gdzie w twoim ciele tkwiła złamana kość.

## Sean

- Stój, do jasnej cholery! - wrzasnąłem, pędząc przez wyludniony park, z puszką farby w sprayu w dłoni. Uciekający przede mną chłopak miał przewagę odległości i wieku - na oko ze trzydzieści lat - ale wiedziałem, że nie dam mu uciec, choćbym miał paść trupem, na co powoli się zanosilo, bo kłuło mnie w boku coraz mocniej.

Dzień, jak na wiosnę, był zaskakująco ciepły. W takie dni budzą się wspomnienia dzieciństwa. Mnie naszły one na pływalni, gdzie przyjechałem służbowo; klaszczący tupot dziewcząt w japonkach przypomniał mi, jak się czułem, mając kilkanaście lat. Przyznaję się bez bicia: podczas przerwy na lunch wskoczyłem w szorty do biegania i zaliczyłem kilka basenów. Ze względu na rodzinną solidarność, dopóki nosiłaś gips, w domu nie było mowy o wodnych rozrywkach. Pływanie było twoim największym marzeniem, nigdy jednak nie opanowałaś dobrze tej umiejętności, bo wciąż nosiłaś gips. Nawet kiedy Charlotte odkryła usztywniacze z włókna szklanego - wodoodporne i koszmarnie drogie - to w sezonie nauki pływania zawsze musiało się coś stać i nie mogłaś być na zajęciach. Kiedy Amelia zaczęła się zbliżać do wieku dojrzewania, co przejawiało się czasami wyjątkowo paskudnym zachowaniem, potrafiła bezlitośnie chwalić się przed tobą, że idzie na imprezę na basenie albo po prostu na plażę. Siedziałaś wtedy cały dzień naburmuszona, a jednego pamiętnego razu odreagowałaś z prawdziwym rozmachem, ogłaszając w Internecie przetarg na budowę przydomowego basenu; na taką inwestycję nie mieliśmy ani miejsca, ani pieniędzy. Czasami odnosiłem wrażenie, że dręczy cię obsesja na punkcie wody - latem chlorowanej, zimą skutej lodem; marzyłaś o tym, czego nie mogłaś mieć.

Tak samo zresztą jak i my.

Włosy wciąż jeszcze miałem mokre i czuć mnie było chlorem; próbowałem wymyślić, jak ukryć to przed tobą po powrocie do domu. Mijając miejscowy park, gdzie niedawno skończył się mecz małej ligi baseballowej, przez otwarte okno w samochodzie zauważyłem nagle na boisku wyrostka, wypisującego coś sprayem na ścianie przy ławce rezerwowych. W biały dzień.

Nie wiem, co mnie bardziej wkurzyło: to, że szczeniak niszczy własność publiczną, czy fakt, że robi to pod samym moim nosem i nawet nie próbuje się kryć. Zaparkowałem w sporej odległości i podkradłem się do niego.

- Ej! - zawołałem. - Możesz mi powiedzieć, co robisz?

Przyłapany na gorącym uczynku winowajca odwrócił się szybko. Był wysoki i chudy jak

szczapa, żółte włosy wisiały mu w strąkach, pod nosem jaśniał żaloszny meszek udający wąsy. Spojrzał mi wyzywająco prosto w oczy, a w następnej chwili cisnął puszkę z farbą na ziemię i rzucił się do ucieczki.

Puściłem się w pogoń za nim. Wypadł z parku, ale przebiegając pod estakadą, plasnął trampkiem w kałużę błota i poślizgnął się, a wtedy go dopadłem i przyparłem całym ciężarem ciała do betonowej ściany. Wbiłem mu przedramię pod brodę.

- Pytałem cię o coś - warknąłem. - Co tam robiłeś, pieprzony gnoju?

Chłopak zacharczał, łapiąc mnie za rękę, i nagle zobaczyłem siebie jego oczami.

Nie zaliczałem się do policjantów, którzy wykorzystują swoje stanowisko, żeby terroryzować ludzi. Dlaczego więc wybuchnąłem tak mocno? Cofnąłem się o krok, odpowiadając sobie: nie chodziło o to, że smarkacz bazgrał po ścianie, ani o to, że na mój widok natychmiast nie poczuł się winny. Miałem mu za złe, że uciekł, a ściślej: że mógł uciekać.

Wściekłem się na niego, bo ty, w podobnej sytuacji, nie mogłabyś uciec.

Chłopak zgiął się wpół, kaszłąc spazmatycznie.

- O w mordę... - wysapał. - Je-ezu...

- Przepraszam - powiedziałem. - Naprawdę.

Spojrzał na mnie wzrokiem osaczonego zwierzęcia.

- Dobra, rób, co masz robić. Zawijaj mnie.

Odwróciłem się do niego plecami.

- Spływaj. Zanim się rozmyślę.

Chwila ciszy. A potem znów ten sam dźwięk: tupot stóp uciekającego człowieka.

Oparłem się o ścianę podtrzymującą estakadę i zamknąłem oczy. To był okres, kiedy gniew wrzał we mnie jak gejzer, który musi regularnie wybuchać. Czasem w polu rażenia znalazł się akurat ktoś obcy, jak ten smarkacz, innym razem moje dziecko - potrafiłem nawrzeszczeć na Amelię za jakąś bzdurę w stylu zostawienia miski z płatkami na telewizorze, a przecież mnie też to się zdarzało, zresztą tak samo często jak jej. A czasami miałem pretensję do Charlotte - że zrobiła klops, gdy miałem ochotę na kolety z kurczaka, że nie uciszyła dziewczynek, kiedy odsypiałem nocną zmianę, że nie wiedziała, gdzie posiałem kluczyki, że samym swoim istnieniem zachęciła mnie do wyładowania złości.

Miałem już w życiu do czynienia z sądami. Raz zaskarżyłem fabrykę Forda, bo wypadł mi dysk, kiedy jeździłem przez dłuższy czas radiowozem tej marki. Może to była ich wina, a

może nie, w każdym razie poszli na ugodę i wypłacili mi odszkodowanie, za które kupiłem vana, na tyle dużego, żeby pomieścił twój wózek plus inne przyrządy. I jestem pewien, że dla Ford Motor Company dwadzieścia tysięcy dolarów to przyszc. Ale teraz to było co innego: mieliśmy zaskarżyć kogoś nie za to, że zrobił ci krzywdę, lecz za to, że w ogóle przyszedł na świat. Wiedziałem bardzo dobrze, co moglibyśmy dla ciebie zrobić, gdybyśmy dostali wysokie odszkodowanie, nie mogłem jednak się pogodzić z faktem, że trzeba zapłacić za nie kłamstwem.

Tymczasem Charlotte jakoś nie widziała w tym problemu. I to mnie zastanowiło: czyżby miała więcej kłamstw na koncie? Może po prostu czegoś nie zauważam? Była szczęśliwa czy żałowała, że nie może zacząć od nowa, beze mnie, bez ciebie? Czy mnie kochała?

Co to za ojciec, który nie chce iść do sądu, chociaż może tam zgarnąć tyle kasy, że jego córka będzie żyła za to wygodnie do końca swoich dni, a on nie będzie musiał ciułać nędznych groszy i szukać fuch na szkolnych meczach albo balach, żeby starczyło na materac z pianki termoelastycznej, wózek z elektrycznym silnikiem, specjalny samochód dla niepełnosprawnego kierowcy? Ale z drugiej strony - co to za ojciec, który nie umie zdobyć tego wszystkiego w inny sposób, jak tylko udając, że cię nie chciał?

Odchyliłem głowę, opierając ją o betonową ścianę. Oczy miałem zamknięte. Gdybyś urodziła się zdrowa i dostała paraliżu w wyniku urazów odniesionych w wypadku drogowym, to poszedłbym do adwokata, żeby wyszukał mi każdą kraknę, w której brał udział ten model samochodu i sprawdził, czy to możliwe, że zawiniła jakaś fabryczna usterka - a wtedy ludzie odpowiedzialni za twoją krzywdę zapłaciliby za to. Czy pozew z tytułu niedobrego urodzenia to było naprawdę co innego?

Tak. To naprawdę co innego, bo nawet szepcząc sobie te dwa słowa przed lustrem przy goleniu, czułem wyraźnie, jak skręcają mi się flaki.

Zadzwoiła moja komórka, przypominając, że opuściłem radiowóz i nie wracam do niego dłużej, niż pierwotnie miałem zamiar.

- Halo?

- Tato, to ja - powiedziała Amelia. - Mama po mnie nie przyjechała.

Zerknąłem na zegarek.

- Skończyłaś lekcje już dwie godziny temu.

- Wiem. Nie ma jej w domu i nie odbiera komórki.

- Już po ciebie jadę.



Dziesięć minut później Amelia siedziała w moim radiowozie, prezentując kwaśną minę numer jeden.

- Super - mruknęła. - Uwielbiam, jak policja zgarnia mnie ze szkoły. Ależ będą ploty...
- Masz szczęście, księżniczko-histeryczko, że całe miasto zna twojego ojca gliniarza.
- Dodzwoniłeś się do mamy?

Próbowałem, jednak Amelia mówiła prawdę: Charlotte nie odbierała telefonu. Wkrótce okazało się, dlaczego; kiedy skręciłem pod nasz dom, zobaczyliśmy ją, jak ostrożnie wyjmowała cię z tylnego siedzenia. Oprócz gipsu miałaś na sobie nowy bandaż, przyciskający ramię do tułowia.

Usłyszawszy samochód, Charlotte odwróciła głowę i skrzywiła się z zakłopotaniem.

- Amelia... - jęknęła. - Boże, przepraszam. Kompletnie zapomniałam...
- Dziwnym nie jest - burknęła Amelia i pomaszzerowała do domu.

Wyjąłem cię z rąk mamy.

- Co się stało, Wills?
- Złamałam sobie łopatkę - pochwaliłaś się. - Bardzo trudno ją złamać.
- Łopatka, dasz wiarę? - powiedziała Charlotte. - Prosto przez środek.
- Nie odbierałaś telefonu.
- Padła mi bateria.
- Mogłaś zadzwonić ze szpitala.

Uniosła głowę.

- Masz do mnie pretensje, Sean? Przecież się nie objęłam...
- Powinienem chyba wiedzieć, że mojej córce coś się stało, nie uważasz?
- Możesz nie podnosić głosu?
- Dlaczego? - prychnąłem. - Niech wszyscy słyszą. I tak się rozejdzie, jak złożysz ten

swój...

- Nie będę o tym rozmawiać przy Willow.
- Lepiej się przełam, kochanie, i to szybko, bo wcześniej czy później ona i tak będzie musiała wszystkiego wysłuchać.

Charlotte poczerwieniała jak burak, zabrała mi cię i pomaszzerowała do domu. Posadziła cię na kanapie, dała pilota do telewizora i zniknęła w kuchni, pokazawszy mi wzrokiem, żebym poszedł za nią.

- Co cię ugryzło, do diabła? - zapytała.

- Co mnie ugryzło? To ty zostawiłaś Amelię samą przez dwie godziny po szkole...

- Willow miała wypadek...

- No właśnie, powiedz mi, co się stało - wpadłem jej w słowo.

- Nic poważnego.

- Wiesz co, Charlotte? Dla mnie to wygląda całkiem, kurwa, poważnie.

- A gdybym nawet zadzwoniła, to co byś zrobił? Znowu zwolnił się z pracy? I kolejna dniówka w plecy? Nie dość jednego nieszczęścia?

Po zeszywniałym nagle karku przebiegł mi dreszcz. Proszę, oto była prawdziwa przyczyna tego cholernego procesu, wypisana niewidzialnym atramentem pomiędzy wierszami na każdej stronie dokumentów, które trafią do sądu: „Sean O’Keefe zarabia za mało w stosunku do specjalnych potrzeb swojej córki... więc tak to musiało się skończyć”.

- Chcesz wiedzieć, co myślę? - zapytałem, usiłując panować nad głosem. - Myślę, że gdyby Willow była ze mną i coś sobie zrobiła, a ja bym cię nie zawiadomił, to nie darowałabyś mi tego. I wiesz, co jeszcze? Nie zadzwoniłaś do mnie specjalnie. Nie chodziło o moją pracę ani o twoją rozładowaną komórkę, tylko o to, że ty już się zdecydowałaś. Zrobisz to, co ci się podoba, nie licząc się z niczym, a już na pewno nie z moim zdaniem.

Wypadłem z domu i wskoczyłem z powrotem do radiowozu, który czekał na podjeździe z pracującym silnikiem; broń Boże, żebym miał zwolnić się z pracy choćby na chwilę.

Trzasnąłem dłonią w kierownicę, niechcący wciskając klakson. Na dźwięk sygnału Charlotte wyjrzała przez okno. Mignął mi owal jej twarzy, maleńki i biały, o rysach nieczytelnych z tej odległości.

Oświadczyłem jej się na kruchych ciasteczkach. Zamówiłem w cukierni jedenaście ptifurek, każda z jedną literą słów wyjdź za mnie wypisaną lukrem i pomieszałem je na talerzu.

- To jest zagadka - poinformowałem Charlotte. - Musisz je ułożyć we właściwej kolejności.

I ułożyła: jedźmy z wina.

Wciąż stała w oknie, obserwując mnie z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Trudno mi było dostrzec w niej tamtą dziewczynę, której wtedy powiedziałem, że musi spróbować jeszcze raz. W mojej pamięci zatarł się już wyraz jej oczu, kiedy za drugim razem rozwiązała moją zagadkę.

## Amelia

Tamtego dnia, kiedy mama zawołała mnie na kolację, szłam jak na ścięcie. Nie trzeba było Einsteina, żeby zauważyć, że nikt w tym domu nie jest zadowolony z życia i że ma to coś wspólnego z tamtą naszą wizytą u prawników. Rodzice nawet już się nie starali nie krzyżeć na siebie zbyt głośno. W końcu tata wyszedł z domu i nie było go trzy godziny, mama zrobiła klops, płacząc do miski, w której mieszła mięso, a ty cały czas kwiliłaś, więc zrobiłam to, co zawsze, kiedy coś cię bolało: zatkałam uszy słuchawkami od iPod'a i podkręciłam głośność na full.

Wiem, co sobie myślałaś: zrobiłam to, żeby zagłuszyć twoje jęki. To nieprawda. Rodzice też tak myśleli. Uważali, że jestem nieczuła i obojętna. Nie chciało mi się im tego tłumaczyć, ale w rzeczywistości chodziło o to, że musiałam słuchać tej muzyki, żeby oderwać myśli od jednej prostej prawdy: płakałaś, a ja w żaden sposób nie mogłam ci pomóc - i przez to brzydziłam się sobą jeszcze bardziej.

Kiedy zeszałam, wszyscy siedzieli już przy stole, nawet ty, w połówce rozciętego gipsu i z jedną ręką przywiązaną bandażem do klatki piersiowej. Mama pokroiła ci porcję klopsa na kawałeczki nie większe od znaczka pocztowego. Przypomniało mi to czasy, kiedy byłaś jeszcze bardzo mała i siadałaś do stołu na wysokim krzeselku. Próbowałam się wtedy z tobą bawić. Turlaliśmy piłkę albo woziliśmy cię w zabawkowym wózku - i za każdym razem słyszałam to samo: „Tylko ostrożnie”.

Kiedyś siedziałas na łóżku, a ja po nim skakałam, i spadałaś. Jeszcze chwilę wcześniej byliśmy na kosmicznej wyprawie i odkrywaliśmy obcą planetę, a teraz leżałaś na podłodze z lewą nogą złamaną na pół, pod kątem prostym, szybko pogrążając się w tym strasznym transie, który zawsze towarzyszył wyjątkowo bolesnym urazom. Mama i tata na wyścigi przekonywali mnie, że to nie moja wina - myśleli, że dam się oszukać? To ja skakałam po tym łóżku i nieważne, że to był twój pomysł. Gdyby mnie nie było, to nic by ci się nie stało.

Usiadłam na swoim krześle. Nie mieliśmy wyznaczonych miejsc przy stole, jak w niektórych domach, ale zawsze siadaliśmy na tych samych. W uszach wciąż miałam słuchawki, a muzyka grała głośno - same emo kawałki, przy których mogło mi się wydawać, że są na świecie ludzie, którzy mają jeszcze gorzej przerażane w życiu niż ja.

- Amelia - upomniał mnie tata - nie przy stole.

Czasami wydaje mi się, że noszę w sobie potwora; mieszka w tej pustej grocie, gdzie

powinno być serce, i przy takiej czy innej okazji rozrasta się, wypełniając mnie po brzegi, a wtedy nie mogę się powstrzymać i muszę zrobić coś nie tak. Ten potwór zionie kłamstwami, cuchnie perfidią. I wybrał właśnie ten moment, żeby o sobie przypomnieć. Spojrzałam na tatę i jeszcze trochę podkręciłam muzykę.

- Podaj kartofle - powiedziałam.

Głośno, za głośno.

To była gówniarska zagrywka - być może tego właśnie chciałam. Może wydawało mi się, że jeśli będę się zachowywać jak samolubna, rozkapryszona smarkula, to w końcu się w nią zamienię - jak Pinokio z drewnianego pajacyka w prawdziwego chłopca - i wszyscy będą dookoła mnie skakać, zamiast karmić cię klopsem, uważając cały czas, żebyś się nie zsunęła z krzesła. A tak naprawdę to wystarczyłoby mi, by ktokolwiek w ogóle zauważył, że ja też należę do tej rodziny.

- Wills - powiedziała mama - musisz coś zjeść.

- To smakuje jak brudne nogi - grymasiłaś.

- Amelia, nie będę powtarzał - ostrzegł tata.

- Jeszcze pięć kawałeczków...

- Amelia!

Nie patrzyli na siebie; po tamtej kłótni chyba nawet ze sobą nie rozmawiali. Ciekawe, czy zdawali sobie sprawę, że gdyby nie siedzieli przy jednym stole, tylko jedno tu, a drugie na antypodach, to te rodzinne rozmowy przy kolacji wyglądałyby zupełnie tak samo.

Wykręciłaś głowę, uciekając przed widelcem, którym mama machała ci przed nosem.

- Przestań traktować mnie jak dziecko - powiedziałaś. - Nie musisz robić ze mnie dwuletniej smarkuli tylko dlatego, że złamałam sobie łopatkę!

Chcąc zademonstrować swoją samodzielność, sięgnęłaś wolną ręką po szklanekę, ale tylko ją przewróciłaś; mleko poleciało na obrus, a przede wszystkim prosto na talerz taty.

- Cholera jasna! - krzyknął, potem sięgnął w moją stronę i wyciągnął mi z uszu słuchawki. - Żyjesz w tej rodzinie - oznajmił - i masz się zachowywać przy stole.

- Ty też się zachowuj. - Spojrzałam mu prosto w oczy.

Tata momentalnie poczerwieniał na twarzy.

- Idź do siebie, już.

- Dobra! - krzyknęłam, odsuwając krzesło z przeraźliwym piskiem. Pobiegłam na górę i

zamknęłam się w łazience. W oczach miałam łzy, z nosa mi leciało. Z lustra spojrzęła na mnie jakaś obca dziewczyna; wykrzywione usta, ciemne, puste oczy.

To był taki okres, kiedy wszystko mnie wkurzało. Budziłam się wkurzona, bo gapiłaś się na mnie jak na jakiegoś zwierzaka w zoo; w szkole nie mogłam znieść, że mam szafkę za blisko sali od francuskiego, gdzie rezydowała madame Riordan, która zawsze dręczyła mnie tak, jakby to był jedyny cel jej życia; drażnił mnie widok stadka cheerleaderek, które mają w życiu wszystko, łącznie z nogami do samej ziemi i martwią się tylko o to, kto zaprosi je na następną dyskotekę albo czy czerwone paznokcie są dziwkarskie.

Takie laski nigdy nie mają problemów w stylu: mama zapomniała odebrać mnie ze szkoły, bo siostra wylądowała na pogotowiu. Jedynym - oprócz złości - uczuciem, które znałam, był głód. Taki jak tamtego dnia. I jedno, i drugie pożerało mnie od środka, aż w końcu przestałam je odróżniać.

Poprzedniej kłótni rodziców - raptem dzień wcześniej - wysłuchałyśmy z naszego pokoju. Wszystko było słycać głośno i wyraźnie. Zamknęłyśmy drzwi, ale głosy i tak sączyły się przez szczelinę nad progiem. Dolatywały nas różne słowa: „niedobre urodzenie”, „zeznanie”, „pod przysięgą”. A w pewnym momencie: „telewizja”.

- Uważasz, że dziennikarze się o tym nie dowiedzą? Chcesz tego, naprawdę? - zapytał tata, a ja przez chwilę ucieszyłam się na myśl, że będę w wiadomościach. Potem jednak uznałam, że reportaż z życia dziecka w rodzinie dysfunkcyjnej to nie jest mój wymarzony pomysł na piętnaście minut sławy.

- Gniewają się na mnie - powiedziałaś wtedy.

- Nie na ciebie, tylko na siebie - sprostowałam.

A potem obie usłyszałyśmy, jak tata mówi:

- Naprawdę myślisz, że Willow nie zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi?

Spojrzęłaś na mnie.

- Co mam zrozumieć? - zapytałaś, a ja wahałam się przez chwilę, aż w końcu, zamiast odpowiedzieć, sięgnęłam po książkę leżącą u ciebie na kolanach i zaproponowałam, że poczytam ci na głos.

Normalnie za tym nie przepadałaś, bo z czytaniem akurat radziłaś sobie tak dobrze jak z niczym innym i lubiłaś się tym popisywać, ale wtedy czułaś chyba to samo co ja: jakbyś połknęła wielki stalowy zmywak, który za najmniejszym poruszeniem szarpie wszystko od środka.

Miałam znajomą, której rodzice się rozwiedli. Tak to się zaczyna, prawda?

Otworzyłam książkę na chybił trafił; padło na stronę pełną informacji o nieprawdopodobnych, przerażających nagłych zgonach. Ochroniarz z firmy Brinks, zajmującej się transportem wartościowych przedmiotów, zginął zmiażdżony przez worek, w którym było pięćdziesiąt tysięcy ćwierćdolarówek. Kierowca samochodu strąconego przez wicher do rzeki w pobliżu Neapolu wybił okno i wydostał się na brzeg, a tam przygniotło go drzewo przewrócone przez ten sam wiatr. Facet, który w 1911 roku spłynął Niagara w beczce i połamał sobie niemalże wszystkie kości, wyzdrowiał, a potem w Nowej Zelandii poślizgnął się na skórce od banana i zabił się.

To ostatnie w końcu cię rozbawiło, ale ja, pomimo twojego uśmiechu, wciąż czułam się nędznie, bo myślałam tylko o tym, że nie można wygrać z życiem, kiedy na każdym kroku dostaje się od niego cięgi.

I wtedy do pokoju weszła mama. Usiadła na skraju twojego łóżka.

- Czy wy już przestaliście się z tatą lubić? - zapytałaś.

- Nie. - Mama uśmiechnęła się, ale w taki sposób, że jej twarz wyglądała jak za ciasna, rozciągnięta maska. - Wszystko gra.

Stanęłam przed nią, biorąc się pod boki.

- Kiedy w końcu jej to powiesz? - zapytałam stanowczo.

Spojrzenie, które mi wtedy posłała, mogłoby przewiercić człowieka na wylot, przysięgam.

- Amelio - ton jej głosu wykluczał wszelką możliwość dyskusji - nie ma o czym mówić.

A teraz, siedząc na krawędzi wanny, zrozumiałam, że moja matka kłamie jak najęta. Ciekawe, myślałam, czy i mnie czeka to samo, czy skłonność do oszustwa można odziedziczyć, tak jak dostałam po niej giętke stawy łokciowe (mogę je wygiąć w drugą stronę) albo zwinny język, którym umiem zawiązać szypulkę od wiśni na supełek.

Pochyliłam się nad sedesem, wsadziłam palec do gardła i zwymiotowałam, żeby w końcu poczuć w sobie prawdziwą pustkę i prawdziwy ból.

**Pieczenie na ślepo:** *wypiekanie kruchego korpusu do ciasta osobno, bez nadzienia.*

*Delikatne ciasto pomimo największych starań potrafi opaść. Z tego powodu korpusy do niektórych ciast albo tart trzeba upiec bez nadzienia. Najlepsza metoda jest taka: rozwałkować ciasto, wylepić nim formę i schować do lodówki na co najmniej pół godziny. Kiedy mamy już*

*wszystko przygotowane dopieczenia, trzeba ponakłuwać ciasto w kilku miejscach widelcem, a potem nakryć folią albo papierem pergaminowym i nasypać na wierzch ryżu, ewentualnie suszonej fasoli. Następnie upiec zgodnie z przepisem, a gdy jest gotowe, ostrożnie zdjęć przykrycie z obciążeniem - dzięki niemu korpus zachował kształt. Podoba mi się ten moment, kiedy przytłaczający ciężar w końcu znika, spada jak kamień z serca; lubię przesypywać w palcach ziarna fasoli, drobne jak problemy, o których łatwo się zapomina. Najbardziej jednak przemawia do mnie odcisk, który pozostaje w cieście i mówi: tylko prawdziwe brzemie kształtuje człowieka.*

#### SŁODKI KORPUS Z KRUCHEGO CIASTA

*1 1/3 szklanki mąki uniwersalnej szczypta soli*

*1 łyżka stołowa cukru*

*1/2 szklanki + 2 łyżki stołowe zimnego,*

*niesolonego masła, pociętego w drobną kostkę*

*1 duże żółtko*

*1 łyżka stołowa lodowatej wody*

Zmieszać mąkę, sól, cukier i masło robotem kuchennym, używając funkcji „pulse”, aż powstaną grudki. W małej misce ubić żółtko z zimną wodą i nie wyłączając robota, dolewać do mąki z masłem; ma z tego powstać kula, którą zawijamy w folię spożywczą, spłaszczamy i chłodzimy w lodówce przez godzinę.

Następnie trzeba rozwałkować ciasto na wcześniej podsypanej mąką stolnicy i wylepić nim formę z wyjmowanym dnem. Przed pieczeniem schłodzić.

Rozgrzać piekarnik do 190°C. Wyjąć formę z lodówki, ciasto gęsto ponakłuwać widelcem, nakryć folią aluminiową i wysypać suszoną fasolą. Piec przez 17 minut, zdjęć folię z fasolą i piec dalej przez 6 minut. Przed nałożeniem nadzienia dokładnie wystudzić.

#### TARTA Z MORELAMI

*1 słodki spód, upieczony na ślepo*

*2-3 morele*

*2 żółtka*

*1 szklanka tłustej śmietany*

*3/4 szklanki cukru*

*1 1/2 łyżki stołowej mąki*

*1/4 siekanych orzechów laskowych*

Morele obrać, pokroić w plastry i ułożyć na upieczonym wcześniej cieście.

Zmieszać żółtka, śmietanę, cukier i mąkę, a następnie zalać tym morele i posypać z wierzchu orzechami. Piec przez 35 minut w piekarniku rozgrzanym do 180°C.

W smaku tej tarty zachowała się pamięć przytłaczającego ciężaru. Zalega cieniem pod słodyczą, niczym niewypowiedziane pytanie zawisłe na końcu języka.



## **Marin**

*Czerwiec 2007 r.*

Facebook w założeniu ma być serwisem społecznościowym, ale prawda jest taka, że większość moich znajomych, którzy z niego korzystają - ja zresztą tak samo - spędza tam tyle czasu, że na znajomości w świecie rzeczywistym go już nie wystarcza; trzeba przecież dopieścić swój profil, zaczepić kogoś albo napisać mu coś na wirtualnej ścianie. Być może nie powinno się siedzieć na Facebooku w godzinach pracy, kiedyś jednak nakryłam samego Boba Ramireza, jak bawił się swoją stroną na MySpace, więc teraz szef nie może mieć mi tego za złe, jeśli nie chce wyjść na hipokrytę.

To był czas, kiedy dołączałam na Facebooku do różnych grup: Znajdź Biologiczną Matkę, Znajdź Dziecko Oddane do Adopcji, Archiwum Poszukiwań Adopcyjnych. Zdarzali się tam ludzie, którym naprawdę udało się odszukać tego, o kogo chodziło. Zresztą nawet gdyby mnie się nie powiodło, miło było się zalogować i przeczytać, że nie jesteś jedyną osobą, którą wkurza cały ten system.

Wpisałam hasło i sprawdziłam przegląd wejść na mój profil. Zaczepiła mnie znajoma z liceum, której nie widziałam piętnaście lat; w zeszłym tygodniu dostałam od niej zaproszenie do grupy znajomych. Kuzyn z Santa Barbara rzucił mi wyzwanie: adres filmowego kwizu na Flixsterze. W swojej grupie znajomych zajęłam pierwsze miejsce w plebiscycie: z kim najchętniej dalibyście się zakuć w kajdanki?

Przebiegłam wzrokiem mój profil, wyświetlony tuż powyżej:

nazwisko: Marin Gates

serwisy: Mieszkańcy Portsmouth, NH

Absolwenci Uniwersytetu Stanu New Hampshire

Izba Adwokacka Stanu New Hampshire

płeć: kobieta

interesują mnie: mężczyźni

obecnie w związku: nie

Nie??

Odświeżyłam stronę. Przez ostatnie cztery miesiące ta linijka mojego profilu miała inne brzmienie: „obecnie w związku z Joe McIntyre'em”. Weszłam na stronę główną, żeby przejrzeć

wiadomości nadesłane do serwisu. I znalazłam. Jego zdjęcie, a obok aktualizacja: „Joe McIntyre i Marin Gates rozstali się”.

Po prostu szczęka mi opadła. Jakby ktoś mnie walnął zza rogu, z zaskoczenia.

Złapałam płaszcz i wypadłam z gabinetu.

- Czeka! - zawołała Briony. - Dokąd idziesz? Masz telekonferencję o...

- Przełóż to - uciełam. - Mój facet zerwał ze mną na Facebooku.

Fakt, Joe McIntyre nie był „tym jedynym”. Poznałam go na meczu Bruinsów, na którym byłam z klientami; wylał na mnie piwo, kiedy mijaliśmy się w przejściu na trybunie. Trudno to nazwać obiecującym początkiem znajomości, ale miał oczy koloru indygo i uśmiech grożący eskalacją globalnego ocieplenia... Zanim się obejrzałam, wyciągnął ode mnie łaskawą zgodę na zapłacenie za pranie poplamionej koszuli, a razem z nią - numer telefonu. Na pierwszej randce okazało się, że pracujemy niecałą przecznicę od siebie, a do tego oboje kończyliśmy uniwersytet w New Hampshire. Z drugiej randki wróciliśmy do mnie i przez dwa kolejne dni nie wychodziliśmy z łóżka.

Joe miał dwadzieścia osiem lat, czyli był ode mnie młodszy o sześć, i wciąż skakał z kwiatka na kwiatek, gdy tymczasem ja, w trzydziestej czwartej wiosnie życia, słyszałam już bardzo wyraźnie bicie zegara biologicznego. Związek z nim to była przygoda, zwykła rozrywka: mieć kogoś, kto pójdzie z tobą do kina w sobotni wieczór i nie zapomni kupić ci kwiatów na walentynki. Wiedziałam doskonale, że najdalej za kilka miesięcy powiem mu: mamy zupełnie odmienne cele w życiu.

Ale, do jasnej cholery, na pewno nie dowiedziałby się o tym z Facebooka.

Skręciłam za róg i weszłam prosto do recepcji kancelarii adwokackiej, gdzie pracował Joe. Wystrój był tutaj zdecydowanie mniej okazały niż w firmie Boba, ale w końcu my byliśmy od reprezentowania powodów w sporach, nie chcieliśmy naprawiać świata.

- W czym mogę pomóc? - Recepcjonistka uśmiechnęła się do mnie.

- Joe czeka na mnie - odpowiedziałam, mijając jej biurko.

Kiedy otworzyłam drzwi do jego gabinetu, akurat nagrywał coś na dyktafon:

- Ponadto, naszym zdaniem, w najlepiej pojętym interesie firmy Cochran i Synowie leży, aby... Marin? Co ty tu robisz?

- Zerwałeś ze mną... na Facebooku?

- Chciałem wysłać ci SMS-a, ale tak by było jeszcze gorzej - odpowiedział, podbiegając

do drzwi, żeby je zamknąć, bo akurat korytarzem przechodził jakiś jego kolega. - Daj spokój, Marin. Przecież wiesz, że nie grzeszę delikatnością... - Wyszczrzył zęby. - Za to kiedy już grzeszę, potrafię być delikatny.

- Nie masz za grosz wyczucia, prymitywie - powiedziałam.

- A ja właśnie uważam, że zachowałem się jak człowiek cywilizowany. Bo co niby miałem do wyboru? Wielką kłótnię, gdzie na końcu bym usłyszał: „Spieprzaj, gnojku”?

- Tak! - Wzięłam głęboki oddech. - Masz kogoś?

- Nie, to ty nie masz czasu - odpowiedział Joe poważnym tonem. - Sama sobie przypomnij: trzy razy ostatnio chciałem się umówić i trzy razy mnie spławiłaś. Co miałem zrobić? Czekać, aż znajdziesz chwilę?

- Jesteś niesprawiedliwy - zaprotestowałam. - Przeglądałam podania o zezwolenie na zawarcie małżeństwa...

- No właśnie - przerwał mi. - Ty nie chcesz spotykać się ze mną, tylko ze swoją biologiczną matką. Na początku nawet mnie to kręciło: z takim uczuciem mówiłaś, że musisz ją odnaleźć... Tylko później się okazało, że to jest twoje jedyne uczucie, Marin. - Joe wsunął ręce do kieszeni. - Żyjesz przeszłością do tego stopnia, że nie masz niczego do zaoferowania.

Oblało mnie nieznośne gorąco, bijące spod kołnierza żakietu.

- Pamiętasz te dwa cudowne dni - i noce - wtedy u mnie? - Pochyliłam się nad nim, nisko, niemalże ocierając się ustami o jego usta i wpatrując się w jego rozszerzone nagle źrenice.

- O, tak - wymruczał.

- Udawałam. Za każdym razem - poinformowałam go i wyszłam, unosząc wysoko głowę.

Urodziłam się trzeciego stycznia 1973 roku. Wiem o tym, oczywiście, od zawsze. Orzeczenie adopcyjne, które dostałam z sądu hrabstwa Hillsborough, jest datowane na koniec lipca, ponieważ obowiązuje sześciomiesięczny okres oczekiwania, podczas którego finalizuje się procedurę adopcyjną i ustala termin sądowego rozpatrzenia sprawy. Te sześć miesięcy zwłoki jest tematem nieustających dyskusji w kręgach adopcyjnych. Jedni uważają, że to za krótko, ponieważ biologiczna matka nie ma czasu, żeby zmienić zdanie, inni przeciwnie - sądzą, że to za długo ze względu na rodziców zastępczych, którzy przez pół roku żyją w ciągłej obawie, że będą musieli oddać dziecko. Rzecz jasna, każdy wypowiada się z własnego punktu widzenia, zależnie od tego, czy chce się dziecko oddać czy wziąć.

Spóźniłam się o kilka dni z tymi urodzinami. Mój tata liczył - tak mi mówił - że będzie

mógł odliczyć mnie od podatku, ale pokrzyżowałam mu plany, bo urodziłam się już po Nowym Roku. Kartka, która przyjechała ze mną ze szpitala - mam ją do tej pory, schowaną w albumie z najwcześniejszymi zdjęciami - to była karta z łóżeczka na porodówce; miała oddartą górę, tam gdzie było nazwisko, ale został po nim jeden ogonek, jak od odręcznego *g, j* albo *q*. Oprócz tego wiedziałam o sobie tyle, że moi biologiczni rodzice mieszkali w hrabstwie Hillsborough, a matka miała siedemnaście lat. W latach siedemdziesiątych siedemnastolatka, która urodziła dziecko, wychodziła za jego ojca znacznie częściej niż obecnie; to właśnie sprowadziło mnie do archiwów urzędu stanu cywilnego.

Za pomocą kalkulatora na stronie dla kobiet w ciąży wyliczyłam, że aby termin porodu przypadł na sylwestra, dziecko musi zostać poczęte około dziesiątego kwietnia. (Dziesiąty kwietnia: wyobraziłam sobie wiosenny bal w liceum. Nocny powrót samochodem, postój nad brzegiem oceanu. Fale biją o piasek, o świcie słońce, okrągłe niczym wielkie żółtko, wytacza się zza horyzontu, a oni śpią czule objęci). W każdym razie jeśli miesiąc później odkryła, że jest w ciąży, ślub musiał się odbyć na początku lata 1972 roku.

W 1973 roku Nixon pojechał z wizytą do Chin. Na igrzyskach w Monachium zginęło jedenastu izraelskich olimpijczyków. Znaczek pocztowy kosztował osiem centów. Oakland A's wygrali World Series, a stacja CBS wyświetliła pierwszy odcinek „M.A.S.H”.

Dwudziestego drugiego stycznia 1973 roku, dziewiętnaście dni po moim urodzeniu, kiedy byłam już u Gatesów, Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej wydał przełomowy wyrok w procesie Roe przeciwko Wade, czyniąc prawo do aborcji fundamentalnym prawem konstytucyjnym każdej kobiety.

Czy moja matka, dowiedziawszy się o tym, była wściekła, że nie trafiła w dobry czas?

Kilka tygodni temu zaczęłam przetrząsać zasoby archiwum urzędu stanu cywilnego hrabstwa Hillsborough w poszukiwaniu aktów ślubu z letnich miesięcy 1972 roku. Jeśli moja matka miała siedemnaście lat, to do jej metryki musiał być dołączony formularz zgody rodziców. To bardzo skutecznie zawężyło pole moich poszukiwań.

Przez dwa kolejne weekendy odmawiałam, kiedy Joe chciał się spotkać, bo czekało na mnie z górą trzy tysiące podań o zezwolenie na zawarcie małżeństwa. Przeglądałam je, poznając przy tym ustawodawstwo mojego rodzinnego stanu w odrażających szczegółach (na przykład: dziewczyna lat trzynaście-siedemnaście i chłopak lat czternaście-siedemnaście mogą pobrać się za zgodą rodziców), ale jak dotąd nie udało mi się natrafić na takie, które mogliby złożyć moi

biologiczni rodzice.

Prawdę mówiąc, dałam za wygraną, jeszcze zanim Joe mnie rzucił.

Po wyjściu z jego firmy wróciłam do naszej kancelarii i jakoś udało mi się odwalić resztę zaplanowanej roboty. Wieczorem, w domu, otworzyłam butelkę wina, do tego pudełko lodów i spojrzałam prawdzie w oczy: muszę się zdecydować, czy naprawdę chcę odnaleźć swoją biologiczną matkę. Ona swoją decyzję o oddaniu mnie do adopcji najprawdopodobniej okupiła lawiną moralnych rozterek, więc ja, przed przystąpieniem do poszukiwań, powinnam dokonać podobnej samooceny. Ciekawość to za mało, podobnie jak obawa przed dziedzicznymi chorobami, od której to wszystko się zaczęło. Kiedyś nosiłam inne nazwisko - i co dalej? Gdybym nawet poznała swoje pochodzenie, to wcale jeszcze nie musiało oznaczać, że ostatecznie starczy mi odwagi, aby się dowiedzieć, dlaczego zostałam oddana do adopcji. Decydując się na podjęcie poszukiwań, musiałam liczyć się z tym, że doprowadzą mnie one do osoby, która odmieni moje życie na zawsze - i vice versa.

Sięgnęłam po telefon.

- Co robisz? - zapytałam mamę, kiedy odebrała.

- Próbuję nagrać „Raport Colberta” na TiVo. A ty?

Spojrzałam na roztopione lody i do połowy już pustą butelkę wina.

- Zaczynam dietę oczyszczającą: same płyny - odpowiedziałam. - Ażeby na ekranie wyskoczyło ci właściwe menu, musisz nacisnąć czerwony guzik.

- Aha, znalazłam. W porządku. Ojciec zawsze marudzi, jak zaśnie, a ja obejrzę Colberta.

- Mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Czy ja, jak coś robię, to z uczuciem?

- Naprawdę nie masz już kogo o to pytać, tylko mnie? - zaśmiała się mama.

- Nie chodzi mi o związki z facetami, tylko, no wiesz, o życie. Czy jak byłam mała, to miałam jakieś hobby? Może zbierałam naklejki albo prosiłam, żeby mnie zapisać na basen?

- Kochanie, do dwunastego roku życia bałaś się wody jak kot.

- No dobrze, może to nie jest najlepszy przykład. - Ścisnęłam palcami nasadę nosa. - Czy byłam wytrwała, czy łatwo się zniechęcałam?

- Dlaczego o to pytasz? Masz problemy w pracy?

- Nie, nie w pracy. - Zawahałam się na chwilę. - Czy gdybyś była na moim miejscu, to

chciałabyś szukać swoich biologicznych rodziców?

W słuchawce wezbrała cisza.

- No, no... - odezwała się wreszcie mama. - Podchwytliwe pytanie. Ale chyba już na ten temat rozmawialiśmy. Obiecałam ci pomóc...

- Wiem. Ale było ci przykro, prawda? - zapytałam wprost.

- Marin, nie chcę cię oszukiwać. Kiedy zaczęłaś mi zadawać te pytania, było mi przykro. Pewnie w głębi serca liczyłam, że pokochasz mnie tak mocno, że to ci wystarczy do szczęścia. Ale potem miałaś to badanie u ginekologa, wystraszyłaś się i wtedy zrozumiałam, że muszę myśleć o tobie, a nie o sobie.

- Nie chcę cię skrzywdzić.

- Mną się nie przejmuj - odpowiedziała. - Jestem stara i silna.

Rozbawiła mnie.

- Nie jesteś stara - uśmiechnęłam się - i wzruszasz się byle czym. - Odetchnęłam głęboko.

- Po prostu nie mogę się pozbyć myśli, że to już naprawdę nie są żarty. Kopię, kopię coraz głębiej i może znajdę skarb, a może gnijącego trupa.

- Ty chyba nie martwisz się o mnie, tylko o siebie.

Moja mama to dopiero umie trafić w sedno. Faktycznie, a gdyby się okazało, że jestem krewną Jeffreya Dahmera - seryjnego mordercy, albo senatora Jessego Helmsa, zatwardziałego konserwatysty? Czy nie lepiej byłoby o tym nie wiedzieć?

- Ona oddała mnie obcym ludziom ponad trzydzieści lat temu. Mam się wpakować z butami do jej życia? A jeśli wcale nie chce mnie widzieć?

W słuchawce rozległo się ciche westchnienie. Uświadomiłam sobie nagle, że ten właśnie dźwięk najbardziej kojarzy mi się z dorastaniem. Słyszałam go, kiedy biegłam do mamy poskarżyć się, że jakiś dzieciak zepchnął mnie z huśtawki; kiedy ścisnęła mnie przed wyjściem na bal na zakończenie roku, a mój partner czekał już w samochodzie; i kiedy stała na progu mojego pokoju w akademiku, połykając łzy przed naszym pierwszym prawdziwym rozstaniem. Ten dźwięk - to było całe moje dzieciństwo.

- Marin - powiedziała moja mama, tak po prostu - kto by mógł cię nie chcieć?

Przysięgam, nie jestem z tych, którzy wierzą w duchy, karmę i reinkarnację. A jednak mimo to dzień później wzięłam zwolnienie, żeby móc pojechać do miasta Falmouth w Massachusetts na spotkanie z wróżką, która miała mi pomóc w poszukiwaniu mojej biologicznej

matki. Popijając kawę kupioną w Dunkin' Donuts, próbowałam wyobrazić sobie to spotkanie. Czy zdobędę informacje, które naprowadzą mnie na właściwy trop, tak jak tamtą kobietę, która poleciła mi Meshindę Dows i jej przepowiednie?

W nocy dołączyłam do dziesięciu internetowych grup wsparcia dla osób adoptowanych. Wymyśliłam sobie nicka (rozdzielONEpourodzeniuyahoo.com) i spisałam w notatniku listę porad, które otrzymałam w sieci.

1. korzystaj z państwowych archiwów.
2. zarejestruj się w isrr - index of search and reunion resources, czyli największej istniejącej bazie danych dla osób poszukujących swoich bliskich.
3. zarejestruj się w archiwum międzynarodowym.
4. porozmawiaj ze swoimi rodzicami zastępczymi... a także z kuzynami, wujostwem, rodzeństwem...
5. ustal drogę swojej adopcji. innymi słowy - dowiedz się, kto to wszystko zorganizował? lokalna parafia, adwokat, lekarz, jakaś agencja? możesz odkryć źródło cennych informacji.
6. złóż oświadczenie o wyłączeniu z obowiązku zachowania poufności, żeby twoja biologiczna matka wiedziała, że chcesz się z nią skontaktować, jeśli będzie cię szukać.
7. regularnie rozsyłaj swoje namiary. naprawdę są tacy ludzie, którzy przesyłają wszystko dalej, aby twoje dane trafiły we właściwe ręce!
8. zamieść ogłoszenia w największych gazetach swojego rodzinnego miasta.
9. a przede wszystkim - unikaj firm poszukiwawczych, które reklamują się w radiu i w telewizji! to są oszuści!

Do drugiej nad ranem siedziałam na czacie z ludźmi, którzy opowiadali przerażające historie o własnych poszukiwaniach, chcąc mnie ustrzec przed powtórzeniem swoich błędów. Ktoś o nicku WierciPięta zadzwonił do firmy poszukiwawczej pod numer z prefiksem 1-900 i podał dane ze swojej karty kredytowej; po miesiącu otrzymał w zamian rachunek na sześć i pół tysiąca dolarów - i nic więcej. Rozmawiałam też z pogodną, dziewczyną odebraną biologicznym rodzicom, którzy zaniedbywali ją i znęcali się nad nią. AllieCapone688 podała mi tytuły trzech książek, które przydały się jej, kiedy zaczynała poszukiwania - i kosztowały mniej niż prywatni detektywi, których potem wynajmowała. Powiodło się natomiast tylko jednej kobiecie, niejkiej MarzyciElce; poszła do wróżki nazwiskiem Meshinda Dows i dostała od niej tak dokładne informacje, że znalazła swoją biologiczną matkę w tydzień. Spróbuj, radziła mi. Co masz do

stracenia?

Cóż, na pewno mogło mnie to kosztować utratę szacunku dla samej siebie. Niemniej jednak wstukałam nazwisko Meshinda Dows w Internet i znalazłam jej stronę. Strasznie długo się otwierała, bo miała podkład dźwiękowy - niesamowity miks bicia dzwonów i głosów śpiewających wielorybów. W nagłówku widniał napis: „Meshinda Dows, dyplomowany jasnowidz”.

Kto daje dyplomy jasnowidzom? Ministerstwo Panaceów i Szarlatanów?

„Od trzydziestu pięciu lat pomagam mieszkańcom Cape Cod”.

Co oznaczało, że ode mnie, z Bankton, mogłabym spokojnie dojechać do niej samochodem.

„Chcesz poznać swoją przeszłość? Skorzystaj z moich usług”.

Szybko, żeby nie stchórzyć, kliknęłam w link z adresem i napisałam w e-mailu, że szukam biologicznej matki. Odpowiedź nadeszła w niecałe pół minuty:

Marin, wydaje mi się, że mogę bardzo wiele dla ciebie zrobić. Czy masz czas jutro po południu?

Nie zastanawiałam się, dlaczego ta kobieta o trzeciej w nocy siedzi w Internecie. Nie zaciekało mnie, jak to możliwe, że jasnowidz z renomą ma wolny termin już następnego dnia. Po prostu zgodziłam się zapłacić sześćdziesiąt dolarów za konsultację i wydrukowałam sobie przesłaną mapkę dojazdu.

Rano wyszłam z domu, a pięć godzin później zaparkowałam samochód pod wskazanym adresem. Meshinda Dows mieszkała w małym domku o fioletowych ścianach wykończonych czerwienią. Miała dobrze po sześćdziesiątce, ale farbowała włosy na kruczoczarny kolor, a sięgały one jej aż do pasa.

- Ty pewnie jesteś Marin - powiedziała na powitanie.

Ho ho, pierwszy celny strzał.

Zaprosiła mnie do środka. Z przedpokoju przeszliśmy do gabinetu za zasłoną z jedwabnych chust. Stały tam dwie kanapy, naprzeciwko siebie, a pomiędzy nimi - biały kwadratowy podnózek, na którym leżały trzy przedmioty: pióro, wachlarz i talia kart. Na wszystkich półkach stały pluszowe zwierzątka, w plastikowych opakowaniach, z przyklejoną plaketką w kształcie serduszka. Wyglądały tak, jakby się dusiły.

Meshinda usiadła. Zrobiłam to samo.



- Pieniądze biorę z góry - powiedziała.

- A, tak. - Wyjęłam z torebki trzy dwudziestki, które wróżka złożyła i wsunęła do kieszeni.

- Więc może na początek powiesz mi, co cię tutaj sprowadza?

Spojrzałam zdziwiona.

- Chyba powinna to pani wiedzieć?

- Dar jasnowidzenia nie zawsze działa w ten sposób, kochanie - odparła. - Chyba trochę się denerwujesz?

- Chyba tak.

- Niepotrzebnie. Jesteś pod ochroną. Masz przy sobie duchy - oznajmiła Meshinda Dows, zaciskając mocno powieki. - To twój... dziadek? Chce, żeby ci przekazać, że nie ma już takich problemów z oddychaniem.

Otworzyłam szeroko usta. Mój dziadek zmarł na powikłania po raku płuc. Strasznie się bałam odwiedzać go w szpitalu i patrzeć, jak niknie w oczach.

- Wiedział coś ważnego na temat twojej biologicznej matki - powiedziała wróżka.

Wygodne zagranie: dziadek nie może już tego ani potwierdzić, ani zaprzeczyć.

- To szczupła kobieta, ciemnowłosa. - Usłyszałam dalej. - Kiedy to się stało, była bardzo młoda. Słyszę akcent...

- Południowy? - zapytałam.

- Nie, nie południowy... Nie mogę go rozpoznać. - Meshinda spojrzała na mnie. - Słyszę też jakieś imiona, nazwiska. Dziwnie brzmią. Allagash... Dalej Whitcomb... nie, raczej Whittier.

- Allagash Whittier to nazwa kancelarii adwokackiej z Nashua, w moim hrabstwie - powiedziałam.

- Myślę, że oni coś wiedzą. Być może jakiś adwokat od nich zajmował się twoją adopcją. Radzę się z nimi skontaktować. I z Maisie. Ktoś o imieniu Maisie ma jakieś informacje.

To było imię urzędniczki z sądu hrabstwa Hillsborough, od której dostałam moje orzeczenie adopcyjne.

- Na pewno - zgodziłam się. - Ma kompletne akta sprawy.

- Chodzi o inną Maisie. Ciotkę, kuzynkę... Adoptowała dziecko z Afryki.

- Nie mam żadnej ciotki ani kuzynki o tym imieniu.

- Masz. - Meshinda obstawała przy swoim. - Tylko jeszcze jej nie poznałaś. - Skrzywiła

się, jakby ugryzła plasterek cytryny. - Twój biologiczny ojciec nazywa się Owen. Ma coś wspólnego z prawem.

Wyciągnęłam szyję, zaintrygowana. Może to dlatego wybrałam ten zawód?

- Twoja biologiczna mama urodziła mu jeszcze troje dzieci.

To wcale nie musiała być prawda, ale i tak serce mi się ścisnęło. Dlaczego tamtych troje zostało, a mnie oddali? Zawsze słyszałam to samo: kochali cię, ale nie mogli zapewnić ci opieki. I zawsze brzmiało to jakoś fałszywie. Skoro tak bardzo mnie kochali, to dlaczego nie byłam im potrzebna? Meshinda przycisnęła palce do skroni.

- To już wszystko - powiedziała. - Nic więcej nie odbieram. - Poklepała mnie po kolanie.

- Zaczynj od tej kancelarii adwokackiej - poradziła.

W drodze powrotnej do domu zatrzymałam się w McDonaldzie, żeby coś zjeść. Usiadłam sobie na zewnątrz, obok placu zabaw pełnego dzieci i ich opiekunek. Zadzwoiłam do biura numerów, gdzie połączono mnie z kancelarią Allagasti Whittier. Przedstawiłam się jako współpracowniczka Roberta Ramireza i w ten sposób udało mi się zbajerować asystentów prawniczych i skontaktować bezpośrednio z pracującym tam adwokatem. Odebrała kobieta.

- Witaj, Marin - powiedziała. - W czym mogę ci pomóc?

Skuliłam się na ławeczce, próbując zapewnić sobie odrobinę dyskrecji.

- Mam jedną prośbę, ale trochę dziwną - wyjaśniłam. - Szukam informacji na temat osoby, która na początku lat siedemdziesiątych mogła korzystać z waszych usług. To była młoda kobieta, szesnaście-siedemnaście lat.

- Z tym nie będzie problemu, tacy klienci to rzadkość. Nazwisko?

Zawahałam się przez chwilę.

- Nie znam jej nazwiska.

Cisza w słuchawce.

- Czy chodzi o adopcję? - usłyszałam wreszcie.

- W sumie... tak. Szukam mojej biologicznej matki.

- Takie rzeczy załatwia się w sądzie - poinformowała mnie prawniczka lodowatym tonem i rozłączyła się bez pożegnania.

Złożyłam dłonie, chowając w nich telefon. Wpadł mi w oko mały chłopczyk, zjeżdżający z piskiem po fioletowej zjeżdżalni. Miał azjatyckie rysy - a jego mama nie. Może też był adoptowany? Może kiedyś usiądzie na tej samej ławce i pomyśli to samo, co ja: zabrnąłem w

ślepa uliczkę.

Ponownie zadzwoniłam do biura numerów i chwilę później rozmawiałam z Maisie Donovan, kierowniczką biura ds. adopcji w sądzie hrabstwa Hillsborough.

- Pewnie mnie pani nie pamięta - zaczęłam. - Kilka miesięcy temu dostałam od pani moje orzeczenie adopcyjne...

- Nazwisko?

- Właśnie nazwisko mnie interesuje. Szukam...

- Pytałam o pani nazwisko - przerwała mi.

- Marin Gates. - Przełknęłam ślinę. - Wiem, że to głupota... ale byłam dziś u wróżki. Nie jestem wariatką, co lata do wróżek, chociaż w sumie nie mam nic przeciwko temu, że ktoś raz na jakiś czas sobie pójdzie... No więc, w każdym razie, byłam u takiej jasnowidzki, która powiedziała mi, że osoba imieniem Maisie ma informacje na temat mojej biologicznej matki. - Zaśmiałam się wymuszenie. - Nie potrafiła powiedzieć dokładniej, o co chodzi, ale chyba w tym jednym szczególe się nie pomyliła, prawda?

- Pani Gates - zapytała Maisie Donovan obojętnym tonem - czego pani ode mnie oczekuje?

Zwiesiłam ciężko głowę.

- Nie wiem, co dalej - wyznałam otwarcie. - Nie wiem, co mam teraz robić.

- Za opłatą w wysokości pięćdziesięciu dolarów mogę przesłać pani komplet anonimowych informacji na pani temat.

- Czyli?

- Wszystko oprócz nazwisk, adresów, telefonów, dat urodze...

- Nic ważnego, rozumiem - przerwałam jej. - Sądzi pani, że dowiem się czegoś w ten sposób?

- Pani adopcją nie zajmowała się agencja, ale osoba prywatna - wyjaśniła urzędniczka - więc raczej niewiele tego będzie. Pewnie mniej więcej tyle, że jest pani biała.

Przypomniałam sobie, jak to było z orzeczeniem adopcyjnym.

- Tego akurat jestem pewna, tak samo jak swojej płci.

- Cóż, za ustawową opłatą chętnie dam pani dowód, czarno na białym.

- Dobrze - zabrzmiał mi w uszach własny głos. - Proszę mi to przygotować.

Rozłączyłam się, zapisawszy na grzbiecie dłoni adres, na który należało wysłać czek.

Bawiące się maluchy śmigały dookoła jak molekuly w podgrzanym roztworze. Trudno mi było sobie wyobrazić, że mogłabym kiedyś mieć dziecko. A że mogłabym je oddać - to było dla mnie wręcz nie do pomyślenia.

- Mama! - zawołała dziewczynka, która wspięła się na szczyt drabinki. - Patrz!

W nocy, przeglądając fora internetowe, po raz pierwszy zetknęłam się z terminami „matka A” i „matka B”. W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi o to, która była lepsza, a która gorsza, ale nie, to były tylko skróty: „matka adopcyjna” i „matka biologiczna”. Okazało się, że wzbudzają one wiele kontrowersji. Niektóre matki biologiczne były zdania, że takie nazewnictwo odbiera im godność macierzyńską, sprowadzając je do roli reproduktora, i lansowały określenia „pierwsza matka” albo „matka naturalna”. Ale według tego rozumowania moja mama miałyby być matką „drugą”, czyli „nienaturalną”. Czy wystarczy urodzić dziecko, żeby być matką? Czy kobieta, wyrzekając się swojego dziecka, zrzeka się także godności macierzyńskiej? Jeśli miarą człowieka są jego czyny, to fakty przedstawiały się następująco: w moim życiu zaistniały dwie kobiety. Pierwsza ze mnie zrezygnowała. Druga czuwała przy mnie po nocach, kiedy chorowałam w dzieciństwie, płakała razem ze mną, gdy przeżywałam miłosne zawody, i gorąco biła brawo na wręczeniu dyplomów, kiedy skończyłam prawo. Która z tych kobiet - patrząc na ich postępowanie - była bardziej matką?

Obie i żadna, zrozumiałam nagle. Bo być matką to nie tylko urodzić dziecko. To także uczestniczyć w jego życiu.

Zupełnie niespodziewanie przyszła mi na myśl Charlotte O'Keefe.

## Piper

Pacjentka była mniej więcej w trzydziestym piątym tygodniu ciąży i dopiero niedawno przeprowadziła się z mężem do Bank-ton. Nie była u mnie na badaniach okresowych, ale wepchnęli mi ją na samą przerwę obiadową, bo podobno skarżyła się na gorączkę i inne objawy wskazujące na infekcję. Pielęgniarka, która zrobiła wstępny wywiad, powiedziała mi, że pacjentka nie miała dotąd żadnych problemów ze zdrowiem.

Z uśmiechem na twarzy weszłam do gabinetu, przewidując, że zaraz będę musiała uspokajać spanikowaną przyszłą mamę.

- Jestem doktor Reece - przedstawiłam się, podając jej dłoń. Usiadłam. - Słyszałam, że nie czuje się pani najlepiej.

- Myślałam, że to grypa, ale nie chciało przejść...

- W ciąży zawsze lepiej się przebadać - powiedziałam. - Z dzieckiem nie było do tej pory problemów?

- Najmniejszych.

- A od jak dawna ma pani te dolegliwości?

- Od mniej więcej tygodnia.

- Dobrze. Proszę teraz się przebrać w koszulę szpitalną, a potem sprawdzimy, co się dzieje. - Wysłałam na korytarz, a kiedy pacjentka się przebierała, przejrzałam jeszcze raz jej kartę.

Uwielbiałam swoją pracę. Lekarz położnik praktycznie na co dzień jest obecny przy najradośniejszych momentach w życiu kobiety. Rzecz jasna, zdarzają się chwile znacznie mniej radosne. Wiem, jak to jest, kiedy trzeba poinformować ciężarną o śmierci płodu; zdarzały mi się też pacjentki z łożyskiem wrośniętym, skutkiem czego podczas operacji wywiązywał się zespół DIC, który zabijał je, zanim odzyskały przytomność. Ale starałam się o nich nie myśleć; wolałam wspomnienia tych chwil, kiedy dziecko, śliskie i roztrzepotane jak plotka, pojawiało się na świecie, łapiąc swój pierwszy oddech. Zapukałam do drzwi.

- Jest pani gotowa?

Pacjentka siedziała na stole do badań, a brzuch spoczywał na jej kolanach niczym rytualna ofiara.

- Świetnie - pochwaliłam ją, zakładając słuchawki. - Najpierw osłuchamy klatkę piersiową.

Chuchnąwszy na metalowy krążek - w tym zawodzie zwraca się szczególną uwagę na to, żeby instrumenty, którymi dotykamy pacjentów, nie były zimne - przyłożyłam go do pleców kobiety. Płuca były idealnie czyste, żadnych szmerów, żadnych trzasków.

- Nie słyszę niczego niepokojącego - stwierdziłam. - Teraz sprawdzimy serce.

Rozsunęłam poły koszuli szpitalnej - i moim oczom ukazała się olbrzymia blizna po sternotomii pośrodkowej, pionowa, przez całą długość mostka.

- A to co? - zapytałam.

- To? A tak, miałam przeszczep serca.

Uniosłam brwi.

- Mówiła pani pielęgniarce, że nie było żadnych problemów ze zdrowiem.

- Bo nie było. - Pacjentka uśmiechnęła się promiennie. - Nowe serce mam jak dzwon.

Charlotte została moją pacjentką dopiero wtedy, gdy zaczęła starać się o drugie dziecko. Przedtem byliśmy zwykłymi znajomymi, parą mam, które nabijają się z trenerów swoich córek (oczywiście za ich plecami), zajmują sobie miejsca na wywiadówkach i czasami w towarzystwie mężów spotykają się na kolacji w eleganckiej restauracji. Ale pewnego dnia, kiedy dziewczynki bawiły się u Emmy w pokoju, Charlotte zwierzyła mi się, że od roku starają się z Seanem o dziecko - bez skutku.

- Próbowałam wszystkiego - mówiła. - Testów owulacyjnych, specjalnych diet - do wyboru, do koloru.

- A byłaś u lekarza? - zapytałam.

- Cóż - odparła. - Myślałam, że może ty mnie przyjmiesz.

Nie leczyłam znajomych. Taką miałam zasadę. Wbrew wszelkim opiniom lekarz nie potrafi zachować obiektywności, jeśli ma na stole kogoś, kogo kocha. Można by się spierać, że położnik zawsze gra o wysoką stawkę - a nikt mi nie zarzuci, że przy każdym porodzie nie dawałam z siebie absolutnie wszystkiego - ale gdy z pacjentką łączy cię relacja osobista, ta stawka jednak idzie jeszcze odrobinę w górę. Ponieść porażkę oznacza już nie tyle zawieść pacjentkę, ile przyjaciółkę.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł, Charlotte - powiedziałam. - Taka decyzja jest trudna i wiele zmienia.

- Że niby zacznę sobie myśleć: „Obmacywałam mi szyjkę macicy, to jak teraz może chodzić ze mną na zakupy i jeszcze patrzeć mi w oczy”?

- Nie o to chodzi. - Uśmiechnęłam się szeroko. - Macica jak macica, wszystkie są podobne. Ale lekarz powinien umieć utrzymać dystans, nie angażować się osobiście.

- A mnie właśnie to odpowiada - upierała się Charlotte. - Inny lekarz może i pomógłby mi zajść w ciążę, ale miałby to gdzieś. Ja chcę kogoś, kto zadba o mnie lepiej, niż wymaga tego zawodowa odpowiedzialność. Kto będzie chciał tego dziecka tak samo mocno jak ja.

Jak mogłam odmówić, skoro tak to ujęła? Codziennie rano dzwoniłam do niej, żeby przedyskutować listy do redakcji w lokalnej gazecie. Ona pierwsza mnie wysłuchiwała, gdy złościłam się na Roba i musiałam się wyładować. Wiedziałam, jakim szamponem myje włosy, po której stronie ma bak w samochodzie i jaką kawę pije. Była, jednym słowem, moją najlepszą przyjaciółką.

- Dobrze - zgodziłam się.

Jej uśmiech był jak nagła eksplozja.

- To co, zaczniemy od razu?

Parsknęłam śmiechem.

- Nie, Charlotte, nie zrobię ci badania ginekologicznego na podłodze, kiedy nasze córki bawią się na górze.

Zamiast tego umówiłam ją na wizytę następnego dnia. Okazało się, że z medycznego punktu widzenia nie powinna mieć żadnych problemów z zajściem w ciążę. Porozmawiałyśmy sobie o tym, że po trzydziestce komórki jajowe tracą na jakości, co oznacza, że na ciążę czeka się dłużej - co nie przekreśla szans na nią. Przepisałam Charlotte kwas foliowy i kazałam jej mierzyć temperaturę ciała. Odbyłam też rozmowę z Seanem i dałam mu radę: więcej seksu z żoną (ze wszystkich spotkań ze mną to jedno wspomina chyba najlepiej). Przez sześć miesięcy prowadziłam kalendarz menstruacyjny Charlotte we własnym terminarzu; dwudziestego ósmego dnia cyklu dzwoniłam do niej z pytaniem, czy dostała okres - i przez sześć miesięcy odpowiedź brzmiała: tak.

- Może powinnyśmy zastanowić się nad lekami na bezpłodność - powiedziałam wreszcie, a wtedy nagle, miesiąc później, tuż przed umówioną wizytą u specjalisty, Charlotte zaszła w ciążę normalnie, po bożemu.

Zważywszy, jak długo trzeba było na nią czekać, ciąża przebiegała całkiem spokojnie. Analizy moczu i badania krwi zawsze wychodziły prawidłowo, nie było też podwyższonego ciśnienia. Charlotte miała sensacje żołądkowe przez okrągłą dobę i potrafiła zadzwonić do mnie

o północy z pytaniem, dlaczego, do jasnej cholery, mówi się „poranne nudności”, skoro ona właśnie przed chwilą wymiotowała.

W jedenastym tygodniu ciąży po raz pierwszy usłyszałyśmy bicie serca. W piętnastym zrobiłam test poczwórny, czyli badanie krwi w celu wykluczenia upośledzenia neurologicznego i zespołu Downa. Dwa dni później, kiedy przyszły wyniki, podczas przerwy obiadowej pojechałam do Charlotte.

- Co się stało? - zapytała, widząc mnie w drzwiach.

- Dostałam wyniki twojego testu. Musimy porozmawiać. Wyjaśniłam jej, że test poczwórny nie jest niezawodny, ma pięcioprocentowy odsetek wyników fałszywie dodatnich, co oznacza, że pięć procent ciężarnych, które poddały się badaniu, usłyszy, że w ich wypadku ryzyko urodzenia dziecka z zespołem Downa jest większe niż przeciętne.

- Dla kobiety w twoim wieku ryzyko wynosi jeden do dwustu siedemdziesięciu - powiedziałam - ale wynik badania krwi wskazuje, że jest ono wyższe: jeden do stu pięćdziesięciu.

Charlotte splotła ramiona na piersi, nie mówiąc ani słowa.

- Masz kilka opcji do wyboru - poinformowałam ją. - Za trzy tygodnie i tak jesteś zapisana na USG. Możemy przyjrzeć się płodowi w trakcie tego badania i sprawdzić, czy nie ma żadnych niepokojących objawów. Jeśli coś wykryjemy, dostaniesz skierowanie na badanie USG drugiego stopnia. Jeśli nie, ryzyko spada z powrotem niemalże do przeciętnej wartości, czyli jeden do dwustu pięćdziesięciu i przyjmujemy, że badanie krwi dało fałszywy wynik. Ale musisz pamiętać o jednym: USG nie daje stuprocentowej pewności. Jeżeli chcesz gwarancji, musisz zgodzić się na amniopunkcję.

- Podobno to grozi poronieniem - przypomniała sobie Charlotte.

- To prawda. Jednak ryzyko poronienia wynosi jeden do dwustu siedemdziesięciu, czyli na chwilę obecną bardziej prawdopodobne jest to, że twoje dziecko ma Downa.

Charlotte przetarła twarz dłonią.

- A po tej amniopunkcji... - powiedziała. - Jeśli się potwierdzi, że dziecko ma... - Urwała w pół słowa. - Co wtedy?

Moja przyjaciółka była katoliczką. Wiedziałam o tym, lecz jako lekarz miałam obowiązek, w miarę możliwości, przekazywać każdej pacjentce wszelkie informacje, którymi dysponowałam. Decyzja o tym, jak je wykorzystać, należała do kobiety.



- Wtedy sama postanowisz, czy chcesz utrzymać ciążę, czy ją przerwać - odpowiedziałam spokojnym głosem.

Charlotte podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

- Piper, zbyt wiele mnie kosztowało, żeby zająć w ciążę. Nie poddam się tak łatwo.

- Powinniście omówić to z Seanem...

- Najpierw zrobimy USG - zdecydowała. - I zobaczymy, co wyjdzie.

Z tych właśnie powodów pamiętam bardzo dobrze moment, kiedy po raz pierwszy pokazałaś się na monitorze ultrasonografu. Charlotte ułożyła się na leżance do USG, Sean trzymał ją za rękę, Janine, radiolożka z mojego gabinetu, przeprowadzała badanie, a ja czekałam u siebie, aż skończy, żeby osobiście odczytać wyniki. Wypatrywałyśmy wodogłowia, ubytku poduszczyków wosierdzia, wad ściany jamy brzusznej, pogrubienia fałdu karkowego, krótkiej bądź niewykształconej kości nosowej, wodonercza, hiperechogenego jelita, skrócenia kości ramiennych albo udowych - generalnie wszystkich markerów używanych w diagnozowaniu zespołu Downa przy badaniu USG. Specjalnie postarałam się, abyśmy pracowały na niedawno zakupionym aparacie, nowiutkim jak spod igły; najnowsza technologia tamtych czasów była do naszej dyspozycji.

Po skończonym badaniu Janine zjawiała się w moim gabinecie.

- Nie widzę typowych objawów Downa - oznajmiła. - Jedyne nieprawidłowość to kości udowe na szóstym centylu.

Takie wyniki są bardzo częste: ułamek milimetra w wypadku płodu może wyglądać jak spory brak, a na następnym USG wszystko idealnie się zgadza.

- To może być kwestia genetyki - odparłam. - Charlotte jest drobnej budowy.

Janine skinęła głową.

- Jasne. Zapiszę to tylko, żeby mieć później na oku. - Przez chwilę milczała. - Ale była też jedna dziwna rzecz.

Poderwałam głowę znad karty, którą wypełniałam.

- Co?

- Jak tam pójdziesz, to rzuć okiem na obraz mózgu.

- Mózgu? - Serce mi zamarło.

- Anatomicznie nie mam zastrzeżeń, tylko... jakoś niesamowicie dobrze go widać. - Potrząsnęła głową. - Pierwszy raz w życiu spotykam się z czymś takim.

Czyli to była po prostu kwestia wyjątkowo dobrze działającego aparatu. Nie dziwiło mnie, że Janine tak się nad tym unosi, nie miałam też czasu na hymny ku czci nowego sprzętu.

- Idę przekazać im dobre nowiny - powiedziałam, wychodząc do pracowni USG.

Charlotte domyśliła się wszystkiego, kiedy tylko spojrzała mi w oczy.

- Dzięki Bogu - westchnęła, a Sean pochylił się i pocałował ją. Potem uściśnął mi rękę.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Nie mogę być pewna. USG to nie jest nauka ścisła. Ale powiedziałabym, że wasze szanse na normalne, zdrowe dziecko radykalnie wzrosły. - Spojrzałam na monitor, gdzie widniała zatrzymana klatka: twój portret z kciukiem w buzi. - Wasze dziecko - uśmiechnęłam się - wygląda jak okaz zdrowia.

W moim gabinecie nie robiło się USG, jak mówią laicy, dla rozrywki; wykonanie tego badania musiało być konieczne z punktu widzenia medycyny. Ale zdarzyło się raz, kiedy Charlotte była w dwudziestym siódmym tygodniu, że umówiliśmy się do kina, a gdy przyjechała po mnie, byłam jeszcze w szpitalu, przy porodzie. Godzinę później zastałam ją w moim gabinecie. Siedziała z nogami na biurku, przeglądając nowy numer jakiegoś fachowego pisma.

- Fascynujące - oznajmiła. - „Współczesne metody leczenia ciąży neoplazji trofoblastycznej”. Gdybym znów miała problemy z zaśnieciem, to przypomnij mi, że mam sobie poczytać coś takiego.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie myślałam, że to aż tyle potrwa. Mama doszła do siedmiu centymetrów i dalej ani rusz.

- Nic się nie stało. I tak nie bardzo mam dziś ochotę na film. Młode od popołudnia tańczy mi na pęcherzu.

- Szykuje się na balerinę?

- Albo na futbolistę, jeśli wierzyć Seanowi. - Zerknęła na mnie, sprawdzając, czy się czymś nie zdradzę w kwestii płci jej dziecka.

Sean i Charlotte nie chcieli wiedzieć tego przed porodem. Kiedy rodzice podejmują taką decyzję, odnotowujemy to w dokumentach. Podczas badania USG nadludzkim wysiłkiem powstrzymywałam się od podglądania, żeby potem niechcący nie wypaplać sekretu.

Minęła dziewiętnasta; recepcjonistka skończyła pracę, nie było już więcej pacjentek. Charlotte tylko dlatego mogła na mnie poczekać, że wszyscy ją znali jako moją przyjaciółkę.

- Nie musimy mu mówić, że wiemy. - Mrugnęłam do niej.

- O czym?

- Czy będzie chłopiec czy dziewczynka. Film nam przepadł, ale możemy urządzić sobie inny seans...

Charlotte otworzyła szeroko oczy.

- Chcesz mi zrobić USG?

- A czemu nie? - Wzruszyłam ramionami.

- To bezpieczne?

- Całkowicie. - Uśmiechnęłam się do niej szeroko. - No, chodź. Co masz do stracenia?

Pięć minut później byliśmy już przy aparacie, na którym pracowała Janine. Charlotte podciągnęła wysoko bluzkę, zatykając ją za stanik, a spodnie zsunęła jak najniżej. Kiedy wycisnęłam jej żel na skórę, pisnęła.

- Przepraszam - powiedziałam. - Zimne.

Wziąwszy do ręki głowicę, przesunęłam nią po brzuchu Charlotte.

Ukazałaś się na monitorze niczym syrena wynurzająca się z głębin: czarne tło powoli zakrzepło, tworząc rozpoznawalne kształty. Tu była głowa, tu kręgosłup, tam twoja maleńka rączka.

Przeciągnęłam głowicę dalej, pomiędzy twoje nóżki. Nie były skrzyżowane, tak jak to zwykle robi dziecko w łonie matki, ale praktycznie tworzyły okrąg, tak że stopy stykały się podszwami. Dostrzegłam pierwsze złamanie: kość udową. Nie była prosta, ale zgięta pod boleśnie ostrym kątem. Na kości piszczelowej widniała druga czarna krecha - świeży uraz.

- No i co? - zaszczębiotała radośnie Charlotte, wykręcając szyję w kierunku ekranu. - Zobaczę wreszcie te klejnoty rodzinne?

Przełknęłam ciężko ślinę, podciągając głowicę USG nieco wyżej. Na monitorze pokazała się klatka piersiowa. Zgrubienia na żebrach. I pięć kolejnych złamań. Goiły się już.

Gabinet zawirował mi przed oczami. Nie opuszczając głowicy, pochyliłam się i oparłam czoło o kolana.

- Piper, co jest? - Charlotte uniosła się na łokciach.

Uczyłam się na studiach o *osteogenesis imperfecta*, nigdy w życiu jednak nie widziałam tej choroby na własne oczy. W pamięci miałam tylko zdjęcia płodów z kośćmi połamanymi w łonie matki - tak jak u ciebie. Dzieci, które umierały w trakcie porodu albo niedługo po nim.

- Piper - powtórzyła Charlotte - chora jesteś?

Wyprostowałam się, odetchnęłam głęboko.

- Nie - szepnęłam łamiącym się głosem. - Ale twoja córka... jest bardzo chora.

## Sean

Nazwę *osteogenesis imperfecta* usłyszałem po raz pierwszy w dniu, kiedy Charlotte zrobiła sobie tamto nieplanowane USG. Piper odwiozła ją potem do domu, rozhisteryzowaną, zapłakaną. Przytuliłem żonę, usiłując zrozumieć cokolwiek z potoku słów, którymi bombardowała mnie nasza lekarka: defekt kolagenu, kości wygięte i pogrubiałe, zgrubienia na żebrach. Piper zdążyła już zadzwonić do swojej znajomej, doktor Del Sol, perinatolog z miejscowego szpitala. Byliśmy umówieni na kolejne USG o wpół do ósmej rano.

Przed chwilą wróciłem z pracy. Zabezpieczałem budowę -koszmarna robota, bo lało całe popołudnie i wieczór. Włosy miałem jeszcze wilgotne po wyjściu spod prysznic, koszula kleiła mi się do pleców. Amelia oglądała sobie telewizję w naszej sypialni, a ja wyjadałem lody prosto z pudełka, kiedy nagle w drzwiach stanęły Piper i Charlotte.

- Choroba... - zażartowałem. - Przyłapałyście mnie na gorącym uczynku.

I wtedy zobaczyłem, że moja żona płacze.

Zawsze mnie to zadziwiało, że najzwyczajszy dzień pod słońcem potrafi w mgnieniu oka stać się kompletnie wyjątkowy. Wyobraźcie sobie matkę za kierownicą: podaje zabawkę maluchowi na tylnym siedzeniu, a w następnej chwili rozbija samochód w drobny mak. Albo troglodytę z miejscowego college'u, którego zgarniamy za napaść seksualną na koleżankę z uczelni akurat w momencie, kiedy ten siedzi sobie na ganku i popija piwko. Albo żonę, która słyszy dzwonek do drzwi, otwiera i dowiaduje się od policjanta, że jej mąż nie żyje. W mojej pracy często miałem okazję widzieć, jak dobrze znany świat niespodziewanie wali się w gruzy - ale nigdy jeszcze sam tego nie przeżyłem.

Gardło miałem zapchane, jakbym nałykał się waty.

- Czym to grozi? - zapytałem. Piper uciekła wzrokiem.

- Nie wiem.

- A ta osteopatia...

- *Osteogenesis imperfecta*.

- Jak się ją leczy?

Charlotte oderwała się ode mnie. Twarz miała opuchniętą, oczy czerwone.

- Na to nie ma lekarstwa - powiedziała.

Tej samej nocy, kiedy Piper pojechała do domu, a Charlotte zapadła nareszcie w

niespokojny sen, wszedłem do Internetu, szukając informacji na temat OI. Istniały cztery typy tej choroby plus trzy nowe, niedawno rozpoznane, ale tylko dwa z nich objawiały się złamaniami wewnątrzmacicznymi. Dzieci z typem II umierały przed urodzeniem albo wkrótce po, natomiast te z typem III przeżywały poród, jednak mogły mieć uszkodzone żebra, co groziło śmiercią z powodu niewydolności oddechowej. Wady kości u takich dzieci pogarszały się z wiekiem. Niektóre z nich nigdy nie mogły chodzić.

Potem na ekranie zaczęły wyskakiwać nowe słowa i zwroty:

Kostki Worma. Kręgi rybie. Zespolenie śródszpikowe.

Niski wzrost - czasami chorzy osiągną najwyżej dziewięćdziesiąt centymetrów.

Skolioza. Utrata słuchu.

Najczęstszą przyczyną śmierci jest niewydolność oddechowa w wyniku przypadkowego urazu.

Ponieważ OI jest chorobą o podłożu genetycznym, nie można jej wyleczyć.

A potem:

W wypadku zdiagnozowania OI u płodu matki najczęściej decydują się na przerwanie ciąży.

Poniżej widniało zdjęcie martwego niemowlęcia, które miało *osteogenesis imperfecta* typu II. Nie mogłem oderwać od niego oczu: powykręcane nóżki, poprzemieszczany tors. Czy nasze dziecko wygląda tak samo? A jeśli tak - to czy nie lepiej, by urodziło się martwe?

Na tę myśl zacisnąłem z całej siły oczy, modląc się, aby Bóg jej nie usłyszał. Kochałbym cię i tak, nawet gdybyś miała siedem główek i ogon. Nawet gdybyś po urodzeniu nie zdążyła odetchnąć powietrzem ani otworzyć oczu, żeby mnie zobaczyć. Ja już cię kochałem; nie mogłem nagle przestać tylko dlatego, że miałaś coś nie tak z kośćmi.

Szybko wyczyściłem historię w przeglądarce, żeby Charlotte przypadkiem nie trafiła na to zdjęcie, kiedy wejdzie do Internetu. Poszedłem na palcach do naszej sypialni na piętrze. Rozebrałem się po ciemku i wślizgnąłem pod kołdrę obok twojej mamy. Kiedy ją objąłem, przysunęła się do mnie. Położyłem dłoń na jej okrągłym brzuchu, a wtedy ty kopnęłaś od środka, jakbyś chciała mi powiedzieć: nie martw się, nie wierz w to, co dziś przeczytałeś, w ani jedno słowo.

Następnego dnia zrobiliśmy jeszcze jedno USG, a do tego prześwietlenie, po czym spotkaliśmy się z doktor Gianna Del Sol w jej gabinecie, żeby omówić wyniki.

- Badanie USG pokazało słabe uwapnienie kości czaszki - wyjaśniła nam. - Długie kości państwa córki są o trzy odchylenia standardowe poniżej średniej, a ich zgrubienia oraz kąt wygięcia wskazują na obecność złamań, zarówno świeżych jak i gojących się. Obraz rentgenowski pozwolił nam lepiej przyjrzeć się złamanym zębrom. Na podstawie tych wyników można przypuszczać, że państwa córka ma *osteogenesis imperfecta*. Charlotte wsunęła dłoń do mojej dłoni.

- Ponieważ złamania są liczne, wydaje się, że w grę wchodzi typ II albo typ III tej choroby.

- Który jest gorszy? - zapytała moja żona. Opuściłem głowę, bo znałem już odpowiedź na to pytanie.

- Noworodki z typem II zazwyczaj nie są zdolne do samodzielnego życia. W wypadku typu III dziecko jest poważnie upośledzone i czasami żyje bardzo krótko.

Charlotte znów zaczęła płakać; doktor Del Sol podała jej pudełko chusteczek.

- Bardzo trudno stwierdzić, czy płód ma typ II czy III. Typ II czasami udaje się rozpoznać na USG w szesnastym tygodniu ciąży, typ III w osiemnastym, jednak każdy przypadek jest inny, a u pani poprzednie USG nie pokazało żadnych złamań. Z tego powodu nie możemy dokładnie przewidzieć, co się stanie. Najlepszy z możliwych scenariuszy to ciężka choroba, najgorszy - zgon.

Spojrzałem na lekarzkę.

- Czyli jednak zdarzają się wyjątki, nawet jeśli to byłby typ II i teoretycznie nasze dziecko nie miałoby szans na przeżycie?

- Były takie wypadki - przyznała doktor Del Sol. - Czytałam kiedyś opis przypadku dziecka, które według wszelkich rokowań miało umrzeć. Jego rodzice postanowili utrzymać ciążę i ostatecznie okazało się, że noworodek ma typ III. Jednakże dzieci z tą odmianą OI również są ciężko upośledzone. W ciągu całego życia mają setki złamań. Bywa, że nie są w stanie chodzić o własnych siłach. Mogą pojawić się problemy z oddychaniem, deformacje stawów, bóle kostne, osłabienie mięśni, zniekształcenia kręgosłupa i kości czaszki. - Zawiesiła głos z wahaniem. - Gdyby zastanawiali się państwo nad przerwaniem ciąży, są placówki, gdzie znajdą państwo pomoc.

Charlotte była w dwudziestym siódmym tygodniu. Jaki lekarz podjąłby się usunięcia tak zaawansowanej ciąży?

- Nie interesuje nas aborcja - oznajmiłem, oczekując, że Charlotte mnie poprze, ale ona zwróciła się wprost do doktor Del Sol:

- Czy w tym szpitalu urodziło się już kiedyś dziecko z typem II albo III?

- Dziewięć lat temu - padła odpowiedź. - Jeszcze tu wtedy nie pracowałam.

- Ile złamań miało po urodzeniu?

- Dziesięć.

Na te słowa twoja mama uśmiechnęła się szeroko, po raz pierwszy od poprzedniego wieczoru.

- A moje ma tylko siedem - powiedziała. - To już lepiej, prawda?

Doktor Del Sol milczała przez chwilę.

- Tamto dziecko - odparła wreszcie - nie przeżyło.

Zabrałem cię kiedyś rano na rehabilitację, bo Charlotte musiała oddać samochód do warsztatu. Zajmowała się tobą bardzo miła dziewczyna z przerwą pomiędzy zębami. Na imię miała Molly albo Mary (nigdy nie mogłem tego zapamiętać). Wozila cię na dużej czerwonej piłce, co bardzo lubiłaś, i kazała ci robić brzuszki, za którymi z kolei nie przepadałaś już aż tak bardzo. Za każdym razem, kiedy musiałaś dotknąć maty zrastającą się łopatką, zaciskałaś mocno usta, a z oczu leciały ci łzy. Chyba nawet sama nie wiedziałaś, że płaczesz, ale po mniej więcej dziesięciu minutach nie mogłem już dłużej na to patrzeć. Skłamałem Molly (czy też Mary) w żywe oczy, mówiąc, że musimy się spieszyć do lekarza, i posadziłem cię na wózku.

Nie znosiłaś go i zresztą nic dziwnego. Dobry pediatryczny wózek najlepiej się sprawdza, kiedy jest prawidłowo ustawiony, bo wtedy dziecko jest w nim bezpieczne, siedzi wygodnie i ma swobodę ruchów. Ale taki sprzęt kosztuje przeszło dwa tysiące osiemset dolarów, a ubezpieczenie pokrywa koszt zakupu jednego wózka na pięć lat. Ten, którego wtedy używałaś, był regulowany, gdy miałaś dwa lata, a od tego czasu sporo podrosłaś. Nie chciałem sobie nawet wyobrazić, jak się w niego wciśniesz, gdy skończysz siedem lat.

Z tyłu, na oparciu, namalowałem ci kiedyś różowe serce z napisem: tylko ostrożnie. Wyjechaliśmy na parking. Usadziłem cię w foteliku, a wózek schowałem do bagażnika. Siadając za kierownicą, zerknąłem w lusterko, żeby sprawdzić, co z tobą.

- Tatusiu - powiedziałaś, tuląc do siebie obolałą rękę - ja już nie chcę tam chodzić.

- Wiem, kochanie.

Nagle wpadłem na dobry pomysł. Ruszyliśmy przed siebie, a na autostradzie minąłem



nasz zjazd i pojechałem do hotelu Comfort Inn w Dover. Tam, zapłaciwszy sześćdziesiąt dziewięć dolarów za pokój, z którego nie zamierzałem korzystać, zawiozłem cię wózkiem prosto na kryty hotelowy basen.

We wtorkowe przedpołudnie było tam zupełnie pusto. Mocno pachniało chlorem, a dookoła stało sześć leżanek w mniej lub bardziej oplakanyim stanie. Światło wpadające przez przeszklony dach tańczyło na powierzchni wody tysiącem brylantowych rozbłysków. Pod ręką, na ławce, leżał stos ręczników w biało-zielone pasy, a powyżej widniała tablica z napisem: basen niestrzeżony - kąpiel na własne ryzyko.

- Wills - oznajmiłem - dzisiaj będziemy pływać.

Spojrzałaś na mnie.

- Ale mama mówiła, że nie mogę pływać, dopóki łopatka...

- Mamy tutaj nie ma i o niczym się nie dowie, tak?

Buzia rozjaśniła ci się szerokim uśmiechem.

- A kostiumy?

- Pomyślałem o tym. Gdybyśmy podjechali do domu po kostiumy, mama by się czegoś domyśliła, prawda? - Zdjąłem koszulkę, potem buty i stanąłem przed tobą w samych szortach, szerokich i spłowiałych. - Ja mogę tak się kąpać.

Śmiejąc się wesoło, zaczęłaś ściągać koszulkę przez głowę, ale nie mogłaś podnieść ręki tak wysoko. Pomogłem ci, a potem zsunąłem ci spodnie, tak że siedziałaś na wózku w samych majtkach, które z przodu miały napis czwartek (choć był wtorek), a z tyłu żółtą uśmiechniętą buźkę.

Po czterech miesiącach w gipsowych spodniach nogi miałaś cieniutkie i blade; były jeszcze za słabe, żeby utrzymać ciężar ciała, ale kiedy podtrzymywałem cię pod pachy, dałaś radę dojść na skraj basenu. Posadziłem cię na schodkach prowadzących do wody. W pojemniku pod ścianą znalazłem dla ciebie kamizelkę ratunkową w rozmiarze dziecięcym. Potem wziąłem cię na ręce i zaniósłem do wody. Stanęliśmy na samym środku basenu.

- Najszybsza ryba pływa sto dziesięć kilometrów na godzinę - powiedziałaś, trzymając mnie kurczowo za ramiona.

- Nieźle.

- Najpopularniejsze imię dla złotej rybki to Żarłacz. - Morderczym chwytem złapałaś mnie za szyję. - Puszka dietetycznej coli unosi się na wodzie. Zwykła cola idzie na dno...

- Willow - przerwałem - wiem, że się denerwujesz, ale jeśli będziesz gadać, należy ci się wody do buzi.

I puściłem cię.

Jak można się było spodziewać, wpadłaś w panikę. Zaczęłaś wywijać rękami i nogami, aż połączona siła czterech kończyn przewróciła cię na plecy. Szamotałaś się z wielkim pluskiem, błędząc wzrokiem po suficie.

- Tatusiu! Tatusiu! Topię się!

- Nic z tych rzeczy. - Ustawiłem cię z powrotem głową do góry. - Tutaj najważniejsze są mięśnie brzucha. Te, których nie chciałaś ćwiczyć dzisiaj na rehabilitacji. Spróbuj poruszać się powoli i trzymać pionowo. - I znów cię puściłem, tym razem nie tak gwałtownie.

Podskoczyłaś jak piłeczka, zanurzając usta. Natychmiast rzuciłem się do ciebie, ale szybko się wyprostowałaś.

- Dam sobie radę - powiedziałaś, może do mnie, a może tylko do siebie. Rozgarnęłaś wodę jedną ręką, potem drugą, uważając na wciąż niewyleczoną łopatkę. Machnęłaś nogami i tak powoli zaczęłaś zbliżać się do mnie.

- Tatusiu! - krzyknęłaś na cały głos, chociaż byłem pół metra dalej. - Tatusiu, patrz!

Nie spuszczałem z ciebie oczu, a ty po kawałeczku posuwałaś się do przodu.

- Widzę - powiedziałem, patrząc, jak płyniesz, niesiona własnym przekonaniem. - Widzę.

- Sean - odezwała się Charlotte, kiedy położyliśmy się już do łóżka i myślałem, że zasnęła - Marin Gates dzwoniła do mnie dzisiaj.

Leżałem na boku, z wzrokiem wbitym w ścianę. Wiedziałem, czego prawniczka chciała od mojej żony: do mnie dzwoniła już sześć razy z pytaniem, czy odesłałem podpisaną zgodę na złożenie pozwu z tytułu niedobrego urodzenia, bo jeśli nie, to pewnie zgubiła się gdzieś na poczcie. Za każdym razem zostawiała mi wiadomość. Nie odpowiedziałem na żadną.

Dobrze wiedziałem, gdzie szukać papierów, o które jej chodziło. Już od miesiąca tkwiły w schowku w samochodzie. Trafiły tam od razu, kiedy tylko Charlotte mi je wręczyła.

- Załatwię to - mruknąłem.

- Sean... - Położyła mi dłoń na ramieniu. Obróciłem się na plecy.

- Pamiętasz Eda Gatwicka? - spytałem. - Eda?

- Eda. Razem kończyliśmy akademię policyjną. Dostał wezwanie do Nashua. Ktoś z mieszkańców zgłosił podejrzaną zachowanie sąsiadów na posesji obok. Ed miał złe przecucie i

powiedział o tym swojemu partnerowi, wszedł jednak do tego domu, a tam było laboratorium do produkcji metamfetaminy. Wybuchło mu prosto w twarz.

- Straszne...

- Chcę przez to powiedzieć - nie dałem jej dokończyć - że zawsze trzeba słuchać, co podpowiada intuicja.

- Właśnie to robię - odparła - od samego początku. Pamiętasz, co powiedziała Marin. Większość takich spraw kończy się za porozumieniem stron i nigdy nie trafia do sądu. Chodzi o pieniądze. Za to odszkodowanie możemy zapewnić Willow dobre życie.

- Jasne. A Piper będzie kozłem ofiarnym.

Charlotte umilkła.

- Od tego ma ubezpieczenie - odpowiedziała wreszcie.

- Polisa nie ochroni jej przed ciosem w plecy z ręki najlepszej przyjaciółki.

Usiadła na łóżku, zakrywając się kołdrą.

- Gdyby to była jej córka, zrobiłaby to samo.

Spojrzałem na nią twardo.

- Nie wydaje mi się. Mało jest ludzi, którzy tak by postąpili.

- I co z tego? Nie obchodzi mnie zdanie innych ludzi. Liczy się tylko to, co pomyśli sobie Willow.

To właśnie dlatego, uprzytomniłem sobie nagle, nie podpisałem tych cholernych papierów. Tak samo jak Charlotte, myślałem tylko i wyłącznie o tobie. O nadchodzącej chwili, kiedy zrozumiesz, że nie jestem szlachetnym rycerzem. Zdawałem sobie sprawę, że wcześniej czy później tak musi się stać, bo na tym polega dorastanie - jednak bynajmniej mi się nie spieszyło. Chciałem być twoim zawodnikiem jak najdłużej. Dopóki sama nie przestaniesz we mnie wierzyć.

- Skoro tylko to się liczy - powiedziałem - to w jaki sposób wytłumaczysz Willow, co wyprawia jej mama? Bo jeśli chcesz kłamać przed sądem i mówić, że usunęłabyś ciążę, to twoja sprawa. Ale Willow może w to uwierzyć.

W jej oczach błysnęły łzy.

- Jest mądra i zrozumie, że pozory mylą i że w głębi serca ją kocham.

Błędne koło. Jeśli nie podpisałbym tych papierów, to Charlotte i tak mogłaby próbować

załatwić to beze mnie, lecz doszłoby między nami do rozłamu, a ty ucierpiałabyś na tym najbardziej. Ale gdyby się okazało, że jednak miała rację: że to, co możemy zdziałać za wywalczone odszkodowanie, usprawiedliwia nikczemność,

której się dopuściliśmy, aby je zdobyć? Że dzięki temu możesz dostać każdy potrzebny sprzęt adaptacyjny, przejść każdą operację, której nie pokrywa ubezpieczenie?

Skoro naprawdę chciałem dla ciebie jak najlepiej, to czy mogłem podpisać te papiery?

A czy mogłem ich nie podpisać?

Nagle zapragnąłem pokazać Charlotte, jaka to dla mnie męka. Chciałem, żeby poczuła ten sam ohydny ciężar, który zalegał mi w żołądku za każdym razem, kiedy zaglądałem do schowka w samochodzie. Zupełnie jakby otworzyła puszkę Pandory, w której było rozwiązanie naszego, zdawałoby się, nierozwiązywalnego problemu. Zamknięcie jej teraz nie zmieniłoby niczego; nie można już było zapomnieć, że to rozwiązanie jest dla nas osiągalne.

Jeśli mam być szczery, chciałem też ukarać Charlotte za to, że postawiła mnie w tej sytuacji, w miejscu, gdzie nie było czerni ani bieli, tylko tysiąc odcieni szarości.

Przygarnąłem ją do siebie i zacząłem całować. W pierwszej chwili opierała się i patrzyła mi w oczy, ale potem przylgnęła do mnie, ufna, że poprowadzę ją tam, gdzie czeka znajomy zawrót głowy, gdzie byliśmy razem już tysiąc razy.

- Kocham cię - powiedziałem. - Wierzysz w to?

Skinęła potakująco; wtedy zacisnąłem palce wplątane w jej włosy i szarpnięciem rozciągnąłem ją na wznak na materacu, a potem przygniotłem ciężarem swojego ciała.

- Sean, ciężko mi - szepnęła, ale zamknąłem jej usta jedną dłonią, a drugą bezceremonialnie ściągnąłem dół od pizamy. Wszedłem w nią brutalnie, nie zważając na to, że się wrywa, wije z niebotycznego zdumienia, a może i bólu, że w oczach ma łzy.

- Pozory mylą- wyszeptałem jej własne słowa, tnąc ją nimi jak batem. - Wiesz, że w głębi serca cię kocham.

Na początku chciałem zrobić przykrość Charlotte, skończyło się jednak tak, że sam poczułem się jak ostatnia łajza, Zsunąłem się z niej, podciągając bokserki, a ona odwróciła się do mnie plecami i zwinęła w kłębek.

- Ty świnió - załkała. - Ty pieprzona świnió.

Miała rację, byłem świnią. Musiałem być, bo inaczej nie mógłbym zrobić tego, co zrobiłem potem: wstać, wyjść z domu i przynieść z samochodu te papiery do podpisu. Nie

przesiedziałbym do rana w kuchni, czytając raz po raz to, co tam było napisane, jak gdyby było możliwe, że te słowa poprzestawiają się i wyjdzie z tego coś możliwego do przyjęcia. Nie zapijałbym kieliszkiem whiskey każdej ciągłej linii, przy której Marin Gates przykleiła żółtą karteczkę ze strzałką, żebym wiedział, gdzie mam się podpisać.

Zasnąłem przy kuchennym stole i obudziłem się przed świtem. Zakradłem się na palcach do sypialni. Charlotte jeszcze spała. Leżała na boku, skręcona jak ślimak; kołdra i narzuta kłębiły się w nogach łóżka. Przykryłem ją z powrotem, delikatnie, tak jak czasem przykrywałem ciebie, kiedy rozkopałaś się przez sen.

Na poduszce, tuż obok głowy Charlotte, zostawiłem papiery, podpisane tam, gdzie trzeba. I dodałem karteczkę: „Przepraszam. Wybacz mi”.

A potem pojechałem do pracy, nie przestając się zastanawiać, kto właściwie był adresatem tych przeprosin: Charlotte, ty czy może ja sam.

## **Amelia**

*Ostatnie dni sierpnia 2007 r.*

Powiedzmy sobie szczerze: nasza miejscowość to nawet nie było miasteczko, tylko normalna wiocha. I chociaż rodzice nie wiadomo czemu uważali, że takie doświadczenie w przyszłości okaże się dla mnie wręcz bezcenne (niby dlaczego? Bo będę wiedziała, jak pachnie prawdziwa trawa? Albo jak to jest nie musieć zamykać domu na klucz?), to jednak osobiście żałowałam, że niedane mi było wypowiedzieć się w kwestii wyboru miejsca zamieszkania. Macie pojęcie, co to znaczy nie móc podłączyć kabłówki, kiedy nawet Eskimosi ją mają? Albo kupować ubrania do szkoły w byle jakim Wal-Marcie, bo do najbliższej porządnej galerii handlowej jedzie się półtorej godziny? W poprzedniej klasie uczyliśmy się na WoS-ie o różnych okrutnych i wymyślnych torturach. Napisałam wtedy całe wypracowanie o życiu w zabitej dechami dziurze, gdzie sprzedaż detaliczna leży i kwiczy. Cała klasa zgodziła się ze mną, ale dostałam tylko czwórę, bo babka od WoS-u to była stara muesliżerna hipiska w sandałach, która uważała, że nie ma na tym świecie lepszego miejsca niż Bankton w stanie New Hampshire.

Ale tego dnia najwidoczniej wszystkie planety mi sprzyjały, bo mama zgodziła się na wypad do Targeta z Piper i Emmą.

To Piper rzuciła ten pomysł - czasem ją nachodziło, tuż przed początkiem roku szkolnego, żeby wyskoczyć na wielkie zakupy matek z córkami. Moją mamę zazwyczaj trzeba było długo namawiać, bo z kasą nigdy się u nas nie przelewało; za każdym razem kończyło się tak, że to Piper kupowała dla mnie różne rzeczy, a mama miała wyrzuty sumienia i przysięgała, że już nigdy w życiu nie pojedzie z nią razem na zakupy.

- W czym problem? - pytała Piper. - Lubię robić przyjemność naszym dziewczynom.

No właśnie - w czym był problem? Skoro miała ochotę kupić mi wyprawkę, to przecież nie będę jej odmawiać takiej drobnej radości.

Tym razem, kiedy Piper zadzwoniła rano z propozycją wypadu do sklepu, wydawało mi się, że mama powinna chętnie skorzystać z okazji. Powód? Znowu wyrosłaś z butów, nie mając ich nawet raz na nogach. Najczęściej było tak, że nosiłaś tylko jeden z pary, na przykład lewy, bo prawą nogę miałaś w gipsie przez kilka miesięcy, tylko że teraz miałaś obie nogi w gipsie przez całą wiosnę i stopa urosła ci o cały numer. A podeszwy były - jak prosto ze sklepu. Po sześciu miesiącach, kiedy już ci zdjęli to draństwo i zaczęłaś od nowa uczyć się chodzić, musiał upłynąć

cały tydzień, żeby mama się domyśliła, dlaczego tak się krzywisz, idąc z balkonikiem do łazienki; nie bolały cię nogi, tylko stopy wciśnięte w za ciasne tenisówki.

Tymczasem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, mama wcale nie chciała jechać. Była tego konkretnie dnia w bardzo dziwnym nastroju. Prawie wyskoczyła ze skóry, kiedy zaszłam ją od tyłu; piła właśnie kawę i przeglądała jakieś nudziarskie prawnicze papiery, gdzie roiło się od zwrotów w rodzaju „co się tyczy” i „komukolwiek”. A jak zadzwoniła Piper i podałam mamie słuchawkę, upuściła ją dwa razy.

- Nie mogę - powiedziała wreszcie. - Muszę załatwić parę bardzo ważnych spraw.

- Mamo, proszę - pisnęłam, podskakując przed nią jak piłeczka. - Obiecuję, że nie wezmę od Piper nawet gumy do żucia. Nie będzie tak jak wtedy. To był ostatni raz.

Musiałam potrącić jakąś czułą strunę, bo nagle spojrzała w te swoje papiery, a potem na mnie.

- Ostatni raz - powtórzyła mechanicznie i dalej pamiętam już tylko drogę do Concord na zakupy. Mama wciąż była trochę nieobecna, ale nie zwracałam na to uwagi. Piper miała w samochodzie DVD, a my wszystkie - ty, Emma i ja - dostałyśmy bezprzewodowe słuchawki, żeby móc obejrzeć sobie „Dziś 13, jutro 30”, najlepszy film świata. Ostatnio oglądaliśmy go u nas w domu, a Piper odtańczyła całego „Thrillera” w tej scenie, kiedy tańczy to Jennifer Garner. Emma ogłosiła wtedy oficjalnie, że życzy sobie umrzeć ze wstydu, ale ja pomyślałam sobie, że Piper jest niezła, że pamięta te wszystkie kroki.

Dwie godziny później byliśmy już w sklepie. Emma i ja poleciałyśmy do działu dla nastolatek. Chociaż większość ciuchów była z serii spodlatarnianej - bluzki z dekolcami po pępek i spodnie tak obniżone w stanie, że z powodzeniem mogłyby robić za skarpetki - to i tak super było kupić coś nie w dziale dla dzieci. W sąsiedniej alejce Piper popychała twój wózek, kierując nim tak, żeby unikać miejsc, gdzie projektant wnętrza nie przewidział osób niepełnosprawnych. Mama tymczasem co krok klękała przed tobą, przymierzając ci buty, para za parą. Nastrój, o ile to tylko możliwe, miała jeszcze gorszy niż przedtem.

- Wiesz, że te plastikowe końcówki na sznurowadło to są skuwki? - zapytałaś w pewnej chwili.

- Właśnie, że wiem - odpowiedziała mama zirytowanym głosem. - Poinformowałam mnie o tym poprzednim razem, kiedy mierzyłam ci buty.

Emma stanęła na palcach i zdjęła z półki bluzkę - jak by to powiedziała moja mama - dla

pań o jasno określonej profesji.

- Emma! - zachłysnęłam się. - Chyba żartujesz?

- To się nosi na body - zwróciła mi uwagę. Udałam, że dobrze o tym wiem. Prawda natomiast była taka, że Emma spokojnie mogłaby to włożyć i wyglądałaby na szesnaście lat, bo była wysoka (miała już metr sześćdziesiąt pięć) i szczupła jak jej mama. Ja nie nosiłam body. Przykro było patrzeć, jak brzuch sterczy mi dalej niż biust.

Wsunęłam dłoń do kieszeni bluzy, gdzie miałam zamykaną plastikową torebkę. Nosiłam takie torebki przy sobie od tygodnia i do tej pory już dwa razy zmusiłam się do wymiotów nie w łazience: raz w szkole, na tyłach sali gimnastycznej, drugi raz w kuchni u Emmy, kiedy ona poszła na górę po jakąś płytę. Robiłam to w momencie, gdy już nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko: Przyłapią mnie czy nie? Przejdzie mi po tym ten ból brzucha czy nie? - i żeby wreszcie przestać, musiałam się poddać i to zrobić. Tylko że potem, po fackie, czułam się jak świnia, że nie wytrzymałam.

- To ci będzie pasować. - Emma pokazała mi parę spodni od dresu, w które słoń by się zmieścił.

- Nie lubię żółtego - burknęłam, przechodząc do sąsiedniej alejki, gdzie Piper rozmawiała z mamą.

„Rozmawiała” to może za dużo powiedziane. Piper trajkotała w najlepsze, a mama była mniej więcej obok: kiwała głową, kiedy było trzeba, ale tak naprawdę w ogóle nie słuchała, co się do niej mówi. Wydawało jej się, że wszystkich oszuka, ale musiałyby być do tego lepszą aktorką. Jak traktowała ciebie, na przykład? Ile to razy żarła się z tatą o cały ten proces i adwokata, wiedząc, że siedzisz za ścianą, a potem, kiedy ją pytałaś, dlaczego się kłóć, mówiła: „Wcale się nie kłócimy”. Naprawdę myślała, że tak cię pochłaniają „Drake i Josh”, że nie interesuje cię, o czym rozmawiają rodzice? Przecież ty łowiłaś każde ich słowo.

Szkoda, że mama nigdy nie słuchała. Gdyby tylko mogła usłyszeć, jak mnie pytasz wieczorem, przed zaśnięciem: „Amelia, czy my zawsze będziemy tutaj mieszkać, wszyscy razem? Amelia, pomożesz mi umyć zęby, żebym nie musiała prosić mamy? Amelia, czy rodzice mogą odesłać dziecko z powrotem tam, skąd się wzięło?”.

No i co w tym dziwnego, że brzydziłam się swojej twarzy w lustrze, a jeszcze bardziej - tego ohydneho cielska? To przecież moja matka chciała dochodzić w sądzie odszkodowania za dziecko, które nie było idealne.



- Gdzie jest Emma? - zapytała Piper.

- W dziale dla nastolatków, ogląda topy.

- Jakies przyzwoite czy z tych obcislych, co wygladaja jak kostiumy dla modelek porno? - zainteresowala sie Piper. - Jak sie czasem patrzy na ciuchy dla dziewczynek w waszym wieku, to czlowiek myśli, ze takich projektantow powinni sadzac do wiazienia.

Roześmiałam się głośno.

- Emma zawsze może wynająć adwokata. Znamy jednego, niezły jest.

- Amelia! - krzyknęła mama. - No, patrz, co przez ciebie zrobiłam!

Ale ten stojak z bluzkami przewrócił się dopiero sekundę później.

- Kurczę blade - powiedziała Piper, podbiegając, żeby przytrzymać rozchwianą konstrukcję. Ponad jej głową mama rzuciła mi spojrzenie: zaciśnięte wargi, ani mi się waż.

Była na mnie zła, a ja nawet nie wiedziałam, za co. Schowałam się wśród ubrań dla dziewczyn. Szłam, rozgarniając gęszcz rękawów i nogawek. Mijając Emmę, zgarbiłam się, pochylając głowę. Zrobiłam coś złego?

Chociaż z drugiej strony, niczego dobrego też nie zrobiłam, jak zwykle...

Mama gniewała się na mnie chyba za to, że wspomniałam przy Piper o prawniku. Ale przecież Piper była jej najlepszą przyjaciółką. Ten cały proces nie dawał nam w domu spokoju: był jak wielki dinozaur, który rozsiadł się przy stole w jadalni, a my wszyscy udawaliśmy, że go nie ma, chociaż wtykał swój ohydny łeb prosto do miski z tłuczonymi kartoflami. Jak to możliwe, żeby mama zapomniała powiedzieć Piper o tym wszystkim?

Chyba że... nie zapomniała, tylko zataiła.

Czy to dlatego nie chciała jechać z nią na zakupy? Czemu ostatnio przestałyśmy zaglądać do Piper, będąc w jej okolicy? Kiedy mama mówiła o odszkodowaniu, o pieniądzach, za które zapewnią ci porządną, najlepszą opiekę, nie zastanawiałam się nad tym, kto wystąpi jako oskarżony w procesie.

Jeżeli tym kimś miał być lekarz, do którego chodziła w ciąży... To padło na Piper.

I nagle przestałam być jedyną osobą w życiu mojej matki, która nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Ale zamiast ulgi poczułam tylko falę mdłości.

Wyprostowałam się i ruszyłam przed siebie, skręcając to tu, to tam, na oślep, aż wreszcie zaniósło mnie do działu z bielizną. Ryczałam już wtedy na całego i takie już moje szczęście, że nadziałam się na jedną, jedyną sprzedawczynię, która akurat nie stała przy kasie.

- Coś się stało, kochanie? - zapytała. - Zgubiłaś się?

Jakbym miała pięć lat i nie mogła znaleźć mamusi. Chociaż w sumie było w tym wiele prawdy.

- Wszystko w porządku. - Pochyliłam głowę. - Dziękuję pani.

Minęłam ją, znikając pomiędzy półkami pełnymi staników. Nagle zaczepiłam rękawem o jeden z nich, który został mi w ręce. Gładki różowy materiał w brązowe kropki. Coś takiego mogłaby nosić Emma.

Zamiast odwiesić na miejsce, wepchnęłam go do kieszeni, obok tej zamykanej torebki i otuliłam dłonią, sprawdzając, czy tamta babka nie zauważyła. Atlas był chłodny w dotyku i mogłabym przysiąc, że pulsował, jak serce bijące ukradkiem.

- Na pewno nic ci nie jest? - powtórzyła sprzedawczyni.

- Na pewno. - To kłamstwo, które przyszło tak łatwo, przypomniało mi, że jestem córką mojej matki; w tamtej chwili szczerze jej nienawidziłam, ale fakt pozostawał faktem.

## Piper

Zawsze mówiłam: najlepsze w moim zawodzie jest to, że całą pracę wykonuje za mnie ktoś inny, mianowicie przyszła matka; ja w zasadzie tylko kontroluję to, co się dzieje, pilnując, żeby wszystko szło gładko.

- Dobrze, Lila - powiedziałam, wyjmując dłoń spomiędzy nóg pacjentki. - Mamy już dziesięć centymetrów. Będziemy kończyły. Przyj teraz.

- Sama sobie przyj - mruknęła, potrząsając głową.

Poród trwał już dziewiętnastą godzinę; nietrudno było zrozumieć, dlaczego wołałaby zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego.

- Jesteś piękna - zaszczebiotał jej mąż, podtrzymujący ją od tyłu za ramiona.

- A ty głupi - warknęła w odpowiedzi, ale w tym momencie nagły skurcz targnął nią jak rybą w sieci. Napięła się i napała. Zobaczywszy wynurzającą się główkę, uniosłam dłoń, żeby ją przytrzymać, bo gdyby wyszła za szybko, rozerwałaby krocze.

- Jeszcze raz - poprosiłam i tym razem główka poszła do przodu jak fala, a kiedy pokazały się usta i nos, oczyściłam je ssakiem. Lila urodziła resztę główki; podtrzymując ją, lekko odwróciłam dziecko, aby kontrolować wychodzenie barków, a pępowinę przełożyłam na drugą stronę. Pięć sekund później noworodek leżał już w moich dłoniach jak na szalach wagi.

- Chłopiec! - oznajmiłam, a on potwierdził moje słowa i swoją obecność zdrowym wrzaskiem.

Założyłam zacisk na pępowinę, żeby mąż Lili mógł ją przeciąć.

- Moje kochanie - szepnął, całując ją prosto w usta.

- Moje kochanie - odszepnęła, a pielęgniarka podała jej nowo narodzonego synka.

Uśmiechnęłam się, powracając na swoje miejsce na końcu stołu porodowego. Teraz należało wykonać wszystkie mniej wdzięczne czynności, które też były częścią tego radosnego święta. A więc najpierw chwila oczekiwania, aż niczym spóźniony gość pojawi się łożysko. Potem oględziny szyjki macicy, pochwy i sromu: naprawić wszelkie uszkodzenia. Następnie badanie *per rectum*. Jeśli mam być szczerą, to rodzice zazwyczaj byli tak zaabsorbowani nowym członkiem rodziny, że czasami świeżo upieczona mama nie zwracała nawet uwagi, co się wyprawia poniżej jej pasa.

Dziesięć minut później złożyłam gratulacje szczęśliwej parze, ściągnęłam rękawiczki,

umylałam ręce i wyszłam z sali porodowej. Czekala na mnie góra papierków. Nie uszłam jednak nawet dwóch kroków, bo zaraz za drzwiami stał jakiś facet w dżinsach i koszulce polo. Wyglądał, jakby się zgubił w tym szpitalu - mąż szukający żony na porodówce?

- W czym mogę pomóc? - zapytałam.

- Doktor Reece? Piper Reece?

- Tak jest, wysoki sędzie.

Facet sięgnął do tylnej kieszeni i wręczył mi coś, co wyglądało jak niebieska broszurka złożona na pół.

- Dzięki - powiedział i już go nie było.

Otworzyłam dokument. W środku było napisane tak: wniosek o przeprowadzenie postępowania cywilnego z tytułu niedobrego urodzenia.

Urodzenie kalekiego dziecka.

Roszczenie rodziców opiera się na fakcie, iż w konsekwencji zaniedbania, którego dopuściła się pozwana, zostali oni pozbawieni prawa do niepoczynania dziecka lub do przerwania ciąży.

Zaniedbanie w spełnieniu powinności lekarskiej .

Pozwana nie zapewniła pacjentce należytej opieki.

Powodowie ponieśli szkodę bądź stratę.

Nigdy wcześniej nikt nie pozwał mnie do sądu, chociaż byłam ubezpieczona od skutków pomyłki lekarskiej; każdy położnik ma taką polisę. Z jednej strony zdawałam sobie sprawę, że to czysty fart i wcześniej czy później zdarzy mi się sprawa w sądzie. Po prostu nie spodziewałam się, że odbiorę to tak osobiście, jak policzek.

Zdarzały mi się, rzecz jasna, zawodowe tragedie: pacjentki rodzące martwe dzieci albo powikłania okołoporodowe prowadzące do silnego krwotoku i w konsekwencji nawet do śmierci mózgu. Takie wypadki pozostawały ze mną na zawsze. Niepotrzebny był mi proces, żeby rozpamiętywać je dzień w dzień, wciąż na nowo, zastanawiać się, co można było zrobić inaczej.

Czyje nieszczęście stało za tym pozwem? Powróciłam wzrokiem na początek strony, gdzie widniały nazwiska powodów, które za pierwszym razem udało mi się przeoczyć.

SEAN I CHARLOTTE O'KEEFE przeciwko PIPER REECE.

Nagle pociemniało mi przed oczami. Papier, który trzymałam w dłoni, zalał się czerwienią; krew tętniła w uszach tak głośno, że ledwie słyszałam pielęgniarkę pytającą, czy nie

mi nie jest. Chwiejnym krokiem potoczyłam się do najbliższych drzwi - padło na schowek pełen bandaży i pościeli.

Moja najlepsza przyjaciółka podała mnie do sądu za błąd w sztuce lekarskiej!

Za niedobre urodzenie swojego dziecka.

Za to, że zbyt późno powiedziałam jej o twojej chorobie i nie miała wyboru, żeby usunąć ciążę - ciążę, w którą ja pomagałam jej zająć; błagała mnie o pomoc, bo sama przez tyle czasu bezskutecznie starała się począć.

Zsunęłam się po ścianie na podłogę, ściskając głowę dłońmi. Ledwie przed tygodniem byłyśmy w Targecie na zakupach z naszymi dziewczynami. Postawiłam jej lunch we włoskiej knajpce. W sklepie przymierzała czarne spodnie; żartowałyśmy sobie na temat obniżonych stanów i że dla kobiet po czterdziestce powinny być do takich ciuchów pasy wyszczuplające. Kupiłyśmy Emmie i Amelii takie same piżamy.

Spędziłyśmy razem siedem godzin, a ona ani razu nawet się nie zająknęła, że składa pozew przeciwko mnie.

Wyciągnęłam komórkę z futerału przy pasku. Miałam Charlotte pod skrótem, klawisz 3, przed nią był tylko dom i gabinet Roba.

- Halo? - Odebrała telefon.

W pierwszej chwili nie mogłam wydobyć głosu.

- Co to ma znaczyć? - wykrztusiłam wreszcie.

- Piper?

- Jak mogłaś? Przez pięć lat wszystko było w porządku, a teraz nagle chcesz mnie zaskarżyć?

- To chyba nie jest rozmowa na telefon...

- Charlotte, na miłość boską, za co to wszystko? Co ja ci zrobiłam?

Na moment w słuchawce zapadła cisza.

- Chodzi o to, czego nie zrobiłaś - odpowiedziała wreszcie i połączenie się urwało.

Dokumentację ciąży Charlotte miałam u siebie w gabinecie, dziesięć minut samochodem ze szpitalnej porodówki. Widząc mnie w drzwiach, moja recepcjonistka uniosła głowę.

- Myślałam, że odbierasz poród.

- Już się urodziło. - Minęłam ją, idąc prosto do archiwum. Zabrałam teczkę Charlotte i wróciłam do samochodu.

Usiadłszy za kierownicą, rozłożyłam dokumenty na kolanach. Zapomnij, że to Charlotte, powiedziałam sobie. To normalna, zwykła pacjentka. Ale jakoś nie mogłam się zmusić do otworzenia szarej teczki z kolorowymi etykietkami na brzegu.

Pojechałam do gabinetu Roba. Mój mąż był jedynym ortodontą w miasteczku Bankton i można powiedzieć, monopolistą na rynku aparatów dla nastolatków, lecz mimo to dokonywał cudów, żeby dzieciaki lubiły do niego przychodzić. W poczekalni stał ekran do rzutnika; właśnie leciała jakaś klasyczna młodzieżowa komedia. Oprócz tego były tam jeszcze flipper i konsola z grami wideo. Podeszłam prosto do Keiko, recepcjonistki Roba.

- Cześć, Piper - przywitała mnie. - No, no, z pół roku się nie pokazywałaś...

- Muszę zobaczyć się z Robem - przerwałam jej. - Natychmiast. - Ścisnęłam trzymaną w dłoniach teczkę. - Możesz go wywołać do gabinetu?

Prywatny gabinet Roba był zupełnie niepodobny do mojego. U mnie królowały kolory morza, mające działać uspokajająco na pacjentki i równoważyć wrażenie wywoływane przez gipsowe modele faz rozwoju płodu, stojące szeregiem na półkach niczym małe posążki Buddy. Tutaj panowały luksus i męskość: boazeria, olbrzymie biurko, mahoniowe biblioteczki, na ścianie fotografie Ansela Adamsa. Usiadłam na obrotowym, obitym skórą fotelu i odepchnęłam się nogą. Czułam się tu maleńka. Nieistotna.

Zrobiłam wreszcie to, o czym marzyłam od dwóch godzin: rozplakałam się.

- Piper, co się stało? - Rob stanął w drzwiach, zobaczył mnie zapłakaną. W jedną sekundę był obok i tulił mnie do siebie.

Pachniał kawą i pastą do zębów. - Wszystko w porządku?

- Pozwała mnie do sądu - wydusiłam. - Charlotte.

Odchylił się do tyłu i spojrzał z niedowierzaniem.

- Co takiego?

- Za błąd w sztuce. Za Willow.

- Nie rozumiem - powiedział Rob. - Nawet nie byłaś przy porodzie.

- Chodzi o to, co robiłam wcześniej. - Spojrzałam na teczkę leżącą na blacie biurka. - O diagnozę.

- Przecież rozpoznałaś chorobę i od razu skierowałaś Charlotte do specjalisty ze szpitala.

- Widocznie ona uważa, że rozpoznałam chorobę za późno. Gdybym powiedziała jej o tym wcześniej, mogłaby usunąć ciążę.

Rob potrząsnął głową.

- No nie, to śmieszne. Tacy zatwardziali katolicy? Pamiętasz, jak kiedyś w restauracji pokłóciliście się z Seanem o wyrok w sprawie Roe przeciwko Wade i on tak się zaperzył, że w końcu wstał i wyszedł?

- To nieważne. Mam inne pacjentki katoliczki. Usunięcie ciąży doradza się zawsze, jeśli jest taki wybór. Lekarz nie podejmuje decyzji za rodziców, nie rozstrzyga sprawy na podstawie własnej opinii o tych ludziach.

- Może chodzi o pieniądze - zasugerował Rob.

- Zniszczyłbyś zawodową reputację swojego najlepszego przyjaciela, żeby dostać odszkodowanie z jego ubezpieczenia?

Spojrzał na teczkę.

- O ile cię znam, to opisałaś ciążę Charlotte w najdrobniejszych szczegółach. Mam rację?

- Nie pamiętam.

- To co w takim razie znalazłaś w tej teczce?

- Nie mogę... jej otworzyć. Zrób to za mnie.

- Kotku, skoro nie pamiętasz, to znaczy, że najprawdopodobniej nie ma czego pamiętać.

Nie daj się zwariować. Przejrzyj dokumenty, a potem przekaż sprawę ubezpieczycielowi. Po to chyba masz polisę, tak?

Skinęłam głową.

- Mam z tobą zostać?

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziałam, sama w to nie wierząc. Kiedy Rob zamknął za sobą drzwi, odetchnęłam głęboko i otworzyłam szarą teczkę, zaczynając od samego początku: od wywiadu medycznego Charlotte.

Wywiad medyczny, upomniałam się. Nie historia naszej znajomości.

wzrost: 157 cm

waga: 66 kg

Pacjentka od roku bezskutecznie próbuje zajść w ciążę.

Przewróciłam kartkę. Dalej był dodatni wynik testu ciążowego; badania krwi w kierunku wirusa HIV, kiły, WZW B, niedokrwistości; analiza moczu na obecność bakterii, oznaczenie poziomu cukru i białka. Wszystko w normie aż do momentu, kiedy test poczwórny wykazał podwyższone ryzyko wystąpienia zespołu Downa.

USG w osiemnastym tygodniu ciąży wykonuje się standardowo, ale wtedy szukałam objawów potwierdzających zespół Downa. Może tak się na tym skupiłam, że nie przyszło mi do głowy, aby rozejrzeć się za innymi nieprawidłowościami? A może po prostu wszystko było w porządku?

Ślęczałam nad tym USG, wypatrując na zdjęciach najmniejszych śladów urazów czy złamań, które mogłam przeoczyć. Obejrzałam kręgosłup, serce, żebra, kości długie. Płód z OI mógłby mieć złamania w osiemnastym tygodniu, jednak z powodu defektu kolagenu tym trudniej byłoby je zobaczyć. Nie można winić lekarza za to, że nie dopatrywał się wad tam, gdzie na dobrą sprawę wszystko wyglądało zupełnie normalnie.

Ostatnim obrazem z tamtego badania USG było zdjęcie czaszki płodu.

Położyłam dłonie płasko po obu stronach kartki, przytrzymując kadr, na którym wyraźnie i z wielką ostrością widać było mózg.

Obraz był krystalicznie czysty.

Nie była to zasługa nowego aparatu, tak jak wtedy uznałam, lecz wina odwapnionych kości mózgowiczaszki, które nie wysyciły się prawidłowo.

Lekarza uczy się zwracać uwagę na odstępstwa od normy, nie na to, co wygląda zbyt idealnie.

Czy wiedziałam wtedy, zanim jeszcze poznałam ciebie i twoją chorobę, że odwapniona czaszka wskazuje na *osteogenesis imperfecta*! Czy powinnam była się tego domyślić? Czy nacisnęłam delikatnie brzuch, żeby sprawdzić, czy kości czaszki odkształcają się pod naciskiem? Nie mogłam sobie przypomnieć. Pamięć miałam kompletnie pustą, poza jednym wspomnieniem: jak mówię ciężarnej Charlotte, że jej dziecko nie ma zespołu Downa.

Nie pamiętałam, czy zrobiłam pomiary, do których mogłabym się teraz odwołać, żeby udowodnić, że to nie była moja wina.

Wyjęłam portfel z torebki i sięgnęłam niżej, na samo jej dno, gdzie wśród papierków po gumie do żucia i długopisów od firm farmaceutycznych tkwił pliczek wizytówek związany recepturką. Przerzuciłam je szybko i znalazłam tę, o którą mi chodziło. Wzięłam stacjonarny telefon Roba i wystukałam numer kancelarii adwokackiej.

- Booker, Hood i Coates. - W słuchawce odezwał się głos sekretarki.

- Jestem lekarzem i mam u państwa polisę od skutków błędów medycznych - powiedziałam. - Potrzebuję pomocy.



Tej nocy nie mogłam zasnąć. Poszłam do łazienki i stanęłam przed lustrem, sprawdzając, czy w ciągu tego dnia coś się we mnie zmieniło. Czy można mieć zwątpienie wypisane na twarzy? Może osiada w zmarszczkach dookoła oczu, obejmuje usta jak klamrą?

Postanowiliśmy z Robem nie mówić Emmie, co się stało, przynajmniej dopóki nie będzie czegoś konkretnie wiadomo. Przyszło mi na myśl, że Amelia może coś wygadać w szkole, bo lekcje już się zaczęły - ale z drugiej strony ona też nie musiała wcale wiedzieć, co robią jej rodzice.

Przysiadłam na sedesie i zapatrzyłam się w księżyc, okrągły i pomarańczowy. Zdawało się, że przysiadł na parapecie. Blask rozlewał się po kafelkach posadzki, spływał do wanny, robiąc z niej oczko wodne. Niedługo miał wstać świt, a ja - ja miałam iść do pracy, opiekować się pacjentkami, ciężarnymi i starającymi się o dziecko, gdy tymczasem straciłam całą wiarę w swoją zawodową wiedzę.

Zdarzyło mi się kilka razy, że nie mogłam zasnąć ze zmartwienia, na przykład kiedy umarł mój ojciec albo kiedy administrator mojego gabinetu okradł nas na kilka tysięcy dolarów. Dzwoniłam wtedy do Charlotte, a ona nigdy się nie skarżyła, chociaż w przeciwieństwie do mnie nie była przyzwyczajona, że wydzwania się do niej w środku nocy, bo potrzebna jest natychmiastowa pomoc. Miałam wrażenie, że spodziewała się mojego telefonu, i chociaż z całą pewnością rano czekały na nią tysiące obowiązków przy Willow i Amelii, rozmawiała ze mną po kilka godzin, o wszystkim i o niczym, dopóki moje myśli nie przestały galopować i nie opadło ze mnie napięcie.

Teraz też chciałam zadzwonić do mojej najlepszej przyjaciółki, by razem z nią lizać rany. Tylko że to właśnie ona mi je zadała.

Nagle zauważyłam, że po ścianie pełźnie pająk kosarz. Zaparło mi dech w piersiach. Wiedza na temat fizyki i grawitacji podpowiadała mi, że powinien spaść na ziemię. Wspinał się coraz wyżej, był już pod sufitem, a ja nie mogłam oderwać od niego oczu. Wreszcie zaczepił parę odnóży za odklejony koniec paska tapety na samej górze.

Prosiłam Roba tysiąc razy, żeby ją podkleił; nie posłuchał. Ale teraz, kiedy się jej przyjrzałam, tak porządnie, doszłam do wniosku, że w ogóle mi się nie podoba. Najlepiej będzie zacząć od nowa, od początku. Przemalować.

Stanęłam na krawędzi wanny i jednym szybkim ruchem oderwałam długi kęs kolorowego papieru.

Ale większa część pasa, za który chwyciłam, pozostała na ścianie.

Czy ja się znam na zrywaniu tapet?

Czy ja w ogóle na czymś się znam?

Przydałby mi się parowy nawilżacz do tapet, ale ponieważ o trzeciej w nocy takie urządzenie było nieosiągalne, puściłam gorącą wodę do wanny i umywalki, a łazienka szybko wypełniła się parą. Próbowałam podważyć brzegi tapety paznokciami i zerwać to, co zostało na ścianie.

Nagle owiało mnie chłodne powietrze.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - zapytał zaspanym głosem Rob, stając w drzwiach.

- Zrywam tapetę.

- W środku nocy? Piper... - westchnął.

- Nie mogłam zasnąć.

Zakręcił krany.

- Chodź, spróbuj się przespać.

I zaprowadził mnie za rękę do łóżka, a gdy się położyłam, przykrył kołdrą. Obróciłam się na bok, a Rob objął mnie jedną ręką w pasie.

- Odnowiłabym tę łazienkę - szepnęłam, kiedy po równym oddechu poznałam, że zasnął już z powrotem.

Poprzedniego lata siedziałyśmy z Charlotte przez cały dzień w księgarni Barnes & Noble i przeczytałyśmy chyba wszystkie pisma o urządzaniu kuchni i łazienki, jakie tam mieli.

- Może powinnaś postawić na minimalizm? - podsunęła Charlotte, ale spojrzawszy na następną stronę, zmieniła zdanie. - A może francuska wieś?

I rzucała kolejne pomysły: zamów sobie wannę z hydromasażem. Japoński klozet z bidetem. Podgrzewaną drabinkę na ręczniki.

I może jeszcze drugą hipotekę, roześmiałam się wtedy.

Kiedy spotkam się z Guyem Bookerem w jego kancelarii, to czy przyjdą później zrobić mi inventaryzację w domu? Zajmą nasze wspólne konto, fundusze emerytalne, oszczędności na studia dla Emmy i wszystkie środki, które można będzie nam zabrać na wypłatę odszkodowania?

Jutro, postanowiłam, kupię parowy nawilżacz. I cały sprzęt potrzebny do zdejmowania tapet. Sama wszystko zrobię i będzie dobrze.

- To chyba był mój błąd - przyznałam się Guyowi Bookerowi siedzącemu po drugiej

stronie lśniącego, potężnego stołu w sali konferencyjnej.

Mój adwokat był podobny do Cary'ego Granta - włosy siwe, tylko na skroniach kruczoczarne, garnitur na miarę, nawet ten dołek w podbródku.

- Może ja sam to ocenię? - zaproponował.

Dowiedziałam się od niego, że mam dwadzieścia dni, aby złożyć odpowiedź na wniesioną przeciwko mnie skargę - sąd potraktuje ją jako formalne pismo procesowe.

- Czyli mówi pani, że *osteogenesis imperfecta* można rozpoznać już w dwudziestym tygodniu ciąży? - zapytał po chwili.

- Tak, w każdym razie jej śmiertelną odmianę. Widać ją już na USG.

- A jednak córka pani pacjentki przeżyła.

- Zgadza się - potwierdziłam, dodając w myślach: dzięki Bogu.

Podobało mi się, że mówi o Charlotte „pacjentka”. To brzmiało chłodno, rzeczowo. Tworzyło dystans.

- Stwierdzono więc u niej typ III, ten o ostrym przebiegu.

- Tak.

Booker przerzucił jeszcze raz dokumentację ciąży.

- Kość udowa była na szóstym centylu?

- Tak jak stoi w papierach.

- Ale nie wskazuje to definitywnie na OI.

- To może wskazywać na różne rzeczy. Na zespół Downa, dysplazję szkieletową... ale też na to, że dziecko miało niskich rodziców albo że przy pomiarze zaszła pomyłka. Wiele dzieci, tak jak Willow, w osiemnastym tygodniu ciąży wykazuje standardowe odchylenia od normy, a potem rodzi się w doskonałym zdrowiu. Dopiero kiedy na kolejnym USG odchylenie przekracza normę, wiadomo, że mamy do czynienia z nieprawidłowością.

- A więc tak czy inaczej doradziłyby pani pacjentce, że należy poczekać?

Wytrzeszczyłam na niego oczy. To zabrzmiało tak, jakby to wcale nie był mój błąd.

- Ale ta czaszka... - przypomniałam. - Moja radiolożka zwróciła mi uwagę...

- Czy powiedziała, że jej zdaniem to może być problem natury medycznej?

- Nie, ale...

- Powiedziała, że to jest bardzo ostry obraz mózgu. - Adwokat uniósł wzrok i spojrzął na mnie. - Owszem, specjalistka obsługująca USG zwróciła pani uwagę na pewien niecodzienny

szczegół, który jednak wcale nie musiał być symptomem choroby. Można to było wyjaśnić działaniem aparatu, ustawieniem głowicy, mógł to też po prostu być bardzo dobry obraz USG.

- Ale nie był - wykrztusiłam przez łyżę i ściśnięte gardło. - To była wrodzona łamliwość kości, a ja tego nie rozpoznałam.

- Mówi pani o badaniu, które nie jest przeznaczone do wykrywania tej choroby, nie dostarcza ostatecznych wyników. Innymi słowy, gdyby pani pacjentkę prowadził w ciąży inny lekarz, stałoby się dokładnie to samo. To nie jest błąd w sztuce. Po prostu rodzice racjonalizują sobie to, co się stało. - Guy Booker zmarszczył brwi. - Czy zna pani lekarza, który rozpoznałby wrodzoną łamliwość kości na podstawie obrazu USG z osiemnastego tygodnia ciąży, gdzie widać odwapnione kości czaszki i krótką kość udową, nie widać natomiast wyraźnie żadnych złamań?

Wbiłam wzrok w stół. Mogłam się praktycznie w nim przejrzeć.

- Nie - przyznałam - ale inny lekarz wysłałby Charlotte na dalsze badania - dokładniejsze USG i biopsję kosmówki.

- Proponowała już pani pacjentce dalsze badania - przypomniał mi adwokat. - Po teście poczwórnym, który wykazał zwiększone ryzyko wystąpienia zespołu Downa.

Spojrzałam mu w oczy.

- Doradzała pani wtedy amniopunkcję, zgadza się? - ciągnął dalej. - I co odpowiedziała pacjentka?

Po raz pierwszy, odkąd otrzymałam tę niebieską „broszurkę”, poczułam, jak ciężar zalegający mi na piersi nagle maleje.

- Że chce urodzić Willow za wszelką cenę.

- Cóż, pani doktor - podsumował adwokat. - Na mój rozum tutaj nie może być mowy o przypadku niedobrego urodzenia.

## Charlotte

Zaczęłam kłamać nałogowo, na każdym kroku.

Na początku to były drobne, niewinne kłamstewka: przytaknięcie, kiedy pielęgniarka u dentysty pytała, czy dobrze się czuję, bo wywołała mnie już trzy razy, a ja jej nie słyszałam, albo wykret, że nie mam czasu na przeprowadzenie ankiety telefonicznej, gdy tymczasem siedziałam w kuchni, patrząc tępo w ścianę. A potem zaczęłam kłamać na całego. Przypaliłam pieczeń na obiad, bo kompletnie zapomniałam, że jest w piekarniku, ale Seanowi, który musiał piłować nożem tę podwęgloną podeszwę mówiłam, że takie mięso kupiłam w sklepie i było do niczego. Uśmiechałam się do sąsiadów, a na pytania, co słyhać, odpowiadałam, że u nas wszystko w porządku. A kiedy zadzwoniła twoja pani z przedszkola, prosząc, żebym przyjechała, bo zdarzył się „incydent”, udałam, że nie rozumiem, dlaczego pokłóciłaś się z kolegami.

Siedziałas razem z panią Watkins w pustej sali, na maleńkim krzeselku obok jej biurka. Przenosiny do publicznej placówki były zdecydowanie mniejszym cudem, niż się spodziewałam. Owszem, dostałaś osobistą opiekunkę na koszt administracji stanu New Hampshire, ale musiałam się zdrowo nawykłócić, żeby zaczęto szanować twoje prawa, zaczynając od samodzielnego korzystania z toalety, a kończąc na uczestniczeniu w zajęciach ruchowych, oczywiście wtedy, gdy zabawa nie była zbyt forsowna i nie groził ci żaden uraz. Miało to swoje zalety, bo mogłam myśleć o czymś innym niż proces, lecz nie brakowało też wad: nie pozwolili mi być przy tobie i pilnować, żeby nic ci się nie stało. Musiałam zostawić cię z dziećmi, które cię nie znały i nie wiedziały, co to jest *osteogenesis imperfecta*. Kiedy pierwszego dnia po zajęciach zapytałam, jak było, opowiedziałaś mi o Marcie, z którą bawiłaś się klockami matematycznymi i byłaś w tej samej drużynie na boisku. Bardzo się ucieszyłam, że masz nową koleżankę i zaproponowałam, żebyś ją do nas zaprosiła.

- Ona nie może, mam - odpowiedziałaś - bo musi zrobić obiad dla swojej rodziny.

Okazało się, że z całej klasy poznałaś tylko swoją opiekunkę.

Kiedy weszłam do sali i przywitałam się z panią Watkins, oczy ci błysnęły, jednak nic nie powiedziałaś.

- Cześć, Willow. - Usiadłam obok ciebie. - Podobno dzisiaj było coś nie tak?

- Powiesz mamie, co się stało, czy ja mam to zrobić? - zapytała pani Watkins.

Założyłaś ręce na piersi i potrząsnęłaś głową.

- Dwoje dzieci zaprosiło dziś Willow do zabawy - powiedziała przedszkolanka. - Mieli udawać...

- Świetnie! - ucieszyłam się. - Willow bardzo lubi udawanki. W kogo się bawiliście? - zapytałam, odwracając się do ciebie. - W zwierzęta? W szpital? W kosmonautów?

- W dom - poinformowała mnie pani Watkins. - Cassidy miała być mamą, Daniel tatą...

- A mi kazali być dzieckiem! - wybuchnęłaś. - Nie jestem dzieckiem!

- Willow jest bardzo czuła na punkcie swojego wzrostu - wyjaśniłam. - Mówimy na nią, że jest ergonomiczna.

- Mamo, oni mówili, że muszę być dzieckiem, bo jestem najmniejsza, a ja nie chciałam być dzieckiem, tylko tatą.

Tym wyznaniem zaskoczyłaś nas obie, mnie i wychowawczynię.

- Tatą? - powtórzyłam. - Dlaczego nie mamą?

- Bo mama zamyka się w łazience i odkręca wodę, żeby nikt słyszał, jak płacze.

Pani Watkins spojrzała na mnie.

- Pani O'Keefe - powiedziała - możemy porozmawiać na osobności?

Pierwsze pięć minut drogi do domu upłynęło nam w milczeniu.

- Kiedy Cassidy mija cię, żeby wziąć podwieczorek, to nie wolno jej podcinać - powiedziałam wreszcie, chociaż w głębi duszy musiałam przyznać, że przeprowadziłaś to szalenie pomysłowo. Zrobić komuś krzywdę, nie robiąc przy tym krzywdy sobie - to był jak na ciebie niezły wyczyn; zastosowałaś przy tym wytrawną, wręcz diaboliczną taktykę. - Bardzo źle by było, gdyby pani Watkins już po pierwszym tygodniu pomyślała, że z tobą są same kłopoty.

Nie przyznałam ci się, że kiedy wyszłyśmy na korytarz, a wychowawczyni zapytała, czy mamy w domu trudny okres, który odbija się na twoim zachowaniu w przedszkolu, okłamałam ją bez zastanowienia, nie mrugnawszy nawet okiem.

- Nie - powiedziałam po udawanym namyśle. - Nie mam pojęcia, skąd jej się to wzięło. Chociaż z drugiej strony, zawsze miała bujną wyobraźnię.

- No? - zagadnęłam teraz, czekając, kiedy przyznasz, że posunęłaś się o krok za daleko. - Masz mi coś do powiedzenia?

Spojrzałam w lusterko, ciekawa, jak zareagujesz. Skinęłaś głową, że owszem, masz coś do powiedzenia; w oczach lśniły ci łzy.

- Mamusiu, nie oddawaj mnie, proszę cię.

Gdybym nie stała na światłach, to chyba wjechałabym prosto w samochód przede mną. Twoje wątle ramionka dygotały, a z nosa ciekło.

- Ja się poprawię - obiecałaś. - Będę najlepsza na świecie.

- Willow, kochanie, przecież jesteś najlepsza. - Zapięta pasem bezpieczeństwa czułam się jak w potrzasku. Kiedy po długich dziesięciu sekundach światło wreszcie się zmieniło, zaparkowałam w pierwszej bocznej uliczce i wyłączywszy silnik, przycisnęłam się do tyłu, żeby wyjąć cię z fotelika. Podobnie jak twój niemowlęcy fotelik do samochodu, ten był specjalnie przystosowany: siedziałś w nim prosto, ale pasy miały ochraniacze z gąbki, bo nawet zwykłe hamowanie było dla ciebie groźne. Wypięłam cię delikatnie z tej upręży i wzięłam na ręce.

Nie rozmawialiśmy jeszcze o procesie. Tłumaczyłam sobie, że będzie lepiej, jeśli jak najdłużej pozostaniesz w błogiej nieświadomości; dlatego też nie powiedziałam o niczym pani Watkins. Ale nie można było już dłużej odkładać tej rozmowy, bo z każdym dniem rosło prawdopodobieństwo, że usłyszysz o wszystkim od jakiejś koleżanki - a do tego nie mogłam dopuścić.

Kogo ja właściwie chciałam chronić: ciebie czy siebie? A może to właśnie był ten moment, który będę kiedyś wspominać, koniec harmonii pomiędzy nami: „tak, siedziałyśmy sobie razem pod klonem na Appleton Lane; to wtedy moja córka zaczęła mnie nienawidzić”.

- Willow. - W gardle nagle zaschło mi tak, że nie mogłam przełknąć. - Jeśli ktoś tutaj jest zły, to tylko ja. Pamiętasz tych adwokatów, u których byliśmy po tym twoim wypadku w Disneylandzie?

- Ale tego pana czy tę panią?

- Tę panią. Ona nam teraz pomoże.

Zmrużyłaś oczy.

- W czym?

Zawahałam się nagle. Jak wytłumaczyć pięcioletniemu dziecku funkcjonowanie systemu prawnego?

- Wiesz, że wszędzie są jakieś zasady, prawda? - zapytałam. - W domu i w szkole też. Co się dzieje, kiedy ktoś złamie jakąś zasadę?

- Idzie się do kąta.

- Dla dorosłych też są zasady - powiedziałam. - Na przykład:

nie wolno nikomu robić krzywdy. Nie można zabierać tego, co nie twoje. A jeśli się

złamię te zasady, to wtedy trzeba ponieść karę. Adwokat pomaga, kiedy ktoś złamię jakąś zasadę i zrobi ci przy tym krzywdę. Pilnuje, żeby ten, kto postępuje źle, odpowiedział za to.

- Tak jak Amelia, kiedy ukradła mi brokatowy lakier do paznokci, a ty kazałaś jej go odkupić za własne pieniądze z pilnowania dzieci?

- Dokładnie tak - potwierdziłam.

W twoich oczach znowu błysnęły łzy.

- To ja też złamałam zasady w przedszkolu i teraz adwokat każe mi się wyprowadzić z domu.

- Nikt się nie wyprowadzi z domu - oznajmiłam twardo. - A już na pewno nie ty. Nie złamałaś żadnych zasad. To ktoś inny.

- Tatusz? - dopytywałaś się. - To dlatego nie chce, żebyś miała adwokata?

Zrobiłam wielkie oczy.

- Słyszałaś, jak o tym rozmawialiśmy?

- Bo nie rozmawialiście, tylko krzyczeliście.

- Nie, to nie tatuś. I nie Amelia. - Wzięłam głęboki oddech. - To Piper.

- Piper ukradła nam coś z domu?

- I tutaj właśnie sprawa się komplikuje - westchnęłam. - Piper niczego nie ukradła, nie zabrała nam, nie wiem, telewizora albo bransoletki. Po prostu powinna mi coś powiedzieć, a nie powiedziała. A to było coś bardzo ważnego.

Spuściłaś głowę.

- Chodzi o mnie, prawda?

- Tak - odpowiedziałam. - Ale to w żaden sposób nie zmienia tego, co do ciebie czuję. Jest tylko jedna Willow O'Keefe na tej planecie, a ja mam akurat to szczęście, że to właśnie moja córeczka. - Pocałowałam cię w czubek głowy, bo nie starczyło mi odwagi, żeby spojrzeć ci w oczy. - Ale jest jedna dziwna rzecz - ostrzegłam głosem ściśniętym wzbierającymi łzami jak grubą linią. - Żeby pani adwokat nam pomogła, muszę zagrać w udawanek. Muszę mówić różne rzeczy, chociaż naprawdę wcale tak nie myślę. Gdybyś kiedyś usłyszała, że mówię coś takiego i nie wiedziała, że tylko udaję, to byłoby ci przykro.

Teraz spojrzałam ci w oczy, sprawdzając, czy rozumiesz.

- To tak, jak na filmie, kiedy kogoś zastrzelą, ale to nie jest naprawdę? - zapytałaś.

- Właśnie - potwierdziłam, myśląc przy tym: To są ślepe naboje, więc dlaczego serce mi



krwawi? - Będziesz słyszeć różne rzeczy, może też o czymś przeczytasz, i pomyślisz sobie: „Moja mama nigdy by tak nie powiedziała”. I będziesz miała rację. Bo w sądzie, kiedy rozmawiam z tym prawnikiem, to udaję kogoś innego, chociaż wyglądam tak samo i mam taki sam głos. Może wszyscy inni się na to nabiorą, ciebie jednak nie chcę oszukać.

Spojrzałaś na mnie bystro.

- Możemy to poćwiczyć?

- Co takiego?

- Żebym wiedziała, czy udajesz, czy nie.

Odetchnęłam głęboko.

- Dobrze - zgodziłam się. - Miałaś święte prawo podciąć dziś Cassidy.

Skarciłaś mnie ostrym wzrokiem.

- Kłamiesz. To nieprawda. Szkoda, ale nieprawda.

- Bystre dziecko. Pani Watkins zrastają się brwi i powinna je sobie wyskubać.

Na twojej twarzy zatrzepotał uśmiech.

- To jest podstępne pytanie, ale znowu kłamiesz, bo nawet jeśli ona naprawdę wygląda, jakby miała gąsienicę między oczami, to coś takiego mogłaby powiedzieć Amelia, nie ty.

Parsknęłam śmiechem.

- Willow, no nie!

- To prawda!

- Przecież ja jeszcze w ogóle nic nie powiedziałam!

- Nie musisz mówić „Kocham cię”, żeby powiedzieć, że kochasz. - Wzruszyłaś ramionami. - Wystarczy, że zawołasz mnie po imieniu i ja to wiem.

- Jak to?

Kiedy spojrzałam na ciebie, uderzyło mnie nagle, jak bardzo mnie przypominasz - kształtem oczu, blaskiem uśmiechu.

- Powiedz: Cassidy - poleciłaś mi.

- Cassidy.

- Powiedz: Ursula.

- Ursula - powtórzyłam jak papuga.

- A teraz... - Wskazałaś palcem siebie.

- Willow.

- Nie słyszysz tego? - zapytałaś. - Kiedy kogoś kochasz, to wymawiasz jego imię zupełnie inaczej. Słysząc, że w twoich ustach jest bezpieczne.

- Willow - powtórzyłam, smakując miękkie spółgłoski i rozkołysane samogłoski. A może miałaś rację? Czy to jedno słowo mogło zagłuszyć resztę paskudnych rzeczy, które musiałam powiedzieć? - Willow, Willow, Willow - zanuciłam jak kołysankę, podsuwając ci twoje własne imię niczym poduszkę do miękkiego lądowania, jakbym mimo wszystko była w mocy osłonić cię przed ciosami, które niosła przyszłość.

## **Marin**

*Październik 2007 r.*

Nie macie zielonego pojęcia, jak czasochłonny jest proces z powództwa cywilnego i ile drzew musi paść pod piłą drwali, zanim się wszystko załatwi. Brałam kiedyś udział w postępowaniu przeciwko księdzu oskarżonemu o napaść na tle seksualnym; jednym z powołanych świadków był psychiatra, który składał zeznania przez bite trzy dni. Pierwsze pytanie od eksperta brzmiało: Co to jest psychologia? Drugie: Co to jest socjologia? Trzecie: Kim był Freud? Biegły brał trzysta pięćdziesiąt dolców za godzinę i absolutnie mu się nie spieszyło. Zaprotokołowanie wszystkich zeznań świadka przyplaciliśmy utratą trójki stenografów, których kolejno eliminował z gry atak choroby zwanej zespołem cieśni nadgarstka.

Osiem miesięcy po pierwszym spotkaniu z Charlotte O'Keefe i jej mężem wciąż jeszcze byliśmy na etapie rozpoznania. Zasadniczo wyglądało to tak, że życie naszych klientów toczyło się normalnym torem, a ja od czasu do czasu dzwoniłam do nich z prośbą o jakiś dokument albo informację. Sean awansował na porucznika, Willow zaczęła chodzić do przedszkola na cały dzień, a Charlotte przesiadywała tych siedem godzin w domu, czekając na telefon o kolejnym wypadku, kolejnym złamaniu.

Przygotowania do przesłuchań świadków to między innymi tak zwany wywiad, czyli wypełnienie kwestionariusza, pomagającego prawnikowi określić słabe i mocne punkty sprawy oraz ustalić, czy zalecana jest ugoda za porozumieniem stron. „Ujawnienie” to trafny termin: należy ocenić, czy sprawa jest z góry przegrana, i zlokalizować czarne dziury, żeby nie dać się wciągnąć.

Tego ranka na moje biurko trafił kwestionariusz wypełniony przez Piper Reece, która, jak dowiedziałam się pocztą pantoflową, poszła na urlop; jej dawny mentor wrócił z emerytury, żeby zastąpić ją w pracy.

Cały nasz pozew opierał się na założeniu, że doktor Reece nie poinformowała Charlotte od razu o chorobie jej oczekiwanego dziecka, czyli nie przekazała pacjentce wiadomości, mogących ją skłonić do przerwania ciąży. A ja w głębi duszy zastanawiałam się, czy to naprawdę było przeoczenie czy może celowy, choć podświadomy błąd. Może są tacy położnicy, którzy zamiast zalecać aborcję, proponują adopcję? Może właśnie do kogoś takiego trafiła moja matka?

Dostałam wreszcie list od Maisie Donovan z archiwum sądowego hrabstwa Hillsborough,

a w nim - mój komplet anonimowych informacji. „Szanowna Pani Gates”, zaczynał się ten list.

Poniższe informacje pochodzą z akt sądowych Pani sprawy adopcyjnej. Opis sprawy wskazuje na następujący jej przebieg: położnik opiekujący się Pani biologiczną matką zwrócił się na jej prośbę do swojego adwokata o poradę w kwestii adopcji. Adwokat znał państwa Gatesów, którzy złożyli wniosek o przysposobienie dziecka, i spotkał się z Pani biologicznymi rodzicami, aby ustalić szczegóły przekazania Pani do adopcji.

Urodziła się Pani w szpitalu w Nashua dnia 3 stycznia 1973 r. o godz. 17.34. Państwo Arthur i Yvonne Gates odebrali Panią po wypisaniu 5 stycznia 1973 r. Przysposobienie nabrało mocy prawnej dnia 28 lipca 1973 r. Orzeczenie wydał sąd hrabstwa Hillsborough.

Zgodnie z oryginalną metryką urodzenia biologiczna matka w chwili Pani narodzin miała siedemnaście lat. Mieszkała w hrabstwie Hillsborough. Rasa: biała, zawód: uczennica. Danych biologicznego ojca brak w metryce. Miejsce zamieszkania matki w trakcie trwania postępowania adopcyjnego: Epping w st. New Hampshire. Wniosek o oddanie do adopcji informuje, że jest Pani wyznania rzymskokatolickiego. Zgodę na adopcję podpisały Pani biologiczna matka oraz babka ze strony matki.

Gdybym mogła jeszcze coś dla Pani zrobić, proszę o kontakt.

Z poważaniem,

Maisie Donovan

Było dla mnie zrozumiałe, że anonimowe informacje nie mogą być konkretne - ale zamiast tego wolałabym się dowiedzieć tylu innych rzeczy. Czy moi rodzice rozstali się, gdy mama zaszła w ciążę? Czy bała się, leżąc sama w szpitalu? Czy przytuliła mnie choć raz? A może po prostu oddała pielęgniarce?

Ciekawe było też to, czy moi adopcyjni rodzice wiedzieli, że urodziłam się katoliczką - bo wychowali mnie zdecydowanie w duchu protestantyzmu.

Czy Piper Reece mogła sobie myśleć tak: jeśli Charlotte nie będzie chciała wychowywać takiego dziecka jak Willow, to zawsze znajdzie się ktoś inny, kto przyjmie je z radością?

Otrząsnęłam się z tych deliberacji i sięgnąwszy po formularz wypełniony przez doktor Reece, zaczęłam go przeglądać, chcąc poznać jej wersję wydarzeń. Przygotowując dla niej pytania, zaczęłam od ogólnych, pod koniec wywiadu przechodząc do szczegółowych kwestii medycznych. Na początek - zupełny banał: „Kiedy poznała pani Charlotte O'Keefe?”

Zerknęłam na odpowiedź i zrobiłam wielkie oczy, święcie przekonana, że nie rozumiem,

co tam jest napisane. Chwyciłam telefon.

- Halo? - odebrała Charlotte. Oddychała ciężko, była zdyszana.

- Mówi Marin Gates. Musimy porozmawiać o wywiadach.

- Właśnie! Bardzo dobrze, że dzwonisz. Ktoś musiał się pomylić, bo dostaliśmy kwestionariusz dla Amelii.

- To nie pomyłka - powiedziałam. - Amelia jest na liście naszych świadków.

- Proszę? Nie, to wykluczone. Amelia nie będzie zeznawać przed sądem - oznajmiła Charlotte.

- Ona może przedstawić, jak wygląda życie w waszej rodzinie i jak choroba Willow wpłynęła na jej sytuację. Może opisać wycieczkę do Disneylandu i swoje traumatyczne przeżycia, gdy zabrano ją rodzicom i umieszczono w domu zastępczym...

- Nie chcę, żeby musiała do tego wracać...

- Zanim zacznie się proces, będzie już o rok starsza - przypomniałam. - I wcale nie jest powiedziane, że musi zeznawać. Wciągnęliśmy ją na listę na wszelki wypadek, dla potrzeb protokołu.

- Więc może w ogóle jej o tym nie powiem - zastanowiła się półgłosem Charlotte, przypominając mi, po co właściwie do niej zadzwoniłam.

- Musimy porozmawiać o wywiadzie, który dostałam od Piper Reece - zaczęłam. - W odpowiedzi na pytanie, kiedy się poznałyście, napisała, że przez osiem lat byłyście najlepszymi przyjaciółkami.

W słuchawce zapadła nagle cisza.

- Najlepszymi przyjaciółkami? - powtórzyłam.

- No cóż - odparła Charlotte - to prawda.

- Pracuję jako twój adwokat od ośmiu miesięcy - powiedziałam. - Spotkałyśmy się kilka razy osobiście, mamy za sobą kilkanaście rozmów telefonicznych, a tobie nigdy nie przyszło do głowy, żeby wspomnieć mi choć jednym słowem o takim szczególe?

- To chyba nie jest istotne dla sprawy?

- Oszukałaś mnie, Charlotte! - ucięłam. - A tak się składa, że to bardzo istotne dla sprawy!

- Nie pytałaś, czy przyjaźnię się z Piper - sprzeciwiła się. - To nie było kłamstwo.

- Tylko zatajenie prawdy. - Wzięłam do ręki kwestionariusz.

- „Przez wszystkie te lata byłyśmy przyjaciółkami” - odczytałam - „a Charlotte ani razu

nie dała mi do zrozumienia, że miała zastrzeżenia co do sposobu prowadzenia ciąży. Nie dalej jak tydzień przed dostarczeniem pozwu - w mojej ocenie bezpodstawnego - byliśmy razem na zakupach z naszymi córkami. Można sobie łatwo wyobrazić, jak mną to wstrząsnęło”. - Odłożyłam kwestionariusz. - Pozwałeś ją do sądu, a tydzień wcześniej byliście razem na zakupach? Masz pojęcie, że kiedy przysięgli się o tym dowiedzą, uznają cię za bezwzględną hienę?

- Co jeszcze napisała? Wszystko u niej w porządku?

- Nie przyjmuje pacjentek. Od dwóch miesięcy nie była w pracy.

- Aha - szepnęła Charlotte.

- Posłuchaj. Ja jestem adwokatem. Zdaję sobie sprawę, że moja praca polega na rujnowaniu ludziom życia. Ale widzę, że nie byłaś tylko pacjentką doktor Reece. Łączy cię z nią osobista relacja. W takiej sytuacji nie możesz liczyć na przychylność ławników.

- Kiedy powiem, że nie chciałam urodzić Willow, to też mnie nie polubią - odparła.

Cóż, temu nie mogłam zaprzeczyć.

- Możliwe, że wygrasz proces i dostaniesz, co chcesz, ale będzie cię to bardzo wiele kosztować.

- Chcesz powiedzieć: wszyscy pomyślą, że jestem wyrachowaną suką - uściśliła Charlotte. - Że okantowałam najlepszą przyjaciółkę i wykorzystałam chore dziecko, żeby się nachapać. Nie jestem głupia, Marin. Wiem, co będą mówić.

- Przeszkadza ci to?

Chwila wahania.

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Nie przeszkadza.

Przyznała mi się już, że miała kłopoty z przekonaniem męża do złożenia wniosku; teraz dowiedziałam się, że łączyła ją osobista znajomość z pozwaną. Człowieka można tak samo wykończyć informacją jak i zatajeniem - kto chce się o tym przekonać, niech zajrzy do mojego listu z sądu, do tych głupich anonimowych informacji.

- Charlotte - oznajmiłam - koniec sekretów.

Celem zeznania przed procesem jest sprawdzenie, jak świadek zachowa się na linii frontu, czyli na sali sądowej. Przesłuchanie prowadzi adwokat strony przeciwnej, który usiłuje podważyć wiarygodność potencjalnego świadka na podstawie oświadczeń przedstawionych w wywiadzie. Świadek powinien być szczery - i niewzruszony; wtedy wasze racje prezentują się w lepszych

barwach.

Na ten dzień wyznaczono przesłuchanie świadka Seana O'Keefe. Bałam się tego jak ognia.

Sean był wysoki, silny, przystojny - i kompletnie nieprzewidywalny. Widziałam się z Charlotte kilka razy, żeby przygotować ją do przesłuchania, a on tymczasem pojawił się tylko na jednym takim spotkaniu.

- Poruczniku - zapytałam - czy jest pan przekonany do tego procesu?

O'Keefe zerknął na żonę; nie padło ani jedno słowo, ale między nimi odbyła się cała rozmowa.

- Chyba tu jestem, tak czy nie? - odpowiedział.

W mojej ocenie ten potężnie zbudowany policjant prędzej dałby się poćwiartować niż zaciągnąć na krzesło dla świadka; był to w sumie poważny problem, bo gdyby ojciec Willow dał plamę podczas zeznania, pogrzebałby tym samym moje oskarżenie. Abyśmy mieli szansę na wygraną, prawnicy z firmy ubezpieczającej lekarzy musieli uwierzyć, że w kwestii niedobrego urodzenia oboje rodzice są jednomyślni.

Jechaliśmy razem windą: Charlotte, Sean i ja. Specjalnie umówiłam to przesłuchanie w godzinach zajęć przedszkolnych, żeby nie musieli załatwiać opieki dla ciebie.

- W żadnym wypadku - poinstruowałam Seana jak trener zawodnika w szatni przed meczem - nie wolno sobie pozwolić na luz. Będą tam pana maglować bez litości. Łapać za słowa, przekręcać sens.

O'Keefe wyszczerzył zęby.

- Proszę bardzo, tylko na to czekam.

- Brudny Harry nie zrobi na nich wrażenia. - Zaczęłam panikować. - Widzieli już takich. Tak pokierują rozmową, że własna brawura zapędzi pana w kozi róg. Proszę tylko zachować spokój i zanim cokolwiek pan powie, policzyć do dziesięciu. Aha, i jeszcze...

Nie dokończyłam, bo drzwi windy nagle się otworzyły. Znaleźliśmy się w luksusowo urządzonej kancelarii prawniczej, gdzie czekała już na nas asystentka w dopasowanym niebieskim kostiumie.

- Pani Marin Gates?

- Tak - odpowiedziałam.

- Pan Booker czeka na państwa. - Zaprowadziła nas do sali konferencyjnej, gdzie w

olbrzymich oknach, sięgających od podłogi do sufitu, przeglądała się złota kopuła siedziby zgromadzenia stanowego. W kąciku siedziała sobie stenografka. Guy Booker dyskutował z kimś, pochylając srebrzystosiwą głowę ku rozmówcy. Kiedy weszliśmy, wstał, odsłaniając swojego klienta.

Nie spodziewałam się, że Piper Reece to aż tak urodziwa kobieta. Szczupła, blond włosy, pod oczami - ciemne obwódki. Nie uśmiechnęła się; patrzyła na Charlotte takim wzrokiem, jakby właśnie w tej chwili ktoś przeszył ją mieczem.

Tymczasem Charlotte robiła wszystko, żeby tylko nie patrzeć w jej stronę.

- Jak mogłaś? - wycodziła Piper. - Jak mogłaś mi to zrobić?

Sean zmrużył oczy.

- Lepiej nie zaczynaj, Piper...

Stałam pomiędzy nimi.

- Zrobmy, co mamy zrobić i miejmy to już za sobą, dobrze?

- Będziesz tak milczeć? - pytała dalej Piper, kiedy Charlotte siadała przy stole. - Nawet nie starczy ci przyzwoitości, żeby spojrzeć mi w oczy i powiedzieć wprost, co masz mi do zarzucenia?

- Piper. - Guy Booker położył jej dłoń na ramieniu.

- Jeśli pańska klientka przyszła tu po to, żeby obrażać moich klientów - oznajmiłam - to szybko się pożegnamy.

- Obrażać? - powtórzył Sean pod nosem. - Ja ją zaraz obrażę...

Złapałam go za rękę i posadziłam na fotelu.

- Zamknij się - syknęłam.

Po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni w życiu coś mnie łączyło z Guyem Bookerem: tak samo jak on nie miałam specjalnej ochoty brać udziału w tym przesłuchaniu.

- Jestem pewien, że moja klientka zapanuje nad sobą - powiedział, odwracając się do Piper i wymawiając ostatnie słowa ze szczególnym naciskiem. - Claudio - zapytał stenografkę - jesteś gotowa?

Spojrzałam na Seana, szepcząc bezgłośnie: „Spokój”, a on skinął głową i pokręcił nią w prawo, a potem w lewo jak zawodowy bokser szykujący się do wejścia na ring.

Słyszalny trzask, który się przy tym rozległ, przypomniał mi o twojej chorobie, o pękających kościach.



Guy Booker otworzył teczkę obitą miękką skórą w kolorze maślanym, która najprawdopodobniej przyjechała z Włoch. Booker, Hood i Coates wygrali mnóstwo spraw, a swoje powodzenie zawdzięczali przynajmniej częściowo temu, że budzili postrach samym wyglądem. Na pierwszy rzut oka widziało się w nich urodzonych zwycięzców - luksusowe kancelarie, garnitury od Armaniego, pióra Watermana. Pewnie nawet notatniki mieli ręcznie robione, a każdą kartkę opatrzoną znakiem wodnym z pieczęcią spółki. Trudno się dziwić, że co drugi przeciwnik na sam ich widok rzucał ręcznik.

- Poruczniku O'Keefe - zaczął Booker. Kiedy mówił, słowa płynęły gładko, bez najmniejszych tarć. Jestem twoim kumplem, podpowiadał ten głos. - Wierzy pan w sprawiedliwość, prawda?

- Dlatego zostałem policjantem - odpowiedział Sean dumnie.

- Uważa pan, że pozwy sądowe są narzędziem sprawiedliwości?

- Jasne - odparł. - Tak to się robi w tym kraju.

- Czy określenie „pieniacz” pasuje do pana?

- Nie.

- W takim razie domyślam się, że miał pan ważny powód, żeby w dwa tysiące trzecim roku zaskarżyć firmę Ford Motor Company.

Zdębiałam.

- Zaskarżyłeś Forda? - Spojrzałam na Seana, który skrzywił się niechętnie.

- A co to ma wspólnego z moją córką?

- Otrzymał pan odszkodowanie, prawda? Dwadzieścia tysięcy dolarów? - Booker zerknął do swojej włoskiej teczki. - Może pan wyjaśnić, co było powodem złożenia skargi?

- Wypadł mi dysk od jeżdżenia cały dzień radiowozem. Te siedzenia chyba robią dla manekinów na testach, a nie dla ludzi, którzy muszą pracować na takim sprzęcie.

Zacisnęłam powieki. Miło by było, pomyślałam, gdyby mąż mojej klientki też postarał się być ze mną szczery.

- Porozmawiajmy o Willow - powiedział Guy. - Ile godzin dziennie pan z nią spędza?

- Około dwunastu.

- A ile godzin z tych dwunastu przypada na sen?

- Nie wiem, może osiem, jeśli akurat śpi dobrze.

- A jeżeli nie, to ile razy w ciągu nocy musi pan do niej wstawać?

- To zależy - odparł Sean. - Raz, dwa razy.

- Czyli wyjąwszy czas na sen i usypianie, spędza pan w jej towarzystwie około czterech do pięciu godzin dziennie?

- Można tak powiedzieć.

- Co pan z nią robi?

- Gramy w gry na Nintendo. W Super Mario zawsze z nią przegrywam. Gramy też w karty... - Sean zaczerwienił się lekko. - Ma talent do pokera.

- Jaki jest jej ulubiony program w telewizji?

- W tym tygodniu „Lizzie McGuire”.

- Ulubiony kolor?

- Fuksja.

- Jakiej muzyki słucha?

- Hanny Montany i Jonas Brothers.

Przypomniałam sobie, jak oglądałyśmy z mamą Billa Cosby'ego w telewizji. Robiło się michę popcornu w mikrofali i zajadało przez cały program. Kiedy Keshia Knight Pulliam dorosła i musiała odejść z serialu, a na jej miejsce przyszła Raven-Symone, to już nie było to samo. Gdyby wychowywała mnie biologiczna matka, to czy miałabym inne dzieciństwo? Co byśmy razem oglądały? Mydlane opery, dokumenty na PBS, a może „Dynastię”?

- Podobno Willow uczęszcza teraz do przedszkola.

- Tak, zaczęła dwa miesiące temu - potwierdził Sean.

- Dobrze jej tam?

- Czasami ciężko, ale mówi, że jest fajnie.

- Nikt nie zaprzeczy, że Willow jest fizycznie niepełnosprawna - powiedział Guy - ale kalectwo nie przeszkadza jej w nauce, prawda?

- Nie.

- Nie wyklucza jej też z życia rodziny i nie uniemożliwia dzielenia z nią różnych radości?

- W żadnym wypadku.

- I uważa pan zapewne, że jest pan dobrym ojcem, który zapewnia jej dobre, rozwijające życie?

O nie, pomyślałam.

Sean wyprostował się dumnie.

- A żeby pan wiedział.

- W takim razie dlaczego - Booker zadał wreszcie decydujący cios - twierdzi pan, że lepiej by było, gdyby Willow się nie urodziła?

Te słowa ugodziły Seana jak kula z pistoletu: pochylił się i oparł dłonie na blacie stołu.

- Co mi pan tu wmawia? Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

- Otóż powiedział pan. - Guy wyjął z teczki kopię skargi i podsunął mu pod nos. - Czarno na białym.

- Nie. - Sean zacisnął zęby.

- Pański podpis na tym dokumencie, poruczniku, potwierdza, że jest on zgodny z prawdą.

- Słuchaj pan, kocham moją córkę, jasne?

- Kocha ją pan - powtórzył Booker. - Tak bardzo ją pan kocha, że życzył jej pan śmierci.

Sean zgarnął skargę ze stołu i zmiął ją w dłoni.

- Wycofuj się - warknął. - Nie chcę tego i nigdy nie chciałem.

- Sean... - Charlotte wstała i chwyciła go za ramię, a on na nią naskoczył:

- Jak możesz mówić, że w ten sposób nie skrzywdzimy Willow? - wykrztusił rwącym się głosem.

- Ona wie, że to tylko słowa, które nic nie znaczą. Wie, że ją kochamy i właśnie dlatego chcemy to zrobić.

- Wiesz co, Charlotte? - odparł Sean. - To, co teraz powiedziałaś, to też są tylko słowa.

I wyszedł wielkimi krokami.

Charlotte patrzyła za nim, a potem odwróciła się w moją stronę.

- M-muszę iść - wyjąkała.

Wstałam, nie wiedząc, czy mam wyjść razem z nią czy zostać i pogadać z Guyem Bookerem, aby spróbować naprawić, co się da. Piper Reece, czerwona na twarzy, siedziała z opuszczoną głową. Płaskie obcasy Charlotte huczały na korytarzu jak echo wystrzałów.

- Marin - powiedział Guy, rozsiadając się wygodnie na fotelu - nie możesz się łudzić, że ten pozew ma solidne podstawy.

Poczułam, jak kropla potu spływa mi pomiędzy łopatkami.

- Powiem ci, co wiem. - Włożyłam w to więcej przekonania, niż naprawdę czułam. - Przed chwilą widziałeś na własne oczy, jak ta choroba rozbija ich rodzinę. I to samo zobaczą przysięgli.

Pozbierałam swoje notatki i wyszłam z głową uniesioną wysoko, jakbym naprawdę wierzyła w to, co powiedziałam. Dopiero gdy zamknęły się za mną drzwi windy, zacisnęłam powieki, w duchu przyznając rację Guyowi Bookerowi.

I tym momencie odezwała się moja komórka.

- Cholera jasna - mruknęłam, przecierając oczy i sięgając do teczki po telefon. Nie chciało mi się odbierać: pewnie dzwoniła Charlotte z przeprosinami za to, że z jej winy poniosłam właśnie największą porażkę w swojej karierze, albo Robert Ramirez z wypowiedzeniem- bo złe wieści szybko się rozchodzą. Ale na wyświetlaczu nie pokazał się żaden numer; ktoś dzwonił do mnie prywatnie. Przełknęłam ślinę.

- Halo?

- Pani Marin Gates?

- Przy telefonie.

Drzwi windy otworzyły się szeroko. Po przeciwnej stronie holu dostrzegłam Charlotte; prosiła o coś Seana, ale on tylko kręcił przecząco głową.

Na chwilę wyleciało mi z głowy, że rozmawiam właśnie przez telefon.

- Mówi Maisie Donovan - przedstawił się piskliwy głos. - Jestem urzędniczką w...

- Pamiętam - rzuciłam szybko.

- Pani Gates - usłyszałam w odpowiedzi. - Mam aktualny adres pani biologicznej matki.

## Amelia

Trochę musiałam poczekać, aż bomba wybuchła. Cały ten głupi proces miał jeden plus: rodzice złożyli skargę na samym początku roku szkolnego, kiedy wszystkich interesowało tylko, kto z kim chodzi, a jakaś nie wiadomo jaka rozprawa w sądzie nie obchodziła nikogo. I tak nowina, która w normalnych warunkach rozeszłaby się lotem błyskawicy, jakoś uszła uwagi ogółu. Minął już drugi miesiąc szkoły, wkuwania słówek, apeli z nudnymi pogadankami wygłaszanymi przez nudnych ludzi, testów kompetencyjnych, a ja każdego dnia po ostatnim dzwonku nie mogłam się nadziwić, że znów uzyskałam odroczenie wyroku.

Nie muszę chyba mówić, że znajomość z Emmą się urwała. Pierwszego dnia szkoły zatrzymałam ją, gdy szła na salę gimnastyczną, w takim miejscu, że nie mogła się wymknąć.

- Nie rozumiem, co oni wyprawiają, ci moi rodzice - powiedziałam. - Zawsze uważałam, że to kosmici i w końcu się potwierdziło.

Normalnie to by ją rozbawiło, ale teraz potrząsnęła tylko głową.

- Świetny dowcip, Amelia. - Skrzywiła się kwaśno. - Zgłoś się, kiedy ktoś, komu ufasz, wystawi cię do wiatru, to też ci opowiem coś do śmiechu.

Od tej pory wstydziłam się do niej odezwać. Nawet gdybym przysięgła, że jestem po jej stronie i uważam, że moi rodzice tylko się ośmieszają, skarżąc jej mamę - to dlaczego miałyby mi uwierzyć? Ja na jej miejscu pomyślałabym: o, chce mnie wybadać, muszę uważać na każde słowo, bo wszystko, co powiem, może się obrócić przeciwko mnie. Emma nie zdradziła nikomu, dlaczego przestałyśmy się kumplować - ostatecznie dla niej to był taki sam wstyd jak dla mnie - więc pewnie po prostu mówiła, że się pokłóciłyśmy. A kiedy zaczęłam się trzymać z dala od niej, co się okazało? Że ludzie, których uważałam za swoich przyjaciół, w rzeczywistości przyjaźnili się z Emmą, a mnie tylko łaskawie tolerowali. Nie powiem, żeby to było jakieś zaskakujące odkrycie, zrobiło mi się jednak przykro, kiedy na stołówce podeszłam do stolika, gdzie wszyscy siedzieli, i nikt się nie posunął, żeby dać mi miejsce. Albo kiedy wyjęłam z szafki kanapkę z dżemem i masłem orzechowym, jak zwykle zmiażdżoną książką do matmy, tak że dżem przesiąkł przez papier, rozlewając się jak plama krwi na ubraniu zamordowanego człowieka - a Emma nie powiedziała: Weź sobie pół mojej, mam dzisiaj z tuńczykiem.

Po kilku tygodniach prawie udało mi się przyzwyczaić do tego, że nikt mnie nie zauważa. Wyrobiłam się w tym nawet. Na lekcji potrafiłam siedzieć bez najmniejszego ruchu, aż czasami

muchy siadały mi prosto na dłoni; w szkolnym autobusie zaszywałam się na samym tyle i raz kierowca zawrócił do szkoły, nie zatrzymując się nawet na moim przystanku. Ale któregoś dnia weszłam rano do auli i z miejsca wiedziałam, że coś się zmieniło. Mama Janet Effingham była sekretarką w kancelarii prawniczej i odpowiedziała wszystkim, jak to moi rodzice pożarli się jedno z drugim na przesłuchaniu przedprocesowym. I tak cała szkoła się dowiedziała, że moja matka podała do sądu matkę Emmy.

Mogłoby się wydawać, że to nas z powrotem zbliży do siebie, że wskoczmy razem do jednej małej, żalostnej szalupy ratunkowej, ale zapomniałam, że najlepszą obroną jest skuteczny atak. To było na matmie, najtrudniejszej dla mnie ze wszystkich lekcji, bo siedziałam zaraz za Emmą. Kiedyś przesyłałyśmy sobie kartki: „Czy pan Funke nie zrobił się przystojniejszy po złożeniu papierów rozwodowych?”. „Czy Veronica Thomas poprawiła sobie piersi w długi weekend na Dzień Kolumba?”. A teraz na tej właśnie lekcji Emma postanowiła ujawnić prawdę - i zgarnąć dla siebie zbiorowe współczucie całej szkoły.

Pan Funke położył przezrocze na rzutniku.

- A więc jeśli Marvin Milioner ma oddać dwadzieścia procent swoich dochodów, a w tym roku zarobił sześć milionów dolarów, to ile wyniosą alimenty, które ma zapłacić Wandzie Wydrwigrosz?

I wtedy nagle odezwała się Emma:

- To trzeba zapytać Amelię. Ona najlepiej wie, jak się naciąga ludzi na forszę.

Pan Funke jakoś puścił to mimo uszu, chociaż cała sala zaczęła się chichrać. Rumieniec uderzył mi na policzki.

- Może by to coś pomogło, jakby twoja pieprzona matka знаła się na swojej głupiej robocie - odszczeknęłam.

- Amelia - wtrącił się pan Funke ostrym tonem. - Pójdiesz do pani Greenhaus.

Wstałam i chwyciłam swój plecak - a w tym momencie z przedniej kieszeni, w której trzymałam ołówki i pieniądze na lunch, posypał się prosto na podłogę deszcz drobniaków: centów, ćwiartek, dziesięciocentówek. Już chciałam uklęknąć i je pozbierać, ale w porę mnie olśniło, że to będzie jeszcze lepszy kabaret - córka naciągaczki goni za każdym grosikiem! - więc zostawiłam wszystko tam, gdzie leżało, i uciekłam z klasy.

Nie miałam najmniejszego zamiaru iść do dyrektorki. Na korytarzu zamiast w lewo, skręciłam w prawo, do sali gimnastycznej. W ciągu dnia wuefisci otwierali duże drzwi

wyjściowe, żeby leciało świeże powietrze. Tylko przez chwilę się bałam, że jakiś nauczyciel zobaczy, jak wychodzę ze szkoły; potem przypomniałam sobie, że przecież i tak nikt mnie nigdy nie widzi. Nie byłam na tyle ważna, żeby dać się zauważyć.

Na zewnątrz zarzuciłam plecak na ramiona i puściłam się biegiem przed siebie. Za boiskiem do nogi rosły drzewa, bo w okolicy było sporo zieleni. Zwolniłam dopiero na głównej ulicy, przecinającej całe miasto.

Ostatnim budynkiem, który mijają się, wyjeżdżając z Bankton - niech ci się nie wydaje, że o tym nie myślałam - była drogeria. Poszwendalam się trochę między półkami. Wzięłam sobie snickersa i schowałam go do kieszeni. A potem zobaczyłam coś jeszcze lepszego.

Podstawowy minus tego, że w szkole nikt mnie nie zauważał, był taki, że po powrocie do domu widziałam się bardzo wyraźnie. I nie mogłam od tego uciec, choćbym biegła do utraty tchu.

Moi rodzice chyba nie za bardzo życzyli sobie mieć takie dzieci, jakie mieli. Pomyślałam więc, że mogę zafundować im coś z zupełnie innej beczki.

## Charlotte

- Czytałam dzisiaj w Internecie - rzuciłam kolejny argument - że dziewczynka z typem III połamała sobie kości nadgarstka, podnosząc dwulitrową butelkę mleka. Dwa litry, Sean. Jak możesz mówić, że Willow nie będzie potrzebowała specjalnej opieki albo nawet stałej, wykwalifikowanej opiekunki? A skąd weźmie na to pieniądze?

- Więc będzie kupować mleko w litrowych butelkach - odparł Sean. - Na samym początku postanowiliśmy, że nie pozwolimy jej patrzeć na siebie przez pryzmat choroby. A co ty teraz robisz? Zmuszasz ją do tego.

- Cel uświęca środki.

Sean skręcił, zatrzymał samochód pod naszym domem.

- Jasne. Powiedz to Hitlerowi.

Wyłączył silnik. Usłyszeliśmy, jak pochrapujesz cichutko na tylnym siedzeniu; nie wiem, co robiłaś tego dnia w przedszkolu, ale wykończyło cię to kompletnie.

- Nie poznaję cię - powiedział zniżonym głosem Sean. - Nie rozumiem, po co ci to wszystko potrzebne.

Po przesłuchaniu u adwokata Piper - chociaż czy można mówić, że po, skoro właściwie nie było żadnego przesłuchania - gdy wyszliśmy z kancelarii, próbowałam go uspokoić, ale w ogóle nie chciał mnie słuchać.

- Mówisz, że nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłbyś dla Willow - przekonywałam - ale jeśli nie stać cię na takie poświęcenie, to znaczy, że okłamujesz sam siebie.

- Ja się okłamuję? - powtórzył. - Ja kłamię? To ty kłamiesz. A przynajmniej twierdzisz, że kłamiesz i że Willow o tym wie, a kiedy usłyszysz, jak mama wygaduje w sądzie straszne rzeczy, to zrozumie, że to wcale nie jest na poważnie. I Bóg mi świadkiem, mam nadzieję, że to wszystko są kłamstwa, bo może mnie też oszukałaś pięć lat temu, kiedy mówiłaś, że chcesz koniecznie urodzić to dziecko.

Wysiedliśmy z samochodu; zamknęłam drzwi nieco mocniej niż trzeba.

- Łatwo ci unosić się honorem, kiedy myślisz tylko o tym, co było. A pomyślałeś o tym, co będzie? Na przykład za dziesięć lat? Uważasz, że gdy Willow dostanie nowoczesny wózek, będzie latem jeździć na młodzieżowe obozy adaptacyjne, kiedy zbudujemy jej basen, żeby mogła ćwiczyć mięśnie i rozwijać masę kostną, kupimy przystosowany samochód, żeby jeździła



normalnie, jak wszystkie nastolatki, a jak będzie potrzebny nowy aparat ortopedyczny, to nie będziemy musieli oglądać się na firmę ubezpieczeniową - uważasz, że ona będzie nam wtedy pamiętać to, co mówiliśmy w sądzie, kiedy była jeszcze mała?

Sean wbił we mnie ciężki wzrok.

- Tak. Tak właśnie uważam.

Cofnęłam się, odstępując od niego.

- Za bardzo ją kocham, żeby zmarnować taką okazję.

- W takim razie - odparł - bardzo się różnimy w sposobie okazywania miłości.

Otworzył drzwi i rozpiął twoje pasy. Miałaś zaczerwienioną buzię; powoli budziłaś się ze snu.

- Wycofuję się, Charlotte - powiedział Sean po prostu, biorąc cię na rękę i niosąc do domu. - Zrobisz to, co uważasz za konieczne, ale nie ciągnij mnie na dno ze sobą.

Pomyślałam sobie wtedy, nie po raz pierwszy zresztą, że w każdej innej sytuacji taka kłótnia skończyłaby się rozmową z Piper. Zadzwoiłabym do niej od razu wygadać się, przedstawiając,

oczywiście, własną wersję wydarzeń. I poczułabym się lepiej, wiedząc, że mnie słucha.

A potem zrobiłabym to, czego nauczyłam się od ciebie: cierpliwie poczekałabym, aż czas wyleczy ranę, która rozdzieliła mnie i twojego ojca, rwącą bólem przy każdym ruchu, jak złamana kość.

- Co jest, do diabła? - sapnął Sean, a ja uniosłam głowę.

W drzwiach domu stała Amelia.

W ręce miała jabłko, a jej włosy płonęły nienaturalnym, jaskrawym błękitem.

- Więcej czadu! - Mrugnęła do mnie z kpiącym uśmiechem.

Wtedy się obudziłaś; popatrzyłaś na nią szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego Amelia ma na głowie watę cukrową? Syknęłam ze złości i beziły.

- Nie teraz - szepnęłam. - Nie teraz. Nie dam rady.

I poszłam na górę, stąpając tak ostrożnie, jakby każdy stopień był ze szkła.

Z ostatnich ośmiu tygodni ciąży pamiętam poranki, pierwsze sekundy po przebudzeniu. Były cudowne: wynurzałam się z otchłani snu i przez kilka rozkosznych chwil o niczym nie pamiętałam. Czułam, jak się wierzisz, jak mnie kopiesz i myślałam: wszystko będzie dobrze.

Powrót do rzeczywistości był jak opadnięcie kurtyny: tym kopnięciem mogłaś złamać

sobie nogę w kolejnym miejscu. Mogłaś zrobić sobie krzywdę, obracając się z boku na bok. Leżąc bez najmniejszego ruchu, zastanawiałam się, czy umrzesz w trakcie porodu czy może chwilę po. Albo o tym, czy uśmiechnie się do nas szczęście: przeżyjesz i będziesz ciężko upośledzona. Kiedy pękały ci kości, mnie pękało serce - jak na ironię.

Przyśnił mi się kiedyś koszmar. Urodziłam, ale nikt nie chciał ze mną mówić, powiedzieć mi, co się dzieje: położnik, anestezjolog i pielęgniarki odwrócili się do mnie plecami.

- Gdzie moje dziecko? - pytałam, ale nawet Sean potrząsnął tylko głową i cofnął się o krok.

Uniosłam się z wielkim wysiłkiem, żeby spojrzeć pomiędzy nogi. I zobaczyłam: zamiast dziecka leżał tam stos kryształowych okruchów, a spomiędzy nich wystawały twoje maleńkie paznokcie, płatek mózgu, ucho, zapętlone jelito.

Obudziłam się wtedy z krzykiem; usnęłam dopiero po kilku godzinach. Rano, kiedy Sean mnie obudził, powiedziałam, że nie mogę wstać. I mówiłam całkiem poważnie: byłam pewna, że ci zagrażam samym faktem, że żyję. Każdy mój krok dla ciebie mógł oznaczać kolejny uraz - chcąc uchronić cię przed nim, musiałam zachować ostrożność.

Sean zadzwonił do Piper, a ona przyjechała z pogadanką na temat ciąży. Wytłumaczyła mi jak dziecku, co to jest worek owodniowy i wody płodowe, które stanowią zaporę pomiędzy twoim ciałem a moim. Wszystko to już dawno wiedziałam, jednak już tyle razy wydawało mi się, że coś wiem, a okazywało się inaczej: kości, zamiast mocne, mogły być słabe i kruche; to, że płód nie ma zespołu Downa, nie oznaczało wcale, że jest zdrowy. Piper powiedziała Seanowi, że muszę się wyspać po tym stresie, i obiecała wpaść później. Ale on dalej się przejmował, więc wziął chorobowe, został w domu i zadzwonił po naszego księdza.

Ojciec Grady, jak się okazało, chętnie odwiedzał parafian.

- Podobno masz zmartwienie - zagadnął, przysiadłszy na krześle, które Sean przyniósł mu do sypialni.

- „Zmartwienie” to trochę za mało powiedziane.

- Bóg nie daje ludziom ciężarów, których nie mogą sami udźwignąć - oznajmił.

To pięknie, pomyślałam, tylko czym moje dziecko zasłużyło sobie na Jego gniew? Dlaczego musi znosić cierpienia, jeszcze zanim przyszło na świat?

- Zawsze wierzyłem, że najbardziej wyjątkowe dzieci dostają tylko ci rodzice, którym Pan naprawdę ufa.

- Moja córeczka może umrzeć - powiedziałam głuchym głosem.

- Może się tak zdarzyć, że nie pozostanie długo na tym świecie - poprawił mnie ksiądz - ale pójdzie prosto do Jezusa.

Oczy wezbrały mi łzami.

- Niech sobie Jezus weźmie jakieś inne dziecko.

- Charlotte! - szepnął Sean.

Ojciec Grady spojrzał na mnie łagodnym, ciepłym wzrokiem.

- Sean prosił, żebym pobłogosławił waszą córkę. Wydaje mu się, że to pomoże. Pozwolisz? - Uniósł dłoń nad moim brzuchem.

Skinęłam głową; nie broni się błogosławieństwa. Ale kiedy ksiądz modlił się, pochylony nad moim wielkim brzuchem, ja szeptałam w myślach własną modlitwę: „Pozwól mi ją zatrzymać, a zabierz sobie wszystko inne, co tylko mam”.

Ojciec Grady zostawił mi obrazek na nocnym stoliku i obiecał, że będzie się za nas modlił. Sean odprowadził go do wyjścia, a ja przyjrzałam się temu obrazkowi. Był na nim Jezus rozpięty na krzyżu. Uświadomiłam sobie nagle, że on wie, czym jest ból i cierpienie. Wie, co czuje człowiek, gdy ostry gwóźdź przebija skórę, kruszy kość na kawałki.

Dwadzieścia minut później, wykapana i ubrana, zesłam na dół. Sean siedział w kuchni, ściskając głowę dłońmi: obraz bezbronności i bezradności. Nie dostrzegałam tego, bo za bardzo martwiłam się o dziecko, żeby zwracać uwagę na to, co przeżywa mój mąż. Wyobraźcie sobie kogoś, kto zawodowo broni ludzi, a tu nagle okazuje się, że nie może pomóc własnemu nienarodzonemu dziecku.

- Wstałaś - stwierdził oczywisty fakt.

- Przydałby mi się mały spacer.

- Dobrze. Świeże powietrze. Pójdę z tobą. - Zerwał się, zbyt energicznie, bo potracił przy tym stół.

- Wiesz co? - Próbowałam się uśmiechnąć. - Muszę pobyć trochę sama.

- Aha, jasne. Nie ma sprawy - zgodził się szybko, ale widać było, że trochę go to zabolalo.

Nie mogłam zrozumieć, jak to fizycznie jest możliwe, że wpadliśmy razem w tak głębokie bagno, a mimo to jesteśmy tak daleko od siebie.

Sean pewnie wytłumaczył to sobie w ten sposób: Charlotte musi zebrać myśli, zastanowić się, przepracować to i owo. Ale było inaczej. Wizyta ojca Grady'ego przypomniała mi o pewnej

kobiecie, która chodziła kiedyś do naszego kościoła i nagle przestała. Mieszkała niecały kilometr od nas; od czasu do czasu widywałam ją na ulicy, kiedy wynosiła śmieci. Na imię miała Annie. Wiedziałam o niej tylko tyle, że była w ciąży, a potem już nie była i z dnia na dzień przestała się pokazywać na mszy. Krążyły plotki, że poddała się aborcji.

Wychowałam się w wierze katolickiej. Uczyły mnie zakonnice. W szkole zdarzały się wypadki i ciąży, ale wtedy taka dziewczyna albo zniknęła z listy uczniów, albo wyjeżdżała za granicę i wracała w następnym semestrze, cichutka i bojaźliwa. Mimo to, odkąd skończyłam osiemnaście lat, zawsze głosowałam na demokratów. Osobiście nie skłaniałam się ku takiemu rozwiązaniu, byłam jednak zdania, że kobiety powinny mieć wybór.

W tamtym okresie zaczęłam się jednak zastanawiać, z czego wynika moje stanowisko, czy stoi za nim wiara, czy może po prostu fakt, że nigdy nie byłam zmuszona do konfrontacji teorii z praktyką.

Dom Annie miał żółte ściany ozdobione baśniowymi wzorkami; otaczał go ogród, w którym latem kwitły lilie. Zastukałam do drzwi wejściowych, zastanawiając się, co powiem, kiedy mi otworzy.

„Hej, jestem Charlotte. Dlaczego to zrobiłaś?”

Drzwi pozostały jednak zamknięte, a ja poczułam ulgę; cały ten pomysł z każdą chwilą wydawał mi się coraz głębszy. Odwróciłam się, chcąc wyjść na ulicę, ale nagle usłyszałam głos:

- Dzień dobry! Tak mi się wydawało, że ktoś jest na ganku.

Annie była w dżinsach i czerwonej koszulce bez rękawów, na rękach miała ogrodowe rękawice. Włosy zebrane w węzeł, twarz uśmiechnięta.

- Pani mieszka niedaleko, prawda?

Spojrzałam na nią.

- Moje dziecko jest chore. - To mi się samo wyrwało.

Założyła ręce na piersi, a jej uśmiech zniknął w jednej chwili.

- Przykro mi - powiedziała sztywno.

- Lekarze powiedzieli, że jeśli przeżyje - jeśli - to będzie ciężko chorować. Bardzo ciężko.

A ja niby mam nie myśleć o takich rzeczach, tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego to jest grzech: pragnąć, żeby ukochana osoba nie musiała cierpieć? - Otarłam twarz rękawem. - Nie mogę o tym powiedzieć mężowi. Nie mogę mu się nawet przyznać, że myślę o takim rozwiązaniu.

Annie potarła butem ziemię.

- Moja córeczka miałaby dziś dwa latka, sześć miesięcy i cztery dni - wyznała. - Coś z nią było nie tak, jakaś choroba genetyczna. Gdyby przeżyła, byłaby głęboko upośledzona psychicznie. Na poziomie sześciu miesięcy, przez całe życie.

- Wzięła głęboki oddech. - Namówiła mnie do tego moja matka. „Annie - powiedziała - ty ledwie potrafisz zatroszczyć się o siebie. Jak chcesz się zajmować takim dzieckiem? Jesteś młoda, będziesz miała następne”. Dałam się przekonać i lekarz wywołał poród w dwudziestym drugim tygodniu. - Odwróciła załzawione oczy. - Powiem pani coś, czego się nie mówi. Kiedy kobieta rodzi dziecko niezdolne do życia, zamiast metryki urodzenia dostaje akt zgonu. A potem pojawia się pokarm i nic nie można zrobić, żeby go nie było. - Uniosła wzrok, spojrzała na mnie. - Tej gry nie da się wygrać. Albo pani urodzi i cierpienie będzie płynąć z zewnątrz, albo nie, a wtedy ból pozostanie w pani na zawsze. Wiem, że nie postąpiłam źle. Ale nie mam też poczucia, że postąpiłam dobrze.

Zrozumiałam wtedy, że jest nas wiele. Są kobiety, które urodziły upośledzone dzieci i potem do końca życia zadają sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby oszczędzić im cierpień. I są takie matki, które podjęły inną decyzję, a teraz, patrząc na nasze pociechy, widzą w nich swoje maleństwa, których nigdy nie poznały.

- Dali mi wybór - powiedziała Annie - a ja do tej pory żałuję, że go miałam.

## Amelia

Wieczorem tego dnia pozwoliłam ci się uczesać i powiązać mi włosy gumkami w warkoczyki na całej głowie. Generalnie przy czesaniu robiłaś mi wielki kołtun i wkurzałaś mnie tylko, lecz mimo wszystko strasznie to lubiałaś - inne dziewczynki wyczyniały cuda z włosami, nosiły wstążki i warkocze, ale ty miałaś za krótkie ręce, żeby samodzielnie zawiązać choćby kucyk, więc byłaś zdana na łaskę mamy. A mama, jeśli chodzi o warkocze, umiała tylko pleść chałę. Nie myśl sobie, że nagle ruszyło mnie sumienie - po prostu było mi cię szkoda. Mama i tata od chwili wejścia do domu kłócili się o ciebie, nie zwracając uwagi, że wszystko słyszysz, jakby cię w ogóle tutaj nie było. Kurczę blade, nie mogło im się wydawać, że nic nie zrozumiesz, przecież znałaś takie słowa, których ja w życiu nie słyszałam.

- Wiesz co, Amelia? - Skończyłaś zaplatać warkoczyk, który zawisł mi na środku czoła, nad samym nosem. - Fajny ten kolor.

Przejrzałam się w lustrze. Pomimo najlepszych chęci nie wyglądałam jak luzacka punkowa. Bardziej jak Muppet.

- Amelia, czy mama rozwiedzie się z tatą?

Spojrzałam w twoje oczy, odbite w lustrze.

- Nie wiem, Wills.

Następne pytanie było do przewidzenia:

- Amelia, czy to wszystko przeze mnie?

- Nie - odpowiedziałam ostrym tonem. - Naprawdę.

Pościagałam gumki z włosów, poodpinałam spinki i zaczęłam rozczesywać kołtuny.

- Dobra, dość tego - mruknęłam. - Nie będzie ze mnie królowej piękności. Idź już do łóżka.

Nikt nie przyszedł położyć cię spać, nie spodziewałam się tego zresztą, bo ostatnio poziom wykonywania obowiązków rodzicielskich zszedł w tym domu na psy. Wczołgałaś się do łóżka od strony nóg; po bokach wciąż były zamontowane barierki, nie znosiłaś ich, bo uważałaś, że są „dla dzieci”, choć przecież zapewniały ci bezpieczeństwo. Gdy już leżałaś, otuliłam cię kołdrą i niezdarnie, z zakłopotaniem pocałowałam w czoło.

- Dobranoc - powiedziałam, wskakując pod swoją kołdrę i wyłączając światło.

W ciemności czasami się wydaje, że dom ma bijące serce. Wiele razy słyszałam ten puls:

*umm, umm*, aż dudniło w uszach. Teraz był nawet jeszcze głośniejszy. Może to moje nowe włosy podziały jak nadprzewodnik.

- Słyszałaś, jak mama zawsze mówi, że kiedy dorosnę, będę mogła być, kim zechcę? - szepnęłaś. - To kłamstwo.

Uniosłam się na łokciu.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę być chłopakiem.

- Zapytaj o to kiedyś mamę - prychnęłam.

- I Miss Ameryki też nie mogłabym być.

- A to czemu?

- Bo na konkursach piękności nie wolno występować w aparacie ortopedycznym - odpowiedziałaś.

Wyobraziłam sobie taki konkurs, pełen dziewczyn tak pięknych, że aż niewiarygodnych w tej swojej urodzie, wysokich, szczupłych, plastikowo idealnych. A potem oczyma duszy zobaczyłam ciebie, niską, przysadzistą i powykręcaną jak krzywo wyrosły korzeń, przepasaną wstęgą z napisem:

MAŁA MISS NIEZROZUMIANA

MAŁA MISS NABRANA

MAŁA MISS NIECHCIANA

Aż rozboleł mnie brzuch od tych wizji.

- Śpij już - burknęłam, ostrzej niż trzeba, i zaczęłam liczyć. Kiedy usłyszałam twoje pochrapywanie, doliczyłam już do tysiąc trzydziestu sześciu.

Na paluszkach zesłam na dół i zakradłam się do kuchni. Otworzyłam lodówkę. Okazało się, że w tym domu nie ma absolutnie nic do jedzenia. Na śniadanie pewnie będę musiała zadowolić się japońskim rosołem. Jeśli mam być szczerą, drodzy rodzice, to czas był już najwyższy na zakupy, bo zaczynało to podpadać pod paragraf o znęcaniu się nad dziećmi.

W sumie - nic nowego.

Zajrzałam do szuflady na owoce, gdzie znalazłam jedną twardą jak kamień cytrynę i korzeń imbiru.

Zatrzasnęłam lodówkę i wtedy usłyszałam czyjś jęk.

Przeżona - czy włamywacze gwałcą dziewczyny z niebieskimi włosami? - wyjrzałam z

kuchni. Kiedy oczy przyzwyczyły mi się już do ciemności zalegającej w dużym pokoju, dostrzegłam, że na kanapie leży kołdra, a pod nią - tata, który obracając się z boku na bok, przykrył sobie głowę poduszką.

Ścisnęło mnie w żołądku, tak samo jak wtedy, gdy mówiłaś o konkursach piękności. Cichutko jak myszka wycofałam się z powrotem do kuchni, przesunęłam dłonią po szafkowym blacie i tak jakoś trafiłam na rączkę noża do krojenia mięsa. Zabrałam go ze sobą na górę, do łazienki.

Pierwsze cięcie zaszczypało. Krew wezbrała jak morska fala i pociekła strużką w dół, zbierając się w zgięciu łokcia. Cholera jasna, co ja wyprawiam? Odkręciłam zimną wodę, wsadziłam rękę pod strumień, a krew w końcu przestała lecieć.

Wtedy chlasnęłam się jeszcze raz, równolegle.

Nie cięłam się po nadgarstkach, nie myśl, że próbowałam się zabić. Chciałam tylko, żeby mnie bolało, ale tak, żebym wiedziała, co boli. Takie coś miało sens: tniesz, więc cię boli i już. Narastało we mnie ciśnienie jak w kotle parowym, a to było po prostu coś takiego, jakbym odkręciła zawór. Przypomniałam sobie, jak mama robiła spody do ciast i nakłuwała je gęsto po całości. „Żeby mogło oddychać”, tak mówiła.

Zrobiłam to, żeby móc oddychać.

Zamknęłam oczy, wyczekując kolejnych cięć i za każdym razem zalewała mnie taka sama ulga. Boże, jakie to było dobre - napięcie narasta i nagle opada w cudownym rozładowaniu. Wiedziałałam, że będę musiała kryć się z bliznami; wolałabym umrzeć, niż żeby się wydało. Ale byłam też z siebie trochę dumna. Takie rzeczy robią wariatki, co w wierszach opisują, że organy wypełnia im smoła, a oczy smarują sobie kredką tak grubo, że wyglądają jak starożytne Egipcjanki - ale nie grzeczne dziewczynki z dobrych domów. A to oznaczało, że albo nie jestem grzeczną dziewczynką, albo nie mam dobrego domu.

Jedno z dwojga.

Schowałam nóż w rezerwuarze. Mógł się jeszcze przydać.

Obejrzałam cięcia, które pulsowały teraz w rytm pulsu domu: *umm, umm*. Przypominały podkłady kolejowe. Albo estradowe schody. Wyobraziłam sobie paradę brzydactw ludzi, takich jak ja: to my, królowe piękności, które nie mogą chodzić bez specjalnych aparatów. Zamknęłam oczy, próbując zgadnąć, dokąd prowadzą te schody.



### III

Na tej zasobnej ziemi nie brak jest niczego  
Prócz miejsca dla przedmiotu sfatygowanego.  
Precz z nim, wyrzucić, z odpadkami zmieść!  
A jeśli, zanim czas dni udręką obarczył,  
Ktoś nas pokochał, ktoś nas miał - to starczy.  
Udało się, powiem wtedy ja i serce moje.

ELISABETH BARRETT BROWNING, „Ja i serce moje”

**Syrop czwartego stopnia:** *faza karmelizacji cukru zachodząca w temperaturze 121-130*

C.

*Nugat, pianki cukrowe, słodkie sople, misie-żelki - do wyrobu wszystkich tych słodyczy używa się syropu cukrowego czwartego stopnia. Taki syrop odznacza się bardzo wysokim stężeniem cukru i spływa z łyżki, tworząc grubą nitkę. (Uważaj. Cukier parzy długo po tym, jak dotknie skóry; łatwo zapomnieć, że taka słodycz może pozostawić ranę). Próba takiego syropu polega na wlaniu kropli do zimnej wody; powinna powstać twarda kulka, która po wyjęciu nie rozpułynie się, ale którą można odkształcić, mocno naciskając.*

*Tak samo bywa z ludźmi: nawet tych twardych i nieustępliwych da się nagiąć do swojej woli. To tylko kwestia odpowiedniego nacisku.*

NIEBO

*2 1/2 szklanki cukru*

*1/2 szklanki lekkiego syropu kukurydzianego*

*1/2 szklanki wody szczypta soli*

*3 duże białka*

*1 łyżeczka wanilii*

*1/2 szklanki siekanych pekanów*

*1/a szklanki suszonych wiśni, borówek albo żurawin*

Zawsze mnie ciekawiło, że słodycze o nazwie Niebo powstają w tak brutalny sposób.

W dwulitrowym rondlu zmieszać cukier, syrop kukurydziany, wodę i sól. Podgrzać do fazy syropu czwartego stopnia, kontrolując temperaturę termometrem cukierniczym. Mieszać, dopiero kiedy cukier całkowicie się rozpuści. Przez ten czas ubić białka na sztywną pianę. Kiedy syrop osiągnie temperaturę 125°C, dolać go stopniowo do białek, ubijając mikserem na wysokich obrotach. Masa przybierze właściwą konsystencję mniej więcej po pięciu minutach ciągłego ubijania. Dodać wanilię, orzechy i suszone owoce. Gotową masę zlewać szybkimi ruchami z małej łyżeczki na arkusz woskowanego papieru, wykańczając każdą porcję ozdobnym zawijaszem. Odstawić, aby ostygła do temperatury pokojowej.

Przypalanie, miksowanie, ubijanie. Może lepszą nazwą byłaby Kapitulacja?

## Charlotte

*Styczeń 2008 r.*

Zaczęło się od plamy w kształcie ryby płaszczy, która pewnego dnia pojawiła się na suficie w jadalni - znak wodny sygnalizujący, że coś się dzieje z rurami w łazience na piętrze. Ten znak rósł, aż przestał przypominać płaszczykę; wyglądał jak fala pływowa rozlana na pół sufitu, a tynk przybrał herbaciany kolor. Hydraulik pogrzebał pod umywalką, sprawdził pion obok wanny i po godzinie roboty wmaszerował do kuchni, gdzie właśnie odparowywałam sos do spaghetti.

- Kwas - oznajmił.

- Sos - poprawiłam. - Marinara.

- W rurach kwas - wyjaśnił. - Nie wiem, co tam państwo do nich leją, ale są całe przeżarte.

- Czyścimy rury normalnie, tym co wszyscy. A nasze dziewczyny nie robią w łazience doświadczeń chemicznych.

Hydraulik wzruszył ramionami.

- Mogę wymienić rury, ale trzeba ustalić, co się dzieje, bo inaczej znowu będzie to samo.

Ta jedna usługa miała mnie kosztować, jak wyliczyłam, trzysta pięćdziesiąt dolarów. Nie było nas na nią stać, nie mówiąc już o powtórce.

- W porządku - zgodziłam się.

Odmalowanie sufitu - jeszcze trzydzieści dolarów, jeśli zrobilibyśmy to sami. A na obiad - kluchy, trzeci raz w tym tygodniu. Dlaczego? Bo są tańsze niż mięso, bo musiałaś dostać nowe buty, bo po prostu byliśmy splukani.

Dochodziła szósta po południu; o tej porze Sean zazwyczaj wracał do domu. Od tamtego fatalnego przesłuchania minęły już prawie trzy miesiące, chociaż nikt by się nie domyślił, że coś takiego w ogóle się wydarzyło, bo w rozmowach starannie omijaliśmy ten temat. Mówiliśmy o tym, jak szef policji skomentował w gazecie jakiś tam akt wandalizmu w miejscowym liceum, o tym, czy Sean powinien zdać testy na detektywa, o Amelii, która rozpoczęła niemy strajk i porozumiewała się z nami na migi. O tobie: że obeszyliśmy cały kwartał dookoła, a ja nie musiałam gonić do domu po wózek, bo nogi nie odmówiły ci posłuszeństwa.

O procesie nie mówiliśmy wcale.

W moim domu rodzinnym była taka zasada: nie rozmawia się o problemie - nie ma problemu. Kiedy u mojej matki wykryto raka piersi, ja dowiedziałam się o tym dopiero po kilku miesiącach, kiedy już nic nie dało się zrobić. Mój ojciec, gdy byłam jeszcze mała, trzy razy tracił pracę, ale w domu ta kwestia nie istniała - po prostu pewnego dnia wkładał z powrotem garnitur i wychodził do nowego biura, jakby zawsze tam pracował. Ze strachem i zmartwieniami chodziło się do konfesjonału, a pociechy wyglądało od Boga; to miało nam wystarczyć.

Obiecywałam sobie, że kiedy założę własną rodzinę, będziemy grali w otwarte karty. Żadnego kalkulowania, żadnych tajemnic, żadnych różowych okularów, które zasłaniają poplątaną rodzinną codzienność. Zapomniałam tylko o jednym bardzo ważnym szczególe: nie rozmawiając o problemach, można udawać, że ich nie ma. Bo ten, kto widzi, co jest nie tak i chce o tym dyskutować, naraża się na zmagania, ból i żal.

- Dziewczyny! - zawołałam. - Kolacja!

Podłoga na piętrze zadudniła tupotem czterech stóp. Twoje kroki były niepewne - na schodach po jednym stopniu - ale Amelia wpadła do kuchni jak bomba.

- Jezuu... - jęknęła. - Znowu spaghetti?

Nie chcę się chwalić, ale to wcale nie był kupny makaron z pudełka. Sama zrobiłam ciasto, rozwałkowałam, pokroiłam na wstążki.

- Tym razem to nie spaghetti, tylko fettuccine - powiedziałam, nieporuszona tą krytyką. - Możesz nakryć do stołu.

Amelia wsadziła głowę do lodówki.

- Wiadomość z ostatniej chwili: nie mamy soku.

- W tym tygodniu pijemy wodę. Jest zdrowsza.

- I tańsza. Praktyczne! Wiesz co? Wycofaj mi dwie dychy z pieniędzy na studia i zaszalej: kup nam kotlety drobiowe.

- O, a kto to tak się śmieje? - zapytałam, marszcząc brew. - Ja? Zaraz. Przecież ja się nie śmieję.

To ją rozbawiło.

- Jutro w końcu musimy wrzucić na ruszt jakieś proteiny.

- Przypomnij mi, żebym kupiła tofu.

- Ble. - Amelia skrzywiła się, stawiając talerze na stole. - To ty mi przypomnij, żebym zabiła się przed obiadem.

Weszłaś do kuchni i wdrapałaś się na swoje wysokie krzeselko. Nie mówiliśmy na nie „krzeselko”, bo miałaś już prawie sześć lat i zawsze zwracałaś nam uwagę, że jesteś duża, ale fakt był faktem: byłaś za niska, żeby dosięgnąć stołu z normalnego krzesła bez jakiejś podkładki.

- Żeby ugotować milion ton makaronu, potrzeba sto sześćdziesiąt pięć tysięcy basenów wody - powiedziałaś.

Amelia klapnęła na krzesło obok ciebie.

- A żeby zjeść milion ton makaronu, wystarczy trochę pomieszkać w tym domu.

- Jak dalej będziecie tak marudzić, to jutro zrobię jakieś danie dla smakoszy. Na przykład kalmara. Albo haggis. Albo cielęce mózdzki. I Amelia dostanie swoje proteiny...

- Dawno temu żył w Szkocji taki facet, nazywał się Sawney Beane, i wiecie, co on jadł? - zapytałaś. - Ludzi. Podobno zjadł tysiąc osób.

- Na szczęście los jeszcze nas nie zmusił do takiej ostateczności.

- Ale jeśli kiedyś zmusi - oko ci błysnęło - to ze mnie będzie mięso... bez kości.

- Dobrze, dość już tego. - Nałożyłam ci talerz parującego makaronu. - *Bon appétit.*

Zerknęłam na zegarek; było dziesięć po szóstej.

- A tata? - zapytała Amelia, czytając mi w myślach.

- Zaczekamy na niego. Na pewno zaraz przyjdzie.

Ale minęło pięć minut, a Sean się nie pojawiał. Ty wierciłaś się na krześle, a Amelia skubała widelcem kopiec z klusek zastygły na talerzu.

- Kluchy są ohydne, ale zimne jeszcze gorsze - mruknęła wreszcie pod nosem.

- Jedzcie - powiedziałam, a wtedy rzuciliście się na makaron jak zgłodniałe wilki.

Wbiłam wzrok w talerz. Nagle straciłam cały apetyt. Po kilku minutach wstałyście od stołu, żeby zanieść talerze do zlewu. Hydraulik zszedł z piętra, powiedział: „Po robocie”, i zostawił mi rachunek na szafce. Zadzwoił telefon. Po drugim dzwonku odebrała go któraś z was.

O wpół do ósmej zadzwoniłam do Seana na komórkę. Nie było sygnału, tylko od razu włączyła się poczta głosowa.

O ósmej wyrzuciłam swoją dawno wystygłą porcję makaronu do śmieci.

O ósmej trzydzieści powiedziałam ci dobranoc.

O ósmej czterdzieści pięć zadzwoniłam do komendy.

- Mówi Charlotte O'Keefe. Czy Sean wziął dziś dodatkową zmianę?

- Wszedł za piętnaście szósta - poinformowała mnie dyżurna dyspozytorka.

- Ach, no tak - odpowiedziałam beztrosko, jakbym wiedziała o tym od początku; nie chciałam wyjść na żonę, która nie ma pojęcia, gdzie szwenda się jej mąż.

O jedenastej sześć siedziałam na kanapie w dużym pokoju, zastanawiając się, czy mam jeszcze dom, skoro rodzina, która w nim mieszka, rozpada się na moich oczach - i wtedy drzwi wejściowe otworzyły się powoli, jakby ostrożnie. Sean wszedł na palcach do przedpokoju. Zapaliłam lampę.

- No, no - mruknęłam. - Musiały być korki jak jasna cholera.

Zamarł w miejscu.

- Nie śpisz?

- Czekaliśmy na ciebie z kolacją - poinformowałam go. - Talerz masz na stole. Chyba że nie gustujesz w fettuccine stwardniałym na kamień.

- Po robocie poszedłem do knajpy z paroma chłopakami. Miałem zadzwonić...

Dokończyłam za niego.

- ...ale nie chciało ci się ze mną gadać.

Wtedy Sean podszedł bliżej, tak blisko, że poczułam zapach jego płynu po goleniu. Lukrecja plus ledwie wyczuwalny zapaszek dymu. Rozpoznałabym go w gęstym tłumie nawet z zawiązanymi oczami. Ale to, że umie się kogoś rozpoznać, nie oznacza, że zna się go na wylot - człowiek, który wiele lat temu zdobył twoje serce, dziś może mieć ten sam wygląd, głos i zapach, ale jest kimś zupełnie innym.

I chyba Sean myślał tak samo o mnie.

Usiadł na krześle stojącym naprzeciwko kanapy.

- Co chcesz usłyszeć, Charlotte? Mam skłamać, powiedzieć, że przez cały dzień wrywam się do domu?

- Nie - przełknęłam z wysiłkiem ślinę. - Chcę tylko... żeby było tak jak kiedyś.

- Więc daj sobie z tym spokój - powiedział cicho. - Wycofaj się.

Mieć wybór to zabawna sprawa: zapytaj członków dzikiego plemienia, które od niepamiętnych czasów żywi się larwami i korzonkami, czy są niezadowoleni, a w odpowiedzi doczekasz się tylko wzruszenia ramionami. Ale podaj im befsztyki z polędwicy w sosie truflowym, a później każ z powrotem jeść to, co sami wygrzebią z ziemi - wtedy już nigdy nie zapomną o tamtym wyszukany posiłku. Kto nie wie, że ma wybór, temu go nie brakuje.

Marin Gates pokazała mi drogę na szczyt tak wysoki, że samej nigdy nie przyszłoby mi nawet do głowy, żeby go zdobywać - ale gdy już zobaczyłam go przed sobą, jak mogłabym się cofnąć ze ścieżki, która prowadziła do celu? Gdybym zrezygnowała, do końca życia dręczyłaby mnie myśl, że trzeba było wytrwać - przypominałoby mi o tym każde twoje złamanie, każdy kolejny dolar naszych rosnących długów.

Sean potrząsnął głową.

- Tak właśnie myślałem.

- Muszę się troszczyć o przyszłość Willow...

- A mnie bardziej obchodzi to, co jest teraz. Willow ma gdzieś pieniądze, bo chce tylko, żeby rodzice ją kochali. Ale kiedy staniesz przed sądem i zaczniesz zeznawać, to nie będzie wyznanie matczynej miłości.

- Więc powiedz mi, Sean, jakie jest wyjście z tej sytuacji? Mamy siedzieć z założonymi rękami i marzyć, że Willow wyzdrowieje? Albo że ty... - Urwałam w pół słowa.

- Że ja co? - podchwycił. - Znajdę lepszą pracę? Wygram na loterii? Przyznaj się, Charlotte. Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz was wszystkich utrzymać.

- Tego nie powiedziałam...

- Nie musiałaś. Zrozumiałem cię bez słów. - Nie dał mi dokończyć. - Pamiętasz, jak kiedyś mówiłaś, że byłem dla ciebie i Amelii jak wybawienie? Widzę, że na dłuższą metę chyba jednak was zawiodłem.

- Tutaj nie chodzi o ciebie, tylko o naszą rodzinę.

- Którą ty właśnie niszczysz. Jak ci się wydaje, kogo ludzie teraz w tobie widzą?

- Matkę - odpowiedziałam.

- Męczennicę - poprawił ironicznym tonem. - Nikt nie zadba o Willow lepiej niż ty. Nikomu nie zaufasz, bo na pewno się nie sprawdzi. Nie rozumiesz, że to jakiś obłąd?

- Wybacz, że nie jestem idealna - odparowałam, pokonując opór zaciśniętego nagle gardła.

- Nie jesteś - westchnął. - Ty tylko wymagasz od wszystkich, żeby byli.

Wstał i podszedł do kominka, przy którym leżały kołdra i poduszka, porządnie złożone w kostkę.

- Przepraszam, siedzisz na moim łóżku - rzucił przez ramię.

Wytrzymałam z płaczem aż do sypialni. Tam rzuciłam się na łóżko, po stronie Seana,

szukając miejsca, gdzie zawsze spał. Wtuliłam twarz w poduszkę, która zachowała jeszcze zapach jego szamponu. Zmieniłam pościel po jego wyprowadzce na kanapę, ale poduszka została w starej poszwie - ciekawe dlaczego? Żebym mogła udawać, że Sean wciąż jest przy mnie? A może żeby mieć po nim pamiątkę, na wypadek gdyby już nie wrócił na górę?

W dniu naszego ślubu powiedział mi, że gdyby było trzeba, to własną pierś zasłoniłby mnie przed kulą. Wiedziałam, że oczekuje ode mnie podobnego wyznania, ale nie mogłam się na nie zdobyć. Miałam Amelię, która potrzebowała mojej opieki; tylko że gdyby ta kula była przeznaczona dla niej, przyjęłabym ją bez chwili namysłu.

Kim więc byłam? Dobrą matką czy złą żoną?

Ale tutaj nie było kuli, nikt do nas nie strzelał. Tutaj, żeby uratować córkę, miałam rzucić się pod nadjeżdżający pociąg. Był tylko jeden haczyk: musiałam pociągnąć ze sobą swoją najlepszą przyjaciółkę.

Oddać za kogoś życie to jedno, ale wplątać w to trzecią osobę, która w dodatku cię zna i bezgranicznie ci ufa - to coś zupełnie innego.

Wydawało się to takie proste: rozprawa wykaże, jak nam ciężko, i diametralnie odmieni nasz los. Ale w swoim entuzjazmie przeoczyłam dwie groźne rafy: oskarżenie Piper i przekonanie Seana, aby postąpił wbrew sobie, musiało rozbić moje relacje z obojgiem. A teraz było już za późno. Nawet gdybym zadzwoniła do Marin, żeby wszystko odwołać, Piper już by mi nie przebaczyła, a Sean nie zmieniłby złego zdania o mnie.

Można sobie wmawiać: jestem gotowa stracić wszystko, byle tylko zdobyć jakąś pożądaną rzecz, ale to jest błędne koło, ponieważ temu, co chcesz poświęcić, zawdzięczasz swój charakter. Gdy tego zabraknie, przestaniesz być sobą.

Przez chwilę miałam zamiar zejść po cichu na dół, uklęknąć przy Seanie i przeprosić go. Wyobraziłam sobie, jak mówię: „Zacznijmy od nowa”. A potem, uniósłszy głowę, zobaczyłam w drzwiach twoją bladą, trójkątną twarzyczkę.

- Mamusiu - zapytałaś, podchodząc tym swoim dziwnym krokiem i wdrapując się na łóżko - miałaś zły sen?

Przytuliłaś się do mnie tyłem, plecy do mojej piersi.

- Tak, Wills - przyznałam się szczerze.

- Mam tu z tobą zostać?

Oplotłam cię ramionami, zamknęłam w sobie jak w matrycy.



- Na zawsze - szepnęłam.

Boże Narodzenie tego roku było ciepłe, zamiast bieli królowała zieleń; nawet matka natura pokazywała, że życie toczy się nieprawidłowym torem. Po dwóch tygodniach plusowych temperatur zima powróciła jednak w wielkim stylu. Tamtej nocy spadł śnieg. Obudziliśmy się z suchością w ustach i szumem kaloryferów w uszach. Na zewnątrz snuł się zapach dymu z kominów.

Zeszłam na dół o siódmej; Seana już nie było. W bielizniarce została po nim porządnie złożona pościel i kubek po kawie w zlewie. Po chwili ty też zeszłaś na dół, zaspana, trąc powieki.

- Zimno mi w nogi - poskarżyłaś się.

- To załóż kapcie. Gdzie Amelia?

- Jeszcze śpi.

Była sobota, więc nie musiałam jej zrywać z łóżka. Zauważyłam, że masujesz sobie biodro, prawdopodobnie całkiem bezwiednie. Musiałaś wzmocnić mięśnie okalające miednicę, chociaż ćwiczenia wciąż sprawiały ci ból.

- Wiesz co? - zaproponowałam. - Jak pójdziesz po gazetę, zrobimy sobie gofry na śniadanie.

Chwila namysłu: skrzynka na prasę była prawie pół kilometra od domu, na dworze mróz.

- Z lodami? - Pytanie pomocnicze.

- Z truskawkami. - Targ w targ.

- Dobrze.

Poszłaś do przedpokoju i narzuciłaś płaszcz prosto na piżamę. Założyłam ci aparaty ortopedyczne, a potem pomogłam wsunąć stopy w krótkie buty - śniegowce byłyby za ciasne.

- Ostrożnie na ulicy. - Bez słowa zapięłaś płaszcz na suwak. - Słyszałaś mnie, Willow?

- Tak, ostrożnie na ulicy - powtórzyłaś jak papuga, otworzyłaś drzwi i już cię nie było.

Stałam w drzwiach, odprowadzając cię wzrokiem, ale po kilku krokach odwróciłaś się i opierając dłonie na biodrach, zawołałaś:

- Nie przewrócę się! Przystań mnie pilnować!

Wróciłam więc do domu i zamknęłam drzwi, ale obserwowałam cię jeszcze trochę przez okno. Potem poszłam do kuchni, żeby wyjąć z lodówki potrzebne składniki i włączyć gofrownicę. Na stole postawiłam plastikową miskę do mieszania ciasta. To była twoja ulubiona, na tyle lekka, że mogłaś ją unieść i wylewać gotowe ciasto do formy.

Skończywszy te przygotowania, wyszłam z powrotem na ganek, żeby poczekać na ciebie, ale nigdzie cię nie było. Wpadłam w panikę; pospiesznie wbiłam stopy w wysokie buty i wybiegłam z domu. W połowie podjazdu zauważyłam ślady odcisnięte w śniegu, który wciąż przykrywał zmarzniętą trawę. Prowadziły do naszej sadzawki-ślizgawki.

- Willow - wrzasnęłam z całej siły. - Willow!

Prosiłam Seana, żeby zasypał tę dziurę, a on, cholerny idiota, nie posłuchał.

Nagle dostrzegłam cię - stałaś w trzcinach porastających brzeg oczka.

Jedną nogą na cienkim lodzie.

- Willow - powiedziałam cicho, żeby cię nie wystraszyć, ale kiedy się odwróciłaś, noga wyjechała spod ciebie i runęłaś na twarz, wysuwając ręce do przodu.

Przewidziałam to, więc kiedy zaczęłaś się odwracać, już do ciebie biegłam. Postawiłam stopę na lodzie, który był zbyt cienki, żeby mnie utrzymać, i pękł natychmiast. Do buta wlała mi się lodowata woda, ale zdołałam chwycić cię na ręce.

Zmoczyło mnie do pół uda, a ty zawisałaś w moich ramionach, zgięta wpół jak worek mąki tortowej, nie mogąc złapać tchu. Zatoczyłam się w tył, wyciągając stopę z błotnistej, pełnej wodorostów mazi i klapnęłam ciężko na ziemię, amortyzując twój upadek.

- Nic ci nie jest? - wydyszałam. - Złamałaś coś sobie?

Po krótkim zastanowieniu pokręciłaś przecząco głową.

- Po co tu weszłaś? Chyba masz swój rozum...

- Amelia może wchodzić na lód - odpowiedziałaś cichutko.

- Po pierwsze Amelia to nie ty. A po drugie ten lód jest za cienki.

- Tak jak ja. - Odwróciłaś się ode mnie.

Przekręciłam cię delikatnie przodem do siebie, sadzając okrakiem na kolanach. Dzieci bujają się tak na huśtawkach; nazywają to „na pajaka”. Tobie nigdy nie było wolno tak się bawić. Bardzo łatwo można zaczepić nogą o łańcuch albo wykręcić ją na biodrze koleżanki.

- To nieprawda - powiedziałam stanowczym głosem. - Willow, jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam.

- Ale i tak wolałabyś, żebyśmy nie musiały jeździć na wózku. Albo ciągle być w szpitalu.

Sean naciskał, żeby tłumaczyć ci to, co się dzieje dookoła ciebie; ja natomiast naiwnie założyłam, że po tamtej rozmowie sprzed kilku miesięcy nie będziesz miała żadnych problemów ze zrozumieniem moich intencji, a jeśli nawet opadną cię wątpliwości, to moje postępowanie

szybko ci pokaże, że słowa nic nie znaczą. Mimo wszystko martwiłam się, jak przyjmiesz to, co usłyszysz z moich ust; tym, czego doczytasz się pomiędzy wierszami, nie zwracałam sobie głowy.

- Pamiętasz, jak cię uprzedzałam, że będę musiała mówić różne rzeczy, których wcale nie myślę? O to właśnie tutaj chodzi.

- Zawiesiłam głos, zastanawiając się przez chwilę. – Wyobraź sobie, że koleżanka w szkole pyta cię, czy ma ładne tenisówki, a tobie one się w ogóle nie podobają. Uważasz, że są okropne, ale przecież tego nie powiesz, prawda? Byłoby jej przykro.

- To kłamstwo.

- Wiem. Nie wolno tak robić, chyba że nie chce się urazić czyichś uczuć.

Otworzyłaś szeroko oczy.

- Ale ty przecież urażasz moje uczucia.

Nóż wbity w mój żołądek obrócił się.

- Nie chcę tego robić.

- Czyli to jest to samo - powiedziałaś powoli, z wielkim namysłem - co robi Amelia, jak ogłasza, że dziś jest Dzień Na Opak?

Amelia wymyśliła Dni Na Opak, kiedy była mniej więcej w twoim wieku. Już wtedy miała buntowniczy charakter. Mówiła nam na przykład, że nie odrobi dziś lekcji, a kiedy zaczynaliśmy na nią krzyczeć, śmiała nam się w nos i mówiła, że dziś jest Dzień Na Opak i już wszystko ma dawno gotowe. Albo przezywała cię „wydmuszką na ziarnku grochu”, a kiedy przybiegałaś do nas zapłakana ze skargą, wyjaśniała, że w Dniu Na Opak to znaczy, że jesteś księżniczką. Nigdy nie umiałam rozgryźć, co sprawiło, że Amelia wymyśliła ten dzień: jej bujna wyobraźnia czy wywrotowa natura.

Ale może to był sposób na znalezienie drogi w tym poplątanym gąszczu, jakim okazał się proces o niedobre urodzenie. Może trzeba było skłamać - i mieć nadzieję, że słowa, tak jak w tym powiedzeniu, obrócą się w złoto?

- Właśnie - przytaknęłam. - Dokładnie jakby był Dzień Na Opak.

Uśmiechnęłaś się do mnie tak cudnie, że tylko patrzeć, aż stopnieje cały śnieg dookoła.

- Jak tak, to w porządku - powiedziałaś. - Ja też wolałabym, żeby cię nigdy nie było.

Kiedy zaczęliśmy spotykać się z Seanem, często podkładałam mu do skrzynki na listy różne frykasy. Kruche ciasteczka w kształcie jego inicjałów, babkę, drożdżówki z lukrem

przybrane pekanami smażonymi w cukrze, ciastka z migdałami. Jakbym chciała spełnić dla niego życzenie „słodkiego, miłego życia”. Wyobrażałam sobie, jak sięga do skrzynki po rachunki i katalogi reklamowe, a wyciąga roladę, piernik na miodzie, kanciastą porcję krówki.

- Będziesz mnie jeszcze kochać, jak przytyję piętnaście kilo? - pytał.

- A skąd wiesz, że cię Kocham? - śmiałam się w odpowiedzi.

Jasne, że go kochałam. Tylko zawsze łatwiej mi było okazać miłość niż ją wyznać. To słowo było jak pralinka: maleńki klejnot, tak słodki, że prawie nie do zniesienia. Przy Seanie cała łśniłam, w jego objęciach płonęłam jak słońce. Ale to, co do niego czułam, ubrane w słowa straciłoby na znaczeniu, stałoby się jak motyl na szpilce albo kometa nagrana na wideo. Co noc otaczał mnie ramionami i sęczył do ucha to samo zdanie, pienne i szumiące: „Kocham cię”. I czekał. Czekał, a chociaż wiedziałam, że nie będzie mnie popędzać z tym wyznaniem, to w jego milczeniu czuło się rozczarowanie.

Pewnego dnia, kiedy wyszłam z pracy, otrzepując jeszcze ręce z mąki, i ruszyłam szybko do samochodu, żeby odebrać Amelię ze szkoły, za wycieraczką znalazłam zatkniętą karteczkę z notatnika z napisem Kocham cię.

Wrzuciłam ją do schowka, a po południu zrobiłam trufle i podłożyłam Seanowi do skrzynki na listy.

Następnego dnia, po wyjściu z pracy, zdjęłam z szyby przyklejoną taśmą kartkę formatu A4 z takim samym napisem: Kocham cię.

Zadzwoiłam do Seana.

- Wygram - poinformowałam go.

- Wygramy - odpowiedział.

Zrobiłam lawendową *panna cotta* i postawiłam mu na wyciągu z karty kredytowej.

Odpowiedział plakatem. Widać go było doskonale przez okno w mojej restauracji; kierownik sali i szef kuchni mieli ze mnie niezły ubaw.

- Z czym masz problem? - pytała mnie Piper. - Powiedz mu w końcu, co do niego czujesz i już.

Nie mogła tego zrozumieć, a ja nie umiałam jej tego wyjaśnić. Okazanie miłości czynem ma w sobie świeżość i szczerłość. Za słowami często nie kryje się nic oprócz przyzwyczajenia albo oczekiwania. To proste „kocham cię” gości na wszystkich ustach; kilka zwykłych sylab nie było w stanie oddać czegoś tak złożonego jak to, co czułam do Seana. Chciałam przekazać mu to

uczucie, tę nieprawdopodobną mieszankę otuchy, bezwstydu i zadziwienia; chciałam, żeby zrozumiał, że wystarczyło mi posmakować go raz, żeby się uzależnić. Zrobiłam więc tiramisu i zostawiłam je pomiędzy paczką z Amazon.com a ulotką firmy oferującej usługi malarskie.

Tym razem to Sean zadzwonił.

- Wiesz, że otwieranie cudzej skrzynki na listy jest przestępstwem? - zapytał.

- To mnie aresztuj - odpowiedziałam.

Tamtego dnia wyszłam z pracy w towarzystwie całego personelu naszej restauracji, który wiernie kibicował zalotom Seana - i zobaczyłam swój samochód owinięty w całości papierem do pakowania mięsa, na którym literami sięgającymi mi czubka głowy stało wypisane: jestem na diecie. Tyle Sean miał mi do przekazania.

Proszę bardzo. Upiekłam mu babeczki z makiem, a kiedy następnego dnia przyszłam, żeby podrzucić imbirowe ciasteczka, znalazłam je nietknięte. Dzień później w skrzynce nie było już miejsca na kolejny wypiek, tym razem tarte z truskawkami. Poszłam z nią do drzwi, zadzwoniłam. Otworzył; blond włosy miał podświetlone światłem padającym od tyłu, pierś ciasno opinała koszulka.

- Dlaczego nie jesz tego, co dla ciebie robię? - zapytałam.

- A dlaczego mi nie odpowiadasz?

- Nie widzisz tego?

Sean skrzyżował ramiona na piersi.

- Czego?

- Że cię kocham.

Otworzył zewnętrzne drzwi z siatką, chwycił mnie w ramiona i pocałował mocno prosto w usta.

- Najwyższy czas. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Umieram z głodu.

Na śniadanie tamtego dnia zamiast gofrów upiekłyśmy placek cynamonowy, owsiane ciasteczka i biszkopt. Dałam ci do wylizania łyżkę, łopatkę, całą miskę. Około jedenastej do kuchni wpadła Amelia, świeżo spod prysznic.

- Mamy kontrakt na dostawy dla wojska? - zapytała, ale wzięła jedną babeczkę z mąki kukurydzianej, rozłamała ją i wciągnęła nosem zapach. - Mogę z wami?

Zrobiłyśmy przekładany tort biszkoptowy z malinami, śliwkową tarte tatin, jabłka w cieście, makaroniki i ciasteczka-ślimaki. Piekłyśmy bez wychnienia, aż spiżarka zaczęła świecić

pustkami, a mnie udało się zapomnieć, co mówiłaś nad sadzawką; skończył nam się brązowy cukier, nie zauważyłyśmy, że taty nie ma cały dzień, a w końcu nie mogłyśmy już przełknąć ani kęsa.

- I co teraz? - zapytała Amelia, patrząc na stół i szafki, zastawione po brzegi naszymi wyrobami.

Już tak dawno niczego nie piekłam, że kiedy zaczęłyśmy, nie potrafiłam się opanować. Chyba jednak wciąż żył we mnie cukiernik masowo produkujący ciasta i ciasteczka dla klientów restauracji, który w tym momencie pokonał matkę obsługującą jedną rodzinę, i to w zmniejszonym składzie.

- Możemy to rozdać sąsiadom - podsunęłaś.

- W życiu - sprzeciwiła się Amelia. - Niech kupią.

- Nasz dom to nie ciastkarnia - przypomniałam.

- I co z tego? Możemy wystawić to wszystko przy ulicy, tak jak warzywa. Willow i ja namalujemy duży szyld z napisem „Ciastka od Charlotte”, a ty zapakujesz każde z osobna w przezroczystą folię...

- A obok można postawić pudełko po butach - dodałaś - ze szczeliną na wieczku, żeby wrzucali do niego pieniądze, po dziesięć dolarów za ciastko.

- Dziesięć? - parsknęła Amelia. - Chyba po dolarze, ciemnoto.

- Mamo, Amelia powiedziała na mnie „ciemnoto” ...

Przed oczami stanęły mi białe ściany, przeszklona gablota, stoliki z nogami z kutego żelaza i marmurowymi blatami. Pistacjowe babeczki pieczone w profesjonalnym piecu, bezy rozpływające się w ustach, kasa.

- „Syllabub” - powiedziałam nagle, a wy obie odwróciłyście głowy w moją stronę. - Tak napiszemy na szyldzie.

Tego wieczoru, kiedy Sean wrócił, już dawno spałam; rano wyszedł, zanim zdążyłam się obudzić. Jedynym śladem jego bytności w domu był pusty kubek tkwiący samotnie w zlewie.

Patrzyłam na niego ze ściśniętym żołądkiem, udając, że to z głodu, nie z żalu. Przypiekłam sobie kawałek tosta, a do ekspresu do kawy włożyłam nowy, śnieżnobiały filtr.

Kiedy byliśmy świeżo po ślubie, Sean co rano parzył dla mnie kawę. Sam nie pił, ale przed wyjściem do pracy programował ekspres, żeby czekał na mnie pełny dzbanek, kiedy wyjdę spod prysznica. Schodziłam na dół, a na szafce w kuchni stał kubek z dwoma łyżeczkami cukru.

Czasami była pod nim karteczka: do zobaczenia albo już się stęskniłem.

Tego ranka w kuchni było zimno, a ekspres stał milczący i pusty.

Wlałam wodę, wsypałam kawę i dotknęłam przycisku, czekając, aż dzbanek napelni się parującym napojem. Sięgnęłam do szafki po kubek, ale nagle coś mnie naszło i wyjęłam ze zlewu tamten, z którego pił Sean. Umyłam go i nalałam kawy. Była za mocna, gorzka. Ciekawe, czyjego usta dotykały brzegu kubka w tym samym miejscu co moje.

Nigdy nie miałam zaufania do kobiet, które opowiadały, że ich małżeństwo rozpadło się z dnia na dzień. Jak mogłaś niczego nie zauważyć, myślałam sobie. Jak można było przegapić wszystkie znaki? Wiem już, jak: zajęta gaszeniem pożaru, który płonie na twoich oczach, nie zwracasz najmniejszej uwagi na ogniste piekło szalejące za twoimi plecami. Nie mogłam sobie nawet przypomnieć kiedy po raz ostatni Sean i ja śmialiśmy się z czegoś razem albo kiedy pocałowałam go tak po prostu, bez powodu. Pełniłam straż przy tobie i tak mnie to pochłonęło, że sama stałam się już kompletnie bezbronna.

Czasami, kiedy grałyście z Amelią w jakąś grę planszową, rzucone kostki wpadały wam w szczelinę w kanapie albo zlatywały na podłogę. Mówiłaś wtedy „Powtórka” i już: nowa szansa była na wyciągnięcie ręki. W tej chwili marzyłam właśnie o takiej powtórcie, choć szczerze mówiąc, gdybym nawet naprawdę mogła zacząć od nowa, to nie wiedziałabym gdzie.

Wylałam kawę do zlewu, patrząc, jak wiruje i znika w otworze.

Mogłam się obyć bez kofeiny i nikt nie musiał parzyć mi porannej kawy. Wyszłam z kuchni, zdjęłam z wieszaka jakąś kurtkę (była to kurtka Seana, pachniała nim) i wyskoczyłam na dwór po gazetę.

Zielona skrzynka na lokalny dziennik była pusta; pewnie Sean zabrał go, kiedy wychodził do pracy czy gdzie go tam poniosło. Zachnęłam się, rozczarowana, a kiedy odwróciłam się, chcąc wracać, wpadła mi w oko taczka, którą wystawiłyśmy wczoraj pełną wypieków przy ulicy, na końcu naszego podjazdu.

Była teraz kompletnie pusta. Leżało w niej tylko pudełko po butach, które Amelia pomalowała tak, że wyglądało jak kasa sklepowa. Miała to być skarbonka na dobrowolne opłaty. Obok tkwił szyld, twoje dzieło; napis syllabub wymalowany brokatową farbą na kartonie.

Złapałam pudełko i puściłam się pędem do domu. Pobiegłam prosto do waszej sypialni.

- Dziewczyny - wysapałam - patrzcie!

Odwróciłyście się do mnie zaspane.

- Boże... - jęknęła Amelia, szukając wzrokiem budzika. Usiadłam na twoim łóżku i otworzyłam pudełko.

- Skąd masz tyle pieniędzy? - zapytałaś, a Amelia podskoczyła jak poderwana sprężyną.

- Jakich pieniędzy?

- To za nasze wczorajsze ciasta - oznajmiłam.

- Daj mi to. - Amelia zabrała pudełko i zaczęła porządkować pieniądze. Były tam bilon i banknoty przeróżnych nominałów. - Tutaj jest ze stów!

Zsunęłaś się z łóżka i przysiadłaś do siostry.

- Jesteśmy bogaci - powiedziałaś, biorąc garść banknotów i rzucając je do góry.

- I co my z tym zrobimy? - Chciała wiedzieć Amelia.

- Kupmy sobie małpkę - zaproponowałaś.

- Małpki kosztują dużo więcej - prychnęła. - Lepiej kupić telewizor do naszego pokoju.

Moim zdaniem najlepiej byłoby pokryć debet na karcie kredytowej, ale coś mi mówiło, że ta propozycja nie spotka się z waszą aprobatą.

- Mamy już telewizor, na dole - powiedziałaś.

- A głupia małpa też nam niepotrzebna!

- Dziewczyny - przerwałam kłótnię. - Jeśli chcemy zdobyć pieniądze na wszystko, czego byśmy chciały, to mamy tylko jedno wyjście: musimy piec dalej, żeby zarobić jeszcze więcej. - Spojrzałam na jedną, potem na drugą. - No? Na co czekacie?

Pognałyście do łazienki, skąd po chwili rozległ się szum wody i metodyczne szuru-buru szczoteczek do zębów. Posłałam najpierw twoje łóżko, podkładając koc pod materac, ale kiedy pochyliłam się nad łóżkiem Amelii, spod materaca wyleciały dziesiątki papierków po cukierkach, plastikowa torebka po chlebie, szeleszczące opakowania po razowych krakersach. „Nastolatki”, westchnęłam w myślach, wygarniając to wszystko do śmieci.

Z łazienki dobiegły wasze podniesione głosy: posprzeczałyście się o to, która zostawiła niezakreconą pastę do zębów. Zanurzyłam dłoń w pudełku po butach i cisnęłam w powietrze kolejną garść drobniaków, nasłuchując, zamiast waszej sprzeczki, brzęku srebrzystych monet, pieśni na cześć życiowych szans.



## Sean

Nie trzeba było brać tej gazety. Do tego wniosku doszedłem, siedząc w jadalni dwa miasteczka za Bankton, powoli sącząc sok pomarańczowy i czekając, aż kucharz usmaży zamówione jajka. Dlaczego? Bo Charlotte zaczynała każdy dzień od kawy i szybkiego przejrzania nagłówek. Czasami nawet czytała na głos listy do redakcji, szczególnie te pisane przez nawiedzonych czubków będących o krok od wypowiedzenia wojny systemowi. Wymknąwszy się z domu o szóstej rano, zastanawiałem się przez chwilę, czy wziąć gazetę czy nie, ale pomyślałem sobie: to ją wkurzy. No dobrze, przyznaję się, być może właśnie to mnie skłoniło, żeby zabrać dziennik i pojechać. Ale wystarczyło go rozłożyć i rzucić okiem na pierwszą stronę - i już wiedziałem, że powinien zostać na miejscu, w skrzynce.

Bo na pierwszej stronie, na samej górze, wydrukowali artykuł o mnie i o mojej rodzinie.

### POLICJANT Z SĄSIEDZTWA SKŁADA SKARGĘ DO SĄDU

Pod wieloma względami Willow O'Keefe z Bankton to zupełnie zwyczajna pięciolatka. Chodzi na całodzienne zajęcia przedszkolne prowadzone w miejscowej szkole podstawowej. Uczy się tam czytać, liczyć i śpiewać. Na przerwach bawi się z rówieśnikami. Kupuje obiad w szkolnej stołówce. Coś ją jednak różni od koleżanek i kolegów. Czasami musi jeździć na wózku inwalidzkim, innym razem nie może chodzić bez pomocy balkonika albo aparatu ortopedycznego. Dzieje się tak, ponieważ w ciągu swojego krótkiego życia doznała już ponad sześćdziesięciu dwóch różnych złamań. Takie są skutki choroby zwanej *osteogenesis imperfecta*, na którą Willow cierpi od urodzenia, a która - jak twierdzą jej rodzice - powinna zostać rozpoznana przez lekarza położnika na tyle wcześnie, aby można było przeprowadzić zabieg usunięcia ciąży. Państwo O'Keefe bardzo kochają swoją córkę, nie chroni ich to jednak przed rachunkami za usługi medyczne nieobjęte standardowym ubezpieczeniem zdrowotnym. Z tego właśnie powodu porucznik Sean O'Keefe, policjant z Bankton oraz jego żona Charlotte O'Keefe dołączyli do rosnącego grona rodziców niezadowolonych z usług swoich ginekologów położników i podobnie jak wiele innych małżeństw postanowili oskarżyć lekarza prowadzącego ciążę o to, że nie zostali poinformowani o wadach rozwojowych swojego nienarodzonego jeszcze dziecka. Gdyby o nich wiedzieli, wtedy, jak twierdzą, podjęliby decyzję o dokonaniu aborcji.

Skargi z tytułu niedobrego urodzenia są uznawane przez sądy ponad połowy amerykańskich stanów. Nierzadko sprawy kończą się porozumieniem stron i wypłatą niższego

odszkodowania niż to, które mogłoby zostać zasądzone przez ławę przysięgłych. Dzieje się tak, ponieważ firmy ubezpieczające lekarzy od skutków błędu w sztuce nie chcą, aby dzieci takie jak Willow stawały przed ławnikami. Etycznych skutków tych procesów często nie da się jednak łatwo przewidzieć. Rodzą się pytania: co sprawy prowadzone z takiego tytułu mówią o stosunku społeczeństwa do niepełnosprawnych? Czy można osądzać rodziców, którzy dzień po dniu muszą patrzeć na cierpienie swoich kalekich dzieci? Czy ktokolwiek ma prawo wskazywać, które upośledzenia mają przesądzać o aborcji, a które nie? I wreszcie, jak cała ta sprawa wpłynie na samą Willow, która jest już na tyle duża, że może wysłuchać zeznań swoich rodziców?

Lou St. Pierre, przewodniczący oddziału Amerykańskiego Związku Niepełnosprawnych w stanie New Hampshire, rozumie,

dlaczego państwo O'Keefe oraz inni rodzice w podobnej sytuacji podjęli decyzję o wstąpieniu na drogę sądową. „Jest to sposób na wyjście z niebywale trudnej sytuacji finansowej, którą stwarza posiadanie ciężko upośledzonego dziecka”, mówi p. St. Pierre, który urodził się z rozszczepem kręgosłupa i porusza się wyłącznie na wózku. „Niemniej przekaz, jaki otrzymuje owo chore dziecko, budzi zastrzeżenia. Dowiaduje się ono, że człowiek obarczony kalectwem nie może żyć pełnym, wartościowym życiem, że dla tych, którzy nie są idealni, nie ma miejsca na tym świecie”.

Ostatni proces z tytułu niedobrego urodzenia odbył się w 2004 r. i zakończył porozumieniem stron, na mocy którego wypłacono odszkodowanie w wysokości 3,2 miliona dolarów, jednakże Sąd Najwyższy stanu New Hampshire w 2006 r. unieważnił tę ugodę.

Było nawet zdjęcie całej naszej czwórki, z broszury „Poznaj pomocnego policjanta z sąsiedztwa”, którą dwa lata temu wydała komenda w Bankton. Amelia nie nosiła jeszcze wtedy aparatu korekcyjnego.

A ty miałaś rękę w gipsie.

Cisnąłem gazetę przed siebie; wylądowała na siedzeniu naprzeciwko. Ci dziennikarze to pieprzone gnoje. Co oni robią, czatują pod sądem i sprawdzają, jakie sprawy wchodzi na wokandę? Każdy, kto przeczyta ten artykuł - a kto go nie przeczyta, w końcu to lokalny dziennik - pomyśli, że porucznik O'Keefe goni za forszą.

Żeby pokazać, jak daleki jestem od tego, wyjąłem portfel i zostawiłem na stoliku dwie dychy za posiłek, który miał kosztować dwa dolce, a którego nawet nie dostałem.

Piętnaście minut później, po krótkiej wizycie w komisariacie, żeby sprawdzić adres,

zajechałem pod dom Marin Gates. Takiego widoku się nie spodziewałem: na trawniku stały krasnale, a skrzynka na listy miała kształt świni z otwieranym ryjkiem. Ściany pomalowane na fioletowo. W takim domu mogliby mieszkać Jaś i Małgosia, a nie rzeczowa, zasadnicza pani adwokat.

Zadzwoiłem, a Marin Gates otworzyła drzwi, ubrana w koszulkę z okładką „Revolvera” Beatlesów i dresy z literami UNH na nogawce - Uniwersytet Stanu New Hampshire.

- Co pan tu robi? - zapytała.

- Musimy porozmawiać.

- Trzeba było zadzwonić. - Rozejrzała się, szukając Charlotte.

- Jestem sam - powiedziałem.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Mój adres jest zastrzeżony. Skąd pan wiedział, gdzie mieszkam?

Wzruszyłem ramionami.

- Pracuję w policji.

- To naruszenie prywatności...

- W porządku. Może mnie pani zaskarżyć. Zaraz po Piper Reece. - Pokazałem jej poranną gazetę. - Czytała pani ten szajs?

- Czytałam. Z prasą nie wygramy, możemy tylko powtarzać „Bez komentarza”.

- Wycofuję się.

- Słucham?

- Rezygnuję. Nie wystąpię jako powód. - Kilka prostych słów, a poczułem się tak, jakbym zrzucił ciężar całego świata z własnych barków na jakiegoś innego frajera. - Podpiszę wszystko, co pani sobie życzy, tylko chcę się oficjalnie wycofać z procesu.

Adwokatka zawahała się przez chwilę.

- Proszę, niech pan wejdzie. Porozmawiajmy.

Jej dom sprawił mi już niezłą niespodziankę, ale dopiero w środku czekał na mnie prawdziwy szok. Jedną ścianę w całości zajmowały półki pełne figurek z porcelany, resztę zdobiły hafty. Na kanapie leżały koronkowe serwetki, rozpostarte jak kolonie glonów na powierzchni wody.

- Ładnie tu u pani - skłamałem.

Obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem.

- Dom był w pełni urządzony, kiedy go wynajęłam - wyjaśniła.

- Właścicielka mieszka na Florydzie, w Fort Lauderdale.

Na stole w jadalni leżał stos teczek i prawniczy notatnik, a dookoła, na podłodze, wały się powyrywane, pogniecione kartki; pisała coś, ale najwidoczniej ciężko jej to szło.

- Poruczniku, proszę posłuchać. Wiem, że do tej pory nasza współpraca nie układała się najlepiej, a tamto przesłuchanie było dla pana... trudnym przeżyciem. Ale spróbujemy jeszcze raz, a w sądzie wszystko będzie już wyglądało zupełnie inaczej. Naprawdę jestem przekonana, że ławnicy zasądzą takie odszkodowanie...

- Nie chcę waszej brudnej forsy - przerwałem jej. - Niech sobie Charlotte ją bierze.

- Chyba już rozumiem, w czym rzecz - powiedziała adwokatka. - Ale tutaj nie chodzi o państwa, pana i pańską żonę, tylko o Willow. A jeśli naprawdę pragnie pan zapewnić jej taki byt, jaki jej się należy, musi pan wygrać ten proces. Wycofując się teraz, da pan obronie do ręki dodatkowy argument...

Kiedy nagle zrozumiała, że właśnie tego, zdaje się, chcę, było już za późno.

- Moja córka - powiedziałem stanowczym głosem - czyta na poziomie szóstej klasy. Zobaczy ten artykuł i dziesięć podobnych, bo przecież na jednym się nie skończy. Usłyszy, jak mama mówi przed całym światem, że wolałaby jej nie urodzić. Niech pani sama osądzi: czy lepiej, żebym siedział z wami w sądzie i odbierał szanse na wygraną samym swoim wyglądem, czy może powinienem jednak się wycofać i dać wsparcie Willow, żeby wiedziała, że jest ktoś, kto ją kocha niezależnie od tego, jaka jest?

- Jest pan pewien, że to właśnie będzie dla niej najlepsze?

- A pani jest pewna? - odpowiedziałem pytaniem. - Nie ruszę się stąd, dopóki nie dostanę papierów do podpisu.

- Chyba pan nie sądzi, że przygotuję panu dokumenty w niedzielę rano, kiedy nawet nie jestem w kancelarii...

- Spotkamy się tam za dwadzieścia minut - oznajmiłem, ruszając do drzwi. Na samym progu zatrzymał mnie jeszcze jej głos:

- A żona? Co ona myśli o pana decyzji?

Odwrociłem się powoli.

- Ona nie myśli o mnie ani o moich decyzjach - odparłem.

Nie rozmawiałem z Charlotte ani tego wieczoru, ani następnego dnia rano. Uznałem, że

do tej pory Marin Gates zdąży ją poinformować, że się wycofałem. A ponieważ instynktu samozachowawczego nie zagłuszy nawet najmocniejsze przekonanie o słuszności swoich racji, więc przed powrotem do domu i rozmową z twoją matką musiałem się wzmocnić paroma drinkami; z drugiej strony, będąc policjantem, nie mogłem usiąść za kierownicą, dopóki mój organizm nie zneutralizuje alkoholu.

Może szczęście mi dopisze i Charlotte będzie już spała, kiedy wrócę.

- Tommy. - Skinąłem na barmana, podsuwając mu pustą szklankę po piwie. Przeszedłem do baru po zmianie, razem z kumplami z patrolu, ale wszyscy zmyli się już do domów, do żon i dzieciaków. Było za późno na drinka przed kolacją i za wcześnie na wieczornych balangowiczów; w knajpie oprócz mnie i barmana Tommy'ego siedział tylko jeden dziadek, który zaczynał pić o trzeciej po południu, a kończył, kiedy zamykali; wtedy przyjeżdżała po niego córka.

Brzęknął dzwonek nad drzwiami. Do środka weszła kobieta w obcisłym płaszczu w lamparcie cętki. Zdjęła go po chwili, a pod spodem miała jeszcze obciślejszą, seksowną różową mini. Oskarżyciel w procesie o gwałt ma przerabane, kiedy wyjdzie na jaw, że ofiara była tak ubrana.

- Chłodno dziś - powiedziała, przysiadając się do mnie.

To się ubierz, pomyślałem, wbijając wzrok w pustą szklankę. Tommy podał mi następne piwo.

- Co dla pani? - zapytał.

- Brudne martini - powiedziała, odwracając się do mnie z uśmiechem. - Pił pan to kiedyś?

Pociągnąłem piwa ze szklanki.

- Nie lubię oliwek.

- A ja lubię wysysać te małe papryczki - przyznała się, rozpuszczając swoje kręcone blond włosy, które spłynęły falą po plecach. - Piwo smakuje jak żwirek dla kota, jeśli ktoś chce znać moje zdanie.

Parsknąłem śmiechem.

- A skąd pani wie, jak smakuje żwirek dla kota?

Uniosła wysoko brwi.

- Czasami na pierwszy rzut oka wiadomo, czy coś nam przypadnie do gustu czy nie. Nigdy pan tak nie miał?

Powiedziała „coś”, prawda? Nie „ktoś”?

Nigdy nie zdradziłem Charlotte. Nigdy nawet nie przyszło mi to do głowy. Bóg jeden wie, ile miałem okazji w tej robocie, ile młodych kobiet przewinęło mi się przez ręce - wystarczyło skorzystać. Ale będę szczery: Charlotte miała wszystko, o czym marzyłem. Nawet teraz, osiem lat po ślubie, nic się nie zmieniło. Tylko że tamta kobieta, która składając przysięgę małżeńską, obiecywała, że będzie kupować mi waniliowe lody, chociaż czekoladowe są o niebo lepsze, ostatnimi czasy zniknęła z naszego domu. Jej miejsce zajęła gotowa na wszystko bojowniczką, nieobecna duchem, tak skupiona na tym, co chce zdobyć, że przestała dostrzegać to, co już miała.

- Jestem Sean - przedstawiłem się nieznajomej.

- Taffy Lloyd - odpowiedziała, pociągając łyżeczek martini. - Jak ta londyńska korporacja ubezpieczeniowa. To znaczy Lloyd, a nie Taffy.

- Domyśliłem się.

Zmrużyła oczy.

- Czy ja pana przypadkiem nie znam?

- Zapamiętałbym chyba kogoś takiego jak pani...

- Nie, nie, jestem pewna. Nigdy nie zapomnę twarzy...

- Urwała i pstryknęła palcami. - Widziałam pana w gazecie! - oznajmiła. - Pan ma tę ciężko chorą córeczkę, tak? Co tam u niej?

Sięgnąłem po swoje piwo, zastanawiając się, czy ta cała Taffy słyszy, jak głośno wali mi serce. Bo ja słyszałem. Poznała mnie ze zdjęcia w gazecie? Ilu jeszcze mnie pozna?

- Wszystko w porządku - odpowiedziałem krótko, jednym haustem opróżniając szklanę.

- Właśnie się do niej zbieram, do domu.

Do diabła z samochodem; pójdę na piechotę. Zsunąłem się ze stołka, ale zatrzymał mnie jej głos:

- Podobno wycofał się pan z procesu?

Odwrociłem się powoli.

- Tego nie było w gazecie - wycodziłem.

Słodką idiotką nagle gdzieś zniknęła.

- Dlaczego chce pan zrezygnować? - zapytała kobieta siedząca przede mną, przesywając mnie spojrzeniem swoich błękitnych oczu.

Kto to był? Dziennikarka? Zastawili na mnie pułapkę? Moja czujność rozbudziła się w jednej chwili, ale było już za późno.

- Muszę zrobić to, co jest najlepsze dla Willow - wymamrotałem, naciągając kurtkę na ramiona. Zakląłem, kiedy ręka zaplątała mi się w rękawie.

Taffy Lloyd położyła przede mną wizytówkę.

- Dla Willow najlepiej będzie - powiedziała - jeśli ten proces nie dojdzie do skutku.

Skinęła mi głową i zarzuciwszy na ramię swój płaszcz w lamparcie cętki, wyszła, zostawiając na barze prawie nietknięte martini.

Spojrzałem na wizytówkę, przesuwając palcem po czarnych, wytłoczonych literach:

Taffy Lloyd, wywiadowca prawny

Kancelaria Booker, Hood i Coates

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem przed siebie. Jechałem trasą swoich patroli, kręcąc ósemki, najpierw olbrzymie, potem coraz ciasniejsze, coraz bliżej centrum Bankton. Wypatrywałem spadających gwiazd, kierując się tam, gdzie powinny spaść. Jeździłem, dopóki oczy same nie zaczęły mi się zamykać, a było to już dobrze po północy.

Wszedłem na palcach do domu i powlokłem się, nie zapalając światła, do bieliźniarki, żeby przynieść sobie pościel. Nagle zupełnie opadłem z sił. Byłem tak zmęczony, że nie mogłem utrzymać się na nogach. Usiadłem ciężko na kanapie, kryjąc twarz w dłoniach.

Jak to możliwe, że ta sprawa w tak krótkim czasie zaszła tak daleko - to była dla mnie zagadka. Wszedłem wzburzony od prawnika, a zanim zdążyłem się obejrzeć, moja żona już była tam z powrotem, sama. Nie mogłem jej tego zabronić, ale szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że naprawdę zdecyduje się wnieść skargę. Charlotte nie lubiła ryzyka. Okazało się jednak, że właśnie tutaj popełniłem krytyczny błąd w ocenie: ona nie robiła tego dla siebie, tylko dla ciebie.

- Tatusiu.

Uniosłem głowę; stałaś przede mną, na bosaka, stopy miałaś białe jak duch.

- Dlaczego nie śpisz? - zapytałem. - Jest środek nocy.

- Pić mi się chce.

Poszliśmy do kuchni: ja przodem, ty cichutko za mną. Stąpałaś bardziej na lewą nogę, oszczędzając prawą. Inny ojciec uznałby, że córka po prostu krzywo idzie, bo jest zaspana, ale ja od razu zacząłem myśleć o mikrozłamaniach i zwichnięciu stawu biodrowego. Nalałem ci

szklankę wody z kranu i oparłszy się o szafkę, czekałem, aż wypijesz.

- Dobra. - Wziąłem cię na ręce, bo nie mógłbym spokojnie patrzeć, jak gramolisz się po schodach. - Idziemy spać.

Objęłaś mnie za szyję filigranowymi rączkami.

- Tatusiu, dlaczego nie śpisz u siebie w łóżku?

Stałem w połowie schodów.

- Na kanapie mi wygodniej.

Wszedłem do waszego pokoju, po cichu, żeby nie obudzić Amelii pochrapującej leciutko na łóżku tuż obok twojego. Przykryłem cię kołdrą.

- Jakbym nie była taka - szepnęłaś - jakbym nie miała kości takich do kitu, to na pewno byś spał tam, gdzie zawsze.

Twoje oczy lśniły w ciemności, połyskiwał krągły jak jabłko policzek. Nie odpowiedziałem. Nie miałem odpowiedzi.

- Idź spać - rzuciłem. - Za późno na takie rozmowy.

Nieoczekiwanie, w jednej chwili, jakby ktoś wkleił do filmu klatkę z przyszłości, zobaczyłem, kim będziesz, kiedy dorośniesz. Ta uparta determinacja, akceptacja i spokój osoby skazanej na nieustanną, zmuszoną walkę; w tamtej chwili najbardziej przypominałaś swoją mamę.

Zamiast zejść z powrotem na dół, wślizgnąłem się do naszej sypialni. Charlotte spała na prawym boku, twarzą do pustego miejsca na łóżku. Usiadłem ostrożnie na skraju pościelenia, a potem wyciągnąłem się na plecach, starając się nie trząść materacem. Na koniec obróciłem się na bok, twarzą do Charlotte, niczym jej lustrzane odbicie.

Sypialnie, własne łóżko, własna żona - to wszystko było jednocześnie nieodłączne i krępujące, jakbym próbował wcisnąć na siłę ostatni element układanki, który mimo wszystko nie pasuje. Spojrzałem na dłoń Charlotte, leżącą na kołdrze. Była zwinięta w pięść, jakby na znak gotowości do walki, nawet w nocy, nawet podczas snu. Kiedy dotknąłem jej nadgarstka, palce rozchyliły się jak płatki róży, a kiedy uniosłem wzrok, spojrzałem prosto w jej otwarte oczy.

- To sen? - zapytała szeptem.

- Tak - odpowiedziałem, a ona zamknęła moją dłoń w swojej.

Patrzyłem, jak zasypia z powrotem, wypatrując chwili przejścia ze świata, w którym byłem ja, do tego drugiego, ale to się stało zbyt szybko, żebym mógł zauważyć. Delikatnie wysunąłem dłoń z jej dłoni. Przez jedną chwilę błysnęła mi nadzieja, że kiedy Charlotte się



obudzi, przypomni sobie, że tutaj byłem. I że to wspomnienie wynagrodzi jej skutki decyzji, którą podjąłem.

Parę lat temu żona jednego z naszych kumpli z komendy zachorowała na raka piersi. Kiedy dostawała chemię, kilku z nas w geście solidarności ogoliło sobie głowy na zero; wszyscy robiliśmy, co się dało, żeby pomóc George'owi przejść przez to piekło. Wreszcie jego żona wyzdrowiała, a my uczciliśmy to hucznie - tylko że tydzień później powiedziała mu, że chce się rozwieść. Wtedy wydawało mi się to szczytem kobiecej bezduszności: facet był przy niej na dobre i na złe, a ona puściła go kantem. Teraz jednak zacząłem dostrzegać, że to, co z jednej strony wygląda jak najgorszy chłam, pod innym kątem może być dziełem sztuki. Może rzeczywiście dopiero po ciężkim kryzysie człowiek poznaje się naprawdę; może trzeba dostać w kość, żeby zrozumieć, czego właściwie chce się od życia.

Nie czułem się dobrze w tym miejscu; budziło nieprzyjemne wspomnienia. Na środku potężnego, lśniącego stołu stał dzbanek, a pod nim leżały serwetki; wziąłem jedną, żeby otrzeć sobie czoło. Marzyłem tylko o tym, żeby przyznać, że to wszystko był błąd, i uciec. Na przykład wyskoczyć oknem.

Ale zanim zdążyłem wprowadzić tę rozsądną myśl w czyn, drzwi otworzyły się i do sali wszedł przedwcześnie posiwiał (nie zauważyłem tego za pierwszym razem?) mężczyzna, a za nim blondynka w eleganckich okularach i kostiumie zapiętym pod samą szyję. Opadła mi szczęka: po tamtej Taffy Lloyd z baru nie został najmniejszy ślad. Bez słowa skinąłem jej głową, a potem spojrzałem na Guya Bookera, prawnika, który przed kilkoma miesiącami w tym samym gabinecie zrobił ze mnie durnia.

- Przyszedłem się dowiedzieć, co mogę zrobić - zacząłem.

Booker obejrzał się na swoją pracownicę.

- Chyba nie rozumiem, co chce pan przez to powiedzieć, poruczniku...

- Chcę powiedzieć - wyjaśniłem - że przechodzę na waszą stronę.

## **Marin**

Co powiedzieć matce, której się nigdy nie znało?

Odkąd Maisie Donovan powiedziała mi, że posiada aktualny adres mojej biologicznej matki, napisałam sto wersji listu do niej. Układ był taki: chociaż uczynna urzędniczka odnalazła osobę, której poszukiwałam, nie wolno mi było skontaktować się z nią osobiście. Mój list musiałam wysłać Maisie, która występując w charakterze pośrednika, miała zadzwonić do mojej biologicznej matki i zostawić jej swój numer telefonu wraz z wiadomością następującej treści: muszę skontaktować się z panią w bardzo ważnej, osobistej sprawie. Należało przypuszczać, że po odsłuchaniu takiej wiadomości kobieta domyśli się, co to za sprawa, i oddzwoni, a wtedy Maisie, potwierdziwszy, że to istotnie ta osoba, o którą chodzi, przeczyta jej mój list przez telefon albo prześle go pocztą.

Dostałam też od niej listę wskazówek, które w założeniu miały pomóc mi w pisaniu.

W tym liście przedstawia się Pani biologicznej matce, którą starała się Pani odnaleźć. Jest to, praktycznie rzecz biorąc, obca osoba, a więc ten list dostarczy jej pierwszego wrażenia na Pani temat. Aby nie zniechęcić adresata, jego długość nie powinna przekroczyć dwóch stron. Jeśli ma Pani czytelny charakter pisma, lepsze wrażenie zrobi list odręczny, ponieważ daje wyraz Pani osobowości.

Przede wszystkim powinna Pani zdecydować, czy ten pierwszy kontakt ma być anonimowy. Jeśli zechce Pani podpisać się własnym nazwiskiem, proszę mieć na uwadze, że adresat będzie mógł dzięki temu dotrzeć do Pani osobiście. Być może wolałaby Pani najpierw poznać tę osobę, zanim poda jej Pani adres lub numer telefonu.

List powinien zawierać ogólne informacje na Pani temat: wiek, wykształcenie, wykonywany zawód, uzdolnienia lub zainteresowania, stan cywilny oraz to, czy ma Pani dzieci. Fotografie Pani oraz Pani rodziny będą bardzo mile widziane. Jest to również odpowiedni moment, aby wyjaśnić, dlaczego postanowiła Pani odnaleźć swoich biologicznych rodziców.

Jeżeli ma Pani do przekazania jakiejś trudnej informacji, nie należy ich zamieszczać w pierwszym liście. Wyrażanie negatywnych opinii na temat adopcji - na przykład o nadużyciach ze strony rodziny zastępczej - jest niewłaściwe. Takie informacje lepiej przekazać później, po nawiązaniu bliższej relacji. Wielu biologicznych rodziców cierpi z powodu wyrzutów sumienia, chociaż decyzję o oddaniu do adopcji podjęli w trosce o dobro dziecka; boją się usłyszeć, że nie

ułożyło się tak dobrze, jak sobie tego życzyli. Ujawnienie niewdzięcznych faktów na samym początku położy się cieniem na znajomości z odnalezionym rodzicem i może utrudnić nawiązanie pozytywnych stosunków.

Jeśli natomiast jest Pani wdzięczna swojej biologicznej matce za to, że podjęła taką, a nie inną decyzję, może to Pani w krótkich słowach wyrazić. Jeśli interesują Panią informacje natury medycznej, może Pani o tym wspomnieć. Natomiast z pytaniem o biologicznego ojca być może warto jednak się wstrzymać. Niewykluczone, że jest to sprawa zbyt bolesna, aby poruszać ją w pierwszym liście. Aby przekonać biologiczną matkę, że zależy Pani na nawiązaniu obopólnie korzystnej relacji, może Pani dodać, że chciałaby się spotkać albo porozmawiać przez telefon, ale uszanuje Pani jej życzenie, jeśli będzie wolała z tym poczekać.

Przeczytałam te wskazówki tyle razy, że mogłam je praktycznie wyrecytować z pamięci, słowo w słowo. Wydawało mi się jednak, że nie ma tam żadnych naprawdę istotnych informacji. Ile należy powiedzieć o sobie, żeby dobrze się przedstawić, a jednocześnie nie zrazić drugiej osoby? Jeśli na przykład napiszę, że jestem demokratką, a ona tymczasem głosuje na republikanów, to czy wyrzuci mój list do śmieci? Czy powinnam wspomnieć, że wzięłam udział w marszu na rzecz badań nad AIDS i że popieram małżeństwa homoseksualne? A to było jeszcze zupełnie nic w porównaniu z decyzją, którą musiałam podjąć, kiedy przyszło napisać list na czysto. Chciałam wysłać kartkę z obrazkiem, żeby pokazać, że naprawdę się starałam - bazgroły na stronie wyrwanej z notesu wyglądają byle jak - ale miałam pod ręką bardzo zróżnicowany asortyment: obraz Picassa, ilustrację Mary Engelbreit i fotografię Roberta Mapplethorpe'a. Picasso wydał mi się zbyt oklepany; Engelbreit dziecinna; Mapplethorpe... - a jeśli ona go nie znosi, po prostu, z zasady? Otrząsnęłam się wreszcie i powiedziałam sobie: Daj spokój, Marin, przecież to nie żaden golas, tylko normalny kwiat.

Teraz pozostało mi już tylko ustalić, co napiszę na tej kartce.

Kiedy Briony otworzyła drzwi do mojego gabinetu, pospiesznie schowałam notatki do teczki. Może to nie było do końca zgodne z polityczną poprawnością ulegać prywatnej obsesji w godzinach pracy, ale im bardziej angażowałam się w sprawę Charlotte i Seana O'Keefe, tym częściej myślałam o swojej biologicznej matce.

Brzmi to głupio, ale coś mi mówiło, że te poszukiwania są ratunkiem dla mojej duszy. Skoro już musiałam reprezentować kobietę, która żałowała, że jej dziecko przyszło na świat, to chyba warto było przynajmniej odnaleźć własną matkę i podziękować jej za to, że myślała

inaczej.

Sekretarka rzuciła mi na biurko szarą, urzędową kopertę.

- Depesza od szatana - oznajmiła. Spojrzałam na adres nadawcy: Booker, Hood i Coates.

Rozerwawszy kopertę, znalazłam w środku zmodyfikowaną listę świadków.

- To chyba żart - mruknęłam, wstając zza biurka i idąc po płaszcz. Należało złożyć wizytę Charlotte O'Keefe.

Drzwi otworzyła dziewczyna z niebieskimi włosami. Gapiłam się na nią całe pięć sekund, zanim poznałam starszą córkę Charlotte, Amelię.

- Nie wiem, co pani sprzedaje - powiedziała - ale dziękuję, nie kupuję.

- Ty jesteś Amelia, prawda? - Zmusiłam się do uśmiechu. - Nazywam się Marin Gates. Jestem adwokatem twojej mamy.

Obejrzała mnie dokładnie, od stóp do głów.

- Niech będzie. Mamy nie ma. Zostawiła mnie z dzieckiem.

- Nie jestem dzieckiem! - dobiegło z głębi domu.

Amelia jeszcze raz obrzuciła mnie wzrokiem.

- Chciałam powiedzieć: z małą inwalidką.

Nagle w drzwiach ukazała się twoja buzia.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęłaś się. Nie miałaś zęba na samym przodzie.

Ławnicy zakochają się w tobie, pomyślałam. I opieprzyłam się natychmiast za takie myśli.

- Mam coś przekazać mamie? - zapytała Amelia.

Przecież nie mogłam jej powiedzieć: twój tata zgłosił się na świadka obrony.

- Miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z waszą mamą osobiście.

Amelia wzruszyła ramionami.

- Nie wolno nam wpuszczać do domu obcych.

- Pani nie jest obca - powiedziałaś, łapiąc mnie za rękę i wciągając do środka.

Nie miałam zbyt wielkiego doświadczenia z dziećmi i wiele zdawało się wskazywać na to, że nigdy go nie nabiorę, ale dotknięcie twojej dłoni miało w sobie coś szczególnego; była miękka jak królicza łapka i kto wie, może też przynosiła szczęście? Pozwoliłam zaprowadzić się do dużego pokoju, gdzie na podłodze leżał maszynowy dywanik z orientalnym wzorem, pod ścianą stał zakurzony telewizor, a na gzymsie kominka piętrzyły się wysoko sfatygowane

pudełka z grami planszowymi. Najwidoczniej przerwałam wam partię monopolu, bo na niskim stoliku stojącym przed kanapą leżała rozłożona plansza.

- Może pani wejść za mnie - powiedziała Amelia, krzyżując ręce na piersi. - I tak czuję się bardziej komunistką niż kapitalistką.

Pobiegła na piętro, zostawiając mnie wgapioną w kolorowe, poobstawiane pola.

- Wie pani, na jakiej ulicy najczęściej się staje? - zapytałam.

- Hmm. - Usiadłam na kanapie. - A nie jest tak, że wszystkie ulice są równe?

- Nie, bo trzeba wziąć pod uwagę kartę „Wychodzisz z więzienia” i inne takie.

Najczęściej staje się na Illinois.

Spojrzałam na planszę. Miałaś trzy hotele postawione na Illinois Avenue.

A po Amelii zostało mi wszystkiego sześćdziesiąt dolarów.

- Skąd wiesz? - zapytałam.

- Przeczytałam. Lubię wiedzieć rzeczy, których nikt nie wie.

Byłam pewna, że miałaś głowę pełną faktów, o których inni nie słyszeli i nigdy nie mieli usłyszeć. Trochę to irytujące rozmawiać z sześciolatką (prawie), która, jak należało przypuszczać, dysponowała zasobem słów porównywalnym z moim własnym.

- To powiedz mi coś, czego nie wiem - poprosiłam.

- „Król Lew” to pierwszy film, który zdubbingowano w języku Zulusów.

- Naprawdę? - roześmiałam się.

Skinęłaś głową.

- Ale „Kubuś Puchatek” i tak jest lepszy. Tylko że to film dla dzieci. Książka zresztą też.

Wolę Harper Lee.

- Harper Lee? - powtórzyłam.

- Aha. Nie zna pani „Zabić drozda”?

- Pewnie, że znam. Tylko nie mogę uwierzyć, że to czytałaś.

Taka była moja pierwsza prawdziwa rozmowa z dziewczynką, która była okiem tego sądowego cyklonu. Uświadomiłam sobie wtedy coś niezwykłego: polubiłam cię. Bardzo. Byłaś autentyczna, inteligentna i miałaś poczucie humoru, chociaż może od czasu do czasu faktycznie coś tam sobie łamałaś. Spodobało mi się zwłaszcza to, że choroba była u ciebie na ostatnim miejscu - dokładnie odwrotnie niż u twojej mamy, co już podobało mi się mniej. Znacznie mniej.

- No dobrze, to teraz był ruch Amelii. Czyli pani rzuca - powiedziałaś.

Spojrzałam na planszę.

- Wiesz co? Nie lubię monopolu.

To była szczerza prawda. Miałam w dzieciństwie kuzyna, który zawsze oszukiwał, kiedy był bankierem; defraudował całą kasę, a gra ciągnęła się przez cztery wieczory z rzędu.

- Chce pani zagrać w coś innego?

Odwróciwszy się w stronę kominka przywalonego rumowiskiem kartonowych pudełek, zauważyłam domek dla lalek, dokładną miniaturową kopię waszego domu, z czarnymi okiennicami i czerwonymi drzwiami; były tam nawet kwitnące krzewy w charakterze zieleni i długie tkane dywaniki.

- No, no. - Z nabożnym szacunkiem dotknęłam krytego gontem dachu. - Niesamowite.

- To tata zrobił.

- Też kiedyś miałam domek dla lalek. - Podniosłam go i ustawiłam na planszy do monopolu.

Domek dla lalek. Moja ulubiona zabawka. Pamiętałam mikroskopijny salon, w nim krzesła obite grubym czerwonym aksamitem i stare pianino, które grało melodyjkę, kiedy kręciłam korbką. W łazience - wanna na zwierzęcych łapach i tapeta w jasne prążki. To był stary dom w stylu wiktoriańskim, zupełnie niepodobny do domu mojego dzieciństwa, ale przedstawiając łóżka, kanapy i szafki w kuchni, mówiłam sobie, że jest to alternatywna rzeczywistość, miejsce, gdzie mogłabym mieszkać, gdyby mnie nie oddano do adopcji.

- Niech pani zobaczy. - Pokazałaś mi unoszoną deskę na porcelanowym sedesie. Ciekawe, pomyślałam, czy lalkowi faceci też zapominają ją opuścić.

W lodówce leżały miniaturowe steki z drewna, stały butelki z mlekiem i malutki karton jajek wyglądających jak perełki. Uniosłam wieczko wiklinowego koszyka; w środku był kłębek wełny z wbitymi drutami.

- Tutaj mieszkają siostry - powiedziałaś, wsuwając dłoń do pokoju na piętrze i poprawiając materace na dwóch łóżkach z mosiężnymi ramami. - Tutaj śpi mama. - W pokoju obok, na dużym, podwójnym łóżku położyłaś dwie poduszki i kołdrę w zwariowany wzorek, wielkości mojej dłoni. - A to - wzięłaś osobny koc i poduszkę, kładąc je na obitej różowym aksamitem kanapie w salonie - to dla taty.

Boże, pomyślałam. Ale cię załatwili.

Nagle w drzwiach stanęła Charlotte. Powiało mroźnym, zimowym powietrzem. W rękach

niosła wypchane ekologiczne torby.

- Aha, to twój samochód - powiedziała, kładąc zakupy na podłodze. - Amelia! - zawołała w kierunku schodów. - Wróciłam!

- Hura - dobiegło z piętra. Cicho i bez cienia entuzjazmu.

Chyba nie tylko tobie zrobili krzywdę, pomyślałam.

Charlotte pochyliła się, żeby pocałować cię w czoło.

- Jak tam, rybko? Bawisz się domkiem dla lalek? Sto lat gonie wyciągałaś...

- Musimy porozmawiać. - Wstałam z kanapy.

- Już. - Charlotte podniosła z podłogi kilka toreb. Wzięłam resztę i poszliśmy do kuchni. Zaczęła wyjmować zakupy: sok pomarańczowy, mleko, brokuły. Makaron rurki, ser, płyn do mycia naczyń, zamykane torebki.

Produkt. Towar. Marka. Przepis na istnienie.

- Guy Booker powołał kolejnego świadka obrony - powiedziałam. - Twojego męża.

Słoik pikli, który Charlotte miała akurat w dłoni, gruchnął o podłogę.

- Co takiego?

- Sean będzie zeznawał przeciwko tobie - powtórzyłam obojętnym tonem.

- Przecież tak nie można. Można czy nie można?

- Cóż, skoro sam prosił, żeby wycofać go z procesu...

- Jak to?!

Zapachniało octem; na podłodze rosła kałuża z zalewy.

- Charlotte. - Aż mnie zatkało. - Sean mówił, że przedyskutował to z tobą.

- Od tygodni się do mnie nie odzywa. Jak on mógł... ? Jak mógł nam to zrobić?

W tym momencie zajrzałaś do kuchni.

- Coś się zbiło? - zapytałaś.

Charlotte uklękła na podłodze, zbierając resztki roztrzaskanego słoika.

- Willow, nie wchodź do kuchni.

Sięgnęłam po rolkę papierowych ręczników. Nagle Charlotte krzyknęła; skaleczyła się w palec kawałkiem szkła.

Pociekła krew. Patrzyłaś na nią wielkimi oczami. Popchnęłam cię lekko w kierunku pokoju.

- Idź, przynieś mamie plaster - poprosiłam.

Kiedy wróciłam do kuchni, Charlotte siedziała na podłodze, przyciskając krwawiącą dłoń do piersi.

- Marin - zapytała, patrząc mi w oczy. - Co ja mam zrobić?

To chyba było dla ciebie całkiem nowe przeżycie - jazda do szpitala w charakterze osoby towarzyszącej. Bo bardzo szybko się okazało, że twoja mama skaleczyła się naprawdę głęboko i plasterk nie tutaj nie pomoże. Zawiozłam ją na ostry dyżur. Ty i Amelia siedziałyście z tyłu, opierając nogi na kartonowych pudłach z aktami. W szpitalu chirurg założył Charlotte dwa szwy na serdeczny palec; przez cały czas tkwiłaś u boku mamy, ściskając ją mocno za zdrową rękę. Zaproponowałam, że pojedziemy do apteki, żeby wykupić przepisany tylenol z kodeiną, ale Charlotte powiedziała, że ma w domu dość środków przeciwbólowych z recept, które dostałaś po ostatnim złamaniu.

- Czuję się dobrze - zapewniła. - Naprawdę.

I prawie jej uwierzyłam. Lecz po chwili przypomniałam sobie, jak mocno ściskała cię za rękę, kiedy chirurg zakładał szwy, oraz to, co zamierzała powiedzieć na twój temat przed ławą przysięgłych już za kilka tygodni.

Wróciłam do kancelarii, chociaż ten dzień i tak miałam już do tyłu. Wyjęłam z najwyższej szuflady biurka wskazówki Maisie Donovan, które miały mi pomóc w napisaniu listu do mojej biologicznej matki i przeczytałam je po raz ostatni.

Rodzina nigdy nie jest taka, jakiej pragniemy. Wszyscy marzymy o tym, co niemożliwe: idealnym dziecku, kochającym mężu, o matce, która kiedyś nie chciała nas zatrzymać. Żyjemy w dużych domkach dla lalek, kompletnie nieświadomi tego, że w każdej chwili może pojawić się wielka dłoń i zmienić wszystko, co nas otacza, wszystko, do czego jesteśmy tak przywiązani.

„Witam”, napisałam szybko.

*Układałam sobie ten list chyba ze sto razy w głowie, bez przerwy go poprawiając, aby wreszcie brzmiał tak, jak trzeba. Trzydzieści jeden lat minęło, zanim postanowiłam rozpocząć te poszukiwania, chociaż od zawsze chciałam wiedzieć, kim jestem i skąd pochodzę. Wydaje mi się, że najpierw musiałam zrozumieć, co mnie do tego tak popycha - i nareszcie to wiem. Jestem winna moim biologicznym rodzicom wielką wdzięczność, a co niemalże tak samo ważne, uważam, że mają oni prawo wiedzieć, że żyję, mam się dobrze i jestem szczęśliwa.*

*Pracuję w kancelarii prawniczej w Nashua. Skończyłam college na uniwersytecie stanu New Hampshire, a potem wydział prawa na uniwersytecie stanowym w Maine. Co miesiąc*



*społecznie udzielam porad prawnych tym, których nie stać na adwokata. Nie wyszłam za mąż, ale mam nadzieję, że jeszcze wszystko przede mną. Lubię kajaki, książki i czekoladę pod każdą postacią.*

*Nie próbowałam Pani odnaleźć przez tyle lat, ponieważ nie chciałam się narzucać ani psuć komuś życia. Lecz kiedy nagle pojawił się problem ze zdrowiem, uświadomiłam sobie, jak mało wiem o swoim pochodzeniu. Dlatego właśnie chciałabym się z Panią spotkać i podziękować osobiście - za to, że dała mi Pani szansę, abym stała się kobietą, którą jestem - uszanuję jednak Pani wolę, jeśli nie jest Pani jeszcze gotowa na spotkanie ze mną. Nie wykluczam też, że nigdy Pani nie będzie.*

*Czytałam ten list setki razy, przepisując go wciąż na nowo. Nie jest idealny i ja też taka nie jestem. Ale w końcu zdobyłam się na odwagę i chciałabym wierzyć, że mam ją po Pani.*

*Pozdrawiam, Marin Gates*

## Sean

Ekipa remontowa kładąca asfalt na odcinku trasy numer 4 od czterdziestu minut debatowała, kto jest lepszą laską. Do konkurencji stanęły Jessica Alba i Pamela Anderson.

- Jessica ma wszystko swoje, zero poprawek - powiedział jeden z drogowców, typ w rękawiczkach bez palców, który zdążył już się w życiu pożegnać, tak na oko, z dwoma trzecimi uzębienia. - Żadnych implantów.

- Bo pewnie ty się na tym znasz - prychnął brygadzysta.

Na to włączył się inny z ekipy, stojący na skraju pasa ruchu ze znakiem „Zwolnij” w garści. Wybrali go do tej roboty chyba po to, żeby świecił przykładem kierowcom, bo wolno się ruszał. Myślał też nie szybko.

- Pam nosi potrójne D, a wymiary ma dziewięćdziesiąt jeden na pięćdziesiąt sześć na osiemdziesiąt sześć - wyrecytował. - Wiecie, kto ma takie wymiary? Lalka Barbie, w mordę jeża.

Oparłem się o maskę radiowozu. Stałem tak, opatulony zimową służbówką, starając się udawać głuchego jak pień. Pilnowanie robót drogowych to była dla mnie najgorsza fucha w tym zawodzie, po prostu zło konieczne. Nie mogłem włączyć koguta, przez co ryzyko, że jakiś bałwan za kółkiem potrąci mi któregoś z robotników, rosło wręcz dramatycznie. Do grupki dołączył kolejny dysputant. Jego oddech zawisał w powietrzu białymi chmurkami.

- Ja to bym ani jednej, ani drugiej z łózka nie wyrzucił - wtrącił swoje trzy grosze. - A najlepiej, żeby były obie naraz.

Dowcip polegał na tym, że każdy z tych facetów uważał mnie za twardziela. Wystarczyła odznaka i glock u pasa, żeby mieć u nich szacunek. Wykonywali moje polecenia, a do tego byli pewni, że tak samo będą ich słuchać kierowcy. I nie wiedzieli, jaki ze mnie śmierdzący tchórz. W pracy, owszem, mogłem rozkazywać ludziom, glebować bandziorów, pokazywać, kto rządzi. W domu jednak wstawałem pierwszy i wymykałem się po cichu, żeby nikogo nie obudzić; wycofałem się rakiem z procesu Charlotte i nie uprzedziłem jej o tym, bo nie starczyło mi ikry.

Tej nocy długo leżałem z otwartymi oczami, wmawiając sobie, że to, co zrobiłem, wymagało odwagi, że szukałem kompromisu, walczyłem, żebyś czuła się chciana i kochana. Prawda była inna: miałem w tym własną korzyść. Dzięki temu znów mogłem być bohaterem, a nie zwykłym leszczem, który nie umie zadbać o swoją rodzinę.

- Sean, głosujesz? - zagadnął mnie brygadzysta.

- Nie chcę psuć wam zabawy - odparłem dyplomatycznie.

- Aha, jasne... Pan żonaty. Nie wolno się oglądać za obcymi babami, nawet doktor Google nie pomoże...

Puściłem ten komentarz mimo uszu i ruszyłem wolnym krokiem przed siebie. Nagle na skrzyżowanie wjechał samochód, pędzący na złamanie karku. Normalnie wystarczyłoby, żebym skinął na kierowcę palcem; momentalnie zdjąłby nogę z gazu. Opamiętałby się ze zwykłego strachu przed mandatem. Ale ten kierowca nie zwolnił, tylko z piskiem opon zahamował na samym środku skrzyżowania. I wtedy w jednej chwili zauważyłem dwie rzeczy: a) za kierownicą siedziała kobieta, b) to był samochód mojej żony.

Charlotte wyskoczyła na ulicę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi vana.

- Ty gnoju - warknęła, pochodząc wielkimi krokami, a kiedy miała mnie na odległość ręki, puściła w ruch pięści.

Chwyciłem ją za ramiona, mając bardzo dotkliwą świadomość, że po tym jej nagłym *entrée* nie tylko zamarł ruch uliczny, ale i praca ekipy budowlanej. Czułem na sobie wzrok robotników.

- Przepraszam - szepnąłem. - Musiałem to zrobić.

- Wydawało ci się, że utrzymasz to w tajemnicy do samego procesu?! - krzyknęła. - Żeby wszyscy zobaczyli, co zrobię, kiedy się dowiem, że mój mąż to oszust?

- Ja oszukuję? Uważasz, że to ja jestem oszustem? - Nie wierzyłem własnym uszom. - Przepraszam, wybacz mi, że nie chcę się skurwić dla forsy.

Charlotte oblała się gorącym rumieńcem.

- To ja przepraszam, że chcę dać swojej córce lepsze życie, kiedy jesteśmy splukani do ostatniego centa.

W tej krótkiej chwili zauważyłem kilka rzeczy naraz: przepaloną żarówkę w prawym tylnym świetle jej samochodu. Bandaż na serdecznym palcu lewej dłoni. Śnieg, który znów zaczął padać.

- Gdzie są dziewczynki? - Powiodłem wzrokiem po ciemnych szybach furgonetki.

- Nie masz prawa o to pytać - oznajmiła. - Wyrzekłeś się go, idąc do kancelarii obrońcy.

- Gdzie dziewczynki, Charlotte? - powtórzyłem.

- W domu. - Cofnęła się, w oczach błysnęły jej łzy. - A ciebie nie chcę tam więcej widzieć.

Odwróciła się na pięcie, ruszając z powrotem do wozu. Stałem przy drzwiach, zanim zdążyła je otworzyć.

- Czy ty niczego nie rozumiesz? - wyszeptałem. - Dopóki nie rozkręciłaś tego cyrku, byliśmy normalną rodziną. Zupełnie normalną. Mieliśmy porządny dom...

- W którym przecieka dach...

- Ja mam stałą pracę...

- I zarabiasz psie pieniądze...

- A nasze dzieci były szczęśliwe - dokończyłem.

- A co ty o tym wiesz? - prychnęła. - To nie ty chodzisz z Willow na spacer i nie ty musisz patrzeć na jej minę, kiedy mijamy szkolny plac zabaw, gdzie dzieci robią rzeczy, o jakich ona nie może nawet pomyśleć, najprostsze rzeczy: one tylko skaczą z huśtawek albo kopią piłkę. A wiesz, że wyrzuciła film „Willow”? Znalazłam DVD w śmieciach. Wiesz dlaczego? Bo jakiś łobuz w przedszkolu powiedział, że mogłaby w nim zagrać bez charakteryzacji i nawet imię pasuje.

Nogi bym gówniarzowi z dupy powyrywał. Co z tego, że ma sześć lat.

- Nie mówiła mi o tym.

- Bo nie chciała, żebyś za nią walczył - powiedziała Charlotte.

- To dlaczego ty tak walczysz?

Zawahala się, a ja zrozumiałem, że trafiłem w czuły punkt.

- Możesz się oszukiwać, Sean, ale mnie nie nabierzesz. Proszę bardzo, oskarżaj mnie, ile chcesz, zrób ze mnie podłą sukę. Baw się w szlachetnego rycerza, jeśli tak lubisz. To jest ładny parawanik: możesz sobie pogratulować, że znasz jej ulubiony kolor, wiesz, jak się nazywa jej ukochana przytulanka i jaki dżem lubi najbardziej do masła orzechowego. Ale to jeszcze nic o niej nie mówi. Słyszałeś kiedyś, o czym Willow opowiada po wyjściu z przedszkola? Wiesz, z czego jest najbardziej dumna? Wiesz, czym się martwi? Wiesz, z jakiego powodu wczoraj wieczorem płakała, a dlaczego w zeszłym tygodniu schowała się pod łóżkiem i siedziała tam godzinę? Spójrz prawdzie w oczy, Sean. Uważasz się za jej bohatera, zwycięskiego obrońcę, ale tak naprawdę nie masz zielonego pojęcia, jak wygląda jej życie.

Wzdrygnąłem się.

- Wiem, że nie jest nic niewarte.

Charlotte odepchnęła mnie na bok, wsiadła do samochodu i trzasnąwszy drzwiami,

ruszyła przed siebie. Dopiero wtedy uderzyły mnie w uszy wściekłe klaksony tych wszystkich wozów, które stanęły w korku, kiedy zablokowała przejazd. Odwróciłem się; brygadzysta ekipy drogowców wciąż na mnie patrzył.

- Wiesz co? - powiedział. - Niech będą obie dla ciebie. Jessica i Pam.

Wieczorem pojechałem do Massachusetts, bez określonego celu: po prostu zjeżdżałem z autostrady, gdzie popadło, mijając miasteczka pogrążone w głębokim śnie. Wyłączyłem światła i krążyłem po ulicach jak rekin w głębinach. Wygląd domu mówi tak wiele o rodzinie: plastikowe zabawki na trawniku zdradzają wiek dzieci; girlanda bożonarodzeniowych światełek - przynależność religijną; po tym, jaki samochód stoi na podjeździe, widać, czy mama ma synów piłkarzy, których wciąż musi wozić na treningi i mecze, czy mieszka tu nastolatek ze świeżym prawem jazdy albo fan wyścigów NASCAR. Ale nawet kiedy dom był nijaki i niczym się nie wyróżniał, z największą łatwością mogłem sobie wyobrazić rodzinę, która w nim mieszka. Zamknąwszy oczy, widziałem tatę, jak siedzi w kuchni z córkami i rozśmiesza je do łez. A mama, zbierając talerze ze stołu, nie zapomina pogłodzić go po ramieniu. W biblioteczce były całe półki książeczek do czytania na dobranoc, na szafce z listami i rachunkami leżał przycisk do papieru, kamień pomalowany dziecięcą ręką tak, że wygląda jak duża biedronka, w kącie stosik świeżo upranej bielizny. W telewizji mecz futbolowy, bo to niedziela i grają Patriots, Amelia słucha muzyki z głośnika w kształcie pączka, z korytarza dochodzi szuranie twoich bosych stóp.

Widziałem chyba z pięćdziesiąt takich domów. Czasami w którymś z okien palilo się światło - najczęściej na piętrze, gdzie przez szybę widać było kontur głowy nastolatka na tle niebieskiej poświaty komputerowego monitora albo włączony telewizor, przed którym zasnęli rodzice. Czasem w oknie błyszczała jasna pionowa linia - uchylone drzwi do łazienki, światło odstraszające potwory od dzieci. Nieważne, czy okolica była zamieszkała przez białych czy czarnych, bogatych czy biednych jak myszy kościelne; wszystkie ściany domów są jak błona komórkowa, nie przepuszczają naszych problemów na zewnątrz, do innych komórek.

Ostatni przystanek na tej nocnej trasie przyciągnął mój samochód jak północ igłę kompasu; tym kompasem było moje serce. Zatrzymałem się pod swoim domem, na końcu podjazdu. Żeby się nie zdradzić, pogasiłem światła.

Musiałem to przyznać: Charlotte miała rację. Im częściej brałem nadgodziny, żeby pokryć nieprzewidywalne wydatki na twoje leczenie, tym mniej czasu spędzałem z tobą. Kiedyś usypiałaś u mnie na rękach, a ja przyglądałem się snom odbitym na twojej buzi; teraz kochałem

cię w teorii, bo w praktyce nie miałem możliwości. Musiałem „chronić i służyć”, pomagać całemu Bankton i nie starczało już czasu, aby poświęcić go na ochronę i służbę tobie; to zadanie spadło na barki Charlotte. Do tej pory biegłem jak w kieracie, ale ta sprawa z procesem wytrąciła mnie z utartego toru i zauważyłem, że dorastasz, wbrew wszelkiej logice i ponad wszelką wątpliwość.

Przyrzekłem sobie, że to się zmieni. Kończąc to, co zacząłem wizytą w kancelarii Booker, Hood i Coates, miałem zyskać więcej czasu dla ciebie. I okazję, aby zakochać się w tobie od nowa.

Dokładnie w tym momencie wiatr zaszeleścił opakowaniami wypieków wyłożonych na taczce tuż przy ulicy, przypominając mi, co sprowadziło mnie w to miejsce. Leżał tam stos przeróżnych ciast i ciastek, które piekłyście we trójkę przez ostatnich kilka dni.

Zabrałem wszystko - lekko licząc, trzydzieści paczuszek zawiniętych w papier, przewiązanych zielonym sznurkiem, na którym wisiało serduszko z kartonu - i załadowałem do samochodu. To ty wycinałaś te serduszka; poznałem twoją rękę. Na każdym widniał napis „Syllabub”. Oczyma duszy zobaczyłem, jak mama wyrabia ciasto, wyobraziłem sobie twoją skupioną minę, kiedy ostrożnie wbijasz do miski jedno jajko i zaciśnięte zęby Amelii zmagającej się z zasupłanym paskiem kuchennego fartucha. Przyjeżdżałem tutaj kilka razy w tygodniu. Trzy albo cztery ciastka zjadałem sam, resztę zostawiałem na progu najbliższego schroniska dla bezdomnych.

Wyjąłem z portfela pieniądze za wszystkie nadgodziny, które brałem po to, żeby nie musiał wracać do domu. Wsunąłem je, po jednym banknocie, do leżącego w taczce pudełka po butach: tak odpłacałem się Charlotte. Nagle, bez zastanowienia, zerwałem z jednej paczuszki kartonowe serduszko i wypisałem na nim ołówkiem krótką ocenę konsumenta: *Ósmy cud świata*.

Wiedziałem, że jutro to przeczytacie i po chwili początkowego zdumienia uznacie, że anonimowy oceniający miał na myśli wypieki, a nie ich autorki.

## Amelia

Pewnego weekendu, kiedy wracałyśmy we trójkę ze szpitala w Bostonie, mama wymyśliła sobie, że zostanie drugą, kurczę blade, Martha Stewart. W tym celu musiałyśmy pojechać zupełnie naokoło, aż do Norwich, które jest w ogóle w innym stanie, w Vermoncie; tam mama знаła profesjonalny sklep dla cukierników firmy King Arthur Flour, gdzie nakupiła od metra form, tortownic i różnych specjalnych rodzajów mąki. Byłaś marudna, bo od rana siedziałyśmy w Children's Hospital; ustawiali ci tam nowy aparat ortopedyczny, który wciąż jeszcze był sztywny, a w miejscach, gdzie plastik ocierał skórę, zostawiał szramy i siniaki. Ortopedzi dopasowywali plastikowe części na ciepło, ale jakoś nigdy nie wychodziło im to za dobrze. Chciałaś jechać prosto do domu i zdjąć to jak najszybciej, ale mama przekupiła nas obiadem w restauracji; takiej okazji żadna z nas nie mogła przepuścić.

Niby nic wielkiego, ale dla nas to była atrakcja, jakich mało. Rzadko jadaliśmy poza domem. Mama zawsze powtarzała, że gotuje lepiej niż większość szefów kuchni, i miała rację, ale mówiła tak tylko po to, żebyśmy nie myślały, że jesteśmy rodziną nieudaczników, bo tak naprawdę po prostu nie mieliśmy na to pieniędzy i już. Z tego samego powodu nie mówiłam rodzicom, że wyrastam ze starych dżinsów, i nigdy nie kupowałam obiadu w szkole, chociaż frytki za szybko na stołówce wyglądały przepysznie.

I dlatego też tamta koszmarne wycieczka do Disneylandu była aż tak wielką porażką. Wstydziałam się usłyszeć od rodziców, że nie mamy kasy, żeby kupić dla mnie coś, co było potrzebne albo co po prostu chciałam mieć, więc nie prosiłam, żeby nie musieli mi odmawiać.

W głębi serca byłam zła na mamę, że wydaje pieniądze z tych naszych ciastek na blachy i tortownice, kiedy mogła kupić w Juicy Couture kaszmirową bluzę z kapturem, której zazdrościłyby mi wszystkie dziewczyny w szkole - bo normalnie patrzyły na mnie mniej więcej tak, jak się patrzy na coś, co się przykleiło do podeszwy. Ale nie, najważniejsze było, żebyśmy miały w domu meksykańską esencję waniliową i suszone czereśnie odmiany Bing z Michigan, a do tego koniecznie silikonowe formy na muffinki i na kruche ciasteczka, i jeszcze blachę na ciastka, koniecznie płaską, bez rantów. Ciebie natomiast jakoś kompletnie nie obchodziło, że każdy cent wydany na cukier turbinado i mąkę tortową nie zostanie przeznaczony na nasze potrzeby, chociaż w sumie trudno było się dziwić: w Świętego Mikołaja też jeszcze wierzyłaś.

Muszę więc przyznać, że zaskoczyłaś mnie trochę, pozwalając wybrać, gdzie zjemy.

- Amelia nigdy nie wybiera - powiedziałaś, a mnie aż łzy się zakręciły w oczach, mimo że brzydziłam się ich jak nie wiem co. Żeby więc to sobie wynagrodzić i nie rozczarować wszystkich, którzy oczekiwali, że zachowam się jak ostatnia świnia, powiedziałam:

- McDonald's.

- Łee - skrzywiłaś się. - Z jednej krowy robi się czterysta ćwierćfuntowych hamburgerów.

- Od kiedy to jesteś wegetarianką, obłudnico? - odgryzłam się.

- Amelia, przestań - wtrąciła się mama. - Nie pojedziemy do McDonalda.

I tak zamiast wybrać jakąś fajną włoską restaurację, z której wszystkie byłybyśmy zadowolone, kazałam mamie stanąć przy obskurnej, taniej knajpie.

Można się było założyć, że mają tam karaluchy w kuchni.

- Hm - powiedziała mama, wysiadając z samochodu. - Ciekawy wybór.

- Czysta nostalgia. - Uderzyłam ją wzrokiem. - Co w tym złego?

- Nic, chyba że tęsknisz za ciężkim zatruciem pokarmowym. - Zerknąwszy na znak mówiący: „Proszę wybrać miejsce”, mama skierowała się do pierwszego pustego boksu.

- Chcę siedzieć przy barze - odezwałaś się.

Obie z mamą spojrzaliśmy na stojące tam stołki, bardzo wysokie i bardzo chwiejne; z czegoś takiego długo się spada.

- Nie - odpowiedziałyśmy jednym głosem.

Przysunęłam do stolika wysokie krzeselko dla dzieci, żebyś mogła dosięgnąć blatu. Kelnerka o zmęczonej twarzy podeszła i rzuciła nam karty dań, a do tego pudełko kredek dla ciebie.

- Przyjdę za chwilę po zamówienie - powiedziała.

Mama usadowiła cię na tym wysokim krzeselku, co nie było łatwym zadaniem, bo nogi w aparacie ortopedycznym były mocno usztywnione. Kiedy skończyła, natychmiast odwróciłaś papierową podkładkę na drugą, niezadrukowaną stronę i zaczęłaś na niej rysować.

- No, to mówcie - odezwała się mama. - Co upieczemy w domu?

- Pączki - zaproponowałaś, wciąż totalnie przejęta nową blachą do pączków, która wyglądała jak twarz obcego z szesnastoma oczami.

- Amelia, a ty co byś chciała?

Oparłam czoło na złożonych przedramionach.

- Ciastka z haszyszem.



Wróciła kelnerka. W ręce miała bloczek do notowania.

- Ale słodziutka jesteś, tylko cię schrupać! - zaszcebiotała, szczerząc się do ciebie. - A jak pięknie rysujesz!

Widząc twoją minę, przewróciłam oczami. Chwilę później wsadziłaś sobie dwie kredki do nosa i wywaliłaś język na wierzch.

- Poproszę kawę - powiedziała mama. - I kanapkę z indykiem.

- W kawie jest ponad sto różnych związków chemicznych - oznajmiłaś, a kelnerka niemal padła z wrażenia.

Rzadko wychodziłyśmy razem z domu, więc zapomniałam, jak ludzie na ciebie reagują. Miałaś wzrost trzylatki, ale kiedy się odezwałaś, każdy dałby ci nawet więcej niż miałaś, czyli sześć lat; tak samo było z czytaniem i rysowaniem. Robiło to obłądne wrażenie i dopóki człowiek cię nie poznał, trudno było się nie zdziwić.

- Ale malutka ma gadane! - zaśmiała się kelnerka, kiedy już doszła do siebie.

- Dla mnie grillowany ser, proszę. - W odpowiedzi złożyłaś zamówienie. - I colę.

- To może być dobre. Dla mnie to samo - dodałam, chociaż tak naprawdę to miałam ochotę na wszystko po kolei, co tylko było w karcie. Ale kelnerka stała dalej przy stoliku i gapiła się na twój obrazek, który u sześciolatki byłby czymś zupełnie normalnym, ale dla niej - ponieważ najwidoczniej uważała, że dopiero uczysz się chodzić - był jak jakiś Renoir. Po minie poznałam, że zaraz znowu zaczniesz do ciebie gadać, więc szybko odezwałam się do mamy:

- Na pewno chcesz indyka? Jeszcze się czymś zatrujesz...

- Amelia! - padło w odpowiedzi.

No i wkurzyłam ją, ale kelnerka przestała gapić się na ciebie i polazła sobie.

- Ta pani nie wie, że... - Mama urwała w pół słowa.

- Że co? - podchwyciłaś wyzywającym tonem. - Że coś ze mną nie tak?

- Nigdy bym tego nie powiedziała.

- Jasne - mruknęłam pod nosem. - Chyba że w sądzie, przed ławą przysięgłych.

- Amelia, przysięgam, że jeśli nie przestaniesz...

Uratowała mnie kelnerka, która przyniosła nasze napoje.

Na tacy stały dwa wysokie plastikowe kubki, kiedyś pewnie przezroczyste, teraz mlecznobiałe. Twoja cola była w kubeczku dla maluchów, takim z pokrywką i dzióbkiem do picia.

Mama odruchowo sięgnęła po niego i zdjęła pokrywkę. Wypiłaś łyk i wzięwszy kredkę ze stołu, opisałaś swój rysunek: „ja, Amelia, mama, tata”.

- Boże! - zachłysnęła się kelnerka. - Moja mała ma trzy lata, a wciąż nie mogę jej nauczyć siadać na nocniku. Pani córka już umie pisać i pije z normalnego kubka? Nie wiem, jak pani to robi, ale ja też bym tak chciała.

- Nie mam trzech lat - powiedziałaś.

- O. - Kelnerka zamruwała oczami. - To pewnie trzy i pół, co? Dla malucha parę miesięcy w tą czy w tą...

- Nie jestem maluchem!

- Willow. - Mama wzięła cię za rękę, ale wyrwałaś się, przewracając swój kubek i rozlewając colę po całym blacie.

Mama złapała serwetki i zabrała się do wycierania.

- Przepraszam. - Zerknęła na kelnerkę, która skinęła głową.

- No, to było jak u trzylatki.

W tym momencie zadzwonił dzwonek i kelnerka wróciła do kuchni.

- Willow, przecież rozumiesz, o co chodzi - powiedziała mama. - Nie możesz mieć do kogoś pretensji, bo nie poznał, że jesteś chora na OI.

- A ty możesz? - wtrąciłam się. - Przecież to właśnie robisz.

Mama aż zaniemówiła. Po chwili, odzyskawszy panowanie nad sobą, chwyciła torebkę, kurtkę i wstała.

- Wychodzimy - zakomenderowała, wyciągając cię z krzesła.

W ostatniej chwili przypomniała sobie o napojach i rzuciła na stół dziesięć dolarów. Potem wzięła cię na rękę i ruszyła do samochodu, a ja podreptałam za wami.

Po drodze zjadłyśmy ostatecznie w McDonalddie, jednak wcale mnie to nie ucieszyło. Chciałam zniknąć: pod kołami, pod ziemią, pod byle czym.

Ja też nosiłam aparat, ale nie taki jak ty, tylko zwykły. Mój aparat, zamiast usztywniać nogi, zmieniał cały kształt głowy, powoli: najpierw był ekspander podniebienia, potem pierścienie, a w końcu łuki ortodontyczne. To przynajmniej mnie z tobą łączyło: od pierwszej chwili, kiedy mi założyli aparat, zaczęłam liczyć dni, nie mogąc się doczekać, aż go zdejmą. Dla tych, którzy nie mieli okazji zakosztować tej wątpliwej przyjemności, opiszę, jak to jest. Nosiliście kiedyś sztuczne zęby wampira na Halloween? Więc przypomnijcie to sobie, a potem

pomyślcie, że nie wolno wam ich zdjąć przez trzy lata, wciąż leci wam ślina i kaleczycie sobie dziąsła na krzywych plastikowych elementach. Tak to jest.

Z tego właśnie powodu pewien poniedziałek pod koniec stycznia był dla mnie dniem wielkiego, rzewnego uśmiechu. Miałam gdzieś, że Emma i jej paczka na matmie wypisali na tablicy za mną wielkie pinda ze strzałką celującą prosto w moją głowę i tak samo mnie nie obeszło, że na drugie śniadanie miałam tylko słodkie chrupki z pszenicy, bo wyjadłaś wszystkie czekoladowe płatki. Ważne było jedno: o szesnastej trzydzieści zdejmują mi aparat, po trzydziestu czterech miesiącach, dwóch tygodniach i sześciu dniach noszenia.

Mama podchodziła do tego na kompletnym luzie - najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy, jakie to ważne. Sprawdziłam: termin był zapisany w ściennym kalendarzu, od pięciu miesięcy pod tą samą datą. Ale kiedy o czwartej, jakby nigdy nic, wstawiła sernik do piekarnika, zaczęłam panikować. Przecież nie zawiezie mnie do ortodonta, bo cały czas będzie myśleć tylko o tym, czy za godzinę, jak sprawdzi gotowe ciasto, nóż wyjdzie czysty, czy coś się do niego przyklei.

Tata. Musiało chodzić o niego. Rzadko go teraz widywałyśmy, ale tak to już musiało być. Zawsze mi powtarzał, że policjant pracuje, kiedy trzeba, a nie kiedy chce. Ostatnio zmieniło się tylko jedno: gdy już zaglądał do domu, atmosfera robiła się tak gęsta, że powietrze można by kroić tym samym nożem, którym mama sprawdzała serniki.

A może to wszystko było dla zmyłki, żeby zrobić mi niespodziankę? Tata przyjedzie w samą porę, zabierze mnie do ortodonta, mama skończy piec sernik (zresztą moje ulubione ciasto), a jak wrócimy, będzie wielka kolacja, z kolbami kukurydzy, jabłkami w karmelu i gumą do żucia, czyli dokładnie tym, czego przez ryle czasu nie wolno było mi jeść (mieliśmy nawet specjalny magnes na lodówkę, gdzie to wszystko było wypisane i przekreślone na krzyż grubymi krechami). I wreszcie, ten jeden raz w życiu, to na mnie wszyscy będą się patrzeć.

Siedziałam przy stole w kuchni, szorując trampkiem po podłodze.

- Amelia... - westchnęła wreszcie mama.

Piiiiisk.

- Amelia, przestań wreszcie, na miłość boską. Głowa mnie boli od tego.

Czwarta zero cztery.

- Nie zapomniałaś o czymś? - zapytałam.

Mama wytarła ręce ścierką do naczyń.

- Nie przypominam sobie...

- A tata kiedy przyjedzie?

Nieruchome spojrzenie.

- Kotku... - Po tym słowie, tak słodkim, musiało nastąpić coś ohydneho. - Nie wiem, gdzie jest twój ojciec. My... już dawno...

- Mam dziś termin zdjęcia aparatu - przerwałam jej, zanim zdążyła dokończyć. - Kto mnie zawiezie do ortodonty?

Kompletnie ją zamurowało.

- Chyba żartujesz - wykrztusiła, odzyskawszy wreszcie mowę.

- Trzy lata go noszę, więc żarty na bok. - Wstałam, celując palcem w kalendarz na ścianie.

- Dziś mam mieć zdjęty aparat.

- Nie pójdziesz do gabinetu Roba Reece'a - poinformowała mnie mama.

No dobra, ten szczegół wyleciał mi z głowy: jedyny ortodonta w Bankton, ten sam, do którego chodziłam od samego początku,

był mężem kobiety, którą moja matka pozwała do sądu. Jasne, w wirze burzliwych wydarzeń, których od września mieliśmy sporo, opuściłam kilka wizyt, ale ta ostatnia - to był dla mnie mus.

- Uparłaś się, żeby zniszczyć Piper, więc ja muszę chodzić w aparacie do czterdziestki?

Mama ścisnęła dłonią czoło.

- Nie do czterdziestki. Tylko dopóki nie znajdę ci nowego ortodonty. Nie gorączkuj się tak. Zapomniałam. Miałam ostatnio dużo na głowie.

- Każdy ma dużo na głowie, mamó! - wrzasnęłam. - Wiesz co? Nie wszystko się kręci wokół ciebie, tego, co ty chcesz, i tego, że wszyscy muszą ci współczuć, bo masz denne życie przez nieudaną...

Trzasnęła mnie prosto w twarz.

Jeszcze nigdy, przenigdy mama mnie nie uderzyła. Nawet kiedy wybiegłam na ulicę, jak miałam dwa lata, nawet kiedy wylałam zmywacz do paznokci na stół w jadalni i zniszczyłam lakier. Policzek mnie bolał, ale ból w piersi był gorszy. Moje serce zmieniło się w kulę zwiniętą z tysiąca gumek, które w tej chwili zaczęły pękać, jedna po drugiej.

Chciałam jej oddać tak samo mocno, więc wyplułam z siebie słowa, które paliły mnie w gardle jak czysty kwas:

- Mnie pewnie też nie chciałaś urodzić.

I wybiegłam z domu.

Do gabinetu Roba (nigdy nie mówiłam do niego „doktor Reece”) dotarłam cała czerwona i zlana potem. W życiu jeszcze nie przebiegłam ośmiu kilometrów, a tu proszę. Kto by pomyślał, że wyrzuty sumienia to takie świetne paliwo? Byłam normalnie jak króliczek Energizera, tyle że pary dodawało mi nie zbliżanie się do gabinetu Roba, a oddalanie od matki. Zdyszana, weszłam od recepcji, gdzie stał taki zmyślny komputerowy terminarz, w którym można się było zapisać. Kiedy jednak dotknęłam palcami klawiatury, dotarło do mnie, że recepcjonistka się gapi. I higienistka też. I wszyscy, cały gabinet.

- Amelia - odezwała się ta pierwsza - co ty tu robisz?

- Mam dziś wizytę.

- Ale wszyscy myśleli...

- Że co? - Nie dałam jej skończyć. - Że jak mam matkę idiotkę, to sama też jestem głupia?

Nagle w recepcji pojawił się Rob. Ściągał właśnie z dłoni gumowe rękawiczki. Kiedyś dmuchał je dla nas - dla Emmy i dla mnie - a potem rysował na nich buźki. Wyprostowane sztywno palce wyglądały jak koguci grzebień i były miękkie w dotyku jak skóra niemowlaka.

- Amelia - powiedział cicho, nie uśmiechając się ani odrobinę. - Domyślam się, że przysłaś zdjąć aparat.

Poczułam się tak, jakbym przez ostatnich kilka miesięcy błądziła w lesie, gdzie nawet drzewa mogą się na ciebie rzucić i nikt nie mówi po angielsku - i jakby nagle to właśnie on powiedział pierwsze sensowne, normalne zdanie, takie, jakich już dawno nie słyszałam. Wiedział, o co mi chodziło. Dla niego to było bardzo łatwe - dlaczego nikt inny tego nie umiał?

Poszłam za nim do sali zabiegowej, mijając nastroszoną recepcjonistkę i higienistkę, która dostała takiego wytrzeszczu, że za chwilę oczy mogły jej wyskoczyć z głowy. Aha, pomyślałam, krocząc dumnie za Robem. Udławcie się.

Spodziewałam się usłyszeć coś w rodzaju: „Załatwmy to szybko, jak lekarz z pacjentem”, lecz zamiast tego Rob, kiedy już nałożył mi na ramiona papierowy śliniaczek, zapytał:

- Bardzo ci z tym wszystkim ciężko, Amelia?

Boże, dlaczego on nie mógł być moim ojcem? Dlaczego nie mogłam mieszkać z nimi, a Emma u nas? Wtedy to ja bym ją nienawidziła, a nie ona mnie.

- To zależy - odpowiedziałam. - Koniec świata pewnie byłby gorszy...

Twarz zasłaniała mu maska, ale wmówiłam sobie, że widzę, jak się uśmiechnął. Zawsze go lubiłam. Był niski i miał wygląd kujona, zupełnie inaczej niż mój tata. Kiedy Emma nocowała u nas, za każdym razem musiała westchnąć, że mój ojciec jest przystojny jak aktor, a ja warczałam na nią, że to ohydne w ogóle myśleć o nim w ten sposób. Wtedy ona odpowiadała, że gdyby jej tata miał kiedyś zagrać w jakimś filmie, to chyba tylko w „Zemście frajerów”. Może miała rację, ale z drugiej strony Rob zawsze nas zabierał na dziewczęńskie filmy z Amandą Byrnes albo Hilary Duff, a jak się nudziłyśmy, dawał nam do zabawy wosk ortodontyczny, z którego lepiłyśmy misie i kucyki.

- Zapomniałem, że masz świetne poczucie humoru - powiedział. - No dobrze, otwórz buzię... Możesz poczuć lekki ucisk. - Wziął parę szczypczyków i zaczął zdejmować mi z zębów zamki od aparatu. To było dziwne: czułam się jak cyborg.

- Boli? - zapytał.

Pokręciłam głową.

- Emma ostatnio nieczęsto o tobie wspomina.

Nie mogłam odpowiedzieć, bo trzymał mi palce w ustach, ale gdyby nie to, powiedziałabym tak: „To dlatego, że jest świnią i mnie nienawidzi”.

- Sytuacja jest niezręczna, to jasne - mruknął Rob. - Muszę przyznać: nie spodziewałem się, że mama puści cię jeszcze do mnie na jakiś zabieg.

Nie puściła mnie.

- Wiesz, ortodoncja to w zasadzie zwykła fizyka - mówił dalej. - Jeśli założyć zamki albo pierścienie tylko na krzywe zęby, to nic nie da. Ale siła przyłożona w różnych kierunkach może wiele zmienić. - Zerknął na mnie, a ja zrozumiałam, że wcale nie mówi o moich zębach. - Zasada akcji i reakcji.

Zabrał się do czyszczenia kleju i cementu, ale kiedy dotknęłam jego nadgarstka, wycofał elektryczną szczoteczkę z moich ust. Poczułam metaliczny posmak.

- Ona mnie też zrujnowała całe życie - powiedziałam, a ponieważ ślina pociekła mi do gardła, zabrzmiało to tak, jakbym się topiła.

Rob odwrócił wzrok.

- Będziesz musiała nosić stabilizator, żeby nie było nawrotu wady. Prześwietlimy cię i zrobimy odcisk, żeby go dopasować... - Zmarszczył brwi, dotykając jakimś narzędziem dwóch przednich zębów od strony języka. - Widzę tutaj duże ubytki szklivi.

To było chyba jasne, skoro rzygałam już regularnie trzy razy na dobę. Chociaż i tak nikt by się nie domyślił: byłam tak samo tłusta jak zawsze, bo kiedy nie rzygałam, obzerałam się jak tuczny wieprz. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, czy właśnie wszystko się wydało i czy to jest ten moment, na który czekałam od samego początku.

- Pijesz dużo słodkich napojów?

Wymówka. Aż mi się słabo zrobiło. Szybko pokiwałam głową.

- Nie rób tego - ostrzegł Rob. - Coca-colą myje się jezdnię z krwi po wypadkach drogowych. Chcesz w siebie wlewać coś takiego?

To zabrzmiało jak jeden z tych twoich faktów, wyczytany w jakiejś książce z ciekawostkami. Kiedy o tym pomyślałam, łzy zakręciły mi się w oczach.

- Przepraszam. - Rob uniósł ręce. - Nie chciałem.

Ja też nie, pomyślałam.

Skończył czyścić moje zęby pastą, która smakowała jak piasek, i pozwolił mi przepłukać usta.

- Przepiękny zgryz - oznajmił, unosząc przede mną lustro.

- Uśmiechnij się.

Przesunęłam językiem po zębach - pierwszy raz od blisko trzech lat. Wydały mi się ogromne, śliskie, jakby zupełnie nie moje. Wyszczrzyłam się do lustra; to nie był uśmiech, bardziej wilczy grymas. Dziewczyna za szkłem miała zęby równiutkie jak sznur pereł, który podkrađłam mamie ze szkatułki i schowałam u siebie, w pudełku po butach. Nigdy nie założyłam tych pereł, ale miło było ich dotykać: takie gładkie, takie jednakowe, jak mała armia defilująca wokół szyi. Ta dziewczyna za szkłem była prawie że ładna.

A w takim razie to nie mogłam być ja.

- Każdy młody człowiek po zakończeniu leczenia dostaje od nas mały upominek - powiedział Rob, wręczając mi plastikową torebkę z wydrukowanym swoim nazwiskiem.

- Dzięki - mruknęłam, zeskakując z fotela i zrywając z szyi śliniak.

- Amelia, czekaj. Stabilizator... - Chciał mnie zatrzymać, jednak byłam już w recepcji i szurnęłam prosto na schody. Ale zamiast zbiec na dół, na ulicę, poleciałam na górę, wiedząc, że tam nikomu nie przyjdzie do głowy mnie szukać (i tak by mnie nie szukali, nie byłam aż taka ważna) i zamknęłam się w łazience. Otworzyłam torebkę. W środku były cukierki z lukrecją, żelowe misie i popcorn - zakazane dla mnie przez tyle czasu, że zdążyłam zapomnieć, jak

smakują - a do tego koszulka z napisem nie gryź się nawrotem wady - noś stabilizator.

Deska na sedesie była czarna. Jedną ręką zebrałam włosy na karku, drugą sięgnęłam do ust, wpychając palec wskazujący do gardła. Rob nie zauważył małego strupa na tym palcu; za każdym razem, kiedy to robiłam, kaleczyłam się o własne zęby.

Gdy już było po wszystkim, zęby jakby mi spuchły; były brudne i znów takie jak kiedyś. Przepłukałam usta wodą z kranu i spojrzałam w lustro: czerwone policzki, błyszczące oczy.

Nie wyglądałam jak dziewczyna, której życie wali się w gruzy. Ani jak ktoś, kto zmusza się do wymiotów, żeby poczuć, że umie zrobić coś tak, jak należy. Ani jak córka znienawidzona przez własną matkę, zapomniana przez ojca.

Szczerze? Nie miałam już zielonego pojęcia, kim właściwie jestem.



## Piper

Minęły cztery miesiące, a ja powoli rodziłam się na nowo. Kiedyś mierzyłam wysokość macy papierowym centymetrem - teraz umiałam ustalić rozmiary otworu okiennego taśmą mierniczą. Kiedyś wsłuchiwałam się w bicie serca płodu za pomocą stetoskopu ultradźwiękowego Dopplera; teraz wykrywacz profili służył mi do lokalizowania obiektów za ścianką z płyty gipsowo-kartonowej. Kiedyś robiłam testy poczwórne, teraz budowałam przeszklone werandy. Zabrałam się do nauki, żeby wiedzieć o remontach tyle, ile o medycynie, i skończyło się tak, że mogłabym zostać kwalifikowanym budowlańcem.

Najpierw odnowiłam łazienkę, potem jadalnię. Ściągnęłam wykładzinę w sypialniach na piętrze i zamiast niej położyłam parkiety. W tym tygodniu planowałam odmalować kuchnię i zrobić tam przecierane ściany. A natychmiast po zakończeniu remontu każdy pokój trafiał z powrotem na listę do przeróbki, kiedyś, w przyszłości.

W moim szaleństwie, rzecz jasna, była metoda. Z jednej strony chodziło o to, żeby znów poczuć się w czymś dobrą - w czymś, czego przedtem nigdy nie robiłam, więc nie mogłam tego schrzanić. Z drugiej natomiast strony miałam nadzieję, że jeśli zmienię w najdrobniejszym szczególe swoje otoczenie, to być może uda mi się znaleźć miejsce, gdzie znów poczuję się jak u siebie.

Moim schronieniem stał się sklep budowlany Aubuchon Hardware. Nie zaglądał tam nikt ze znajomych. Na dawne pacjentki mogłam wpaść przypadkiem w spożywczy albo w aptecę, ale w Aubuchon przechadzałam się alejkami w niezmaconej błogości kompletnego incognito. Jeździłam tam trzy albo cztery razy w tygodniu i oglądałam sobie laserowe poziomice, wiertła, kantówki pięć na dziesięć centymetrów, wyprężone w szeregach jak żołnierze na musztrze, wzdęte rury z PVC oraz ich delikatne krewniaczki, rurki miedziane. Siadałam na podłodze z próbkami farb na kolanach, szepcząc do siebie nazwy kolorów: wino morwowe, błękit Riwiery, chłodna lawa. Były one dla mnie jak zdjęcia w folderze firmy turystycznej, na których ogląda się miejsca, dokąd zawsze chciało się pojechać.

Farba o nazwie Granat z Newburyport pochodziła z serii „Kolory historyczne” firmy Benjamin Moore. Jej ciemna, szaroniebieska barwa przywodziła na myśl ocean podczas ulewy. Tak się złożyło, że widziałam miasto Newburyport na własne oczy. Kiedyś, latem, wynajęliśmy z Charlotte dom na Plum Island, żeby spędzić tam dwurodzinne wakacje. Byłaś jeszcze mała i

mama mogła cię nosić na plażę razem z całym niezbędnym sprzętem, chociaż szło się przez wysokie trawy. Plan teoretycznie był bez zarzutu: miałyśmy tam i miękki piasek, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo przy upadku, i morze, w którym Emma i Amelia udawały syreny, strojąc się w peruki z wodorostów wyrzuconych na brzeg, no i było to na tyle blisko domu, że Sean i Rob spokojnie mogli dojeżdżać w wolne dni. Nie przewidziałyśmy tylko jednego: otóż woda okazała się tak zimna, że nawet stojąc w niej tylko po kostki, miało się wrażenie, że mróz sięga głęboko między nogi. Wy, dzieciaki, mogłyście się chlapać w kałużach pozostawionych przez ustępujące fale, na tyle płytkich, żeby słońce je nagrzało, ale dla mnie i Charlotte to były zwykłe brodziki.

Z tego właśnie powodu pewnego niedzielnego poranka, kiedy panowie ojcowie zabrali was do baru Mad Martha na śniadanie, my postanowiłyśmy zakosztować surfingu, choćby za cenę ostrej hipotermii. Wcisnęłyśmy się w pianki („Muszą być dopasowane”, zwróciłam uwagę Charlotte, kiedy zaczęła marudzić, że ma szerokie biodra) i zabrawszy krótkie deski typu *boogie board*, pomaszzerowałyśmy nad morze. Zamoczyłam stopę i aż zasyczałam.

- O nie, nie ma mowy. - Odskoczyłam do tyłu.

Charlotte uśmiechnęła się z wyższością.

- Co, gęsia skórka?

- Padam ze śmiechu - odciłam się, ale ku mojemu niebotycznemu zdumieniu ona już była w wodzie, sadząc przez lodowate fale, a potem zaczęła płynąć, szukając takiej, która poniesie ją do brzegu.

- Bardzo źle jest? - zawołałam.

- Jak znieczulenie w kręgosłup: wyłączyło mnie od pasa w dół! - odkrzyknęła.

A potem ocean nagle drgnął, przeciągając jeden długi mięsień, który porwał leżącą na desce Charlotte i cisnął ją, wrzeszczącą wniebogłosy, w stronę plaży, gdzie rozciągnęła się jak długa u moich stóp.

Wstała, odgarniając włosy z twarzy.

- Cykor - zasyczała szyderczo. Musiałam jej pokazać, jak bardzo się myli, więc wstrzymawszy oddech, wlałam do tej wody.

Była lo-do-wa-ta. Położyłam się na desce, przebierając rękami i nogami. Charlotte kołysała się obok, na tej samej fali.

- Nie przeżyjemy tego - poinformowałam ją. - Uświerkniemy z zimna, morze wyrzuci nasze zwłoki i ktoś nas potem znajdzie, tak jak Emma znalazła wczoraj na plaży tenisówkę...

- Jedziemy! - przerwała mi krzykiem Charlotte. Obejrzawszy się przez ramię, zobaczyłam, jak zawisa nad nami potężna ściana wody. - Płyn! - zawołała, a ja posłuchałam.

Ale nie udało mi się złapać tej fali. Zwalila się na mnie, wypierając powietrze z płuc i poturlała na łeb, na szyję przed siebie. Dwa razy dostałam w głowę deską uwiązaną do nadgarstka, a potem poszorowałam twarzą po piachu, nabierając pełne garście pokruszonych muszli; to dno oceanu wbiło się pode mnie ostrym ślizgiem. Nagle poczułam na plecach czyjąś rękę, która szarpnęła mnie do przodu.

- Wstawaj - powiedziała Charlotte, zapierając się całym ciężarem, bo inaczej zmyłoby mnie z powrotem do morza.

Połknęłam chyba z litr słonej wody, oczy mnie piekły, policzek i dłoń miałam otarte do krwi.

- Jezu Chryste... - wykaślałam, ocierając nos.

Charlotte klepnęła mnie w plecy.

- Nie gadaj, oddychaj.

- Łatwo... ci mówić.

Powoli odzyskałam czucie w rękach i stopach i zaczęło mnie boleć jeszcze bardziej, bo okazało się, że jestem mocno poobijana.

- Dzięki... - sapnęłam - ...za akcję ratowniczą.

- Nie przeceniaj się. - Charlotte odęła wargi. - Gdybyś zginęła, musiałabym sama zapłacić za nasz domek.

Parsknęłam śmiechem, a ona pomogła mi wstać i powlokłyśmy się z powrotem, ciągnąc za sobą deski jak szczeniaki na smyczy.

- Co powiemy panom małżonkom? - zapytałam.

- Że Kelly Slater zapisał nas na mistrzostwa świata w surfingiu.

- Doskonale. To wyjaśnia, dlaczego krwawi mi policzek.

- Napalił się na mój tyłek w tej obcisłej piance, zaczął się przystawiać i musiałas go pogonić - uściśliła Charlotte.

Trzcinywate zarośla szeptały o sekretach. Po lewej mijałyśmy miejsce, gdzie wczoraj Emma i Amelia podpisały się patykami na piasku; chciały sprawdzić, czy dziś napis jeszcze będzie, czy zmyje go przypływ.

„Amelia i Emma. NPTiNZ”.

Najlepsze przyjaciółki teraz i na zawsze.

Wzięłam Charlotte pod rękę i razem ruszyliśmy długą ścieżką w stronę naszego domu.

Teraz, kiedy tak siedziałam na podłodze w sklepie, z wzornikiem kolorów farb rozłożonym w dłoni jak wachlarz tancerki flamenco, przyszło mi do głowy, że nigdy potem nie byłam już w Newburyport. Wspominałam Charlotte, że warto by się tam jeszcze kiedyś wybrać, ale ona nie chciała płacić zaliczki za wynajęcie domu, nie wiedząc, czy latem przypadkiem znów nie wylądujesz w gipsie. Jedź tam sama, mówiła, z Emmą i Robem.

Ale ja wiedziałam, że nigdy tam już nie pojadę. Bez niej kompletnie nie miałam na to ochoty.

Zdjęłam z półki litrową puszkę farby i podeszłam do punktu obsługi, gdzie stał mieszalnik.

- Granat z Newburyport - poprosiłam, chociaż nie miałam jeszcze pomysłu, którą ścianę pomaluję na taki kolor.

Ale musiałam mieć tę farbę w piwnicy, pod ręką, na wszelki wypadek.

Zanim wyszłam z Aubuchon Hardware, było już ciemno, a po powrocie do domu zastałam Roba w kuchni; płukał talerze i wstawiał je do zmywarki. Nawet na mnie nie spojrzał, kiedy stanęłam w drzwiach - co znaczyło, że jest wściekły jak cholera.

- Mów, o co chodzi. - Oszczędziłam sobie wstępów.

Zakręcił kran i zatrzasnął zmywarę.

- Gdzie cię nosiło, do diabła?

- Straciłam poczucie czasu. Byłam w sklepie budowlanym.

- Znowu? Czego ci jeszcze stamtąd potrzeba?

Usiadłam ciężko na krześle.

- Nie wiem, Rob. Po prostu ostatnio tam czuję się dobrze.

- A wiesz, gdzie ja bym się czuł dobrze? W domu, z żoną.

- Kurczę, nie spodziewałam się takiej serenady o tęsknocie...

- Nie zapomniałaś dzisiaj o czymś? Spojrzałam na niego uważnie.

- Nie przypominam sobie.

- Emma czekała, żebyś zawiozła ją na trening.

Zacisnęłam powieki. Łzy. Zaczęły się treningi, a ja miałam zapisać ją na prywatne lekcje, żeby wiosną mogła wystartować w zawodach - poprzedni trener uważał, że w końcu jest

gotowa. Tylko że z tymi lekcjami to było tak, że kto pierwszy, ten lepszy; moja dzisiejsza dziura w pamięci mogła pogrzebać szanse Emmy na cały sezon.

- Wynagrodzę jej to... - zaczęłam.

- Nie musisz. Zadzwoniła do mnie, bo wpadła już w histerię, a ja wyszedłem z pracy i sam ją zawiozłem. Zdążyliśmy. - Rob usiadł po drugiej stronie stołu, pochylił głowę. - Piper, co ty robisz po całych dniach?

Chciałam mu zwrócić uwagę, że w przedpokoju na podłodze leży nowa terakota, a nad stołem, przy którym właśnie siedzimy, wisi nowa lampa i to ja sama podciągnęłam do niej prąd. Ale zamiast tak odpowiedzieć, zaczęłam oglądać sobie dłonie.

- Nie wiem - szepnęłam w końcu. - Naprawdę nie wiem.

- Musisz zacząć żyć. Inaczej ona już cię pokonała.

- Ty tego nie rozumiesz ...

- Nie rozumiem? A co, nie jestem lekarzem? Nie mam ubezpieczenia od błędów w sztuce?

- Nie o to chodzi...

- Rozmawiałem dzisiaj z Amelią.

- Z Amelią? - Wytrzeszczyłam oczy.

- Przyszła na zdjęcie aparatu.

- Charlotte w życiu by jej nie...

- Wszystkie furie piekielne to nic w porównaniu z nastolatką, która chce zdjąć żelastwo z zębów - przerwał mi Rob.

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jestem pewien, że Charlotte nie miała o niczym pojęcia.

Krew uderzyła mi na policzki.

- Ludzie będą się dziwić, że leczysz córkę kobiety, która pozwała nas do sądu, nie sądzisz?

- Ciebie - poprawił. - Nie nas, tylko ciebie.

Aż mnie odrzuciło w tył.

- Nie mogę uwierzyć, że przeszło ci to przez gardło.

- Ja chyba też się przesłyszałem. Uważasz, że powinienem był wyrzucić Amelię z gabinetu?

- Chcesz wiedzieć? Owszem, właśnie tak uważam. Powinieneś. Jesteś moim mężem.

Rob wstał.

- A Amelia jest moją pacjentką. Byłem w pracy. Bo ja, w odróżnieniu od ciebie, nie mam swojej pracy gdzieś.

Wymaszerował z kuchni. Potarłam skronie. Byłam jak samolot krążący w strefie oczekiwania, z lotniskiem w zasięgu wzroku, ale bez zezwolenia na lądowanie. W tamtej chwili miałam do Charlotte żal tak wielki, że czułam go fizycznie: zalegał nieznośnym ciężarem w żołądku, twardy i lodowaty jak głaz wyciągnięty z rzeki. Rob powiedział prawdę - całe moje życie, cała ja, to wszystko przez nią poszło w odstawkę.

I wtedy uświadomiłam sobie, że jednak wciąż coś nas łączy: Charlotte miała do mnie taki sam żal, dokładnie o to samo.

Przyrzekłam sobie, że od następnego dnia muszę się zmienić. Nastawiłam budzik i zamiast przespacerować szkolny autobus, zrobiłam Emmie śniadanie: francuskie tosty z bekonem. Rob, kiedy życzyłam mu miłego dnia, patrzył na mnie nieufnym wzrokiem. Zamiast znowu coś odnawiać, wzięłam się do sprzątanego. Potem zrobiłam zakupy - chociaż zaniósł mnie do miasta odległego o pięćdziesiąt kilometrów, gdzie nie groziło spotkanie z nikim znajomym. Po południu podjechałam po Emmę do szkoły. Wyszła, niosąc na ramieniu torbę z łyżwami i strojem.

- Ty odwieziesz mnie na trening? Nie tata?

- Przeszkadza ci to?

- Chyba nie - odpowiedziała, a po chwili ostrożnego milczenia rozgadała się na całego o niesprawiedliwym panu od matematyki, który zapowiedział klasówkę, chociaż tego dnia miało go w ogóle nie być w szkole, więc ci, którzy chcieliby jeszcze o coś zapytać, nie będą mogli liczyć na ostatnie wyjaśnienia.

Brakowało mi tego, pomyślałam. Stęskniłam się za Emmą. Wyciągnęłam rękę w bok i pogładziłam ją po głowie.

- A to za co? - zdziwiła się.

- Po prostu cię kocham. To wszystko.

Emma uniosła brew.

- No, teraz mnie trafiłaś. Nie powiesz mi, że masz raka albo coś takiego, co?

- Nie. Po prostu wiem, że... ostatnio... nie byłam... za bardzo obecna. I przepraszam cię za to.

Stanęłyśmy na światłach. Emma odwróciła się do mnie.

- Charlotte to cipa - powiedziała, a ja nawet nie zwróciłam jej uwagi, że nie wolno używać takich słów. - To nie twoja wina, że Willow jest chora. Każdy to wie.

- Każdy?

- No... - zająknęła się. - Na przykład ja.

I w tym momencie uświadomiłam sobie, że to wystarczy.

Kilka minut później zajechaliśmy pod lodowisko. Z głównych, przeszklonych drzwi wysypywali się jeden za drugim chłopcy obładowani wielkimi torbami hokejowymi. Każdy miał czerwone policzki. Zawsze mnie bawił ten kontrast: sarnie kroczyki łyżwiarek figurowych i wilczy chód hokeistów.

Od razu po wejściu dotarło do mnie, o czym zapomniałam, a właściwie - co kompletnie wyparłam z pamięci: spotkam tutaj Amelię.

Kiedy widziałam ją ostatni raz, wyglądała zupełnie inaczej. Teraz była od stóp do głów w czerni, nosiła rękawiczki bez palców, obszarpane dżinsy i wojskowe buty. No i te niebieskie włosy. Właśnie wyklócała się o coś zawzięcie z Charlotte.

- A niech słyszą, mam to w nosie - oznajmiła. - Mówiłam ci, że mam dosyć łyżew.

Emma chwyciła mnie za ramię.

- Idź już - mruknęła pod nosem.

Ale było za późno. Mieszkaliśmy w małym miasteczku, a to była wielka sensacja; cały korytarz, mamy, córki, wszyscy czekali, co się stanie. Ty też mnie zauważyłaś - siedziałaś na ławce obok torby Amelii.

Prawa ręka w gipsie. Jak tym razem ją sobie złamałaś? Jeszcze cztery miesiące temu wiedziałabym o tym wszystko.

Cóż, w odróżnieniu od Charlotte nie miałam ochoty na pranie brudów przy ludziach. Odetchnęłam głęboko i zaprowadziłam Emmę do szatni.

- Dobra. - Odgarnęłam włosy z oczu. - Ile trwa ta lekcja? Godzinę?

- Mamo...

- Podskoczę po pranie, nie będę tu siedzieć i oglądać...

- Mamo. - Emma wzięła mnie za rękę, jak małe dziecko. - To nie ty zaczęłaś.

Skinęłam tylko głową, bojąc się, że nie zapanuję nad głosem. Od najlepszej przyjaciółki oczekiwałam jednego: szczerości. Skoro przez sześć lat nosiła się z żalem do mnie, jeśli uważała,

że prowadząc jej ciężę, popełniłam straszny błąd, to dlaczego nigdy nie wspomniała o tym choćby słowem, ani razu nie powiedziała: „Słuchaj, jak to się stało, że nie zauważyłaś... ?”. Może to naiwne z mojej strony wierzyć, że jej milczenie oznacza akceptację, a nie dojrzewającą wątpliwość. Może byłam głupia, ale wyznawałam zasadę, że w przyjaźni nie ma mowy o żadnych rozliczeniach, że przyjaciel nie wymaga od przyjaciela niczego. Nawet wyjaśnień.

Emma włożyła buty z łyżwami, zawiązała sznurówki i pobięła na lód. Po chwili ja też wyszłam z szatni i stanęłam przy bandzie przedłużonej wysoką szybą z pleksiglasu. Na jednym końcu lodowiska kłębił się tłumek początkujących, stonoga złożona z dzieci w rowerowych kaskach i spodniach od zimowych kombinezonów, z nogami rozstawionymi szeroko. Jedno upadło - leżały wszystkie, jak kostki domina. Jeszcze nie tak dawno Emma zaczynała razem z nimi, a teraz proszę, widziałam ją po przeciwnej stronie tafli, jak pod okiem instruktorki wykręca piruet siadany.

Amelii nigdzie nie było. Ciebie i Charlotte zresztą też nie.

Kiedy doszłam do samochodu, tętno wróciło mi już prawie do normy. Wsunęłam się za kierownicę, włączyłam silnik.

I prawie wyskoczyłam ze skóry, kiedy ktoś nagle zastukał w szybę.

To była Charlotte. Usta i nos zasłonięte szalikiem, oczy łzawiące na ostrym wietrze. Przez moment nie wiedziałam, co robić, ale ostatecznie uchyliłam okno.

Czułam się nędznie, ale ona wcale nie wyglądała lepiej.

- Muszę... muszę ci coś powiedzieć - zaczęła niepewnie. - Nie chodzi wcale o to, że mam coś do ciebie.

Zacisnęłam zęby aż do bólu, nie chcąc odzywać się ani słowem.

- Dostałam szansę, żeby dać Willow wszystko, co będzie jej w życiu potrzebne. - Marznący oddech otaczał jej twarz bladym wianuszkciem. - Rozumiem twoją niechęć do mnie, ale Piper, nie możesz mnie osądzać. Bo gdyby Willow była twoim dzieckiem... Jestem pewna, że zrobiłabyś dokładnie to samo.

Milczałam; jej słowa zawisły pomiędzy nami, oparte na opuszczonej szybie jak na ostrzu gilotyny.

- Nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje, Charlotte - wycodziłam w końcu i wrzuciwszy bieg, wyjechałam z parkingu, nie oglądając się za siebie.

Dziesięć minut później wpadłam prosto do gabinetu, w którym Rob właśnie przyjmował



pacjentkę.

- Piper - przywitał mnie opanowanym głosem, zerkając z ukosa na rodziców i ich może jedenastoletnią córkę, którzy patrzyli wielkimi oczami na moje potargane włosy, ciekący nos, twarz mokrą od łez. - Jestem teraz zajęty.

- To może my wyjdziemy - odezwała się matka dziewczynki. - Niech państwo sobie porozmawiają.

- Pani Spifield...

- Naprawdę, proszę bardzo. - Kobieta wstała, gestem nakazując mężowi i córce to samo. - Możemy chwilę poczekać.

Wyszli szybko na korytarz; chyba się bali, że w każdej chwili mogą eksplodować, co zresztą nie było zbyt dalekie od prawdy.

- No, jesteś zadowolona? - Rob wreszcie nie wytrzymał. - Przez ciebie najprawdopodobniej straciłem nową pacjentkę.

- Nie obchodzi cię, co się stało? Nie zapytasz: „Jak mogę ci pomóc?”.

- Wybacz, współczucie też ma swoje granice, a ostatnio dużo go schodzi. Ja tutaj pracuję, mam gabinet, na miłość boską.

- Przed chwilą na lodowisku wpadłam na Charlotte.

- I co z tego? - Rob zrobił wielkie oczy.

- Żartujesz?

- Mieszkacie w jednym mieście. A właściwie w miasteczku. To i tak cud, że do tej pory gdzieś się nie spotkałyście. I co ci się stało? Gonila za tobą z mieczem? Chciała się bić na placu zabaw? Piper, nie bądź dzieckiem.

Tak musi czuć się byk, kiedy wypuszczają go z zagrody. Wolność, ulga... a potem nadjeżdża pikador i wbija mu lancę w kark.

- Wychodzę - powiedziałam cicho. - Pojadę po Emmę, a ty, mam nadzieję, zastanowisz się nad swoim zachowaniem, zanim wrócisz wieczorem do domu.

- Moim zachowaniem? - powtórzył. - Wspieram cię, jak tylko umiem. Nie powiedziałem ani słowa, chociaż rzuciłaś swoją praktykę i od tej pory bawisz się w „Dom nie do poznania”. Rachunek za tarcicę na dwa tysiące dolarów? Nie ma sprawy. Zagadałaś się z hydraulikiem w Aubuchon Hardware i zapomniałaś o koncercie chóru Emmy? Masz wybaczone. Czy to jest jakaś kpina, że tak się zapaliłaś do tego majsterkowania? Bo widzę, że nie potrzebujesz naszej pomocy.

Ty tylko chcesz, żeby nikt ci nie przeszkadzał rozczulać się nad sobą.

- Ja się nad sobą nie rozczulam. - Policzki płonęły mi wściekle.

Czy ci Spifieldowie słyszą w poczekalni, jak się kłócimy? A higienistki?

- Wiem, czego ode mnie oczekujesz, Piper. Nie umiem tylko powiedzieć, czy mogę ci to dać. - Rob podszedł do okna, wyjrzał na parking. - Ostatnio ciągle myślę o Stevenie - dodał po chwili milczenia.

Kiedy mój mąż miał dwanaście lat, jego starszy brat popełnił samobójstwo. Powiesił się w szafie, a Rob go znalazł. Wiedziałałam o tym dobrze; powiedział mi jeszcze przed ślubem. Na dziecko musiałam go namawiać, bo bał się, że nosi w genach chorobę psychiczną swojego brata. Nie wiedziałam natomiast, że tych ostatnich kilka miesięcy życia ze mną obudziło w nim tamte bolesne wspomnienia z dzieciństwa.

- Wtedy nikt jeszcze nie wiedział, co to jest „choroba afektywna dwubiegunowa” ani jak się ją leczy - mówił dalej Rob - więc przez siedemnaście lat moi rodzice codziennie przeżywali piekło. Kiedy byłem mały, wszystko kręciło się wokół tego, jak się czuje Steven; to od niego zależało, czy dzień jest dobry czy zły. I to dlatego teraz - zakończył - tak dobrze umiem troszczyć się o osobę, która nie widzi dalej niż czubek własnego nosa.

Serce mi drgnęło, ukłute ostrą drzazgą wyrzutu sumienia. Skrzywdziła mnie Charlotte, ale oddałam Robowi. Może tak to właśnie jest z tymi, których się kocha: strzelamy na oślep, a gdy okazuje się, że oberwał ktoś, kogo chcieliśmy chronić, jest już za późno.

- Odkąd doręczyli ci pozew, myślę tylko o jednym: co by było, gdyby rodzice wiedzieli, że tak to się skończy - powiedział Rob. - Gdyby przed urodzeniem Stevena ktoś im powiedział, że się zabije, że nie dożyje osiemnastki.

Nie śmiałam nawet drgnąć.

- Czy przez tych siedemnaście lat próbowaliby go lepiej poznać? Wykorzystać dobre chwile pomiędzy jednym załamaniem a drugim? A może woleliby jednak oszczędzić sobie - i mnie - takiej emocjonalnej huśtawki?

Wyobraziłam go sobie, jak wchodzi do pokoju brata, żeby zawołać go na kolację i widzi jego ciało, wsparte ciężko o wewnętrzną ścianę szafy. Jak długo znam swoją teściową, jej uśmiech zawsze ograniczał się tylko do skrzywienia twarzy, nigdy nie sięgał oczu. Czy to z tego powodu?

- Tych rzeczy nie da się ze sobą porównać - powiedziałam sztywno.

- Dlaczego?

- Bo zaburzenia dwubiegunowego nie można wykryć w łonie matki. Wybrałeś zły przykład.

Rob uniósł wzrok, spojrzał mi w oczy.

- Na pewno? - zapytał.

## **Marin**

*Luty 2008 r.*

- Po prostu bądźcie sobą - poinstruowałam dzieciaki. - Nie popisujcie się przed kamerą. Udawajcie, że nas tutaj nie ma.

Z nerwowym uśmiechem powiodłam wzrokiem po dwudziestu dwóch okrągłych buziach: tyle liczyła przedszkolna grupa pani Watkins.

- Są jakieś pytania? - dodałam na koniec.

Jeden chłopczyk uniósł rękę.

- Pani jest z „Mam talent”?

- Nie. - Błysnęłam zębami. - Ktoś jeszcze?

- Czy Willow gra w filmie?

Obejrzałam się na Charlotte; stała tuż za mną, obok kamerzysty, którego zatrudniłam do nakręcenia dokumentu pod tytułem „Dzień z życia Willow”. Miał on być zaprezentowany ławie przysięgłych.

- Nie - odpowiedziałam. - Willow to wasza koleżanka, nic więcej.

- Ja! Ja! Ja! - Dziewczynka o klasycznie ładnej buzi, urodzona cheerleaderka, podniosła rękę i machała, dopóki nie skinęłam w jej stronę. - A jak będę udawać, że jestem jej koleżanką, to pokażą mnie wieczorem w telewizji?

Przedszkolanka stanęła przed dziećmi.

- Nie, Sapphire. I dlaczego musisz udawać, że jesteś czyjąś koleżanką? Tutaj są sami koledzy i koleżanki, prawda?

- Tak, proszę pani - wyskandowały dzieciaki.

Sapphire? Ta dziewczynka naprawdę miała na imię Szafir?

Wchodząc do przedszkola, zerknęłam na imiona wypisane na taśmie przyklejonej nad drewnianymi szafkami w szatni: Flint, Frisco, Cassidy. Czy już nikt nie nazywa dziecka Tommy albo Elizabeth?

To spowodowało, że zaczęłam się zastanawiać, nie po raz pierwszy zresztą, czy moja biologiczna matka wybrała dla mnie jakieś imię. Czy nazwała mnie Sarah albo Abigail i tylko my dwie o tym wiedziałyśmy, aż pojawili się moi adopcyjni rodzice, zaczęli moje życie od nowa i pogrzebali nasz wspólny sekret?

Tego dnia siedziałaś na wózku, więc dzieci, które rysowały albo bawiły się klockami matematycznymi, musiały specjalnie robić miejsce przy stole dla ciebie i twojej opiekunki.

- Strasznie dziwne uczucie - szepnęła do mnie Charlotte. - Jeszcze nigdy nie widziałam jej w szkole. Jakby mnie wpuścili do strefy zamkniętej.

Wynajęłam ekipę filmową na cały dzień. Umiałaś się wysłowić i poradziłaś sobie, występując osobiście jako świadek, ale powołać cię i przesłuchiwać - to byłoby nieludzkie. Nie mogłabym kazać ci siedzieć w sali sądowej, kiedy twoja mama będzie zeznawać, że chciała usunąć ciążę.

Zjawiliśmy się w waszym domu o szóstej rano, w samą porę, żeby nakręcić, jak Charlotte budzi ciebie i twoją siostrę.

- O Boże, ale porażka - jęknęła Amelia na widok pochylonego nad nią faceta z kamerą. - Cały świat zobaczy, jakiego mam kołtuna po nocy.

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki, ale z tobą trwało to już nieco dłużej. Na każdym kroku trzeba było uważać -najpierw przy podnoszeniu cię z łóżka, potem przy ustawianiu przy chodziku, przy przejściu do łazienki i z powrotem do pokoju, żebyś mogła się ubrać. Ponieważ rano najbardziej bolało - przekleństwo tych, którzy muszą spać na zrastającej się kości - Charlotte podała ci środek przeciwbólowy pół godziny przed naszym przybyciem i pozwoliła zasnąć z powrotem; w ten sposób przy wstawaniu ręka mniej ci dokuczała. Ubrała cię też w bluzę zapinaną od przodu, żebyś nie musiała podnosić rąk przy jej zakładaniu - ostatni gips zdjęto ci dopiero przed tygodniem i przedramię wciąż miałaś sztywne.

- Co cię boli, oprócz ręki? - chciała wiedzieć Charlotte.

Zastanowiłaś się szybko.

- Biodro.

- Tak jak wczoraj czy gorzej?

- Tak samo.

- Chcesz dzisiaj chodzić? - zapytała Charlotte, ale potrząsnęłaś przecząco głową.

- Od chodzika boli mnie ręka.

- To idę po wózek.

- Nie! Nie chcę na wózku...

- Willow, albo jedno, albo drugie. Nie będę cię nosić cały dzień.

- Ale ja nie lubię tego wózka...

- Więc musisz dużo ćwiczyć, żeby jak najszybciej przestał być potrzebny. Tak?

Charlotte wyjaśniła do kamery, że znalazłaś się między młotem a kowadłem: rękę złamałaś już dawno i wciąż się goiła, ale ból biodra pojawił się dopiero teraz. Sprzęt adaptacyjny, czyli chodziki, działał tak, że obciążał tę rękę, skutkiem czego nie mogłaś go długo używać, a jedyną alternatywą był znienawidzony ręczny wózek inwalidzki. Dostałaś go, mając dwa lata. Od tego czasu urosłaś blisko dwukrotnie i po całym dniu skarżyłaś się na bóle pleców i mięśni, ale ubezpieczenie nie przewidywało zmiany, dopóki nie skończysz siedmiu lat.

Spodziewałam się porannej krzątaniny, tym bardziej że tyle trzeba było przy tobie zrobić, ale Charlotte działała metodycznie: pozwoliwszy Amelii ganiać dookoła w poszukiwaniu pracy domowej, którą „gdzieś wciąło”, spokojnie zabrała się do czesania twoich włosów. Zaplotła ci dwa warkocze, usmażyła na śniadanie jajecznicę, upiekła tosty, a potem załadowała cię do samochodu razem ze sprzętem potrzebnym na fizjoterapię: chodzikiem, wózkiem (który ważył czternaście kilo), wysokim stolikiem i aparatem ortopedycznym. Nie mogłaś jeździć autobusem - wstrząsy na wybojach mogły spowodować mikrozłamania - więc Charlotte sama wozila cię na zajęcia, po drodze podrzucając do szkoły Amelię.

Ruszyłam za wami własnym samochodem, zabierając kamerzystę.

- I o co tu robić takie wielkie halo? - zdziwił się, kiedy zostaliśmy sami. - Dzieciak jest mały i niepełnosprawny, to wszystko.

- Nie wszystko - odparłam - bo przy hamowaniu pasy mogą połamać mu żebra.

Jednak przynajmniej częściowo musiałam przyznać mu rację. Po obejrzeniu filmu, na którym Charlotte wiąże ci buty i zapina w foteliku samochodowym jak niemowlaka, ławnicy pomyśleliby, że twoje życie wygląda po prostu jak życie każdego małego dziecka. Potrzebne nam były jakieś bardziej dramatyczne zdjęcia: wypadek, a najlepiej złamanie.

Mój Boże, co ze mnie był za potwór? Jak mogłam życzyć sześciolatce, żeby zrobiła sobie krzywdę?

Po dotarciu do przedszkola Charlotte wytaszczyła cały sprzęt z samochodu i złożyła go w rogu sali. Potem odbyła krótką naradę wojenną z wychowawczynią i twoją osobistą opiekunką, informując, co cię dzisiaj boli. Ty tymczasem siedziałaś na wózku w pobliżu szatni, a inne dzieci kłębiły się dookoła ciebie, wieszając kurtki i zdejmując buty. Rozwiązała ci się sznurówka, ale nie mogłaś dosięgnąć do stopy krótkimi, zdeformowanymi rękami. Pomogła ci jedna z koleżanek.

- Mama niedawno mnie nauczyła, jak to się robi - oznajmiła rzeczowym tonem, składając sznurowadło w dwie pętelki i zawiązując na kokardkę. Skończyła i pobiegła gdzieś w podskokach, a ty patrzyłaś za nią.

- Umiem zawiązać sobie buty - powiedziałaś; w twoim głosie czuło się napięcie.

Kiedy przyszedł czas na drugie śniadanie, opiekunka musiała podsadzić cię do umywalki, bo była za wysoko, żebyś mogła skorzystać z niej, nie wstając z wózka. Piątka dzieciaków zaczęła się przepychać, żeby usiąść obok ciebie przy stole, ale na jedzenie miałaś tylko trzy minuty, bo już musiałyście z mamą zbierać się na fizjoterapię. Charlotte poinformowała mnie, że tego dnia, oprócz rehabilitacji, będziemy jeszcze kręcić terapię zajęciową, logopedyczną i wizytę u protetyka. Ciekawe, pomyślałam, czy są takie dni, kiedy jesteś po prostu zwykłym przedszkolakiem.

- Dobrze nam idzie, jak uważasz? - zapytała Charlotte, kiedy szliśmy do sali zajęć fizjoterapeutycznych, podążając za opiekunką popychającą twój wózek. - Wystarczy dla ławników?

- O to się nie martw - uspokoiłam ją. - Moja w tym głowa.

Sala do fizjoterapii przylegała do gimnastycznej. Zastałyśmy tam terapeutkę, która właśnie układała na lśniącej podłodze szereg dużych piłek. Jedna ściana była ze szkła; widać przez nią było, co się dzieje obok. Wydało mi się to bardzo okrutne. Miałaś dzięki temu bardziej przykładać się do ćwiczeń czy może tylko nabawić się ciężkiej depresji?

Twoja terapeutka nazywała się Molly. Dwa razy w tygodniu chodziłaś do niej na zajęcia w przedszkolu, a raz w tygodniu mama wozila cię do jej własnego gabinetu. Molly była szczupłą, ruda i miała zaskakująco niski głos.

- Jak tam bioderko? - zapytała na wstępie.

- Dalej boli - odparłaś.

- Ale jak bardzo? Tak sobie, czy tak, że bez kija nie podchodzisz?

- Tak sobie - zaśmiałaś się.

- Dobrze. To teraz pokaż, jak sobie radzisz.

Podniosła cię z wózka i postawiła na nogach. Wstrzymałam oddech - jeszcze nigdy nie widziałam, jak chodzisz o własnych siłach. Zaczęłaś powoli szurać stopami po podłodze: prawą przesuwałaś płynnie, lewa trochę zostawała z tyłu. Wreszcie dotarłaś na skraj czerwonej maty. Chociaż miała tylko trzy centymetry grubości,

uniesienie stopy na tę wysokość zajęło ci całe dziesięć sekund.

Molly rzuciła na środek maty dużą czerwoną piłkę.

- Może dzisiaj zaczniemy od tego?

- Od tego - odpowiedziałaś, a buzia ci pojaśniała.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Terapeutka usadziła cię na piłce. - Pokaż, jak daleko sięgniesz lewą ręką.

Położyłaś lewą rękę na prawym boku, a kręgosłup wygiął ci się na kształt litery S. Nawet przy maksymalnym wysiłku z wielką trudnością udało ci utrzymać prostą linię ramion. Wykonując to ćwiczenie, odwróciłaś głowę tak, że patrzyłaś prosto w szklaną ścianę, za którą twoi koledzy i koleżanki grali w zbijaka; ich wrzaski przebijały się przez szybę bez trudu.

- Też bym tak chciała - powiedziałaś.

- Rozciągaj się, akrobatko, to jeszcze sobie pograsz - odparła Molly.

Ale nie mówiła prawdy; nawet gdybyś wyćwiczyła się na tyle, żeby móc płynnie uskakiwać i uchylać się przed piłką, to twoje kości były zbyt słabe, żeby wytrzymać porządne trafienie.

- Niczego nie tracisz - wtrąciłam. - Nigdy nie lubiłam grać w zbijaka. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś chciał mnie w drużynie.

- A mnie nigdy nikt nie chce - odparłaś.

Idealnie, pomyślałam. Świetny tekst.

Najwidoczniej nie ja jedna miałam takie odczucie. Charlotte, obejrzawszy się na kamerzystę, zagadnęła terapeutkę, która położyła cię na piłce i kołysała nią w tę i z powrotem:

- Molly, a nie poćwiczycie z obręczą?

- Chciałam poczekać jeszcze z tydzień albo dwa, zanim zaczniemy podnosić...

- Więc może popracujemy nad elastycznością tkanki miękkiej, żeby zwiększyć zasięg rąk?

Molly posadziła cię na podłodze. Złożyłaś stopy podszwami do siebie; ja ćwiczyłam jogę, ale taka pozycja wychodziła mi tylko w wyjątkowo dobre dni. Molly odwiązała od ściany pierścień, który wyglądał jak zwykła obręcz gimnastyczna i był przymocowany długą liną do sufitu.

- Tym razem prawa ręka - zakomenderowała, ustawivszy go tak, żeby zawisł tuż nad tobą.



Potrząsnęłaś głową.

- Nie chcę.

- Chociaż spróbuj. Jak będzie bardzo bolało, to przestaniesz. Pomalutku uniosłaś rękę, muskając palcami gumowe kółko.

- Już. Mogę teraz przestać?

- Co z tobą, Willow? Przecież wiem, że jesteś silniejsza - powiedziała Molly. - Złap za obręcz i ściśnij...

Żeby wykonać to polecenie, musiałaś sięgnąć jeszcze wyżej. Łzy napłynęły ci do oczu, które zaślnęły jaskrawoniebieskim blaskiem. Kamerzysta zrobił zbliżenie na twoją twarz.

- Au - jęknęłaś, uwieszona pierścienia i rozplakałaś się na serio. - Molly, proszę cię, mogę już puścić?

Nagle zauważyłam, że Charlotte nie ma już obok mnie; zerwała się z krzesła i podbiegła do ciebie, zdjęła twoją dłoń z obręczy, a potem powoli opuściwszy ci uniesioną sztywno rękę, przytuliła cię mocno do siebie.

- Już dobrze, kochanie - wyszeptła śpiewnym głosem. - Przepraszam. Przepraszam za Molly.

Słyszac to, Molly poderwała głowę, ale zobaczywszy, że kamera pracuje, nie odezwała się ani słowem.

Charlotte miała zamknięte oczy; niewykluczone, że też płakała. Poczułam się tak, jakbym was podglądała, więc położyłam palce na obiektywie kamery i opuściłam go delikatnie, lecz stanowczo.

Kamerzysta wyłączył sprzęt.

Charlotte siedziała po turecku na macie, a ty leżałaś zwinięta w kłębek na jej łonie, maleńka jak embrion i kompletnie wyczerpana. Mama gładziła cię po włosach i szeptała coś do ucha; wreszcie wstała, nie wypuszczając cię z rąk i odwróciwszy się tak, że mogła patrzeć na nas, a ciebie zasłaniać swoim ciałem, zapytała:

- Nagraliście to?

Widziałam kiedyś reportaż o noworodkach zamienionych przez przypadek w szpitalu. Sprawa wyszła na jaw dopiero po latach, kiedy u jednego z dzieci wykryto jakąś straszliwą dziedziczną chorobę, której jego rodzice nie mieli w genach. Odnaleziono drugą rodzinę i matki musiały wymienić się synami. Jedna z nich - zresztą akurat ta, która dostała zdrowe dziecko -

strasznie rozpaczała i była niepoczyszona.

- Jakbym przytulała obcego chłopca - powtarzała zapłakana. - On nawet nie pachnie jak mój synek.

Zaczęłam się wtedy zastanawiać, jak długo trwa nawiązanie bliskości, „swojskości” pomiędzy rodzicem a dzieckiem. Może tyle, ile w samochodzie prosto z fabryki utrzymuje się zapach nowości, a w świeżo wykończonym domu osiada pierwszy kurz? Może to właśnie jest ten proces, który powszechnie nazywamy tworzeniem więzi, a który pozwala nam powiedzieć: znam swoje dziecko tak dobrze jak siebie samą?

A jeśli dziecko nigdy nie miało okazji poznać w ten sposób swoich rodziców?

Weźmy dla przykładu mnie i moją biologiczną matkę. Albo nie: weźmy ciebie. Czy wiedziałaś, dlaczego twoja mama mnie zatrudniła? Dlaczego chodziła za tobą ekipa z kamerą? Czy tamtego dnia, kiedy zabierałyśmy cię na wózek z sali gimnastycznej z powrotem do klasy, przyszło ci do głowy, że mama mogła celowo zmusić cię do łez podczas ćwiczeń, żeby nagranie zrobiło większe wrażenie na ławnikach?

Wciąż miałam w głowie to, co powiedziała przed chwilą: „Przepraszam za Molly”. Ale przecież Molly nie była niczemu winna. To ona, Charlotte, uparła się, żebyś wykonała to ćwiczenie. Dlaczego? Autentycznie zależało jej na treningu ręki po świeżym złamaniu - czy może miał to być niezawodny sposób, żebyś rozplakała się przed kamerą?

Nie miałam dzieci i nie mogłam wiedzieć, czy kiedykolwiek będę je mieć, ale znałam sporo ludzi, którzy nie znosili swoich matek: a to były nieczule, a to zaborcze, wiecznie niezadowolone albo kompletnie obojętne. Dorastanie polega również na tym, żeby we właściwy sposób odsunąć się od swojej matki.

Ze mną było inaczej. Kiedy dorastałam, pomiędzy mną a moją adopcyjną mamą zawsze istniał minimalny dystans. Kiedyś na chemii dowiedziałam się, że dwie powierzchnie nigdy nie mogą tak naprawdę się zetknąć, ponieważ ze względu na odpychanie jonowe zawsze pozostaje pomiędzy nimi nieskończenie mała odległość, więc chociaż człowiekowi może się wydawać, że ociera się o coś albo trzyma kogoś za rękę, to na poziomie atomowym - nic z tych rzeczy. Taka właśnie była dla mnie w tym okresie moja adopcyjna rodzina: gołym okiem widziało się zgrane, szczęśliwe trio, lecz ja miałam nieustające poczucie, że dzieli nas jakaś mikroskopijna odległość, której nigdy nie zdołam pokonać.

Może to było zupełnie normalne. Może tak właśnie się dzieje, że matki na różny sposób

odpychają swoje córki, świadomie lub podświadomie. Niektóre wiedzą, co robią - tak jak moja biologiczna matka, która oddała mnie obcej rodzinie - a inne nie. Przykład? Charlotte. Wykorzystała cię przed kamerą, święcie przekonana, że robi to w słusznej sprawie, a ja ją za to znienawidziłam. Miałam już dosyć tego procesu, chciałam przerwać kręcenie filmu dla ławników i uciec jak najdalej od tej kobiety, zanim zrobię rzecz absolutnie zakazaną w moim zawodzie: powiem szczerze, co sędzę o niej i o jej skardze.

Ale właśnie kiedy zaczęłam się zastanawiać, jak by to załatwić, żeby skończyć zdjęcia wcześniej, niż było ustalone, nagle zdarzyło się właśnie to, czego po cichu sobie życzyłam: wypadek. A właściwie nie wypadek, bo nie stało ci się nic złego, tylko usterka; pakując twoje rzeczy po zajęciach, Charlotte zauważyła kapecę na kółku od wózka.

- Willow - jęknęła zirytowana - nie widziałas tego?

- Masz zapasową dętkę? - zapytałam, ciekawa, czy jest u nich w domu jakaś specjalna szafa z częściami do wózków inwalidzkich i aparatów ortopedycznych, bo że mają kredens pełen łubków, bandaży elastycznych, temblaków i gipsu - to już wiedziałam.

- Nie - odparła Charlotte - ale zajrzemy do sklepu z rowerami.

- Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Amelii. - Spóźnię się trochę... Nie, nic jej nie jest. Wózek się zepsuł.

W sklepie rowerowym nie było dętek rozmiaru dwadzieścia dwa cale, dowiedziałyśmy się jednak, że można taką zamówić i powinna przyjść do końca tygodnia.

- Co oznacza - wyjaśniła Charlotte - że albo kupię tę dętkę w sklepie dla niepełnosprawnych w Bostonie i zapłacę za nią dwa razy tyle, albo Willow do końca tygodnia nie będzie miała wózka.

Godzinę później zajechaliśmy pod szkołę Amelii, która czekała na nas, siedząc na swoim plecaku i patrząc ponuro spode łba.

- Jakby ktoś chciał wiedzieć - oznajmiła - to jutro mam trzy klasówki.

- Mogłaś się uczyć, jak na nas czekałaś - zwróciłaś jej uwagę.

- Pytał cię ktoś o zdanie?

O czwartej po południu byłam już kompletnie wykończona. Charlotte siedziała przy komputerze, szukając w Internecie rabatów na części do wózków inwalidzkich. Amelia wypisywała kartki z francuskimi słówkami. Ciebie znalazłam na górze, w waszym wspólnym pokoju. Siedziałaś na podłodze z różową ceramiczną świnką na kolanach.

- Przykro mi, że wózek złapał gumę - powiedziałam.

Wzruszyłaś ramionami.

- Cały czas coś takiego się dzieje. Ostatnio musieliśmy oddać go do sklepu z rowerami, żeby wyczyścili z włosów przednie kółka, bo nie chciały się obracać.

- Trochę to paskudne - skrzywiłam się.

- No... Pewnie tak.

Usiadłam obok ciebie, a kamerzysta bezszelestnie zainstalował się w rogu pokoju.

- W przedszkolu masz chyba sporo koleżanek i kolegów - zagadnęłam.

- Nie bardzo. Najczęściej słyszę jakieś głupoty w stylu, jak to mam fajnie, że mogę sobie jeździć na wózku i nie muszę chodzić na boisko czy do sali gimnastycznej piechotą.

- Ale ty tak nie uważasz.

- Nie, bo to jest przyjemne tylko na początku, a nie jak trzeba tak robić całe życie. - Spojrzałaś na mnie. - A te dzieciaki dzisiaj to wcale nie byli moi koledzy ani koleżanki.

- Na drugim śniadaniu wszyscy się przepychali, żeby siedzieć obok ciebie...

- Bo chcieli być na filmie. - Potrząsnęłaś swoją świnką. Ze środka dało się słyszeć pobrząkiwanie. - Wie pani, że prawdziwe świnki myślą, zupełnie tak samo jak my? I uczą się różnych sztuczek, tak jak psy, tylko szybciej.

- Masz sporą wiedzę. Zbierasz na świnkę?

- Nie - odparłaś. - Dam mamie swoje kieszonkowe, żeby kupiła dętkę do wózka i nie musiała się martwić, ile ona kosztuje. - Wyciągnęłaś czarną zatyczkę pomiędzy nóg świnki, a ze środka posypał się deszcz pięcio- i dziesięciocentówek, przetykany gdzieś zwiniełym banknotem dolarowym. - Jak ostatnio liczyłam, było siedem dolarów i szesnaście centów.

- Willow - powiedziałam powoli - mama nie prosiła cię, żebyś zapłaciła za tę dętkę.

- Nie, ale jak nie będzie musiała nic dokładać, to nie będzie chciała się mnie pozbyć.

Zaniemówiłam.

- Willow - wykrztusiłam, odzyskawszy w końcu mowę - wiesz, że twoja mama bardzo cię kocha.

Uniosłaś wzrok i spojrzałaś na mnie.

- Czasami mamy potrafią powiedzieć, że nie chcą swoich dzieci... ale kiedy się bliżej przyjrzeć, to widać, że tak naprawdę robią im przysługę. Bo one tylko chcą im dać lepsze życie.

Rozumie pani?

- Chyba tak.

Jeszcze raz przechyliłaś swój świnkowy bank, który zabrzączał tak, jakby był pełen tłuczonego szkła.

- Możemy porozmawiać? - Stałam w drzwiach pokoju, gdzie Charlotte siedziała przed komputerem, przeglądając wyniki wyszukiwania.

Podskoczyła na krześle.

- Przepraszam. Wiem, nie przyjechałaś tu nagrywać, jak szukam w Internecie łatek na dętki.

Zamknęłam za sobą drzwi.

- Zapomnij o kamerze, Charlotte. Przed chwilą rozmawiałam z Willow, która siedzi na górze i liczy oszczędności ze swojej świnki. Chce ci je oddać, żeby wkupić się w twoje łaski.

- Śmieszne. - Wydęła wargi.

- Czemu? Czy ty byś znalazła jakieś logiczne wyjaśnienie, gdybyś miała sześć lat i dowiedziała się, że twoja mama złożyła skargę do sądu, bo przy twoim urodzeniu coś poszło nie tak?

- A czy ty przypadkiem nie jesteś moim adwokatem? - odparowała Charlotte. - Nie powinnaś mi pomagać, zamiast mówić, że jestem złą matką?

- Ale ja właśnie próbuję ci pomóc. Tylko, jeśli mam być szczerą, to nie wiem, czy z tego, co dziś nagraliśmy, uda mi się sklecić film dla ławników. Bo gdyby teraz zobaczyli ten materiał, to pewnie współczuliby Willow... ale ciebie znienawidziliby całym sercem.

Charlotte w jednej chwili straciła całą wolę walki. Zapadła się w fotel, na którym siedziała, kiedy weszłam.

- Kiedy po raz pierwszy powiedzieliście nam o „niedobrym urodzeniu” - powiedziała - poczułam to samo, co Sean. To było najbrzydliwsze określenie, jakie w życiu słyszałam. Przez tyle lat robiłam po prostu to, co trzeba było zrobić. Miałam świadomość, że ludzie, widząc mnie i Willow, myślą sobie: „Biedne dziecko. Biedna matka”. Aleja nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób. To było moje dziecko, którym mam się opiekować i koniec. - Charlotte uniosła wzrok, spojrzała na mnie. - Potem ty i Robert Ramirez zaczęliście pytać mnie o różne rzeczy, a ja pomyślałam: „Ktoś za to odpowie”. Poczułam się tak, jakbym przez wiele lat żyła pod ziemią i nagle ktoś, przez jedną chwilę, pokazał mi niebo. A jak można wrócić tam, skąd się przyszło, kiedy raz się widziało coś takiego?

Policzki zapłonęły mi rumieńcem. Dobrze wiedziałam, o czym mówi Charlotte, i wcale nie podobała mi się myśl, że coś może mnie z nią łączyć. Pamiętałam jednak dobrze ten dzień, kiedy powiedziano mi, że zostałam adoptowana, że mam gdzieś jakąś inną, nieznaną mamę i innego tatę. Ta świadomość nie opuszczała mnie przez całe lata. To prawda, nie zaprzętałam sobie zbyt głębi tym faktem, ale nie mogłam o nim całkiem zapomnieć. Był jak zadra tkwiąca tuż pod skórą.

Prawnik to ktoś, kto doszukuje się konfliktów z prawem nawet w najmniej podejrzanych sytuacjach, a najbardziej lubi prowadzić sprawy, które gwarantują wysokie odszkodowanie. Ale czy było możliwe, że to ja ponosiłam winę za rozpad tej rodziny? Że razem z Bobem stworzyliśmy potwora?

- Moja mama mieszka w domu opieki - powiedziała Charlotte. - Przestała mnie poznawać, więc teraz to ja przechowuję nasze wspomnienia. Opowiadam jej, jak na studiach, kiedy startowałam w wyborach do rady uczelni, ona upiekła czekoladowe ciastka dla całego ostatniego roku i dzięki temu pobiłam na głowę całą konkurencję. Albo jak latem zbierałyśmy na plaży okruchy szkła wygładzonego przez fale i kładłyśmy je do słoika na stoliku obok mojego łóżka. Chciałabym wiedzieć, co Willow opowiedziałaby mnie, gdyby zdarzyło się coś takiego. Chciałabym wiedzieć, czy istnieje różnica pomiędzy porządną matką a dobrą matką.

- Owszem - powiedziałam, a ona spojrzała na mnie wyczekująco.

Nawet jeśli teraz, będąc dorosłą, nie umiałam znaleźć odpowiednich słów, to jako dziecko czułam wyraźnie, na czym polega ta różnica. Zastanowiłam się przez chwilę.

- Porządna matka zawsze podąża krok w krok za swoim dzieckiem - powiedziałam.

- A dobra matka?

Uniosłam wzrok i spojrzałam Charlotte prosto w oczy.

- Za dobrą matką dziecko chce iść samo.

**Antykrystalizator:** substancja dodawana do syropu w celu powstrzymania krystalizacji cukru.

*Każdy przeżył kiedyś coś, co można nazwać krystalizacją - chwilę jasności umysłu, gdy wszystko staje się ewidentne i zrozumiałe... i to całkiem niezależnie od naszej woli. Podobnie dzieje się przy robieniu słodyczy: na pewnym etapie mieszanina zaczyna się przekształcać, przeobrażać w coś zupełnie innego. Pojedynczy, swobodny kryształ cukru potrafi zmienić jej konsystencję z płynnej w ziarnistą, a jeśli nie powstrzymamy tego procesu, powstanie twardy*

*słodki sopol. Są jednak substancje, które można dodać do gotującego się syropu, aby zapobiec krystalizacji. Do najpopularniejszych antykrystalizatorów należą syrop kukurydziany, glukoza i miód, a także wodorowinian potasu, czyli kamień winny, sok z cytryny oraz ocet.*

*Ale jeśli to naszemu życiu zagraża krystalizacja i nie chcemy dopuścić, aby stało się klarowne i zrozumiałe, wtedy najlepszym dodatkiem przeciwdziałającym jest umiejętne kłamstwo.*

## KREM KARMELOWY

### KARMEL

*1 szklanka cukru*

*1/3 szklanki wody*

*2 łyżki stołowe lekkiego syropu kukurydzianego*

*1/4 łyżeczki soku z cytryny*

### KREM

*1 1/2 szklanki pełnotłustego mleka*

*1 1/2 szklanki lekkiej śmietany kremówki*

*3 duże całe jaja*

*2 duże żółtka*

*2/3 szklanki cukru*

*1 1/2 łyżeczki esencji waniliowej szczypta soli*

*Crème caramel można zrobić w jednym dużym naczyniu, ale ja wolę małe porcje, w kokilkach. Karmel przyrządza się następująco: mieszamy cukier, wodę, syrop kukurydziany i sok z cytryny w średniej wielkości rondlu ze stali nierdzewnej - jasnym, żeby dobrze było widać kolor syropu. Podgrzewamy na średnim ogniu, wycierając ścianki wilgotną ściereczką, żeby usunąć zabłakane kryształy cukru, które mogą zapoczątkować krystalizację. Gotujemy około ośmiu minut, dopóki syrop nie straci przejrzystości i nie przybierze złotego koloru, regularnie poruszając naczyniem, żeby ciemniał równomiernie. Kiedy już zacznie zmieniać barwę, gotujemy jeszcze przez cztery-pięć minut, ciągle poruszając rondlem, aż na powierzchni pokażą się duże, miodowożłote bąble. Wtedy natychmiast zdejmujemy rondel z ognia i rozlewamy karmel do ośmiu nienatłuszczonych, żaroodpornych, stu pięćdziesięciogramowych kokilek. Odstawiamy na mniej więcej kwadrans, żeby ostygł i stężał. [Kokilki można nakryć folią i przechowywać do dwóch dni w lodówce, ale schłodzony karmel przed wykorzystaniem trzeba z powrotem ogrzać do temperatury pokojowej].*

Przepis na krem: podgrzać mleko ze śmietaną na średnim ogniu w średniej wielkości rondlu, mieszając od czasu do czasu; kiedy termometr pokaże 70°C, zdjąć naczynie z ognia. Jaja, żółtka i cukier utrzeć w dużej misce, a następnie dolać ciepłe mleko ze śmietaną, dodać wanilię, szczyptę soli i całość ubić, ale tak, żeby się nie spieniła. Przełać przez gęste sitko do dużej miarki kuchennej i odstawić.

Następny krok: zagotować dwa litry wody. Wyłożyć dużą brytfannę ścierką do naczyń. Mieszkę kremową rozlać do kokilek, a te wstawić do brytfanny, daleko od siebie, żeby się nie dotykały.

Brytfannę umieścić na środkowej półce piekarnika uprzednio nagrzanego do temperatury 180°C i zalać zagotowaną wodą do połowy wysokości kokilek, a potem przykryć folią aluminiową, niezbyt szczelnie, tak żeby mogła uchodzić para. Piec przez 35-40 minut; mały nóż wsunięty pomiędzy brzeg a środek kokilki musi wyjść czysty.

Przełożyć kokilki na kratkę i ostudzić do temperatury pokojowej. Przed podaniem wyciąć porcję nożem, nakryć kokilkę talerzem, odwrócić i delikatnie wytrząsnąć. Podawać natychmiast po wyjęciu.



## Charlotte

*Sierpień 2008 r.*

Zjazd chorych na *osteogenesis imperfecta*, organizowany co dwa lata, w roku 2008 odbył się w Omaha, w olbrzymim Hiltonie, gdzie była aula i duży basen. Goście - ponad pięćset siedemdziesiąt osób podobnych do ciebie jak rodzeństwo. Po wejściu do recepcji poczułam się nagle jak olbrzymka, a ty odwróciłaś się do mnie na wózku, uśmiechnięta od ucha do ucha.

- Mamo - powiedziałaś - tutaj jestem normalna.

Nigdy w życiu nie byłam na żadnym zjeździe. Nigdy nie było nas stać na taką podróż. Minęło już jednak dobre kilka miesięcy, odkąd Sean przestał u nas nocować, a chociaż nie pytałaś, co się dzieje, nie łudziłam się bynajmniej, że niczego nie zauważyłaś; po prostu nie chciałaś wiedzieć, dlaczego taty nie ma. I szczerze mówiąc, ja też wolałam nie wiedzieć. Nie rozmawialiśmy z Seanem o separacji, ale pewnych rzeczy wcale nie trzeba nazywać po imieniu. Czasami przyłapywałam się na tym, że myślę, co mój mąż chciałby zjeść na obiad, innym razem już łapałam za komórkę, żeby do niego zadzwonić i nagle przypominałam sobie, że nie mogę. Kiedy przychodził cię odwiedzić, cała promieniałaś; chciałam dać ci coś innego, na co mogłabyś czekać z równym utęsknieniem. I tak, kiedy z Fundacji Chorych na OI przyszedł e-mail z wiadomością o zjeździe w Omaha, wiedziałam od razu, że to właśnie to.

Widząc, jak mierzysz oczami kolumnę wózków, na których jechały same twoje rówieśniczki, zrozumiałam, że trzeba było wcześniej się zdecydować na taki wyjazd. Nawet Amelia nie rzucała żadnych złośliwych uwag; wodziła wzrokiem za małymi grupkami ludzi na wózkach, przy chodzikach albo poruszających się na własnych nogach, którzy witali się jak odnalezieni po latach krewni. Dziewczynki w wieku jedenastu, dwunastu lat - jedne wyglądały jak ona, inne były niskiego wzrostu jak ty - robiły sobie zdjęcia jednorazowymi aparatami. Chłopcy, ich rówieśnicy, szaleli na ruchomych schodach, pokazując sobie nawzajem, jak wjechać na nie wózkiem.

Jakaś małeńka brunetka z loczkami podeszła do ciebie, klekocząc aparatem ortopedycznym.

- Ty jesteś nowa - powiedziała. - Jak masz na imię?

- Willow.

- Ja jestem Niamh. Dziwne imię, ale twoje też jest dziwne. - Dziewczynka spojrzała na

Amelię. - To twoja siostra? Też ma OI?

- Nie.

- E - skrzywiła się Niamh - jak jest zdrowa, to ma kiepsko. Tutaj najfajniejsze zajęcia są dla takich dzieciaków jak my.

W ciągu trzech dni zjazdu zaplanowano czterdzieści różnych prelekcji - od „Planu finansowego dla dziecka specjalnej troski”, poprzez „Tworzenie programu edukacji indywidualnej”, aż po „Zapytaj lekarza”. Dla dzieci były zajęcia w Małym Klubie: rzemiosło artystyczne, zgadywanki, basen, turnieje gier wideo, treningi samodzielności i wiary w siebie. Niezbyt chętnie oddałam cię w obce ręce, ale nad wszystkim czuwały zawodowe pielęgniarki. Maluchy miały wieczór gier i zabawę pod nazwą „Kostek i Mleczka ruszają w świat”. Nawet Amelia mogła wybrać się na pogadankę dla rodzeństwa chorych na OI.

- Niamh, tutaj jesteś! - Zbliżyła się do nas nastolatka na oko w wieku mojej starszej córki, zostawiając na chwilę grupkę, z którą rozmawiała. - Nie wolno tak znikać bez słowa. - Wzięła małą brunetkę za rękę. - To twoja znajoma? Jak ma na imię?

- Willow.

Dziewczyna przykucnęła przed twoim wózkiem, tak że mogła spojrzeć ci w oczy.

- Miło cię poznać, Willow. Chcesz zagrać z nami w karty?

- A mogę? - zapytałaś, oglądając się na mnie.

- Jasne, tylko musisz uważać - odpowiedziałam. - Amelia, zawieź ją...

- Ja to zrobię. - Z grupki wyszedł jakiś nastolatek, chwycił za rączki twojego wózka. Miał ciemnoblonde włosy, wpadające do oczu i uśmiech, który stopiłby lodowiec - albo Amelię, bo nie przestawał się na nią gapić. - Chyba że idziesz z nami?

Nie do wiary: Amelia się zarumieniła.

- Może dołączę później - odparła.

Organizatorzy zjazdu zarezerwowali w hotelu pokoje przystosowane dla niepełnosprawnych, ale nie skorzystałyśmy z tej możliwości. Ani mnie, ani Amelii nie zależało szczególnie na prysznicu bez brodzika, a na myśl o wypożyczonym plastikowym stołku do siedzenia podczas kąpieli robiło nam się słabo. Zupełnie dobrze radziłaś sobie w wannie, a włosy mogłaś umyć pod kranem. Wybrałyśmy się na otwarcie zjazdu, żeby wysłuchać odczytu na temat najnowszych badań nad *osteogenesis imperfecta*, a potem zjadłyśmy obiad; w jadalni był szwedzki bufet na niskich stołach, żeby mogli z nich korzystać ludzie niewielkiego wzrostu albo

poruszający się na wózkach.

- Gasimy światło - powiedziałam, a Amelia, nie wyciągając z uszu słuchawek od iPod'a, nakryła się kołdrą, spod której przebijał migoczący wyświetlacz. Ty przewróciłaś się na bok; buzię miałaś już senną, rozmarzoną.

- Tu jest super - szepnęłaś. - Chcę tu zostać na zawsze.

Uśmiechnęłam się, słysząc to życzenie.

- Kiedy wyjadą wszyscy twoi znajomi, przestanie być fajnie.

- Przyjedziemy następnym razem?

- Mam nadzieję, że tak, Wills.

- I tata z nami?

Odwróciłam głowę, łowiąc okiem jasne cyferki przeskakujące na elektronicznym budziku.

- Mam nadzieję, że tak - powtórzyłam.

Jak to się stało, że trafiłyśmy na ten zjazd?

Pewnego ranka, po odwiezieniu was do szkoły, piekłam coś w kuchni. Ostatnio, kiedy nie było was w domu, właśnie tym się zajmowałam. Kolejne czynności były dla mnie jak rytm zen: utrzeć cukier i tłuszcz do pieczenia, założyć z białkami, podgrzać mleko. Kuchnię przepelniały aromaty wanilii i karmelu, cynamonu i anyżu. Ucierałam lukier królewski, ugniatałam, a potem wałkowałam ciasto, z którego wychodziły idealne spody i korpusy. Mając zajęte ręce, nie błądziłam myślami.

To było w marcu, czyli dwa miesiące od czasu, gdy Sean wycofał się z procesu. Przez kilka tygodni po tamtej awanturze na środku autostrady zostawiałam dla niego, na wszelki wypadek, pościel obok kominka - na lepsze przeprosiny nie umiałam się zdobyć. Zaglądał do domu co jakiś czas, żeby zobaczyć się z wami, ale za każdym razem miałam wtedy wrażenie, że wam przeszkadzam, zajmowałam się więc czymś: bilansowałam swoją książeczkę czekową albo sprzątałam w łazience, przysłuchując się waszym śmiechom dobiegającym z dołu.

Żałuję, że nie miałam odwagi powiedzieć mu: popełniłam błąd, ale ty też, więc teraz jesteśmy kwita.

Czasami porywała mnie instynktowna tęsknota za Seanem, a innym razem byłam na niego zła. Bywało też, że po prostu marzyłam o tym, żeby cofnąć czas do tamtej chwili, kiedy zapytał: „Co powiesz na wycieczkę do Disneylandu?”. Ale najczęściej zastanawiałam się tylko,

dlaczego myśl mknie jak błyskawica, a serce wlecze się żółwim tempem. Nawet kiedy czułam niezachwianą pewność siebie, gdy mi się wydawało, że poradzimy sobie same we trójkę, wciąż kochałam Seana. To było jak utrata czegoś, co dotąd zawsze się miało, jak wybity ząb, ucięta noga. Człowiek wie, jak jest naprawdę, ale mimo to wciąż wpycha język w szczyrbę, i nadal czuje ból fantomowy.

Tak więc co rano, żeby zapomnieć, zabierałam się do pieczenia, aż szyby zachodziły parą, a jeden oddech wystarczył, żeby poczuć się jak przy królewskim stole. Od pracy czerwieniała mi wyschnięta i poobcierana skóra na dłoniach, a na paznokciach zasychała skorupa z mąki. Pieklam, aż odechciewało mi się myśleć, jak to możliwe, że mój proces tak się wlecze i skąd wezmę pieniądze na kolejną ratę hipoteki. Pieklam, aż w kuchni robiło się tak gorąco, że zostawałam w samym fartuchu, koszulce bez rękawów i szortach, a oczyma duszy widziałam siebie uwięzioną pod złocistym, spękany dachem z ciasta mojego własnego wypieku, wyglądającą ratunku od Seana; czy zdąży, zanim się uduszę?

Trudno się więc dziwić, że spłoszył mnie dzwonek do drzwi, który odezwał się niespodziewanie, kiedy smażyłam górę racuchów i byłam akurat w połowie zбочa. Nie spodziewałam się żadnej wizyty, bo po prostu nie miałam już kogo się spodziewać, kropka. A tymczasem na ganku stał jakiś obcy facet; na jego widok bardzo dobitnie dotarło do mnie, że jestem w zaawansowanym negliżu, a włosy mam posiwiiałe od cukru pudru.

- Pani Syllabub? - zapytał nieznajomy.

Był niewysoki i korpulentny, miał podwójny podbródek i przerzedzone włosy. W dłoni trzymał plastikową torbę pełną moich kruchych ciastek, przewiazaną zieloną wstążką.

- To tylko nazwa - odpowiedziałam - nie nazwisko.

- Ale to pani... - zerknął na mój strój - je upiekła?

- Owszem - przytaknęłam. - To ja.

Ja, mistrz cukiernik. Nie naciągaczka, nie pijawka, nie wyrachowana suka. I nawet nie matka. To było coś zupełnie odrębnego, tożsamość jasno określona i niezachwiana, po prostu mur-beton.

- Charlotte O'Keefe. - Wyciągnęłam rękę.

Facet wyprostował się i mocno wparł stopy w wycieraczkę.

- Chciałbym kupować pani ciastka.

- Nie trzeba było fatygować się aż tutaj - odparłam. - Wystarczy zostawić kilka dolarów w

skarbonce.

- Nie rozumiemy się. Chcę kupować wszystko, co pani upiecze. - Wręczył mi wizytówkę, taką z wytłoczonymi literami. - Nazywam się Henry De Ville. Prowadzę sieć sklepów ogólnospożywczych Gas-n-Get, zlokalizowanych na stacjach obsługi pojazdów. Jesteśmy obecni w całym New Hampshire, a ja chciałbym, żeby znalazły się u nas pani wypieki. - Zaczerwienił się. - Zależy mi na tym głównie dlatego, że sam nie mogę im się oprzeć. Po prostu je pochłaniam.

- Naprawdę? - Powoli moja twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Mieszka tutaj moja siostra, niedaleko, dwie przecznice stąd. W zeszłym miesiącu wybrałem się do niej z wizytą, ale zabłądziłem, a byłem strasznie głodny... I od tej pory już osiem razy tu wracałem - bite dwie godziny drogi! Biorę wszystko w ciemno, cokolwiek pani danego dnia upiecze. Być może nie mam najlepszego wyczucia w interesach, ale na słodyczach znam się jak mało kto.

Po całym tygodniu namysłów przyjąłem wreszcie propozycję przedsiębiorcy nazwiskiem DeVille. Nie miałam przecież ani czasu, ani ochoty, żeby rozwozić z rana babeczki po całym New Hampshire. Nie miałam pojęcia, jaką wysokość produkcji mogę zagwarantować. Zgłaszałam kolejne zastrzeżenia, ale Henry za każdym razem miał gotowe rozwiązanie i ostatecznie po tygodniu podrzuciłam Marin projekt umowy, który okazał się na tyle smakowity, że mogłam go przyjąć. Aby uczcić to wydarzenie, zrobiłam dla Henry'ego ciasto z migdałami i borówkami. Zasiadł w mojej kuchni, nad kawą i talerzykiem, w towarzystwie świeżo upieczonej kobiety interesu.

- Długo łamałem sobie głowę - mruknął w zamyśleniu, patrząc, jak składam podpis pod umową - i dalej nie wiem, o co chodzi. W tym, co pieczesz, jest coś wyjątkowego, jakiś smak, którego nie znam. Można się od niego uzależnić.

Uśmiechnęłam się do niego najładniej, jak tylko umiałam, i szybko wręczyłam mu umowę, żeby się przypadkiem nie rozmyślił.

Bo miał całkowitą rację: w moich wypiekach był pewien składnik, intensywniejszy niż najbardziej stężona esencja i ostrzejszy od wszystkich przypraw świata. Wszyscy znają ten smak, ale nikt nie potrafi go nazwać; był to żal, nuta, która zawsze wybija się w najmniej spodziewanym momencie.

Drugiego dnia zjazdu wybrałyśmy się rano na marsz w ramach kampanii „Trzymaj formę!”, bo w tym roku tak właśnie brzmiało hasło przewodnie imprezy. Marsz odbył się na

bieżni w ośrodku sportowym, a trasa miała pół kilometra, które można było pokonać pieszo albo na wózku. Po ukończeniu dostałaś dyplom uczestnictwa; nie wypuszczałaś go z dłoni, trzymając cały czas przy piersi. Przed udaniem się na zajęcia w grupach zjadłyśmy szybkie śniadanie. Amelia wciąż jeszcze spała, a ja zamierzałam się wybrać na warsztaty postrzegania obrazu własnego ciała dla dziewczynek z OI.

Zostawiłam cię w tak zwanej Strefie Dziecka; odkąd zdjęli ci gips, a minęły już cztery miesiące, jeszcze ani razu, na żadnej rehabilitacji, nie uniosłaś prawej ręki tak wysoko jak teraz, kiedy przybiłaś pielęgniarce piątkę na powitanie; zauważyłam to natychmiast. Po drodze na sesję wstąpiłam do łazienki, żeby umyć ręce. Łazienki, podobnie jak cały hotel, były przystosowane dla chorych na OI: drzwi zewnętrzne otwarte i zablokowane, żeby łatwo było wejść, niski stolik z dodatkowym mydłem i ręcznikami.

Kiedy odkręciłam kran, do środka weszła jeszcze jedna kobieta. W dłoni miała szklanekę mleka, którym częstowano wszystkich uczestników, chociaż *osteogenesis imperfecta* oznacza niedobór kolagenu, a nie wapnia. Niemniej ogólnym tematem zjazdu była troska o zdrowie.

- Coś wspaniałego. - Uśmiechnęła się szeroko. - To chyba jedyna konferencja na świecie, gdzie pomiędzy sesjami zamiast kawy i soku serwują mleko.

- Wychodzi taniej niż wlewy pamidronianu - zauważyłam.

Skwitowała to śmiechem.

- My się chyba nie znamy - powiedziała. - Jestem Kelly Clough. Mój David ma typ V.

- A moja Willow - typ III. Nazywam się Charlotte O'Keefe.

- Podoba jej się tutaj?

- Mówi, że tu jest jak w niebie. - Skinęłam głową. - Dziś wieczorem jest wycieczka do zoo, a ona nie może się już doczekać.

Zoo imienia Henry'ego Doorly było tego dnia otwarte po godzinach specjalnie dla uczestników zjazdu. Przy śniadaniu spisałaś listę zwierząt, które chciałaś zobaczyć.

- David najbardziej lubi pływać. - Kelly Clough przyjrzała mi się w lustrze. - Chyba panią skądś kojarzę...

- Pierwszy raz jestem na takim zjeździe.

- Nie, samo nazwisko...

Rozległ się szum spuszczonej wody, a chwilę później otworzyła się jedna z kabin. Wyszła z niej kobieta w naszym wieku. Ustawiwszy chodzik przed nisko zawieszoną umywalką,

odkręciła kran.

- Znasz blog Małego Tima? - zapytała, patrząc na Kelly.

- Jasne. Wszyscy go znają.

Nie wszyscy. Ja, na przykład, nie znałam tego blogu.

- To ona skarży położnika o niedobre urodzenie. - Kobieta chora na OI odwróciła się w moją stronę, wytarłszy najpierw ręce. - Moim zdaniem to wstrętne. A to, że pokazałaś się tutaj, jest jeszcze gorsze. Nie można grać na dwa fronty: skarżyć kogoś w sądzie za nic niewarte życie z OI, a potem wpadać na zjazd i pisać z zachwytem, że córka jest szczęśliwa, bo ma wokół dzieci podobne do siebie i tak się cieszy na wycieczkę do zoo.

Kelly Clough cofnęła się o krok.

- To pani...?

- Nie chciałam...

- Nie mogę uwierzyć, że jakaś matka albo ojciec mogliby naprawdę tak myśleć - oznajmiła. - Tak jak my wszyscy, wydaję ostatnie grosze, żeby jakoś związać koniec z końcem, ale nigdy,

przenigdy nie żałowałam, że mój syn przyszedł na świat. Nie byłabym zdolna do czegoś takiego.

Zaczęłam dygotać na całym ciele. Nie mogłam tego opanować. Przecież marzyłam o dziecku, tak samo jak ta Kelly, która z całkowitym spokojem podchodziła do choroby swojego syna. Pragnęłam też, żebyś dorosła i stała się podobna do tej drugiej kobiety, tak szczerzej i pewnej siebie. Różniło mnie od nich tylko to, że chciałam jeszcze czegoś: zdobyć środki, które ci to umożliwią.

- Chcesz wiedzieć, co robiłam przez ostatnie pół roku? - zapytała chora na OI. - Trenowałam do paraolimpiady. Startuję w pływaniu. Jeśli twoja córka zdobędzie kiedyś złoty medal, może będziesz wtedy łaskawa przyznać, że to nie było zmarnowane życie?

- Pani nie rozumie...

- To raczej pani nie rozumie - przerwała mi Kelly Clough i obróciwszy się na pięcie, wymaszerowała z łazienki, a za nią tamta druga kobieta. Odkręciłam kran do oporu i obmyłam rozpaloną twarz. Potem wyszłam na korytarz, a serce wciąż waliło mi jak młotem.

Dochodziła dziewiąta, ludzie zbierali się już na porannych sesjach. Zostałam zdemaskowana; czułam ostre ukłucia setek utkwionych we mnie spojrzeń, a w każdym szepcie

szeleściło moje imię. Nie odrywając wzroku od wzorzystej wykładziny, minęłam gromadkę mocujących się chłopców i dziewczynkę chorą na OI, która niosła na rękach dziecko niewiele mniejsze od niej samej. Do windy jeszcze sto kroków... pięćdziesiąt... dwadzieścia.

Kiedy drzwi się rozsunęły, wskoczyłam do środka, od razu wciskając klawisz, ale zanim zdążyły się z powrotem zamknąć, zatrzymała je kula inwalidzka; na progu kabiny stał mężczyzna, który poprzedniego dnia zapisywał nas po przyjeździe. Wtedy się do mnie uśmiechnął, ale teraz, choć minęło zaledwie dwanaście godzin, oczy miał czarne jak smoła.

- Coś pani powiem - oświadczył. - To nie kalectwo utrudnia mi życie na każdym kroku, tylko tacy ludzie jak pani.

Wycofał kulę ze zgrzytem i odstąpił, pozwalając drzwiom się zamknąć.

Dotarłam jakoś do naszego pokoju i przesunęłam kartę-klucz w zamku, przypominając sobie poniewczasie, że Amelia pewnie jeszcze śpi. Dzięki Bogu, już jej nie było, poszła na śniadanie albo po prostu gdzieś się urwała - w tej chwili było mi obojętne, co robi moja starsza córka. Rzuciłam się na łóżko i naciągnęłam kołdrę na głowę. Mogłam wreszcie pozwolić sobie na łzy.

To było gorsze, niż stanąć przed ławą przysięgłych. Ławnicy to tacy sami ludzie jak ja, a teraz trafiłam pod sąd ludzi podobnych do ciebie.

Spójrzmy prawdzie w oczy: byłam do niczego. Mąż ode mnie odszedł, a moje macierzyństwo przybrało karykaturalną formę, aby zestroić się z amerykańskim systemem prawnym. Płakałam, aż spuchły mi oczy, a mięśnie twarzy zaczęły rwać ostrym bólem, dopóki nie wypłakałam wszystkiego, do ostatka. Wtedy wstałam i podeszłam do niedużego biurka pod oknem.

Był na nim telefon, podkładka do pisania oraz segregator z wykazem usług oferowanych przez hotel. W środku znalazłam też dwie pocztówki i dwie puste kartki do faksu. Wyjąwszy je, sięgnęłam po długopis leżący obok telefonu.

„Sean - napisałam. - Tęsknię za tobą”.

Dopóki się nie wyprowadził, byliśmy praktycznie nierozłączni, jeśli nie liczyć jednego tygodnia przed samym ślubem. Sean mieszkał z nami już od jakiegoś czasu, ale chciałam stworzyć chociażby pozór radosnego oczekiwania na wielką uroczystość, więc przez tych kilka ostatnich dni koczował u kolegi z pracy. Okropnie mu się to nie podobało. Przyjeżdżał radiowozem pod moją restaurację, kiedy byłam w pracy (chowaliśmy się w chłodni i



całowaliśmy jak szaleni) albo wpadał wieczorem powiedzieć dobranoc Amelii, a potem udawał, że zasnął przed telewizorem. Przejrzałam go od razu i oznajmiłam, że nie ze mną te numery. A gdy składaliśmy przysięgę ślubną, zaskoczył mnie, bo napisał własne słowa.

- Oddaję ci swoje ciało i duszę - powiedział. - Będę cię bronił i będę ci służył. Stworzę dla ciebie dom i już nigdy nie pozwolę ci się z niego wykopać.

Wszyscy się wtedy roześmiali, ja też. No bo wyobraźcie sobie - Charlotte, ta mała myszka, jako zmysłowa kusicielka wydająca rozkazy mężczyźnie! Ale przy Seanie zawsze czułam się tak, jakbym mogła powalić olbrzymą - jednym słowem albo łagodnym dotykiem. Nigdy bym się nie spodziewała, że jestem zdolna do tak potężnych uczuć.

W głębi serca - w tych zapadłych rejonach, gdzie szuka się nadziei - wciąż wierzyłam, że to, co się popsulo pomiędzy mną a Seanem, da się jeszcze naprawić. Nie mogło być inaczej, bo gdy się kocha mężczyznę i ma z nim dziecko, to wspólne dzieło, powstaje więź, której nie da się nagle tak po prostu zerwać. Ta więź to energia, a energia jest niezniszczalna - można ją co najwyżej przetworzyć, inaczej ukierunkować. I może rzeczywiście nadszedł teraz czas, kiedy cała moja uwaga i troska skupiły się na tobie, ale to było zupełnie normalne: natężenie miłości w rodzinie podlega ustawicznym zmianom, bez przerwy oscyluje. W następnym tygodniu mogło paść na Amelię, w przyszłym miesiącu - na Seana. A kiedy rozprawa dobiegnie końca, doczekam się jego powrotu, na pewno wróci do domu i wszystko będzie tak, jak dawniej.

Nie mogło być inaczej, bo w przeciwnym razie musiałabym wybierać pomiędzy twoją przeszłością a moją własną, a to byłoby dla mnie absolutnie nie do przyjęcia.

Drugi list, który musiałam napisać, był zdecydowanie trudniejszy. „Kochana Willow”, zaczęłam.

*Nie wiem, kiedy to przeczytasz ani co się wydarzy, zanim ten list trafi w Twoje ręce. A jednak muszę napisać, bo jestem Ci winna wyjaśnienie; masz do tego większe prawo niż ktokolwiek inny. Jesteś największym cudem mojego życia - a jednocześnie największą tragedią. Nie chodzi o Twoją chorobę, tylko o to, że nie mogę nic zrobić, żeby Cię wyleczyć. I nie cierpię myśleć, że być może nigdy nie będziesz w stanie robić tego, co inne dzieci.*

*Kocham Cię i zawsze będę Cię kochać. Możliwe, że kocham Cię za mocno. Tylko to mnie tłumaczy. Wydawało mi się, że dzięki tak wielkiej miłości będę mogła przenosić góry, jeżeli to Ci pomoże; że taka miłość przyprawi Ci skrzydła. Nie obchodziło mnie, jak to się stanie - każdy sposób był dobry. Myślałam o tym, komu przyjdę z pomocą, nie o tym, komu po drodze zrobię*

krzywdę.

*Pamiętam, jak po raz pierwszy coś w Tobie pękło, kiedy trzymałam Cię na rękach. Rozplakałam się wtedy i nie mogłam przestać. Mam teraz wrażenie, że przez te wszystkie lata szukałam zadośćuczynienia za tamtą chwilę. To dlatego dzisiaj nie umiem powiedzieć „stop”, nawet jeśli czasami bym chciała. Nie umiem, ale mimo to bez przerwy się martwię, bo nie wiem, jakie wydarzenia zapamiętasz na całe życie. Czy to będą moje kłótnie z tatą, czy przemiana Twojej siostry, która na naszych oczach stała się kompletnie obcą istotą? A może tamten dzień, kiedy przez całą godzinę patrzyłyśmy razem, jak po naszym ganku pełźnie ślimak? Kanapki do przedszkola, w których wycinałam Twoje inicjały? Czy będziesz pamiętać, że codziennie, wycierając Cię po kąpieli, trzymałam Cię w ramionach chwilę dłużej, niż to było konieczne?*

*Zawsze marzyłam, że będziesz kiedyś mogła żyć samodzielnie. Oczyma duszy widzę Cię w lekarskim fartuchu i zastanawiam się, czy to dlatego, że tak wielu lekarzy już się Tobą zajmowało. Fantazja podsuwa mi faceta, który zakocha się w Tobie jak wariat, może nawet jakąś córeczkę. Mogę się założyć, że walczyłabyś o nią jak lwica, tak jak ja usiłowałam walczyć o Ciebie.*

*Ale jedna rzecz zawsze była dla mnie zagadką: w jaki sposób z dzisiejszym potencjałem osiągniesz to wszystko w przyszłości. I nagle ktoś dał mi do ręki narzędzia i materiały, z których mogłam zbudować most. A kiedy zorientowałam się, że to most cierniowy i że może nie utrzymać nas wszystkich, było już za późno.*

*We wspomnieniach dobro i zło nigdy się nie równoważę. Nie wiem, jak to się stało, że zaczęłam postrzegać twoje życie przez pryzmat katastrof- operacji, złamań, wypadków - zamiast koncentrować się na chwilach pomiędzy nimi. Może to pesymizm, a może realizm. A może tak po prostu robi matka.*

*Usłyszysz różne opinie na mój temat. Niektórzy będą kłamać, inni powiedzą prawdę. Ale liczy się tylko jedno: po każdym Twoim kolejnym urazie pragnę gorąco, żeby to był już ostatni.*

*A najbardziej się martwię, że będziesz miała do mnie żal. Bo taki uraz może się okazać nieuleczalny.*

## Sean

Byłem splukany do suchej nitki.

Z pensji potrącano mi już teraz spłatę kredytu hipotecznego, raty za samochód i rachunki z karty kredytowej; dodatkowo wszystko, co mógłbym ewentualnie zaoszczędzić, lądowało w tempie czterdziestu dziewięciu dolarów za noc w kasie motelu, gdzie zamieszkałem po tamtej scysji z Charlotte na autostradzie.

Dlatego właśnie, dowiedziawszy się od niej, że wyjeżdżacie na zjazd do Omaha, wymeldowałem się w piątek z motelu, żeby spędzić noc w domu.

To dziwne uczucie: wrócić do siebie jako obcy człowiek. Wiesz, jak to jest, kiedy wchodzisz do czyjegoś mieszkania: pierwsza rzecz, którą rejestrujesz, to zapach. Pachnie czystym praniem albo sosnowymi igłami, ale zawsze ten zapach jest niepowtarzalny. We własnym domu czuje się go dopiero po powrocie, po długiej nieobecności. Pierwszego wieczoru przechadzałem się tylko w tę i z powrotem, chłonąc znajome widoki: słupek przy poręczy na schodach, który wciąż wypadał, bo nigdy go nie naprawiłem; stadko pluszaków na twoim łóżku; piłka baseballowa, którą złapałem na meczu Red Soxów w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Wybraliśmy się z kumplami z komendy do Bostonu, na stadion Fenway Park; grał Tom Brunansky, a Red Sox pokonali Toronto i zdobyli mistrzostwo sezonu.

Zajrzałem też do sypialni i przysiadłem na łóżku, po tej stronie, gdzie spała Charlotte. Potem w nocy ułożyłem się na jej poduszce.

Następnego dnia rano, pakując przybory toaletowe, zastanawiałem się, czy Charlotte, myjąc twarz po powrocie, poczuje mój zapach na ręcznikach. Czy zauważy, że skończyłem napoczęty chleb i pieczeń wołową z lodówki. Czy w ogóle ją to obejdzie.

Miałem akurat wolne i wiedziałem, co muszę zrobić.

W sobotnie przedpołudnie w kościele panowała cisza. Usiadłem w ławce, przyglądając się plamom niebieskiego światła na posadzce; to witraż sięgał przed siebie długimi, barwnymi palcami.

Wybacz mi, Charlotte, i odpuść mi moje winy.

Zauważył mnie wreszcie ojciec Grady, który robił coś przy ołtarzu.

- Sean - przywitał się - co słyhać u Willow? Wszystko w porządku?

Pewnie mu się wydawało, że skoro już raczyłem przyjść do kościoła, to tylko po to, żeby

modlić się za zdrowie córki, której znów coś się stało.

- Tak, proszę księdza - odparłem. - Chciałbym porozmawiać. Ma ksiądz chwilę?

- Oczywiście. - Ojciec Grady usiadł w ławce przede mną i odwrócił się bokiem.

- Chodzi o Charlotte - zacząłem powoli. - Ostatnio jakoś nie możemy się dogadać.

- Chętnie porozmawiam z wami obojgiem - odparł.

- To trwa już od dobrych kilku miesięcy. Raczej za późno na takie rozwiązanie.

- Mam nadzieję, że nie myślisz o rozwodzie, Sean. W Kościele katolickim nie ma rozwodów. To grzech śmiertelny. Złączył was Bóg, a nie podpis na papierze. - Ksiądz uśmiechnął się do mnie. - Nawet to, co niemożliwe, od razu wygląda lepiej, kiedy poprosisz Go o pomoc.

- Czasami nawet Bóg musi robić wyjątki.

- Wykluczone. Gdyby tak było, każdy, kto bierze ślub, myślałby: „Jak będzie ciężko, zawsze mogę się wycofać”.

- Moja żona - powiedziałem sucho - chce zeznać w sądzie, pod przysięgą na Biblię, że gdyby miała wybór, to usunęłaby ciążę, aby Willow się nie urodziła. Zdaniem księdza Bóg chce, żebym był mężem takiej kobiety?

- Tak. - Odpowiedź padła natychmiast. - Głównym celem małżeństwa, zaraz po wydaniu na świat potomstwa, jest wspierać współmałżonka i mu pomagać. Być może to właśnie ty masz pokazać Charlotte jej pomyłkę.

- Próbowałem. Nie udało się.

- Sakrament, a małżeństwo jest sakramentem, oznacza życie ponad instynktami natury, życie, które jest odbiciem samego Boga. A On nigdy nie daje za wygraną.

No, to akurat nie jest do końca prawda, pomyślałem. Ileż to razy w Biblii można przeczytać o tym, jak Bóg wycofał się i zamiast zagryźć zęby i wytrzymać, po prostu zaczął od nowa. Po pierwsze: potop. Po drugie: Sodom i Gomora.

- Jezus nie rzucił krzyża - powiedział ojciec Grady. - Wniósł go na samą górę.

No tak, co do tego jednego proboszcz miał rację. Nasze małżeństwo to był krzyż Pański. I czekał je tak samo tragiczny koniec.

- Może przyjdźcie do mnie z Charlotte w przyszłym tygodniu - zaproponował ksiądz. - Coś wymyślimy.

Skinąłem głową, a on poklepał mnie po dłoni i wrócił za ołtarz.

Oszukać księdza to grzech, ale w tamtej chwili miałem większe zmartwienia.

Adina Nettle, adwokatka, miała o wiele skromniejsze biuro niż Guy Booker, ale widać było, że tych dwoje musiało kończyć te same studia. Guy polecił mi Adinę jako specjalistkę od rozwodów. Sam już dwa razy korzystał z jej usług.

Stały tam miękkie kanapy, a na oparciach leżały koronkowe narzutki; wyglądało to jak dekoracje walentynkowe.

Zamiast zaproponować kawę, Adina poczęstowała mnie herbatą. A do tego wyglądała jak klasyczna babcia.

Może właśnie dlatego zawsze potrafiła załatwić to, co chciała.

- Nie jest ci zimno, Sean? Mogę przykręcić klimatyzację...

- Nie, dziękuję - odparłem. W ciągu pół godziny rozmowy zdążyłem wypić trzy filiżanki earl greya i opowiedzieć jej o naszej rodzinie. - Wciąż jeździmy po różnych szpitalach - podjąłem. - Wszystko zależy od tego, jaki pojawia się problem. W Omaha jest ortopedia, w Bostonie robią wlewy pamidronianu. Zwykle złamania leczymy w miejscowych klinikach.

- Domyślam się, że trudno żyć, gdy nie wiadomo, co się wydarzy.

- Nikt nie wie, co go czeka - odparłem trzeźwym tonem.

- Po prostu po nas wypadki chodzą częściej niż po innych ludziach.

- A zatem twoja żona nie może pracować? - zapytała Adina.

- Nie. Odkąd urodziła się Willow, ledwie wiążemy koniec z końcem. - Urwałem z wahaniem. - A teraz, kiedy mieszkam w motelu, jest tylko gorzej.

Adwokatka zapisała coś w notatniku.

- Sean, dla większości ludzi rozwód oznacza katastrofę finansową, a ty odczujesz to w szczególnie sposób, ponieważ już teraz życie z żoną od wypłaty do wypłaty, a dodatkowo poważnym obciążeniem jest choroba córki. Zresztą twoja sytuacja i tak przypomina błędne koło: jeśli chcesz ubiegać się o prawo do opieki nad dziećmi, to będziesz musiał mniej pracować i w konsekwencji jeszcze mniej zarabiać. A kiedy nie będziesz pracował, córki będą z tobą i możesz się pożegnać z wolnym czasem.

- To bez znaczenia - powiedziałem.

Skinęła głową.

- Czy Charlotte ma jakiś wyuczony zawód?

- Kiedyś była szefem cukierni w restauracji - wyjaśniłem. - Od urodzenia Willow nie

pracowała w zawodzie, ale ostatnio, w zimie, otworzyła koło domu mały stragan.

- Stragan?

- Taki jak zieleniak, tylko z ciastkami.

- Jeśli zaczniesz brać mniej godzin, żeby móc zajmować się dziećmi, to czy zdołasz utrzymać dom, czy może będzie go trzeba sprzedać i zamieszkać w dwóch mniejszych?

- Nie wiem. - Jedno było pewne: nasze oszczędności i tak już dawno szlag trafił.

- Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że ze względu na wielość zajęć rehabilitacyjnych oraz konieczność dostarczenia sprzętu adaptacyjnego dla wszystkich zainteresowanych byłoby najprościej, gdyby Willow nie musiała wciąż się przeprowadzać od mamy do taty... A nawet jeśli w grę wchodzi wizyty rodziców... - Adina spojrzała na mnie. - Jest jeszcze inne wyjście. Możesz wrócić do domu i mieszkać tam aż do rozwodu.

- Czy to nie będzie... trochę niezręczne?

- Owszem, ale tak jest taniej i dlatego właśnie większość rozwodzących się par decyduje się właśnie na to. Taniej, ale też łatwiej dla dzieci.

- Nie rozumiem...

- To bardzo proste. Ustalamy wspólny rozkład dnia, tak aby o każdej porze tylko jedno z was było w domu. Sprawa rozwodowa się toczy, a wy spędzacie czas z dziećmi, unikając nadmiernych wydatków na życie.

Wbiłem wzrok w podłogę. Nie umiałem powiedzieć, czy potrafiłbym być aż tak szlachetny. Czy zniósłbym widok Charlotte, kiedy proces już się zacznie, czy mógłbym patrzeć na nią i nie chcieć jej zamordować za to, co będzie mówić w sądzie. Ale z drugiej strony miałabyś mnie pod ręką, byłbym na twoje zawołanie, mógłbym cię przytulić choćby i w środku nocy, przypomnieć, że bez ciebie ten świat byłby smutny i ponury.

- Jest tylko jeden haczyk - poinformowała mnie Adina. - W New Hampshire sąd rzadko przyznaje ojcu prawo do opieki nad dzieckiem, zwłaszcza w sytuacji gdy jest to dziecko specjalnej troski, którym od urodzenia zajmowała się matka. Jak zamierzasz przekonać sędziego, że jesteś lepszy dla swoich córek niż żona?

Spojrzałem jej prosto w oczy.

- To nie ja wniosłem sprawę o niedobre urodzenie.

Po wyjściu od Adiny świat wydał mi się zupełnie inny. Jezdnię przed sobą widziałem zbyt ostro, kolory drażniły oczy intensywnością. Czuję się tak, jakbym założył za mocne

okulary. Moje ruchy nabrały ostrożności.

Gdy przystanąłem na światłach, wpadła mi w oko młoda kobieta z kawą w dłoni. Przechodziła przez ulicę, a widząc, że na nią patrzę, uśmiechnęła się do mnie. Dawniej skrępowany, odwróciłbym wzrok, ale teraz? Czy wkroczenie na ścieżkę prowadzącą do zakończenia małżeństwa daje prawo do spojrzenia, odwzajemnienia uśmiechu, zauważania innych kobiet?

Miałem dwie godziny do zmiany, więc pojechałem do Aubuchon Hardware, w pełni świadomy ironii - oto wybieram się do sklepu budowlano-remontowego, chociaż aktualnie w moim domu nie można niczego zbudować ani naprawić. Przypomniałem sobie jednak, że rampa dla wózka, która miała już trzy lata, przegniła w miejscu, gdzie na wiosnę wylała nam sadzawka. Postanowiłem zrobić ci nową, żebyś zobaczyła ją po powrocie ze zjazdu.

W tym celu były mi potrzebne trzy albo cztery płyty sklejk grubości około dwóch centymetrów. Podeszedłem do stanowiska sprzedawcy, pytając, ile mnie to razem wyniesie.

- Za jedną płytę płaci pan trzydzieści cztery dolary i dziesięć centów - usłyszałem.

Rachunek był prosty: skoro sama sklejka miała kosztować ponad stówę, musiałbym wziąć więcej nadgodzin. A wykładzina? A czas, którego nie mógłbym poświęcić tobie i twojej siostrze? A noclegi w motelu?

- Sean?

Przede mną stała Piper Reece.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała i zanim zdążyłem odpowiedzieć, sama zaczęła mówić, pokazując mi opakowanie zawierające odłącznik ziemnozwarciowy i komplet złączek do kabli elektrycznych.

- Muszę wymienić to ustrojstwo. Ostatnio bawię się w domową złotą rączkę, ale z prądem na razie mało miałam do czynienia. - Zaśmiała się nerwowo. - Już widzę ten nagłówek: „Śmiertelne porażenie gospodyni domowej. W chwili zgonu bezpieczniki nie były wyłączone”. Ale podobno to nic trudnego, prawda? Jadąc do sklepu po urządzenie do wymiany, ma się większe szanse na tragiczny wypadek, niż montując je potem w domu tymi rękami. - Potrząsnęła głową, rumieniąc się nagle. - Gadam od rzeczy.

Muszę iść. Miałem to już na końcu języka, dwa słowa, gładkie i okrągłe jak wiśniowe pestki, ale wyszło mi coś zupełnie innego:

- Mogę ci pomóc.

Kretyn, debil, skończony idiota. Powtarzałem to sobie przez całą drogę do domu Reece'ów, wioząc z tyłu te trzy płyty ze sklejki i rolkę wykładziny. Nie mogłem pojąć, dlaczego po prostu nie odwróciłem się i nie zostawiłem jej w sklepie. A może chodziło o to, że odkąd znałem Piper, zawsze była pewna siebie, wręcz arogancka, wyszczekana - a dziś zobaczyłem ją zagubioną i wystraszoną?

Taka o wiele bardziej mi się podobała.

Wiedziałem, oczywiście, jak się do niej jedzie. Już na jej ulicy dopadła mnie lekka panika: a jeśli Rob będzie w domu? Chyba nie zniósłbym ich obojga naraz. Na całe szczęście podjazd był pusty. Wyłączyłem silnik i odetchnąłem głęboko. Pięć minut, powiedziałem sobie. Zakładasz jej ten odłącznik i już cię nie ma.

Piper czekała przed progiem.

- To naprawdę bardzo miło z twojej strony - powiedziała, zapraszając mnie do środka.

Ściany w przedpokoju zmieniły kolor, a po kilku następnych krokach zauważyłem, że kuchnia też jest po remoncie.

- Mieliście odnawianie?

- Sama to zrobiłam - odparła Piper. - Miałam ostatnio dużo wolnego czasu.

Krępujące milczenie zawisło między nami jak zasłona.

- No cóż - powiedziałem wreszcie. - Wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Piper utkwiała we mnie wzrok.

- Bo wszystko się zmieniło.

Wbiłem ręce w kieszenie.

- No dobrze, najpierw trzeba wyłączyć bezpieczniki. Domyślam się, że skrzynka jest gdzieś na dole?

Piper zaprowadziła mnie do piwnicy. Znalazłem wyłącznik i odciąłem dopływ prądu. Wróciliśmy do kuchni.

- Które to gniazdko? - zapytałem, a ona pokazała.

- Sean - usłyszałem po chwili - jak sobie radzisz?

- Już wyjmuję ten zepsuty. - Udałem, że źle ją zrozumiałem. - Zobacz, jak już go odkręcisz, dalej jest zupełnie z górki. Teraz trzeba zebrać razem wszystkie białe przewody, a potem przykręcić je do nowego odłącznika... w tym miejscu. Widzisz ten napis: „przewód neutralny”?



Piper pochyliła się, przyjrzała z bliska. Pachniała kawą i wyrzutami sumienia.

- Widzę.

- Czarne przewody zbierasz tak samo i podłączasz tam, gdzie jest napisane „faza”. Na koniec mocujesz przewód uziemiający do zielonej śruby i wkładasz wszystko z powrotem do gniazdka. - Przykręciłem płytkę osłaniającą kontakt i odwróciłem się z powrotem do Piper. - Proste.

- Nic nie jest proste. - Spojrzała na mnie nieruchomym wzrokiem. - Ale przecież ty o tym wiesz. Na przykład niełatwo jest zejść na złą drogę.

Odłożyłem delikatnie śrubokręt.

- Wszystko już zeszło na złą drogę, Piper.

- Tak czy inaczej... Powinnam ci podziękować.

Wzruszyłem ramionami.

- Przykro mi, że spotkało cię coś takiego.

- Ja też ci współczuję - odparła.

Przełknąłem ślinę, cofnąłem się o krok.

- Idź na dół, włącz prąd. Pewnie chcesz sprawdzić, czy gniazdko działa.

- Nie trzeba. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Chyba wszystko będzie w porządku.

## Amelia

No dobra, powiem tak: trudno utrzymać coś w sekrecie, kiedy się mieszka z ludźmi. Już w domu miałam z tym problem, ale łazienka w pokoju hotelowym - wiecie, jakie tam są cienkie ściany? Słysząc przez nie absolutnie wszystko, co w praktyce oznaczało tyle, że kiedy zbierało mi się na rzyganie, musiałam lecieć na dół, do dużej toalety w holu, a i tam trzeba było zaglądać dołem do sąsiednich kabin i czekać, dopóki wszyscy sobie nie poszli.

Po wstaniu z łóżka znalazłam kartkę od mamy. Najpierw zeszłam na śniadanie, a potem zajrzałam do Strefy Dziecka.

- Amelia! - zawołałaś na mój widok. - Patrz, jakie super!

Pokazałaś mi kilka wózków, które miały krótkie kolorowe pręciki przymocowane do kół. Gdy koło się obracało, pręciki klekotały denerwująco, co strasznie szybko robiło się nudne, ale świeciły w ciemności, a to, trzeba uczciwie przyznać, było naprawdę super.

Widać było gołym okiem, jak notujesz wszystko w pamięci, bacznie obserwując inne dzieci z OI: kto ma jaki wózek, w jakim kolorze, z nalepkami czy bez, które dziewczynki mogą chodzić, a które muszą jeździć, które dzieciaki dają radę jeść same, a które trzeba karmić. Szukałaś swojego miejsca w tej różnorodnej grupie, porównując się z innymi i w ten sposób określając poziom swojej samodzielności.

- No, to jakie sprawy mamy dziś na wokandzie? - zapytałam. - I gdzie w ogóle jest mama?

- Nie wiem, chyba na jakiejś sesji - odpowiedziałaś, a potem uśmiechnęłaś się do mnie szeroko. - Idziemy na basen. Mam już kostium.

- O, to fajnie...

- Ale ty nie możesz iść z nami, Amelia. To jest tylko dla takich jak ja.

Wiem, że nie chciałaś, żeby to wyszło jak zarozumiałstwo totalnej smarkuli, ale mimo to przykro mi się zrobiło. No bo nie został już chyba nikt, kto mógłby mieć mnie w nosie: najpierw mama, potem Emma, a teraz nawet młodsza, niepełnosprawna siostra lekceważy mnie na całej linii.

- Nie będę się prosić - odburknęłam, dotknięta do żywego. - I tak miałam gdzieś iść.

Ale patrzyłam za tobą, kiedy potoczyłaś się na wózku w pierwszej grupie, którą pielęgniarki zabrały na ten basen; cała rozchichotana, szeptałaś coś na ucho dziewczynie jadącej obok. Na oparciu jej wózka widniała naklejka:

BYŁAM W HOGWARCIE, ALE SIĘ WYPISAŁAM.

Wyszłam ze Strefy Dziecka i ruszyłam przed siebie głównym korytarzem, gdzie co krok była jakaś sala konferencyjna. Nie miałam pojęcia, na jaką sesję wybrała się mama, lecz zanim zdążyłam się w ogóle nad tym zastanowić, wpadła mi w oko tabliczka z napisem: tylko dla nastolatków. Uchyliwszy drzwi, zapuściłam żurawia do środka. Zobaczyłam grupkę dzieciaków z OI. Niektóre siedziały na wózkach, inne stały, a wszyscy odbijali sobie balony.

Tylko że to nie były balony. To były prezerwatywy.

- Właśnie zaczynamy - powiedziała głośno kobieta stojąca na środku sali. - Możesz zamknąć drzwi, kochana?

Dotarło do mnie, że to ja jestem „kochana” i mam zamknąć drzwi. Nie powinno mnie w ogóle tu być - mogłam iść na specjalne zajęcia dla zdrowego rodzeństwa chorych na OI - ale rozejrzawszy się szybko, zauważyłam, że mnóstwo dzieciaków wygląda o wiele lepiej od ciebie, więc może nikt się nie pozna, że moim kościom nie brakuje kolagenu.

A potem wypatrzyłam jeszcze kogoś: chłopaka, który poprzedniego dnia przyszedł po małą Niamh, kiedy my się jeszcze zapisywałyśmy. Na oko można było zgadywać, że jest z takich, którzy grają na gitarze, a jak się zakochają, to piszą piosenki o swojej jedynej. To dla mnie zawsze było coś niesamowitego pomyśleć, że jakiś chłopak mógłby mi coś zaśpiewać, chociaż nie widziałam w sobie nic na tyle interesującego, żeby o tym pisać. I z czym w ogóle zrymować to imię? „Amelia-serdelia”?

Weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Chłopak wyszczerzył zęby, a mnie momentalnie zrobiło się miękko w kolanach.

Usiadłam na stołku obok niego, udając, że jestem fajną laską i w ogóle nic mnie to nie kręci, że czuję wyraźnie na skórze ciepło bijące od faceta, którego mam bliżej niż na wyciągnięcie ręki.

- Witam państwa - powiedziała kobieta na środku sali.

- Ja jestem Sarah, a wy, jeśli nie przyszliście na pogadankę o ptaszkach, pszczołkach i potencjalnych powikłaniach, to pomyliliście sale. Dziś, szanowni państwo, będziemy mówić o seksie, seksie i jeszcze raz o seksie.

Tu i ówdzie dał się słyszeć nerwowy śmiech, a mnie zaczęły palić uszy.

- Tylko o seksie? Bez jaj... - szepnął chłopak obok mnie i uśmiechnął się szeroko. - Oj, sorry. Kiepskie skojarzenie.

Rzuciłam okiem, w lewo, w prawo... Nie. Jednak mówił do mnie.

- Bardzo kiepskie - odszepnęłam.

- Jestem Adam - przedstawił się, a ja zamarłam. - Masz chyba jakieś imię?

Miałam, ale gdybym mu powiedziała, jak się nazywam, to mógłby się domyślić, że nie wolno mi tutaj być.

- Willow - mruknęłam.

Boże, i znów ten uśmiech.

- Bardzo ładnie - powiedział. - Pasuje do ciebie.

Wbiłam wzrok w blat stołu, czerwieniąc się wściekle. Dlaczego? Przecież to była tylko pogadanka o seksie, a nie zajęcia praktyczne.

No tak, tylko że w całym moim życiu nikt nie powiedział mi niczego, co choćby z daleka kojarzyłoby się z seksem, jeśli nie liczyć tekstów w stylu: „Ty, dupa, pożycz ołówek”. Czyżby to moje zdrowe, mocne kości zadziałały na Adama podprogowo?

- Kto mi powie, co jest największym zagrożeniem dla chorych na OI podczas stosunku płciowego? - zapytała Sarah.

Jedna dziewczyna powolutku podniosła rękę.

- Pęknięcie miednicy?

Paru chłopaków siedzących za mną parsknęło rżącym śmiechem.

- Rozmawiałam z setkami chorych na OI, którzy regularnie uprawiają seks - oznajmiła Sarah - i słyszałam tylko o jednym wypadku w trakcie stosunku, który zakończył się złamaniem kości. Osoba, o której mowa, spadła z łóżka.

Tym razem wszyscy roześmiali się głośno.

- Dla chorych na OI największym zagrożeniem związanym z uprawianiem seksu jest zarażenie chorobą weneryczną, a to oznacza - powiodła wzrokiem po sali - że pod tym względem absolutnie nic was nie różni od zdrowych ludzi.

Adam podsunął mi złożoną kartkę. Zajrzałam do środka: „Masz typ I? „.

Domyśliłam się, dlaczego o to pyta, w końcu trochę się znałam na twojej chorobie. Zdarza się czasem, że osoba z *osteogenesis imperfecta* typu I przez całe życie nie wie, że jest chora - po prostu trochę częściej coś sobie łamie niż przeciętny człowiek. Z drugiej strony są też tacy, którym kości pękają równie łatwo jak tobie. Niekiedy są wyżsi od innych chorych i nie zawsze muszą mieć twarz w kształcie serca, jak ci z typem III, czyli twoim. Ja byłam normalnego

wzrostu, nie jeździłam na wózku i nie miałam skoliozy - a jednak przyszedłam na spotkanie dla dzieciaków z OI. Adam nie mógł pomyśleć inaczej.

Oddałam mu kartkę, napisawszy na drugiej stronie odpowiedź: „Nie, jestem spod Bliźniąt”.

Miał naprawdę ładne zęby, nie takie krzywe jak ty - a to się często zdarza u dzieciaków chorych na OI, do spółki z utratą słuchu - białe jak u hollywoodzkiej gwiazdy i idealnie równe; mógłby grać w filmie na Disney Channel.

- A ciąża? - zapytała któraś dziewczyna.

- Każda kobieta chora na OI, niezależnie od typu choroby, może zajść w ciążę - wyjaśniła Sarah. - Z tym że u jednych ryzyko zapłodnienia jest większe, a u innych mniejsze.

- A dziecko też by się urodziło chore?

- Niekoniecznie.

Przypomniało mi się tamto zdjęcie kobiety z typem III, trzymającej na rękach noworodka niewiele mniejszego od niej samej. To nie twój własny organizm jest problemem, tylko kwestia znalezienia partnera. Zjazd zjazdem, a codzienność codziennością; każde z tych dzieciaków było prawdopodobnie jedyną chorą na OI osobą w swojej szkole. Spróbowałam przyspieszyć czas i wyobrazić sobie siebie w moim wieku; skoro ja nie mogłam zwrócić na siebie uwagi żadnego chłopaka, to jakie szanse miałaś ty, karłowaty stworek na wózku albo z balkonikiem?

- Jest tylko jeden problem. - Moja ręka uniosła się sama, jakby ktoś uwiązał mi balon do nadgarstka. - A jeśli nikt nie będzie chciał uprawiać z tobą seksu?

Spodziewałam się chóralnego śmiechu, ale zapadła grobowa cisza. Szok! Rozejrzałam się dookoła. To nie jestem jedyną dziewczyną w swoim wieku, która ma absolutną pewność, że umrze dziewicą?

- Doskonałe pytanie - powiedziała Sarah. - Kto z was miał sympatię w piątej albo szóstej klasie?

Las rąk w górze.

- A potem?

Pozostały dwie. Z dwudziestu.

- Wielu zdrowych młodych ludzi wystraszy się wózka albo odmiennego wyglądu osób z OI. Powiem teraz coś, co zabrzmi jak banał: nie warto być z kimś takim. Możecie mi wierzyć.

Zawsze lepszy jest ten, dla kogo ważne będzie, jacy jesteście, a nie jak wyglądacie. Na

takiego partnera oplaca się czekać. Nie trzeba szukać dalej niż na naszym zjeździe, żeby się przekonać, że chorzy na OI mogą się zakochać, wziąć ślub, uprawiać seks, mieć dzieci - no, może nie zawsze w tej właśnie kolejności.

Kolejny huragan śmiechu. Sarah zaczęła chodzić po sali, rozdając prezerwatywy i banany. Chyba jednak bez zajęć praktycznych nie mogło się obejść.

Widziałam już tutaj pary, gdzie oboje partnerów ewidentnie miało OI, ale też takie, w których jedna osoba była chora, a druga zdrowa. Gdyby kiedyś zakochał się w tobie ktoś sprawny i silny, to może wtedy mama trochę by się uspokoiła? Czy potrafiłabyś flirtować na takim zjeździe z chłopakiem w typie Adama? A może z tym wyczynowcem, śmigającym na wózku w tę i z powrotem po ruchomych schodach? Nie mieściło mi się w głowie, żeby to mogło być proste - ani w sensie praktycznym, na co dzień, ani na poziomie emocjonalnym. Życie z osobą chorą na OI oznacza, że musisz się martwić o siebie i jeszcze o kogoś innego.

A z drugiej strony - może miłość przebija chorobę?

- Chyba jesteśmy razem - oznajmił Adam. Zaparło mi dech w piersiach, ale potem zrozumiałam, że chodzi mu o te głupie banany i prezerwatywy. - Chcesz pierwsza?

Rozewałam opakowanie. Czy tętno można zobaczyć? Bo wszystkie moje żyły szarpały się pod skórą jak szalone.

Naciągnęłam kondom na banana, rozwijając powoli, ale i tak się cały pomarszczył.

- Coś ci nie idzie - zauważył Adam.

- To sam spróbuj - odcięłam się.

Ściągnął moją prezerwatywę, otworzył drugą, po czym nałożył krążek zrolowanej gumy na czubek banana i rozwinął go jednym płynnym, swobodnym ruchem.

- Boże... - mruknęłam. - Dobry jesteś w te klocki.

- To dlatego, że moje życie erotyczne chwilowo koncentruje się na owocach.

- Nie do wiary - prychnęłam.

Spojrzał mi w oczy.

- To mnie raczej trudno uwierzyć, że nie możesz znaleźć nikogo, kto chciałby uprawiać z tobą seks.

Wyrwałam mu owoc z dłoni.

- A wiesz, że banan to organ reprodukcyjny bananowca?

Boże, wyszłam na ostatnią kretynkę. To był numer zupełnie w twoim stylu: rzucić jakimś

tylko sobie znanym faktem.

- A ty wiesz, że winogrona wybuchają w mikrofalówce? - odparował Adam.

- Naprawdę?

- No! - Urwał. - Organ reprodukcyjny?

- Zalążnia - przytaknęłam.

- To powiedz mi, skąd jesteś.

- Z New Hampshire, a ty? - Wstrzymałam oddech, myśląc, że może odpowie, że mieszka w Bankton, tylko chodzi do liceum i to dlatego go nie znam.

- Z Anchorage.

No jasne.

- Obie macie OI, ty i twoja siostra? - zapytał.

Zapamiętał, jak wiozłam cię na wózku.

- Tak - potwierdziłam.

- Musi być fajnie, jak w domu jest ktoś, kto też to ma. - Wyszczrzył zęby. - Ja jestem jedynakiem. Rodzice, kiedy tylko mnie zobaczyli, powiedzieli: dość.

- Bo pewnie byłeś „dość” wymagającym dzieckiem - zaśmiałam się.

Podeszła do nas Sarah.

- Świetnie wam idzie. - Wskazała naszego banana.

To prawda, szło nam świetnie. Tylko że Adam myślał, że nazywam się Willow i jestem chora na OI.

Po chwili zaczął się spontaniczny mecz „dmuchanej” piłki ręcznej - dzieciaki zaczęły przerzucać się po sali napompowanymi prezerwatywami.

- A czy ta dziewczyna, której mama podała lekarza do sądu za niewykrycie OI, też nie nazywa się Willow? - zapytał Adam.

- Skąd o tym wiesz? - Zamurowało mnie.

- Wszystkie blogi o tym piszą. Nie czytasz?

- Miałam ostatnio... dużo zajęć.

- Myślałem, że tamta dziewczyna jest o wiele młodsza...

- To źle myślałeś - ucięłam.

Przekrzywił głowę.

- To znaczy, że to ty?

- Możesz się tak nie wydzierać? - zapytałam. - Nie mam wielkiej ochoty o tym rozmawiać.

- No chyba - zgodził się. - To musi być straszna kaszana.

Wyobraziłam sobie, jak ty się z tym czujesz. Niby czasem zdarzało ci się bąknąć parę słów, kiedy byliśmy same w naszym pokoju, w ostatnich szarych chwilach przed zaśnięciem, ale coś mi mówiło, że i tak bardzo dużo przemilczałaś. Jak to jest, kiedy zamiast patrzeć na ciebie jak na pełną istotę, dostrzegają w tobie tylko jedną cechę: że jesteś brunetką, piszesz lewą ręką albo masz giętkie stawy. Przed chwilą Sarah mówiła, że lepiej być z kimś, kto kocha nas za to, jacy jesteśmy, a nie za to, jak wyglądamy - a twoja własna matka tego nie umiała.

- To jest jak przeciąganie liny - odpowiedziałam cichym głosem. - A ja jestem tą liną.

Adam wsunął dłoń pod stół i wziął mnie za rękę, splatając palce z moimi, aż zatrzęsnęły się jak zapadki w zamku.

- Adam - szepnęłam.

Sarah zaczęła mówić o chorobach wenerycznych, błonach dziewiczych i przedwczesnych wytryskach, a my cały czas trzymaliśmy się za ręce pod stołem.

Czułam się tak, jakbym połknęła gwiazdę, myślałam, że kiedy tylko otworzę usta, poleją się strugi światła. - A jak ktoś nas zobaczy?

Odwrócił ku mnie głowę; poczułam na uchu jego oddech.

- To pomyśli, że jestem największym szczęściarzem na świecie - odparł.

Na dźwięk tych słów przeszył mnie prąd, płynący z naszych splecionych dłoni. Sarah mówiła przez pół godziny, a ja nie usłyszałam ani jednego słowa. Mogłam myśleć tylko o tym, że dłoń Adama jest zupełnie inna od mojej dłoni, i jeszcze o tym, że mam go tak blisko i że nie puszcza mnie ani na chwilę.

Umówiliśmy się, ale nie, to nie była randka; ponieważ oboje mieliśmy iść wieczorem z rodzinami do zoo, Adam wymógł na mnie obietnicę, że spotkamy się o szóstej przy orangutanach.

No dobra: nie na mnie, tylko na Willow.

Tak się podnieciłaś tą wycieczką do zoo, że o mały włos nie wyskoczyłaś z minibusa po drodze. W New Hampshire nie ma zoo, a to pod Bostonem jest zupełnie do kitu. W Disneylandzie mieliśmy pójść do Królestwa Zwierząt Disneya, ale wiadomo, jak to się skończyło. Mama, w przeciwieństwie do ciebie, milczała jak głaz, patrzyła nieruchomym



wzrokiem przed siebie i nie próbowała nikogo zagadywać, chociaż poprzedniego dnia była królową towarzystwa. Miało się wrażenie, że jak za mocno podskoczmy na jakimś progu spowalniającym, to rozleci się w kawałki.

Nie jej jednej w tym minibusie to groziło.

Cały czas sprawdzałam godzinę; czułam się jak Kopciuszek na balu. W ogóle można powiedzieć, że byłam jak Kopciuszek, tylko zamiast sukni z błękitnego brokatu występowałam pod pożyczonym - od ciebie - imieniem, a mój książę od urodzenia zdążył już zaliczyć czterdzieści dwa złamania.

- Chcę do małp - zakomenderowałaś, ledwie zdążyliśmy przejść przez bramę. Zoo było otwarte po godzinach, specjalnie dla uczestników zjazdu; z jednej strony to było fajne, bo mogliśmy się poczuć tak, jakby nas tutaj przypadkiem zamknęli, a z drugiej praktyczne, bo w ciągu dnia było tutaj pewnie jedno wielkie, hmm... zoo, więc chorzy na OI cały czas musieliby tylko uważać, żeby ktoś ich nie potrącił. Chwyciłam za rączki twojego wózka i popchnęłam go, bo było pod górkę - i wtedy dotarło do mnie, że z mamą dzieje się coś niedobrego.

Normalnie spojrzalaby na mnie takim wzrokiem, jakby wyrosła mi druga głowa, i zapytała, czy jestem chora, że sama się łapię za twój wózek; fakt, zawsze trzeba mnie było gonić do pomocy, robiłam sceny nie z tej ziemi, nawet kiedy prosiła mnie tylko, żebym wypięła cię z głupiego fotelika w samochodzie.

Ale nie, mama szła sztywno jak zombi. Gdybym ją zapytała, jakie zwierzęta widzieliśmy po drodze, to założył się, że usłyszałabym tylko: „Co?”.

Podjechałam wózkiem aż do samego ogrodzenia przy wybiegu dla orangutanów, ale i tak żeby je zobaczyć, musiałaś wstać. Oparłaś się na szczycie niskiego murku, a kiedy pokazała się samica z młodymi, aż oczy ci zabłyśły. Matka niosła na rękach najmniejszą małpkę, jaką w życiu widziałam, a drugie dziecko, na oko kilka lat starsze, bez przerwy ją zaczepiało, ciągnęło, machało nogą przed samym nosem i generalnie naprzykrzało się, jak mogło.

- To tak jak u nas - powiedziałaś zachwycona tym odkryciem. - Patrz, Amelia!

Ale ja patrzyłam w inną stronę; rozglądałam się za Adamem. Była punkt szósta. A jeśli wystawił mnie do wiatru i okaże się, że nawet w cudzej skórze nie jestem interesująca dla żadnego faceta?

Nagle Adam wyrósł obok mnie. Na czole perliły mu się drobne kropelki potu.

- Przepraszam - wysapał. - To podejście mnie wykończyło.

- Rzucił okiem na was obie. - To twoja rodzina, tak?

Powinnam go przedstawić, powiedzieć mamie, co się dzieje, gdyby jednak zwróciła się do mnie po imieniu - Amelia - wydałoby się, jaka ze mnie oszustka i co wtedy? Złapałam więc Adama za rękę i odciągnęłam w boczną alejkę, gdzie było awiarium z czerwonymi papugami i klatka, w której, zgodnie z opisem, mieszkała mangusta, dziś chyba jakaś niewidzialna.

- Idziemy - powiedziałam i pobiegliśmy do akwarium.

Było tak zaszyte, że mało kto do niego trafił. Zastaliśmy tam ledwie jedną rodzinę z biednym małym dzieckiem w gipsie typu „żabka”. Przyglądali się pingwinom wystrojonym w te ich niby-fraki.

- Wiesz, że pingwiny mają przerąbane? - zapytałam. - Nie mogą latać, chociaż mają skrzydła.

- Bardziej przerąbane niż człowiek, który wciąż sobie coś łamie?

- odpowiedział Adam pytaniem, ciągnąc mnie do następnego pomieszczenia.

Był to szklany tunel zalany upiornym niebieskim światłem. Dookoła nas nagle zaroilo się od rekinów. Uniosłam wzrok; nade mną przesunął się miękki biały brzuch drapieznika, mignęły rzędy zębów jak kolce. Potem przepłynęło kilka ryb młotów wijących się niczym stwory z „Gwiezdných wojen”.

Adam oparł się o szybę, zapatrzony w przezroczysty sufit.

- Lepiej tak nie rób - ostrzegłam. - A jak pęknie?

- To zoo będzie miało problem - zaśmiał się.

- Chodźmy zobaczyć, co jest dalej.

- Co ci się tak spieszy?

- Nie lubię rekinów - przyznałam się szczerze. - Straszne są.

- A dla mnie są super - powiedział. - Takie cielsko i ani jednej kości.

Spojrzałam na niego. W tym sztucznym świetle twarz miał zupełnie niebieską, a oczy tego samego koloru co woda: czysty granat kobaltu.

- Wiesz, że naukowcy nigdy nie znajdują skamielin rekinów, bo one mają szkielet chrzęstny i bardzo szybko się rozkładają? Zawsze chciałem wiedzieć, czy to samo się dzieje z ludźmi takimi jak my.

A ja w tym momencie się poryczałam, ponieważ jestem kretyką, która spędzi życie w samotności, za całe towarzystwo mając stado kotów.

- Hej. - Adam przytulił mnie; w jego ramionach poczułam się jednocześnie całkiem nie na miejscu i zupełnie jak u siebie. - Przepraszam. Głupio tak gadać. - Jedną dłoń wędrował po moich plecach, odliczając palcami paciorki kręgosłupa, drugą wsunął mi we włosy. - Willow. - Pociągnął mnie za kucyk, żebym na niego spojrzała. - Powiedz coś.

- Nie nazywam się tak - wybuchnęłam. - Willow to moja siostra. Ja nawet nie jestem chora. To było kłamstwo, bo chciałam zostać tam, z wami. I siedzieć obok ciebie.

Poczułam na karku jego dłoń.

- Wiem - powiedział Adam.

- Co? Skąd...

- Na przerwie po tamtych zajęciach wyszukałem twoją rodzinę w necie. Dowiedziałem się wszystkiego o twojej mamie, o tym procesie i o siostrze, która ma dopiero kilka lat, dokładnie tak, jak pisali na blogach.

- Jestem podła - jęknęłam. - Przepraszam. Przepraszam, że nie jestem taka, jakbyś chciał.

Adam spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

- Nie masz za co przepraszać. Jesteś lepsza. Zdrowa. Chyba jak się kogoś naprawdę lubi, to mu się życzy jak najlepiej, co?

I nagle poczułam jego usta na swoich wargach, jego język na swoim języku i chociaż wiedziałam o tym tylko tyle, co pisali w „Seventeen”, to wcale nie było ani wilgotne, ani wstrętne, nie zakręciło mi się też specjalnie w głowie. Dziwnym sposobem wiedziałam, w którą stronę mam się odwrócić, kiedy otworzyć, a kiedy zamknąć usta, jak oddychać. Adam położył mi dłonie na plecach, a mnie się przypomniało, jak kiedyś złamałaś sobie łopatkę, i pomyślałam, że gdybym urodziła się aniołem, to w tym miejscu rosłyby mi skrzydła.

Ściany tunelu zamknęły się, ogarnął nas błękit wody, w której pływały te chrzęstnoszkieletowe rekiny. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że Sarah na pogadance o seksie w jednej sprawie nie miała racji: bardziej niż o urazy należy się martwić tym, że zatracisz się w tej drugiej osobie, i to z ochotą, z błogą radością. Adam objął mnie w pasie, wodząc palcami po samym rąbku koszulki, ale ja bałam się go dotknąć, żeby nie przycisnąć zbyt mocno i nie zrobić mu krzywdy.

- Nie bój się - szepnął, biorąc mnie za rękę i kładąc moją dłoń na swoim sercu, żebym poczuła, jak bije.

Tym razem to ja go pocałowałam. I jeszcze raz. Chciałam w tym zawrzeć wszystkie

milczące słowa, których nie mogłam powiedzieć głośno, ten mój największy sekret: że chociaż jestem zdrowa i nie mam OI, to wiem dokładnie, co on czuje. Że we mnie też cały czas coś pęka, raz za razem.

## Charlotte

W samolocie, kiedy wracałyśmy do domu ze zjazdu w Omaha, opracowałam plan. Postanowiłam, że po wylądowaniu zadzwonię do Seana, zaproszę go na rozmowę i powiem mu, że chcę ocalić to, co nas łączyło, że będę o to walczyć z takim samym poświęceniem jak o twoją przyszłość. Powiem mu, że muszę dokończyć to, co zaczęłam, lecz o ile poradzę sobie bez jego pomocy, to nie mogę się obejść bez zrozumienia z jego strony.

Powiem mu, że go kocham.

To była dziwna podróż. Ty, zmordowana po trzech dniach przebywania non stop w towarzystwie innych dzieci z OI, zasnąłaś momentalnie, ściskając w dłoni kartkę z e-mailowymi adresami swoich nowych znajomych. Amelia, odkąd wróciłyśmy z wycieczki do zoo, wydawała się nieobecna duchem, ale uznałam, że to skutek ochrzynu, który zebrała za swoje samowolne zniknięcie - nie było jej przez bite dwie godziny! Po odebraniu bagażu na lotnisku Logana, wysłałam dziewczynki do łazienki, bo czekała nas jeszcze długa droga z Bostonu do Bankton. Poleciałyśmy Amelii, żeby ci pomogła w razie potrzeby, zostałam na zewnątrz, pilnując wózka z walizkami. Minęło mnie kilka rodzin: dzieciaki z uszami Myszki Miki na głowie, matki i córki opalone na ciemny brąz, z włosami zaplecionymi w identyczne warkoczyki, ojcowie dźwigający dziecięce foteliki samochodowe. Na lotnisku każdy albo jest podekscytowany podróżą, albo cieszy się, że bezpiecznie wrócił do domu.

Każdy oprócz mnie.

Wyjęłam komórkę i wybrałam numer Seana. Nie odebrał, ale ostatecznie z zasady wyłączał telefon w pracy.

- Cześć - przywitałam się z pocztą głosową. - To ja. Chciałam tylko powiedzieć, że już jesteśmy na lotnisku. I... dużo myślałam przez tych kilka dni. Mógłbyś wpaść wieczorem?

Pogadamy.

Urwałam z wahaniem, jakbym czekała na odpowiedź, teraz, natychmiast, ale to była rozmowa w jedną stronę, czyli standard w naszych kontaktach ostatnimi czasy.

- No, dobrze - podjęłam. - Mam nadzieję, że się zgodzisz. Na razie.

Rozłączyłam się, a wy w tym momencie wyszłyście z łazienki i stanęłyście przede mną, czekając na dalsze wskazówki.

Skrzynka na listy jest jak farma hodowlana; czasami zdaje mi się, że rachunki rosną same

w tym ciemnym i ciepłym tunelu, namnażając się w postępie geometrycznym. Gdy zajechałyśmy do domu, wysłałam was na górę z poleceniem rozpakowania walizek, a sama zabrałam się do przeglądania poczty.

Wszystkie listy czekały na mnie na stole w kuchni, wyjęte ze skrzynki i równo ułożone. W lodówce zobaczyłam świeże mleko, sok i jajka, a zewnętrzna rampa dla wózka została przebudowana. Widać było, że Sean zajrzał do domu pod naszą nieobecność - może on też chciał wywiesić białą flagę?

Przyszło rozliczenie z karty kredytowej na jakąś astronomiczną sumę i rachunek ze szpitala, za wizytę sprzed pół roku, której nie pokrywało w całości ubezpieczenie. Faktura za składkę ubezpieczeniową. Rata kredytu hipotecznego. Rachunek telefoniczny. Abonament za kablówkę. Zaczęłam rozkładać koperty na dwie kupki: rachunki i inne. Łatwo się domyślić, która była większa.

W „innych” znalazło się kilka katalogów, trochę reklamowego śmiecia, spóźniona kartka urodzinowa dla Amelii od wiekowej ciotki z Seattle i list z sądu rodzinnego hrabstwa Rockingham. Zdziwiło mnie, że sąd rodzinny miesza się do naszej sprawy - Marin mówiła, że proces odbędzie się w sądzie okręgowym. Otworzywszy kopertę, przebiegłam oczami treść pisma.

Spr. nr 2008-R-0056: Sean P. O'Keefe i Charlotte A. O'Keefe

Szanowna Pani Charlotte A. O'Keefe,

Niniejszym informujemy, iż do naszego urzędu wpłynął pozew rozwodowy dotyczący związku małżeńskiego, który zawarła Pani z p. Seanem P. O'Keefe. W celu otrzymania wezwania na rozprawę, prosimy o wizytę Pani albo Pani adwokata w ciągu dziesięciu dni od daty otrzymania niniejszego powiadomienia.

Do czasu wydania przez sąd dalszych orzeczeń w tej sprawie stronom zabrania się sprzedaży, przekazywania, obciążania hipotecznego, ukrywania, a także innego rozporządzenia wszelkim własnym majątkiem nieruchomością bądź też osobistym. Z powyższego zakazu może zwolnić tylko 1) pisemna zgoda obu stron, 2) konieczność poniesienia uzasadnionych kosztów utrzymania, 3) konieczność obrotu w prowadzonych przez strony interesach.

Jeśli w ciągu wyznaczonych dziesięciu dni nie stawi się Pani po odbiór wezwania, powód może nakazać dostarczenie go inną drogą.

Z poważaniem,

Micah Healey, koordynator

Krzyknęłam, ale dotarło to do mnie, dopiero gdy do kuchni przybiegła Amelia.

- Co się stało? - zapytała.

Potrząsnęłam tylko głową. Nie mogłam mówić, brakło mi tchu.

Zanim zdążyłam ochłonąć, Amelia wyrwała mi pismo z ręki.

- Tata chce się z tobą rozwieść?

- To na pewno jakaś pomyłka. - Wstałam od stołu, zabierając jej pismo z sądu.

Mogłam się tego spodziewać, prawda? Oczywiście, nawet powinnam. Kiedy mąż wyprowadza się z domu i nie wraca przez kilka miesięcy, nie sposób się oszukiwać, że wszystko w porządku. A jednak... Złożyłam powiadomienie na pół i rozłożyłam z powrotem, myśląc rozpaczliwie: Czary mary. Otwieram i... kartka jest pusta.

- Jaka pomyłka? - wybuchnęła Amelia. - Otwórz oczy, mamo. Tata jasno powiedział, że już cię nie chce. - Objęła się mocno rękami. - Jakoś ostatnio często się tutaj o tym słyszy.

Obróciła się na pięcie i chciała pobiec na górę, ale chwyciłam ją za ramię.

- Nie mów nic Willow - jęknęłam błagalnie.

- Ona nie jest taka głupia, jak ci się wydaje. Rozumie, co się dzieje, chociaż kombinujesz jak możesz, żeby to ukryć.

- I właśnie dlatego nie chcę, żeby się dowiedziała. Proszę cię.

Amelia wyrwała mi się gwałtownym szarpnięciem.

- Nie muszę iść ci na rękę - mruknęła i uciekła z kuchni.

Opadłam na krzesło, czując rozlewające się po ciele odrętwienie. Czy tak samo było z Seanem? Czy jego też dopadł ten chłód, czy czuł, że wszystkie jego doznania i emocje ustają?

Boże. Przypomniałam sobie wiadomość, którą zostawiłam mu na poczcie głosowej, a która teraz, kiedy przyszło to powiadomienie, robiła ze mnie pierwszą idiotkę na świecie.

Nie miałam zielonego pojęcia, jak załatwia się rozwód. Czy Sean może go uzyskać bez mojej zgody? Czy można się rozmyślić, kiedy raz się złoży wniosek w sądzie? Czy dam radę coś zrobić, żeby Sean zmienił zdanie?

Drżącymi rękami sięgnęłam po telefon i znalazłam prywatny numer Marin Gates.

- Witaj, Charlotte - usłyszałam. - Jak się udał zjazd?

- Sean złożył pozew rozwodowy.

W słuchawce zapadła cisza.

- Przykro mi - powiedziała wreszcie Marin i chyba mówiła szczerze. Tylko że chwilę później przybrała ton ściśle zawodowy: - Potrzebny ci adwokat.

- Przecież ty jesteś adwokatem.

- Ale to nie moja działka, w takiej sprawie ci nie pomogę. Zadzwoń do Sutton Roarke, numer znajdziesz w panoramie firm. To najlepsza specjalistka od rozwodów, jaką znam.

Westchnęłam głęboko.

- Czuję się... jak totalna ofiara losu. Jak przykład ze statystyki w urzędzie stanu cywilnego.

- No cóż - powiedziała cicho Marin - to nic przyjemnego dowiedzieć się, że ktoś cię nie chce.

Jej słowa przypomniały mi to, co przed chwilą usłyszałam od Amelii; poczułam się tak, jakby mnie ktoś smagnął batem. A potem pomyślałam o zeznaniu, które razem z Marin przygotowywałyśmy na rozprawę. Zanim jednak zdążyłam coś powiedzieć, odezwała się jeszcze raz:

- Naprawdę żałuję, że do tego doszło, Charlotte.

O tyle rzeczy chciałam ją zapytać: czy jest sposób, żeby powiedzieć ci o wszystkim, ale oszczędzając bólu? Jak mam ciągnąć dalej ten proces, skoro wisi nade mną kolejny? Ale pytanie, które ostatecznie padło, brzmiało zupełnie inaczej.

- Co teraz? - wykrztusiłam, ale Marin odłożyła już słuchawkę.

Umówiłam się z Sutton Roarke na spotkanie, a potem zrobiłam dla was kolację i podałam do stołu.

- Mogę zadzwonić do taty? - zapytałaś. - Chcę mu opowiedzieć, jak było.

Głowa pulsowała mi tęnym bólem, a w gardle jakby ktoś rozpychał się pięściami. Amelia spojrzała na mnie, a potem na talerz pełen groszku.

- Nie jestem głodna - oznajmiła, aby chwilę później mruknąć „dziękuję” i ulotnić się od stołu. Nawet nie próbowałam jej zatrzymać, bo samej też nie chciało mi się tam siedzieć.

Wstawiłam brudne naczynia do zmywarki, umyłam stół, nastawiłam pranie - wszystko sztywnymi rękami, jak automat. I wciąż tylko myślałam, że jeśli będę robić to, co zwykle, to może moje życie samo wróci do normy.

Kiedy przyszłam pomóc ci przy kąpeli, mówiłaś za nas obie.

- Niamh też ma konto na Gmailu, tak samo jak ja - trajkotałaś. - Umówiliśmy się, że



codziennie przed wyjściem do szkoły, za piętnaście siódma, zgadamy się w sieci. - Wykręciłaś się w do tyłu, żeby na mnie spojrzeć. - Mogę ją kiedyś do nas zaprosić?

- Hmm?

- Mamo, ty mnie wcale nie słuchasz. Pytałam, czy Niamh...

- Co Niamh?

Wywróciłaś oczami.

- Już nic.

Ubrałam cię w piżamę i ułożyłam do snu, całując na dobranoc. Godzinę później, kiedy zajrzałam, by sprawdzić, co robi Amelia, znalazłam ją w łóżku, ale słysząc, że szepcze, odchyliłam kołdrę. Rozmawiała przez telefon.

- No co?! - warknęła, jakbym miała do niej jakąś pretensję. Słuchawka, którą odłożyła na pierś, wyglądała jak drugie serce. Wycofałam się. Byłam zbyt rozbita, żeby zadać sobie pytanie, co ukrywa moja córka, a jednak gdzieś w głębi umysłu kołatało mi się, że tej skrytości nauczyła się ode mnie.

Zeszłam na dół, do dużego pokoju. Nagle kątem oka złowiłam jakiś cień. Myślałam, że umrę ze strachu. To był Sean. Podszedł do mnie.

- Charlotte...

- Przestań. Nie... nie wysilaj się - przerwałam mu, wciąż trzymając dłoń na szalejącym sercu. - Przyszedłeś do dziewczynek? Leżą już w łóżkach.

- Powiedziałaś im?

- Obchodzi cię to w ogóle?

- Oczywiście. Jak myślisz, dlaczego to zrobiłem?

Jęknęłam cicho, z rozpaczą.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie wiem, Sean. Rozumiem, że nie układało się nam ostatnio najlepiej...

- Oględnie mówiąc...

- ...ale nie uważasz, że to, co zrobiłeś, to tak, jakby amputować całą rękę, bo urwała się skórka przy paznokciu?

Przeszliśmy do kuchni. Nasypałam proszku do zmywarki, pstryknęłam przełącznikami.

- To nie była skórka przy paznokciu. To było mordowanie naszej rodziny. Możesz sobie wmawiać, co chcesz, ale nie zmieni to faktu, że tak właśnie wyglądało nasze małżeństwo.

- Więc jedynym wyjściem jest rozwód? - zapytałam zszokowana.

- Naprawdę nie widzę innego rozwiązania.

- A próbowałeś je chociaż zobaczyć? Wiem, że było ciężko. Wiem, nie przywykłeś do tego, że nie walczę o coś, czego ty chcesz, tylko o coś, czego sama chcę. Ale przejrzyj na oczy, Sean. Zarzucasz mi pieniactwo, a sam składasz pozew o rozwód? I nawet o tym ze mną nie rozmawiasz? Nie próbujesz iść na terapię małżeńską albo do ojca Grady'ego?

- A co by to dało, Charlotte? Już od dawna słuchasz siebie i tylko siebie. To się nie stało z dnia na dzień, tak jak ci się wydaje. To już się ciągnie od roku. Od roku czekam, kiedy się opamiętasz i zobaczysz, jaką krzywdę wyrządziłaś tej rodzinie. I kiedy zaczniesz robić dla naszego małżeństwa tyle, ile robisz dla Willow.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Chcesz rozwodu, bo nie miałam czasu na seks?

- Nie! Widzisz? O tym właśnie mówię. Zawsze odwracasz kota ogonem. A ja nie jestem niczemu winien, Charlotte. Ja tylko chciałem, żeby wszystko zostało po staremu.

- Jasne. A ile lat możemy jeszcze się tak miotać, stawać na głowie, żeby starczyło do wypłaty? Kiedy w końcu bank zabierze nam dom albo będziemy musieli ogłosić bankructwo...

- Przestań sprowadzać wszystko do kwestii pieniędzy...

- Ale tutaj właśnie chodzi o pieniądze! - zawołałam. - Wróciłam dziś ze zjazdu, gdzie były setki szczęśliwych, spełnionych życiowo ludzi, którym niczego nie brakuje, chociaż mają *osteogenesis imperfecta*. Czy to zbrodnia, że chcę dać Willow takie same możliwości?

- A czy rodzice takich ludzi pozywają lekarzy do sądu za niedobre urodzenie? - zapytał Sean szyderczo.

Przez jedną chwilę mignęły mi przed oczami twarze tamtych dwóch kobiet z hotelowej toalety. Osądziły mnie równie surowo jak mój mąż, o czym oczywiście nie zamierzałam mu mówić.

- Katolik nie może wziąć rozwodu - powiedziałam.

- Ani nie myśli o aborcji - odparował Sean. - Jesteś katoliczką, kiedy ci wygodnie. To nieuczciwe.

- A ty, jak długo cię znam, zawsze widziałeś świat w prosty sposób: tu czarne, a tu białe. Ja uważam inaczej. Jestem tego więcej niż pewna i to właśnie próbuję ci pokazać: nie ma czerni ani bieli, tylko tysiąc odcieni szarości.

- I właśnie dlatego - powiedział Sean cichym głosem - poszedłem prosto do adwokata. Dlatego nie namawiałem cię na terapię małżeńską ani na rozmowę z księdzem. W tym twoim świecie jest tyle szarości, że człowiek kompletnie traci orientację. Nie widzi, dokąd idzie. Chcesz tak błędzić, proszę bardzo, twoja sprawa. Ale nie pozwolę, żebyś zrobiła dziewczynkom wodę z mózgu.

Policzki miałam już mokre od łez. Otarłam je rękawem.

- Więc to koniec? - zapytałam. - Tak po prostu? Już mnie nie kochasz?

- Kocham kobietę, z którą wziąłem ślub - odparł - a jej już nie ma.

Wtedy rozkleiłam się zupełnie. Sean wahał się przez chwilę, ale potem podszedł, przytulił mnie.

- Zostaw - załkałam, ale ręce same mi się uniosły i uczepliły kurczowo jego koszuli.

Nienawidziłam go, ale z drugiej strony to przecież od niego przez osiem lat wyglądałam wsparcia. Ciężko się pozbyć starych nawyków.

Ile czasu musi upłynąć, zanim zapomnę o ciepłe jego dłoni na moim ciele? O zapachu jego szamponu? Kiedy umilknie melodia jego głosu, którą słyszę zawsze, nawet gdy on nic nie mówi? Muszę zebrać te wspomnienia, te doznania, pomyślałam, zgromadzić jak zapasy na zimę.

Napięcie opadło, a ja stałam, otoczona ciepłem jego ramion. Czułam się bardzo niezręcznie, jak nieproszony gość. Zebrawszy się na odwagę, zrobiłam krok do tyłu, odrywając się od Seana.

- Więc co teraz? - zapytałam.

- Wydaje mi się - powiedział - że musimy się zachowywać jak dorośli. Żadnych kłótni przy dziewczynkach. A jeśli się zgodzisz, może mógłbym tutaj zamieszkać. Oczywiście nie śpię na górze - dodał szybko. - Kanapa i tylko kanapa. Ani mnie, ani ciebie nie stać na utrzymanie dwóch domów i dwóch córek. Wiem od mojej prawniczki, że większość par w trakcie sprawy rozwodowej mieszka pod jednym dachem. Będziemy po prostu się umawiać, kiedy ty jesteś w domu, a kiedy ja. Dzięki temu oboje możemy być z dziećmi.

- Amelia czytała powiadomienie z sądu - poinformowałam go - ale Willow jeszcze o niczym nie wie.

Sean potarł podbródek.

- Wytlumaczę jej, że musimy dogadać parę spraw pomiędzy sobą.

- To kłamstwo - zwróciłam mu uwagę. - I daje nadzieję.

Milczał. Nie powiedział, że jest jeszcze nadzieja. Ale nie powiedział też, że jej nie ma.

- Przyniosę ci drugi koc - postanowiłam.

Tej nocy leżałam w łóżku z otwartymi oczami, próbując przypomnieć sobie wszystko, co konkretnie wiedziałam na temat rozwodów.

1. Rozwód trwa długo.

2. Niewielu parom udaje się rozejść z godnością.

3. Trzeba podzielić się wszystkim, co było wspólne: samochodami, domami, filmami na DVD, dziećmi i przyjaciółmi.

4. Chirurgiczne usunięcie z życia osoby, którą się kochało, to kosztowna operacja. Należy być gotowym na straty, nie tylko finansowe, ale także emocjonalne.

Jasne, znałam ludzi po rozwodach. Z tego czy innego powodu wszyscy rozchodzili się, kiedy ich dzieci były w czwartej klasie - nagle, ni stąd, ni zowąd, w szkolnym spisie telefonów do rodziców ich numery zaczynały figurować oddzielnie, zamiast razem, jak do tej pory. Często się zastanawiałam, dlaczego czwarta klasa to taki trudny rok dla małżeństwa; może chodziło o wiek dziecka, ten drugi stopień skali pięć-dziesięć-piętnaście? Cóż, w takim razie nasze małżeństwo przypominało malucha, który rozwija się szybciej od swoich rówieśników.

Zanim poznałam Seana i zostałam jego żoną, przez pięć lat byłam samotną matką i chociaż nigdy w życiu nie wyszłabym za ojca Amelii, bo szczerze uważałam, że ten związek oprócz córki nie dał mi absolutnie nic dobrego, to doskonale wiedziałam, co się czuje, kiedy inne kobiety szukają na twojej dłoni nieobecnej obrączki albo jak to jest nigdy nie mieć do kogo otworzyć ust, kiedy dziecko już zaśnie. Małżeństwo z Seanem okazało się wspaniałe z wielu względów, a jednym z nich była ta cudowna bezpośredniość: mogłam mu się pokazać rano z kołtunem Meduzy na głowie, pocałować go przed myciem zębów, wiedziałam, jaki program włączyć, kiedy zasiadaliśmy razem przed telewizorem, i z zamkniętymi oczami potrafiłam znaleźć szufladę, w której trzymał bieliznę, koszulki czy dżinsy. W naszym wspólnym życiu tak wiele rozumiało się bez słów. Może mnie to rozleniwiło i straciłam umiejętność komunikacji?

- Rozwódka - szepnęłam na głos.

Zabrzmiało to jak syk węża. Rozwiedzione matki to chyba jakaś osobna rasa ludzka. Niektóre bez przerwy biegają na siłownię, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej złapać następnego męża. Inne po prostu wciąż chodzą półżywe ze zmęczenia. Przypomniałam sobie, jak kiedyś Piper, urządzając przyjęcie, zastanawiała się, czy zaprosić znajomą, która niedawno

rozeszła się z mężem, bo mogłoby jej być przykro, że jest jedyną osobą bez pary.

- Dzięki Bogu, że nas to nie dotyczy. Wyobrażasz sobie, co by to było, znów chodzić... na randki? - Piper aż się wzdrygnęła. - Drugi raz być nastolatką? Dziękuję.

Wiedziała, iż bywają takie pary, które wspólnie dochodzą do wniosku, że ich małżeństwa nic już nie uratuje, ale mimo to z propozycją rozwodu zawsze występowało jedno z dwojga, nigdy dwoje naraz. I nawet jeśli to drugie się zgadzało, to w głębi serca nie mogło się nadziwić, że ktoś, kto deklarował uczucie i troskę, tak szybko potrafi sobie wyobrazić życie w pojedynkę.

Boże...

Sean zrobił mi to samo, co ja zrobiłam Piper.

Sięgnąwszy po telefon leżący na nocnej szafce, wystukałam jej numer, nie zważając na to, że budzik pokazuje drugą czterdzieści sześć. Wiedziała, że ona też ma telefon pod ręką, obok łóżka, chociaż spała po lewej stronie, a ja po prawej.

- Halo? - Głos Piper był schrypnięty, obcy.

Nakryłam słuchawkę dłonią.

- Sean chce się ze mną rozwieść - wyszeptałam.

- Halo? - powtórzyła. - Halo! - Stłumione westchnienie i stukot; chyba coś się przewróciło. - Cholera jasna, nie dzwoni się do ludzi o tej porze.

Piper była przyzwyczajona, że ktoś ją budzi w środku nocy; lekarz jej specjalności praktycznie na okrągło jest pod telefonem. Wiele musiało się zmienić w jej życiu, skoro zamiast zapytać, która z pacjentek zaczyna rodzić, zaczęła pouczać dzwoniącego o zasadach dobrego wychowania.

Nie tylko jej życie się zmieniło, a katalizatorem wszystkich zmian byłam ja.

W słuchawce zabrzmiał głos automatu:

- Aby uzyskać połączenie, proszę się rozłączyć i ponownie wybrać numer.

Wyobraziłam sobie, że to nie nagranie, tylko żywy głos Piper.

„Charlotte, o Boże - powiedziałyby. - Trzymasz się? Opowiadaj. Opowiedz mi wszystko, od początku do końca”.

Rano po przebudzeniu dostałam nagłego ataku paniki; wydawało mi się, że zasnęłam, że słońce jest już strasznie wysoko.

- Willow? - zawołałam, wyskakując z łóżka i biegnąc do twojego pokoju. Zawsze mnie

wołałaś, żebym pomogła ci wstać, pójść do łazienki, a potem się ubrać. Czyżbym spała tak twardo, że nie usłyszałam, jak mnie wołasz? A może jeszcze się nie obudziłaś?

Ale nie, pokój był pusty, a łóżka porządnie pościelone. Obok tapczanu Amelii stały wasze walizki, wypakowane i zapięte, tylko brać i zanieść na strych.

Zeszłam na dół i wtedy dobiegł mnie twój śmiech. W kuchni dowodził Sean; z głową owiniętą ścierką do naczyń przewracał naleśniki na patelni.

- Miał być pingwin - powiedziałaś. - A pingwin nie ma uszu.

- Nie mogłaś poprosić o coś normalnego, jak twoja siostra? - zapytał. - Chciała misia i ma misia.

- Miś jest w porzo - przyznała Amelia - tylko że ja chciałam jaszczurkę.

Ale siedziała uśmiechnięta od ucha do ucha. Kiedy ostatni raz widziałam ją uśmiechniętą przed południem?

- Pingwinosioł raz, już podaję. - Sean zsunął naleśnik z patelni na twój talerz.

Obie zauważyłyście mnie w tej samej chwili.

- Zobacz, mamó, kto mnie dziś obudził! - zawołałaś.

- Z tym budzeniem to raczej było na odwrót, Wills - uśmiechnął się Sean. Kiedy spojrzał na mnie, uśmiechał się już tylko ustami. - Pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jak pośpisz trochę dłużej.

Skinęłam głową, poprawiając na sobie szlafrok. Jestem jak kartka do origami, pomyślałam. Złożę się na pół, potem znów na pół i znów, aż w końcu zmienię się w kogoś zupełnie innego.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Tato! - krzyknęłaś nagle. - Naleśnik się pali! Nie palił się, ale był już przywędglony i zaczął dymić.

- Kurczę blade. - Sean złapał patelnię i zaczął zeskrobywać spaleniznę.

- A już myślałam, że nauczyłeś się gotować - uśmiechnęłam się.

Sean obejrzał się znad otwartego kosza na śmieci.

- Desperacja czyni cuda - przyznał - ale przydaje się jeszcze gotowa mieszanka na ciasto. Mam dzisiaj wolne - dodał - więc pomyślałem, że może zostanę z dziewczynkami i wykończę tę rampę dla Willow.

Zrozumiałam, co chce przez to powiedzieć: tak właśnie po raz pierwszy wchodziła w

życie nasza umowa mieszkalno-rodzicielsko-przedrozwodowa.

- Jasne - odparłam, siląc się na beztroski ton. - To ja pozalątwiam różne sprawy.

- Może wybierz się gdzieś, rozerwij trochę - podsunął. - Jedź do kina. Odwiedź jakąś przyjaciółkę.

Ja już nie mam przyjaciółek, błysnęło mi w głowie.

- Właśnie. - Zmusiłam się do uśmiechu. - Dobry pomysł.

Godzinę później, wyjeżdżając, myślałam tak: niby Sean mnie nie wyrzucił z własnego domu. On tylko dał do zrozumienia, że nie chce mnie tam widzieć, a to różnica. Ale z mojego punktu widzenia ta różnica była praktycznie żadna. Nabrałam paliwa na stacji benzynowej, a potem... No cóż, zaczęłam krążyć bez celu to tu, to tam. Odkąd przyszałam na świat, cały czas byłam albo z tobą, albo pod telefonem, czekając na wiadomość, że znów coś sobie zламаłaś. Ta nagła swoboda była przytłaczająca. Zamiast poczuć ulgę, miałam wrażenie, że zerwałam się ze smyczy.

Nie wiem nawet, kiedy zaniósł mnie do kancelarii Marin Gates. W innej sytuacji uśmieiałabym się z tego, ale nie teraz. Teraz byłam za bardzo przybita. Wzięłam torebkę i wjechałam windą na górę. Briony, recepcjonistka, rozmawiała przez telefon, ale na mój widok skinęła tylko ręką, żebym szła prosto do Marin. Zapukałam do drzwi jej gabinetu.

- Cześć - przywitałam się, wsunąwszy głowę do środka.

Marin uniosła wzrok.

- Charlotte! Proszę, wejdz.

Usiadłam na skórzanym fotelu, a ona wyszła zza biurka i stanęła z drugiej strony, opierając się o blat.

- Rozmawiałaś już z Sutton? - zapytała.

- Tak. Trochę mnie to... przytłacza.

- Wyobrażam sobie.

- Sean wrócił do domu - wygadałam się nagle. - Próbuujemy ułożyć sobie plan, żeby na zmianę zajmować się dziewczynkami.

- Widzę, że macie już wszystko przemyślane.

Spojrzałam na nią.

- Czy kiedy mam go na wyciągnięcie ręki, mogę tęsknić za nim jeszcze bardziej, niż kiedy go nie było?

- To nie jest żadna tęsknota. Brakuje ci po prostu tego, co chciałabyś od niej dostać.

- Od niego - poprawiłam.

- Tak jest. - Marin zamrugnęła oczami. - Ma się rozumieć.

Milczaliśmy przez chwilę, a potem zaproponowałam nieśmiało:

- Wiem, że jesteś w pracy, ale może pójdziemy na jakąś kawę? Możemy udawać, że to spotkanie służbowe...

- To jest spotkanie służbowe, Charlotte - oznajmiła Marin sztywnym tonem. - Nie jestem twoją przyjaciółką... tylko twoim prawnikiem i jeśli mam być szczerą, to i tak musiałam się przełamać, żeby w ogóle wziąć tę sprawę.

Gorąco uderzyło mi na twarz.

- Dlaczego? Co ja ci zrobiłam?

- To nie ty. - Marin też wyglądała na speszoną. - Ja po prostu... nie popieram takich działań.

Mój własny adwokat uważa, że źle robię, wnosząc sprawę z tytułu niedobrego urodzenia?

Marin odepchnęła się od biurka.

- Nie mówię, że nie masz szans na wygraną - dodała, jakby słysząc moje myśli - bo masz, i to całkiem spore. Tylko że z moralnego czy też filozoficznego punktu widzenia... Jednym słowem, potrafię zrozumieć twojego męża, to wszystko.

Wstałam. Nogi mi drżały.

- Nie do wiary - rzuciłam, sięgając po torebkę. - Wyklócam się z własnym adwokatem o to, czym jest sprawiedliwość i odpowiedzialność. Może powinnam się zgłosić do innej kancelarii.

Byłam już w połowie korytarza, kiedy dobiegł mnie jej cichy głos. Marin stała w drzwiach gabinetu. Dłonie miała mocno zaciśnięte.

- Właśnie szukam swojej biologicznej matki - powiedziała. - Dlatego nie cieszę się, że trafiła mi się twoja sprawa, i dlatego nie pójdę z tobą na kawę, nie wpadnę z wizytą, nie przegadamy całej nocy, a rano nie będziemy czesać sobie włosów. Gdyby ten świat był urządzony po twojemu, Charlotte, każda matka mogłaby pozbyć się dziecka, jeśli nie spełniałoby jej oczekiwań albo potrzeb, a ty nie potrzebowałabyś adwokata.

- Kocham Willow - wykrztusiłam przez zaciśnięte gardło. - Uważam, że tak będzie dla niej najlepiej. Za to mnie potępiasz?

- Tak. - Marin skinęła głową. - I za to samo potępiam swoją matkę. Ona też myślała, że



tak będzie dla mnie najlepiej.

Wróciła do gabinetu, a ja oparłam się ciężko o ścianę korytarza i stałam tak przez chwilę. Ten proces nie toczył się w próżni; w tym tkwiła cała trudność. Można było analizować go w teorii, mówiąc: „Owszem, to jest rozsądne”, tylko że w tak sterylnym środowisku nie ma prawdziwych ludzkich myśli. Każdy, kto czyta w gazecie o tym, jak zaskarżyłam Piper, albo ogląda na wideo dokument pod tytułem „Dzień z życia Willow”, ma własne zdanie, własne poglądy, własne doświadczenia.

To dlatego Marin musiała zwalczyć swój prywatny gniew, pracując nad moją sprawą.

A Sean nie potrafił zrozumieć, dlaczego zdecydowałam się na ten krok.

I to właśnie dlatego ja tak się bałam, że znienawidzisz mnie na zawsze.

Rozrywkę znalazłam w supermarkecie.

Wałęsałam się pomiędzy regałami, przymierzałam kapelusze i buty, przeglądałam się w lustrach, ustawiałam pojemniki na półkach, wkładając porządnie jeden w drugi. Przejechałam się na rowerze do ćwiczeń, posłuchałam mówiących lalek i płyt w dziale z muzyką. Na nic nie było mnie stać, ale oglądać mogłam całymi godzinami.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób zdołałabym sama utrzymać siebie i was. Z pewnością należało liczyć na alimenty i pomoc społeczną, ale nikt nigdy nie pokazał mi, jak to się liczy. A żeby sąd przyznał mi opiekę nad dziećmi, prawdopodobnie i tak musiałabym wykazać się dostatecznymi dochodami.

Umiem piec ciasta.

Ta myśl błysnęła mi w głowie, zanim zdołałam ją odpędzić. Tylko że przecież nikt nie zarobi na życie pieczeniem babeczek czy innych ciastek. To prawda, sprzedawałam swoje wyroby już od kilku miesięcy; udało mi się zarobić na wyjazd do Omaha i zainteresować się sklepów spożywczych, ale nie mogłam przecież ani zatrudnić się w żadnej restauracji, ani robić więcej ciasta, nie tylko dla Gas-n-Get. W każdej chwili mogłaś mieć kolejny wypadek i znów byłabym ci potrzebna na wyłączność.

- Fajne, co?

Obejrzałam się; stał za mną sprzedawca, zapatrzony w gimnastyczny batut, częściowo rozłożony, by zademonstrować wymiary. Był to młody człowiek lat, na oko, dwudziestu, tak obsypany trądzikiem, że jego twarz przypominała spęczniały pomidor.

- Jak byłem mały - zwierzył mi się - to strasznie marzyłem o takim spręcie.

Kiedy był mały? To znaczy, że teraz jest duży? A skąd. Miał jeszcze całe życie na popelnianie błędów.

- Pani dzieciaki lubią skakać? - zagadnął.

Spróbowałam wyobrazić sobie ciebie na takim batucie.

Rozwiane włosy, salto w powietrzu... i wszystkie kości całe. Zerknęłam na cenę, udając, że naprawdę się zastanawiam.

- Drogo - mruknęłam. - Muszę się jeszcze trochę rozejrzeć, zanim coś wybiorę.

- Nie ma sprawy. - Chłopak oddalił się wolnym krokiem, a ja ruszyłam z powrotem pomiędzy półki pełne rakiet tenisowych i szorstkich deskorolek, gdzie ostry zapach gumy bił od rowerów wiszących rzędami jak półtusze na hakach w rzeźni. Szłam, widząc ciebie, jak skaczesz, zdrowa, i wiedząc, że nigdy tak nie będzie.

Po wyjściu ze sklepu zajrzałam do kościoła, ale nie w mojej parafii. Zniosło mnie pięćdziesiąt kilometrów na północ od Bankton, do miasteczka, które znałam do tej pory tylko z tablicy drogowej. W kościele mocno pachniało naturalnym woskiem pszczelim, a poranna msza niedawno się skończyła, więc w ławkach było jeszcze kilkoro parafian, pogrążonych w cichej modlitwie. Usiadłam, żeby zmówić „Ojcze nasz”, a potem zapatrzyłam się na krzyż ustawiony na ołtarzu. Przez całe życie słyszałam, że gdybym spadła z wysokiej skały, Bóg zawsze mnie złapie. Dlaczego to nie mogło spotkać mojej córki, ale tak dosłownie?

Ostatnio bardzo często nachodziło mnie pewne wspomnienie: pielęgniarka na porodówce stoi nad twoim łóżeczkiem i przygląda się gąbce, na której leżysz, rączkom i nóżkom owiniętym cieniutkimi bandażami.

- Młoda pani jest - mówi, poklepując mnie po ramieniu.

- Urodzi pani następne.

Nie mogłam sobie przypomnieć, czy to było zaraz po twoim urodzeniu, czy kilka dni później, czy znajdował się tam ktoś jeszcze, kto słyszał te słowa, czy może to było tylko przywidzenie wywołane lekami przeciwbólowymi. A jeśli to ja sama wywołałam taką halucynację, chcąc wypowiedzieć na głos swoje myśli? Bo myślałam wtedy tak: To nie jest moje dziecko. Chcę dostać to, o którym marzyłam.

Szurnęła odsunięta zasłona. Wstałam, aby wejść do pustego konfesjonału. Podniosłam kratkę, za którą siedział ksiądz.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - zaczęłam. - Ostatni raz byłam u spowiedzi

trzy tygodnie temu. - Wzięłam głęboki oddech. - Moja córka jest chora. Bardzo ciężko chora. Złożyłam skargę na lekarza, który prowadził moją ciążę. Zrobiłam to dla pieniędzy - przyznałam się szczerze - ale żeby je dostać, będę musiała powiedzieć, że usunęłabym ciążę, gdybym z odpowiednim wyprzedzeniem wiedziała o tej chorobie.

Zapadła kleista cisza.

- Kłamstwo to grzech - odrzekł ksiądz.

- Wiem o tym... ale nie dlatego przyszedłam dziś do spowiedzi.

- A dlaczego?

- Bo to, co powiem przed sądem - wyszeptałam - to niestety może być prawda.

## Marin

*Wrzesień 2008 r.*

Kompletowanie składu ławy przysięgłych to z jednej strony sztuka, a z drugiej - zwykłe szczęście. Każdy adwokat ma własne sposoby dobierania ławników na różne rozprawy, ale tak naprawdę nie można być pewnym ich skuteczności aż do momentu odczytania werdyktu. Nie należy też zapominać, że zamiast wybierać tych, którzy zasiądą na ławie przysięgłych, adwokat eliminuje tych, którzy nie znajdą się w jej składzie; różnica tyle subtelna, co decydująca.

Pula osób do przesłuchania kwalifikacyjnego, znanego pod nazwą *voir dire*, liczyła czterdziestu potencjalnych ławników. Obok siebie miałam niespokojną, wierzącą się bez przerwy Charlotte. Jak na ironię, to dzięki Seanowi, któremu tego dnia przypadła opieka nad dziećmi, mogła zjawić się w sądzie; w przeciwnym razie musiałaby wystąpić o inny termin posiedzenia, co na pewno jeszcze nieraz miało narobić nam kłopotów po rozpoczęciu procesu.

Zazwyczaj kiedy zaczyna się proces, wiem, jakiego sędziego chciałabym dostać, ale tym razem trudno było zgadnąć, kto byłby lepszy. Kobieta, która sama ma dzieci, mogłaby okazać Charlotte współczucie, ale równie dobrze uznać jej roszczenia za czysty skandal. Konserwatywny sędzia byłby moralnym przeciwnikiem aborcji, a z drugiej strony mógłby poprzeć stanowisko obrony, czyli argument mówiący, że to nie lekarz powinien decydować o tym, jak bardzo upośledzone musi być dziecko, aby nie dopuścić do jego urodzenia. Ostatecznie padło na sędziego nazwiskiem Gellar, najstarszego stażem w sądzie okręgowym w New Hampshire, człowieka, którego powszechnie znanym życzeniem było umrzeć podczas wykonywania obowiązków służbowych.

Sędzia rozpoczął już posiedzenie, wzywając potencjalnych ławników i referując podstawowe fakty dotyczące bieżącej sprawy: objaśnił termin „niedobre urodzenie”, przedstawił strony, powódkę i oskarżoną, a także wymienił powołanych świadków. Zapytał, czy ktokolwiek zna osobiście świadków albo strony postępowania i czy nie występują żadne przeszkody utrudniające ławnikom udział w procesie - ktoś mógł mieć dzieci wymagające opieki albo cierpieć na rwę kulszową uniemożliwiającą długie siedzenie. Kilka rąk poszło w górę: ten śledził wszystkie prasowe doniesienia na temat skargi Charlotte O'Keefe; tamten dostał kiedyś mandat od jej męża; jeszcze ktoś inny tego a tego dnia będzie musiał wyjechać na dziewięćdziesiąte piąte urodziny mamusi. Sędzia palnął potem jeszcze krótką mówkę, uczulając kandydatów, że jeśli ich

odrzuć, nie powinni brać tego do siebie, i przypominając, że wszyscy cenią ich pracę - ale mnie się zdawało, że większość z nich raczej marzy o tym, żeby odpaść i wrócić do swojego prywatnego życia. W końcu wezwał mnie i obrócił do siebie, aby się naradzić, czy należy kogoś odrzucić i ostatecznie wykluczyć z puli dwoje: mężczyznę dotkniętego głuchotą i matkę bliźniąt, które przyjmowała doktor Piper Reece.

Zostało więc trzydziestu ośmiu kandydatów. Rozdano im kwestionariusze, nad którymi ja i Guy Booker ślęczeliśmy całymi tygodniami. Były to sondy, mające nam pomóc wyczuć tych ludzi i podpowiedzieć, których odrzucić, a których puścić dalej, na kolejne przesłuchanie, tym razem indywidualne. Siłą rzeczy musiały więc być mocno skomplikowane. Moje pytania były takie:

„Czy ma Pan/Pani małe dzieci? Jeśli tak, to czy poród był dla Pana/Pani pozytywnym przeżyciem?”.

„Czy wykonuje Pan/Pani dowolną pracę społeczną?”. (Wolontariusz organizacji popierającej planowanie rodziny byłby dla nas niezwykle cennym nabytkiem. Pomocnik z przykościelnego hospicjum dla niezamężnych matek - już nie tak bardzo).

„Czy Pan/Pani albo ktoś z Pana/Pani rodziny złożył kiedyś skargę w sądzie? Czy Pan/Pani albo ktoś z Pana/Pani rodziny był kiedyś pozwany do sądu?”.

Guy dodał następujące punkty:

„Czy uważa Pan/Pani, 1) że lekarz powinien na własną rękę podejmować decyzje w najlepiej pojętym interesie swoich pacjentów, 2) że powinien pozostawić wszelkie decyzje pacjentowi?”.

„Czy ma Pan/Pani osobiste doświadczenia związane z inwalidztwem bądź też zna Pan/Pani ludzi upośledzonych fizycznie?”.

Ale to były jeszcze najprostsze pytania. Oboje wiedzieliśmy, że tę sprawę rozstrzygną ławnicy pozbawieni uprzedzeń, tacy, którzy uznają prawo kobiety do przerwania ciąży. W moim interesie leżało więc wyeliminowanie obrońców życia poczętego, strona przeciwna natomiast bardzo by zyskała, gdyby na ławie przysięgłych nie było orędowników prawa kobiet do aborcji. Oboje chcieliśmy umieścić w ankiecie pytanie: „Czy jest Pan/ Pani za czy przeciwko aborcji?”, ale sędzia nie zgodził się na to. Po trzech tygodniach sporów ostatecznie ominęliśmy sędziowskie weto pytaniem: „Czy miał Pan/Pani osobiste bądź też zawodowe przeżycia związane z aborcją?”.

Tych, którzy odpowiedzieliby „tak”, powinnam spróbować wyłączyć. Tych, którzy

odpowiedzieliby „nie”, należało puścić dalej, a podczas przesłuchania kwalifikacyjnego bardzo delikatnie poruszać tę kwestię.

Tak więc ostatecznie zaczęliśmy przesłuchania. Po przejrzaniu kwestionariuszy wiedziałam już mniej więcej, kogo chciałabym mieć w składzie ławy przysięgłych, a kogo nie.

Każdy z wezwanych przez sędziego Gellara miał kolejno zasiadać na krześle dla świadka, a ja i Guy, przesłuchawszy go, musieliśmy zrobić jedną z trzech rzeczy: zgłosić uzasadniony sprzeciw, dopuścić kandydata do udziału w procesie albo usunąć go za pomocą wniosku peremptoryjnego o wykluczenie ławnika. Każde z nas miało do dyspozycji trzy takie czerwone kartki, bardzo cenne, ponieważ pozwalały odrzucić przysięgłego bez podawania przyczyny. Cała sztuka polegała na tym, żeby wiedzieć, kiedy użyć tej broni, a kiedy zachować ją na wypadek, gdyby pojawił się ktoś jeszcze gorszy.

W sprawie Charlotte chciałam zobaczyć na ławie przysięgłych gospodynie domowe, z pieśnią na ustach tyrające w pocie czoła. Rodziców, którzy nie widzą świata poza swoimi dziećmi. Mamy małych sportowców, aktywistki z komitetu rodzicielskiego, ojców-domatorów. Ofiary przemocy domowej, bez słowa sprzeciwu znoszące to, co jest nie do zniesienia. Jednym słowem: chciałam usadzić za barierką dwunastkę męczenników.

Zdążyliśmy na razie przesłuchać troje: absolwenta uniwersytetu stanowego w New Hampshire, sprzedawcę używanych samochodów oraz kucharkę ze stołówki w liceum. Wykorzystałam swój pierwszy wniosek peremptoryjny, dowiedziawszy się, że absolwent był na studiach przewodniczącym młodzieżówki republikańskiej. Jako czwartą z kolei sędzia wezwał kobietę nazwiskiem Juliet Cooper. Była tuż po pięćdziesiątce, a to świetny wiek dla przysięgłego, człowiek ma wtedy dojrzałe poglądy i nie jest w gorącej wodzie kąpany. Miała dwójkę nastoletnich dzieci i pracowała w szpitalnej centrali telefonicznej. Kiedy zasiadła na krześle do przesłuchań świadków, uśmiechnęłam się do niej szeroko, żeby się odprężyła i poczuła swobodnie.

- Miło mi panią widzieć - zaczęłam. - Proszę powiedzieć: pracuje pani poza domem, zgadza się?

- Tak.

- W jaki sposób udało się to pani pogodzić z wychowaniem dzieci?

- Kiedy były jeszcze małe, nie pracowałam zawodowo. Wtedy było dla mnie najważniejsze, aby być w domu, razem z nimi. Właściwie dopiero kiedy moje dzieci poszły do

liceum, zaczęłam na nowo szukać pracy.

Na razie wszystko szło dobrze: kobieta wyznająca pogląd „dzieci przede wszystkim”.

- Napisała pani - uniosłam kwestionariusz - że złożyła kiedyś skargę w sądzie?

To było tylko stwierdzenie faktu, który kandydatka sama podała w ankiecie, ale mimo to Juliet Cooper spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym dała jej w twarz.

- Owszem - odparła.

Kandydatów do składu ławy przysięgłych przesłuchuje się zupełnie inaczej niż świadków w trakcie procesu. Zadając świadkowi pytania, wiemy z góry, co odpowie, potencjalny ławnik natomiast jest nieprzewidywalny, a przesłuchanie służy ustaleniu: wykluczyć go czy dopuścić do udziału w postępowaniu. A jeśli na przykład pani Juliet Cooper też oskarżyła kiedyś lekarza o błąd w sztuce i nie wyszła na tym najlepiej?

- Czy może nam pani powiedzieć coś więcej? - poprosiłam.

- Proces się nie odbył - mruknęła pod nosem. - Wycofałam zarzuty.

- Czy potrafiłaby pani zachować bezstronność w stosunku do kogoś, kto złożył skargę i obstaje przy swoim?

- Tak - odparła. - Uznałabym, że taka osoba ma po prostu więcej odwagi niż ja.

To dobrze wróżyło Charlotte. Wróciłam na miejsce, oddając kandydatkę do dyspozycji obrony.

- Pani Cooper, w kwestionariuszu wspomina pani o siostrzeńcu, który porusza się na wózku - zaczął Guy Booker.

- Mój siostrzeniec służył w Iraku. Stracił obie nogi po wybuchu samochodu-pułapki. Ma dopiero dwadzieścia trzy lata i to była dla niego potworna tragedia. - Juliet Cooper spojrzała na Charlotte. - Wydaje mi się, że są takie nieszczęścia, z którymi nie można się pogodzić, po których życie nieuchronnie zmienia się na zawsze.

Była cudowna. Najchętniej bym ją sklonowała.

Zastanawiałam się, czy Guy będzie chciał ją utracić. Z drugiej strony dla niego ławnik, który osobiście zetknął się z inwalidztwem, także był cennym nabytkiem. Początkowo wydawało mi się, że dla Charlotte najlepsze będą matki upośledzonych dzieci, ale potem zmieniłam zdanie. Niedobre urodzenie, termin, którym Booker zamierzał podczas procesu szafować na prawo i lewo, byłby dla nich bardzo obraźliwy. W ten sposób doszłam do wniosku, że lepiej nadawałby się ktoś, kto współczuje inwalidom, ale nigdy nie przeżył niczego podobnego albo właśnie ktoś

taki jak Juliet Cooper, kto zetknął się z tym problemem na tyle blisko, że może zrozumieć, jak trudne jest twoje życie.

- Pani Cooper - kontynuował Guy - wykreśliła pani z kwestionariusza odpowiedź na pytanie o swoje stanowisko w kwestii aborcji i teraz nie mogę tego przeczytać.

- Owszem - odparła. - Nie wiedziałam, co mam napisać.

- To bardzo trudne pytanie - przyznał Guy. - Czy rozumie pani, że werdykt w bieżącej sprawie będzie się odnosił właśnie do decyzji o przerwaniu ciąży?

- Tak.

- Czy usunęła pani kiedyś ciążę?

- Sprzeciw! - zawołałam. - To są poufne informacje medyczne, wysoki sędzie!

- Panie Booker - zapytał sędzia - co pan wyprawia?

- Wypełniam swoje obowiązki, wysoki sędzie. Osobiste przekonania ławnika będą miały w tym procesie decydujące znaczenie.

Ja oczywiście wiedziałam, o co chodzi obrońcy: ryzykował obrazę przyszłego ławnika, ale uznał, że warto ponieść takie ryzyko, bo inaczej może przegrać, dopuściwszy tę kobietę do procesu. Niewykluczone, że ja też musiałabym zadać równie drażliwe pytanie, i cieszyłam się, że nie padło na mnie, bo dzięki temu mogłam udawać niewiniątko.

- Przeszłość pani Cooper nie ma najmniejszego znaczenia w tym postępowaniu - oznajmiłam, stając przed kandydatami. - Przepraszam państwa za wścibstwo mojego kolegi, któremu w dobrze wybranym momencie udało się zapomnieć, że bieżąca sprawa nie dotyczy praw amerykańskich kobiet do aborcji w ogóle, lecz pojedynczego błędu w sztuce lekarskiej.

Guy Booker, jako adwokat strony oskarżonej, musiał nieustannie mydlić ławnikom oczy, wmawiając im różne rzeczy: a to, że Piper Reece prawidłowo oceniła sytuację; a to, że *osteogenesis imperfecta* nie można rozpoznać ponad wszelką wątpliwość w łonie matki, a przecież nikomu nie można zarzucić, że nie zobaczył czegoś, czego nie widać; a to, że żaden człowiek nie ma prawa powiedzieć, że nie warto żyć z kalectwem. Moim natomiast zadaniem było rozwiązać każdą z tych zasłon dymnych, przypominając przysięgłym, że skarga dotyczy błędu w sztuce lekarskiej, a za błąd ktoś zawsze musi zapłacić.

Zdawałam sobie sprawę, choć niezbyt jasno, z ironii tej sytuacji: oto ruszyłam na odsiecz kobiecie, która miała zasiąść wśród przysięgłych, broniąc jej prawa do tajemnicy medycznej, gdy tymczasem prywatnie właśnie przez to samo prawo miałam zdrowo pod górkę. Gdyby nie



przepis o tajności dokumentacji lekarskiej, już dawno znałabym nazwisko mojej biologicznej matki, a tak - błąkałam się w ciemności, zdana na ślepy traf, wyglądając listu od Maisie Donovan z sądu rodzinnego hrabstwa Hillsborough.

- Wystarczy już tej autoreklamy, pani Gates - powiedział sędzia. - Pana zaś, panie Booker, upominam: jeśli znów zada pan pani Cooper takie pytanie, oskarżę pana o obrazę sądu.

Guy wzruszył ramionami. Dokończył przesłuchanie, po czym oboje podeszliśmy do sędziego.

- Strona powodowa nie zgłasza sprzeciwu odnośnie do kandydatury pani Cooper - powiedziałam. Guy przytaknął, a sędzia wezwał kolejną osobę.

Była to kobieta nazwiskiem Mary Paul. Miała siwe włosy zebrane na karku w kucyk, nosiła workowatą niebieską sukienkę i buty na kauczukowej podeszwie. Wyglądała jak babcia; zajmując miejsce, uśmiechnęła się życzliwie do Charlotte. Wygląda to obiecująco, pomyślałam.

- Pani Paul, napisała pani w kwestionariuszu, że obecnie jest pani na emeryturze?

- Nie wiem, czy „emerytura” to najlepsze określenie...

- A czym się pani zajmowała?

- Och - odpowiedziała - byłam siostrą miłosierdzia.

Zapowiadał się długi dzień.

## Sean

Kiedy Charlotte wróciła z kompletowania składu ławy przysięgłych, graliśmy akurat w scrabble; dostawałem od ciebie porządne manto.

- Jak poszło? - zapytałem, ale to było widać na pierwszy rzut oka: Charlotte wyglądała tak, jakby potrafiła ją wywrotka.

- Wszyscy się na mnie gapili - powiedziała - jak na jakiegoś dziwoląga.

Skinąłem tylko głową. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Bo czy można się było spodziewać czegoś innego?

- Gdzie Amelia?

- Na górze. Przykleiła się do iPod'a.

- Mamo - zapytałaś - zagrasz z nami? Możesz się dołączyć, nieważne, że nie grałaś od początku.

Spędziłem dziś z tobą osiem godzin i przez cały dzień nie zebrałem się, żeby ci powiedzieć o rozwodzie. Zajrzeliśmy do sklepu ze zwierzętami, gdzie w terrarium wąż pożerał zdechłą mysz, poszliśmy na film Disneya i na zakupy - kupiliśmy kluseczki w sosie pomidorowym, czyli „glutaminianowo-sodowym”, jak go nazywała twoja mama. Jednym słowem: dzień był cudowny i nie chciałem ci go psuć. Nie chciałem zgasić blasku twoich oczu. Może Charlotte tego się właśnie spodziewała, proponując, żebym to ja ci o wszystkim powiedział. Domyśliła się i teraz, że znów nie dałem rady.

- Chyba żartujesz - westchnęła. - Sean... Minęły trzy tygodnie.

- Nie było dobrej chwili...

Wsunęłaś łapkę do woreczka z literami.

- Układamy już tylko dwuliterowe słowa - poinformowałaś mamę. - Tata chciał ułożyć „Oz”, ale to jest nazwa własna i nie wolno.

- Nigdy nie będzie dobrej chwili - mruknęła Charlotte, a potem pochyliła się nad tobą. - Kotku, padam ze zmęczenia. Ten mecz obejrzę z ławki rezerwowych. - I poszła do kuchni.

- Zaraz wracam - powiedziałem, zostawiając cię i idąc za nią. - Wiem, że nie mam prawa cię o to prosić - szepnąłem - ale... chciałbym, żebyśmy razem jej o tym powiedzieli. Wydaje mi się, że to ważne.

- Sean, miałam potworny dzień...

- A przeze mnie będzie jeszcze gorszy. Wiem. - Spojrzałem jej w oczy. - Proszę.

Charlotte bez słowa wyszła z kuchni i wróciła do pokoju. Spojrzała za siebie z radosnym uśmiechem na buzi.

- To co, jednak grasz z nami?

- Willow, musimy ci coś powiedzieć - zacząłem.

- Wracasz do domu, na zawsze? Wiedziała. Sapphire w przedszkolu opowiadała, że jak jej tata wyprowadził się z domu, to znalazł sobie jakąś zapluta dziwkę i się w niej zakochał, a teraz jej rodzice już nie są razem. Ale ja powiedziałam, że ty nigdy tak nie zrobisz.

- A nie mówiłam? - mruknęła Charlotte.

- Wills, mama i ja... bierzemy rozwód.

Spojrzała na mnie, potem na nią.

- Przeze mnie?

- Nie - zaprzeczyliśmy szybko, jednym głosem.

- Kochamy cię i Amelię też - powiedziałem - ale nie możemy już być razem.

Charlotte odwróciła się ode mnie i podeszła do okna.

- Będziesz nas widywać i mieszkać raz ze mną, a raz z mamą - mówiłem dalej. - Zrobimy wszystko, żeby obyło się bez zgrzytów i żeby nie trzeba było wiele zmieniać...

Z każdym moim słowem twarz tężała ci coraz mocniej, oblewając się wściekłym rumieńcem.

- Moja złota rybka - wycodziłaś - nie może mieszkać w dwóch domach.

Na Gwiazdkę kupiliśmy ci bojownika; na inne zwierzątko nie byłoby nas stać. Zadziwił wszystkich, żyjąc dłużej niż tydzień.

- Kupimy ci drugą - obiecałem.

- Nie chcę dwóch rybek!

- Willow...

- Nienawidzę was! - krzyknęłaś, a z oczu trysnęły ci łzy.

- I ciebie, i ciebie!

Zeskoczyłaś z fotela i rzuciłaś się do drzwi. Mknęłaś jak strzała; nie miałem pojęcia, że potrafisz poruszać się tak szybko.

- Willow! - zawołała Charlotte. - Tylko...

...uważaj.

Usłyszałem, jak krzyczysz, jeszcze zanim zdążyłem dobiec do drzwi. Tak ci się spieszyło, żeby uciec ode mnie, od tego, co ci powiedziałem, że nie uważałaś i poślizgnęłaś się na ganku. Lewa kość udowa pękła ci na pół, przebiła skórę i wyszła na zewnątrz w fontannie krwi; obie twardówki lśniły koszmarnym błękitem.

- Mama...? - jęknęłaś, a potem oczy uciekły ci w tył głowy.

- Willow! - krzyknęła Charlotte, padając na kolana. - Dzwon po pogotowie - rzuciła w moją stronę i nie mówiąc już nic więcej, pochyliła się nisko nad tobą i zaczęła szeptać ci coś do ucha.

Patrząc wtedy na was, uwierzyłem - na ułamek sekundy - że z nas dwojga to mama jest lepsza dla ciebie.

W piątek wieczorem, jeśli to tylko możliwe, lepiej unikać urazów, a tym bardziej nie warto zaliczyć otwartego złamania kości udowej akurat w weekend dorocznego kongresu ortopedycznego,

który gromadzi chirurgów z całego kraju. Amelia została sama w domu, a my ruszyliśmy do szpitala: Charlotte z tobą w karetce, ja za wami swoim samochodem. Przy najpoważniejszych złamaniach woziliśmy cię do Omaha, ale teraz było za daleko, bo tym razem ratownicy nie mogli unieruchomić kończyny na tak długo; pojechaliśmy prosto do miejscowego szpitala, gdzie w izbie przyjęć powiedziano nam, że chirurg ortopeda wezwany na konsultację jest tutaj na stażu specjalizacyjnym.

- Stażysta? - powtórzyła Charlotte. - Bez obrazy, ale nie pozwolę stażystcie założyć mojej córce gwoździ śródszpikowych.

- Wykonywałem już takie zabiegi, pani O'Keefe.

- Ale pana pacjenci nie mieli OI - odparowała. - I nie zna pan Willow.

Chirurg chciał ci założyć teleskopowy gwóźdź śródszpikowy Fassier-Duval, który rozsuwałby się w miarę wzrostu kości. Był to najnowszy sprzęt tego typu; implantowało się go w nasadzie kości udowej, co miało zapobiegać destabilizacji oraz migracji komponentów złamania, jak to się działo w wypadku starszych modeli. Przede wszystkim nie trzeba by zakładać wielkiego gipsu „żabka”, który dotąd obowiązywał po zespoleniu kości udowej; zamiast niego nosiłabyś przez trzy tygodnie długą, funkcjonalną szynę. Nie było to wygodne, zwłaszcza w lecie, ale nie robiło z ciebie kaleki.

Wokół szalała burza, a ja przez cały czas gładziłem cię po głowie. Odzyskałaś

przytomność, jednak nie powiedziałaś ani jednego słowa, patrzyłaś tylko nieruchomym wzrokiem przed siebie. Wystraszyło mnie to jak jasna cholera, ale Charlotte powiedziała, że tak często bywa przy ciężkich urazach; chodzi o endorfiny, którymi organizm sam się leczy. Lecz mimo to w pewnym momencie zaczęłaś dygotać, jakby poraził cię prąd. Szpitalny koc był najwidoczniej za cienki, więc przykryłem cię kurtką.

Charlotte tymczasem wyklócała się lekarzem, wierząc mu dziurę w brzuchu i rzucając nazwiskami znanych specjalistów i szpitali; wreszcie udało jej się go namówić, żeby zadzwonił do swojego przełożonego, który wyjechał na kongres do San Diego. Ta ich dyskusja przedstawiała fascynujący widok, była niczym szczegółowo wyreżyserowana bitwa: natarcie, odwrót, spojrzenie na ciebie i znów atak, następna runda. Twoja mama jest w tym bardzo dobra, uświadomiłem sobie nagle. Stażysta wrócił po kilku minutach.

- Doktor Yaeger może wrócić nocnym samolotem. O dziesiątej rano zacząłby operację - poinformował nas. - Więcej nie da się zrobić.

- Willow nie może tak leżeć całą noc - powiedziałem.

- Podamy jej morfinę - odparł.

Przewieźli cię na pediatrię, gdzie ściany wymalowane w kolorowe baloniki i cyrkowe zwierzęta kompletnie nie pasowały do płaczu dzieci i bladych twarzy zrozpaczonych rodziców wałęsających się po korytarzach. Charlotte pilnowała sanitariuszy, którzy przekładali cię z noszy na łóżko - kiedy poruszyli złamaną nogą, krzyknęłaś raz przeraźliwym, głuchym głosem - i poleciła pielęgniarce, żeby kroplówkę z morfiną założyć z prawej strony, bo jesteś leworęczna.

Nie mogłem patrzeć, jak cierpisz.

- Miałaś rację - powiedziałem.

Charlotte spojrzała pytająco.

- Chciałaś zrobić jej to zespolenie, a ja się nie zgodziłem.

Potrząsnęła głową.

- To ty miałaś rację. Dobrze, że mogła zażyć trochę ruchu, wzmocnić mięśnie i kości.

Inaczej już dawno byśmy mieli coś takiego.

Nagle zaczęłaś kwilić i drapać się po rękach, po brzuchu.

- Co się stało? - zapytała Charlotte.

- Jakieś robaki mnie oblaży - wyjęczałaś.

- Kochanie, nie ma żadnych robaków - próbowałem cię uspokoić, bo już podrapałaś się do

krwi.

- Przecież mnie swędzi...

- Zagramy w zgadywanke? - powiedziała szybko Charlotte, biorąc cię za rękę i kładąc ją na posłaniu. - Wybierz sobie jakąś czynność. Już?

Chciała odwrócić twoją uwagę i udało się; skinęłaś potakująco głową.

- Czy można to robić pod wodą? - zapytała mama, a ty dałaś znak: nie. - A gdy się śpi?

- Nie - odpowiedziałaś.

Charlotte rzuciła mi znaczące spojrzenie.

- A czy można... - zastanowiłem się -...to robić z kolegą? Cień uśmiechu na twojej buzi.

- Absolutnie nie.

I po tych słowach powieki powoli zaczęły ci opadać.

- Dzięki Bogu - westchnąłem. - Może teraz już prześpi to najgorsze.

I natychmiast, jakbym wypowiedział w złą godzinę, rzuciłaś się całym ciałem na łóżku. To był dreszcz, tak potężny, że zrzucił cię z posłania, szarpiąc złamaną nogą. Reakcja była natychmiastowa: wrzasnęłaś na całe gardło.

Zdołaliśmy cię jakoś uspokoić, ale po chwili wszystko powtórzyło się od nowa: kiedy tylko przychodził sen, zaczynałaś dygotać, jakbyś stanęła na skraju przepaści. Charlotte wezwała pielęgniarkę.

- Dostała drgawek - wyjaśniła. - Napady się powtarzają.

- Morfina czasem tak działa - usłyszeliśmy. - Najlepiej, gdybyście ją państwo przytrzymywali.

- A nie można odstawić morfiny?

- Można, ale wtedy dopiero zacznie się rzucać - odparła pielęgniarka, a kiedy wyszła, znów chwycił cię dreszcz. Jęknęłaś cicho, przeciągle.

- Pomóż mi - powiedziała Charlotte, kładąc się na łóżku obok ciebie i przyciskając twój tułów do materaca.

- Mamo, ciężko mi...

- Przytrzymam cię tylko - wyjaśniła spokojnym głosem. - Będzie dobrze, zobaczysz.

Poszedłem za jej przykładem, delikatnie opierając dłonie poniżej, na twoich biodrach i udach. Zakwiliłaś, kiedy dotknąłem złamanej lewej nogi. Czekaliśmy oboje, ja i Charlotte, licząc sekundy,

aż w pewnym momencie wyprężyłaś się cała, wpadając w dygot. Widziałem kiedyś wybuch na budowie; wyburzaną strefę obłożono starymi oponami, żeby eksplozję dało się wytłumić, kontrolować. I tak też było tym razem. Twoim ciałem wstrząsnął dreszcz, ale nawet nie krzyknęłaś; trzymał cię nasz ciężar.

Skąd Charlotte wiedziała, że trzeba tak zrobić? Bo opiekowała się tobą po każdym z twoich niezliczonych złamań? Bo nauczyła się, że w szpitalu trzeba działać, być mądrym przed, a nie po szkodzie? A może po prostu znała cię lepiej niż ja?

- Amelia - szepnąłem, przypominając sobie, że zostawiliśmy ją samą, a minęło już kilka godzin.

- Musimy do niej zadzwonić.

- Może po nią pojedę...

Charlotte odwróciła głowę, kładąc policzek na twoim brzuchu.

- Powiedz jej, że w razie czego ma zadzwonić do pani Monroe z naprzeciwka. Nie możesz nigdzie jechać. Jeśli Willow ma mieć spokojną noc, musimy być tu razem.

- Razem - powtórzyłem i zanim zdążyłem to sobie wyperswadować, pogładziłem Charlotte po głowie.

Zamarła.

- Przepraszam - mruknąłem, cofając rękę.

Poczułem drgnięcie, jak małe trzęsienie ziemi; to ty się poruszyłaś. Chciałem być dla ciebie jak ciepły koc, miękki dywan, stabilna podpora. Wspólnie z mamą przetrzymaliśmy napad drgawek, chłonąc twój ból. Charlotte wzięła mnie za rękę, a nasze dłonie splotły się w jedno bijące serce.

- Nie przepraszaj - szepnęła.

## Amelia

Dawno, dawno temu była sobie dziewczyna, która bardzo chciała zbić lustro. Gdy ją pytali dlaczego, mówiła wszystkim, że strasznie ją ciekawi, co jest po drugiej stronie, ale tak naprawdę chodziło jej o to, żeby nie musiała już dłużej się oglądać. I jeszcze o coś: kiedy nikt nie będzie patrzył, chciała ukraść jeden odłamek szkła i wyciąć nim sobie serce z piersi.

I tak, kiedy nikt nie patrzył, dziewczyna podeszła do lustra i zebrawszy całą odwagę, otworzyła oczy, żeby spojrzeć na siebie ten jeden, ostatni raz. Ale co się okazało? W lustrze nie było jej odbicia. Nie było tam nic. Zbita z tropu, wyciągnęła rękę, żeby dotknąć szkła, i zrozumiała, że ktoś wyjął je z ram; mogła przejść na drugą stronę.

Tak też zrobiła.

Co jeszcze dziwniejsze, w tym innym świecie wszyscy patrzyli tylko na nią - i nie dlatego, że wstrętne wyglądała, ale dlatego, że każdy chciał być do niej podobny. W szkolnej stołówce wszyscy na wyścigi zapraszali ją do swoich stolików. Wywołana do tablicy, zawsze odpowiadała dobrze. Jej skrzynka e-mailowa pękała w szwach od listów miłosnych, w których chłopcy wyznawali, że nie mogą bez niej żyć.

Z początku to wszystko było wspaniałe, jakby każde jej pojawienie się było niczym start rakiety kosmicznej. Potem jednak zaczęło ją to trochę nudzić. Nie miała ochoty rozdawać autografów,

kupując gumę w sklepie na stacji benzynowej. Włożyła różową bluzkę - i do obiadu już cała szkoła paradowała w różowych bluzkach. Zmęczyło ją ciągłe uśmiechanie się do ludzi.

Zrozumiała, że po tej pierwszej stronie lustra wcale nie było inaczej. Bo tutaj też nikomu tak naprawdę na niej nie zależało. Tych, którzy ją naśladowali i przymilali się do niej, mało obchodziło to, jaka jest naprawdę; widzieli w niej to, co sami chcieli zobaczyć, szukając czegoś, czym mogliby wypełnić pustkę w swoim własnym życiu.

Dziewczyna postanowiła wrócić, ale musiała to zrobić, kiedy nikt nie patrzył, bo inaczej wszyscy poszliby za nią. Cały problem polegał na tym, że zawsze ktoś patrzył. Śniły jej się koszmary, w których ci, którzy za nią poszli, poranili się kawałkami rozbitego szkła, przechodząc przez lustro; leżeli w kałużach krwi na podłodze i patrzyli na nią już zupełnie innym wzrokiem, bo po tej stronie lustra była całkiem zwyczajna i nikt jej nie lubił.

Kiedy nie mogła już wytrzymać ani chwili dłużej, zaczęła biec przed siebie. Wiedziała, że



wszyscy biegną za nią, ale nie mogła się zatrzymać, żeby pomyśleć, co z tym zrobić. Postanowiła, że rzuci się prosto w lustro, choćby ją to miało bardzo drogo kosztować. I zrobiła to, ale uderzyła tylko z całej siły głową o szklaną taflę. Okazało się, że ktoś naprawił lustro. Szkło było solidne, grube i nie dawało się rozbić. Dziewczyna położyła na nim dłonie. „Dokąd idziesz?”, pytali wszyscy. „Możemy iść z tobą?”. Nie odpowiedziała. Stała i patrzyła na swoje dawne życie, w którym jej zabrakło.

Bardzo ostrożnie usiadłam na twoim łóżku.

- Hej - szepnęłam jak najciszej, bo wciąż byłam półprzytomna i nie wiedziałam, czy przypadkiem nie śpisz.

- Hej. - Uchyliłaś powieki.

Gdy tak na ciebie patrzyłam, wydawało się, że jesteś bardzo mała, nawet z tą wielką szyną na nodze. Podobno po zespoleniu kości udowej nie groziły ci już tak poważne złamania.

Widziałam kiedyś w telewizji program o chirurgach ortopedach; mieli wiertarki, piły, metalowe płytki i Bóg wie co jeszcze, jak robotnicy na budowie, a nie lekarze. Kiedy sobie wyobraziłam, jak grzebią w człowieku i walą tymi młotkami, to myślałam, że zemdleję.

Nie wiem, dlaczego akurat ten twój wypadek wystraszył mnie bardziej od innych. Może pomieszały mi się wszystkie okoliczności towarzyszące, które były równie straszne jak otwarte złamanie: list z sądu o rozwodzie rodziców, telefon od taty ze szpitala. I to jaki telefon! Tata powiedział mi, że muszę zostać całą noc sama w domu. Nikomu o tym nie mówiłam - mama z tatą i tak myśleli tylko o tobie - ale do samego rana nie zmrużyłam oka; siedziałam w kuchni, ściskając w garści największy nóż, jaki udało mi się znaleźć i czekałam na włamywaczy. Adrenalina nie pozwalała mi zasnąć; wciąż myślałam tylko, co będzie, jeśli nigdy już nie wrócicie do domu.

Ale stało się coś zupełnie na odwrót: wróciliście, i to wszyscy troje - poważnie, widać było, że mama i tata wcale nie odstawiają szopki, żeby poprawić ci humor, ale naprawdę są razem. Czowali nad tobą na zmianę i rozumieli się bez słów. Czulałam się tak, jakbym naprawdę zbiła tamto lustro z bajki i wylądowała w alternatywnym świecie, czyli w moim dawnym życiu. Z jednej strony chciałam wierzyć, że twój wypadek naprawdę zbliżył ich na nowo; bo jeśli tak, to było to warte bólu, który przeżyłaś. Tylko że jednak wciąż gdzieś tam kołatała myśl, że to mi się tylko przywidziało, że ta szczęśliwa rodzinka to fatamorgana i nic więcej.

Nie byłam zbyt wierzająca, ale przezorny zawsze ubezpieczony: zaczęłam się modlić, a

raczej targować z Bogiem. Jeśli znów będziemy rodziną, to nie będę już więcej narzekać. Nie będę dokuczać siostrze. Nie będę wymiotować. Nie będę się ciąć.

Nie będę, nie będę, nie będę.

Tobie jednak zabrakło mojego optymizmu. Mama mówiła, że od operacji cały czas płaczesz i nie chcesz nic jeść. Podobno te łyzy to był skutek środków znieczulających, które wciąż miałaś we krwi, ale ja postanowiłam, że muszę cię rozweselić.

- Cześć, Wiki - zabrałam się do dzieła. - Chcesz M&Msów? Zostało mi trochę z Wielkanocy.

Potrząsnęłaś głową.

- A może dam ci mojego iPoda?

- Nie chcę niczego słuchać - burknęłaś. - Wcale nie musisz być dla mnie miła. Już niedługo mnie nie będzie.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Ktoś mi o czymś nie powiedział? Co się stało na tej operacji? Że niby co, miałaś umrzeć?

- O czym ty mówisz? - zapytałam.

- Mama chce się mnie pozbyć, bo wciąż coś sobie robię. - Otarłaś palcami łyzy. - Nikt nie chce takich dzieci jak ja.

- Co ty gadasz? Przecież nikogo nie zamordowałaś, nie dręczysz wiewiórek i w ogóle nigdy nie zrobiłaś nic strasznego, no, chyba że wtedy, jak próbowałaś wybekać przy stole „Boże, błogosław Amerykę”...

- To było tylko raz - przypomniałaś mi. - Ale zastanów się, Amelia. Nikt nie trzyma popsutych rzeczy. Wcześniej czy później zawsze je się wyrzuca.

- Willow, mówię ci, że nigdzie cię nie oddadzą. A jak oddadzą, to cię zabiorę i uciekniemy.

Pociągnęłaś mocno nosem.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam. - Zaczepiłyśmy się małymi palcami i każda pociągnęła w swoją stronę.

- Ale ja nie mogę latać samolotem - oznajmiłaś poważnym tonem, jakby już trzeba było planować trasę tej naszej ucieczki. - Doktor powiedział, że będę pisać w bramce na lotnisku. Dał mamie zaświadczenie.

Którego najprawdopodobniej zapomnę wziąć, tak jak wtedy, gdy pojechaliśmy do

Disneylandu.

- Amelia, dokąd uciekniemy?

Do przeszłości. To była moja pierwsza myśl, ale nie miałam zielonego pojęcia, jak się tam dostać.

Więc może do Budapesztu. Nie za bardzo wiedziałam, gdzie to jest, ale to słowo było fajne, jak tąpnięcie na języku. Albo do Szanghaju. Na Galapagos albo na wyspę Skye. Mogłybyśmy objechać razem cały świat jako dwuosobowy gabinet osobliwości: jedna siostra, która bez przerwy coś sobie łamie, i druga, która co krok się rozsypuje.

- Willow - powiedziała mama - musimy pogadać. - Nie wiem, jak długo stała w drzwiach i ile słyszała z naszej rozmowy. - Amelia, zostawisz nas na chwilę?

- Nie ma sprawy. - Wysłałam na korytarz, jednak zamiast iść na dół, bo o to ewidentnie jej chodziło, zatrzymałam się tuż za progiem, żeby móc wszystko słyszeć.

- Wills - zaczęła mama - nigdzie cię nie oddamy.

- Przepraszam za tę nogę - chlipnęłaś. - Myślałam, że jak bardzo długo niczego sobie nie złamię, to pomyślicie, że jestem jak normalne dziecko...

- Wypadki się zdarzają, Willow. - Skrzypnęło łóżko; to mama na nim usiadła. - Nikt nie ma do ciebie pretensji.

- Ty masz. Żałujesz, że się urodziłam. Powiedziałaś to. Sama słyszałam.

Co było dalej? Poczułam się tak, jakby w mojej głowie rozszalało się tornado. Myślałam o tym procesie, który zniszczył nasze życie. O moim ojcu, który na razie czekał na dole, ale w każdej chwili mógł sobie pójść. O tym, że jeszcze przed rokiem nie miałam blizn, miałam przyjaciółkę, a to, co zjadłam, nie zalegało mi w żołądku jak kamień. I myślałam też o tym, co mama ci odpowiedziała. Bo chyba się przesłyszałam.

## Charlotte

- Charlotte?

Poszłam do bieliźniarki, bo chciałam się schować; pracująca, wyładowana pralka robiła dość hałasu, żeby zagłuszyć płacz. A mimo to Sean przyszedł za mną.

- Przepraszam. - Szybko otarłam oczy rękawem. - Co z dziewczynkami?

- Obie twardo śpią. - Podeszedł o krok bliżej. - Coś się stało?

Otóż właśnie stało się. Kochałam cię, pomimo kruchych kości i ciągłych złamań, teraz jednak musiałam cię o tym specjalnie przekonywać - a dopóki nie rozpoczęłam tego procesu, jeszcze nigdy nie zwątpiłaś w moją miłość.

Przecież wszyscy kłamią, a kłamstwo kłamstwu nierówne. Co innego, na przykład, zamordować kogoś i nie przyznać się na policji, a co innego powiedzieć z uśmiechem matce wyjątkowo brzydkiego dziecka: „Jakiego ma pani ślicznego maluszka! „. Kłamstwa służą do samoobrony, ale też pomagają chronić innych. Co jest ważniejsze: prawda czy mniejsze zło?

- Nic się nie stało. - Potrząsnęłam głową.

I znowu to samo, kolejna błazenada. Nie umiałabym powtórzyć Seanowi tego, co mi powiedziałaś; nie zniosłabym jego „A nie mówiłem?”. Mój Boże, czy ja już nie mogę otworzyć ust, żeby nie skłamać?

- Te ostatnie dni były ciężkie. - Splotłam ciasno ramiona na piersi. - A ty? Chcesz czegoś ode mnie?

Sean wskazał pralkę, na której leżała kołdra i poduszka.

- Przyszedłem po pościel.

Wiedziałam, że muszę ćwiczyć, nigdy nie umiałam zrozumieć par, które po rozwodzie utrzymują dobre stosunki. Owszem, tak jest najlepiej dla dziecka. Owszem, to także mniejszy stres. Tylko jak można zapomnieć, że ten konkretny „przyjaciel” widział cię nago? Strzegł twoich marzeń, kiedy ty z prostego zmęczenia o nich zapominałaś? Historię swojego życia można napisać od nowa na sto różnych sposobów, ale nic nie zatrze tych kilku pierwszych pociągnięć pędzlem.

- Sean - w końcu zdobyłam się na szczerłość - cieszę się, że zostałeś z nami. Tak było... o wiele łatwiej.

- Cóż - odparł z prostotą - to też moja córka. - Zrobił krok w moją stronę, chcąc sięgnąć

po pościel, a ja odruchowo się cofnęłam. - Dobranoc - powiedział.

- Dobranoc.

Zgarnął z pralki kołdrę i poduszkę, a potem odwrócił się jeszcze:

- Gdybym tak jak Willow nie mógł sam się bronić i musiał znaleźć sobie kogoś, kto będzie walczył za mnie jak lew, to wybrałbym ciebie.

- Ona chyba myśli inaczej - szepnęłam, połykając łzy.

- Hej... - Sean wziął mnie w ramiona, ogrzewając czoło oddechem. - Co to ma znaczyć?

Uniosłam głowę, zbliżając twarz do jego twarzy. Chciałam powiedzieć mu o wszystkim: co usłyszałam od ciebie, jak bardzo już jestem zmęczona, jak bardzo się waham - ale milczałam. Staliśmy naprzeciwko siebie, nasze spojrzenia niosły słowa, których zbyt się baliśmy, aby wypowiedzieć je na głos. A potem, powoli, aby dobrze rozumieć, że popełniamy błąd, złączyliśmy usta w pocałunku.

Nie umiałabym powiedzieć, kiedy po raz ostatni całowałam się z Seanem, tak porządnie, bo oczywiście cmoknięć na do widzenia nie można zaliczyć do tej kategorii. Ten pocałunek był głęboki,

szeroki i zawzięty, jakbyśmy oboje pragnęli, żeby spalił nas na popiół. Ostry zarost Seana boleśnie otarł mi skórę, jego zęby pokaleczyły wargi, a oddech zaświszczał w moich płucach. Sufit, ściany, drzwi - to wszystko zamigotało mi w oczach; oderwałam się od Seana, z wysiłkiem łapiąc oddech.

- Co my robimy? - wydyszałam. Sean przytulił głowę do mojej szyi.

- Wszystko jedno, tylko róbmy to dalej.

I poczułam jego dłonie pod bluzką, na skórze, gorące jak żelaza do wypalania piętna. Przyparł mnie do wibrującej pralki, do drzwiczek kulistych jak akwarium dla złotej rybki. Klamra jego paska uderzyła z brzękiem o podłogę, lecz dopiero po chwili dotarło do mnie, że to ja ją rozpięłam. Owinęłam się dookoła Seana; byłam winoroślą, splątany pnączem ciężkim od kwiatnych pąków. I wreszcie zakwitłam, odrzucając głowę w tył.

Zaczął się błyskawicznie i równie szybko było po wszystkim. Nieoczekiwanie na naszym miejscu stali ludzie, którymi byliśmy, kiedy to wszystko się zaczęło: mężczyzna i kobieta w średnim wieku, na tyle samotni, aby móc pozwolić sobie na desperację. Sean podtrzymywał mnie za biodra, dżinsy zjechały mu aż do kostek. Rączka do otwierania pralki wbijała mi się w plecy. Opuściłam jedną stopę na podłogę i owinęłam się w pasie prześcieradłem wyciągniętym z

pościeli, którą chciał zabrać na kanapę.

Policzki Seana płonęły ciemnym, nabiegłym rumieńcem.

- Przepraszam - szepnął.

- Naprawdę żałujesz? - Usłyszałam własny głos.

- Nie bardzo - przyznał.

Przezesłam włosy palcami, próbując odgarnąć je z twarzy.

- To co teraz?

- Hmm... - zastanowił się. - Cofnąć tego nie można.

- Nie można.

- A ty zabrałaś mi prześcieradło i owinęłaś nim sobie nie powiem co.

Rzuciłam okiem na dolne partie swojego ciała.

- No i ta kanapa jest cholernie niewygodna - dodał.

- Sean - uśmiechnęłam się - chodź do łóżka.

Wydawało mi się, że pierwszego dnia rozprawy obudzą mnie panikarskie mdłości albo wściekły ból głowy, ale nic z tych rzeczy; w miarę jak oczy powoli oswajały się z porannym światłem, ogarniał mnie spokój, a moja jedyna myśl brzmiała: „Będzie dobrze”. Nie przeszkadzało mi, że niektóre mięśnie rwały słodkim bólem, przeciwnie, to ten ból zwrócił moją uwagę na wspianą muzykę dobiegającą spod prysznic, pod którym, wiedziałam to, stał Sean. Zasłuchana, przekręciłam się na drugi bok i przeciągnęłam.

- Mamo-o...

Szybko narzuciłam na siebie szlafrok i pobiegłam do twojego pokoju.

- Jak się czujesz, Wills?

- Swędzi mnie - odpowiedziałaś. - I muszę siku.

Podeszłam, żeby podnieść cię z łóżka. Byłaś ciężka, choć w porównaniu z jedyną alternatywą, czyli gipsem „żabka” - leciutka jak piórko. Podciągnęłam ci koszulę nocną i usadziwszy na sedesie, wyszłam, żeby poczekać, aż zawołasz mnie z powrotem do pomocy przy myciu rąk. Zanotowałam w pamięci, żeby kupić dużą butelkę płynu do rąk, kiedy będę wracać z sądu, a to z kolei przypomniało mi, jak rozwiązałam kwestię opieki nad tobą i że na pewno ci się to nie spodoba. Po długiej dyskusji na temat zostawiania cię w domu podczas kolejnych rozpraw Marin pozwoliła mi zatrudnić prywatną pielęgniarkę pediatryczną. Koszt okazał się astronomiczny, ale jak powiedziała, mieliśmy go pokryć z odszkodowania, jakiegokolwiek by było.

Trudno to nazwać idealnym rozwiązaniem, lecz przynajmniej nie musiałam się martwić, czy jesteś bezpieczna.

- Pamiętasz Paulette? - zaczęłam. - Tę pielęgniarkę?

- Nie chcę, żeby tu przyszła...

- Wiem, kotku, ale nie mamy wyboru. Muszę dziś załatwić ważną sprawę, a ty nie możesz zostać sama.

- A tatuś?

- Co tatuś? - zapytał Sean, wyjmując cię z moich rąk i niosąc na dół, jakbyś nic nie ważyła.

Zamiast munduru miał dziś na sobie garnitur i był pod krawatem. „Jedzie ze mną do sądu”, pomyślałam, jaśniejąc od środka.

- Amelia się kąpie - rzucił przez ramię, sadzając cię na kanapie. - Powiedziałem jej, że dziś musi zdążyć na szkolny autobus. A Willow... ?

- Przyjedzie do niej pielęgniarka.

- To będziesz miała fajnie. - Tata spojrzał na ciebie.

- Jak nie wiem co. - Wykrzywiłaś się.

- Poprawię ci humor: na śniadanie będą naleśniki. Chcesz?

- Ty już nic innego nie umiesz zrobić? - zapytałaś. - Nawet ja wiem, jak się gotuje japoński rosół z kluskami.

- A chcesz na śniadanie japoński rosół z kluskami?

- N-nie...

- To nie kręć nosem na naleśniki. - Sean odwrócił się, obrzucając mnie rzeczowym spojrzeniem. - To dziś jest ten wielki dzień - przypomniał.

Skinęłam głowę, zaciągając pasek od szlafroka.

- Za piętnaście minut będę gotowa do wyjścia.

Znieruchomiał, trzymając w rękach rozłożony kocyk, którym chciał cię przykryć.

- Myślałem, że pojedziemy osobno. - Urwał z wahaniem.

- Mam się najpierw spotkać z Guyem Bookerem.

Miał się spotkać z Guyem Bookerem. To oznaczało, że mimo wszystko będzie zeznawał w obronie Piper.

Miał się spotkać z Guyem Bookerem. Czyli jednak nic się nie zmieniło.

Oszukiwałam się, bo tak było łatwiej niż stanąć oko w oko z prawdą i przyznać, że seks to nie miłość, a jedna noc jest jak mały, cienki plasterek, którym nie da rady skleić rozbitego małżeństwa.

- Charlotte - Sean powtórzył pytanie, zanim do mnie w ogóle dotarło, że je zadał. - Zjesz naleśniki na śniadanie?

Nie wiedział, byłam tego pewna, że naleśniki, pieczone na blasze, to jedne z najstarszych amerykańskich wypieków, a w osiemnastym wieku, kiedy nie używano jeszcze proszku do pieczenia ani sody oczyszczonej, ciasto spulchniało się, ubijając jajka na pianę. Tak samo nie wiedział, mogłam się założyć, że naleśniki były znane już w średniowieczu, a jedzono je w Tłusty Czwartek, przed Wielkim Postem. Że blacha nie może być za gorąca, bo wyjdą zastygłe i będą kleić się do zębów, jeśli zaś nie będzie miała odpowiedniej temperatury, to wyschną i zrobią się twarde.

A już na pewno, byłam o tym święcie przekonana, zapomniałam, że na nasze pierwsze wspólne małżeńskie śniadanie, po powrocie z podróży poślubnej, były właśnie naleśniki. Przełałam ciasto do torebki i odciawszy rożek, wyrysowałam na blasze serca, a gdy się upiekły, podałam je Seanowi.

- Nie jestem głodna - odpowiedziałam.



## Amelia

No, to teraz opowiem, dlaczego nie pojechałam do szkoły autobusem. Otóż rano nikt nie zadał sobie trudu, żeby wyjrzeć na dwór, i dopiero kiedy Paulette, pielęgniarka, weszła cała roztrzęsiona, bo musiała się przebijać przez tłum fotoreporterów i dziennikarzy, dotarło do nas, ilu było chętnych na zdjęcie moich rodziców wyjeżdżających do sądu na pierwszą rozprawę.

- Amelia - rzucił tata przez zaciśnięte zęby - do samochodu. Już!

I ten jeden raz go posłuchałam.

Jakby tego było mało, kilka ekip pojechało za nami do szkoły.

- Czy to przypadkiem nie przez takich jak oni zginęła księżna Diana? - zauważyłam, obserwując ich w bocznym lusterku.

Tata milczał i wciąż zaciskał zęby, tak mocno, że bałam się, żeby mu nie pękły. Kiedy przystanęliśmy na światłach, odwrócił się do mnie.

- Posłuchaj, wiem, że to będzie trudne, ale musisz udawać, że to jest zupełnie normalny dzień.

Wiem, co sobie myślicie: tutaj Amelia strzeliła kolejnym kpiącym tekstem, który jak zwykle był kompletnie nie na miejscu, na przykład „To samo mówili ludziom po zamachu na World Trade Center”. Ale nie. Zero kpiących tekstów. Zamiast coś powiedzieć, zaczęłam się trząść tak mocno, że musiałam wsunąć dłonie pod uda.

- Już sama nie wiem, co to znaczy: normalny - zapiszczałam głosikiem tak cichym jak jeszcze nigdy.

Tata wyciągnął rękę, odgarnął mi włosy z twarzy.

- Kiedy to się już skończy - powiedział - to może miałabyś ochotę zamieszkać ze mną?

Serce zaczęło mi walić trzy razy szybciej, jak to usłyszałam. Ktoś mnie chciał; ktoś wybrał mnie, mnie i tylko mnie. Jednocześnie zrobiło mi się niedobrze. Miło sobie pomarzyć, ale tutaj trzeba było patrzeć realistycznie: jaki sąd odda nastolatkę pod opiekę facetowi, który nie jest nawet jej krewnym? Czyli zostanę z mamą, która przecież się dowie, że wołałabym być z nim, a nie z nią. A poza tym, co by się stało z tobą? Gdybym zamieszkała u taty, może w końcu ktoś zacząłby zwracać na mnie uwagę, tylko że musiałabym cię zostawić i odejść. Czy miałabyś o to do mnie żal?

I w końcu nic nie odpowiedziałam, a kiedy zmieniło się światło, tata wcisnął gaz i ruszył.

- Zastanów się nad tym - powiedział i widziałam, że było mu trochę przykro.

Pięć minut później zajechaliśmy pod szkołę.

- Ci reporterzy pójdą za mną? - zapytałam.

- Nie wolno im tego zrobić - odpowiedział tata.

- No, dobrze. - Podniosłam plecak z podłogi i położyłam na kolanach. Ważył piętnaście kilo, czyli jedną trzecią tego co ja. Wiedziałam dokładnie, bo tydzień wcześniej szkolna pielęgniarka ustawiła na korytarzu wagę i każdy mógł zważyć siebie i swój plecak; chodziło o to, że dzieci w moim wieku nie mogą nosić za dużo książek. Jeśli po podzieleniu wagi plecaka przez własną wychodziło więcej niż piętnaście procent, to skoliozę, krzywicę czy inną pokrzywkę miało się jak w banku. Zresztą każdemu wyszło, że ma za ciężki plecak, ale to jakoś nie dało nauczycielom do myślenia; dalej zadawali tyle samo.

- Powodzenia - powiedziałam tacie.

- Chcesz, żebym porozmawiał z pedagogiem albo z dyrektorem? Mogę powiedzieć, że dzisiaj potrzebujesz trochę więcej uwagi...

To akurat było mi najmniej potrzebne - jeszcze bardziej bym się wyróżniała, chociaż i tak już pasowałam do tych wszystkich ludzi jak przysłowiowa pięść do nosa.

- Dam sobie radę - uspokoiłam go, otwierając drzwi.

Dziennikarze pojechali za nim, więc mogłam odetchnąć. Tak mi się przynajmniej wydawało - dopóki mnie ktoś nie zawołał.

- Amelia! - Usłyszałam kobiecy głos. - Co sądzisz o dzisiejszym procesie?

Facet, który stał za tą babką, trzymał na ramieniu kamerę. Jak to zauważyły dzieciaki idące do szkoły, to dopiero się zaczęło: zaczęli rzucać mi się na szyję, jakbym była ich kumpelą, a jeden chłopak wymyślił jeszcze coś lepszego.

- Ej, stary! - zawołał. - Wolno tak robić w telewizji?

I pokazał do kamery środkowy palec.

Kolejny dziennikarz wyskoczył zza krzaków po mojej lewej stronie.

- Czy siostra zwierza ci się teraz, kiedy wie, że mama złożyła skargę o niedobre urodzenie?

- Czy to była wspólna decyzja, podjęta w gronie rodzinnym?

- Czy będziesz zeznawać?

Dopiero po tym ostatnim pytaniu przypomniałam sobie: moje nazwisko znalazło się na

jakiejś głupiej liście, tak na wszelki wypadek. Mama i Marin Gates zapewniały mnie, że do niczego nie dojdzie, że to tylko zabezpieczenie, ale ja nigdy nie lubiłam być na żadnych listach. Wydawało mi się wtedy, że ktoś na mnie liczy - a co będzie, jak zawiodę?

A w ogóle to dlaczego ci dziennikarze nie łązili za Emmą, która chodziła do tej samej szkoły? No tak, to akurat było oczywiste: dla nich - i dla wszystkich innych - Piper była ofiarą, a ja córką harpii, która zawzięła się, żeby obdrzeć ją ze skóry.

- Amelia?

- Tutaj, Amelia...

- Amelia!

- Dajcie mi spokój! - wrzasnęłam, zakrywając uszy dłońmi, i wbiegłam do szkoły, przepychając się na oślep pomiędzy dzieciakami grzebiącymi w szafkach, nauczycielami ostrożnie kluczącymi w tłoku z kubkiem kawy w dłoni, i parami obcałowującymi się tak, jakby żegnali się na całe życie, a nie na czterdzieści pięć minut, od dzwonka do dzwonka. Wpadłam w pierwsze lepsze drzwi - akurat trafiło na łazienkę dla nauczycieli - i zamknęłam się w środku. Mój wzrok przyciągnęła biała, nieskazitelnie czysta muszla klozetowa.

Wiedziałam, że to, co ze sobą robię, ma własną nazwę. Na higienie pokazywali nam filmy - tam nazywało się to „zaburzeniem odżywiania”. Ale to nie mogło być żadne zaburzenie, bo dawało mi poczucie, że wszystko jest na swoim miejscu.

Na przykład: kiedy to robiłam, rozumiałam doskonale, dlaczego się nienawidzę. Kto by lubił taką świnię, co napycha się jak Jabba Hut, a potem wszystko zwraca? Która tak się wysiła, żeby opróżnić żołądek z jedzenia, a mimo to dalej jest gruba? Wiedziałam jednak, że cokolwiek bym zrobiła, to jest w szkole ktoś jeszcze gorszy ode mnie: dziewczyna chora na anoreksję. Jej ręce i nogi wyglądały jak ścięta nawleczona na wykałaczki. Nikt w całej szkole nigdy by jej ze mną nie pomylił. Robiłam to, co robiłam nie dlatego, że byłam chuda, a w lustrze widziałam grubasa - nie, ja byłam gruba. Wychodziło na to, że nawet zagłodzić się nie potrafię jak należy.

Przecież obiecałam, że przestanę. Przysięgłam, że więcej nie będę wymuszać wymiotów, żebyśmy mogli zostać razem, ja, ty i rodzice.

Przysięgałaś, wypomniałam sobie.

A nie minęło jeszcze nawet dwanaście godzin.

Ale nie, nagle zgięłam się wpół, włożyłam palec do gardła i puściłam wielkiego pawia, czekając, żeby mi ulżyło, tak jak zawsze.

Tylko że tym razem nie poczułam już ulgi.

## Piper

Dowiedziałam się od Charlotte, że pieczenie to czysta chemia. Ciasto spulchnia się, wytwarzając parę albo gazy - metodą biologiczną, chemiczną lub mechaniczną - które powodują, że mieszanina się unosi. Sekret dobrych wypieków polega na tym, aby do ciasta dobrać odpowiednią substancję spulchniającą: chleb ma być spoisty, biszkopt sprężysty, beza piankowa, a suflet puszysty.

- To jest wzór na pieczenie - powiedziała mi kiedyś Charlotte, kiedy pomagałam jej zrobić tort na urodziny Amelii.

I napisała na serwetce:



- Z chemii organicznej miałam cztery z minusem - poinformowałam ją.

- Wodorowinian potasu reaguje z wodorowęglanem sodu, dając gazowy dwutlenek węgla, winian sodowo-potasowy i wodę - odczytała równanie.

- Popisujesz się - prychnęłam.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie wystarczy ubić jajek z mąką - wyjaśniła. - Próbuję przekazać ci trochę wiedzy.

- Lepiej podaj mi tę cholerną wanilię - odpowiedziałam.

- Naprawdę tego was uczą w szkole kucharskiej?

- Studentom medycyny też chyba nie dają skalpeli ot tak, prawda? Trzeba najpierw wiedzieć, co się robi i dlaczego.

Wzruszyłam ramionami.

- Założę się, że Betty Crocker nawet nie wiedziała, jak wygląda równanie chemiczne.

Charlotte zabrała się do mieszania ciasta.

- Znała zasadę: jeden składnik w misce to początek, dwa - to już cała opowieść.

Nie wspomniała wtedy o jednej rzeczy: że nawet najstarszym piekarzom i cukiernikom czasem zdarzają się błędy. Że równowaga pomiędzy kwasem i sodą może się zaburzyć, składniki mogą się nie połączyć, a sole wytrącić.

I wtedy robi się gorzko.

Pierwszego dnia procesu siedziałam pod prysznicem bardzo długo, lejąc wodę na plecy, jakbym karała się biczowaniem. Oto nadszedł ten moment, kiedy stanę w sądzie, twarzą w twarz

z Charlotte.

Zapomniałam już dźwięku jej głosu.

Pomijając oczywiste różnice, strata najlepszej przyjaciółki bardzo przypomina stratę kochanka: chodzi tutaj przede wszystkim o intymność. Jeszcze przed chwilą był ktoś, z kim mogłaś dzielić swoje największe triumfy i najcięższe błędy- teraz trzeba dusić w sobie to wszystko. Chwytasz za telefon, bo chcesz jej o czymś powiedzieć albo pożalić się, jaki to miałaś ciężki dzień - i łapiasz się na tym, że już nie masz prawa do niej dzwonić. A potem nawet jej numer wylatuje ci z pamięci.

Kiedy minął już pierwszy szok po otrzymaniu pozwu do sądu, wpadłam w straszną wściekłość. Jak ona tak może, myślałam. Niszczyć mi życie, żeby jej żyło się lepiej? Ale gniew to płomień, który nie może szaleć zbyt długo. Kiedy wypalił się już do ostatka, popadłam w otępienie. I zaczęłam się zastanawiać: czy Charlotte dostanie to, czego pragnie? A właściwie o co jej chodzi? O zemstę? Pieniądze? O spokój, poczucie bezpieczeństwa?

Czasami budziłam się z ustami pełnymi niewypowiedzianych słów, ciężkich jak kamienie. To była pozostałość po śnie, powracającym koszmarze, w którym stawałam oko w oko z Charlotte. Miałam jej tyle do powiedzenia, lecz nie mogłam wydobyć głosu, a ona też milczała; z początku nie wiedziałam dlaczego, ale potem dostrzegłam, że ma zaszyte wargi.

Nie wróciłam już do pracy. Próbowalam - jeden raz. Przy samych drzwiach dopadła mnie taka drżączka, że zawróciłam od progu. Słyszałam o lekarzach, którzy po procesie o błąd w sztuce wracali do praktyki, dla mnie jednak to oskarżenie wykraczało daleko poza kwestię, czy można było rozpoznać *osteogenesis imperfecta* w łonie matki, czy też nie. Nie chodziło o to, że nie zauważyłam nieprawidłowości w rozwoju szkieletu, tylko o to, że nie wyczułam, czego pragnie moja najlepsza przyjaciółka, chociaż wydawało mi się, że znam ją na wylot. A skoro nie poradziłam sobie z Charlotte, to jak mogłam zrozumieć potrzeby innych pacjentek, o których nie wiedziałam praktycznie nic?

Po raz pierwszy w życiu zaczęłam się zastanawiać nad słowem, które oznacza wykonywanie zawodu lekarza. Mówi się na to: praktyka. Ale czy ktoś, kto zabiera się do leczenia ludzi, nie powinien mieć już praktyki w małym palcu?

Rzecz jasna, odbiło się to mocno na domowym budżecie. Obiecałam Robowi, że przed końcem bieżącego miesiąca wrócę do pracy, niezależnie od tego, czy proces się skończy, czy nie. Tylko że nie ustaliłam z nim, do jakiej właściwie pracy mam wrócić. Bo prowadzenia rutynowej

ciąży wciąż nie umiałam sobie wyobrazić. A zresztą, która ciąża jest rutynowa?

Przygotowując się do rozprawy pod okiem Guya Bookera, przewertowałam swoje notatki chyba z tysiąc razy, szperałam też w pamięci, szukając najdrobniejszych szczegółów. I prawie uwierzyłam mojemu adwokatowi, kiedy przekonywał mnie, że żadnego lekarza nie można oskarżyć o nierozpoznanie OI *in utero* na obrazie USG z osiemnastego tygodnia ciąży; że nawet gdyby coś kazało mi podejrzewać akurat tę chorobę, to w takich wypadkach zaleca się odczekać kilka tygodni, aż będzie można stwierdzić, czy płód ma typ II czy typ III. Jako lekarzowi nie można było mi zarzucić nieodpowiedzialności.

Ja tylko nie sprawdziłam się jako odpowiedzialna przyjaciółka.

Powinłam była patrzeć uważniej na wyniki jej badań. Ślęczyć nad nimi tak, jak ślęczałabym nad własnymi, gdybym to ja była pacjentką. Nawet jeśli w sądzie udałoby mi się dowieść, że miałam rację, to nic nie mogło zmienić faktu, że zawiodłam Charlotte jako przyjaciółka. I tym samym, choć okrężną drogą, zawiodłam ją jako lekarz - bo powinłam była odmówić, kiedy poprosiła, żebym przyjęła ją u siebie. Należało przewidzieć, że w ten czy inny sposób nasza prywatna znajomość wpłynie na czysto zawodową, medyczną relację.

Woda w prysznicu zaczynała już stygnąć; zakręciłam kran i owinęłam się ręcznikiem. Guy Booker dał mi bardzo konkretne instrukcje na temat stroju, w jakim powinłam wystąpić tego dnia: żadnych kostiumów, nic czarnego, włosy rozpuszczone. Kupiłam sobie bliźniak w outlecie T.J. Maxx. Dlaczego akurat to? Bo nigdy nie nosiłam bliźniaków, a Guy powiedział, że coś takiego będzie idealnie pasować. Miałam wyglądać jak zwyczajna mama, żeby każda kobieta na ławie przysięgłych mogła się ze mną utożsamić.

Zeszłam na dół. Z kuchni dobiegała muzyka. Emma wyszła z domu, jeszcze zanim zamknęłam się pod prysznicem, bo musiała zdążyć na szkolny autobus, a Rob - cóż, Rob od trzech tygodni zaczął jeździć sobie do pracy na siódmą trzydzieści. Nie był to wyraz godnej podziwu dyscypliny; chciał po prostu ulotnić się, zanim wstanę, na wypadek gdyby zebrało nam się na poważną rozmowę pod nieobecność Emmy, naszego zaworu bezpieczeństwa.

- No, czas najwyższy - powiedział mój mąż, kiedy weszłam do kuchni. Przyciszył radio i wskazał na stół; leżał tam talerz załadowany bajglami.

- W sklepie mieli tylko jeden pumperniklowy - objaśnił - ale są jeszcze z jalapeño i cheddarem, z cynamonem i rodzynkami...

- Przecież słyszałam, jak wychodziłeś - przerwałam mu.

Przytaknął skinieniem głowy.

- Wyszedłem i wróciłem. Zwykły ser czy śmietankowy wegetariański?

Nie odpowiedziałam. Stałam bez ruchu, przyglądając się mu.

- Nie wiem, czy ci już o tym mówiłem - dodał po chwili - ale kuchnia jest teraz o wiele jaśniejsza. Świetnie ją pomalowałeś. Byłaby z ciebie pierwszorzędna dekoratorka wnętrz.

To znaczy, dalej uważam, że lepiej nadajesz się na położnika, jednak tak czy inaczej...

Serce waliło mi coraz szybciej.

- Nie chcę wyjść na niewdzięcznicę, ale powiedz mi, co ty właściwie tutaj robisz?

- Opiekam bajgle?

- Wiesz, o czym mówię.

Opiekacz brzęknął. Rob puścił sygnał mimo uszu.

- Przysięgi małżeńskiej nie składa się na wiatr, tylko na dobre i na złe. Zachowałem się jak ostatnia świnia. Przepraszam cię, Piper. - Opuścił wzrok, patrząc na pustą przestrzeń między nami. - Nie chciałaś iść do sądu. Ktoś cię tam na siłę zaciągnął. Przyznaję, że ta sytuacja obudziła we mnie wspomnienia, do których wolałbym już nigdy nie wracać, lecz ważne jest tylko to, że ty nie zrobiłaś niczego złego. Charlotte i Sean otrzymali od ciebie rzetelną usługę medyczną, w niczym nieuchybającą standardom. Jeżeli już, to dałaś im więcej, niż przewiduje standard opieki lekarskiej.

Poczułam, jak w gardle wzbiera mi szloch.

- A twój brat? - wykrztusiłam.

- Nie wiem, co by to zmieniło w moim życiu, gdyby mój brat się nie urodził - odpowiedział Rob cichym głosem - ale wiem jedno: dopóki żył, kochałem go. - Uniósł głowę, spojrzał na mnie. - Nie mogę cofnąć tego, co mówiłem, ani wymazać wszystkich błędów, które popełniłem przez tych ostatnich kilka miesięcy. Mimo to mam nadzieję, że mnie nie pogonisz, jeśli będę chciał pójść z tobą do sądu.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób i na jak długo załatwił sobie wolne, ale podniósłszy wzrok, zobaczyłam za jego plecami nowe szafki, które sama wieszałam, rząd niebieskich oczek oświetleniowych, ściany w ciepłym kolorze miedzi - i po raz pierwszy dostrzegłam w tym dom, a nie pomieszczenie do remontu.

- Pod jednym warunkiem - zapowiedziałam.

Rob skinął głową.



- Jasne.

- Pumpernikiel jest dla mnie. - I weszłam prosto w otwarte ramiona mojego męża.

## Marin

Jeszcze godzinę przed rozpoczęciem pierwszej rozprawy nie miałam pojęcia, czy moja klientka w ogóle pojawi się w sądzie. Przez cały weekend usiłowałam się do niej dodzwonić, ale nie odbierała ani telefonu domowego, ani komórki. Widząc tłum dziennikarzy na schodach prowadzących do sądu, zadzwoniłam do Charlotte jeszcze raz.

- Tu dom państwa O'Keefe - zaśpiewała automatyczna sekretarka.

Jeśli Sean nie wycofał wniosku rozwodowego, nie było to do końca zgodne z prawdą, ale zdążyłam już jednak poznać Charlotte na tyle, żeby wiedzieć, że to, co ta kobieta wygłasza publicznie, wcale nie musi odzwierciedlać stanu faktycznego. I szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodziło - byle tylko się nie zaplątała, jak będę ją przesłuchiwać.

Kiedy wreszcie się pojawiła, wiedziałam o tym od razu. Tłum dziennikarzy zaryczał jednym głosem, ruszając za nią po schodach do sądu. Gdy sforsowała drzwi, szybko podeszłam do niej, biorąc pod rękę i wołając: „Bez komentarza”. Zaciągnęłam Charlotte do pustej sali i zamknęłam za sobą drzwi.

- Boże jedyny - westchnęła - ilu ich tutaj...

- Niewiele się dzieje - wyjaśniłam. - Mogłyśmy się umówić na parking i wprowadziłabym cię tylnym wejściem, ale w tym celu musiałabyś odebrać telefon albo odsłuchać którąś z wiadomości. No, ale nagrałam ci ich przecież tylko jakieś siedem tysięcy w ten weekend.

Charlotte wyjrzała nieobecny wzrokiem przez okno, za którym tłoczyły się białe furgonetki dźwigające na dachach talerze anten satelitarnych.

- Nie wiedziałam, że do mnie dzwoniłaś. Nie było mnie w domu. Willow złamała kość udową i przeszła operację zespolenia wewnętrznego. Cały weekend siedzieliśmy w szpitalu.

Zaczerwieniłam się ze wstydu. Więc Charlotte nie olewała moich telefonów, tylko walczyła z domową katastrofą.

- Jak się czuje Willow? - zapytałam.

- Złamała sobie nogę, kiedy próbowała od nas uciec. Sean powiedział jej, że bierzemy rozwód.

- Chyba żadne dziecko nie chciałoby tego usłyszeć. - Zawiesiłam głos na chwilę. - Wiem, że masz sporo na głowie, ale chciałabym ci powiedzieć, jak będzie wyglądać dzisiejsza

rozprawa...

- Marin - przerwała mi Charlotte - ja nie mogę tego zrobić.

- Proszę?

- Nie mogę. - Spojrzała mi w oczy. - Czuję, że nie dam rady.

- Jeśli chodzi o tych dziennikarzy...

- Chodzi o moją córkę. I o mojego męża. Nie dbam o to, co inni sobie o mnie pomyślą, jednak ich zdanie mnie obchodzi, i to bardzo.

Przypomniałam sobie setki godzin przygotowań do tej rozprawy, wszystkich biegłych, z którymi rozmawiałam, wszystkie złożone wnioski. Jednocześnie gdzieś obok tego biegły moje wciąż bezowocne poszukiwania biologicznej matki, które wkroczyły właśnie w decydującą fazę: poszukiwana kobieta oddzwoniła do Maisie Donovan i poprosiła o przesłanie mojego listu.

- Nie sądzisz, że chyba już trochę za późno na takie rewelacje? - zapytałam.

Charlotte odwróciła się do mnie.

- Moja córka uważa, że jej nie chcę, bo jest chora.

- A spodziewałaś się czegoś innego?

- Tak - odpowiedziała cicho. - Że mi uwierzy, kiedy powiem, że wcale tak nie myślę.

- Więc ją przekonaj. Stań do przesłuchania i powiedz, że ją kochasz.

- Nie widzisz tutaj żadnej sprzeczności? Przecież na tym samym przesłuchaniu powiem, że chciałam usunąć ciążę.

- Uważam, że jedno nie wyklucza drugiego - odparłam. - Nie chcesz kłamać przed sądem i ja też tego nie chcę. Przede wszystkim - nie potępiaj się, dopóki nie zrobią tego ławnicy.

- A zrobią to na pewno. Marin, przecież nawet ty mnie potępiasz. Sama powiedziałaś, że gdyby twoja matka była taka jak ja, to nie byłoby cię na świecie.

- Moja matka była dokładnie taka jak ty - wyznałam otwarcie. - Tylko nie miała wyboru. - Usiadłam przy biurku, naprzeciwko Charlotte. - Kilka tygodni po moim urodzeniu zalegalizowano aborcję. Nie wiem, czy gdyby zaszła w ciążę dziewięć miesięcy później, podjęłaby taką samą decyzję. Nie wiem, czy jej życie byłoby po tym lepsze. Ale na pewno wyglądałoby inaczej.

- Inaczej - powtórzyła Charlotte.

- Kiedy poznałyśmy się półtora roku temu, powiedziałaś mi, że chcesz, aby Willow miała możliwości, których w inny sposób zapewne nie będziesz mogła jej dać. Czy i ty nie zasługujesz

na to samo?

Wstrzymałam oddech. Wreszcie Charlotte uniosła głowę, spojrzała mi w oczy.

- To o której zaczynamy? - zapytała.

Ława przysięgłych, która jeszcze w piątek wyglądała jak przypadkowa zbieranina, w poniedziałkowy poranek była już zwarta i gotowa. Sędzia Gellar w ciągu weekendu ufarbował sobie włosy na głęboką, grecką czerń - ten kolor przyciągnął mój wzrok jak magnes i od razu skojarzył mi się z Elvisem. Przewodniczący rozprawie wyglądał po prostu jak jego sobowtór, a źle jest widzieć Elvisa w człowieku, na którym za wszelką cenę staramy się zrobić wrażenie. Gdy zwrócił się do czterech kamerzystów, którym zezwolono prowadzić transmisję z procesu, tylko czekałam, kiedy gromkim głosem zaintonuje refren „Burning Love”.

Sala rozpraw była pełna po brzegi; stawili się dziennikarze, orędownicy równouprawnienia osób niepełnosprawnych, a także zwykli miłośnicy dobrej rozrywki. Charlotte, siedząca obok mnie, trzęsła się cała, nie podnosząc głowy.

- Pani Gates - oznajmił sędzia Gellar. - Jeśli jest pani gotowa, proszę zacząć.

Ścisnęłam Charlotte za rękę i wstałam, aby przysięgli mogli mnie zobaczyć.

- Witam państwa - powiedziałam. - Chciałabym dziś opowiedzieć o pewnej dziewczynce. Nazywa się Willow O'Keefe.

Podeszłam bliżej.

- Willow ma sześć i pół roku - zaczęłam - i w ciągu swojego krótkiego życia doznała już sześćdziesięciu ośmiu złamań. W piątek, kiedy jej mama wróciła do domu z kompletowania składu ławy przysięgłych, zdarzył się kolejny tego typu wypadek. Willow biegła, poślizgnęła się i upadła. Pękła jej kość udowa i konieczna była operacja zespolenia wewnętrznego. Ale Willow nie musi się przewrócić, żeby coś sobie złamać. Wystarczy, że kichnie. Uderzy się o stół. Obróci z boku na bok podczas snu. Dzieje się tak, ponieważ cierpi na *osteogenesis imperfecta*, chorobę, o której mogli państwo słyszeć pod inną nazwą: zespołu samoistnej łamliwości kości. Oznacza to, że przez całe życie będzie niezwykle podatna na złamania.

Uniosłam prawą dłoń.

- W drugiej klasie szkoły podstawowej miałam złamaną rękę. Niejaka Lulu, która lubiła znęcać się nad słabszymi, postanowiła sprawdzić, czy umiem latać, i zepchnęła mnie z drabinki w sali gimnastycznej. Pamiętam tylko tyle, że strasznie mnie bolało. Kiedy Willow coś sobie złamie, cierpi dokładnie tak samo, jak cierpiałoby każde z państwa, z jedną różnicą: jej kości

łamią się o wiele łatwiej. Życie z *osteogenesis imperfecta* od samego urodzenia jest nieustającym pasmem trudności, ciągłych rehabilitacji, terapii i operacji, słowem: jest to życie pełne cierpienia. Natomiast dla mamy Willow, pani Charlotte O'Keefe, choroba ta oznacza przerwę w życiorysie.

Wróciłam do naszego stołu.

- Charlotte O'Keefe była mistrzem cukiernictwa i kierowała cukiernią w restauracji. Dopisywała jej siła fizyczna - bez większej trudności przrzuciała dwudziestokilogramowe worki z mąką i wyrabiała ręcznie ciasto. Teraz jednak każdy jej ruch musi być delikatny, ponieważ nawet biorąc córkę na ręce, może zrobić jej krzywdę. Gdy ktoś ją zapyta, odpowie, że bardzo kocha swoje dziecko, że Willow nigdy nie sprawiła jej najmniejszego zawodu. Niestety, tego samego nie można powiedzieć o lekarzu położniku, który prowadził ciążę Charlotte. Doktor Piper Reece - jej przyjaciółka, proszę państwa - wiedziała, że płód nie jest zdrowy, i nie poinformowała o tym swojej pacjentki, uniemożliwiając jej tym samym podjęcie decyzji, do której ma prawo każda przyszła matka.

Rozkładając szeroko ręce, ponownie zwróciłam się do ławników.

- Przestrzegam państwa przed błędem. Istotą tej sprawy nie są uczucia. Nie chodzi tutaj o to, czy Charlotte O'Keefe uwielbia swoją córkę, czy nie, bo to jest stałe i niezmiennie. Istotą tej sprawy są fakty - fakty, o których Piper Reece wiedziała, a które zlekceważyła. Fakty, o których lekarz nie poinformował swojej pacjentki, chociaż ta darzyła go pełnym zaufaniem. Nikt nie wini doktor Reece za chorobę Willow, nikt nie twierdzi, że to ona do niej doprowadziła. Niemniej jednak doktor Reece nie jest niewinna, ponieważ nie przekazała państwu O'Keefe wszystkich informacji, którymi dysponowała. Bo muszą państwo wiedzieć, że na obrazie USG wykonanym w osiemnastym tygodniu ciąży Charlotte widać już było objawy *osteogenesis imperfecta*. Objawy zlekceważone przez doktor Reece - powtórzyłam. - Proszę sobie wyobrazić, że państwo, sędziowie przysięgli, zasiadacie na tej sali rozpraw, oczekując ode mnie szczegółowego przedstawienia bieżącej sprawy, ja zaś przekazuję państwu wszystko, oprócz jednej, niezwykle ważnej informacji. A teraz proszę sobie wyobrazić, że ta brakująca informacja dociera do państwa kilka tygodni po ogłoszeniu werdyktu. Co państwo czujecie? Złość? Niepokój? Pretensję, że zostaliście oszukani? Może nawet nie moglibyście państwo zasnąć, dręczeni świadomością, że ta informacja, przedstawiona w odpowiednim czasie, mogłaby zmienić wasze zdanie i wpłynąć na werdykt? - Po chwili podjęłam: - Gdybym ja cokolwiek zataiła podczas procesu, byłaby to podstawa do wniesienia apelacji od wyroku. W wypadku lekarza podobny

czyn nosi jednak inną nazwę: błędu w sztuce medycznej.

Powiodłam wzrokiem po ławnikach.

- Proszę sobie wyobrazić jeszcze jedną sytuację: że zatajona przeze mnie informacja zmienia nie tylko wynik rozprawy, w której biorą państwo udział... ale też całą państwa przyszłość. - Wróciłam na swoje miejsce. - Właśnie z tego powodu, szanowni państwo, Charlotte O'Keefe znajduje się dziś w tej sali.

## Charlotte

Czułam na sobie wzrok Piper.

Kiedy Marin wstała, zaczynając swoją mowę, Piper miała mnie jak na widelcu; siedziała za stołem po drugiej stronie sali, razem ze swoim adwokatem. Świdrowała mnie spojrzeniem; musiałam się odwrócić, bo inaczej przewierciłaby na wylot.

Rob siedział gdzieś za nią. On też nie spuszczał ze mnie wzroku, kłując mnie nim jak laserem. Ja byłam wierzchołkiem kąta - oni, ze swoimi spojrzeniami, jego ramionami. To był ostry kąt, ostry jak czubek szpilki.

Piper wyglądała zupełnie nie jak ona. Była szczuplejsza, starsza. Miała na sobie coś, co kiedyś byśmy regularnie obśmiały na zakupach - w takich strojach chodziły inne Mamy Małych Łyżwiarek, ale nie my.

Ciekawe, pomyślałam, czy ja też wyglądam inaczej - a jeśli nawet, to czy ona mogłaby to w ogóle zauważyć; przecież kiedy pozwalałam ją do sądu, w jednej chwili zmieniałam się dla niej zupełnie nie do poznania.

Marin usiadła obok mnie i westchnęła.

- No, to poszło - szepnęła, patrząc, jak Guy Booker wstaje zza swojego stołu i zapina marynarkę.

- Nie mam powodu, aby nie wierzyć pani Gates - zaczął - kiedy mówi, że Willow O'Keefe doznała w życiu sześćdziesięciu ośmiu - tak pani powiedziała? - sześćdziesięciu ośmiu złamań. Ale wiem też,

że w lutym jej urodziny były obchodzone pod znakiem szalonej nauki. Że nad jej łóżkiem wisi plakat z Hanną Montana, że w zeszłym roku zajęła pierwsze miejsce w okręgowym turnieju czytania. Że nie znosi koloru pomarańczowego i zapachu gotowanej kapusty, a na ostatnią Gwiazdkę prosiła Mikołaja o małą. Innymi słowy, proszę państwa, pod wieloma względami Willow O'Keefe jest zupełnie zwyczajną sześciolatką.

Adwokat podszedł do barierki, za którą siedzieli ławnicy.

- Owszem, to dziecko jest niepełnosprawne i jako takie wymaga specjalnej opieki, czy to jednak oznacza, że nie ma prawa żyć? Że urodziło się „niedobrze”? Bo to właśnie jest tak naprawdę sedno tej sprawy. Wykroczenie, o którym mowa, nie bez przyczyny nosi nazwę „niedobrego urodzenia” i proszę mi wierzyć, jego definicja jest skomplikowana i trudna do

zrozumienia. Ale owszem, Charlotte O'Keefe żałuje, że jej dziecko przyszło na świat. To są jej własne słowa.

Wzdrygnęłam się, jakby uderzył we mnie piorun.

- Ta pani opowie państwu o tym, jak bardzo cierpi jej córka. Lecz na tej sali znajdzie się także ojciec Willow, od którego usłyszycie państwo, jak bardzo ta dziewczynka kocha życie. Dowiedcie się, jak wiele radości mu przyniosła i jakie jest jego zdanie na temat tak zwanego niedobrego urodzenia. Zgadza się. Nie przesłyszeliście się państwo. Mąż Charlotte O'Keefe nie poparł wysuniętych przez nią zarzutów i odmówił udziału w tej grze, która ma na celu przetrząśnięcie kieszeni bogatej firmy ubezpieczającej lekarzy.

Guy Booker ruszył w stronę Piper.

- Kiedy dwoje ludzi dowiaduje się, że będą mieli dziecko, ich pierwszą myślą jest: żeby tylko urodziło się zdrowe. Nikt nie chce, aby z jego pociechą coś było nie tak. Ale prawda jest inna: nie ma żadnych gwarancji. Prawda jest taka, szanowni państwo, że Charlotte O'Keefe ma na uwadze dwie rzeczy: po pierwsze, chodzi jej o pieniądze, a po drugie, chce zrzucić na kogoś odpowiedzialność.

Zdarzało mi się czasem przy pracy, że kiedy otwierałam piekarnik, nisko pochylona, fala gorąca uderzała mnie prosto w twarz, odbierając na chwilę wzrok. Dokładnie tak samo podziały na mnie teraz słowa Guya Bookera. Zrozumiałam, że Marin miała rację. Mogłam - bez wewnętrznej sprzeczności - powiedzieć, że cię kocham, na procesie o niedobre urodzenie. To było trochę tak, jakby pokazać komuś kolor zielony, a potem powiedzieć: „Zapomnij, że go widziałeś”. Nie mogłam wymazać z dłoni odcisku twojej rączki, zagłuszyć w pamięci melodii twojego głosu. Nie wyobrażałam sobie życia bez ciebie. Gdyby cię nie było, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej; nie byłaby to opowieść o tobie i o mnie.

Nigdy nie ośmieliłam się pomyśleć, że ktoś mógł być odpowiedzialny za twoją chorobę. Mówili nam, że to przypadkowa mutacja, bo ani ja, ani Sean nie mieliśmy wadliwych genów. Przekonywali, że w żaden sposób nie mogłabym uchronić cię przed złamaniami podczas ciąży. Ale to ja byłam twoją matką i to ja nosiłam cię pod sercem. To ja sprowadziłam twoją duszę na ten świat i to przeze mnie trafiłaś do tego chorego ciała. Gdybym nie starała się tak usilnie o dziecko, nie byłoby cię. Mogłam obarczyć się winą na sto różnych sposobów.

Chyba że to nie ja byłam winna, tylko Piper. Bo jeśli tak, to mogłam być spokojna.

A to oznaczało, że Guy Booker także miał rację.



Poszłam do sądu dla ciebie i byłam pewna, mogłabym przysiąc, że chodzi tutaj o ciebie i tylko o ciebie. Myliłam się. Chodziło o mnie. I tylko o mnie.

## IV

Czy pamiętasz jeszcze spadające gwiazdy  
Mknące w przestworzach niczym śmigle konie,  
Skaczące niespodziewanie ponad przeszkodami  
Z naszych życzeń - pamiętasz? A ileż  
To ich mieliśmy! Bo też i tych gwiazd nie zliczyłby  
Nikt; za każdym spojrzeniem zdumiewał nas  
Ich spektakl, tak śmigły i śmiały,  
A serce wypełniało się spokojem,  
Bo te świetliste ciała się rozpadły,  
A jednak my przetrwaliśmy ich zagładę.

RAINER MARIA RILKE, „Spadające gwiazdy”

**Wyrastanie:** etap, kiedy ciasto zwiększa swoją objętość.

Przepis na chleb zawiera dwa takie etapy. Najpierw wyrastają drożdże; miesza się z wodą i odrobiną cukru, żeby sprawdzić, czy są aktywne. Dopiero wtedy można wykonywać kolejne czynności. Wyrasta również ciasto: podnosi się, dwukrotnie powiększając swoją objętość. Nagle zaczyna go przybywać, chociaż jeszcze chwilę wcześniej była tylko mieszanina początkowych składników.

Co sprawia, że ciasto rośnie? Drożdże, które przerabiają glukozę i inne węglowodany na dwutlenek węgla. Ciasto na chleb wyrasta różnie, w zależności od rodzaju. Niektóre wyrastają tylko raz, inne piekarz musi kilkakrotnie wyrobić, po każdym mieszaniu odstawiając do ponownego wyrośnięcia.

Jakoś zupełnie mnie nie dziwi, że w kuchni - tak samo jak w życiu - wzrost zawsze trzeba wymusić.

#### SŁODKIE BUŁECZKI NA NIEDZIELNY PORANEK

$3\frac{3}{4}$  szklanki mąki

$\frac{1}{3}$  szklanki cukru

1 łyżeczka soli

2 paczki suchych drożdży aktywnych

1 szklanka ciepłego mleka

1 jajo

$\frac{1}{3}$  szklanki masła, podgrzanego, żeby zmiękło

#### KARMEL

$\frac{3}{4}$  szklanki brązowego cukru

$\frac{1}{2}$  szklanki niesolonego masła

$\frac{1}{4}$  szklanki lekkiego syropu kukurydzianego

$\frac{3}{4}$  szklanki pekanów w połówkach

2 łyżki stołowe podgrzanego, zmiękczonego masła

#### NADZIENIE

$\frac{1}{2}$  szklanki posiekanych pekanów

2 łyżki stołowe cukru białego

2 łyżki stołowe cukru brązowego

1 łyżeczka cynamonu

Powiedziałaś mi kiedyś, że w leniwy niedzielny poranek najprzyjemniej jest, kiedy się budzisz, a w całym domu pachnie tak pysznie, że sama wstajesz i idziesz za nosem do kuchni. Te bułeczki, jak większość pieczywa, wymagają starannego zaplanowania pracy - ale przecież dla ciebie wszystko musiałam planować z wyprzedzeniem, prawda?

Ciasto robimy w taki sposób: w dużej misce zmieszaj dwie szklanki mąki, cukier, sól i drożdże. Dolej ciepłe mleko, potem dodaj jajko i podgrzane masło. Ubijaj na wolnych obrotach przez minutę. W razie potrzeby dosyp mąki - ciasto będzie ściślejse.

Zagniataj je na lekko podsypanej mąką stolnicy przez pięć minut. Dodam, że to była twoja ulubiona czynność - wchodziłaś na krzesło, żeby móc pracować nad ciastem całym ciężarem ciała. Kiedy skończysz, włóż je do natłuszczonej miski, a potem przerzuć tłustą stroną do góry. Nakryj i odstaw do wyrośnięcia na około półtorej godziny, aż jego objętość powiększy się dwukrotnie. Żeby sprawdzić, czy jest gotowe, naciśnij palcem - jeśli zostanie głęboki ślad, można robić dalsze rzeczy.

Następny krok to przygotowanie karmelu. Zagotuj cukier i masło w ilościach według przepisu, przez cały czas mieszając. Po zagotowaniu zdejmij z ognia i dodaj syrop kukurydziany. Wylej mieszaninę na blachę o wymiarach trzydzieści trzy na dwadzieścia trzy centymetry, głęboką na pięć centymetrów. Na wierzchu poukładaj połówki pekanów.

Nadzienie: wymieszaj posiekane pekany, cukier biały i brązowy oraz cynamon w ilościach według przepisu. Odstaw.

Rozbij ciasto pięścią, a następnie rozwałkuj na lekko oproszonej mąką stolnicy; ma powstać prostokąt o bokach mniej więcej czterdzieści na dwadzieścia pięć centymetrów. Rozprowadź na nim dwie łyżki stołowe zmiękczonego masła i posyp równo mieszaniną pekanów, cukru i cynamonu. Zawień ściśle, zaczynając od krótszego boku, i zaklej brzeg. Powstały w ten sposób walek uformuj dłońmi na stolnicy.

Watek należy pociąć na osiem równych części, które układamy na blasze z wylanym karmelem, blisko siebie, ale tak, żeby się nie dotykały. Następnie szczelnie zawień blachę folią piekarską i wstaw do lodówki na co najmniej dwanaście godzin. Niech ci się przyśni, jak ciasto się podnosi, wyrasta po raz drugi, przerasta twoje oczekiwania; z niektórymi rzeczami tak właśnie jest.

Rozgrzej piekarnik do 180°C i piecz bułeczki przez trzydzieści pięć minut. Kiedy będą złote, wyjmij blachę z piekarnika, przykryj tacą i odwróć do góry nogami, żeby karmel spłynął.

Podawaj na ciepło.

## Marin

### *Kilka minut później*

Wyrażenie „złożyć zeznania” zawsze mnie zastanawiało. Przywodziło na myśl jakąś skomplikowaną czynność, montaż, który pozwala ostatecznie wnieść coś nowego do przebiegu rozprawy sądowej. Rzecz jasna, tak właśnie się dzieje, ale w inny sposób, niż mogłoby się wydawać. Zeznania świadków zawsze zawierają błędy. Są lepsze, co oczywiste, od dowodów pośrednich, czyli poszlak, tylko że człowiek to nie kamera, nie zarejestruje wszystkich zdarzeń i ich skutków, a poza tym pamięć działa wybiórczo, odrzucając niektóre wypowiedzi i obrazy. Innymi słowy, każdy świadek, który ma przedstawić sądowi fakty, tak naprawdę prezentuje tylko pewną ich wersję, która w zasadzie jest fikcją.

Charlotte O'Keefe, która właśnie została wezwana do złożenia zeznań, nie umiała nawet opowiedzieć o własnym życiu, chociaż osobiście je przeżyła. Sama przyznała, że nie jest obiektywna, a ze swojego życia pamięta tylko te chwile, które łączą się z Willow.

Ze mnie, ma się rozumieć, byłby fatalny świadek. Przecież nie wiedziałam nawet, jak zaczęła się moja historia.

Charlotte siedziała za barierką, trzymając splecione, zaciśnięte dłonie na kolanach. Z pierwszymi trzema pytaniami poszło gładko.

- Pani imię i nazwisko?

- Gdzie pani mieszka?

- Ile ma pani dzieci?

Ale już na czwartym się potknęła.

- Czy ma pani męża?

Formalnie rzecz biorąc, odpowiedź na to pytanie brzmiała: tak. Ale w praktyce należało to uściślić, inaczej Guy Booker obróciłby fakt separacji Charlotte i Seana na własną korzyść. Ćwiczyłam z Charlotte właściwe wyjaśnienie, ale jak dotąd za każdym razem kończyło się to łzami. Czekałam, co odpowie, bezwiednie wstrzymując oddech.

- W chwili obecnej mam jeszcze męża. - Jej głos był spokojny. - Ale dziecko wymagające tak wielkiej troski... Ta sytuacja wywołała wiele kłopotów w moim małżeństwie i aktualnie żyjemy w separacji. - Skończywszy, odetchnęła powoli, ze świstem.

Dobrze, pochwaliłam ją w myślach.

- Charlotte, czy możesz nam opowiedzieć, jak zaszłaś w ciążę, z której urodziła się Willow? Bez szczegółów technicznych... - dodałam, słysząc gwałtowne westchnienie pewnej ławniczki w starszym wieku. - Powiedz, dlaczego chciałaś mieć dziecko.

- Miałam już córkę - zaczęła mówić. - Przez pięć lat byłam samotną matką. Kiedy poznałam Seana, oboje byliśmy zgodni: chcemy mieć więcej dzieci. Niestety, nie było nam to pisane. Przez blisko dwa lata próbowałam zajść w ciążę, a kiedy już prawie zdecydowałam się na farmakologiczne leczenie bezpłodności, udało się, tak po prostu.

- Jak się wtedy czułaś?

- Byliśmy przeszczęśliwi - wyznała Charlotte. - Czasami zdarza się w życiu tak wspaniała chwila, że człowiek boi się następnej, bo wie, że lepiej już być nie może. Tak właśnie się czułam.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Trzydzieści osiem. - Uśmiechnęła się lekko. - Jak to się mówi: starcza ciąża.

- Czy to cię martwiło?

- Wiedziałam, że po trzydziestym piątym roku życia wzrasta ryzyko wystąpienia zespołu Downa.

Podeszłam do barierki.

- Czy rozmawiałaś na ten temat ze swoim lekarzem położnikiem?

- Tak.

- Możesz powiedzieć sądowi, kto wtedy nim był?

- Piper Reece - zeznała Charlotte. - Oskarżona.

- Dlaczego wybrałaś panią Reece do prowadzenia swojej ciąży?

Opuściła głowę.

- Była moją najlepszą przyjaciółką. Ufałam jej.

- W jaki sposób zareagowała na twoje obawy dotyczące zespołu Downa?

- Zaleciła mi badanie krwi, tak zwany test poczwórny, aby sprawdzić, czy w moim przypadku ryzyko upośledzenia neurologicznego albo zespołu Downa nie jest jeszcze większe. I było: jeden do stu pięćdziesięciu zamiast jeden do dwustu siedemdziesięciu.

- Co z kolei zaleciła doktor Reece?

- Amniopunkcję - wyjaśniła Charlotte - ale wiedziałam, że to nie jest całkowicie bezpieczne badanie, a ponieważ w osiemnastym tygodniu ciąży i tak miałam termin USG, doktor Reece powiedziała, że możemy poczekać na ultrasonografię i dopiero potem podjąć decyzję, czy

robić amniopunkcję. USG jest mniej dokładne, podobno jednak widać już na nim pewne szczegóły, które wskazują na zespół Downa albo pozwalają zmniejszyć ryzyko.

- Czy pamiętasz tamto badanie? - zapytałam.

Charlotte skinęła głową.

- To były dla nas wielkie emocje: mieliśmy zobaczyć nasze maleństwo. Ale czułam też niepokój, wiedząc, że radiolożka będzie szukać markerów zespołu Downa. Cały czas obserwowałam, jak reaguje. W pewnym momencie pochyliła głowę i mruknęła: „Hmm”. Ale kiedy zapytałam, co widzi, odpowiedziała, że to doktor Reece odczyta obraz.

- Co usłyszała pani od oskarżonej?

- Kiedy weszła do gabinetu, z miejsca wiedziałam, że nie wykryto Downa. Zapytałam, czy jest pewna, a ona odpowiedziała, że tak - radiolożka nawet zwróciła uwagę, że obraz jest wyjątkowo ostry. Kazałam Piper spojrzeć mi w oczy i przysiąc, że wszystko w porządku. Przyznała, że jeden z pomiarów minimalnie odbiega od normy: długość kości udowej na szóstym centylu. Uspokoiła mnie, mówiąc, że nie ma się czym martwić, bo jestem niska, a przy następnym badaniu ta sama kość może być już na pięćdziesiątym centylu.

- Czy zaniepokoiło panią, że obraz był tak ostry?

- Nie, dlaczego? - odparła Charlotte. - Piper się tym nie przejęła, a ja pomyślałam, że o to przecież chodzi w USG: o dobry, czysty obraz.

- Czy doktor Reece doradzała pani kolejne, bardziej szczegółowe badanie USG?

- Nie.

- Czy w trakcie ciąży miała pani jeszcze jakieś badania tą metodą?

- Tak, w dwudziestym siódmym tygodniu. To właściwie nie było badanie, raczej zabawa.

Chciałyśmy sprawdzić płeć dziecka.

Odwróciłam się w stronę ławy przysięgłych.

- Czy pamiętasz, co się wtedy stało, Charlotte?

- Pamiętam - przytaknęła cicho. - Nigdy tego nie zapomnę. Leżałam na kozetce, a Piper jeździła mi głowicą po brzuchu, patrząc na monitor komputera. Pytałam, kiedy mogę zerknąć, jednak ona milczała. Więc zaniepokoiłam się, czy może nie jest chora.

- I co odpowiedziała?

Charlotte odwróciła głowę, sięgając spojrzeniem oczu Piper siedzącej po drugiej stronie sali.



- Że jej nic nie jest, ale moja córka jest bardzo chora.

## Charlotte

- O czym ty mówisz? Co się dzieje? - Podniosłam się na łokciach, wbijając wzrok w ekran, próbując odcyfrować coś z obrazu, który tańczył z każdym moim ruchem.

Piper wskazała jakąś czarną kreskę, ale czarnych kresek było tam pod dostatkiem, a ta wyglądała dokładnie tak samo jak wszystkie inne.

- To są złamania, Charlotte. Kilka złamanych kości.

Potrząsnęłam głową. Jak to możliwe? Przecież nie przewróciłam się, nie upadłam.

- Zadzwoń do Gianni Del Sol. Ona prowadzi oddział perinatologii w szpitalu. Wyjaśni ci to bardziej szczegółowo...

- Co mi wyjaśni?! - zawołałam, porażona nagłą histerią.

Piper zdjęła głowicę z mojego brzucha; obraz na monitorze zniknął.

- Wydaje mi się, że to *osteogenesis imperfecta*, jeśli się nie mylę, to mamy do czynienia z wielką rzadkością. Na studiach tylko o tym czytałam, nigdy nie oglądałam u prawdziwej pacjentki - powiedziała. - Ta choroba zaburza budowę kolagenu, przez co kości stają się łamliwe.

- Ale dziecko - zapytałam - będzie zdrowe, prawda?

I w tym momencie najlepsza przyjaciółka powinna mnie przytulić i powiedzieć: „Jasne, że tak, nie bądź głupia”. Powinnam od niej usłyszeć, że za dziesięć lat, na twoich urodzinach, będziemy wspominać ten dzień i śmiać się do rozpuku. Piper nie powiedziała jednak nic takiego.

- Nie wiem - szepnęła. - Naprawdę nie wiem.

Zostawiwszy mój samochód pod jej gabinetem, pojechałyśmy do domu powiedzieć Seanowi. Przez całą drogę moja pamięć pracowała bez przerwy, próbując ustalić, gdzie i kiedy połamalam ci kości. W restauracji, schylając się po upuszczone masło? W pokoju Amelii, kiedy potknęłam się na poplątanych spodniach od pizamy? Na autostradzie, gdy musiałam ostro zahamować i pas bezpieczeństwa ucisnął mi brzuch?

Usiadłam przy stole w kuchni, a Piper przekazała Seanowi wszystko, co wiedziała i czego nie wiedziała. Od czasu do czasu czułam twoje ruchy, jak powolne piruety. Bałam się dotknąć brzucha, pogodzić się z twoim istnieniem. Przez siedem miesięcy byłyśmy nierozłączną jednością, ale teraz wydawałaś mi się obca. Czasami, badając sobie piersi pod prysznicem, zastanawiałam się, co bym zrobiła, gdyby znaleźli u mnie raka. Chemioterapia, naświetlanie czy operacja? I wreszcie decyzja zapadła: chciałabym wyciąć guz od razu. Nie mogłabym zasnąć,

wiedząc, że on rośnie gdzieś we mnie, pod skórą. A ty - jeszcze kilka godzin wcześniej bezcenna - nagle stałaś się taka jak ten guz: nieznana, irytująca, inna.

Po wyjściu Piper Sean rzucił się do boju.

- Znajdziemy najlepszych lekarzy - ogłosił uroczyście. - Zrobimy wszystko, co trzeba.

Ale ja pomyślałam tylko: a jeśli nic nie da się zrobić?

Patrzyłam na jego gorączkowy zapał; sama czułam się tak, jakbym płynęła w gęstym, kleistym syropie. Ledwie mogłam się poruszyć, a co dopiero mówić o inicjatywie. Dzięki tobie tak bardzo zbliżyliśmy się do siebie - teraz pokazałaś, jak na dłoni, całą naszą odmienność.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Leżałam ze wzrokiem wbitym w sufit, aż czerwony poblask z wyświetlacza w budziku ogarnął wszystko jak pożar. Liczyłam dni, wstecz, do chwili twojego poczęcia. Kiedy Sean cicho wstał z łóżka, udałam, że śpię - wiedziałam, że idzie sprawdzić w Internecie, co to jest *osteogenesis imperfecta*. Mnie też przyszło to do głowy, ale nie miałam tyle odwagi co on. A może po prostu byłam mniej naiwna i w przeciwieństwie do mojego męża wiedziałam, że to, czego się dowiemy, może okazać się jeszcze gorsze niż to, co już nam powiedzieli.

W końcu jednak sen przyszedł. Śniło mi się, że odeszły mi wody i zaczęły się skurcze. Chciałam odwrócić się na drugi bok, żeby powiedzieć Seanowi, ale nie mogłam. Nie mogłam się poruszyć. Coś, nie wiem co, mówiło mi, że moje ręce, nogi, szczęka - to wszystko jest połamane na kawałeczki, tak że nie da się złożyć z powrotem. I miałam też inną pewność: że to, co nosiłam w sobie przez tyle miesięcy, rozpuściło się, wylało i wsiąka teraz w prześcieradło. Że to już nie jest żadne dziecko.

Następny dzień to był prawdziwy wir: najpierw USG II stopnia, gdzie nawet ja wyraźnie zobaczyłam wszystkie złamania, a potem spotkanie z Gianna Del Sol, która omówiła z nami wyniki badania. Zasypała nas terminami, które wtedy jeszcze zupełnie nic nam nie mówiły: typ II, typ III, zespolenie kości, makrocefalia. Dowiedzieliśmy się też od niej, że w tym szpitalu urodziło się już kiedyś - wiele lat wcześniej - dziecko chore na OI, które miało dziesięć złamań. Nie przeżyło godziny.

Gianna Del Sol odesłała nas do doktora Bowlesa, genetyka, który od razu przeszedł do rzeczy, bez żadnych: „Bardzo państwu współczuję”.

- Jest tak - zaczął. - W najlepszym wypadku dziecko przeżyje poród, lecz nawet jeśli się okaże, że ma typ III, to może wystąpić krwawienie śródczaszkowe na skutek urazu porodowego

lub zwiększonego obwodu czaszki. Państwa córka najprawdopodobniej wykształci ciężką skoliozę, będzie operowana w związku z licznymi złamaniami, konieczne mogą też być zabiegi stabilizacji wewnętrznej kręgosłupa albo zespolenia kręgów. Ukształtowanie klatki piersiowej uniemożliwi rozwój płuc, co może doprowadzić do nawracających infekcji dróg oddechowych, a nawet do śmierci.

Niesamowite. To był całkiem nowy zestaw objawów, innych niż te, które wymieniła doktor Del Sol.

- A poza tym, oczywiście, mówimy też o złamaniach idących w setki. Można się ponadto obawiać, że nigdy nie będzie mogła chodzić. Krótko mówiąc - podsumował genetyk - jej życie będzie nieustannym pasmem cierpienia, choć raczej nie potrwa zbyt długo.

Czułam, że Sean spiął się cały i za chwilę wyładuje swoją rozpacz i gniew na tym facecie, który rozmawiał z nami tak, jakby chodziło o wymianę oleju w samochodzie, a nie o ciebie, naszą córkę.

Doktor Bowles zerknął na zegarek.

- Mają państwo jakieś pytania?

- Tak - powiedziałam. - Dlaczego nikt nas nie uprzedził?

Myślałam o wszystkich badaniach krwi, o tamtym pierwszym USG. Jeśli moje dziecko miało być aż tak chore - cierpieć przez całe życie - to chyba ta patologia powinna dać znać o sobie wcześniej?

- No cóż - odparł lekarz - ani pan - zwrócił się do Seana - ani pańska żona nie macie genetycznych predyspozycji w kierunku OI, więc przed zapłodnieniem nikt nie będzie tego badał ani potem uczulał położnika, że musi uważać akurat na to. Ale prawdę mówiąc, należy się cieszyć, że to była przypadkowa mutacja.

Moje dziecko jest mutantem, pomyślałam. Trzy pary oczu. Czułki na głowie. Wi-taj-cie, Zie-mia-nie.

- Nie ma powodu do obaw, że przy następnym dziecku to się powtórzy - dodał doktor Bowles.

Sean zerwał się z krzesła, ale złapałam go za nadgarstek.

- Skąd mamy wiedzieć, czy nasze dziecko... - to słowo nie przeszło mi przez gardło, więc opuściłam wzrok, żeby się domyślił, o co chodzi - ...przy porodzie, czy będzie żyło dłużej?

- W tej chwili bardzo trudno to określić - powiedział. - Oczywiście, wykonamy serię

badań USG, ale czasami nawet dziecko z najgorszą prognozą potrafi przeżyć i vice versa. - Urwał z wahaniem. - Jest też inna opcja. Istnieje w tym kraju kilka placówek, gdzie można wykonać zabieg przerwania nawet tak zaawansowanej ciąży, jeśli istnieje zagrożenie dla matki albo płodu.

Na to odpowiedział Sean, a ja patrzyłam, jak przepycha pomiędzy zębami to niepożądane słowo.

- Nie chcemy aborcji.

Genetyk skinął głową.

- Jak się to robi? - zapytałam.

Sean spojrział na mnie przerażonym wzrokiem.

- Charlotte, nie wiesz, jak to robią? Widziałem zdjęcia...

- Są różne metody. - Doktor Bowles patrzył prosto na mnie. - Indukcja z wyłyzeczkowaniem to jedna z nich, ale można też wywołać akcję porodową po zatrzymaniu serca płodu.

- Płodu? - Sean wreszcie wybuchł. - To nie jest płód! To jest moja córka!

- Cóż, skoro usunięcie ciąży nie wchodzi w grę...

- Nie wchodzi w grę? Co pan pieprzy? W ogóle nie powinno być o tym mowy. - Sean chwycił mnie za ramię i poderwał z krzesła. - Myślisz, że matka Stephena Hawkinga musiała wysłuchiwać takich głupot?

Serce waliło mi jak młotem i nie mogłam złapać oddechu. Nie miałam pojęcia, dokąd Sean mnie zabiera i niespecjalnie mnie to obchodziło. Wiedziałam tylko, że ani chwili dłużej nie zniosę tego lekarza, który mówił o twoim istnieniu czy też nieistnieniu w taki sposób, jakby czytał publikację o Holocauście, inkwizycji czy konflikcie w Darfurze, pełną faktów tak straszliwych, tak drastycznych, że najlepiej je pominąć, przyznać, że tekst budzi grozę, ale nie wchodzić w makabryczne szczegóły.

Sean zaciągnął mnie na drugi koniec korytarza, do windy, która właśnie się zamykała.

- Przepraszam - wyjąkał, opierając się o ścianę. - Ja po prostu... Nie mogłem.

Nie byliśmy sami w tej windzie. Obok mnie, z prawej strony, stała kobieta na oko dziesięć lat ode mnie starsza. Dłonie trzymała na rączkach supernowoczesnego wózka inwalidzkiego, a na tym wózku siedział bezwładnie chłopiec, chudy i kościsty nastolatek. Głowę podtrzymywała mu szyna zamontowana w oparciu. Łokcie miał krzywe, wygięte na zewnątrz, więc ramiona odstawały od ciała; okulary tkwiące na grzbiecie nosa były przekrzywione. W

uchylonych ustach język przelewał się jak gęsta galareta.

- Aaaaa - zaśpiewał chłopiec. - Aaaaa!

Mama pogładziła go po policzku.

- Tak, tak, masz rację.

Ciekawe, pomyślałam, czy ona naprawdę go rozumie. Czy istnieje język krzywdy? Czy ci, którzy cierpią, mówią własnym, odrębnym dialektem?

Zapatrzyłam się na dłonie tej kobiety, na palce pieszczące głowę syna. Czy umiał rozpoznać dotknięcia matki? Czy uśmiechał się do niej? Czy kiedykolwiek powiedział do niej „mamo”?

A ty? Jak byłoby z tobą?

Sean odnalazł moją rękę i ścisnął ją mocno.

- Damy radę - wyszeptał. - Razem damy radę.

Milczałam, dopóki winda nie stanęła na drugim piętrze, gdzie nieznajoma kobieta wysiadła, pchając przed sobą wózek. Drzwi zsunęły się z powrotem, odcięły nas, zamknęły w próżni.

- Dobrze - powiedziałam.

- Opowiedz nam, jak Willow przyszła na świat - poprosiła Marin, ściągając mnie na ziemię, do tutaj i do teraz.

- Była wcześniakiem. Doktor Del Sol zapisała mnie na cesarskie cięcie, jednak zupełnie nagle zaczęłam rodzić i wszystko stało się bardzo szybko. Po urodzeniu strasznie krzyczała. Zabrali ją na prześwietlenie i różne badania. Wróciła po wielu godzinach, w pojemniku wyłożonym gąbką, z nóżkami i rączkami w bandażach. Miała siedem gojących się złamań i cztery nowe, po porodzie.

- Czy w szpitalu zdarzyło się coś jeszcze?

- Tak. Pękło jej żebro i przebiło płuco. To było... Nigdy w życiu nie widziałam niczego straszniejszego. Willow posiniała, a dookoła nagle zaroilo się od lekarzy. Zaczęli ją reanimować i wbili igłę pomiędzy żebra. Powiedzieli mi, że jej klatka piersiowa wypełniła się powietrzem, które przesunęło serce i tchawicę na drugą stronę ciała. Potem serce przestało bić. Lekarze zaczęli robić masaż serca - łamiąc kolejne żebra - i założyli dren, aby organy mogły powrócić na właściwe miejsce. Pocięli ją - dodała. - Na moich oczach.

- Czy rozmawiałaś później z oskarżoną? - zapytała Marin.

Skinęłam głowę.

- Inny lekarz powiedział mi, że Willow przez jakiś czas była niedotleniona i nie wiadomo, czy nie nastąpiło uszkodzenie mózgu. Zaproponował mi podpisanie zakazu reanimacji.

- Co to oznacza?

- Gdyby znów zdarzyło się coś podobnego, lekarze mieli nie interweniować. Pozwoliliby Willow umrzeć. - Spuściłam głowę. - Poprosiłam Piper o radę.

- Bo była twoim lekarzem?

- Nie - odpowiedziałam. - Bo była moją przyjaciółką.

## Piper

Zawiodłam.

Tak właśnie myślałam, patrząc na ciebie, poturbowaną, złożoną w wyścielonym gąbką pojemniku, z drenem wystającym spod piątego żebra po lewej stronie klatki piersiowej. Moja najlepsza przyjaciółka poprosiła mnie, żebym pomogła jej zająć w ciążę, i oto są skutki. Padło już najboleśniej pytanie: czy jest dla ciebie miejsce na tym świecie, i wyglądało na to, że właśnie odpowiedziałas mamie na swój własny sposób. Nie mówiąc ani słowa, podeszłam do Charlotte, która stała nad tobą, pilnując cię nawet podczas snu, jakby się bała, że jeśli odwróci wzrok choćby na moment, znów rozdzwonią się wszystkie alarmy.

Widziałam twoją kartę. Złamane żebro doprowadziło do narastającej odmy prężnej, która z kolei spowodowała przemieszczenie śródpiersia i zatrzymanie krążenia. Po interwencji lekarskiej zostało ci dziewięć nowych złamań. Drenaż założono do jamy opłucnej i przszyto do skóry. Widok przypominał pole bitwy; twoje toczony chorobą ciało zmieniło się w teatr działań wojennych.

Nie mówiąc ani słowa, podeszłam do Charlotte.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam, biorąc ją za rękę.

- Mną się nie przejmuj - odpowiedziała. Oczy miała podkrążone, szpitalna koszula wisiała krzywo na jej ramionach. - Zapytali nas, czy chcemy podpisać zakaz reanimacji.

- Kto was o to pytał? - Nie wierzyłam własnym uszom.

Nigdy w życiu nie spotkałam się z podobną głupotą. Nawet w przypadku Terri Schiavo nie podpisano zakazu reanimacji, dopóki badania nie wykazały ciężkiego, nieodwracalnego uszkodzenia mózgu. Mało który lekarz pediatra odważyłby się nie podjąć interwencji, nawet w przypadku głębokiego wcześniaka zagrożonego śmiercią albo dożywotnim kalectwem; zaproponować podpisanie zakazu reanimacji noworodka, który kilka godzin wcześniej postawił całą zmianę na nogi - to niemożliwe, wręcz nie do pomyślenia.

- Doktor Rhodes... - odpowiedziała Charlotte.

- Doktor Rhodes to stażysta - powiedziałam, bo to wszystko wyjaśniało.

Rhodes był kompletnie zielony, skąd miał wiedzieć, jak rozmawia się z matką, która umiera ze strachu o swoje dziecko? Nie powinien nawet wspominać Charlotte i Seanowi o zakazie reanimacji, zwłaszcza że Willow nie przeszła jeszcze badań w kierunku uszkodzenia



mózgu. Najlepiej by było, gdyby przy okazji sam zbadał sobie głowę.

- Rozcięli ją na moich oczach. A kiedy próbowali przywrócić akcję serca, słyszałam, jak pękają jej żebra... - Udręczona twarz Charlotte zrobiła się biała jak kreda. - Podpisałabyś? - wyszeptała.

To samo pytanie zadała mi jeszcze przed twoim urodzeniem, chociaż wtedy brzmiało ono inaczej. Było to nazajutrz po tamtym drugim USG, w dwudziestym siódmym miesiącu jej ciąży. Wracała właśnie ze szpitala, do którego wysłałam ją na wizytę u Gianni Del Sol na oddziale patologii ciąży. Byłam dobrym położnikiem, ale znając granice swoich umiejętności, wiedziałam, że nie jestem w stanie zadbać o Charlotte tak, jak sytuacja tego wymagała. Niestety, w szpitalu rozmawiał z nią też jakiś głupi genetyk, który ze swoim podejściem do pacjenta powinien zajmować się nim dopiero w prosektorium, więc teraz musiałam ratować, co się da.

- Nie chcę, żeby ona cierpiała - szlochała Charlotte, siedząc na mojej kanapie.

A ja nie wiedziałam, jak mam obejść temat późnej aborcji. Każdej kobiecie, nawet gdyby nie była katoliczką jak Charlotte trudno byłoby to zaakceptować, a decyzja nigdy nie zapadała łatwo. Indukcję z wyłyżeczkowaniem wykonuje dosłownie garstka ginekologów w kraju, doskonałych fachowców specjalizujących się w usuwaniu ciąży w warunkach poważnego zagrożenia zdrowia matki albo płodu. Gdy sytuacja spełniała określone kryteria, których nie dało się potwierdzić przed dwunastym tygodniem ciąży, będącym granicą dopuszczalnej aborcji, lekarze ci służyli pomocą kobiecie, o ile dziecko nie miało żadnych szans na przeżycie po urodzeniu. Można by długo dyskutować nad tym, że podobne doświadczenie, niezależnie od tego, którą opcję wybierze matka, i tak na zawsze pozostawi na niej swoje piętno, ale jak słusznie zauważyła Charlotte, w takiej sytuacji nie ma mowy o happy endzie.

- A ja nie chcę, żebyś ty cierpiała - odpowiedziałam. - Sean nie zgadza się na zabieg.

- To nie on jest w ciąży.

Charlotte odwróciła twarz.

- Jak mam polecieć na drugi koniec kraju z dzieckiem pod sercem, wiedząc, że wrócę bez niego?

- Jeśli chcesz, polecę z tobą.

- Nie wiem - zatkała. - Nie wiem, czego chcę. - Spojrzała mi w oczy. - Co ty byś zrobiła?

Dwa miesiące później stałyśmy razem nad twoim łóżeczkiem. Sala na oddziale intensywnej terapii noworodka, pełna najprzeróżniejszej aparatury podtrzymującej życie

maleńkich pacjentów, była zalana intensywnie błękitnym światłem; miało się wrażenie, że wszyscy pływają pod wodą.

- Podpisałaś? - powtórzyła Charlotte, kiedy za pierwszym razem nie odpowiedziałam.

Można by długo dyskutować nad tym, że usunięcie ciąży to mniejsza tragedia niż podpisanie zakazu reanimacji dziecka, które przyszło już na świat. Gdyby Charlotte zdecydowała się na to pierwsze, nawet w dwudziestym siódmym tygodniu, to poniosłaby straszliwą stratę, lecz jednocześnie byłaby to strata czysto teoretyczna - bo nie mogłaby cię zobaczyć, poznać. A teraz znów została zmuszona do decydowania o twoim życiu - ale tym razem widziała na własne oczy twój ból, twoje cierpienie.

Wiele razy pytała mnie o radę. Najpierw - jak zająć w ciążę, potem - czy zdecydować się na aborcję w trzecim trymestrze. A teraz postawiła mi kolejne pytanie: o zakaz reanimacji.

Co ja bym zrobiła?

Cofnęłabym się do chwili, kiedy poprosiła mnie o pomoc i skierowałabym ją do innego lekarza.

Wróciłabym do czasów, kiedy śmiałyśmy się razem, zamiast razem płakać.

Do czasów, kiedy jeszcze pomiędzy nami nie było ciebie.

Zrobiłabym wszystko, żebyś nie musiała się bać, że cały świat wali się w gruzy.

Kiedy chronisz ukochaną osobę przed cierpieniem - zarówno gdy już cierpi, jak i kiedy dopiero ma cierpieć - to jak to nazwać: morderstwem czy miłosierdziem?

- Tak - szepnęłam. - Podpisałabym.

## Marin

- Bez przerwy czegoś musieliśmy się uczyć - opowiadała Charlotte. - Jak trzymać Willow i jak zmieniać jej pieluchę, żeby czegoś nie złamać, bo czasami wystarczyło wziąć ją na ręce, by usłyszeć cichutki trzask, który oznaczał, że pękła jakaś kość. Musieliśmy znaleźć producentów specjalnych nosidełek i łóżeczek do samochodu, bo pasy bezpieczeństwa mogły połamać obojczyki. Nauczyliśmy się, kiedy trzeba jechać do szpitala, a kiedy możemy sami unieruchomić złamaną rękę czy nogę. W garażu mamy zapas wodoodpornych szyn gipsowych. Latamy do Nebraski, bo tam są ortopedzi specjalizujący się w leczeniu urazów związanych z OI. Willow regularnie przyjmuje także preparat o nazwie pamidronian w Children's Hospital w Bostonie.

- Czy masz czas - z braku lepszego słowa - na odpoczynek?

Charlotte uśmiechnęła się lekko.

- Prawdę mówiąc, nie. Nigdy nic nie planujemy. To bez sensu, skoro nie wiadomo, co będzie. Zawsze może się zdarzyć jakiś nowy uraz i trzeba się nauczyć, jak sobie z nim poradzić. Złamane żebro, na przykład, to co innego niż pęknięty kręgosłup. - Urwała, nie wiedząc, czy mówić dalej. - Willow złamała kręgosłup w zeszłym roku.

Któryś z przysięgłych głośno westchnął; słysząc to, Guy Booker przewrócił oczami, ale ja byłam w siódmym niebie.

- Możesz wyjaśnić sądowi, skąd bierzecie pieniądze na to wszystko?

- Pieniądze to wielki problem - przyznała Charlotte. - Miałam pracę, ale po urodzeniu Willow musiałam ją rzucić. Nawet kiedy córka jest w przedszkolu, ja muszę być pod parą, żeby natychmiast przyjechać, gdyby coś sobie złamała, a kiedy jest się szefem cukierni w restauracji, nie ma o tym mowy. Szukaliśmy zaufanej pielęgniarki, która mogłaby się nią zająć, ale koszty takiej usługi były wyższe od mojej pensji, zresztą czasem agencja potrafiła przysłać kobietę, która nie miała zielonego pojęcia o tej chorobie albo na przykład nie знаła angielskiego i nie potrafiła zrozumieć, kiedy jej wyjaśniałam, jak trzeba opiekować się Willow. Musiałam być jej obrońcą i mieć ją cały czas na oku. - Wzruszyła ramionami. - Nasze dzieci nie dostają dużych prezentów na święta ani na urodziny. Nie mają funduszy na studia, a my nie mamy indywidualnych kont emerytalnych. Nie jeździmy na wakacje. Wszystko idzie na to, czego nie pokrywa ubezpieczenie.

- Czyli?

- Willow dostaje pamidronian w ramach badań klinicznych, więc jest on darmowy, ale po przekroczeniu pewnego wieku nie będzie już mogła brać udziału w tym programie, a każdy wlew kosztuje ponad tysiąc dolarów. Koszt jednego aparatu ortopedycznego to pięć tysięcy, zespolenia kości - sto tysięcy. Zespolenie kręgow, które będzie musiała przejść jako nastolatka, może być nawet kilkakrotnie droższe, a trzeba jeszcze doliczyć przelot do Omaha, bo tam to się robi. Nawet jeśli ubezpieczyciel zwróci nam część tych kosztów, resztę musimy pokryć sami. Do tego dochodzi jeszcze mnóstwo drobnych wydatków: konserwacja wózka inwalidzkiego, wyściółki do gipsów, woreczki z lodem, ubrania, w których zmieści się gips, poduszki, aby Willow można było wygodnie usadzić albo ułożyć, rampy, które musieliśmy dobudować, żeby mogła wjeżdżać do domu na wózku. Z wiekiem będzie potrzebowała jeszcze więcej sprzętu: chwytaków, lusterek i innych przyrządów adaptacyjnych dla osób o niskim wzroście. Sama instalacja specjalnych pedałów w samochodzie, które da się łatwiej naciskać, nie powodując mikrozłamań kości stopy, kosztuje kilkadziesiąt tysięcy dolarów, a Fundusz Rehabilitacji Zawodowej opłaca tylko jeden pojazd i na tym koniec - dalej martw się sam. Do końca życia. Willow może iść na studia, ale nawet to będzie droższe niż zwykle, bo trzeba doliczyć koszty adaptacji w nowym miejscu, a w dodatku uczelnie z najlepszymi warunkami dla osób takich jak ona znajdują się daleko stąd, co oznacza droższe podróże. Zlikwidowaliśmy emerytalne konto oszczędnościowe mojego męża i zaciągnęliśmy drugi kredyt hipoteczny. Przekroczyłam już limity na dwóch kartach kredytowych.

- Charlotte powiodła wzrokiem po ławnikach. - Wiem, co państwo o mnie myślicie. Wiem, że dla wszystkich jestem manipulantką, która przyszła do sądu po wielką wypłatę.

Zamarłam, nie wiedząc, do czego zmierza; to nie było ustalone.

- Charlotte, czy kiedyś... - próbowałam jej przerwać.

- Nie, proszę - powiedziała - daj mi dokończyć. To wszystko naprawdę bardzo dużo mnie kosztuje. I nie mówię teraz o pieniądzach. - Przełknęła łzy. - Nie sypiam po nocach. Mam wyrzuty sumienia, kiedy rozśmieszysz mnie żart w telewizji. Patrzą, jak dziewczynki w wieku Willow bawią się w parku i czasami szczerze ich nienawidzę - do tego stopnia potrafię być zazdrosna, że z taką łatwością przychodzi im to, o czym moja córka nie może nawet marzyć. Ale tego dnia, gdy podpisałam w szpitalu zakaz reanimacji, złożyłam jej pewną obietnicę. Powiedziałam tak: „Jeśli ty się nie poddasz, ja też będę walczyć. Jeśli przeżyjesz, zrobię wszystko, żebyś miała jak najlepsze życie”. To właśnie znaczy być dobrą matką, prawda? - Charlotte potrząsnęła głową. - Zazwyczaj jest tak, że rodzice opiekują się dzieckiem, a po latach

role się odwracają. Z nami jest inaczej: to ja będę zawsze opiekować się Willow, nie na odwrót. I dlatego właśnie dziś tutaj jestem, a państwo mi powiedzcie: kto zatroszczy się o moją córkę, kiedy mnie zabraknie?

Zapadła głęboka, niezmacona cisza.

- Wysoki sędzie - powiedziałam - nie mam więcej pytań.

## Sean

Morze było niczym potwór, czarny i wściekły. Przerażało i fascynowało jednocześnie; prosiłaś, żeby cię podsadzić, bo chciałaś widzieć grzywacze bijące o mur falochronu, ale za każdym razem dygotałaś mi na rękach.

Wziąłem tego dnia wolne, bo Guy Booker powiedział, że na pierwszą rozprawę musi stawić się komplet świadków. Okazało się jednak, że nie mogę wejść do sali, dopóki nie złożę zeznań. Spędziłem w sądzie wszystkiego dziesięć minut - wyszedłem od razu, kiedy tylko prowadzący rozprawę powiedział, że mam iść.

Charlotte myślała rano, że zmienię strony i stawię się w sądzie, żeby poprzeć jej skargę. Po takiej nocy faktycznie można było tego oczekiwać. W łóżku byłem na przemian gwałtowny, rozjuszony i czuły - tak do upadłego odgrywaliśmy przed sobą swoje uczucia. Widziałem, jak ją zmartwiło, gdy powiedziałem, że jadę na spotkanie z Bookerem, jednak to ona powinna chyba rozumieć najlepiej, dlaczego w tym procesie musiałem zeznawać przeciwko niej: człowiek nie cofnie się przed niczym, kiedy musi bronić swojego dziecka.

Po wyjściu z sądu wróciłem do domu i zwolniłem wynajętą pielęgniarkę. Amelia kończyła lekcje dopiero o trzeciej. Zapytałem, co chcesz robić.

- Nic nie mogę robić - odpowiedziałaś. - Spójrz na mnie tylko.

Miałaś rację: cała noga unieruchomiona. A jednak byłem pewien, że znajdzie się sposób, żeby poprawić ci nastrój. Zaniósłem cię do samochodu, owinąłem kocami i usadziłem bokiem na tylnym siedzeniu, tak że sztywna noga leżała wzdłuż kanapy. W ten sposób mogłaś nawet zapiąć pas, a widząc, że jedziemy nad ocean, ożywiłaś się i z każdym kilometrem było coraz lepiej.

Jak to we wrześniu, plaża była zupełnie pusta, więc zaparkowałem sobie wygodnie, bokiem do falochronu, w miejscu, skąd roztaczał się piękny, rozległy widok. Kabina furgonetki była akurat na tyle wysoko, żebyś mogła zobaczyć, jak fale podkradają się do brzegu, a po chwili umykają chyłkiem, jak wielkie, szare koty.

- Tatusiu - zapytałaś - dlaczego po oceanie nie można jeździć na łyżwach?

- Za kołem polarnym pewnie można, ale w innych częściach świata woda jest za słona, żeby zamarznąć.

- Ale gdyby zamarzła, to byłoby pięknie, jakby zostały na niej fale, prawda? Jak wielkie rzeźby z lodu?

- Byłoby - przytaknąłem, odwracając głowę, żeby zerknąć na ciebie zza zagłówek. - Jak się czujesz, Wills?

- Noga mnie nie boli.

- Nie pytam o nogę, tylko o to, co się dzisiaj dzieje.

- Rano było strasznie dużo kamer.

- Było.

- Od kamer boli mnie brzuch.

Przełożyłem dłoń pomiędzy siedzeniami i wziąłem cię za rękę.

- Wiesz, że nie pozwolę dziennikarzom cię dręczyć.

- Mama powinna coś dla nich upiec. Ciasto czekoladowe albo takie z toffi. Jakby im smakowało, to może by grzecznie podziękowali i sobie poszli.

- A gdyby tak przyprawić ciasto arsenikiem... - zamyśliłem się.

- Co?

- Nic. - Potrząsnąłem głową. - Mama też cię kocha. Wiesz o tym, prawda?

W tym momencie Atlantyk ruszył do burzliwego crescendo.

- Wydaje mi się, że są dwa różne oceany: ten w lecie jest łagodny i tylko by się bawił, a ten w zimie jest wściekły i szaleje - odpowiedziałas. - A kiedy widzi się jeden, trudno sobie przypomnieć, jaki jest ten drugi.

Już chciałem coś powiedzieć, myśląc, że mnie nie dosłyszałaś, ale w ostatniej chwili zrozumiałem, co to miało znaczyć.

## Charlotte

Guy Booker to był dokładnie ten typ faceta, którego obśmiałybyśmy z Piper bezlitośnie, gdyby miał to nieszczęście napatoczyć się na nas Pod Paskiem: adwokat zadzierający nosa tak wysoko, że musi mieć nawet specjalną tablicę rejestracyjną z napisem mocarz - oczywiście na zderzaku forda thunderbirda.

- Tak naprawdę chodzi o pieniądze, prawda? - zapytał mnie na początek.

- Nie. Ale dzięki nim moja córka będzie miała dobrą opiekę. Bo teraz ma zdecydowanie kiepską.

- Koszt usług medycznych dla Willow pokrywa program ubezpieczeniowy Healthy Kids Gold, finansowany z funduszu imienia Katie Beckett, prawda?

- Owszem, ale oni nie zwracają wszystkich kosztów leczenia, a poza tym bieżące wydatki i tak zawsze trzeba pokrywać z własnej kieszeni. Na przykład, dziecko w gipsie typu „żabka” potrzebuje specjalnego fotelika do samochodu. Problemy z uzębieniem, które w przypadku OI ma się jak w banku, to wydatek rzędu tysięcy dolarów rocznie.

- A gdyby pani córka była utalentowaną pianistką, to czy zażądałaby pani od sądu pieniędzy na fortepian? - zapytał.

Marin ostrzegła, że będzie próbował mnie rozdrażnić, żebym straciła sympatię łąwników. Odetchnęłam głęboko, licząc w myślach do pięciu.

- Nieadekwatne porównanie, panie Booker - odparłam. - Nie mówimy o kształceniu muzyków, tylko o życiu mojej córki.

Booker zbliżył się do przysięgłych. Tak się do nich ślinił, że aż mnie korciło, żeby wyrzeć zza barierki i sprawdzić, czy na podłodze nie ma śladów.

- Mąż nie podziela pani stanowiska w kwestii wniesionej przez panią skargi, prawda, pani O'Keefe?

- Tak, to prawda.

- Czy zgodzi się pani, że złożony przez niego wniosek rozwodowy jest konsekwencją tejże różnicy zdań?

- Tak - odpowiedziałam cicho.

- Pani mąż nie uważa, że Willow urodziła się „niedobrze”?

- Sprzeciw! - zawołała Marin. - Nie można pytać świadka o opinię jej męża.



- Podtrzymuję.

Booker skrzyżował ramiona na piersi.

- Pani jednak mimo wszystko ciągnie dalej ten proces, chociaż najprawdopodobniej doprowadzi to do rozbicia rodziny. Czy tak jest, pani O'Keefe?

Przed oczami stanął mi Sean w garniturze i krawacie. Przypomniałam sobie, jak rano wydawało mi się, że pojedziemy do sądu razem, nie jako przeciwnicy, i na króciutką chwilę dodało mi to skrzydeł.

- Nadal uważam, że postępuję słusznie - odpowiedziałam.

- Czy rozmawiała pani na temat procesu z Willow? - zapytał Booker.

- Tak. Willow wie, że robię to, ponieważ ją kocham.

- Uważa pani, że potrafi to zrozumieć?

Zawahałam się.

- Ma dopiero sześć lat. Sądzę, że techniczne szczegóły rozprawy sądowej są dla niej raczej nie do pojęcia.

- A kiedy będzie starsza? - pytał dalej adwokat. - Założę się, że z komputerem radzi sobie bez problemu.

- Oczywiście.

- Czy zastanawiała się pani kiedyś, co będzie za kilka lat, kiedy Willow wpisze w wyszukiwarce swoje nazwisko? Albo pani nazwisko? Kiedy znajdzie opis tej sprawy?

- Cóż, Bóg widzi, że nie spieszę mi się do tego, ale mam nadzieję, że uda mi się wtedy jej wyjaśnić, dlaczego musiałam tak postąpić... I że to, w jakich warunkach żyje, zawdzięcza właśnie temu procesowi.

- Bóg widzi - powtórzył Booker. - Ciekawy dobór słów. Jest pani praktykującą katoliczką, zgadza się?

- Tak.

- W takim razie wie pani, że aborcja to grzech śmiertelny?

Przełknęłam ślinę.

- Tak, wiem o tym.

- A mimo to podstawowe założenie pani skargi brzmi następująco: gdybym wiedziała wcześniej o chorobie Willow, usunęłabym ciążę. Czy to prawda?

Czułam na sobie wzrok wszystkich ławników. Wiedziałam, że nadejdzie taka chwila,

kiedy wystawi się mnie na pokaz, jak dziwoląga, jak zwierzę w zoo - i właśnie ta chwila nadeszła.

- Wiem, do czego pan pije - powiedziałam ściśniętym głosem - ale to jest proces o błąd w sztuce lekarskiej, nie o aborcję.

- To nie jest odpowiedź, pani O'Keefe. Spróbujmy jeszcze raz: gdyby dowiedziała się pani, że urodzi dziecko dotknięte całkowitą głuchotą i ślepotą, to czy usunęłaby pani ciążę?

- Sprzeciw! - zawołała Marin. - Brak związku. Córka mojej klientki nie jest niesłysząca ani niewidoma.

- Próbuje w ten sposób ustalić, czy matka byłaby zdolna zrobić to, co sama deklaruje - wyjaśnił Booker.

- Proszę o pozwolenie podejścia - powiedziała Marin i oboje stanęli przed sędzią, wyklócając się głośno przy wszystkich. - Wysoki sędzie, to pytanie jest szkodliwe dla mojej klientki. obrońca może ją zapytać o decyzję odnośnie do konkretnych faktów natury medycznej, których oskarżona jej nie przekazała...

- Nie mów mi, jak mam prowadzić moją sprawę, kochana - przerwał jej adwokat.

- Ty arogancka świni...

- Dopuszczę to pytanie - oświadczył sędzia powoli. - Wydaje mi się, że wszyscy powinniśmy usłyszeć, co pani O'Keefe ma do powiedzenia.

Przechodząc obok stanowiska dla świadka, Marin posłała mi wyważone spojrzenie, przypominając: stanęłaś na macie - masz się wywiązać.

- Pani O'Keefe - powtórzył Booker - czy usunęłaby pani ciążę, gdyby dziecko miało się urodzić całkowicie głuche i ślepe?

- Nie... nie wiem - odrzekłam.

- A czy wie pani, że Hellen Keller była zupełnie niewidoma i niesłysząca? - zapytał. - A gdyby dowiedziała się pani, że urodzi dziecko bez ręki? Czy wtedy przerwałaby pani ciążę?

Zacisnęłam wargi, nie mówiąc ani słowa.

- Słyszała pani o Jimie Abbotcie, jednorękim miotaczu baseballowym, który w pierwszoligowym meczu pokonał wszystkich pałkarzy przeciwnej drużyny, nie dając im odbić ani razu, a w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku zdobył olimpijskie złoto?

- Nie jestem matką Jima Abbotta. Ani Helen Keller. Nie widziałam, jak trudne było ich dzieciństwo.

- W takim razie wracamy do początkowego pytania: gdyby w osiemnastym tygodniu ciąży wiedziała pani o chorobie Willow, czy zdecydowałaby się pani na aborcję?

- Nie dano mi takiego wyboru - wykrztusiłam.

- Wręcz przeciwnie - odparował Booker. - Mogła to pani zrobić w dwudziestym siódmym tygodniu. I sama pani zeznała, że nie mogła wtedy podjąć takiej decyzji. Dlaczego więc ława przysięgłych ma uwierzyć, że kilka tygodni wcześniej nie byłoby z tym problemu?

Błąd w sztuce. To właśnie Marin wbijała mi do głowy. „Złożyłaś skargę o błąd w sztuce lekarskiej. Niech Booker mówi, co chce: tutaj chodzi o standard usługi medycznej i o wybór, którego ci nie dano”.

Zaczęłam dygotać tak mocno, że musiałam wsunąć dłonie pod uda.

- W tej sprawie nie chodzi o to, co bym zrobiła - zaczęłam.

- Ależ właśnie tak - odparł adwokat. - W przeciwnym razie szkoda tracić czas.

- Nie, proszę pana. Tutaj chodzi o to, czego mój lekarz nie zrobił...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani O'Keefe...

- ...a konkretnie - mówiłam dalej - o to, że doktor Reece nie dała mi wyboru: przerwać ciążę czy ją utrzymać. Powinna się zorientować, że coś jest nie tak już po tym pierwszym USG, powinna...

- Pani O'Keefe - krzyknął adwokat - proszę odpowiedzieć na pytanie!

Skuliłam się na krześle, przycisnęłam palce do skroni.

- Nie mogę - wyszeptałam, wbijając wzrok w rysunek słoików drewna na poręczy barierki tuż przede mną. - Nie mogę dziś odpowiedzieć na to pytanie, bo dziś na świecie jest już Willow. Dziewczynka, która nie lubi zwykłych warkoczy, tylko dużo cieniutkich warkoczyków, która w piątek złamała sobie kość udową i która zasypia z pluszową świnką. Od sześciu i pół roku nie śpię po nocach, myśląc, czy uda jej się przeżyć kolejny dzień bez wypadku, i układając plany awaryjne: jak przetrwać od jednej katastrofy do drugiej, od drugiej do trzeciej i tak dalej. - Uniosłam głowę, spoglądając na Guya Bookera. - W osiemnastym, w dwudziestym siódmym tygodniu ciąży nie znałam Willow tak, jak znam ją teraz, więc nie mogę teraz odpowiedzieć na pańskie pytanie. Ale prawda jest taka, że to pytanie nie padło także wtedy. Nie dano mi szansy na nie odpowiedzieć.

- Pani O'Keefe - odezwał się adwokat beznamiętnym głosem - zapytam panią po raz ostatni. Czy usunęłaby pani tę ciążę?

Otworzyłam usta i zamknęłam je z powrotem.

- Nie mam więcej pytań - oznajmił Booker.

## Amelia

Tego dnia przy kolacji siedzieliśmy tylko ja i rodzice. Ty zostałam na kanapie w dużym pokoju, żebyś mogła trzymać wysoko unieruchomioną nogę. Miałaś jedzenie na tacy i włączony telewizor. Do stołu w kuchni dolatywał co jakiś czas dzwonek sygnalizujący złą odpowiedź, a po nim głos prowadzącego teleturniej: „Och, tak mi przykro”. Jakby naprawdę go to obchodziło.

Po jednej stronie miałam mamę, a po drugiej tatę - byłam jak łącze pomiędzy dwoma oddzielnymi obwodami. „Amelia, podaj mamie fasolkę”. „Amelia, nalej tacie lemoniady”. Sami się do siebie nie odzywali i nic nie jedli; zresztą ja też tylko podskubywałam tę kolację.

- A wiecie co? - rzuciłam nagle pogodnym głosem. - Dziś na francuskim Jeff Congrew zamówił pizzę prosto do klasy, a nauczycielka w ogóle nic nie zauważyła.

- Opowiesz mi, co się dzisiaj działo? - zapytał w końcu tata.

Mama opuściła wzrok.

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać, Sean. Już i tak ledwo przeżyłam ten dzień.

Zapadła cisza, jak ciężki koc, gruby i tak wielki, że przykrył chyba cały stół.

- I przyjechał gościu z Domino's Pizza... - opowiadałam dalej.

Tata ukroił dwa równiutkie kawałki swojego kurczaka.

- No cóż, skoro nie chcesz mi nic powiedzieć, to przeczytam sobie o tym jutro w gazecie.

O! A może coś już będzie w wiadomościach o jedenastej... ?

Mama rzuciła widelec na talerz.

- Uważasz, że to dla mnie takie łatwe?

- Dla nikogo z nas to nie jest łatwe.

- Jak mogłeś? - wybuchnęła nagle. - Jak mogłeś udawać, że pomiędzy nami jest lepiej, a potem... potem to?

- Wiesz, czym się różnimy, Charlotte? Ja nigdy nie udaję.

- Była z pepperoni - oznajmiłam.

Spojrzeli na mnie oboje.

- Co? - zapytał tata.

- Nieważne - mruknęłam, dodając w myślach: tak jak ja.

- Mam, skończyłam! - zawołałam z pokoju.

Ja też już skończyłam. Wstałam od stołu i wyrzuciłam do śmieci wszystko, co było na

talerzu - czyli nietkniętą kolację.

- Amelia, nie zapomniałaś o czymś? - zapytała mama.

Popatrzyłam na nią tępo. O wielu rzeczach zapomniałam, bo o mnie też zapomnieli.

- Dziękuję... - odpowiedziała.

- Niech Willow ci podziękuje - zakpiłam.

Obejrzałaś się na mnie, kiedy mijałam twoją kanapę.

- Mama mnie słyszała?

- Chyba śnisz - prychnęłam, wbiegając na schody.

Co ze mną jest nie tak? Miałam przyzwoite życie. Zdrowie na medal. Nie przymierałam głodem, nie urwało mi ręki ani nogi na wojnie, nie byłam sierotą. Jednak mimo wszystko czegoś mi brakowało. Nosiałam w sobie wielką dziurę, przez którą przelatywało wszystko, co było pewne w moim życiu.

Poczułam się tak, jakbym nałykała się drożdży; całe zło, które w sobie nosiałam, zaczęło rosnać, pęcznieć. Poleciałam do łazienki i próbowałam wymiotować, bez skutku, bo za mało zjadłam na kolację. Chciałam biec, biec bosą, aż stopy zaczną krwawić; chciałam krzyczeć, tylko że milczałam już tak długo, że zapomniałam, jak to się robi.

Chciałam się pociąć.

Ale nie.

Przysięgałam.

Wzięłam telefon z ładowarki na nocnym stoliku u mamy i schowałam się z nią w łazience, wiedząc, że w każdej chwili możesz przykuśtykać na górę, żeby położyć się spać. Zapisałam w pamięci domowy numer Adama. Mieliśmy kilkudniową przerwę w kontakcie, bo złamał nogę i musiał iść na operację - przysłał mi wiadomość ze szpitala - lecz mimo to żywiłam się nadzieją, że wrócił już do domu. Był mi bardzo potrzebny.

Dał mi też swój numer na komórkę; byłam z całą pewnością jedyną trzynastolatką, która nie miała własnej, ale nie stać nas było na to. Kiedy po dwóch sygnałach w słuchawce zabrzmiał jego głos, omal nie wybuchnęłam płaczem.

- Hej - przywitał się Adam. - Właśnie miałem do ciebie przekreślić.

Oto był dowód, że kogoś obchodziłam. Jakby odciągnął mnie znad przepaści.

- Góra z górą się nie dzwoni - powiedziałam.

- Właśnie - przytaknął, lecz głos miał matowy i zamyślony.

Próbowałam przypomnieć sobie smak jego pocałunku. To było straszne: musiałam udawać przed samą sobą, że wiem, pamiętam, a w rzeczywistości to wspomnienie dawno już wyblakło, jak pączek róży, który chowa się w słowniku, pod „Q”, z nadzieją że w ten sposób blask lata powróci na każde zawołanie, a tu nic z tego - w grudniu spomiędzy kartek wypadają już tylko zeschnięte brązowe płatki. Czasem w nocy szeptałam do siebie, udając, że słyszę cichy, łagodny głos Adama: „Kocham cię, Amelia. Jesteś stworzona dla mnie”. A potem rozchylałam usta, tak tylko troszeczkę i wyobrażałam sobie, że on jest duchem, że czuję, jak spływa na mnie, na język, do gardła i dalej, do żołądka; jedyny posiłek, jakim mogłam się nasycić.

- Jak noga? - zapytałam.

- Boli jak cholera.

Przytuliłam się do słuchawki.

- Bardzo za tobą tęsknię. Mamy tu teraz straszny cyrk. Dziś była pierwsza rozprawa i rano mieliśmy przed domem tłum dziennikarzy. Moi rodzice są normalnie stuknięci...

- Amelia. - Zabrzmiało to tak, jakby ktoś zrzucił piłkę na ulicę z ostatniego piętra Empire State Building. - Chciałem do ciebie zadzwonić, bo... bo to nie ma sensu, tak na odległość...

Coś mnie zakłuło pomiędzy zębami.

- Nie.

- Co nie?

- Nie mów tego - szepnęłam.

- Bo wiesz... możemy się już nigdy nie zobaczyć.

Ostry hak wbił mi się prosto w serce, ciągnąc je w dół.

- Mogę do ciebie przyjechać.

- Tak? Przyjedziesz i co? Będziesz mnie wozić na wózku jak kadłubka?

- Nigdy bym nie...

- Znajdź sobie jakiegoś futbolistę, takie dziewczyny jak ty lubią futbolistów, prawda? Będzie dla ciebie lepszy niż palant, co wpadł na stół i złamał sobie nogę...

Płakałam już na całego.

- To nieważne...

- To ważne, Amelia, tylko ty tego nie rozumiesz. I nigdy nie zrozumiesz. To, że masz chorą siostrę, nie znaczy, że wiesz wszystko o tej chorobie.

Twarz mi płonęła. Rozłączyłam się, zanim Adam zdążył powiedzieć coś jeszcze, i

przycisnęłam dłoń do policzków.

- Ale ja cię kocham - jęknęłam, chociaż wiedziałam, że nie może mnie usłyszeć.

Najpierw polały się łzy. A potem zapłonął gniew. Cisnęłam telefonem o ścianę, chwyciłam zasłonę od prysznica i zerwałam ją jednym szarpnięciem.

Nie, nie byłam zła na Adama; byłam zła na siebie.

Popęłnić błąd to jedno, ale kiedy on się powtórzy - to już zupełnie co innego. Wiedziałam, czym to się kończy, gdy zbliżysz się do człowieka i uwierzysz, że cię kocha: rozczarowaniem. Nie próbuj na nim polegać, bo czeka cię bolesny cios, kiedy w najważniejszej chwili nie będzie go przy tobie. A jeśli nawet będzie, to swoimi zwierzeniami tylko dołożysz mu problemów. Tak naprawdę możesz liczyć wyłącznie na siebie - kiepsko, jeśli akurat jesteś niewiele wartym frajerem.

Powtarzałam sobie, że gdyby mniej mi na nim zależało, to nie bolałoby aż tak bardzo, a zatem ten ból jest w sumie dobry, bo dowodzi, że jestem prawdziwym, żywym człowiekiem. Ale dzięki temu wcale mi nie ulżyło. O uldze nie było mowy, kiedy czułam się jak zaminowany wieżowiec z dynamitem na każdym piętrze.

Odkręciłam więc wodę w wannie, żeby stłumiła mój płacz, kiedy wyjmę zyletkę schowaną w pudełku z tamponami i przeciągnę ją jak smyczkiem po skórze; żeby nikt nie usłyszał pieśni mojego wstydu.

Latem, kiedy piekłyśmy tyle różnych ciast, zdarzyło się raz, że nagle zabrakło cukru i mama pojechała w środku pracy do sklepu. Nie było jej dwadzieścia minut. Wydawałoby się, że to niezbyt długo, ale wystarczyło, żebyśmy się pokłóciły o to, jaki program włączyć. Wystarczyło, żebym wrzasnęła: „Już wiem, dlaczego mama wołałaby, żeby cię nie było”. Wystarczyło, żeby zobaczyć, jak drżą ci wargi i poczuć gryzący wyrzut sumienia.

- Wiki - powiedziałam - nie mówiłam poważnie...

- Zamknij się, Amelia.

- Nie bądź dzieckiem...

- A ty nie bądź taką pindą!

Zamurowało mnie; ty i takie słownictwo?

- Od kogo to usłyszałaś?

- Od ciebie, głupia krowo - poinformowałam mnie.

I w tym właśnie momencie jakiś ptak walnął prosto w okno. Huk był taki, że obie aż



podskoczyłyśmy.

- Co to było? - zapytałaś, stając na kanapie, żeby lepiej widzieć.

Weszłam tam za tobą, ostrożnie, jak zawsze. Ptak miał brązowe piórka i był malutki - wróbel albo strzyżyk, nigdy nie umiałam ich odróżnić. Leżał bez ruchu na trawie.

- Nie żyje? - zapytałaś.

- A skąd mam wiedzieć?

- To trzeba iść i sprawdzić, co nie?

Wyszłyśmy więc na dwór, skradając się powoli dookoła domu. Wielka niespodzianka - ptaszek dalej leżał pod oknem. Przykucnęłyśmy nad nim, próbując zobaczyć, czy rusza piersią.

Nie ruszał.

- Musimy go pochować - oznajmiłaś rozsądnym tonem.

- Nie można go tak tutaj zostawić.

- Dlaczego? W przyrodzie cały czas coś umiera...

- Ale on zginął przez nas. Pewnie usłyszał, jak się kłócimy, i dlatego poleciał do okna.

Nie chciało mi się wierzyć, że ptak mógł nas usłyszeć, jednak nie warto było się z tobą kłócić.

- Gdzie jest łopata? - zapytałaś.

- Nie wiem. - Pomyślałam przez chwilę. - Zaczekaj - rzuciłam, wracając pędem do domu, skąd zabrałam dużą, metalową łopatkę do mieszania, którą mama zostawiła w misce. Była cała w cieście i pomyślałam, że to będzie w sam raz - mumiom egipskim na drogę w zaświaty też dawali jedzenie, złoto, a nawet zwierzęta domowe.

Wykopałam w ziemi nieduży dołek, jakieś piętnaście centymetrów od miejsca, gdzie leżał ten ptaszek. Panicznie bałam się go dotknąć, więc przeturlałam go łyżką, aż wpadł do środka.

- Co teraz? - Spojrzałam na ciebie.

- Teraz musimy się pomodlić.

- A konkretnie? Chcesz zmówić „Zdrowaś Mario”? Uważasz, że ten ptaszek był katolikiem?

- Możemy zaśpiewać kolędę - zaproponowałaś. - Kolędy nie są bardzo religijne. To tylko takie ładne piosenki.

- A może lepiej powiemy coś miłego o ptakach?

Pokiwałaś głową, że zgoda.

- Ptaki mają pióra we wszystkich kolorach tęczy - zaczęłaś.

- Umieją dobrze latać - dorzuciłam. Chyba że trafią na okno, dodałam w myślach. - I ładnie śpiewają.

- A w ogóle to ptaki przypominają kurczaki, a kurczaki są pyszne - rozmarzyłaś się.

- Dobra, starczy tego - uciełam, zasypując martwego ptaszka ziemią, a ty przybrałaś ten mały grób krótkimi żdźbłami trawy, które wyglądały jak posypka na ciście. Wróciłyśmy razem do domu.

- Amelia - powiedziałaś - możesz sobie oglądać, co chcesz.

Stałam przed tobą.

- Wcale bym nie chciała, żeby cię nie było.

A kiedy usiadłyśmy przed telewizorem, przytuliłaś się do mnie, tak jak kiedyś, kiedy byłaś mała.

Nie powiedziałam ci jednej rzeczy, chociaż chciałam: Nie naśladuj mnie. Jestem ostatnią osobą, z której powinnaś brać przykład.

Po pogrzebie tego głupiego ptaka całymi tygodniami nie zbliżałam się do okna, gdy padał deszcz. Nawet teraz nie chodzę na tamtą stronę podwórka. Boję się, że coś chrupnie mi pod nogą i zobaczę połamane kosteczki, skrzydełka, ostro rzeźbiony dziób. Mam na tyle oleju w głowie, żeby nie patrzeć i nie widzieć tego, co może się pokazać.

Ludzie zawsze chcą wiedzieć, jak to jest, więc mówię: pierwsze cięcie szczypie, a kiedy widać krew, serce zaczyna bić mocniej, bo wiesz, że robisz coś, czego nie wolno - a mimo to robisz to bezkarnie. Potem wpada się jakby w trans, bo to jest naprawdę fascynujące: pojawia się jaskrawa, czerwona linia, zupełnie jak autostrada na mapie, aż się chce zobaczyć, dokąd zaprowadzi. A potem - Boże... Spływa na człowieka cudowne poczucie wolności; lepiej nie umiem tego nazwać. To coś takiego, jakby balon, przywiązany do rączki małego dziecka, zerwał się nagle i uleciał w niebo. Wiesz,

po prostu wiesz, co ten balon sobie myśli: „Aha, widzisz? Nie jestem twoją własnością!”. Potem: „Czy oni w ogóle wiedzą, jaki stąd jest piękny widok?”. A na koniec przypomina mu się, że ma masakryczny lęk wysokości.

Gdy powracasz do rzeczywistości, bierzesz papier toaletowy albo papierowy ręcznik (lepsze niż zwykły ręcznik czy ścierka, bo plamy z krwi nigdy całkiem nie schodzą) i mocno przyciskasz do rozciętej skóry. Odzywa się wstyd, kontrapunkt pod rytmem twojego tętna. Ulga,

jeszcze przed chwilą tak silna, ścina się, tężeje jak zimny sos, a żołądek zaciska się w twardą pięść. Brzydzisz się sobą, dosłownie się brzydzisz, bo tyle było obiecywania, że już nigdy więcej, że to ostatni raz, a tu proszę - kolejny zawód. Chowasz się więc z dowodami własnej słabości pod kolejnymi warstwami ubrania, nawet jeśli jest lato i nikt nie chodzi w dzinsach ani w bluzkach z długim rękawem. Zakrwawiony papier wrzucasz do sedesu, patrząc, jak woda robi się różowa, a potem jeden ruch ręki i spuszczasz go do ścieku, marząc, żeby to wszystko naprawdę mogło być takie proste.

Widziałam kiedyś na filmie, jak dziewczynie podcięli gardło, a ona, zamiast wrzasnąć, tylko cicho westchnęła, jakby wcale nie bolało, jakby to była jej szansa, wyzwolenie. Zwlekałam więc chwilę z drugim i trzecim razem, wiedząc, że ja też się doczekam tego uczucia. Patrzyłam, jak krew rozlewa się po udzie, powstrzymując się jak najdłużej przed kolejnym pociągnięciem żyłką.

- Amelia...?

To był twój głos. Poderwałam głowę, dławiąc się paniką.

- Co ty tu robisz? - warknęłam, podciągając nogi, żebyś nie mogła lepiej dojrzeć tego, co pewnie i tak już zobaczyłaś. - Nie wiesz, że nie wolno włożyć komuś do łazienki?

Stałaś w drzwiach, podpierając się kulami.

- Chciałam wziąć szczoteczkę do zębów, a nie było zamknięte na klucz.

- Było. - Upierałam się, ale może miałaś rację? Tak mnie pochłonęła rozmowa z Adamem, że mogłam o tym zapomnieć. Posłałam ci najpaskudniejsze spojrzenie, na jakie było mnie stać. - Bujaj się stąd!

Pokuśtykałaś z powrotem do pokoju, nie zamykając drzwi za sobą. Szybko opuściłam nogi, okładając cięcia papierem i pozostawiwszy go na udach, od razu naciągnęłam dzinsy, choć zazwyczaj czekałam, aż krew przestanie lecieć. Wyszłam tak z łazienki i spojrzałam na ciebie groźnym wzrokiem, chcąc cię sprowokować, żebyś powiedziała coś jeszcze, bo mogłabym na ciebie nakrzyczeć, ale ty czytałaś coś, siedząc na swoim łóżku i nie odezwałaś się już do mnie ani słowem.

Strasznie nie lubiłam tego momentu, kiedy moje blizny zaczynały zanikać; dopóki mogłam je dostrzec, wiedziałam, skąd się bierze mój ból. Ciekawe, czy ty czułaś coś podobnego, kiedy już zrosły ci się połamane kości.

Położyłam głowę na poduszce. Udo piekło i pulsowało.

- Amelia - poprosiłaś nagle - położysz mnie spać?

- A gdzie mama z tatą?

Nie musiałaś odpowiadać - nawet jeśli ciałem siedzieli gdzieś na dole, to duchem byli tak daleko od nas, że równie dobrze mogliby polecieć na Księżyc.

Miałam jeszcze w pamięci pierwszą noc, kiedy nie potrzebowałam, żeby rodzice przyszli położyć mnie spać. Właściwie to mogłam być wtedy mniej więcej w twoim wieku. Przedtem obowiązywała ścisła wieczorna rutyna: światło, kołderka, buzi w czółko - i zostawałam sama z potworami w szufladach i na półkach. Aż wreszcie któregoś dnia po prostu odłożyłam książkę i zamknęłam oczy. Czy rodzice byli dumni, że dziecko już jest takie samodzielne? A może to było dla nich pożegnanie z czymś, czego nie umieli nawet nazwać?

- No dobra - zgodziłam się. - Zęby umyte? - W tym momencie przypomniałam sobie, że właśnie chciałaś to zrobić, tylko że twoja starsza siostra akurat się cięła i łazienka była zajęta. - W porządku, nie musisz myć zębów. Jeden raz cię nie zbawi. - Wstałam z łóżka, pochylając się nad tobą niezgrabnie.

- Dobranoc - mruknęłam i zgarbiwszy się jak pelikan łapiący rybę, dziobnęłam cię nosem w czoło.

- Mama opowiada mi bajkę.

- Jak chcesz bajkę, to niech cię mama kładzie spać. - Rzuciłam się z powrotem na materac. - Ja żadnej nie znam.

Przez chwilę milczałaś, w końcu znalazło się wyjście:

- Możemy same wymyślić.

- No to dawaj - westchnęłam.

- Dawno, dawno temu żyły sobie dwie siostry. Jedna była bardzo silna, a druga nie. - Obejrzałaś się na mnie. - Teraz ty.

Przewróciłam oczami.

- Silna siostra wyszła na dwór, kiedy padał deszcz. Okazało się, że dlatego była taka silna, bo zrobili ją z żelaza. No i na deszczu cała zardzewiała. Koniec.

- Nie, bo wtedy ta siostra, co nie była silna, wyszła na ten deszcz i przytuliła ją bardzo mocno, i znowu wyszło słońce.

Kiedy byłyśmy młodsze, czasami spałyśmy w jednym łóżku. Nigdy nie kładłyśmy się razem, ale w środku nocy budziłam się nagle, a ty byłaś obok, owinięta wokół mnie jak winorośl.

Ciągnęłaś do ciepła, gdy ja zawsze szukałam chłodnych miejsc na prześcieradle. Godzinami usiłowałam się od ciebie odsunąć na wąskim tapczanie, jednak nie przyszło mi nawet do głowy przełożyć cię z powrotem. Biegun północny nie ucieknie przed magnesem; magnes zawsze go odnajdzie.

- I co było dalej? - szepnęłam, ale ty już odpłynęłaś i musiałam sama wymarzyć sobie zakończenie.

## Sean

Rozumieliśmy się bez słów: tej nocy śpię na kanapie. Chociaż trudno powiedzieć, że spałem, bardziej rzucałem się i wierciłem. A gdy już udało mi się przysnąć, miałem koszmar: byłem na sali rozpraw i miałem składać zeznania. Patrzyłem na Charlotte, a kiedy Guy Booker zadał pierwsze pytanie, otworzyłem usta, żeby mu odpowiedzieć i sypnął się z nich rój czarnych komarów.

Pomiędzy mną i Charlotte wyrósł mur. Zeszłej nocy udało nam się go zburzyć, ale dziś stanął na nowo, dwa razy wyższy i dwa razy grubszy. Trochę to dziwne kochać swoją żonę, a nie wiedzieć, czy się ją lubi. Nie miałem pojęcia, co się stanie, kiedy proces dobiegnie końca. Czy można wybaczyć kobiecie, która zraniła ciebie i twoich najbliższych, nawet jeśli była szczerze przekonana, że ten sposób im pomaga?

Wystąpiłem o rozwód, choć tak naprawdę wcale nie chciałem rozstawać się z Charlotte. Marzyłem o tym, żebyśmy wszyscy cofnęli się w czasie o dwa lata i zaczęli wszystko od nowa.

Czy ona w ogóle o tym wiedziała? Powiedziałem jej to szczerze czy nie?

Odrzuciłem koc, siadając na łóżku i przecierając twarz dłońmi. W samych bokserkach i koszulce z emblematem mojej komendy poszedłem cicho na górę, do naszej sypialni. Usiadłem na łóżku.

- Charlotte - szepnąłem.

Nie było odpowiedzi.

Dotknąłem skotłowanej kołdry, ale znalazłem pod nią tylko zabłąkaną poduszkę.

- Charlotte - powtórzyłem, tym razem głośno. Drzwi do łazienki były otwarte; zapaliłem światło, jednak tam też jej nie było. To już zrobiło się niepokojące: czyżby ten proces dobijał ją tak samo jak mnie? Może zaczęła lunatykować?

Sprawdziłem łazienkę dziewczynek, pokój gościnny, wąskie schody wiodące na strych.

Ostatnie drzwi prowadziły do waszego pokoju. I tam od razu znalazłem zgubę: Charlotte leżała na twoim łóżku, zwinięta w kłębek, przytulając cię mocno i broniąc nawet przez sen.

Pogładziłem was po głowach: ciebie i twoją mamę. Musnąłem palcami policzek Amelii. A potem położyłem się na dywaniku, podkładając ramię pod głowę. I proszę: kiedy znów byliśmy wszyscy razem, zasnąłem natychmiast.

## Marin

- Wiesz, o co chodzi? - zapytałam Guya Bookera, kiedy szliśmy pospiesznie do gabinetu sędziego.

- Pytaj się mnie, a ja ciebie - odparł.

Wezwano nas rano, drugiego dnia procesu, przed rozpoczęciem rozprawy. Taki incydent, już drugiego dnia, nie wróżył nic dobrego - zwłaszcza jeśli Guy Booker też nie wiedział, co się dzieje. Sędzia Gellar bez wątpienia miał do nas jakąś pilną sprawę i byłam pewna, że nie spodoba mi się to, co usłyszę.

Zastaliśmy go za biurkiem. Kruczoczarna fryzura tkwiła mu na głowie jak hełm. Przypomniały mi się na ten widok stare figurki Supermana: to było w jakiś sposób oczywiste, że kiedy Superman leci, wiatr nigdy nie rozwiewa mu włosów. Cud fizyki i fryzjerstwa. To skojarzenie rozproszyło moją uwagę i nawet nie zauważyłam, że sędzia nie jest sam. Jego gość siedział tyłem do nas.

- Pani mecenas, panie mecenasie - przywitał nas sędzia Gellar - mniemam, iż poznają państwo panią Juliet Cooper, przysięgłą numer sześć.

Pani Cooper odwróciła się do nas. To ją podczas przesłuchania kwalifikacyjnego Guy męczył pytaniami o usuwanie ciąży. Może po jego wczorajszym zęcaniu się nad Charlotte w tej samej sprawie chciała złożyć skargę na obronę. Odetchnęłam nieznacznie, ostatecznie przekonana, że sędzia nie wezwał nas z mojego powodu; z pewnością chodziło o to, że szanowny kolega Booker w bardzo wątpliwy sposób praktykuje prawo.

- Pani Cooper wystąpiła ze składu ławy przysięgłych ze skutkiem natychmiastowym. Na jej miejsce zostanie powołany kolejny kandydat.

Żaden adwokat nie lubi, kiedy przysięgły odpada w środku procesu, ale z drugiej strony sędziowie też za tym nie przepadają. Ta kobieta musiała mieć bardzo ważny powód, żeby złożyć rezygnację.

Spojrzała na Guya Bookera, jednocześnie z widocznym rozmysłem unikając mojego wzroku.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Nie wiedziałam, że pojawi się sprzeczność interesów.

Sprzeczność interesów? Myślałam, że chodzi o problemy ze zdrowiem, umierającego

krewnego, do którego pilnie trzeba pojechać, niespodziewanie wykryty nowotwór i konieczność natychmiastowej chemioterapii. Sprzeczność interesów - to oznaczało, że ta kobieta wiedziała coś o mojej klientce albo o klientce Guya, ale przecież nie mogła przejść selekcji do ławy przysięgłych i nie skojarzyć faktów.

Guy Booker najwidoczniej myślał tak samo.

- Można wiedzieć, na czym polega owa sprzeczność? - zapytał.

- Pani Cooper jest spokrewniona z jedną ze stron - oznajmił sędzia Gellar, patrząc mi prosto w oczy. - Mianowicie z panią, pani Gates.

Kiedyś wyobrażałam sobie, że wszędzie widzę moją biologiczną matkę - tylko o tym nie wiem. Uśmiechałam się chwilę dłużej do bileterki w kinie, z kasjerką w banku rozmawiałam o pogodzie. Słyszając w słuchawce telefonu uprzejmy głos recepcjonistki z konkurencyjnej kancelarii, myślałam sobie: a jeśli to ona? Przepraszając panią w płaszczu z kaszmiru, którą potrąciłam w holu naszego biurowca, patrzyłam jej uważnie w twarz.

Przypadek stykał mnie z niezliczoną liczbą kobiet, a każda z nich mogła być moją matką. Każdego dnia mogłam wpaść na nią dziesięć razy, nie mając o tym pojęcia.

Teraz miałam ją przed sobą, w gabinecie sędziego Gellara.

Sędzia wyszedł, a razem z nim Guy Booker; zostawili nas same na kilka minut. Ku mojemu zaskoczeniu tama pękała powoli i z oporami, chociaż przez tych blisko trzydzieści sześć lat pytań nabierało się dość. Patrzyłam na jej włosy, rude i kędzierzawe. Nigdy nie byłam podobna do nikogo z rodziny, więc wniosek był jeden: wdałam się w biologiczną matkę. Tymczasem nie mogłam dostrzec żadnego podobieństwa, najmniejszego.

Juliet Cooper ścisnęła kurczowo w dłoniach torebkę.

- Miesiąc temu zadzwoniła do mnie urzędniczka z sądu - zaczęła. - Powiedziała, że ma dla mnie informacje. Spodziewałam się, że pewnego dnia coś takiego może się zdarzyć.

- A więc - odparłam, ale mój głos był chrapliwy, oschły - kiedy się pani dowiedziała?

- Dopiero wczoraj. Pani list przyszedł w zeszłym tygodniu, ale nie mogłam się zmusić, żeby go otworzyć. Nie byłam gotowa. - Uniosła głowę, spojrzała na mnie. Oczy miała brązowe.

Czy w takim razie mój ojciec miał niebieskie, tak jak ja? - To, co wczoraj działo się na rozprawie, to wypytywanie matki, czy chciała się pozbyć swojego dziecka... Dzięki temu ostatecznie zebrałam się na odwagę.

Nagle zrobiło mi się tak, jakbym nałykała się helu: to musiało znaczyć, że w głębi serca



ona wcale nie chciała mnie oddać, tak samo jak Charlotte w głębi serca nie chciała pozbywać się Willow.

- Kiedy na końcu listu zobaczyłam pani podpis, uświadomiłam sobie, że wcale mnie to nie dziwi. Już w sądzie zwróciłam na panią uwagę. - Zawiesiła z wahaniem głos. - Nosi pani rzadkie imię.

- Owszem - przytaknęłam, myśląc jednocześnie: A jak ty chciałaś mnie nazwać? Suzy, Margaret, Theresa?

- Świetnie pani sobie radzi - przyznała Juliet Cooper wstydliwie. - Mówię o rozprawie.

Siedziałyśmy raptem metr od siebie. Dlaczego żadna z nas nie chciała pokonać tej odległości? Tyle razy wyobrażałam sobie tę chwilę i zawsze wizja kończyła się tak, że matka przytula mnie mocno, jakby chcąc wynagrodzić mi tamto rozstanie.

- Dziękuję - odpowiedziałam, rozumiejąc wreszcie to, co do tej pory mi umykało: matka, której nie widziało się przez trzy i pół dekady, nie jest twoją matką. Jest obcą osobą.

Wspólne DNA nie czyni z ludzi przyjaciół na śmierć i życie.

To nie było radosne spotkanie po latach. To było tylko krępujące.

Cóż, może ona też czuła się skrępowana; może bała się przekroczyć granicę albo myślała, że mam do niej urazę, bo mnie oddała. W takim razie chyba to na mnie spadał obowiązek przełamania lodów...

- Nie do wiary, że tyle czasu pani szukałam, a pani znalazła się na ławie przysięgłych w moim procesie - uśmiechnęłam się. - Mały ten świat.

- Bardzo - przytaknęła, po czym znów zaniemówiła.

- Już podczas przesłuchania kwalifikacyjnego coś mi kazało panią polubić. - To miał być żart, ale nie wypalił. I wtedy przypomniało mi się coś jeszcze z tego przesłuchania: Juliet Cooper zeznała, że gdy jej dzieci były jeszcze małe, nie pracowała zawodowo i dopiero kiedy poszły do liceum, zaczęła na nowo szukać pracy. - Ma pani dzieci - powiedziałam. - Kolejne dzieci.

Skinęła głową.

- Dwie córki.

Dla jedynaczki to była niezwykła wiadomość: nie dość, że odnalazłam biologiczną matkę, to jeszcze zyskałam rodzeństwo.

- Mam siostry - westchnęłam.

I w tym momencie oczy Juliet Cooper pociemniały jak zasłonięte okna.

- To nie są pani siostry.

- Przepraszam. Nie chciałam...

- Zamierzałam napisać list na adres sądu w Hillsborough z prośbą o przekazanie go pani - poinformowała mnie. - Słuchając Charlotte O'Keefe, przypominałam sobie to wszystko: otóż są takie dzieci, dla których lepiej by było, gdyby się nigdy nie urodziły. - Juliet Cooper zerwała się gwałtownie z krzesła. - Chciałam do pani napisać - powtórzyła - i poprosić, żeby już nie próbowała się pani ze mną kontaktować.

I tak, jakby nigdy nic, moja biologiczna matka opuściła mnie po raz drugi w życiu.

Adoptowane dziecko może być najszcześniejsze na świecie, ale zawsze w głębi serca będzie myślało, że może gdyby było inne - ładniejsze, spokojniejsze, łatwiejsze do urodzenia - wtedy biologiczna mama by go nie oddała. To głupie tak myśleć - decyzja zostaje podjęta na wiele miesięcy przed przekazaniem dziecka do adopcji - lecz nie sposób się powstrzymać.

Na studiach miałam same celujące. Skończyłam uczelnię z pierwszą lokatą na roku. Chciałam, oczywiście, żeby rodzina była ze mnie dumna - tylko że nie mogłam się zdecydować, która. Drudzy rodzice - na pewno, ale także tamci pierwsi. Chyba zawsze skrycie wierzyłam, że gdyby moja biologiczna mama mogła mnie poznać i zobaczyć, jaka jestem mądra, jak wiele osiągnęłam, to nie miałyby wyjścia i musiałyby mnie pokochać.

A ona wybrała inne wyjście: zostawiła mnie.

Do sali konferencyjnej, gdzie siedziałam, zajrzała Charlotte.

- Dziennikarka dopadła mnie w łazience. Podstawiła mi mikrofon, kiedy wchodziłam do...

Marin, ty płaczesz?

Potrząsnęłam przecząco głową, chociaż wszystko było przecież widać.

- Coś mi wpadło do oka.

- Do drugiego też?

Wstałam z krzesła.

- Idziemy - rzuciłam szorstko, mijając ją, żeby poszła za mną.

Moim kolejnym świadkiem był doktor Mark Rosenblad, twój lekarz z Children's Hospital w Bostonie. Musiałam szybko oprzytomnieć i dać wielki popis, żeby olśnić następcę Juliet Cooper - faceta po czterdziestce, w grubych okularach i z krzywym zgryzem. Wypytyując Rosenblada o kwalifikacje, cały czas zerkałam w jego stronę, a on uśmiechał się do mnie.

Przy moim szczęściu mogło się to skończyć przegranym procesem i zaproszeniem na

randkę od tego ławnika.

- Zna pan Willow O'Keefe, panie doktorze, prawda? - zapytałam.

- Zacząłem ją leczyć, kiedy miała sześć miesięcy. To przemiła dziewczynka.

- Jaki typ *osteogenesis imperfecta* ma Willow?

- Typ III, czyli postać postępująco-deformującą.

- Co to oznacza?

- Jest to najcięższa z nieletalnych postaci OI. Złamania u osób z typem III w ciągu całego życia liczymy w setkach. Nie są to wyłącznie złamania pourazowe; czasami wystarczy, że dziecko przewróci się z boku na bok podczas snu albo sięgnie po coś, co leży na półce. Często zdarzają się ciężkie infekcje dróg oddechowych oraz powikłania wywołane dzwonowatym kształtem klatki piersiowej. Do innych wad powszechnych u dzieci z typem III zaliczamy ubytek słuchu, nadmierną ruchomość stawów oraz słabo rozwinięte mięśnie. Rozwija się skolioza o ciężkim przebiegu, wymagająca wewnętrznej stabilizacji kręgow albo nawet ich zespolenia, choć to drugie rozwiązanie jest dosyć przewrotne, bo po takim zabiegu dziecko przestaje rosnać, a chorzy na OI generalnie są niskiego wzrostu. Pozostałe powikłania obejmują makrocefalię wywołaną wodogłowiem, krwotok wewnątrzczaszkowy na skutek urazu porodowego, kruchość szkliwa i w niektórych przypadkach przesunięcie zęba obrotnika w kierunku otworu potylicznego. Nieprawidłowość ta polega na tym, że drugi krąg szyjny przemieszcza się do góry, zwążając otwór, przez który rdzeń kręgowy łączy się z mózgiem. Powoduje to zawroty i bóle głowy, okresy splątania, zaburzenia czucia, a nawet może doprowadzić do śmierci.

- Proszę nam opowiedzieć, jak będzie wyglądać kolejne dziesięć lat życia Willow.

- Tak jak wielu chorych na OI w jej wieku, Willow od pierwszych miesięcy po urodzeniu przyjmuje pamidronian, który wydatnie poprawił jakość jej życia - zanim zaczęto stosować bisfosfoniany, dzieci z typem III rzadko mogły chodzić i były przykute do wózków inwalidzkich. Dzięki pamidronianowi być może uda się ograniczyć liczbę złamań w ciągu całego życia Willow z kilkuset do nie więcej niż stu, choć nie jesteśmy tego jeszcze pewni. Niektóre z badań przeprowadzanych u nastolatków, którzy zaczęli przyjmować pamidronian w wieku niemowlęcym, tak jak Willow, wykazują, że kiedy już pękają im kości, przebieg szczeliny złamania nie jest normalny, co utrudnia leczenie. Pamidronian poprawia gęstość kości, ale nadal nie jest to zdrowa kość. U przyjmujących ten lek pacjentów stwierdza się również nieprawidłowy kształt zuchwy, lecz trudno określić, czy to skutek działania pamidronianu, czy zmiana związana

z niecałkowitym rozwojem zębiny, czyli *dentinogenesis imperfecta*, towarzyszącym OI. Tak więc u Willow mogą wystąpić właśnie takie komplikacje - podsumował doktor Rosenblad - chociaż to jeszcze nie wszystko. Wciąż będą się zdarzać złamania wymagające interwencji chirurgicznej. Niedawno trzeba było wykonać zespolenie kości udowej, ale drugą nogę najprawdopodobniej czeka to samo. W pewnym wieku konieczna też będzie operacja kręgosłupa. Willow co roku przechodzi zapalenie płuc. W zasadzie wszyscy chorzy na OI typu III mają takie czy inne wady budowy klatki piersiowej, wady postawy albo kifoskoliozę - te zaburzenia prowadzą do chorób płuc i nadmiernego obciążenia układu krążenia. Niekiedy umierają z powodu powikłań oddechowych albo neurologicznych. Jeśli jednak szczęście dopisze, uda nam się doprowadzić Willow do wieku dorosłego i umożliwić jej normalne funkcjonowanie oraz godne, wartościowe życie.

Skończył, a ja przez chwilę gapiłam się na niego, nie mówiąc ani słowa. Poznałam cię osobiście, rozmawialiśmy, widziałam nawet, jak ciężko ci wjechać wózkami po pochyłości albo zdjąć coś ze stołu w kuchni, który był dla ciebie za wysoki - lecz mimo to trudno mi było uwierzyć, że czyha na ciebie tyle medycznych tortur. Rzecz jasna, był to haczyk, który od samego początku podtrzymywał całą moją taktykę, opracowaną do spółki z Bobem Ramirezem, ale nawet ja miałam inne wyobrażenie o twoim życiu.

- A jeśli Willow dożyje dorosłych lat, to czy będzie mogła żyć samodzielnie?

Zadając to pytanie, odwróciłam się od Charlotte; nie mogłabym patrzeć jej w oczy, mówiąc: „jeśli dożyje”.

- Zawsze będzie potrzebować pomocy i opieki, w mniejszym lub większym stopniu. Będą się zdarzać złamania wymagające hospitalizacji, a później rehabilitacji. Trudno jej będzie utrzymać jakąkolwiek posiadłość.

- Oprócz tych utrudnień natury fizycznej - zapytałam - czy Willow grożą także problemy emocjonalne?

- Owszem - potwierdził doktor Rosenblad. - Dzieci chore na OI często miewają zaburzenia lękowe wynikające ze strachu przed wypadkiem i potrzeby nieustannej ostrożności. Po szczególnie ciężkich złamaniach czasami rozwija się u nich zespół nerwicy pourazowej. Dodatkowo Willow już zaczęła zauważać, że różni się od innych dzieci i jest ograniczona przez swoją chorobę. Z wiekiem u dzieci z OI narasta potrzeba samodzielności, ale nigdy nie będą mogły być równie aktywne jak ich zdrowi rówieśnicy. W efekcie tej walki o samodzielność stają

się zamknięte w sobie, pojawia się depresja, czasem nawet skłonności samobójcze.

Odwróciłam głowę; Charlotte ukryła twarz w dłoniach.

Może być matką to nie jest to, co widać na pierwszy rzut oka. Może Charlotte pozwała Piper Reece, bo kochała Willow za mocno i wiedziała, że nie może jej zostawić. Może moja biologiczna matka zostawiła mnie, bo wiedziała, że nie może mnie pokochać.

- Czy lecząc Willow, poznał pan jej matkę?

- Poznałem - przytaknął lekarz. - Charlotte ma z córką doskonały kontakt. Wygląda to tak, jakby posiadała szósty zmysł, który podpowiada jej, kiedy Willow źle się czuje, i pomaga zadziałać w odpowiedni sposób, aby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. - Powiódł wzrokiem po ławie przysięgłych. - Pamiętają państwo Shirley MacLaine w „Czułych słówkach”? Charlotte jest dokładnie taka sama. Czasem, kiedy się uprze, mam chęć jej przyłożyć - ale tylko dlatego, że to mnie tak się stawia.

Usiadłam, dając znak, że przekazuję świadka Guyowi Bookerowi.

- Leczy pan tę dziewczynkę od szóstego miesiąca życia, zgadza się? - zaczął obrońca.

- Tak. Pracowałem wtedy w Shriners Hospital w Omaha. Willow brała udział w naszych klinicznych badaniach nad pamidronianem. Potem przeniosłem się do Children's Hospital w Bostonie i rozsądniej było leczyć ją bliżej domu.

- Jak często pan widuje swoją pacjentkę?

- Teoretycznie powinienem dwa razy do roku, chyba że coś sobie złamię. I powiem tylko tyle, że jak dotąd te dwa razy pozostały w sferze czystej teorii.

- Od jak dawna stosuje pan pamidronian w leczeniu dzieci z OI?

- Od początku lat dziewięćdziesiątych.

- Powiedział pan, że przed pojawieniem się tego leku dzieci te miały jeszcze bardziej ograniczoną sprawność ruchową?

- Owszem.

- Czy zgodzi się pan zatem, że rozwój pańskiej specjalizacji dał Willow szansę na poprawę zdrowia?

- I to niemałą - przytaknął doktor Rosenblad. - Jeszcze piętnaście lat temu dzieci z OI nie mogły robić tego co ona teraz.

- A więc gdyby ten proces toczył się przed piętnastoma laty, przyszłość Willow, którą pan nam przedstawił, malowałyby się w jeszcze ciemniejszych barwach?

Lekarz skinął głową.

- Zgadza się.

- Żyjemy w Ameryce, gdzie badania medyczne nieprzerwanie idą pełną parą, w laboratoriach i szpitalach takich jak pański. Czy to możliwe, że za życia Willow postępowanie w medycynie pójdzie jeszcze dalej?

- Sprzeciw - wtrąciłam się. - To jest spekulacja.

- Rozmawiam z ekspertem w tej dziedzinie, panie sędzio - odparował Booker.

- Świadek może wyrazić swoją opinię - zawyrokował sędzia Gellar - na podstawie badań, jakie prowadzi się obecnie.

- To możliwe - powiedział doktor Rosenblad - ale jak już wspominałem, bisfosfoniary także były witane jako cudowny lek, okazało się natomiast, że przy dłuższym stosowaniu narażają pacjentów z OI na komplikacje, których nie przewidywaliśmy. Pewnych rzeczy po prostu jeszcze nie wiemy.

- Nie wyklucza pan jednak, że Willow dożyje wieku dorosłego? - zapytał Booker.

- Bynajmniej.

- Czy może się zakochać?

- Oczywiście.

- Urodzić dziecko?

- Być może.

- Pracować poza domem?

- Tak.

- Czy może żyć pozbawiona opieki swoich rodziców?

- Zapewne tak - odpowiedział doktor Rosenblad.

Guy Booker oparł się o barierkę przed ławą przysięgłych, rozkładając szeroko ręce.

- Panie doktorze, pan leczy chorobę, prawda?

- W rzeczy samej.

- Czy amputowałby pan rękę pacjentowi ze złamanym palcem?

- To by była lekka przesada.

- A czy nie jest podobną przesadą leczyć *osteogenesis imperfecta*, nie pozwalając pacjentowi przyjść na świat?

- Sprzeciw! - zawołałam.

- Podtrzymuję. - Sędzia spojrział surowo na adwokata. - Na moich rozprawach nie odbywają się wiece na rzecz obrony życia poczętego, panie mecenasie.

- Ujmę to inaczej. Czy zetknął się pan z rodzicami, którzy postanowili usunąć ciążę po rozpoznaniu u płodu *osteogenesis imperfecta*?

Rosenblad skinął głową.

- Owszem. W przypadkach letalnej postaci OI, czyli typu II, taka decyzja nie należy do rzadkości.

- A w przypadku typu III?

- Sprzeciw - odezwał się. - Nie widzę żadnego związku z powódką.

- Chcę to usłyszeć - oświadczył sędzia Gellar. - Może pan odpowiedzieć na pytanie, panie doktorze.

Rosenblad nie dał się złapać w te wnyki.

- Nikt z własnego wyboru nie chce przerywać upragnionej ciąży - odrzekł - ale kiedy okazuje się, że dziecko, które ma się urodzić, będzie bardzo dotkliwie upośledzone, jedni rodzice znoszą to lepiej, drudzy gorzej. Niektórzy wiedzą, że będą mogli zapewnić kalekiemu dziecku potrzebną opiekę, inni potrafią przewidzieć, że im się to nie uda.

- Panie doktorze - zapytał Booker - czy pana zdaniem przyjście na świat Willow O'Keefe to było „niedobre urodzenie”?

Coś poruszyło się obok mnie; odwróciwszy głowę, zobaczyłam, że Charlotte drży na całym ciele.

- Wydanie takiej opinii nie należy do mnie - odpowiedział Rosenblad. - Ja jestem tylko lekarzem.

- Otóż to - spuentował Guy Booker.

## Piper

Janine Weissbach, mojej byłej radiolożki, nie widziałam od czterech lat. Dostała pracę w szpitalu w Chicago i wyjechała. Wtedy była blondynką, dziś jej włosy lśniły kasztanową barwą, a usta oplatała delikatna pajęczyna zmarszczek. Ciekawe, pomyślałam, czy dostrzeże to samo u mnie. A może zdrada najlepszej przyjaciółki dodała mi tyle lat, że nikt mnie już nie rozpozna?

Janine była uczulona na orzechy. Kiedyś z tego powodu w gabinecie wybuchła mała wojna: jedna z naszych pielęgniarek piła orzechową kawę, a Janine dostała nagłego wysiewu pokrzywki od samych oparów, które w ciasnych wnętrzach były wszędzie. Pielęgniarka podobno nie miała pojęcia, że napar z orzechów może wywołać reakcję alergiczną. Zaklinała się, że pierwszy raz o tym słyszy, a Janine zapytała tylko, jakim cudem skończyła szkołę pielęgniarską. I właściwie poza tym jednym spięciem moja praca przebiegała bez przykrych incydentów... aż do teraz, oczywiście.

- Skąd pani zna powódkę? - zapytała adwokatka Charlotte.

Janine pochyliła się do mikrofonu stojącego obok krzesła dla świadka. Przypomniałam sobie, że chętnie chodziła na wieczory karaoke do miejscowego klubu nocnego. Patologicznie nieparzysta, tak o sobie mówiła; teraz jednak dostrzegłam na jej palcu obrączkę.

Ludzie się zmieniają. Nawet ci, których niby znasz na wylot.

- Pani O'Keefe była naszą pacjentką - odpowiedziała Janine. - W gabinecie ginekologiczno-położniczym doktor Piper Reece.

- Oskarżona jest pani pracodawczynią?

- Pracowałam u niej przez trzy lata, ale teraz mam posadę w szpitalu Northwestern Memorial.

Adwokatka wodziła wzrokiem po ścianie, jakby w ogóle nie słuchała świadka.

- Pani Gates - upomniał ją sędzia.

- Przepraszam. - Oprzytomniała w jednej chwili. - Czy doktor Rice jest pani pracodawczynią?

- Już pani o to pytała.

- Racja. Czy może więc pani... nam powiedzieć, w jakich okolicznościach poznała panią Charlotte O'Keefe?

- Przyszła do nas na badanie USG w osiemnastym tygodniu ciąży.



- Kto jeszcze był obecny przy tym badaniu?

- Jej mąż.

- A oskarżona?

Po raz pierwszy Janine spojrzała mi w oczy.

- Początkowo nie. Zazwyczaj najpierw sama wykonywałam badanie, a potem przedstawiałam jej wyniki. Potem ona je interpretowała i szła na rozmowę z pacjentką.

- Jak przebiegło badanie Charlotte O'Keefe, pani Weissbach?

- Piper uprzedziła mnie, że mam uważać na wszystkie objawy zespołu Downa. Test poczwórny wykazał lekko podwyższone ryzyko. Cieszyłam się, że będę pracować na nowym aparacie, który dopiero przyjechał i był najnowocześniejszy na rynku. Ułożyłam panią O'Keefe na leżance, posmarowałam pacjentce brzuch żelem i przesunęłam po nim głowicą, żeby uzyskać kilka wyraźnych obrazów płodu.

- Co pani zobaczyła?

- Kości udowe sprawiały wrażenie dość krótkich, co czasami może sygnalizować zespół Downa, ale innych objawów nie było.

- Coś jeszcze?

- Tak - potwierdziła Janine. - Niektóre obrazy były niezwykle ostre, zwłaszcza obrazy mózgu.

- Czy wspomniała pani o tym oskarżonej?

- Tak. Powiedziała, że długość kości udowej mieści się w normie, a dziecko może mieć to po matce, która jest niskiego wzrostu.

- A ostrość obrazów? Czy oskarżona powiedziała coś na ten temat?

- Nie - odparła Janine. - Nie powiedziała.

Tego dnia, kiedy odwoziłam Charlotte do domu po drugim USG, tym z dwudziestego siódmego tygodnia, gdzie pokazały się złamane kości, przestałam traktować ją jak przyjaciółkę i zaczęłam się zachowywać jak lekarz. Usiadłam przy stole w ich kuchni i zasypałam Seana i Charlotte medyczną terminologią, która podziałała niemalże jak środek uspokajający; lawina informacji, których nie mogli zrozumieć, przygasiła cierpienie odbite w ich oczach. Powiedziałam im, że kontaktowałam się już ze specjalistką w sprawie konsultacji.

W pewnej chwili do kuchni wślizgnęła się Amelia. Charlotte szybko otarła oczy.

- Hej, skarbie - powiedziała.

- Przyszłam powiedzieć dobranoc dzidziusiowi - oznajmiła Amelia, podbiegając do mamy i obejmując jej brzuch, najlepiej jak tylko mogła.

Charlotte jęknęła cicho; zabrzmiało to jak miauknięcie.

- Nie tak mocno - wykrztusiła. Wiedziała, o czym myśli: czy od tej gorącej siostrzanej miłości znów ci coś pękło?

- Ale ja chcę, żeby już wyszedł - pisnęła Amelia. - Znudziło mi się czekać.

Charlotte wstała od stołu.

- Chyba też już się położę. - Wyciągnęła rękę do małej i razem wyszły z kuchni.

Sean opadł na jej krzesło.

- To przeze mnie, prawda? - Spojrzał na mnie. W oczach miał udrękę. - To moja wina, że dziecko jest chore.

- Nie...

- Charlotte ma już jedną córkę. Nic jej nie jest. - Nie dał mi dokończyć. - Rachunek jest prosty.

- Nie mogłeś jej przed tym uchronić. To najprawdopodobniej przypadkowa mutacja. - Ja też nie mogłam, ale mimo to czułam się winna, tak samo jak on. - Musisz zaopiekować się Charlotte, bo ona teraz nie może się załamać. Nie pozwól jej szukać tej choroby w Internecie, dopóki nie zobaczycie się jutro ze specjalistką. I nie mów jej, że się martwisz.

- Nie mogę kłamać - odparł.

- Jeśli ją kochasz, to skłamiesz.

A teraz, tyle lat później, nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie potrafiłam wybaczyć Charlotte, że wprowadziła w życie moją własną radę.

Nie podobał mi się ten cały Guy Booker, ale obrońca w sprawie procesu o błąd w sztuce lekarskiej to nie ma być ktoś, kogo chętnie zaprosisz do domu na święta. Facet umiał tak przycisnąć świadka, że ten zaczynał się wic jak robak na szpilce, pod uważnym okiem kolekcjonera.

- Pani Weissbach - odezwał się, wstając, aby rozpocząć przesłuchanie - czy widziała pani kiedyś inny płód o podobnych wymiarach kości udowej?

- Oczywiście.

- Wie pani może, jaki wtedy był rezultat badania?

Adwokatka Charlotte podniosła się z miejsca.

- Sprzeciw, wysoki sędzie. Świadek nie jest lekarzem, tylko zwykłym technikiem USG.

- Widzi jednak takie rzeczy na co dzień - odparował Booker. - Posiada kwalifikacje do odczytywania obrazów z ultrasonografu.

- Podtrzymuję sprzeciw.

- Do pani wiadomości - powiedziała Janine, wyraźnie dotknięta - odczytywanie wyników badania USG to wcale nie jest taka prosta sprawa. Może i jestem tylko technikiem, ale oczekuje się ode mnie, że będę zwracać uwagę na to, co może budzić wątpliwości. - Skinęła głową w moją stronę. - Piper Reece była moją przełożoną. Ja się wywiązałam.

Nie powiedziała już nic więcej, ale i tak zrozumiałam, co miało być dalej: „A ty nie”.

## Charlotte

Coś było nie tak z moją panią adwokat. Wierciła się, pytania do świadków wylatywały jej z głowy, nie słuchała odpowiedzi. Zaczęłam się zastanawiać: może zwątpienie jest zaraźliwe? Poprzedniego dnia siedziała obok mnie, gdy nieustannie biłam się z myślami, chcąc zerwać się i rzucić to wszystko w diabły - a jeśli dziś obudziła się z takim samym nastawieniem?

Marin wezwała na świadka nieznanego mi lekarza nazwiskiem Thurber; był Anglikiem, ale szefował radiologii w szpitalu dziecięcym im. Lucile Packard w Stanford w Kalifornii, potem zaś przeniósł się do Shriners Hospital w Omaha, gdzie jego fachowa wiedza służyła dzieciom chorym na OI. Z nieskończenie długiej listy referencji, którą wyrecytował na prośbę Marin, dowiedzieliśmy się, że doktor Thurber przestudiował w swojej karierze tysiące obrazów USG, wygłaszał wykłady na całym świecie, a co roku poświęcał dwa tygodnie urlopu, aby nieść pomoc ciężarnym kobietom z krajów dotkniętych ubóstwem.

Jednym słowem, święty człowiek. Święty i inteligentny.

- Panie doktorze - poprosiła Marin - czy może pan przybliżyć zasady działania ultrasonografu tym z nas, którzy nie wiedzą, jak funkcjonuje to urządzenie?

- Dla lekarza położnika jest to instrument diagnostyczny - odparł radiolog. - Obrazowanie odbywa się w czasie rzeczywistym.

Głowicę emitującą ultradźwięki przykładają się do brzucha matki i przesuwają, uzyskując w ten sposób obraz wnętrza macicy, wyświetlany następnie na monitorze.

- Do czego stosuje się tę metodę diagnostyczną?

- Między innymi do rozpoznania i potwierdzenia ciąży, oceny tętna oraz wad rozwojowych płodu, wykonania pomiarów, które pozwalają ustalić wiek ciążowy i stopień rozwoju płodu, do lokalizacji łożyska, a także do oceny ilości płynu owodniowego.

- W którym okresie ciąży zazwyczaj wykonuje się badanie USG? - zapytała Marin.

- Nie ma na to żelaznej reguły. Czasami już około siódmego tygodnia, aby potwierdzić zapłodnienie oraz wykluczyć ciążę pozamaciczną i zaśniadową. U większości pacjentek wykonuje się co najmniej jedno badanie USG - pomiędzy osiemnastym a dwudziestym tygodniem ciąży.

- Jak przebiega to badanie?

- W tym wieku płód jest już na tyle rozwinięty, że można ocenić jego anatomię i

dopatrzeć się wad wrodzonych - odpowiedział doktor Thurber. - Mierzy się długość określonych kości, aby stwierdzić, czy stopień rozwoju odpowiada ustalonej dacie poczęcia. Lekarz sprawdza, czy wszystkie organy znajdują się na właściwym miejscu, a kręgosłup jest prawidłowo zbudowany. W gruncie rzeczy chodzi o potwierdzenie, że wszystko przebiega tak, jak powinno. Oczywiście, dostaje się też zdjęcie - do powieszenia na lodówce i oglądania przez następnych sześć miesięcy.

Kilkoro ławników zaśmiało się cicho. A ja nie mogłam sobie przypomnieć, czy dostałam zdjęcie z twojego USG. Jedyne moje wspomnienie z tamtego dnia to ogromna ulga, która zalała mnie w chwili, kiedy Piper powiedziała, że jesteś zdrowa.

- Panie doktorze - pytała dalej Marin - czy zapoznał się pan z obrazem USG wykonanym w osiemnastym tygodniu ciąży Charlotte O'Keefe?

- Owszem.

- Co pan na nim zobaczył?

Radiolog spojrział w kierunku ławników.

- Definitywnie były powody do niepokoju. Podczas badania USG ocenia się mózg przez czaszkę, więc obraz jest zazwyczaj odrobinę nieostry, mętny i szarawy, ponieważ wiązka fal dźwiękowych rozprasza się, przechodząc przez kość. Na USG pani O'Keefe obraz mózgu płodu był idealnie czysty, nawet w wypadku tych struktur, które zazwyczaj widać słabo. To wskazuje na odwapnienie sklepienia czaszki, będące objawem kilku chorób, w tym dysplazji szkieletowej, a także *osteogenesis imperfecta*. Lekarz ma wtedy obowiązek przyjrzeć się kościom długim, zresztą pomiar kości udowej wykonuje się podczas każdego USG położniczego. I rzeczywiście, ta wartość u dziecka pani O'Keefe była nieco zbyt niska. Krótka kość udowa i odwapniona czaszka wskazują bardzo wyraźnie na *osteogenesis imperfecta*. - Doktor Thurber zawiesił głos. - A gdyby technik radiolog podczas badania ucisnął brzuch pani O'Keefe, mógłby zaobserwować na monitorze odkształcenie czaszki płodu.

Objęłam dłońmi brzuch, jakbyś wciąż jeszcze była w środku.

- Gdyby pani O'Keefe była pańską pacjentką, co by pan zrobił? - chciała wiedzieć Marin.

- Wykonałbym więcej obrazów klatki piersiowej, szukając złamanych żeber, zmierzyłbym pozostałe kości długie, aby potwierdzić uogólnioną tendencję do skrócenia kości, a przynajmniej przekazałbym pacjentkę do ośrodka specjalistycznego.

Marin skinęła głową.

- A jeśli panu powiem, że lekarz prowadząca ciążę pani O'Keefe nie zrobiła żadnej z tych rzeczy?

- W takim razie - orzekł doktor Thurber - był to z jej strony bardzo poważny błąd.

- Nie mam więcej pytań - oznajmiła Marin, siadając z powrotem obok mnie. I natychmiast ciężko westchnęła.

- O co chodzi? - zapytałam szeptem. - Przecież ten doktor jest świetny.

- Przyszło ci może kiedyś do głowy, że nie tylko ty jedna na tym świecie masz problemy?

- syknęła.

Guy Booker wstał, rozpoczynając swoją część przesłuchania.

- Mówi się, że z perspektywy czasu wszystko widać wyraźniej, prawda, panie doktorze?

- Podobno.

- Od jak dawna występuje pan w sądzie jako biegły?

- Od dziesięciu lat - odparł lekarz.

- Domyślam się, że nie robi pan tego dla idei?

- Nie, otrzymuję wynagrodzenie, jak każdy biegły sądowy.

Booker obejrzał się na ławę przysięgłych.

- No tak. Sporo się tu ostatnio mówi o pieniądzach, nieprawdaż?

- Sprzeciw - odezwała się Marin. - Czy obrońca oczekuje od świadka odpowiedzi na pytania retoryczne?

- Dobrze, wycofuję ostatnie pytanie. Panie doktorze, czy to prawda, że *osteogenesis imperfecta* to bardzo rzadkie schorzenie?

- Owszem.

- A więc niektórzy lekarze, na przykład położnicy z małego miasteczka, mogą przez cały okres działalności zawodowej nie zetknąć się z nim ani razu?

- Jest to możliwe - zgodził się doktor Thurber.

- Czy można powiedzieć, że jedynie specjalista doszukiwałby się OI na obrazie USG?

- Istotnie, stare lekarskie powiedzenie uczy, że słysząc tętent kopyt, należy założyć, że zbliża się koń, a nie zebra - odpowiedział radiolog - lecz jednocześnie każdy wykwalifikowany położnik powinien rozpoznać niepokojące objawy na obrazie USG. Choćby nawet nie wiedział, co mogą one oznaczać, odróżni zmienione struktury od zdrowych i zda sobie sprawę, że pacjentce należy zapewnić opiekę specjalistyczną.

- Jeżeli nie *osteogenesis imperfecta*, to jaka inna choroba może dać na obrazie taką przejrzystość czaszki?

- Letalna postać wrodzonej hipofosfatazji, ale to jest ogromna rzadkość, zresztą w takim razie również należałoby skierować pacjentkę do ośrodka o najwyższym stopniu referencyjności.

- Panie doktorze - zapytał Booker - czy zdarza się uzyskać wyjątkowo ostry obraz przezczaszkowego USG mózgu... zdrowego płodu?

- Zdarza się, ale tylko sporadycznie. Jeżeli przypadkowo na jednym obrazie płaszczyzna przekroju będzie przechodziła przez szew czaszkowy zamiast przez kość, to wewnątrz mózgu pokaże się wyraźnie. Ponieważ jednak trzeba zbadać różne jego struktury, wykonuje się kilka obrazów, natomiast szwy czaszkowe są bardzo cienkie. To praktycznie niemożliwe, aby przy wielokrotnych projekcjach wiązka za każdym razem trafiła na szew. Widząc, że jeden obraz z dużą ostrością pokazuje struktury mózgu, a inne nie, założyłbym, że ten wyraźny obraz dała wiązka, która przeszła przez szew czaszkowy. Jednakże w omawianym przypadku wszystkie obrazy mózgu płodu ukazują struktury wewnątrzczaszkowe z niezwykle dokładnością.

- A co z pomiarem kości udowej? Czy spotkał się pan z takim przypadkiem, że dziecko w osiemnastym tygodniu ciąży miało za krótką kość udową, a rodziło się całkowicie zdrowe?

- Owszem. Czasami pomiar wykonany przez technika może o włos odstawać od normy, ponieważ płód się poruszył albo przyjął dziwną pozycję. Wykonuje się kilka pomiarów i wybiera najdłuższą oś, ale w osiemnastym tygodniu nawet bardzo drobny brak - liczony w milimetrach - może umieścić wynik na dużo niższym centylu. Jeżeli podczas badania pomiar kości udowej plasuje się na granicy normy, potem często okazuje się, że był po prostu zaniżony.

Booker podszedł do biegłego.

- Ultrasonografia to użyteczna metoda diagnostyczna, ale nie możemy jej nazwać nauką ścisłą, prawda? Jedne obrazy są bardziej ostre, inne mniej.

- Owszem, różne struktury płodu widzi się z różną dokładnością. Zależy to od wielu czynników: budowy matki, pozycji płodu. Właściwie to wciąż się zmienia. Raz wszystko widać jak na dłoni, a raz nie.

- Czy na podstawie badania USG z osiemnastego tygodnia ciąży można stwierdzić w sposób definitywny, że płód jest chory na *osteogenesis imperfecta* typu III?

- Można zaobserwować, że coś jest nie w porządku ze szkieletem płodu. Widać już wtedy objawy - takie jak u pani Charlotte O'Keefe. Jeśli na dalszym etapie życia płodowego pojawią się

złamania, z reguły można założyć, że to właśnie typ III *osteogenesis imperfecta*.

- Panie doktorze, gdyby Charlotte O'Keefe była pańską pacjentką, to czy po obejrzeniu wyników jej USG z osiemnastego tygodnia ciąży skierowałby pan ją na przyspieszoną wizytę kontrolną?

- Z powodu krótkich kości udowych i odwapnionych kości czaszki płodu? Bezwarunkowo tak.

- A gdyby podczas kolejnego badania zaobserwował pan złamane kości, zrobiłby pan to samo co doktor Piper Reece, prawda? Natychmiast skierowałby pan pacjentkę do ośrodka o wyższym stopniu referencyjności?

- Tak.

- Ale czy na podstawie wyłącznie tego pierwszego USG rozpoznałby pan ponad wszelką wątpliwość *osteogenesis imperfecta* u osiemnastotygodniowego płodu Charlotte O'Keefe?

Doktor Thurber zawahał się przez chwilę.

- Cóż - odpowiedział wreszcie - nie.



## Amelia

Czasem sama już nie wiem, jak mam rozumieć pojęcie „sytuacja kryzysowa”. No bo tak: wszyscy nauczyciele w szkole wiedzieli o procesie, że moi rodzice biorą w nim udział i to po przeciwnych stronach. Cały stan o tym wiedział, a może i cały kraj, dzięki relacjom w prasie i w telewizji. Ale nawet jeśli ktoś uważał, że moja matka jest niespełna rozumu albo po prostu goni za kasą, to dla mnie, zawieszanej pomiędzy młotem a kowadłem, mógłby chyba mieć chociażby odrobinę współczucia? A tu nie: po starym zebrałam ochrzan na matmie, że nie uważam, a z angielskiego zapowiedzieli następnego dnia test na znajomość słownictwa, i to jaki: dziewięćdziesiąt słówek, których najprawdopodobniej nigdy nie użyję.

Zakuwałam do niego, wypisując sobie to wszystko na karteczkach. „Przewrażliwiony”, zanotowałam na jednej: „o wiele za bardzo nadmiernie wrażliwy”. Ale czy przypadkiem właśnie nie o to chodziło? Jak ktoś jest wrażliwy, to wszystko musi brać zbyt poważnie.

„Trwoga: strach”. Użyj w zdaniu: „Ten głupi test budzi we mnie trwogę”.

- Amelia!

Słyszałam, jak mnie wołasz, ale z drugiej strony wiedziałam, że wcale nie muszę odpowiadać. W końcu była z tobą ta pielęgniarka, od której śmierdziało naftaliną. Mama - albo może Marin -

plącała jej, żeby cię pilnowała. Siedziała u nas już drugi dzień; po powrocie ze szkoły - autobusem - zastawałam ją w domu i szczerze mówiąc, nie byłam zachwycona. Powinna bawić się z tobą, a oglądała sobie „General Hospital”.

- Amelia! - krzyknęłaś znowu, tym razem głośniej.

Wstałam, szurając krzesłem po podłodze i zbiegłam z hukiem po schodach.

- Czego chcesz? - warknęłam. - Muszę się uczyć.

I wtedy zobaczyłam: pielęgniarka-hafciarka zahaftowała nam całą podłogę.

Stała oparta o ścianę, a twarz miała koloru ciastoliny.

- Chyba muszę wrócić do domu... - wyrzęziła.

No, raczej. Nie miałam ochoty złapać od niej tej dzumy.

- Popilnujesz Willow, dopóki mama nie wróci? - zapytała.

A co robię przez całe życie?

- Jasne - powiedziałam, dodając po chwili wahania: - ale zanim pani wyjdzie, to chyba tu

posprząta?

- Amelia! - syknęłaś. - Pani jest chora!

- No, ja na pewno tego nie zrobię - odszepnęłam, ale pielęgniarka już powlokła się do kuchni po mopa.

- To nie zmienia faktu, że muszę się uczyć - oznajmiłam, kiedy zostałyśmy same. - Poczekaj, przyniosę sobie zeszyt i kartki.

- Nie, ja pójdę na górę - odpowiedziałaś. - Chcę się trochę położyć.

Więc wzięłam cię na ręce - taka byłaś lekka - i zniosłam do pokoju, kładąc na łóżku. Obok postawiłam twoje kule. Otworzyłaś sobie swoją najnowszą książkę i zaczęłaś czytać.

„Lustracja: dokładna obserwacja, przegląd”.

„Postura: postać, figura, pełny wzrost człowieka”.

Obejrzałam się na ciebie przez ramię. Miałaś wzrost trzyletniego dziecka, choć skończyłaś już sześć i pół roku. Zaczęłam się zastanawiać, czy będziesz bardzo niska. A potem przypomniałam sobie, że są takie złote rybki, które rosną, jak wpuścić je do dużej sadzawki. Ciekawe, czy to by pomogło, gdybym zabrała cię z tego tapczanika, z tego głupiego domu i pokazała cały wielki świat?

- Mogę cię przepytac - zaproponowałaś nagle.

- Dzięki, ale jeszcze nie skończyłam. Może później.

- A wiesz, że Kermit Żaba jest leworęczny?

- Nie wiem.

„Dyspersja: rozproszenie, rozsianie”. „Rejterada: ucieczka”. O tym marzyłam.

- A wiesz, jakie wymiary ma wykopany grób?

- Willow - powiedziałam - ja muszę się uczyć. Możesz się zamknąć?

- Dwieście trzydzieści cztery centymetry na dziewięćdziesiąt siedem na sto osiemdziesiąt trzy - wyszeptalaś.

- Willow!

Podniosłaś się, siadając na łóżku.

- Idę do łazienki.

- Super. Tylko się nie zgub - burknęłam, patrząc, jak ostrożnie opierasz kule na podłodze, żeby móc zeskoczyć z łóżka. Mama zawsze odprowadzała cię do łazienki - trzęsąc się nad tobą jak nie wiem co - ale potem zaczęłaś się wstydzic i wyrzucać ją za drzwi.

- Pomóc ci jakoś? - zapytałam.

- Daj trochę kolagenu - odpowiedziałaś, a ja prawie się uśmiechnęłam.

Chwilę później szcęknął zamek w drzwiach. „Skrupulatny”, „żarliwy”, „unicestwić”. „Apatyczny”, „letalny”, „znizkować”. Świat byłby o wiele prostszy, gdyby zamiast szafować nadwyżkowymi sylabami, ludzie mówili po prostu, o co im chodzi. Słowa tylko przeszkadzają. Tego, co czujemy najmocniej - jak to jest, kiedy chłopak dotyka cię tak, jakbyś była odlana ze światła, co to znaczy być jedyną osobą, której nikt nigdy nie zauważa - nie ubieramy w zdania. Te uczucia to sęki w twardym drewnie naszych ciał, miejsca, gdzie krew płynie wstecz. Gdyby ktoś chciał znać moje zdanie (byłby to pierwszy nim zainteresowany), to powiedziałabym, że jedynym słowem, które warto mówić, jest „Przepraszam”.

Przebrnąwszy przez lekcję trzynastą i czternastą - „pokrętny”, „struchłały”, „sielski” - zerknęłam na zegarek. Była dopiero trzecia.

- Wiki - zapytałam - o której mama miała wrócić...

I przypomniało mi się, że cię nie ma.

Od dobrych piętnastu albo dwudziestu minut.

Nikt tyle nie siedzi w łazience.

Serce zaczęło mi walić. Czyżby aż tak mnie pochłonęło zgłębianie definicji słowa „arbitraż”, że nie słyszałam hałasu, jaki wydaje upadające ciało? Podbiegłam do drzwi łazienki, szarpiąc za klamkę.

- Willow, wszystko w porządku?

Cisza.

Czasem sama już nie wiem, jak mam rozumieć pojęcie „sytuacja kryzysowa”.

Zamachnęłam się nogą i kopniakiem wybiłam drzwi.

## Sean

Zupa z dystrybutora stojącego w sądzie wyglądała - i smakowała - zupełnie jak kawa. Piłem już trzecią porcję, a wciąż nie wiedziałem, co właściwie mam w ustach.

Udało mi się znaleźć kryjówkę - i to było dotąd moje największe osiągnięcie podczas tego procesu, który toczył się już drugi dzień. Myślałem, że poczekam sobie na korytarzu, aż Guy Booker mnie wezwie, ale okazało się, że nie wziąłem pod uwagę dziennikarzy. Ci, którzy nie zmieścili się w sali rozpraw, błyskawicznie zwęszyli, kim jestem, i zlecieli się do mnie; musiałem się wycofać, mrużąc pod nosem: „Nie udzielam wywiadów”.

Błąkałem się w labiryncie sądowych kularów, naciskając klamkę za klamką, aż wreszcie jedne drzwi ustąpiły. Nie miałem pojęcia, do czego normalnie służy to pomieszczenie, ale znajdowało się prawie dokładnie ponad salą rozpraw, gdzie siedziała moja żona.

Nigdy nie chciało mi się wierzyć w telepatię i inne tego typu bzdety, ale miałem nadzieję, że Charlotte poczuje moją obecność. A nawet więcej: że to jej jakoś pomoże.

Bo w skrytości ducha byłem jednak ciekawy - mimo że przeszedłem do obozu wroga, a moje małżeństwo legło w gruzach - byłem ciekawy, co się stanie, jeśli Charlotte wygra ten proces.

Gdybyśmy mieli pieniądze, pojechalibyś latem na obóz, pełen dzieci takich jak ty.

Gdybyśmy mieli pieniądze, kupilibyśmy nowego vana, zamiast reperować starego, który miał już siedem lat.

Gdybyśmy mieli pieniądze, moglibyśmy spłacić debety na kartach kredytowych i drugi kredyt hipoteczny, który wzięliśmy, kiedy nasze stawki ubezpieczenia medycznego poszły w górę.

Gdybyśmy mieli pieniądze, mógłbym zabrać gdzieś Charlotte na całą noc i zakochać się w niej ponownie.

Byłem szczerze przeciwny temu, że ceną zwycięstwa w sądzie była dla nas strata dobrej przyjaciółki. Ale co by było, gdybyśmy nie znali Piper osobiście, tylko wyłącznie na gruncie zawodowym? Czy poparłbym Charlotte, gdyby chciała pozwać innego lekarza? Co budziło mój sprzeciw: samo oskarżenie czy to, że dotyczyło bliskiej znajomej?

Tyłu rzeczy nam nie powiedziano...

Na przykład: jak to jest, kiedy ja tylko kołyszę cię na rękach, a tobie pęka żebro.

Jak strasznie wygląda żal, który maluje się na twojej twarzy, gdy patrzysz, jak Amelia jeździ na łyżwach.

Jaki to okropny paradoks, że nawet ci, którzy umieją ci pomóc, muszą sprawiać ból: chirurdzy nastawiający złamane kości, ortopedzi, którzy pozwalają, żeby aparat otarł ci skórę, bo dopiero wtedy widać, co trzeba poprawić.

Jak przytłaczający jest fakt, że nie tylko twoje kości są chore. Z roku na rok, choć nie było tego widać, niszczało też moje życie: finanse, plany na przyszłość, małżeństwo.

Nagle zapragnąłem usłyszeć twój głos. Zacząłem wystukiwać numer domowy na komórce, ale aparat tylko zabuczał. Padła bateria. Stałem, wbijając wzrok w wyświetlacz. Ładowarka została w samochodzie; mogłem po nią iść, tylko że wtedy znów musiałbym się przedzierać przez kordon dziennikarzy. Zanim zdążyłem przeprowadzić bilans zysków i strat, ktoś otworzył drzwi, wpuszczając gwar głosów z korytarza. Tym kimś była Piper Reece.

- Znajdź sobie własną kryjówkę - powiedziałem, a ona aż podskoczyła.

- Na śmierć mnie wystraszyłeś - westchnęła. - Skąd wiesz, że chcę się schować?

- Bo ja też chciałem. Nie jesteś na rozprawie?

- Sędzia ogłosił przerwę.

Chciałem o coś spytać; zawahałem się, potem jednak uznałem, że nie mam nic do stracenia.

- Jak się trzymasz?

Piper już miała odpowiedzieć: otworzyła usta, lecz po chwili zamknęła je z powrotem.

- Nie będę ci przeszkadzać, dzwoń sobie - mruknęła, kładąc dłoń na klamce.

- Bateria mi siadła - poinformowałem ją.

Odwróciła się do mnie, krzyżując ramiona na piersi.

- Pamiętasz, jak nie było żadnych komórek? Kiedy nie trzeba było wszędzie wysłuchiwać, o czym ludzie ze sobą rozmawiają?

- O pewnych rzeczach lepiej nie mówić publicznie - zgodziłem się.

Piper spojrzała mi prosto w oczy.

- Tam, na rozprawie, jest okropnie - przyznała. - Przed chwilą zeznawał aktuariusz, który przedstawił wyliczenia bieżących kosztów opieki nad Willow i ich całkowitą sumę na podstawie spodziewanej długości życia.

- I ile mu wyszło?

- Trzydzieści tysięcy rocznie.
- Nie o to mi chodziło. Ile Willow będzie żyć?

Piper nie odpowiedziała od razu.

- Nie chcę myśleć o niej w kategoriach cyfr, jakby liczyła się tylko do statystyki.
- Piper...
- Długość jej życia wcale nie musi odbiegać od normy.
- Długość - tak, ale nie jakość.

Piper oparła się o ścianę. Nie włączyłem światła, żeby nikt mnie tutaj nie znalazł; w półcieniu na jej twarzy uwidoczniły się zmarszczki i zmęczenie.

- Dziś w nocy przyśniła mi się tamta kolacja u nas, na której poznałeś Charlotte.

Pamiętałem ten dzień, jakby to było wczoraj. Po drodze do domu Piper zgubiłem się, z czystych nerwów. Jeszcze nikt, co chyba oczywiste, nie zaprosił mnie do siebie po wypisaniu mandatu, a zresztą w ogóle bym nigdzie nie poszedł, gdyby nie fakt, że dzień przed tym, gdy zatrzymałem Piper jadącą osiemdziesiątką w strefie ograniczenia do pięćdziesięciu, zastałem swoją dziewczynę w łóżku najlepszego kumpla z pracy. Tak więc kiedy tydzień później Piper zadzwoniła z zaproszeniem, nie miałem w sumie nic do stracenia; to był impuls, głupi, desperacki impuls.

Piper przedstawiła mi Charlotte, a kiedy się witaliśmy, pomiędzy naszymi dłońmi przeskoczyła iskra elektryczna. Dziewczynki zjadły na kanapie w salonie, dorośli siedzieli przy stole. Piper nałożyła mi kawałek ciasta karmelowego z pekanami, które upiekła jej przyjaciółka.

- Co sądzisz? - zapytała Charlotte.

Słodkie nadzienie było jeszcze ciepłe, a kruchy spód rozpływał się na języku niczym ulotne wspomnienie.

- Sądzę, że powinienem poprosić cię o rękę - odpowiedziałem, a wszyscy się roześmiali, chociaż to nie był do końca żart.

Później zgadało się o pierwszych pocałunkach. Piper opowiedziała, jak to kiedyś chłopak zwabił ją do lasku za placem zabaw bajeczką o jednoroźcu chowającym się za starym jesionem; Rob wyznał, że kiedyś pewna siódmoklasistka zapłaciła mu pięć dolców, żeby pozwolił na sobie poćwiczyć. Charlotte, jak się okazało, pierwszy raz całowała się dopiero w wieku osiemnastu lat.

- Nie wierzę - powiedziałem.
- A ty, Sean? - zapytał Rob.

- Nie pamiętam.

Zdażyłem już wtedy zapomnieć, gdzie jestem; istniała dla mnie tylko Charlotte. Czulem jej kolano obok swojego, pod stołem, i wiedziałem dokładnie, jaka odległość nas dzieli. Widziałem bardzo dokładnie, jak blask świec osiada na skrętach jej loków. Nie mogłem przypomnieć sobie pierwszej dziewczyny, którą całowałem,

ale miałem absolutną pewność, że ostatnią będzie właśnie ona.

- Pamiętasz, jak zostawiliśmy Amelię i Emmę w salonie? - zapytała Piper, przywołując mnie z powrotem do terażniejszości. - Tak dobrze się bawiliśmy, że nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, co robią.

I nagle stanęła mi przed oczami ta scena: tłoczmy się wszyscy w maleńkiej łazience na parterze domu Piper, a Rob krzyczy na córkę, która namówiła Amelię, żeby wrzuciła do sedesu nie wiadomo ile suchej karmy dla psów.

Piper zaczęła się śmiać.

- Emma wciąż powtarzała, że to była tylko garsteczka.

Być może, ale ta garsteczka napęczniała, wypełniając muszlę po brzegi. W sumie to niesamowite, jak szybko sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Śmiech Piper nagle ucichł i, jak to bywa z emocjami, przerodził w swoje przeciwieństwo. Łzy pociekły jej po twarzy.

- Sean, mój Boże... Co się z nami stało?

Wstałem niezręcznie, a po chwili objąłem ją ramieniem.

- Nic się nie stało - próbowałem ją uspokoić.

- Stało się - załkała, opierając czoło o moje ramię. - Jeszcze nigdy, nigdy w życiu nikt mi nie powiedział, że jestem złym człowiekiem, a za każdym razem, kiedy tam wchodzę, tak właśnie się czuję.

Zdarzyło mi się już przytulić Piper Reece, tak, jak to robią żonaci mężczyźni: idzie się do kogoś z wizytą, wręcza obowiązkową butelkę wina i całuje gospodynię w policzek. Być może przelotnie kiedyś przyszło mi do głowy, że Piper jest wyższa od Charlotte i używa nieznanych mi perfum, a nie gruszkowego mydła i esencji waniliowej. Tak czy inaczej nasze fizyczne kontakty przebiegały na planie trójkąta: policzek do policzka, a tułowiem jak najdalej od siebie.

Ale teraz Piper przywarła do mnie mocno, a po szyi spłynęły mi jej gorące łzy. Czulem ciężar jej ciała, wszystkie jego krągłości. I wiedziałem dokładnie, kiedy ona uświadomiła sobie

moją bliskość.

Potem jej usta odnalazły moje, a może to było na odwrót; miały smak wiśni. Zamknąłem oczy - i widziałem już tylko Charlotte.

Oderwaliśmy się od siebie, odwracając wzrok. Piper schowała twarz w dłoniach. „Jeszcze nigdy, nigdy w życiu nikt mi nie powiedział, że jestem złym człowiekiem”. To były jej własne słowa.

Cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz.

- Przepraszam... - zacząłem.

- Nie powinnam... - powiedziała Piper w tym samym momencie.

- Tego nie było - przerwałem jej. - Niech będzie tak, jakby tego nigdy nie było, dobrze?

Spojrzała na mnie smutnym wzrokiem.

- To, że nie chcesz czegoś widzieć, Sean, nie oznacza jeszcze, że to się nigdy nie wydarzyło.

Nie wiedziałem, o czym mówimy: o pocałunku, procesie czy może o jednym i drugim. Miałem dla niej tysiąc odpowiedzi (z których każda kończyła się przeprosinami), ale ostatecznie wyszło mi tylko tyle:

- Kocham Charlotte. Kocham moją żonę.

- Wiem - szepnęła Piper. - Ja też ją kochałam.



## Charlotte

Film przedstawiający jeden dzień z twojego życia był ostatnim materiałem dowodowym, jaki Marin przygotowała dla ławników; dokładne przeciwieństwo zimnych, bezdusznych wyliczeń, które podał aktuariusz, poproszony o przedstawienie kosztów utrzymania niepełnosprawnego dziecka w Stanach Zjednoczonych. Miałam wrażenie, że od tamtych zdjęć w twoim przedszkolu upłynęły już całe wieki, i szczerze mówiąc, bałam się, jak to wyjdzie. A jeśli przysięgli po obejrzeniu naszych codziennych zajęć uznają, że każde dziecko ma mniej więcej tak samo?

Marin obiecała, że zadba o to, aby pokaz wypadł na naszą korzyść - i faktycznie, gdy tylko na ekranie pojawiły się pierwsze kadry, zrozumiałam, że nie trzeba było się martwić. To zadziwiające, ile daje montaż.

Najpierw zobaczyliśmy twoją buzię, odbitą w szybie. Wyglądałaś przez okno w zupełnym milczeniu, ale słowa nie były potrzebne - w oczach miałaś bezmiar tęsknoty.

Kamera podążyła za twoim wzrokiem, pokazując Amelię ślizgającą się na zamarzniętej sadzawce przy domu.

Potem, kiedy uklęknęłam, żeby założyć ci aparat przed wyjściem do przedszkola (sama byś nie dosięgła), włączyła się muzyka: pierwsze takty piosenki, którą rozpoznałam dopiero po chwili: „I Hope You Dance”. „Umiesz tańczyć, mam nadzieję...?”

Komórka, którą miałam w kieszeni, nagle zaczęła wibrować.

W sądzie obowiązuje nakaz wyłączenia komórek, ale powiedziałam Marin, że muszę być pod telefonem, na wszelki wypadek, więc obie poszłyśmy na pewne ustępstwa. Wsunęłam dłoń do kieszeni, żeby sprawdzić, kto dzwoni.

dom, widniało na wyświetlaczu.

Akcja filmu przeniosła się do przedszkola: dzieci kłębiły się dookoła ciebie jak stadko rybek, bo były właśnie zajęcia w grupie i wszystkie wykonywały jakiś taniec. Tylko ty nie tańczyłaś, unieruchomiona w swoim wózku.

- Marin - szepnęłam.

- Nie teraz.

- Marin, telefon mi dzwoni...

Nachyliła się do mnie.

- Jeśli go teraz odbierzesz, zamiast oglądać film, przysięgli uznają, że jesteś bez serca, i zjedzą cię żywcem.

Wsunęłam dłonie pod uda, z każdą chwilą denerwując się coraz bardziej. Może ławnicy pomyśleli w tej chwili, że aż tak trudno mi na to patrzeć. Telefon co kilkanaście sekund uspokajał się, a chwilę później zaczynał z powrotem. Na ekranie zobaczyliśmy cię na rehabilitacji: podeszłaś do maty, przygryzając wargę. Telefon szarpnął się znowu. Zdławiłam jęk, który zrodził się głęboko w gardle.

A jeśli się przewróciłaś i pielęgniarka nie wiedziała, co zrobić? A jeśli to było coś gorszego niż zwyczajne złamanie?

Na sali ludzie zaczęli pociągać nosami, a kobiety otwierały torebki, szukając chusteczek. Przysięgli łowili każde twoje słowo, nie mogąc oderwać wzroku od tej wąskiej, elfiej twarzyczki.

Telefon zawibrował znowu, a mnie jakby poraził prąd. Tym razem wysunęłam go z kieszeni: na wyświetlaczu widniała koperta, znak, że przyszedł SMS. Schowawszy telefon pod stołem, otworzyłam klapkę.

willow - wypadek - pomóż

- Muszę stąd wyjść - szepnęłam Marin do ucha.

- Za piętnaście minut... W takim momencie nie możemy poprosić o przerwę.

Spojrzałam z powrotem na ekran. Serce waliło mi jak młotem. Wypadek, jaki wypadek? Dlaczego pielęgniarka nic nie robi?

Siedziałas po turecku na macie. Nad twoją głową kołysał się czerwony pierścień. Wyciągnęłaś rękę, muskając go palcami.

„Już. Mogę teraz przestać?”.

„Co z tobą, Willow? Przecież wiem, że jesteś silniejsza... Złap za obręcz i ściśnij...”.

Na prośbę Molly zdobyłaś się na ten wysiłek, ale z oczu pociekły ci łzy, a twoje ciało odpowiedziało ostrym, chrupiącym terkotem.

„Molly, proszę cię, mogę już puścić?”.

Telefon zadrzał kolejny raz. Zamknęłam go w dłoni.

A teraz to ja pojawiłam się na ekranie; uniosłam cię z maty, kołysząc na rękach, zapewniając, że postaram się, żeby było lepiej.

Gdyby chociaż trochę docierało do mnie, co się dzieje na sali rozpraw, zauważyłabym, że wszystkie ławniczki - i niektórzy ławnicy - płaczą. Że kamery na galerii prasowej pracują,

nagrywając materiał do wieczornych wiadomości. Że sędzia Gellar zamknął oczy i potrząsnął głową. Ale ja czekałam tylko na koniec filmu. Kiedy ekran zgasł, zerwałam się i pognałam do drzwi.

Biegąc pomiędzy ławkami, czułam na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Myśleli pewnie, że poniosły mnie emocje, ewentualnie że nie wytrzymałam, widząc cię na dużym ekranie. Gdy tylko minęłam woźnych pilnujących wejścia, wcisnęłam klawisz ponownego wybierania numeru.

- Amelia? Co się stało?

- Krew jej się leje - wyszłochała, rozhisteryzowana. - Wszędzie była krew, a ona się nie ruszała i...

Nagle w słuchawce odezwał się jakiś nieznany mi głos.

- Czy to pani O'Keefe?

- Tak.

- Nazywam się Hal Chen, jestem ratownikiem medycznym...

- Co się dzieje z moją córką?!

- Straciła dużo krwi, na razie wiemy tylko tyle. Czy może pani przyjechać do szpitala Portsmouth Regional?

Nie wiem nawet, czy mu odpowiedziałam. A jeśli chodzi o Marin, to nie zadałam sobie nawet trudu, żeby ją zawiadomić, co się ze mną dzieje. Po prostu puściłam się biegiem przed siebie, przepychając się przez tłum dziennikarzy, którzy, kompletnie zaskoczeni, ledwie zdążyli wycelować kamery i mikrofony w kobietę, która uciekała z sądu, żeby być przy tobie.

## Amelia

Kiedy byłam jeszcze bardzo mała, a w nocy wiał silny wiatr, to nie mogłam zasnąć. Tata przychodził mnie uspokajać; mówił, że nasz dom nie jest ze słomy ani z patyków, tylko z cegły, a dom z cegły wszystko wytrzyma, o czym dobrze wiedzą świnki trzy. Ale świnkom trzem nikt nie powiedział, że wielki wilk to dopiero początek ich problemów. Największe zagrożenie było całkiem niewidzialne, a czaiło się wewnątrz. I nie był to radon ani czad: chodziło o to, jak trzy zupełnie różne osobowości mają wytrzymać ze sobą w jednym małym pomieszczeniu. Nie mówcie mi, że ta pierwsza świnka, patentowany leń, który postawił sobie tylko szalas ze słomy, mogłaby się dogadać z trzecią, pracowitym murarzem. Zupełnie tego nie widzę. Założę się, że gdyby ta bajka miała choćby dziesięć stron więcej, to wszystkie trzy świnki zaczęłyby skakać sobie do oczu, a ich dom wyleciałby w powietrze, chociaż był z cegły.

Drzwi do łazienki, potraktowane moim kopniakiem ninja, ustąpiły łatwiej, niż się spodziewałam, ale w sumie w tym domu wszystko było stare i z framugi po prostu odpadła drzazga. Leżałaś na samym środku, ja jednak cię nie widziałam. Kto by cię zauważył, kiedy wokół było tyle krwi?

Wrzasnęłam, wbiegłam do łazienki, zaczęłam klepać cię po policzkach.

- Willow, ocknij się. Ocknij się!

Nie podziałało; jedna ręka opadła ci na podłogę, a z palców wysunęła się moja żyłeczka.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Tak się wściekłam wieczorem, kiedy zobaczyłaś, jak się tnę, że nie mogłam sobie teraz przypomnieć, czy schowałam żyłeczkę tam, gdzie zawsze. A jeśli ty tylko naśladowałaś to, co podpatrzyłaś u mnie?

Jeśli tak, to była moja wina.

Zobaczyłam cięcia na twoim nadgarstku. Płakałam już teraz na całego, pełna histeria. Nie wiedziałam, czy zawinąć ci to ręcznikiem, żeby zatamować krew, czy dzwonić po pogotowie, czy po mamę.

Zrobiłam i to pierwsze, i to drugie, i trzecie też.

Razem z karetką przyjechali strażacy. Pognali na górę, zostawiając na dywanie ślady z błota.

- Trzeba uważać - powiedziałam, stając w drzwiach do łazienki. - Ona jest chora, ma bardzo łamliwe kości. Jak ją panowie poruszą, to coś jej zaraz pęknie.

- A jak ją zostawimy, to się wykrwawi - mruknął któryś ze strażaków.

Jeden z ratowników wstał z podłogi, zasłaniając mi widok.

- Powiedz mi, co się tutaj stało.

Od płaczu oczy spuchły mi już tak, że ledwie mogłam je otworzyć.

- Nie wiem. Siedziałam w pokoju, uczyłam się. Była u nas pielęgniarka, ale poszła do domu. A Willow... A Willow... - Z nosa leciało mi ciurkiem, głos miałam ścięty, zwarzony. - Bardzo długo siedziała w łazience.

- Jak długo? - zapytał strażak.

- Dziesięć minut...? Pięć?

- To dziesięć czy pięć?

- Nie wiem - załkałam. - Nie wiem.

- A skąd miała tę żyłkę? - zainteresował się strażak.

Przełknęłam z wysiłkiem ślinę i zmusiłam się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Nie mam pojęcia - skłamałam.

**Placek:** *ciasto jednowarstwowe z zapieczonymi w środku owocami.*

Gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. To jedna z pierwszych lekcji, jakich życie udzieliło kolonistom po przybyciu do Ameryki, gdy okazało się, że na nowej ziemi nie da się zrobić ulubionych angielskich deserów: puddingów na parze albo *trifles*, czyli biszkoptów z owocami i bitą śmietaną, ponieważ nie ma tutaj składników do takich dań. To odkrycie wywołało lawinę innowacji: osadnicy zaczęli zbierać jagody i sezonowe owoce, stworzyli szybkie przepisy, dobre na śniadanie, ale też i na obiad, nawet w charakterze głównego dania. I pojawiły się nazwy: *buckie*, *grunt*, *crumble*, *cobbler*, *crisp*, *brown Betty*, *sonker*, *slump*, *pandowdy*. O pochodzeniu tych słów napisano całe tomy: *grunt* oznacza „stękać”, co skojarzyło się komuś z odgłosem, jaki wydają pieczone owoce. Wiadomo też, że Louisa May Alcott, autorka „Małych kobietek”, pieszczotliwie nazywała swój rodzinny dom „Apple Slump” - od uwielbianego przez wszystkich domowników placka z jabłkami. Są też jednak takie językowe dziwolągi, których genezy nigdy nie wyjaśniono.

Łączy je jedno: prostota przepisu.

Ja piekę placki, gdy wszystko idzie źle. Wyobrażam sobie wtedy osadniczkę zmagającą się z trudnym losem, pochyloną nad paleniskiem z żeliwną patelnią w dłoni, roniącą łzy, które spadają prosto do ciasta. Placek to przepis na chwilę słabości, załamania. Dlaczego? Bo nie da się

go zepsuć, zawsze musi wyjść. To nie jest precyzyjne pieczenie, gdzie trzeba dokładnie odmierzać składniki albo starannie mieszać ciasto do określonej konsystencji. To jest przepis dla laików, dobry na chwile kompletnego zagubienia, gdy wszystko się posypało i człowiek chce zacząć od nowa.

## PLACEK Z BORÓWKAMI I BRZOSKWINIAMI

### KRUSZONKA

*1/3 szklanki niesolonego masła, pokrojonego w nieduże kostki*

*1/2 szklanki jasnego brązowego cukru*

*1/4 szklanki mąki uniwersalnej*

*1 łyżeczka cynamonu*

*1 łyżeczka świeżo startego imbiru bez skórki*

### CIASTO

*1 1/2 szklanki mąki*

*1/2 łyżeczki proszku do pieczenia*

*szczypta soli*

*3/4 szklanki niesolonego masła (temp. pokojowa)*

*3/4 szklanki ciemnego brązowego cukru*

*1 łyżeczka esencji waniliowej*

*3 duże jaja*

*2-3 szklanki borówek (jeśli nie ma świeżych, mogą być mrożone)*

*2 dojrzałe brzoskwinie, bez pestek, obrane i pokrojone w plastry*

Formę o wymiarach 20x20 centymetrów nasmaruj masłem i wysyp mąką; piekarnik rozgrzej do 180°C.

\* Brzoskwinie najlepiej obra się w taki sposób: natnij lekko spód owocu na krzyż, włóż na jedną minutę do wrzątku, a potem natychmiast przełóż łyżką durszlakową do wody z lodem. Wtedy skórka zejdzie łatwo. Brzoskwinie do placka kroimy na małe trójkąty albo kostki.

Najpierw robimy kruszonkę: w małej misce wymieszaj masło z brązowym cukrem, mąką, cynamonem i imbirem do konsystencji gruboziarnistej masy. Odstaw.

Następny krok to ciasto. Zmieszaj mąkę, proszek do pieczenia, sól i też odstaw.

Następnie w elektrycznym mikserze zmieszaj łopatką masło i brązowy cukier do konsystencji kremu (3-4 minuty). Dodaj wanilię. Do mąki z proszkiem i solą wbijaj jaja, po

jednym, aż się połączą. Wrzuć borówki i brzoskwinie, przemieszaj. Przełóż ciasto do przygotowanej formy, a na wierzch połóż kruszonkę. Piecz przez czterdzieści pięć minut, sprawdzając patyczkiem; kiedy wyjdzie czysty, a wierzch placka będzie złoty, możesz wyjąć ciasto z piekarnika.

## Charlotte

Wydaje mi się, że można kochać za mocno.

Wynosisz sobie kogoś na piedestał i z tej perspektywy nagle dostrzegasz, że coś jest nie tak: przekrzywiony kosmyk włosów, oczko w rajstopach, złamana ręka, noga czy inna kość. Poświęcasz cały swój czas i energię, żeby to naprawić, a tymczasem sama powoli obracasz się w ruinę i nawet nie zauważasz, jak bardzo się zaniedbałaś, bo nie widzisz siebie, tylko tę kochaną osobę.

Nie szukam usprawiedliwienia, ale tylko tak mogę wyjaśnić, jak wyglądała moja droga, której koniec wypadł w szpitalu, przy łóżku, na którym leżałaś w bandażach. Aby zatrzymać krwawienie, lekarze musieli ucisnąć ranę i złamali ci rękę w nadgarstku; kiedy twoje serce przestało bić, zaczęli reanimację i żebra też nie wytrzymały.

Słyszałam już wiele razy, że coś sobie złamałaś i trzeba założyć gips albo przeprowadzić operację. Do tego byłam przyzwyczajona, tego dnia jednak z ust lekarzy padły słowa, których nie spodziewałabym się nigdy: utrata krwi, samookaleczenie, samobójstwo.

Jak to możliwe, żeby sześciolatka chciała odebrać sobie życie? Czy to jedyny sposób, żeby zwrócić na siebie moją uwagę? Bo muszę powiedzieć, że ci się udało.

Nie tylko zwrócić uwagę, ale też wzbudzić obezwładniający żal.

Willow, przecież ja od samego początku chciałam jedynie pokazać ci, jak bardzo jesteś dla mnie ważna, dać dowód, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby żyło ci się jak najlepiej... a okazało się, że ty wcale nie chciałaś tak żyć.

- Nie wierzę - wyszeptalam przez zaciśnięte zęby, chociaż nie mogłaś mnie usłyszeć, bo spałaś po zastrzyku. - Nie mogę uwierzyć, że chciałaś umrzeć.

Przesunęłam palcami po twojej ręce, aż natrafiłam na bandaż na nadgarstku, zakrywający te głębokie cięcia.

- Kocham cię - powiedziałam głucho, przez łzy. - Kocham cię tak bardzo, że nie wiem, kim bym była bez ciebie. I pokażę ci, jak wiele znaczy twoje życie, nawet jeśli będę musiała pracować na to aż do samej śmierci.

Wygram ten proces, postanowiłam, a za pieniądze z odszkodowania pojedziemy na paraolimpiadę. Kupię ci sportowy wózek. I psa przewodnika. Zawiozę cię na drugi koniec świata, żebyś poznała ludzi, którzy tak jak ty, wbrew wszelkim oczekiwaniom, dokonali wielkich rzeczy.



Udowodnię ci, że odmienność to nie wyrok śmierci, lecz hasło zagrzewające do boju. I zamiast łamać sobie kości, będziesz przełamywać kolejne ograniczenia.

Poruszyłaś palcami, powoli otworzyłaś oczy.

- Hej, mamusiu.

- Och, Willow - rozplakałam się. - Wystraszyłaś nas na śmierć.

- Przepraszam.

Uniosłam twoją zdrową dłoń, składając w jej wnętrzu pocałunek, jak cukierek, żebyś go miała, dopóki się nie rozpuści.

- Nie - szepnęłam - to ja cię przeproszam.

Sean, śpiący na krześle w kącie, poruszył się i wstał.

- Cześć. - Gdy zobaczył, że nie śpisz, twarz mu pojaśniała. - Jak się czuje moje maleństwo? - Przysiadł na skraju łóżka, odgarniając ci włosy z twarzy.

- Mamo?

- Słucham, kochanie.

Uśmiechnęłaś się wtedy szeroko; już od bardzo dawna nie widziałam u ciebie tak prawdziwego uśmiechu.

- Jesteście, razem - powiedziałaś, jakby tylko o to ci chodziło.

Zostawiwszy cię z Seanem, zesłam na parter, do holu, żeby oddzwonić do Marin, która nagrała mi już całą serię wiadomości na pocztę głosowej.

- No, nareszcie - wybuchnęła, słysząc mój głos. - Posłuchaj, Charlotte, mam wiadomości z ostatniej chwili: nie wolno wychodzić w środku rozprawy, a już kategorycznie zabrania się wychodzić, nie mówiąc swojemu adwokatowi, dokąd się idzie. Masz pojęcie, jaką zrobiłam z siebie idiotkę, kiedy sędzia zapytał, gdzie jest moja klientka, a ja nie wiedziałam?

- Musiałam pojechać do szpitala.

- Willow znów miała wypadek? Co sobie złamała?

- Tym razem się pocięła. Straciła dużo krwi, a lekarze podczas akcji ratowniczej złamali jej kilka kości, ale wszystko będzie w porządku. Zostaje na noc na obserwacji. - Wzięłam głęboki oddech. - Marin, nie mogę jutro przyjść do sądu. Muszę z nią zostać.

- Jeden dzień - odparła. - Na tyle mogę uzyskać odroczenie. I jeszcze... - Urwała. - Charlotte. Cieszę się, że już wszystko w porządku.

Jęknęłam ciężko, spazmatycznie.

- Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

Marin milczała przez chwilę.

- Żeby tylko Guy Booker tego nie usłyszał - ostrzegła mnie i rozłączyła się bez pożegnania.

Nie chciałam wracać do domu, bo tam musiałabym oglądać twoją krew. Wydawało mi się, że musi być wszędzie - na zasłonce pod prysznicem, na podłodze, w wannie. Zobaczyłam oczyma duszy, jak zmywam ją wybielaczem, który pali dłonie i parzy oczy, jak dziesiątki razy wyżymam nad umywalką czerwoną ścierkę, aż woda robi się różowa. Mogłabym szorować pół godziny, a w powietrzu dalej wisiałby zapach mojego lęku, strachu przed tym, że cię utracę.

Amelia siedziała na parterze w stołówce. Zostawiłam ją tam nad kubkiem gorącej czekolady i pudełkiem w kształcie stateczku, pełnym frytek.

- Hej - powiedziałam.

Uniosła się na krześle, prawie wstała. - Co z Willow...?

- Właśnie się obudziła.

Zrobiła taką minę, jakby miała zemdleć. Nic dziwnego, pomyślałam. Przecież to ona cię znalazła. I zadzwoniła po pogotowie.

- Mówiła coś? - zapytała Amelia.

- Nie bardzo. - Położyłam dłoń na jej dłoni. - Uratowałaś jej dzisiaj życie. Nie znam takich słów, które mogłyby wyrazić, jak bardzo jestem ci za to wdzięczna.

- No, chyba bym nie dała jej się wykrwawić - mruknęła, ale widziałam, że drży na całym ciele.

- Chcesz ją zobaczyć?

- Nie wiem, czy w tej chwili dam radę. Wciąż ją widzę w tej łazience... - Skuliła się w sobie jak młoda gałązka paproci, tak jak to robią nastolatki. - Mamo, a co by było, gdyby Willow umarła?

- Nawet o tym nie myśl.

- Ale nie teraz... nie dzisiaj, tylko kiedyś, dawno. Jak się urodziła. - Spojrzała na mnie, a ja zrozumiałam, że nie drażni się ze mną, tylko szczerze pyta o to, jak wyglądałoby jej życie bez niepełnosprawnej siostry, przez którą zawsze jest się na drugim miejscu.

- Nie umiem ci tego powiedzieć - przyznałam wprost. - Po prostu bardzo, bardzo się cieszę, że nie umarła. Ani wtedy, ani dzisiaj, przy czym to drugie dzięki tobie. I jej, i ciebie nie

chcę stracić tak samo bardzo.

Wstałam od stolika i czekając, aż Amelia wyrzuci niedojedzone frytki, zaczęłam się zastanawiać, czy psycholog, do którego cię zaprowadzimy, powie mi, że twój umysł jest nieodwracalnie skrzywiony i że to moja wina. Czy dowiem się, że podcięłaś sobie żyły, bo chociaż znałaś tak wiele słów, to żadnym z nich nie byłaś w stanie mnie powstrzymać, kiedy już zaczęłam działać. I skąd w ogóle wiedziałaś, że to właśnie w taki, a nie inny sposób można się wymeldować z tego świata.

W tym momencie odezwała się Amelia, jakby czytając mi w myślach.

- Mamo, wydaje mi się, że Willow wcale nie chciała się zabić.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo ona wie - Amelia zrównała się ze mną - że cała nasza rodzina trzyma się razem tylko dzięki niej.

## Amelia

Upłynęły całe trzy godziny, odkąd się obudziłaś, zanim zostawili mnie z tobą sam na sam. Mama i tata wyszli porozmawiać z doktorem, który się tobą zajmował, jednym z kilku. Spojrzałaś na mnie, wiedząc, że niedługo wszyscy zlecą się z powrotem.

- Nie bój się - powiedziałaś. - Nikomu nie powiem, że to była twoja żyletka.

W jednej chwili kolana tak mi zmiękły, że musiałam się złapać tej dziwacznej barierki, którą montują przy szpitalnych łózkach, jakby to były łóżeczka dla małych dzieci; gdyby nie ona, już leżałabym na ziemi.

- Po co ci to było? - syknęłam.

- Chciałam sprawdzić, jak to jest - odpowiedziałaś. - Wtedy, gdy zobaczyłam ciebie...

- Nie powinnaś tego widzieć.

- Ale widziałam. Byłaś wtedy... Nie wiem... Taka... szczęśliwa.

Kiedyś na biologii nauczycielka opowiedziała nam o kobiecie, która trafiła do szpitala, bo nie mogła niczego przełknąć, nawet kawałka jedzenia; podczas operacji okazało się, że ma w brzuchu kulę z włosów, wypełniającą dokładnie calutki żołądek. Jej mąż mówił potem, że owszem, widział czasami, jak żona żuje włosy,

ale nigdy by nie przypuszczał, że robi to na taką skalę i w ogóle nad tym nie panuje. Ja poczułam się wtedy tak samo: mój nałóg wypełnił mnie do ostatka i zakorzenił się tak mocno, że nie mogłam już nawet przełykać.

- Takie szczęście jest głupie - powiedziałam - a zrobiłam to dlatego, że nie umiem być szczęśliwa w normalny sposób. - Potrząsnęłam głową. - Wiesz co? Ty masz w życiu dokładnie przesrane, a jakoś nigdy cię to nie dołuje. A ja nawet nie potrafię się cieszyć, kiedy spotyka mnie coś dobrego. Jestem żalospną kretynką.

- Ja wcale tak nie myślę.

- Nie? - zaśmiałam się ponuro. - To kim jestem?

- Moją starszą siostrą - powiedziałaś po prostu.

Drzwi uchyliły się odrobinę. Usłyszałam głos taty, który dziękował lekarzowi. Szybko otarłam łzę.

- Nie próbuj być taka jak ja, Willow - szepnęłam. - Zwłaszcza że to właśnie ja starałam się naśladować ciebie.

Do pokoju weszli rodzice. Spojrzeli na ciebie, potem na mnie i z powrotem na ciebie.

- O czym rozmawiacie? - zapytał tata.

Zerknęliśmy na siebie z ukosa.

- O niczym - padła odpowiedź, jednogłośnie jak rzadko.

## Piper

- Nie idę jutro do sądu - powiedziałam Robowi, odkładając słuchawkę. Wciąż jeszcze nie mogłam się pozbierać po tym, co przed chwilą usłyszałam.

Rob znieruchomiał; jego widelec zawisł nad talerzem, w połowie drogi.

- Czy to ma znaczyć, że Charlotte w końcu nabrała rozumu i wycofała zarzuty?

- Nie. - Usiadłam obok Emmy, która bawiła się swoją porcją chińszczyzny, nic nie jedząc. Nie mogłam się zdecydować, ile mam powiedzieć przy niej, ale w końcu uznałam, że skoro jest już na tyle duża, żeby wiedzieć o procesie, to może usłyszeć całą prawdę. - Chodzi o Willow. Pocięła się żyletką, podobno całkiem mocno.

Rob upuścił widelec na stół.

- Jezu... - szepnął. - Chciała się zabić?

Dopóki nie powiedział tego na głos, taka myśl nie przyszła mi nawet do głowy, naprawdę. Przecież, na miłość boską, miałaś dopiero sześć i pół roku. Dziewczynkom w twoim wieku śnią się kucyki i Zak Efron, a nie śmierć, i to z własnej ręki. Z drugiej strony dzieje się jednak wiele takich rzeczy, które teoretycznie dźiać się nie powinny: trzmiel lata, łosoś płynie pod prąd, w górę strumienia. Rodzą się dzieci o szkielecie tak słabym, że nie może utrzymać ciężaru ciała. Najlepsze przyjaciółki stają do walki przeciwko sobie.

- Chyba nie myślisz... - Urwałam. - O Boże, Rob.

- Wyzdrowieje? - zapytała Emma.

- Nie wiem - powiedziałam szczerze. - Mam nadzieję, że tak.

- No, jeżeli teraz Charlotte nie zrozumie, że już cały kosmos ją prosi: „Opamiętaj się, kobieto”, to naprawdę nie wiem, co jej przemówi do rozsądku. Przecież Willow nigdy się nawet nie skarżyła.

- Przez rok wiele może się zmienić - zauważyłam.

- Zwłaszcza kiedy własna matka nie ma dla ciebie czasu, bo świat musi usłyszeć o jej biednej...

- Przestań - mruknęłam.

- Chcesz jej bronić?

- To była moja przyjaciółka.

- Była - powtórzył Rob. - Była, Piper.

Emma rzuciła na stół serwetkę - znak ostrzegawczy.

- Chyba wiem, dlaczego ona to zrobiła - wyszeptała.

Natychmiast oboje odwróciliśmy się do niej. Była blada, biała jak kreda, w oczach lśniły jej łzy.

- Wiem, że przyjaciółki mają sobie pomagać w kłopotach, ale teraz, kiedy już się z nią nie przyjaźnię...

- Z kim? Z Willow?

Emma potrząsnęła głową.

- Z Amelią. Widziałam raz, jak się cięła, w łazience dla dziewczyn. Po ręce, otwieraczem od puszek. Nie widziała mnie, a ja szybko uciekłam. Chciałam komuś powiedzieć, wam albo pedagogowi w szkole, ale wtedy to w sumie życzyłam jej, żeby umarła. Myślałam, że jej matka na to zasłużyła, no wiecie, za ten pozew do sądu. Ale nigdy bym nie pomyślała... nie chciałam, żeby Willow... - Tu już nie wytrzymała i zaczęła płakać. - Wszyscy to robią, wszyscy się tną. Pomyślałam, że Amelia po prostu musi przez to przejść, tak jak wtedy, kiedy zmuszała się do rzygania.

- Do czego?!

- Myślała, że nic nie wiem, a przecież kiedy u niej nocowałam, to wszystko było słychać. Czekala, aż zasnę, szła do łazienki i tam wymiotowała, tylko że ja nie spałam...

- Ale skończyła z tym?

Emma spojrzała na mnie.

- Nie pamiętam. - Głos miała bardzo cichy. - Tak mi się wydawało, może tylko dlatego, że przestałam się z nią kolegować.

- Po zdjęciu aparatu - dodał Rob - zauważyłem u niej spore ubytki szkliwa. To może wskazywać na picie dużych ilości słodzonych napojów... albo zaburzenie odżywiania.

Kiedy jeszcze byłam lekarzem, trafiła do mnie ciężarna bulimiczka. Gdy tylko udało mi się ją przekonać, żeby przestała wymiotować, bo to szkodzi dziecku, momentalnie zaczęła się ciąć. Skonsultowałam się ze specjalistą, który powiedział mi, że te dwa zaburzenia często idą w parze. W odróżnieniu od anoreksji, która opiera się na potrzebie bycia idealną w każdej chwili, bulimia ma korzenie w nienawiści do własnej osoby. Okaleczanie się, jak na ironię, to ratunek przed samobójstwem; za pomocą tego mechanizmu człowiek, który utracił już niemalże całą kontrolę nad własnym zachowaniem, potrafi się opanować. Podobnie jak napady obżarstwa i

późniejsze kompensacyjne wymioty, samookaleczanie dołącza do listy wstrętnych, małych sekretów, podsycając niechęć do samej siebie: chcę być inna, ale jestem taka, więc nie będę się lubić.

Trudno mi było nawet sobie wyobrazić, jak to jest żyć w domu, gdzie dziecko otrzymuje podprogowy przekaz, który mówi tyle: jeśli nie spełniasz oczekiwań, nie powinno cię w ogóle być.

Mogło się jeszcze okazać, że zaszło jedno wielkie nieporozumienie, że to, co zobaczyła Emma, to był pierwszy i ostatni raz, gdy Amelia próbowała zrobić sobie krzywdę, a diagnoza, którą Rob postawił od ręki, na poczekaniu, jest nieprawidłowa. Jednakże tak czy inaczej, jeśli zauważyło się niepokojące objawy, ma się chyba obowiązek o nich poinformować, prawda?

Boże jedyny... Przecież na tym właśnie opierał się cały ten pozew i proces. To było sedno sprawy.

- Nie chciałabyś wiedzieć - zapytał Rob cicho - gdyby chodziło o Emmę?

Uniosłam wysoko brwi.

- Chyba nie sądzisz, że Charlotte mi uwierzy, kiedy jej powiem, że jej córka ma poważny problem ze sobą?

Rob przekrzywił głowę.

- I może właśnie dlatego powinnaś spróbować.

Jadąc ulicami Bankton, układałam sobie w myślach systematyczną listę wszystkiego, co wiedziałam na temat Amelii O'Keefe.

Numer buta: dwadzieścia trzy i pół.

Nie lubi słodczy z czarną lukrecją.

Na łyżwach jeździ jak anioł; patrząc na nią, ma się wrażenie, że to nic trudnego.

Twarda. Występowała kiedyś w szkolnej rewii na lodzie i raz zrobiła cały program z dziurą w rajstopie i piętą otartą do krwi.

Zna na pamięć wszystkie piosenki z musicalu „Wicked”.

Sprząta po sobie ze stołu; Emmie muszę o tym przypominać.

Kiedy przychodziła do nas, pasowała do naszej trójki jak rodzona siostra Emmy, ba, w podstawówce prawie wszyscy nauczyciele wołali na nie „bliźniaczki”. Pożyczały sobie ciuchy, razem chodziły do fryzjera, spały na jednym wąskim tapczanie.

Być może źle zrobiłam, myśląc o Amelii jak o drugiej Emmie. To, że wiedziałam o niej



kilka konkretnych rzeczy, nie znaczyło jeszcze, że znam ją na wylot, ale przecież jej rodzice w obecnej chwili nie zwracali uwagi nawet na tych parę konkretów.

Nie miałam pojęcia, dokąd właściwie jadę, dopóki nie skręciłam w ulicę prowadzącą do szpitala. Zatrzymał mnie strażnik pilnujący szlabanu przed wjazdem. Opuściłam szybę.

- Jestem lekarzem - powiedziałam, co nie było do końca nieprawdą. Strażnik machnął ręką w kierunku parkingu.

Formalnie rzecz biorąc, wciąż miałam prawo tutaj przebywać, a personel z porodówki znałam na tyle dobrze, żeby móc spodziewać się zaproszenia na gwiazdkową imprezę. Jednakże w tej chwili było to dla mnie tak obce miejsce, że gdy rozsunęły się szklane drzwi, mieszanina szpitalnych zapachów - środki czyszczące plus utracona nadzieja - niemalże zwała mnie z nóg. Nie podjęłabym się jeszcze opieki nad prawdziwą pacjentką, ale udać czyjegoś lekarza mogłam, czemu nie. Zrobiwszy więc profesjonalną minę pod tytułem „zabiegana pani doktor”, podeszłam do wolontariuszki w starszym wieku, ubranej w różowy kitel.

- Jestem doktor Reece - przedstawiłam się. - Wezwano mnie na konsultację... do Willow O'Keefe. Proszę mi podać numer pokoju.

Było już po godzinach odwiedzin, a ponieważ nie miałam na sobie białego fartucha, pielęgniarki z pediatrii zatrzymały mnie przy dyżurce. Nie znałam żadnej z nich, co było mi jak najbardziej na rękę. Wiedziałam, oczywiście, jak nazywa się twój specjalista od OI.

- Doktor Rosenblad z Children's Hospital prosił mnie, żebyś obejrzała jego pacjentkę, Willow O'Keefe - oznajmiłam zasadniczym tonem, który zazwyczaj usypia dociekliwość oddziałowych. - Czy jej karta jest w przegrodce obok drzwi?

- Tak - odpowiedziała jedna z pielęgniarek. - A czy doktor Suraya ma przyjść?

- Doktor...?

- Lekarz prowadzący.

- Aha. Nie trzeba. To potrwa tylko parę minut - powiedziałam, ruszając szybko korytarzem, jakbym miała tysiąc spraw na głowie.

Drzwi do twojego pokoju były uchylone, a światło w środku przygaszone. Spałyście obydwie: ty na łóżku, a Charlotte na krześle obok, z książką w dłoni. Dostrzegłam tytuł: „Milion i jeden nieznanych faktów”.

Oprócz lewej nogi w szynach miałaś też unieruchomioną rękę. I klatkę piersiową w bandażach. Nie musiałam zaglądać do karty, żeby się domyślić, ile nowych urazów kosztowało

uratowanie ci życia.

Pochyliłam się bezszelestnie i pocałowałam cię w czubek głowy. Porem wyjęłam z ręki Charlotte książkę, by odłożyć ją na stolik obok łóżka. Wiedziałam, że się nie obudzi; miała bardzo mocny sen. Sean mawiał, że jego kobieta chrapie jak stary doker, ale chociaż odbyliśmy razem kilka rodzinnych wyjazdów, to zdarzyło mi się słyszeć tylko jakieś jej ciche poświsty. Zawsze mnie ciekawiło, czy chodzi o to, że kiedy spali we dwoje, nie musiała się przy nim krępować, czy może o to, że ja rozumiałam ją zupełnie inaczej niż on.

Charlotte mruknęła coś przez sen i zaczęła się wiercić, a ja zamarłam jak jeleń w światłach nadjeżdżającego samochodu. Dotarłam aż tutaj - ale czego się spodziewałam? Że Charlotte nie będzie spać przy twoim łóżku? Że przyjmie mnie z otwartymi ramionami, kiedy powiem, jak bardzo się o ciebie martwię? Może właśnie po to przejechałam taki szmat drogi - żeby sprawdzić na własne oczy, czy wylizesz się z tego, zobaczyć cię chociaż przez chwilę. Kiedy Charlotte się obudzi, pomyślałam, być może poczuje zapach moich perfum i pomyśli, że się jej przyśniłam. Może przypomni sobie, że usnęła z książką w dłoni i będzie się zastanawiać, kto ją odłożył.

- Będzie dobrze - szepnęłam. - Dacie radę.

I wyszłam; przemykając się szpitalnymi korytarzami, zrozumiałam, że to nie było tylko do nich, ale do mnie też.

## Sean

Guy Booker zaskoczył mnie - pojawił się kilka minut po dziewiątej wieczorem i poinformował, że sędzia na prośbę powódki ogłosił jednodniowe odroczenie rozprawy, więc następnego dnia nie wezwie mnie do złożenia zeznań.

- To dobrze - ucieszyłem się - bo Willow jeszcze nie wyszła ze szpitala. Charlotte u niej została, a ja wróciłem do domu z Amelią.

- Jak ona się czuje?

- Da sobie radę. Już taka jest, że łatwo się nie poddaje.

- Posłuchaj, wiem, jak przeżyłeś ten wypadek - powiedział adwokat - ale zdajesz sobie sprawę, że bardzo nam to pomoże? Już za późno, żeby powiedzieć, że to ten proces popchnął Willow do samobójstwa, chociaż z drugiej strony, gdyby teraz umarła, to... - Urwał nagle, kiedy złapałem go za kołnierz i przycisnąłem do ściany.

- Dokończ, słucham - warknąłem.

Booker zbladł.

- Gdyby umarła, nie byłoby odszkodowania, to chciałeś powiedzieć, sukinsynu?

- Jeśli tobie to przyszło do głowy, to ławnicy pomyślą tak samo - wycharczał. - To wszystko.

Puściłem go i odwróciłem się plecami.

- Wynoś się z mojego domu.

Miał na tyle rozumu, żeby zniknąć, nie odzywając się już ani słowem. Tylko że niecałą minutę później znów odezwał się dzwonek.

- Spieprzaj, mówiłem ci - wycedziłem, otwierając, ale to nie był Booker. Na ganku stała Piper Reece.

- To ja... To ja pójdę...

Potrząsałem głową.

- Myślałem, że to ktoś inny.

W jednej chwili obojgu nam stanął przed oczami tamten pocałunek w sądzie i każde z nas cofnęło się o krok.

- Sean, muszę z tobą porozmawiać - powiedziała Piper.

- Powiedziałem, zapomnij...

- Nie chodzi o nas, tylko o twoją córkę. Wydaje mi się, że jest chora na bulimię.
- Nie na bulimię, tylko na OI.
- Masz jeszcze drugą córkę, Sean. Amelię.

Staliśmy w otwartych drzwiach, trzęsąc się z zimna. Odsunąłem się, zapraszając ją gestem do środka. Przystanąła w przedpokoju, wyraźnie skrępowana.

- Amelia nie jest chora - powiedziałem.

- Bulimia to zaburzenie odżywiania, co oznacza, że chory starannie się kryje. Emma słyszała kiedyś, późno w nocy, jak Amelia wymiotowała, a podczas ostatniej wizyty Rob zauważył ubytki szkliwa na powierzchni zębów. Częste wymioty mogły do tego doprowadzić. Jeżeli masz do mnie pretensję, że mówię ci coś takiego i to wiadomo w jakim momencie, to trudno. Wolę uratować Amelię niż żyć ze świadomością, że mogłam coś zrobić, a nie zrobiłam nic.

Obejrzałem się na schody wiodące na piętro. Amelia była pod prysznicem, tak przynajmniej sądziłem. Powiedziała, że nie wejdzie do waszej łazienki i wykąpie się w drugiej, przy naszej sypialni. Posprzątałem u nich, usuwając wszystkie ślady tego, co się stało, ale i tak się bała.

Zawód policjanta co jakiś czas zmusza do zastanowienia się, w którym momencie dobry rodzic musi odmówić dziecku prawa do prywatności. Widziałem w życiu dość smarkaczy, którym na pierwszy rzut oka nie miałbyś nic do zarzucenia, aresztowanych za narkotyki, kradzież albo wandalizm, żeby wiedzieć jedno: ludzie nigdy nie są tacy, jak by się mogło wydawać, zwłaszcza pomiędzy trzynastym a osiemnastym rokiem życia. Nigdy nie mówiłem o tym Charlotte, ale czasami zdarzyło mi się przeglądać szuflady Amelii - chciałem sprawdzić, czy czegoś nie ukrywa. Nigdy niczego nie znalazłem, ale szukałem narkotyków, alkoholu - coś takiego jak zaburzenia odżywiania nie przyszłoby mi w ogóle do głowy. Nie wiedziałbym nawet, czego właściwie mam szukać.

- Amelia nie jest chuda - powiedziałem. - Może Emma coś pokręciła.

- Bulimiczka się nie głodzi. Najpierw je do oporu, a potem zwraca. W ten sposób się chudnie. To jeszcze nie wszystko. Emma widziała, w szkolnej łazience, jak Amelia się cięła.

- Cięła? - powtórzyłem.

- Kaleczyła, czymś podobnym do żyłki - wyjaśniła Piper, a ja w końcu zrozumiałem. -

Idź i porozmawiaj z nią, Sean.

- I co mam jej powiedzieć? - zapytałem, ale ona już zniknęła za drzwiami.

Amelia się kąpała, a ja nasłuchiwałem szumu wody w rurach. Rury... Cztery razy w tym roku wzywaliśmy do nich hydraulika, bo wciąż ciekły. Powtarzał nam, że to musi być jakiś kwas, jednak wtedy takie wytłumaczenie nie miało najmniejszego sensu.

Wymiociny są kwaśne jak diabli.

Poszedłem na górę, do pokoju, który dzieliłaś ze swoją starszą siostrą. Jeśli Amelia naprawdę miała bulimię, to czy w domu nie powinno znikać jedzenie? Usiadłem przy biurku i zacząłem grzebać w szufladach, ale znalazłem tam tylko gumę do żucia i kilka starych klasówek. Amelia zawsze miała same piątki. Jakim sposobem dziecko tak pracowite, które świetnie sobie radzi z tyloma rzeczami, mogło aż tak się pogubić?

Dolna szafka w biurku nie chciała się domknąć. Wysunąłem ją, zdejmując z prowadnic; z tyłu było upchnięte opakowanie czterolitrowych torebek z zamknięciem. Po co Amelii torebki w pokoju,

kiedy mogła je wziąć ze spiżarki? I to jeszcze tak starannie schowane? W następnej kolejności sprawdziłem łóżko. Ściągnąłem z niego kołdrę, ale pod spodem był tylko stary, liniejący łoś-przytulanka, z którym Amelia spała, odkąd poznałem Charlotte. Przyklęknąwszy obok łóżka, wsunąłem dłonie pod materac.

Sypnęły się całymi garściami: podarte papierki po cukierkach, foliowe torebki po chlebie, puste opakowania po ciastkach i krakersach. Sfrunęły mi do stóp niczym stado motyli z plastiku. Na drugim końcu materaca, tam gdzie leży poduszka, znalazłem upchnięte atlasowe staniki - wszystkie z metkami, wszystkie o wiele za duże dla Amelii - kosmetyki do makijażu z nalepkami sieciowej drogerii i sztuczną biżuterię, nawet nierozpakowaną.

Usiadłem ciężko na podłodze, otoczony mrowiem dowodów, na które do tej pory zamykałem oczy.

## Amelia

Wróciłam do pokoju cała mokra, w samym ręczniku, marząc tylko o tym, żeby przebrać się w piżamę i wskoczyć do łóżka, starając się wymazać ten dzień z pamięci, ale nie: na środku pokoju siedział tata. Na podłodze.

- Możesz wyjść? - poprosiłam. - Nie jestem ubrana...

Kiedy się odwrócił, bo był tyłem do mnie, zobaczyłam stos rzeczy, nad którym się pochylał.

- Co to ma znaczyć? - zapytał.

- No dobra, jestem ostatnia fleja. Posprzątam...

- Ukradłaś to? - Tata podniósł z podłogi garść kosmetyków i biżuterii. To wszystko było straszne badziewie: cienie i szminki w masakrycznych kolorach, kolczyki i naszyjniki dla starych babć. A jednak kiedy ściągałam je z półek, upychając po kieszeniach, czułam się jak jakaś superbohaterka.

- Nie - skłamałam w żywe oczy.

- To dla kogo ten stanik? - Pokazał. - Trzydzieści sześć D.

- Dla przyjaciółki. - I tym się zdradziłam; przecież tata wiedział, że ja nie mam przyjaciół.

- Wiem o wszystkim - poinformował mnie, wstając ociężale z podłogi.

- To może mi powiesz. Bo naprawdę nie rozumiem, dlaczego urządzasz mi przesłuchanie, kiedy jestem mokra i zimno mi jak...

- Zmusiłaś się do wymiotów przed wejściem pod prysznic?

Prawda trysnęła mi na policzki palącym rumieńcem. Prysznic był do tego idealny, bo szum wody zagłuszał odgłosy. Miałam takie sztuczki w jednym palcu. Mimo to spróbowałam obrócić wszystko w żart.

- No, jasne, że tak! Codziennie to robię przed prysznicem. Dlatego właśnie noszę rozmiar jedenaście, a cała moja klasa rozmiar zero...

Tata zrobił krok w moją stronę. Owinęłam się ciasniej ręcznikiem.

- Przestań kłamać - powiedział. - Dość już tego.

Przyciągnął mnie do siebie i złapał za rękę. Przestraszyłam się, że chce zerwać ręcznik, ale to było o wiele gorsze, bardziej upokarzające: obejrzał mi ramiona i uda, pokryte blednącymi drabinkami blizn.

- Widziała, jak to robiłam. - Nie musiałam wyjaśniać, że mówię o tobie.

- Jezu Chryste! - zagrział tata. - Po co ci to było, Amelia? Czemu nie przyszłaś do nas, jeśli czułaś się tak źle?

Ale założyłam się, że dobrze wiedział, czemu. Wybuchnęłam płaczem.

- Nie chciałam zrobić jej krzywdy, tylko sobie.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. Bo tylko to umiem robić dobrze.

Tata wziął mnie pod brodę, zmusił, żebym spojrzała mu w oczy.

- Jestem na ciebie zły nie dlatego, że cię nienawidzę - powiedział przez ściśnięte gardło - tylko dlatego, że cię kocham, do diabła.

I przytulił mnie mocno. Dzielił nas tylko ten ręcznik, ale się nie bałam ani nie wstydziałam; po prostu tak było i już.

- Koniec z tym, słyszysz? - rozkazał. - Wyleczysz się, są specjalne terapie. A dopóki sobie z tym nie poradzisz, będę nad tobą czuwał. Będę cię pilnował jak pies.

Im bardziej się wydzierał, tym mocniej mnie tulił. Najdziwniejsze było to, że kiedy już stało się najgorsze i mój sekret się wydał, nie robiłam z tego żadnej tragedii. To było w sumie nieuniknione. Ojciec się wściekał, ale ja nie mogłam przestać się uśmiechać. Widzisz mnie, pomyślałam, zamykając oczy. Ty mnie widzisz.

## Charlotte

Tej nocy, gdy zasnęłam na krześle obok twojego łóżka, śniła mi się Piper. Znów byłam z nią na Plum Island i pływałyśmy na deskach surfingowych, ale tym razem woda miała kolor krwi, który zostawał na włosach i skórze. Przyniosła mnie do plaży fala tak majestatyczna i potężna, że wstrząsnęła całym wybrzeżem. Obejrzałam się: Piper leżała na kamieniach przetykanych morskimi szkiełkami, tarmoszona przez napierającą wodę.

- Charlotte! - zawołała. - Pomóż mi!

Ale ja odeszłam stamtąd, chociaż ją słyszałam. Obudził mnie Sean, który stał nade mną, potrząsając mnie za ramię.

- Hej - szepnął na powitanie, patrząc na ciebie. - Przespała całą noc?

Przytaknęłam, kręcąc głową, żeby rozciągnąć zeszywniałe mięśnie karku. I wtedy zobaczyłam, że za nim stoi Amelia.

- Nie zawiozłeś jej do szkoły?

- Musimy pogadać, we trójkę - oznajmił Sean tonem nieznoszącym sprzeciwu. Spojrzał na ciebie jeszcze raz; spałaś głęboko. - Możesz ją zostawić na kilka minut? Napijemy się kawy.

Poinformowałam pielęgniarki, że wychodzę, i ruszyliśmy do windy. Amelia potulnie dreptała za nami. Coś między nimi zaszło, tylko co, do diabła?

W stołówce Sean nalał kawę dla mnie i dla siebie, a Amelia wzięła do ręki dwie paczuszki: w jednej były cheerios, w drugiej chrupkie płatki cytrynowe. Jakoś nie mogła się zdecydować. Usiedliśmy przy stoliku. O tak wczesnej godzinie przestronna sala pełna była stażystów zjadających banany i popijających latte przed obchodem.

- Muszę iść do łazienki - powiedziała Amelia.

- Nie - odparł Sean kategorycznie.

- Jeśli masz coś do powiedzenia, to możesz chyba poczekać, aż ona wróci... - zaczęłam.

- Powiedz mamie, dlaczego nie możesz iść do łazienki.

Amelia wbiła wzrok w swoją pustą miskę.

- Tata się boi... że znowu będę rzygać.

Spojrzałam na niego, zdziwiona.

- Ona jest chora? To coś wirusowego?

- Nie. To bulimia - odparł Sean.



Zesztywniałam, przyrosłam do krzesła. Wykluczone, musiałam się przestyszeć.

- Amelia nie ma bulimii. Chyba coś byśmy o tym wiedzieli.

- Tyle samo wiedzieliśmy o tym, że od roku się tnie żyletkami, które kradnie po sklepach razem z kupą innego badziewia. No, ale teraz już wiemy. Wiemy też, skąd Willow miała żyletkę.

Otworzyłam szeroko usta.

- O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

- No właśnie. - Sean zdjął łokcie ze stołu, wyprostował się na swoim krześle. - Ja też tego nie rozumiem, Nie mieści mi się w głowie, że dziewczyna, która ma dwójkę kochających rodziców i całkiem niezłe życie, może nienawidzić się do tego stopnia, żeby robić takie rzeczy.

Odwróciłam się do Amelii.

- Czy to prawda?

Zakłuło mnie serce, kiedy skinęła głową. Byłam ślepa - czy może po prostu tak pochłonięta tobą i twoimi wypadkami, że nie zauważyłam dramatu mojej starszej córki?

- Wczoraj wieczorem była u nas Piper. To ona powiedziała mi,

że z Amelią może być coś nie tak. Dopiero Emma musiała zwrócić na to uwagę, bo my niczego nie widzieliśmy, chociaż zdarzało się to nieraz.

Piper. Na dźwięk tego imienia zamarłam w drżącym, szklanym bezruchu.

- Przyjechała do nas? I wpuściłeś ją do domu?

- Charlotte, na miłość boską...

- Piper nie można wierzyć. Równie dobrze to mógł być podstęp, żeby nakłonić nas do wycofania zarzutów. - Kołatało mi się po głowie, że Amelia do wszystkiego się przyznała, ale pamiętałam to jak przez mgłę; oczyma duszy widziałam tylko Piper, u mnie w domu, jak zgrywa idealną matkę, wykorzystując moją porażkę na tym polu.

- Wiesz co? Zaczynam rozumieć Amelię - mruknął Sean. - Ty już kompletnie nad sobą nie panujesz.

- No pięknie. Widzę, że wszystko jest po staremu - odgryzłam się. - Zwal całą winę na Charlotte. Wtedy sam możesz mieć czyste ręczki.

- Nie przyszło ci do głowy, że na tym świecie są jeszcze inni ludzie, których los nie rozpieszcza? - zapytał.

- Przestańcie!!

Krzyk Amelii zamknął nam usta. Zobaczyliśmy, że przyciska dłonie do uszu, a oczy ma

pełne łez.

- Przestańcie - powtórzyła.

- Przepraszam, kochanie. - Wyciągnęłam do niej rękę, ale odsunęła się ode mnie.

- Wcale nie jest ci przykro. Ty tylko się cieszysz, że tym razem to nie Willow. Nikt inny cię nie obchodzi - rzuciła mi Amelia prosto w twarz. - Chcesz wiedzieć, dlaczego się tnę? Bo cięcie mniej boli niż to.

- Amelia...

- Przestań udawać, że cię obchodzę, dobrze?

- Ja nie udaję.

Rękaw podjechał jej do góry; na przedramieniu dostrzegłam blizny. Biegły wzdłuż, aż do łokcia, jak znaki jakiegoś szyfru. Przypomniałam sobie, jak latem Amelia upierała się, żeby chodzić w bluzeczkach z długimi rękawami, chociaż na dworze było ponad trzydzieści stopni. Szczerze mówiąc, wzięłam to za oznakę wrodzonej skromności; podobało mi się, że w czasach, kiedy dziewczyny chodzą prawie nago, moja córka chce zakrywać ciało. Nie przyszło mi nawet do głowy, że to nie wstyd, tylko zwykłe wyrachowanie.

A ponieważ nie umiałam znaleźć słów - zresztą w tamtej chwili Amelia z pewnością nie chciałaby mnie słuchać - ponownie wyciągnęłam do niej rękę. Tym razem się nie bronila. Ujęłam ją za nadgarstek, wspominając, ile to razy w dzieciństwie przybiegała z płaczem do domu, gdy przewróciła się na rowerze, a ja sadzałam ją na stole w kuchni, czyściłam otarte kolano z powbijanego żwiru i zaklejałam plasterkiem, całując, żeby się lepiej goiło. Potem stanęła mi przed oczami inna scena: zakładałam ci na złamaną nogę zaimprovizowane łubki ze zwiniętej gazety, a Amelia stoi obok, załamuje ręce i mówi: „Pocałuj, to się zagoi”. Podsunęłam więc jej rękaw jeszcze wyżej i przycisnęłam wargi do tych białych kresczek, które były jak podziałka na miarce kuchennej, jak karby - i każdy z nich oznaczał jedną moją porażkę.

## Piper

Następnego dnia Sean wziął Amelię ze sobą do sądu. Widziałam, jak idzie z nią do tej samej salki, w której poprzednio się chował. Pomyślałam, że pewnie wciąż jeszcze jesteś w szpitalu i że w tej konkretnej sytuacji twój wypadek to mógł być prawdziwy uśmiech losu.

Miałam świadomość, iż wszyscy przysięgli czekają na moje zeznanie, że wpłynie ono na ich decyzję: uznać skargę czy ją odrzucić. Guy Booker zaczął od przesłuchania dwóch położników, którzy przejęli po mnie praktykę. Mieli oni dać mi referencje i owszem, przyznali, że jestem świetnym lekarzem i że dotąd nikt jeszcze nie podał mnie do sądu, a nawet przypomnieli, że jedna z regionalnych gazet przyznała mi ogólnostanowy tytuł Najlepszego Położnika Roku. Błąd w sztuce lekarskiej, oznajmili, to kompletnie absurdalny zarzut.

Apotem przyszła moja kolej. Guy wypytywał mnie przez bite trzy kwadransy: o wykształcenie medyczne, miejsce w lokalnej społeczności, o rodzinę. Ale kiedy tylko zagadnął o Charlotte, momentalnie poczułam zmianę atmosfery w sali rozpraw.

- Powódka zeznała, że byliście panie przyjaciółkami - powiedział. - Czy to prawda?

- Najlepszymi - przytaknęłam, a ona uniosła głowę, bardzo powoli. - Znamy się od dziewięciu lat. To dzięki mnie Charlotte poznała swojego męża.

- Czy wiedziała pani, że starają się o dziecko?

- Tak i jeśli mam być szczerą, bardzo zależało mi na tym, żeby im się udało, chyba nawet nie mniej od nich samych. Kiedy Charlotte poprosiła mnie, żebym przyjęła ją jako pacjentkę, całymi miesiącami razem pilnowaliśmy jej cyklu, próbując zwiększyć szanse zapłodnienia na wszelkie możliwe sposoby, wyjąwszy tylko leki na bezpłodność. Tak więc wiadomość o jej ciąży sprawiła nam obu olbrzymią radość.

Booker wręczył mi plik papierów, zgłosiwszy je najpierw do materiału dowodowego.

- Doktor Reece, czy poznaje pani te zapiski?

- Owszem. To są moje notatki do dokumentacji medycznej Charlotte O'Keefe.

- Pamięta je pani?

- Niezbyt dobrze. Przeglądałam je, oczywiście, przygotowując się do rozprawy, nie było tam nic niezwykłego, nic, co wcześniej mogłabym przeoczyć.

- To tam jest napisane? - zapytał Booker.

Przeczytałam:

- „Kość udowa na szóstym centylu, krótka, w granicach normy. Struktury mózgu płodu wyjątkowo dobrze widoczne”.

- Czy takie wyniki należą do rzadkości?

- Są rzadkie - przyznałam - ale nie niespotykane. Aparat do USG był nowy, a płód, poza tymi dwoma szczegółami, wyglądał prawidłowo. W osiemnastym tygodniu ciąży byłam przekonana, że dziecko Charlotte urodzi się zdrowe - właśnie dzięki temu badaniu.

- Czy zaniepokoił panią fakt, że struktury wewnątrzczaszkowe były tak dobrze widoczne?

- Nie - odparłam. - Uczy się nas, że mamy zwracać uwagę na nieprawidłowości, nie na coś, co wygląda zbyt dobrze.

- Czy na innych obrazach USG ciąży Charlotte O'Keefe zauważyła pani jakieś nieprawidłowości?

- Tak. Było to podczas badania, które zrobiliśmy w dwudziestym siódmym tygodniu. - Obejrzałam się na Charlotte,

przypominając sobie chwilę, gdy chciałam wymazać z monitora to, co na nim zobaczyłam, a żołądek zbił mi się w twardą kulę na myśl, że to ja będę musiała powiedzieć im o wszystkim. - Zauważyłam wtedy gojące się złamania kości udowej i piszczelowej oraz zgrubienia na żebrach.

- I co pani wtedy zrobiła?

- Powiedziałam Charlotte, że musi iść do innego lekarza, specjalisty perinatologa, dysponującego sprzętem koniecznym w przypadku ciąży wysokiego ryzyka.

- A zatem to badanie USG z dwudziestego siódmego tygodnia dostarczyło pierwszych powodów do niepokoju o zdrowie dziecka powódki?

- Tak.

- Pani doktor, czy u którejsz z pani poprzednich pacjentek wykryto nieprawidłowo rozwijający się płód?

- Zdarzyło się to kilka razy - przyznałam.

- Czy doradzała pani jakiejś parze przerwanie ciąży?

- Kiedy wady rozwojowe zagrażały życiu dziecka, wspominałam rodzicom także o takim rozwiązaniu.

Zdarzyło mi się kiedyś, że stwierdziłam wodogłowie u płodu w trzydziestym drugim tygodniu; płynu mózgowo-rdzeniowego zebrało się tyle, że nie było mowy o porodzie siłami

natury, zresztą dziecko i tak nie miało szans na przeżycie. W grę wchodziła wyłącznie cesarka, ale główka była tak wielka, że nacięcie zniszczyłoby macicę matki, a ciężarna była młoda i jeszcze nigdy nie rodziła. Przedstawiłam jej możliwości do wyboru i ostatecznie odciągnęliśmy nadmiar płynu, nakłuwając główkę igłą, co spowodowało krwotok śródczaszkowy. Dziecko urodziło się w sposób naturalny i zmarło kilka minut później. Pamiętam, że przyjechałam wieczorem do Charlotte z butelką wina i oznajmiłam, że muszę się napić, bo miałam ciężki dzień. Usnęłam potem u niej na kanapie; rano obudziła mnie, stawiając na stoliku kubek kawy i wręczyła mi proszki od bólu głowy, która, oczywiście, pękała mi na kawałki.

- Biedna Piper - westchnęła. - Nie uratujesz wszystkich.

Dwa lata później ta sama para wróciła do mnie; tym razem ich dziecko, dzięki Bogu, urodziło się zdrowe jak rydz.

- Dlaczego w przypadku pani O'Keefe nie doradziła pani przerwania ciąży? - zapytał Guy Booker.

- Nic nie wskazywało ze stuprocentową pewnością, że jej dziecko będzie upośledzone - odpowiedziałam - a poza tym wiedziałam, że Charlotte nie będzie chciała słyszeć o usunięciu ciąży.

- Dlaczego?

Wybacz mi, pomyślałam, oglądając się na nią.

- Powód był ten sam co wcześniej, kiedy nie zgodziła się na amniopunkcję, aby zweryfikować podwyższone ryzyko zespołu Downa - wyjaśniłam. - Już wtedy powiedziała mi, że chce urodzić to dziecko za wszelką cenę.

## Charlotte

Trudno było słuchać, jak Piper opowiada ze szczegółami o naszej przyjaźni. Coś mi mówiło, że ona tak samo się czuła, kiedy to ja składałam zeznania.

- Czy po porodzie utrzymywała pani bliski kontakt z powódką? - zapytał Guy Booker.

- Tak. Widywałyśmy się raz albo dwa razy w tygodniu. Nasze córki bawiły się razem.

- Co panie wspólnie robiły?

Boże, co myśmy robiły? Zresztą nieważne. Piper była taką przyjaciółką, z którą nie trzeba koniecznie gadać o byle czym. Z nią wystarczyło po prostu być. Wiedziała, że czasami tego właśnie potrzebuję: nie troszczyć się o nic i o nikogo, trwać we własnej przestrzeni, tuż obok niej. Przypomniałam sobie, jak kiedyś powiedziałyśmy naszym mężom, że Piper została zaproszona na konferencję w Bostonie, w hotelu Westin Copley Place, a ja mam jechać z nią i wygłosić referat o wychowaniu dziecka chorego na OI. W rzeczywistości nie było żadnej konferencji. Wynajęłyśmy pokój w Westinie, zamawiając jedzenie i obsługę, a potem obejrzałyśmy w telewizji trzy cukiernicze filmy z rzędu, aż oczy same nam się zamknęły.

Rachunek zapłaciła Piper. Zawsze za wszystko płaciła - za wspólny lunch, za kawę, za drinki u Maxiego Pod Paskiem. Gdy tylko próbowałam się postawić, kazała mi natychmiast chować portfel, mówiąc, że ją na to stać. Obie dobrze wiedziałyśmy, jak wygląda druga strona medalu: ja nie mogłam sobie pozwolić na takie wydatki.

- Czy powódka dała kiedyś do zrozumienia, że ma do pani pretensję za to, że jej córka przyszła na świat?

- Nigdy - odparła Piper - a nie dalej jak tydzień przed doręczeniem pozwu byłyśmy jeszcze razem na zakupach.

W przerwie pomiędzy obkupieniem Emmy i Amelii przymierzałyśmy tę samą czerwoną bluzkę; ku mojemu wielkiemu zdziwieniu obie wyglądałyśmy w niej zabójczo. Piper proponowała, żebyśmy obie kupiły sobie po jednej i przebrały się w domu, żeby sprawdzić, czy mężowie nas odróżnią.

- Pani doktor - zapytał Booker - co ten pozew zmienił w pani życiu?

Piper wyprostowała się lekko na krześle dla świadka. Wiedziałam, że nie jest najwygodniejsze; od oparcia bolały plecy i myślało się tylko o tym, żeby być gdzieś indziej.

- Nigdy jeszcze nikt nie pozwał mnie do sądu - odpowiedziała. - To dla mnie pierwsza

taka sytuacja. Po tym oskarżeniu zaczęłam w siebie wątpić, chociaż wiem, że nie popełniłam żadnego błędu. Przeszłam pracować w zawodzie. Za każdym razem, kiedy próbuję do niego wrócić... Cóż, po prostu coś mnie odpycha. Chyba już zrozumiałam, że nawet jeśli jest się dobrym lekarzem, czasem zdarzy się coś złego. Nikt nie życzy sobie nieszczęścia, ale czasami nie wiadomo, dlaczego stało się tak, jak się stało. - Spojrzała prosto na mnie, z taką mocą, że aż przeszły mnie ciarki. - Brakuje mi dawnej pracy - powiedziała - jednak o wiele bardziej brakuje mi mojej najlepszej przyjaciółki.

- Marin - szepnęłam nagle, a moja adwokatka pochyliła ku mnie głowę. - Marin, nie rób tego.

- Czego?

- Nie... Nie dobijaj jej.

Uniosła brew, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

- Chyba żartujesz - mruknęła.

- Świadek do dyspozycji oskarżenia - oznajmił Booker, a Marin wstała z miejsca.

- Czy to przypadkiem nie jest sprzeczne z etyką lekarską, kiedy pacjent jest osobistym znajomym swojego lekarza?

- Nie w miasteczku tak małym jak Bankton - odparła Piper. - Gdyby rzeczywiście tak było, w ogóle nie miałabym pacjentek. Wycofałam się jednak, kiedy tylko stało się jasne, że wystąpiły komplikacje.

- Dlaczego? Bo wiedziała pani, że na panią spadnie cała wina?

- Nie. Bo tak należało zrobić.

Marin wzruszyła ramionami.

- Skoro tak należało zrobić, dlaczego nie wezwała pani specjalisty w osiemnastym tygodniu ciąży pani O'Keefe, kiedy owe komplikacje po raz pierwszy dały znać o sobie?

- Na tym USG nie było żadnych komplikacji - powiedziała Piper.

- Biegli wypowiedzieli się inaczej. Słyszała pani, co mówił doktor Thurber: w podobnym przypadku należy co najmniej skierować pacjentkę na ponowne, kontrolne USG.

- Z całym szacunkiem, ale nie zgadzam się z opinią doktora Thurbera.

- Hm. Ciekawe, kogo posłuchałaby w tym wypadku prawdziwa pacjentka: specjalisty o ustalonej reputacji, wielokrotnie nagradzanego i cytowanego w literaturze fachowej... czy lekarki z małego miasteczka, która od ponad roku nie przepracowała ani godziny w zawodzie.

- Sprzeciw, wysoki sędzie - odezwał się Guy Booker. - To nie było pytanie, a ponadto moja klientka nie musi znosić tutaj obelg.

- Cofam te słowa. - Marin zbliżyła się do Piper, postukując piórem w otwartą dłoń. - Była pani najlepszą przyjaciółką Charlotte, zgadza się?

- Tak.

- O czym panie rozmawiały?

Piper uśmiechnęła się lekko.

- O wszystkim. Bez różnicy. O dzieciach, o nierealnych marzeniach. O tym, że każda z nas czasami ma ochotę zamordować swojego męża.

- Ale o przerwaniu tej ciąży nigdy jakoś się nie zgadało?

W kwestionariuszu, który Marin przysłała mi przed procesem, napisałam, że Piper nie rozmawiała ze mną o usunięciu ciąży. I do tej pory byłam pewna, że pamięć mnie nie zawodzi. Lecz pamięć jest jak tynk: zerwij go, a okaże się, że pod spodem jest zupełnie co innego.

- Otóż właśnie się zgadało - oznajmiła Piper.

Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, mimo to jednak nie dotykałyśmy się zbyt często. Od czasu do czasu zdarzał się jakiś szybki uścisk czy klepięcie w plecy, ale nigdy nie byłyśmy jak dwie nastolatki, które wszędzie muszą się kleić do siebie. Dlatego właśnie tak dziwnie mi było siedzieć na tej kanapie w objęciach Piper i wyplakiwać się jej na ramieniu. Była ptasio koścista, gdy ja tymczasem oczekiwałam od niej siły i zaciekłości.

Otuliłam dłońmi mój brzuch jak pełna misa.

- Nie chcę, żeby ona cierpiała - załkałam.

- A ja nie chcę, żebyś ty cierpiała - westchnęła Piper.

Przypomniała mi się rozmowa z Seanem, poprzedniego dnia, po wyjściu od genetyka, który powiedział nam, że w najgorszym razie masz śmiertelną postać OI, a w najlepszym - ostrą i deformującą. Znalazłam mojego męża w garażu; szlifował papierem ściernym poręczę kołyski, którą robił dla ciebie. „Miękkie jak masło - powiedział, podając mi kawałek drewna - Sama zobacz”. Ale mnie to drewno przypominało kość; nie mogłam się zmusić, żeby wziąć je do ręki.

- Sean nie zgadza się na zabieg - powiedziałam Piper.

- To nie on jest w ciąży.

Zapytałam ją, jak taki zabieg wygląda, prosząc o szczerość. Wyobrażałam sobie podróż samolotem: zaciekawione stewardesy dopytują się, kiedy mam termin i czy to będzie chłopiec



czy dziewczynka, a potem, w drodze powrotnej, unikają mojego wzroku.

- Co ty byś zrobiła? - zapytałam Piper.

- Zastanowiłabym się, czego najbardziej się boję - odpowiedziała po chwili wahania.

I wtedy spojrzałam na nią, mając na końcu języka pytanie, którego nie odważyłam się zadać ani Seanowi, ani doktor Del Sol, ani nawet sobie samej.

- A jeśli jej nie pokocham? - wyszeptałam.

Piper uśmiechnęła się do mnie.

- Och, Charlotte - powiedziała. - Ty już ją kochasz.

## Marin

Obrona wezwała na świadka doktor Giannę Del Sol, aby wykazać, że nawet specjalista, gdyby od samego początku zajmował się Charlotte O'Keefe, nie zrobiłby nic innego niż to, co zrobiła Piper Reece. Ale kiedy przed ławą przysięgłych zasiadł doktor R. Romulus Wyndham, położnik i bioetyk z referencjami, których samo odczytanie trwało pół godziny, zaczęłam się martwić. Był inteligentny, a do tego przystojny jak gwiazdor filmowy. Ławnicy jedli mu z ręki.

- Zdarza się, że wcześniej przeprowadzone testy na obecność wad wrodzonych dają wynik fałszywie dodatni - powiedział. - Dla przykładu: w roku dwa tysiące piątym zespół reprogenetyków hodował pięćdziesiąt pięć embrionów, u których za pomocą diagnostyki przedimplantacyjnej rozpoznano wady genetyczne. Po kilku dniach, ku wielkiemu zaskoczeniu naukowców, okazało się, że czterdzieści osiem procent tychże zarodków, czyli prawie połowa, rozwija się normalnie. A to oznacza, że embrion zawierający komórki z wadą genetyczną potrafi się wyleczyć.

- Jakie znaczenie, pod względem medycznym, posiada ta informacja dla takiego lekarza jak doktor Piper Reece? - zapytał Guy Booker.

- Stanowi ona dowód na to, że nierozsądnie jest zbyt wcześnie decydować się na aborcję.

Booker usiadł za swoim stołem, a ja natychmiast podniosłam się z miejsca.

- Panie doktorze, proszę powiedzieć, ile zarodków biorących udział w badaniu, które pan przed chwilą opisał, miało *osteogenesis imperfecta*!

- Nie wiem... nie słyszałam, żeby którykolwiek z nich cierpiał na tę chorobę.

- Na czym zatem polegały ich wady rozwojowe?

- Dokładnie nie umiem powiedzieć...

- Czy chodziło o poważne upośledzenie?

- Powtarzam, nie...

- Czy mogło tak być, panie doktorze, że tych kilkadziesiąt zarodków miało tylko nieznaczące nieprawidłowości, które następnie same się naprawiły?

- Przypuszczam, że tak.

- A kilkudniowy zarodek to nie jest to samo co kilkunastotygodniowy płód, prawda? Nie zawsze można po prostu poczekać i zobaczyć, co będzie. Chodzi mi o moment, w którym usunięcie ciąży staje się po pierwsze niebezpieczne dla zdrowia matki, po drugie niezgodne z

obowiązującym prawem.

- Sprzeciw - wtrącił się Guy Booker. - Jeżeli mnie wysoki sąd zabronił robienia z rozprawy wiecu na rzecz obrony życia poczętego, to oskarżenie też nie może propagować na tej sali praw kobiet do przerywania ciąży.

- Podtrzymuję - rzekł sędzia.

- Czy zgodzi się pan - przeformułowałam pytanie - że gdyby lekarz, zgodnie z pańskim zaleceniem, zataił informacje na temat zdrowia płodu, mówiąc tylko „poczekamy, zobaczymy”, to przerywanie ciąży mogłoby się okazać znacznie trudniejsze zarówno pod względem praktycznym, jak też medycznym i emocjonalnym?

- Sprzeciw! - zawołał ponownie Booker.

Podeszłam do sędziego.

- Wysoki sędzie, proszę zrozumieć: tutaj nie chodzi o prawo kobiet do aborcji, tylko o standard usług medycznych, który przysługiwał mojej klientce.

Sędzia ściągnął wargi.

- Dobrze, pani Gates, ale proszę się streszczać.

Doktor Wyndham wzruszył ramionami.

- Każdy położnik wie, jak trudno jest zalecać rodzicom usunięcie ciąży, kiedy u płodu stwierdzono wady, które według wszelkiej wiedzy medycznej odbierają mu szansę na przeżycie. Ale taki jest właśnie obowiązek lekarza.

- Być może - przyznałam - jednak to jeszcze nie oznacza, że Piper Reece wypełniła ten obowiązek.

Sędzia Gellar ogłosił dwugodzinną przerwę na lunch, ponieważ musiał jechać do urzędu drogowego i złożyć podanie o prawo jazdy na motocykl. Jedna z urzędniczek mówiła, że w lecie pan sędzia bierze miesięczny urlop i wybiera się na wyprawę harleyem przez cały kraj. Ciekawe, czy dlatego przefarbował włosy: czerń lepiej pasuje do skóry.

Charlotte natychmiast po ogłoszeniu przerwy wyszła, spiesząc się do szpitala, do ciebie. Od rana nie widziałam ani Seana, ani Amelii. Wyszłam na dwór drzwiami dla dozorczy, o których większość dziennikarzy nie miała bladego pojęcia.

Był już wrzesień. W takie dni New Hampshire czuje na sobie długie palce zimy: ciągnęło chłodem i wiał przenikliwy wiatr. Mimo to na schodach do sądu zgromadził się pokaźny tłum, tak mi się przynajmniej wydawało, ponieważ z miejsca, gdzie stałam, nie było zbyt dobrze widać

głównego wejścia. W pewnej chwili drzwi za moimi plecami otworzyły się ponownie; obok mnie stanął dozorca, zapalając papierosa.

- Co się tam dzieje? - zapytałam go, wskazując głową w stronę schodów.

- Regularny cyrk - mruknął. - Jest teraz sprawa tego dzieciaka, co ma chore kości.

- Coś o tym słyszałam. Podobno ciężko idzie - mruknęłam i rozcierając dłońmi ramiona, zbliżyłam się do ludzi stojących przed sądem.

Człowieka na szczycie schodów znałam z telewizji: był to Lou St. Pierre, przewodniczący oddziału Amerykańskiego Związku Niepełnosprawnych w stanie New Hampshire. Oprócz owej niewątpliwie imponującej godności uzyskał także dyplom wydziału prawa Uniwersytetu Yale, zdobył stypendium Rhodesa na Oksfordzie, a także złoty medal w pływaniu stylem klasycznym na igrzyskach paraolimpijskich. Poruszał się na wózku inwalidzkim zbudowanym na indywidualne zamówienie, podróżował zaś prywatnym samolotem i sam go pilotował, przewożąc dzieci na operacje i leczenie z jednego końca kraju na drugi. Obok wózka siedział pies przewodnik, z kamiennym spokojem znosząc obecność dwudziestu dziennikarzy wymachujących mu mikrofonami przed samym nosem.

- Wiecie państwo, dlaczego ten proces przyciąga tak powszechną uwagę? - zapytał St. Pierre. - Dlatego że jest jak katastrofa kolejowa: nie można oderwać wzroku, chociaż wołałoby się, żeby takie rzeczy się nie zdarzały. Sytuacja taka jak ta po prostu ma wiele podtekstów i dlatego właśnie budzi tyle emocji. Bo przecież każdy chciałby mieć pewność, że kiedy urodzi mu się dziecko, pokocha je miłością absolutnie bezwarunkową; wolimy nie myśleć o tym, że w pewnych wypadkach nasze uczucia rodzicielskie mogą zostać wystawione na naprawdę bardzo ciężką próbę. Badania prenatalne każą patrzeć na płód wyłącznie przez pryzmat jego upośledzenia i doprawdy szkoda, że ich wykonywaniu towarzyszy podświadome założenie, że rodzice mogą nie chcieć upośledzonego dziecka, że życie inwalidy jest nic niewarte, nie do przyjęcia.

A ja, na przykład, znam wielu niesłyszących rodziców, którzy bardzo by chcieli, żeby ich dziecko było dokładnie takie samo jak oni. To, co dla jednych jest defektem, dla innych stanowi kulturę życia.

W tym momencie, jak na zawołanie, jego pies głośno szczechnął.

- Aborcja sama w sobie jest gorącym tematem: czy wolno zniweczyć szansę na zaistnienie nowego życia? - ciągnął dalej St. Pierre. - Przerwanie ciąży stawia nas natomiast przed faktem

dokonanym: czy wolno było odebrać szansę życiu, które już zaistniało?

- Panie St. Pierre - zawołał jeden z dziennikarzy - a statystyki, które podają, że wychowywanie niepełnosprawnego dziecka prowadzi do kryzysów w małżeństwie?

- Cóż, nie mogę się z tym nie zgodzić. Znam też jednak inne badania, które wykazały, że wychowywanie małego geniusza albo mistrza sportu jest podobnym obciążeniem dla rodziców, a jakoś nie słyhać, aby w takich wypadkach lekarze doradzali usunięcie ciąży.

Nie musiałam się długo zastanawiać, kto go wezwał na pomoc: Guy Booker. Ponieważ był to zasadniczo proces o błąd w sztuce lekarskiej, nie zaprosiłby adwokata spoza swojej firmy do współprowadzenia obrony Piper Reece, ale zwołać szybką, zaimprovizowaną konferencję prasową - czemu nie, jeśli tylko można w ten sposób nabić sobie punktów i zbliżyć się do zwycięstwa?

- Lou - zapytał inny reporter - czy będziesz zeznawał?

- Właśnie wygłosiłem swoje zeznanie, przed wami, ludźmi dobrej woli, którzy się tutaj zgromadziliście - obwieścił St. Pierre tonem kaznodziei. - I będę mówił dalej, w nadziei że dzięki moim słowom to będzie pierwszy i ostatni proces tego rodzaju we wspaniałym stanie New Hampshire.

Pięknie. Przegrałam sprawę, i to przez faceta, który nie był nawet świadkiem oficjalnie powołanym przez obronę. Wróciłam do tylnego wyjścia z sądu.

- Kto to teraz mówił? - zapytał dozorca, przydeptyując niedopałek. - Ten karzeł?

- To nie karzeł. Ten człowiek jest niskiego wzrostu - poprawiłam.

Spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem.

- A co ja powiedziałem?

Wszedł do środka, a drzwi trzasnęły za nim. Choć szczękałam zębami z zimna, musiałam odczekać chwilę, wiedząc, że inaczej będę skazana na pogawędkę z tym panem, a schody na górę są długie. Chociaż z drugiej strony musiałam przyznać, że swoim zachowaniem dozorca idealnie zilustrował równię pochyłą, po której staczałyśmy się razem, ja i Charlotte; skoro teraz można chcieć usunąć ciążę, kiedy płód ma Downa albo OI, to co będzie, kiedy postęp medycyny umożliwi ocenę urody przyszłego dziecka albo cech jego charakteru, na przykład umiejętności współczucia? Jeśli rodzice będą chcieli chłopca, a z zarodka rozwinie się dziewczynka? Którędy pobiegnie granica pomiędzy akceptacją a odrzuceniem - i kto ją wyznaczy?

Musiałam to przyznać, choć z wielkim bólem: Lou St. Pierre miał rację. Ludzie zawsze

powtarzają, że będą kochać swoje dziecko, bez względu na to, jakie się urodzi, ale zdarza się, że nie dotrzymują słowa. Czasami to naprawdę zależy od tego, jakie jest owo dziecko. Niebieskookie blond aniołki znikają z agencji adopcyjnych jak świeże bułeczki, a dzieci kolorowe albo upośledzone latami potrafią tkwić w domach zastępczych - i to jest niezaprzeczalny fakt, który musi mieć swoją przyczynę. Ludzie potrafią mówić jedno, a robić zupełnie co innego.

Juliet Cooper ujęła to z całą jasnością: są takie dzieci, dla których lepiej by było, gdyby się nigdy nie urodziły.

Na przykład ty.

I ja.

## Amelia

Kiedy się przekonałam, że tata naprawdę zwraca na mnie uwagę, grzałam się w ciepelku jego troski i miałam mnóstwo dobrej woli. To wszystko ulotniło się w jednej chwili, gdy zaczęło do mnie docierać, że tylko zafundowałam sobie w ten sposób nowy koszmar. Nie mogłam iść do szkoły - i to by było super, gdyby nie fakt, że musiałam siedzieć na korytarzu w sądzie i czytać w kółko tę samą gazetę. Myślałam, że stanie się tak, że rodzice w jednej chwili zrozumieją, jaką wielką dali plamę i będą mnie sobie wyrwać z rąk, tak jak ciebie, kiedy sobie coś złamałaś. Ale oni tylko zaczęli się wydzierać, i to tak głośno, że aż stażyści na stołówce się oglądali: mieli reality show za darmo.

Nie pozwolili mi nawet ciebie odwiedzić, kiedy była ta długa przerwa na lunch i mama pojechała do szpitala. Chyba zostało oficjalnie ogłoszone, że Amelia ma zły wpływ na inne dzieci.

Muszę więc przyznać, że byłam lekko zaskoczona, kiedy mama po powrocie przyniosła mi czekoladowego shake'a. Siedziałam w salce dusznej jak nie wiem co, sama, bo tata zostawił mnie i poszedł z jakimś głupim prawnikiem przeciwzyć swoje zeznanie. Jak mama mnie znalazła w tym wielkim budynku - to była zagadka, ale w sumie ucieszyłam się na jej widok.

- Jak się czuje Willow? - zapytałam, z dwóch powodów. Po pierwsze wiedziałam, że powinnam zapytać, po drugie naprawdę chciałam wiedzieć.

- W porządku. Doktor powiedział, że być może jutro będziemy mogli zabrać ją do domu.

- Przynajmniej zaoszczędziłaś na opiekunce - rzuciłam.

Oczy jej błysnęły; widziałam, jak ją to dotknęło.

- Chyba nie myślisz, że taka właśnie jestem?

Wzruszyłam ramionami.

- To dla ciebie - powiedziała mama, podając mi kubek. Czekoladowy fribbles z sieci Friendly's, mój ulubiony.

Zawsze prosiłam mamę, żeby mi go kupiła, chociaż był trzy razy droższy niż lody dla dzieci. Czasami dawała się ubłagać i piłyśmy go na spółkę, rozpluwając się nad boskością lodów czekoladowych. Ty i tata, urodzeni miłośnicy waniliowych smaków, nigdy nie rozumieście naszych zachwyków.

- Chcesz łyka? - zapytałam cicho.

Mama potrząsnęła głową.

- Cały dla ciebie. Tylko żeby nie wrócił tą samą drogą.

Zerknęłam na nią, potem na wieczko papierowego kubka, ale nic nie odpowiedziałam.

- Chyba cię rozumiem - mówiła dalej mama. - Wiem, jak to jest, kiedy coś, co sama zaczęłaś, nagle wymyka się spod kontroli. Chcesz z tym skończyć, bo cierpisz i ty, i wszyscy dookoła, jednak to coś, zamiast się poddać, za każdym razem tylko pożera cię na nowo.

Wytrzeszczyłam na nią oczy, kompletnie osłupiała. Dokładnie tak się czułam przez całe moje życie!

- Zapytałaś mnie niedawno, jak wyglądałby świat, gdyby Willow nie było - podjęła po chwili. - Wydaje mi się, że wtedy ja i tak bez przerwy rozglądałabym się za nią: w sklepie, pomiędzy regałami, w banku czy w kręgielni. W najgęstszym tłumie szukałabym jej twarzy. Z dziećmi jest taka dziwna sprawa, że wie się, kiedy twoja rodzina jest kompletna, a kiedy nie. Gdyby Willow nie przyszła na świat, byłby on dla mnie właśnie taki - niekompletny.

W tym momencie specjalnie głośno siorbnęłam przez słomkę, usiłując nie mrugać oczami w nadziei, że łzy wsiąkną z powrotem pod powieki.

- Rzecz w tym - dodała mama - że gdyby ciebie nie było... czułabym dokładnie to samo.

Aż bałam się na nią spojrzeć. Bałam się, że źle ją rozumiem. Czy to miało znaczyć, że nie tylko mnie kocha, jak to matka - ale też mnie lubi? Wyobraziłam sobie, jak każe mi otworzyć kubek, żeby sprawdzić, czy wszystko wypięłam. Na pewno bym marudziła, ale w głębi serca byłoby mi przyjemnie, że tak się upiera. To znaczyło, że jej na mnie zależy; że nie zrezygnuje ze mnie tak łatwo.

- Rozmawiałam dzisiaj w szpitalu z kilkoma osobami - powiedziała. - Pod Bostonem jest ośrodek dla dzieci z zaburzeniami odżywiania. Pojechałabyś tam na turnus leczniczy, a potem na kurację razem z innymi dziewczynami, które mają ten sam problem.

Poderwałam głowę.

- Na turnus? To znaczy, że mam tam mieszkać?

- Tylko dopóki nie nauczysz się panować nad sobą ...

- Chcesz się mnie pozbyć?

To już była panika. Przecież nie tak miało być. Mama wiedziała, co czuję, więc czemu nie mogła zrozumieć, że jeśli teraz ze mnie zrezygnuje, to równie dobrze mogłaby powiedzieć mi prosto w oczy: „Nigdy nie zasłużysz sobie na to, żeby być z nami”?



- Dlaczego Willow może sobie na okrągło coś łamać i jest dobrze, pozwalasz jej mieszkać w domu, a ja zrobię jeden mały błąd i od razu mnie wyrzucasz?

- Wcale cię nie wyrzucamy - odpowiedziała. - Chcemy ci tylko pomóc...

- My? To tata o tym wie?

Nagle pociekło mi z nosa. Ojciec miał być moją ostatnią deską ratunku, a okazało się, że też spiskował przeciwko mnie. Już cały świat mnie nienawdził.

I wtedy do pokoju zajrzała Marin Gates.

- Wszystko gotowe - oznajmiła. - Jedziemy z tym koksem.

- Za chwilę - powiedziała mama.

- Za chwilę to sędzia ma cię zobaczyć na sali.

Mama spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem. Wiedziałam, o co prosi: nie teraz, daj mi chwilę spokoju.

- Będziesz musiała wejść teraz na salę - poinformowała mnie. - Tata ma zeznawać, a ja nie mogę tutaj zostać i cię pilnować.

- Idź do diabła - warknęłam. - Nie masz prawa mi mówić, co mam robić.

Marin, która przyglądała się tej scenie, gwizdnęła cicho, ale przeciągle.

- Otóż właśnie ma prawo - pouczyła mnie - bo jest twoją matką, a ty jesteś nieletnia.

Chciałam zranić mamę tak samo mocno, jak ona mnie, więc odwróciwszy się do adwokatki, wycedziłam:

- Próba pozbycia się swoich dzieci, najpierw jednego, a potem drugiego, chyba odbiera kobiecie to prawo.

Mama aż się wzdrygnęła. Dotknęłam ją do żywego, chlasnęłam do krwi, chociaż nie było widać żadnych cięć, tak jak u mnie. Co więcej, obie wiedziałyśmy, że na to zasłużyła. A kiedy Marin bezceremonialnie posadziła mnie na galerii, obok jakiegoś faceta w czerwonej flanelowej koszuli i gaciach na szelkach, od którego jechało tuńczykiem, coś sobie przyrzekłam: jeśli moja matka chce zniszczyć mi życie, to ja odpłacę jej tym samym.

## Sean

Kiedy braliśmy ślub, na widok Charlotte zapomniałem słów przysięgi, którą sobie zapisałem i wykułem na blachę. Patrzyłem, jak idzie środkiem kościoła, a te zdania były dziurawe jak rybackie sieci: nie utrzymałyby wszystkich uczuć, którymi pragnąłem ją obdarzyć. Teraz, siedząc w sądzie naprzeciwko swojej żony, życzyłem sobie jednego: żeby moje słowa ten jeden raz uległy przemianie. W pierze, obłoki, parę wodną - nieważne, byle to było coś miękkiego, coś, co nie może zranić.

- Poruczniku O'Keefe - zaczął Guy Booker - pierwotnie był pan w tej sprawie powodem, prawda?

Obiecał mi, że będzie lekko, łatwo i przyjemnie, że skończy, zanim się obejrzę. Nie uwierzyłem. Jego zadaniem było kłamać, kręcić i przeinaczać prawdę, tak żeby ławnicy uwierzyli jemu, a nie drugiej stronie.

I miałem nadzieję, że to mu się uda, choć była to nadzieja pełna goryczy.

- Początkowo tak - potwierdziłem. - Żona przekonała mnie, że taki proces leży w najlepszym interesie Willow. Potem zrozumiałem, że nie podzielam jej zdania.

- Dlaczego?

- Uważam, że to rozbiło naszą rodzinę. Telewizja pierze nasze brudy w popołudniowych wiadomościach, ja wniosłem pozew o rozwód, a Willow... Willow dobrze wie, co się dzieje. Odkąd o rozprawie zaczęto mówić publicznie, nie można było tego dłużej przed nią ukrywać.

- Zdaje pan sobie sprawę, jak rozumiem, że pozew o niedobre urodzenie implikuje, że pańska córka nie powinna była przyjść na świat. Czy chciałby pan tego, panie poruczniku?

Potrząsnąłem głową.

- Może Willow nie jest idealna, ale ja też nie jestem. Ani pan. Nie jest idealna - powtórzyłem - ale w stu procentach taka, jaka powinna być.

- Nie mam więcej pytań - oznajmił Booker, a widząc, że Marin Gates wstaje z miejsca, wziąłem głęboki oddech, zbierając się w sobie, tak samo jak to robiłem, wbiegając do jakiegoś budynku z brygadą antyterrorystyczną.

- Powiedział pan, że ten proces rozbił pańską rodzinę - adwokatka przypomniwała moje słowa. - Ale to samo można chyba powiedzieć o rozpoczętym przez pana postępowaniu rozwodowym, nie zgodzi się pan?

Spojrzałem na Guya Bookera, który przewidział to pytanie i poinstruował mnie, jak należy na nie odpowiedzieć. Miałem wyjaśnić, że podjąłem takie kroki, żeby chronić dobre imię naszych córek albo jakoś podobnie. Zamiast jednak wygłosić wyćwiczoną mowę, spojrzałem na Charlotte. Ledwo ją było widać zza tego stołu. Siedziała ze wzrokiem wbitym w blat, jakby się obawiała, że nie wytrzyma mojego spojrzenia.

- Tak - powiedziałem cicho. - Zgodzę się.

Booker wstał, ale najwidoczniej przypomniał sobie, że nie może zgłosić sprzeciwu w stosunku do własnego świadka, więc usiadł z powrotem.

A ja obejrzałem się na sędziego.

- Wysoki sędzie, czy mogę zwrócić się bezpośrednio do mojej żony?

Sędzia Gellar uniósł brwi.

- To ławnicy mają wysłuchać twojego zeznania, synu, nie żona.

- Z całym szacunkiem, wysoki sędzie... ale sędzę inaczej.

- Panie sędzio - odezwał się Booker - czy mogę podejść?

- Nie, panie Booker, nie może pan - padła odpowiedź. - Ten człowiek ma coś do powiedzenia.

Marin Gates wyglądała tak, jakby połknęła petardę. Nie mogła się zdecydować: przesłuchiwać mnie dalej, czy zostawić, żebym sam się załatwił. I może rzeczywiście tak miało się to skończyć, ale było mi wszystko jedno.

- Charlotte - powiedziałem - nie wiem już, co jest słuszne, a co nie, ale przyznaję się szczerze, że tego nie wiem - i to na pewno jest słuszne. To prawda, że mamy mało pieniędzy. To prawda, że nie było nam łatwo. Jednak to nie oznacza, że nie było warto spróbować. Charlotte uniosła głowę. Oczy miała otwarte szeroko i kompletnie nieruchome. - Niektórzy kumple z komendy opowiadali, że biorąc ślub, dokładnie wiedzieli, czego się spodziewać. Ja nie wiedziałem. To była przygoda i absolutnie mi to nie przeszkadzało. Bo widzisz, ty jesteś stworzona dla mnie. Pozwoliłaś zabrać się na narty i ani słowem nie wspomniałaś, że masz lęk wysokości. Przytulasz się do mnie w nocy, choćbym odsunął się na sam skraj łóżka. Kiedy kupujemy mieszane lody, wyjadasz mi czekoladową połowę i oddajesz waniliową. Zwracasz mi uwagę, kiedy założę skarpetki nie od pary. Kupujesz płatki Lucky Charms, bo są z piankami, a wiesz, że lubię pianki. Dałaś mi dwie cudowne córki.

Być może uważałaś, że małżeństwo musi być idealne - mówiłem dalej. - W takim razie

wiem już, co nas różni. Bo ja nastawiałem się na mnóstwo błędów, ale błędów popełnianych na spółkę z kimś, kto jest po to, żeby ci przypomnieć, czego się nauczyłeś po drodze. I myślę, że oboje pomyliliśmy się w jednej kwestii. Ludzie zawsze mówią, że miłość jest najważniejsza na świecie. To nie tak, prawda? Ty wiesz i ja też to wiem, że kiedy się kogoś pokocha, wtedy cały świat staje się odrobinę ważniejszy.

W sali rozpraw zapadła cisza.

- Na tym zakończymy dzisiejszą rozprawę. Wznowienie jutro - oznajmił sędzia Gellar.

- Ale ja mam jeszcze... - zaproponowała Marin Gates.

- Nic pani już nie ma - uciął sędzia. - I teraz już pani wie, dlaczego wciąż nie ma męża.

Proszę wszystkich o opuszczenie sali rozpraw. Zostaną tu tylko państwo O'Keefe.

Stuknął młotkiem, w ławkach i na galeriach się zakotłowało, a potem nagle znalazłem się sam w pustej sali, wpatrzony w Charlotte, która wyszła zza stołu i zrobiła kilka kroków, aż wreszcie stanęła wprost przede mną, lekko opierając dłonie na poręczu dzielącej nas barierki.

- Nie chcę brać rozwodu - powiedziała.

- Ja też nie.

Przestąpiła nerwowo z nogi na nogę.

- To co teraz? - zapytała.

Pochyliłem się ku niej, powoli, tak żeby widziała, że się zbliżam, i przycisnąłem usta do jej warg słodkich, znajomych jak własny dom.

- Co będzie, to będzie - szepnąłem.

## Amelia

Cały sąd nie mówił o niczym innym, tylko o jakże wzruszającym pojednaniu moich rodziców. Dziennikarze, zupełnie jak w filmie „Prawdziwe wyznania” stali i rozwodzili się nad tą wspianą chwilą czystego romantyzmu. Ławnicy też musieli się na to nabrać, jeśli nie byli bandą cyników mojego pokroju. Gdyby ktoś pytał mnie o zdanie, powiedziałabym, że Marin Gates praktycznie ma zwycięstwo w kieszeni; może jechać do domu i otworzyć szampana.

I właśnie dlatego ja miałam przed sobą pewne zadanie.

Kiedy zaczął się ten szal zbiorowych uniesień nad melodramatem z moimi rodzicami w roli głównej, ja siedziałam na galerii, płonąć ze wstydu. Wtedy dowiedziałam się też czegoś nowego o sobie: otóż nie musiałam wymiotować, żeby wyrzucić z siebie jad. Mogłam go wypocić, wykrzyzczyć - a nawet wystarczyło po prostu szepnąć. Skoro miałam skończyć w kryminale dla bulimiczek pod Bostonem, to nie mogło się obyć bez hucznego pożegnania.

Wiedziałam, że sędzia z całym rozmysłem zabawił się w mediatora, każąc rodzicom zostać w sali, żeby mogli w spokoju popracować nad drugim aktem swojego przedstawienia, ale było mi to bardzo na rękę. Wymknęłam się na korytarz tylnymi drzwiami, zanim Marin Gates przypomniała sobie, że musi po mnie przyjść,

i chwilę później byłam już przed budynkiem; nikt mnie nie zauważył, nikt nie zainteresował się, kim jestem. Pobiełam na parking, prosto do miętowozielonego forda thunderbirda.

Kiedy Guy Booker wyszedł z sądu i zobaczył mnie opartą o swój wóz, skrzywił się gniewnie.

- Jedna rysa na lakierze i będziesz odwalać prace społeczne przez następnych pięć lat - ostrzegł.

- Zaryzykuję - odparłam.

- Co ty w ogóle tutaj robisz?

- Czekam na pana.

Zmarszczył brwi.

- A skąd wiedziałaś, że to mój samochód?

- A stąd, że jest do bólu subtelny.

Booker posłał mi lekki uśmieszek.

- Nie powinnaś być teraz w szkole?

- To długa historia.

- Nie musisz opowiadać. To też był długi dzień. - Otworzył drzwi, ale zatrzymał się jeszcze. - Idź do domu, Amelio. Niech mama się nie martwi, gdzie cię poniosło. I bez tego ma już dosyć spraw na głowie.

- No właśnie. - Skrzyżowałam ramiona na piersi. - Dlatego pomyślałam sobie, że chciałby pan usłyszeć, co kiedyś powiedziała.

## Marin

Adres Juliet Cooper przepisałam sobie z protokołu kompletowania składu ławy przysięgłych. Mieszkała w Epping, małym miasteczku na zachód od Bankton. Kiedy sędzia ogłosił nagłe odroczenie rozprawy, wsiadłam do samochodu, zaprogramowałam trasę na GPS-ie i ruszyłam w drogę.

Jazda trwała godzinę i zakończyła się na małej, ślepej uliczce w kształcie podkowy, pełnej starych domów w tradycyjnym stylu Nowej Anglii, przystosowanych do współczesnych wymogów. Numer 22 znajdował się tuż przy wjeździe na tę ulicę, po prawej stronie. Dom był obłożony deskami pomalowanymi na szaro, z czarnymi okiennicami i drzwiami lakierowanymi na czerwono. Na podjeździe parkował osobowy van. Kiedy dotknęłam przycisku dzwonka, w środku zawarczał pies.

Mogłam tu mieszkać, pomyślałam. Tutaj mógł być mój dom. To byłoby inne życie; w tym innym życiu otworzyłabym sobie sama, zamiast tkwić na progu jak obcy, a na górze czekałby na mnie pokój pełen nagród zdobytych w konkursach jeździeckich, szkolnych albumów pamiątkowych i innych pamiątek, jakie dorosłe dzieci pozostawiają po sobie w rodzinnym domu. Wiedziałabym, w której szufladzie są srebrne sztuce, gdzie chowa się odkurzacz i jak używać pilota do telewizora.

Juliet Cooper otworzyła drzwi i stanęła przede mną. U jej stóp podskakiwał mały terier.

- Mamo, to do mnie? - odezwał się dziewczęcy głos z głębi domu.

- Nie! - odrzyknęła, nie spuszczać ze mnie oczu.

- Wiem, że nie chce się pani ze mną widzieć - powiedziałam szybko - i obiecuję, że sobie pójdę i nigdy już nie będę się narzucać, ale najpierw musi mi pani powiedzieć, dlaczego tak się pani... mną brzydzi.

I od razu wiedziałam, że to błąd. Maisie z sądu rodzinnego kazałaby mnie pewnie aresztować, gdyby się tylko dowiedziała, że tutaj przyjechałam. Na każdej stronie internetowej dla osób szukających swoich prawdziwych rodziców stało jak wół ostrzeżenie: nie wolno tak robić, nie wolno nachodzić biologicznej matki, nie wolno narzucać jej czasu i miejsca spotkania.

- Bo ja uważam - dodałam - że po trzydziestu pięciu latach jest mi pani winna te pięć minut.

Juliet Cooper wyszła za próg, zamykając za sobą drzwi. Była bez kurtki. Pies nie

przestawał szczekać, lecz ona nie odezwała się do mnie ani słowem.

Każdy człowiek chce być kochanym. To pragnienie popycha nas do najgorszego: Charlotte, na przykład, była święcie przekonana, że pewnego dnia wybacysz jej wszystko, co powiedziała w sądzie. Ja - puściłam się w ten wariacki rajd do Epping. Bo prawda wyglądała tak, że byłam po prostu zachłanna. Wiedziałam dobrze, że dla moich adopcyjnych rodziców jestem najważniejsza na świecie, ale to nie wystarczyło. Musiałam zrozumieć, dlaczego nie stałam się najważniejsza dla mojej biologicznej matki, inaczej do końca życia gryzłoby mnie poczucie porażki.

- Jaka pani jest do niego podobna - powiedziała wreszcie Juliet Cooper.

Spojrzałam na nią, jednak wciąż unikała mojego wzroku. Czy to był romans, który zakończył się wpadką i odejściem mojego biologicznego ojca? Czy ona kochała go nadal, wiedząc, że ich wspólne dziecko żyje gdzieś na świecie? Czy dręczyło ją to przez całe życie, to nowe życie, w którym znalazła męża i założyła rodzinę?

- Miałam szesnaście lat - zaczęła opowiadać cichym głosem. - Wracałam ze szkoły na rowerze. Jechałam przez las, na skróty. Wskoczył nie wiem skąd i stracił mnie z roweru.

Zakneblował skarpetką, podciągnął sukienkę i zgwałcił, a potem pobił tak, że gdyby nie ubranie, rodzice w ogóle by mnie nie poznali. I poszedł sobie, a ja zostałam, zakrwawiona, nieprzytomna. Znaleźli mnie dwaj myśliwi.

Uniosła głowę, nareszcie spoglądając mi prosto w twarz. Oczy miała błyszczące, gardło ściśnięte.

- Przez całe tygodnie nie odzywałam się ani słowem. A potem, dokładnie w momencie, gdy już byłam gotowa zacząć wszystko od nowa, okazało się, że jestem w ciąży. Jego złapali, policja prosiła mnie o zeznania, ale nie mogłam tego zrobić. Gdybym musiała jeszcze raz zobaczyć jego twarz... Chybabym tego nie zniosła. A potem, po porodzie, pielęgniarka pokazała mi panią i on wrócił, wrócił w pani: czarne włosy, niebieskie oczy i te zaciśnięte, wymachujące pięści. Cieszyłam się, że jakaś rodzina tak bardzo chce panią mieć, bo ja nie chciałam.

Odetchnęła głęboko. Dygotała na całym ciele.

- Przykro mi, że to nasze spotkanie nie wygląda tak, jak by pani sobie życzyła, ale na pani widok powróciło to wszystko, o czym z całych sił starałam się zapomnieć. Więc proszę - szepnęła - niech mi pani już da spokój.

Życzenia się spełniają, więc uważaj, czego sobie życzysz. Cofnęłam się na drżących



nogach, nie mówiąc ani słowa. Nic dziwnego, że Juliet Cooper nie chciała na mnie patrzeć, że w najmniejszym stopniu nie ucieszył jej list przesłany przez Maisie Donovan; że marzyła tylko o tym, abym zniknęła jej z oczu. Też bym tego chciała.

Aż tak byłam do niej podobna.

Zeszłam po kamiennych schodkach, usiłując dojrzeć mój samochód przez szklaną zasłonę łez. Na podjeździe zatrzymałam się jeszcze i po chwili wahania obejrzałam za siebie. Juliet Cooper wciąż stała przed drzwiami.

- Dziękuję ci - powiedziałam.

Nie miałam pojęcia, dokąd chcę jechać; mój samochód wiedział to lepiej ode mnie. Lecz kiedy już zatrzymałam się pod domem w stylu kolonialnym, domem, w którym się wychowałam, przesłoniętym mocno wyrosniętymi krzewami róż, które nigdy nie dały się opanować, nawet po zainstalowaniu krtek, teraz już poszarzałych od słońca, deszczu i wiatru - poczułam, jak coś we mnie pęka. To tutaj czekały na mnie moje stare zdjęcia, całe albumy zamknięte w biblioteczce. To był dom, w którym umiałam obsługiwać młynek zlewozmywakowy, a w pokoju na piętrze trzymałam piżamę, szczoteczkę do zębów i kilka swetrów, tak na wszelki wypadek.

To był mój dom i mieszkali w nim moi rodzice.

Zrobiło się już ciemno, dochodziła dziewiąta. Wyobraziłam sobie, jak mama siedzi przed telewizorem we włochatym szlafroku i grubych skarpetach, zajadając swoją wieczorną porcję lodów, a tata skacze po kanałach, uparcie dowodząc wyższości „Pchlego targu” nad „Niesamowitym wyścigiem” w kategorii reality show. Weszłam bocznymi drzwiami, które, kiedy dorastałam, zawsze były otwarte.

- Hej! - zawołałam, żeby ich nie przestraszyć. - To tylko ja!

Widząc mnie w drzwiach do dużego pokoju, mama wstała z kanapy.

- Marin! - Objęła mnie. - Co tu robisz?

- Byłam w okolicy. - Kłamstwo. Zrobiłam sto kilometrów, żeby tu się znaleźć.

- A nie kończysz teraz tego wielkiego procesu? - zainteresował się tata. - Oglądaliśmy to na CNN. Nancy Grace zmieszała was z błotem...

Uśmiechnęłam się lekko.

- Chciałam... się z wami zobaczyć.

- Jesteś głodna? - zapytała mama. Wytrzymała z tym całe trzydzieści sekund; oto padł nowy rekord świata.

- Nie bardzo.

- To przyniosę ci trochę lodów - oznajmiła, jakby w ogóle nie usłyszała. - Trochę lodów nikomu nie zaszkodzi.

Tata poklepał dłonią kanapę, zapraszając, żebym przysiadła się do niego, więc zdjęłam płaszcz i opadłam na poduszki. To nie były już te same, co za moich szczenięcych lat; po tamtych ciągle skakałam, aż spłaszczyły się jak naleśniki. Przed kilkoma laty mama oddała meble do tapicera. Te poduszki były miększe, mogły więcej znieść, więcej wybaczyć.

- Jak myślisz, wygrasz? - zapytał tata.

- Nie wiem. Zobaczymy. To jeszcze nie koniec.

- Jaka ona jest?

- Kto?

- Ta O'Keefe?

Musiałam się porządnie zastanowić nad odpowiedzią.

- Robi to, co uważa za słuszne - powiedziałam wreszcie. - Nie można mieć jej tego za złe.

A ja miałam, dodałam w myślach. Chociaż postąpiłam dokładnie tak samo.

Chyba dopiero po wyjeździe naprawdę można zatęsknić za jakimś miejscem; być może trzeba wyruszyć w podróż, żeby zrozumieć, jak cudownie jest tam, gdzie się zaczęło. Mama wróciła z kuchni i usiadła obok mnie, podając miseczkę z lodami.

- Mam teraz fazę na miętowe z kawałkami czekolady - poinformowała mnie i jak na komendę uniosłyśmy łyżki do ust; rodzone siostry bliźniaczki nie zgrałyby się lepiej.

Rodzice to nie są ci, od których pochodzisz, tylko ci, do których chcesz się upodobnić, kiedy dorośniesz.

Siedziałam na kanapie pomiędzy moją matką a ojcem, oglądając w telewizji jakichś obcych ludzi, którzy znosili przed kamery krzesła na biegunach, zakurzone malowidła, wiekowe kufle do piwa i naczynia z barwionego szkła; ludzi wyciągających z ukrycia swoje skarby, aby rzeczoznawcy powiedzieli im, jak cenne jest to, co przez tyle lat mieli na wyciągnięcie ręki.

## Amelia

Szukałam w Internecie, ale nigdzie nie mówili, jak się ubrać na składanie zeznań w sądzie. Wiedziałam tylko jedno: chcę, żeby przysięgli mnie zapamiętali. Wysłuchali podczas tego procesu całej paczki nudnych doktorów; musiałam się jakoś od nich odróżnić.

Nastroszyłam więc sobie włosy, co nadało im jeszcze ciemniejszy, prawie granatowy odcień. Włożyłam jasnoczerwony sweter, fioletowe trampki i moje szczęśliwe dzinsy, te z dziurą na kolanie - bo tutaj nie było miejsca na najmniejsze ryzyko.

Jak na ironię, nawet zeszłej nocy moi rodzice nie spali w jednym łóżku: mama pojechała do ciebie i przesiedziała całą noc w szpitalu, a tata wrócił ze mną do domu. Guy Booker zaproponował, że przyjedzie po mnie rano i zawiezie do sądu, ale pomyślałam, że lepiej będzie, jak wybiorę się z tatą i jeszcze trochę poudaję niezadowoloną, że tak mnie ze sobą ciąga. Uznaliśmy wspólnie, że trzeba jak najdłużej trzymać moje zeznanie w tajemnicy.

Tata, który już wystąpił jako świadek, mógł teraz wejść do sali rozpraw, więc wszedł, a ja zostałam sama na korytarzu, co niezmiernie mi odpowiadało. Dygotałam na całym ciele, aż woźna sądowa, stojąca obok, zapytała:

- Dobrze się czujesz?

Skinęłam głową.

- Trema - odparłam i w tym momencie rozległ się głos Guya Bookera:

- Obrona wzywa na świadka Amelię O'Keefe.

Woźna wprowadziła mnie do środka, a tam już rozpętało się prawdziwe piekło. Marin i Guy stali przed sędzią, wyklócając się zawzięcie; mama płakała; tata wstał z miejsca i rozglądał się za mną.

- Nie możesz powołać Amelii - upierała się Marin.

- A to czemu? - Booker wzruszył ramionami. - To ty wciągnęłaś ją na listę.

- Czy ma pan konkretny powód, aby przesłuchać tego świadka - zapytał sędzia Gellar - czy też chce pan tylko popisać się przed swoją przeciwniczką, że nikt panu nie zabroni?

- Mam powód, wysoki sądzie - potwierdził Booker. - Panna O'Keefe dysponuje informacjami, z którymi sąd, wzięwszy pod uwagę implikacje pozwu z tytułu niedobrego urodzenia, powinien się zapoznać.

- W porządku - zdecydował sędzia. - Proszę wprowadzić świadka.

Idąc pomiędzy rzędami ławek, czułam na sobie spojrzenia wszystkich. Kłuły mnie, dziurawiły, a przez te dziury szybko ulatniała się cała moja pewność siebie. Mijając mamę, usłyszałam, jak szepcze do Marin:

- Dałaś mi słowo, że to tylko na wszelki wypadek...

- Nie miałam pojęcia, że to zrobi - odszepnęła Marin. - Domyślasz się, co ona powie?

A potem zamknęli mnie w małej, drewnianej klatce, podali ławnikom do oglądania jak próbkę pod mikroskopem. Przynieśli mi Biblię i kazali na nią przysięgać. Guy Booker uśmiechnął się do mnie.

- Czy możesz podać swoje imię i nazwisko do protokołu?

- Amelia. - Wargi miałam tak suche, że musiałam je oblizać. - Amelia O'Keefe.

- Gdzie mieszkasz, Amelio?

- W Bankton, na Stryker Lane czterdzieści sześć. - Słyszał, jak głośno bije mi serce? Bo mnie waliło po uszach jak bęben.

- Ile masz lat?

- Trzydzieści.

- A jak nazywają się twoi rodzice?

- Charlotte i Sean O'Keefe - odpowiedziałam. - Willow to moja siostra.

- Amelio, czy umiesz wyjaśnić, własnymi słowami, na czym polega proces, w którym zeznajesz?

Nie mogłam spojrzeć na mamę. Obciągnęłam rękawy, bo blizny zaczęły mnie palić.

- Moja mama uważa - zaczęłam - że Piper powinna wykryć wcześniej, że Willow urodzi się chora, i uprzedzić ją o tym. Bo gdyby wiedziała, to usunęłaby ciążę.

- Czy twoim zdaniem mama mówi prawdę?

- Sprzeciw! - wypaliła Marin momentalnie, aż podskoczyłam na krześle.

- Nie, dopuszczę to pytanie - oświadczył sędzia. - Możesz odpowiedzieć, Amelio.

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Wiem, że to nieprawda.

- Skąd?

- Bo... - odparłam, starając się mówić jak najwyraźniej i jak najciszej - sama słyszałam, jak o tym mówiła.

Nie wolno podsłuchiwać, ale czasami nie ma innego sposobu, żeby dowiedzieć się

prawdy. A poza tym - tak było, chociaż w życiu nie przyznałabym się do tego - uważałam, że dzięki temu jakoś ci pomagam. Po tym ostatnim wypadku byłaś mocno załamana, a kiedy powiedziałaś: „Mama chce się mnie pozbyć”, poczułam się tak, jakby wszystkie wnętrzności zamieniły mi się w galaretę. Każde z nas cię chroniło, na swój własny sposób: tata wściekał się na każdą, najmniejszą nawet rzecz, która dodatkowo utrudniała ci życie. Mama - cóż, mama była najwidoczniej na tyle głupia, żeby ryzykować wszystko, co miała, próbując wyrwać od życia coś więcej dla ciebie. A ja? Ja zamykałam się w twardej skorupie, bo tak było łatwiej udawać, że nic nie czuję, kiedy ty cierpisz.

- Nigdzie cię nie oddamy - powiedziała mama, ale rozplakałaś się już na całego.

- Przepraszam za tę nogę. Myślałam, że jak bardzo długo niczego sobie nie złamię, to pomyślicie, że jestem jak normalne dziecko...

- Wypadki się zdarzają, Willow. Nikt nie ma do ciebie pretensji.

- Ty masz. Żałujesz, że się urodziłam. Powiedziałaś to. Sama słyszałam.

Wstrzymałam oddech. Siebie mama mogła oszukiwać, jak chciała, jeśli to pomagało jej zasnąć, ale na innych to nie działało. A już zwłaszcza na ciebie.

- Willow - powiedziała ci - posłuchaj mnie. Wszyscy popełniamy błędy... ja też. Mówimy coś albo coś robimy, a potem tego żałujemy. Ale ty - ty nigdy nie byłaś błędem. Nawet za tysiąc i za milion lat nie będę żałować, że się urodziłaś.

Zesztywniałam tak, jakby mnie ktoś przybił gwoździem do ściany. Jeśli to była prawda, to w takim razie cały ten zeszły rok: to, że się wplątaliśmy w ten proces, ja straciłam znajomych, a rodzice się rozstali - to wszystko było po nic.

Jeśli to była prawda, to moja matka musiała kłamać już od samego początku.

## Charlotte

Wszystko ma swoją cenę. Możesz mieć cudowną córeczkę, ale okazuje się, że jest ciężko upośledzona. Poruszysz niebo i ziemię, żeby dać jej trochę szczęścia - i skrzywdzisz tym samym swojego męża i drugą córkę. Nie istnieje żadna kosmiczna skala pozwalająca ocenić konsekwencje swoich wyborów; o tym, że zburzył kruchą równowagę, człowiek dowiaduje się po fakcie, gdy już jest za późno.

Kiedy Amelia skończyła swoje zeznanie, sędzia zwrócił się do Marin:

- Pani Gates, czy ma pani pytania do świadka?

- Nie, wysoki sędzie - odpowiedziała - ale chciałabym ponownie wezwać Charlotte O'Keefe.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Nie uprzedziła mnie o tym, kiedy szeptałyśmy, nie napisała niczego na kartce; wstałam z ociąganiem, nie wiedząc za bardzo, co mam robić. Minęła mnie zapłakana Amelia, wyprowadzana z sali przez woźną.

- Przepraszam - jęknęła bezgłośnie.

Usiadłam sztywno na drewnianym krześle. Mów tylko o tym, co chcesz przekazać, powtarzała mi zawsze Marin. Ale coraz trudniej mi było przypomnieć sobie, co właściwie chcę przekazać.

- Czy pamiętasz rozmowę, o której przed chwilą opowiedziała twoja córka? - zapytała Marin.

To pytanie było jak kula z pistoletu.

- Pamiętam.

- W jakich okolicznościach do niej doszło?

- To było pierwszego dnia rozprawy. Przywieźliśmy Willow do domu ze szpitala. Złamała sobie kość udową. Uraz okazał się na tyle skomplikowany, że potrzebna była operacja.

- Byłaś zmartwiona?

- Tak.

- A Willow?

- Bardzo.

Marin podeszła, poczekała, aż spojrzę jej w oczy. I dostrzegłam w nich tę samą skrytą obawę, którą widziałam przed chwilą u Amelii, a poprzedniego dnia u Seana, kiedy zostaliśmy

sami w opustoszałej sali rozpraw. Widziałam to też w twoich oczach, podczas tej właśnie rozmowy - był to strach przed tym, że ktoś, kogo kochasz, nigdy nie będzie z ciebie zadowolony. Być może sama się tego bałam i dlatego właśnie podjęłam decyzję - ileż to już miesięcy temu? - że jednak pójdę do sądu; zrobiłam to po to, żebyś ty, kiedy będziesz wspominała swoje dzieciństwo, nie miała do mnie pretensji, że sprowadziłam cię na świat pełen cierpienia. Lecz miłość nie wymaga ofiar i nie zważa na czyjeś niespełnione oczekiwania. Miłość, z samej swojej definicji, przynosi zadowolenie z kochanej osoby; tworzy nowe pojęcie doskonałości, zawierające w sobie wszystkie wady i zalety tego kogoś.

Bo tak naprawdę każdy z nas pragnie tylko jednego: wiedzieć, że jest dla kogoś ważny. Że bez niego czyjeś życie byłoby uboższe.

- Charlotte, kiedy rozmawiałaś ze swoją córką w ten sposób... - zaczęła Marin. - Kiedy powiedziałaś jej to wszystko w samym środku tego procesu... Czy to było kłamstwo?

- Nie.

- W takim razie co to miało znaczyć?

- To miało znaczyć - szepnęłam - że robię dla niej wszystko, co tylko mogę.

## Piper

- Leżą - szepnął Guy Booker, pochylając się do mnie.

- Leżą i kwiczą.

Wstał i zapiawszy marynarkę, zwrócił się do przysięgłych, rozpoczynając swoją mowę końcową.

- Powódka kłamie - oznajmił. - Zapewniała, że nie przyszła do sądu po pieniądze, tymczasem nawet jej mąż potwierdził, że chodzi właśnie o to, i dlatego nie mógł poprzeć jej wniosku. Stwierdziła, że wolałaby nie mieć chorej córki, a potem powiedziała tej córce coś zupełnie przeciwnego. Przekonywała państwa, jak bardzo zależało jej na wyborze: zachować czy przerwać ciążę, a całą winę za to, że nie miała tego wyboru, zrzuciła na Piper Reece, ciężko pracującego lekarza. Ale doktor Reece, drodzy państwo, zawiniła tylko jednym: bardzo pechowo zaprzyjaźniła się z panią Charlotte O'Keefe.

Adwokat rozłożył szeroko ręce.

- Niedobre urodzenie. Niedobre urodzenie - powtórzył. - Te słowa pozostawiają niesmak na języku, prawda? A jednak powódka twierdzi, że jej córka - śliczna, mądra, uwielbiająca ciekawostki, ukochana dziewczynka - nie powinna była w ogóle przyjść na ten świat. Ta matka lekceważy wszystkie zalety swojego dziecka, ponieważ jej zdaniem to za mało, aby zrekompensować chorobę o nazwie *osteogenesis imperfecta*.

Słyszeliście państwo jednak opinię biegłych, którzy przyznali, że Piper Reece absolutnie w niczym nie zaniedbała swojej powinności lekarskiej, a co więcej, rozpoznawszy komplikację u ciężarnej powódki, natychmiast zrobiła dokładnie to, co należało: wezwała kogoś, kto wiedział, jak należy postąpić w takim przypadku. I za to, szanowni państwo, za to właśnie zrujnowano jej życie, zniszczono praktykę lekarską, podkopano karierę oraz odebrano pewność siebie.

Zatrzymał się wprost przed ławą przysięgłych.

- Jeden ze świadków, doktor Rosenblad, powiedział coś, o czym wszyscy dobrze wiemy: nikt z własnego wyboru nie chce przerywać upragnionej ciąży. Wszakże dla rodziców postawionych przed faktem ciężkiej, upośledzającej choroby nienarodzonego dziecka każdy wybór jest zły. Uznając wniosek powódki za słuszny, pozwalacie państwo się zwięść jej błędnej logice, według której można kochać swoje dziecko tak mocno, żeby oskarżyć lekarza - a



jednocześnie najlepszą przyjaciółkę - o to, że nie pomógł zapobiec jego narodzinom, bo tak właśnie byłoby lepiej. Orzekając na jej korzyść, popieracie państwo system przyznający położnikom prawo decyzji o tym, z jaką chorobą warto żyć, a z jaką nie. To niebezpieczna droga, drodzy przyjaciele. Bo co mają sobie pomyśleć ludzie, którzy na co dzień zmagają się z inwalidztwem? Których niepełnosprawnych mamy uważać za „zbyt upośledzonych”, aby przyznać im prawo do życia? Aktualne statystyki podają, iż obecnie po rozpoznaniu zespołu Downa dziewięćdziesiąt procent matek postanawia przerwać ciążę, pomimo że tysiące osób z tym upośledzeniem prowadzą szczęśliwe, spełnione życie. A co nas czeka, kiedy postęp w nauce posunie się jeszcze dalej? Czy przyszłe matki będą pozbywać się dzieci zagrożonych chorobą serca? Albo takich, które w szkole będą miały piątki zamiast szóstek? Albo takich, z których nie wyrosną supermodelki?

Wrócił powoli do swojego stołu.

- Pojęcie niedobrego urodzenia zakłada, że wszystkie dzieci powinny być idealne - a tymczasem Willow O'Keefe taka nie jest. Ale ja też nie jestem. Podobnie pani Gates. Nawet pan sędzia Gellar nie jest ideałem, chociaż muszę przyznać, że naprawdę niewiele mu brakuje. Zaryzykowałbym wręcz stwierdzenie, że każde z państwa posiada taki czy inny mankament. Proszę więc, aby poważnie zastanowili się państwo nad swoim werdyktem - zakończył Booker. - Proszę pomyśleć, co oznacza pozew o niedobre urodzenie, a potem dokonać właściwego wyboru.

Kiedy usiadł, wstała Marin Gates.

- Dostrzegam w tym pewną ironię - rzekła - że pan Booker tak często używa słowa „wybór”. Bo Charlotte O'Keefe odmówiono właśnie tego. Wyboru.

Stała za Charlotte, która siedziała ze spuszczoną głową.

- Istotą tego procesu nie są przekonania religijne, poglądy na temat aborcji ani też prawa osób niepełnosprawnych. Nie chodzi o to, czy Charlotte kocha swoją córkę, czy nie. obrońca w swojej mowie podniósł wiele kwestii, sugerując, że na nich właśnie mają się państwo skoncentrować, gdy tymczasem sedno tej sprawy leży zupełnie gdzie indziej: chodzi tylko o to, czy Piper Reece zapewniła ciężarnej Charlotte opiekę medyczną zgodną z obowiązującym standardem, czy też nie.

Upłynęło już tyle czasu, przesłuchano tak wielu świadków, a ja wciąż nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Bo nawet gdybym dopatrzyła się powodów do niepokoju na tamtym USG z osiemnastego tygodnia, to zdecydowałabym, że trzeba czekać i zobaczyć, co się z tego

rozwinie - a rezultat byłby dokładnie taki sam. W ten sposób Charlotte ominęło więc kilka tygodni strachu o swoje dziecko. Ale czym to było z mojej strony? Lekarską rzetelnością czy odwrotnie, zaniedbaniem? Być może istotnie pewne rzeczy założyłam z góry, po prostu dlatego, że zbyt dobrze znałam Charlotte; w stosunku do innej pacjentki nie pozwoliłabym sobie na coś podobnego. Może należało być ostrożniejszą, bardziej uważną, bardziej spostrzegawczą.

Gdyby nie zabrakło mi tej spostrzegawczości, pozew do sądu podpisany nazwiskiem najlepszej przyjaciółki nie byłby chyba dla mnie aż tak wielkim zaskoczeniem.

- Wysłuchaliście państwo zeznań świadków- mówiła dalej Marin Gates. - Wiecie, że na obrazie USG z osiemnastego tygodnia widoczna była nieprawidłowość wskazująca na wadę wrodzoną płodu. Nawet gdyby lekarz położnik nie miał pewności, co dokładnie oznacza ta anomalia, należało zbadać ją bliżej i rozpoznać. Faktem zaś jest, że Piper Reece tego po prostu nie zrobiła. A to, szanowni państwo, wyczerpuje cechy lekarskiego zaniedbania.

Zbliżyła się do mnie.

- Willow, dziewczynka urodzona w wyniku owego zaniedbania, przez całe swoje życie będzie wymagała specjalnej opieki, która jest kosztowna, skomplikowana i bolesna, jak również ustawiczna i traumatyczna. Trudności, z którymi musi i będzie musiała się zmagać, są przytłaczające, a z wiekiem ich przybywa i są coraz poważniejsze. Do państwa w dniu dzisiejszym należy decyzja o tym, czy Willow będzie miała lepsze, pełniejsze życie, czy otrzyma taką opiekę, jakiej potrzebuje. Czy będzie mogła przejść wszystkie konieczne operacje? Jeździć specjalnie przystosowanym samochodem?

Leczyć się u specjalistów? Czy będzie stacją na dalsze kuracje i zabiegi, na aparaty umożliwiające chodzenie o własnych siłach - na to wszystko, za co jej rodzice musieli zawsze płacić na bieżąco, brnąć w coraz większe długi? Ta decyzja spoczywa dziś w państwa rękach - oznajmiła Marin Gates. - Macie państwo możliwość wyboru... możliwość, której Charlotte O'Keefe nigdy nie otrzymała.

Sędzia zwrócił się jeszcze w krótkich słowach do ławników, po czym sala zaczęła pustoszeć. Do barierki oddzielającej ławki dla publiczności podszedł Rob. Położył mi dłonie na ramionach.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Skinęłam głową, usiłując się do niego uśmiechnąć.

- Dziękuję - zwróciłam się do Guya Bookera.

Adwokat otworzył teczkę, wrzucił do niej swój notatnik.  
- Jeszcze za wcześnie na podziękowania - odpowiedział.

## Charlotte

- Przestań, bo już w głowie mi się kręci - powiedział Sean, kiedy wchodziłam do sali konferencyjnej, gdzie schował się razem z Amelią, która kursowała tam i z powrotem, przeczesując palcami swoje niebieskie włosy. Na mój widok odwróciła się natychmiast.

- No dobra - zaczęła mówić, błyskawicznie wyrzucając z siebie potok słów. - Wiem, że chcesz mnie zamordować, ale to głupi pomysł, w końcu jesteśmy w sądzie, wszędzie pełno policji, no i tata też tutaj jest i musiałby cię aresztować...

- Nic ci nie zrobię - przerwałam jej.

Zamarła w bezruchu.

- Nic?

Jak ja mogłam nie zauważyć, że wyrosła z niej taka piękna dziewczyna? Jej oczy, pod tą nedorzecznie niebieską grzywką, były olbrzymie i miały kształt migdałów. Policzki naturalnie zarumienione. Usta wąskie, ściągnięte jak sakiewka, skrywające wszelkie opinie. Uzmysłowiłam sobie nagle, że Amelia wcale nie jest do mnie podobna. Najbardziej przypominała ciebie.

- To, co zrobiłaś... co powiedziałaś - poprawiłam się. - Wiem, dlaczego tak postąpiłaś.

- Bo nie chcę jechać do Bostonu! - wypaliła Amelia. - Nie chcę do tego głupiego ośrodka. Bo wy mnie tam zostawicie i już.

Obejrzałam się na Seana, po czym z powrotem na nią.

- Może rzeczywiście nie powinniśmy podejmować tej decyzji bez ciebie.

Amelia zmrużyła oczy, jakby nie do końca wierzyła własnym uszom.

- Możesz się na nas gniewać - mówiłam dalej - ale to nie dlatego poszłaś do Guya Bookera, żeby złożyć zeznanie. Uważam, że zrobiłaś to, bo chciałaś pomóc siostrze.

- No... - zająknęła się - ...tak.

- Więc jak mogę mieć do ciebie pretensję, skoro zrobiłaś dokładnie to samo co ja?

Amelia rzuciła mi się na szyję jak huragan.

- Jeśli wygramy - powiedziała niewyraźnie, z twarzą wtuloną w moją pierś - to dostanę skuter wodny?

- Nie - odpowiedzieliśmy jednym głosem, a Sean wstał z krzesła, wsuwając dłonie do kieszeni.

- Jeśli wygrasz - powiedział, patrząc na mnie - to może wróciłbym do domu już na stałe?

- A jak przegram?

- No cóż... - Zastanowił się. - Jak przegrasz, to też mógłbym wrócić. I też na stałe.

Spojrzałam na niego ponad głową Amelii.

- Ostro się targujesz - przyznałam z uśmiechem.

W drodze do Disneylandu musieliśmy długo czekać na przesiadkę, więc poszliśmy na obiad do meksykańskiej restauracji. Ty zamówiłaś quesadillę, Amelia burrito, ja rybne tacos, a Sean chimichangę. „Łagodny” sos był za ostry dla nas wszystkich. Sean namówił mnie, żebym wypila jedną margaritę („Przecież tylko lecisz, nie pilotujesz”). Zastanawialiśmy się nad smażonymi lodami, figurującymi w menu deserów. Brzmiało to nieprawdopodobnie: jak lody mogą się nie roztopić w głębokim tłuszczu? Wybieraliśmy atrakcje, które najpierw zobaczymy w Magicznym Królestwie.

Wtedy jeszcze wszystko było na wyciągnięcie ręki; wtedy jeszcze każde z nas myślało o tym, co będzie, nie o tym, co się nie udało.

Kiedy wychodziliśmy z restauracji, hostessa - dziewczyna z dziobami po ospie i ćwiekiem w nosie - wręczyła nam po balonie napelnionym helem.

- Bez sensu - skomentował Sean. - I tak nie można tego wnieść na pokład.

- Nie wszystko musi od razu mieć sens - powiedziałam, wsuwając mu dłoń pod ramię. - Ciesz się życiem.

Amelia wygryzła małą dziurkę przy ustniku swojego balona i przyssawszy się do niej ustami, wzięła głęboki oddech. A potem uśmiechnęła się do nas promiennie.

- Cześć, mama i tata - powiedziała piskliwym głosem, który brzmiał jak głos jakiegoś krasnoludka, a nie jej własny.

- Co ty robisz? - skarciłam ją. - Bóg wie, czego tam napompowali...

- Jak to: czego? - zapiszczała Amelia. - Helu, mamó.

- Ja też chcę - miauknęłaś, a ona pokazała ci, co masz zrobić ze swoim balonem.

- Dzieci nie powinny wdychać helu... - zaczęłam.

- Ciesz się życiem. - Sean wyszczerzył się do mnie w uśmiechu, przegryzł swój balon i zaciągnął się mocno.

I nagle wszyscy troje zaczęli do mnie mówić: beczka śmiechu, ptasi chór, kolory tęczy.

- Mamó, ty też! - zawołałaś. - Ty też!

Więc zrobiłam to, co wszyscy. Hel zapiekł lekko w gardle, bo wzięłam jeden wielki łyk, a

struny głosowe zawibrowały.

- Nawet nieźle - ćwierknęłam.

Zaśpiewaliśmy sobie pieśń masową. Wyskandowaliśmy „Ojciec nasz”. A potem, kiedy jakiś facet w garniturze zapytał Seana, czy wie, gdzie się odbiera bagaże, mój mąż pociągnął helu ze swojego balonu i odpowiedział:

- Idź, ciągle idź w stronę słońca.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek śmiała się tyle, ile tamtego dnia. Czułam się wolna jak nigdy. Może to była zasługa tego helu, który dał mi niezwykłą lekkość; miałam wrażenie, że wystarczy zamknąć oczy, a polecę prosto do Orlando nawet bez samolotu.

A może chodziło o to, że cokolwiek byśmy powiedzieli, to żadne z nas nie było wtedy sobą.

Pięć godzin później ława przysięgłych wciąż jeszcze debatowała nad werdyktem. Sean pojechał do szpitala, żeby sprawdzić, co u ciebie; zadzwonił potem, informując, że wraca, i zapytał, czy coś już wiadomo. Amelia wypisywała haiku na białej tablicy stojącej w sali, gdzie siedziałyśmy.

*Pomocy, siedzę widocznie*

*Za tą bardzo białą ścianą.*

*Proszę nie wycierać.*

*Zasada na dziś:*

*Koniec z zasadami.*

*Twój pech.*

Poszłam do łazienki, po raz trzeci od zakończenia rozprawy. Nie musiałam korzystać z toalety, spryskałam tylko twarz wodą. Powtarzałam sobie raz po raz: nie ma się czym przejmować, ale to było kłamstwo. Nie doprowadza się rodziny na krawędź rozpadu bez przyczyny; gdyby się okazało, że nie zyskaliśmy zupełnie nic - toby była katastrofa. Czułabym się jeszcze bardziej winna niż przed złożeniem skargi i rozpoczęciem tego procesu, a przecież poszłam do sądu właśnie po to, żeby uspokoić sumienie. Jak mogłabym się pogodzić z takim końcem tej sprawy?

Otarłam twarz i przesunęłam ręcznikiem po swetrze, na który spadło kilka kropel wody. Kiedy wrzucałam ręcznik do kosza, w jednej z kabin rozległ się szum spuszczonej wody, a drzwi otworzyły się dokładnie w momencie, gdy cofałam się od umywalki, więc niechcący uderzyłam

nimi wychodzącą osobę.

- Przepraszam - mruknęłam i dopiero po chwili dotarło do mnie, że stoję oko w oko z Piper.

- Wiesz co, Charlotte? - powiedziała cicho. - Ja też cię przepraszam.

Przyjrzałam się jej w milczeniu. Ze wszystkich szczegółów moją uwagę najbardziej zwróciło to, że pachniała inaczej niż kiedyś. Zmieniła perfumy albo szampon.

- Więc przyznajesz - odezwałam się po chwili - że popełniłaś błąd?

Piper potrząsnęła głową.

- Nie popełniłam żadnego błędu. W każdym razie nie w sensie medycznym. Ale na gruncie osobistym... Cóż... Żałuję, że nasza znajomość tak się skończyła. I bardzo mi przykro, że twoje dziecko nie jest zdrowe, tak jak tego chciałaś.

- Zdajesz sobie sprawę - odpowiedziałam - że po urodzeniu Willow nigdy mi tego nie powiedziałaś, ani razu?

- Nie wiedziałam, że chcesz to usłyszeć.

- A powinnaś.

Próbowałam zapomnieć, jak siedząc skulone na ławce obok lodowiska, przeglądaliśmy w gazecie drobne ogłoszenia, wyszukując oferty, które mogłyby do siebie pasować. Jak chodziłyśmy na spacer z tobą w wózku, rozgrzewając zimne powietrze oddechem ożywionej rozmowy; czas mijał jak z bicza strzelił, a potem okazywało się, że przeszliśmy pięć kilometrów. Próbowałam zapomnieć, że kiedyś uważałam ją za siostrę, której nigdy nie miałam, i marzyłam o tym, aby moje córki były tak zżyte ze sobą jak my dwie.

Próbowałam zapomnieć, ale bez skutku.

Nagle otworzyły się drzwi do łazienki.

- Tutaj jesteś - westchnęła Marin. - Przysięgli wrócili na salę.

Wyszła szybko, a Piper odwróciła się do umywalki, żeby opłukać dłonie. Idąc korytarzem, czułam, że jest tuż za moimi plecami; wyprzedzałam ją o pół kroku, ale miała dłuższe nogi i w końcu mnie dogoniła.

Weszłyśmy na salę rozpraw, krocząc ramię w ramię; natychmiast strzeliło dziesięć lamp błyskowych, oślepiając mnie tak, że nie wiedziałam, dokąd idę. Dopiero Marin złapała mnie za rękę i pociągnęła na miejsce. Wydawało mi się, że słyszę, jak Piper szepnęła „Do widzenia”. Ale mogła to być tylko wyobraźnia.

Po wejściu sędziego wszyscy usiedli.

- Pani przewodnicząca - padło jego pytanie - czy ława przysięgłych uzgodniła swój werdykt?

Kobieta, do której się zwrócił, była drobna, miała ptasią twarz i okulary, za którymi jej oczy wydawały się przesadnie wielkie.

- Tak, wysoki sędzie. W sprawie O'Keefe przeciwko Reece orzekamy na korzyść powódki.

Marin uprzedzała mnie, że siedemdziesiąt pięć procent spraw z tytułu niedobrego urodzenia kończy się werdyktem na korzyść oskarżonego. Odwróciłam się do niej, a ona chwyciła mnie za rękę.

- Powódka to ty, Charlotte - powiedziała.

- I zasądzamy odszkodowanie - dodała przewodnicząca ławy przysięgłych - w wysokości ośmiu milionów dolarów.

Pamiętam, że opadłam na krzesło, a na sali w jednej chwili wybuchła wrzawa. Straciłam czucie w palcach i ledwie mogłam oddychać. Pamiętam, jak Sean i Amelia przechylili się przez barierkę, żeby mnie uściskać. Słyszałam oburzone głosy rodziców dzieci specjalnej troski, którzy śledzili cały proces, całą grupą okupując ostatnie ławki; słyszałam wyzwiska, jakimi mnie obrzucili. Słyszałam, jak Marin mówi jakiemuś dziennikarzowi, że to najwyższa suma odszkodowania zasądzona w historii stanu New Hampshire i że tego dnia zatriumfowała sprawiedliwość. Rozejrzałam się po tłumie, szukając Piper, ale jej już nie było.

Tego dnia, kiedy jechałam odebrać cię ze szpitala, chciałam ci powiedzieć, że to już nareszcie koniec. Że będziesz miała wszystko, czego ci potrzeba, że do końca życia - twojego i mojego też - niczego ci nie zabraknie. Chciałam ci powiedzieć, że zwyciężyłam, a werdykt został ogłoszony wszem wobec... ale tak naprawdę wcale w to nie wierzyłam.

Bo skoro wygrałam proces, to dlaczego mój uśmiech był pusty jak wielki bęben i skąd wziął się ten ciężar zalegający na piersi?

Skoro naprawdę wygrałam, to dlaczego czułam się przegrana?

**Rosa:** *skraplanie się nadmiaru wydzielonej wilgoci.*

*W kuchni, tak samo jak w życiu, kiedy coś pójdzie nie tak, pojawiają się lzy. Beza to nic więcej jak ubite białka i cukier; gdy tylko jest gotowa, należy ją zjeść, bo jeśli się zawahasz, wilgoć, która wydziela się z nadzienia, przebije na górę i pojawi się rosa, lzy na śnieżnobiałym*



*licu. Istnieją przeróżne teorie zapobiegania temu - a to białka mają być koniecznie ze świeżych jaj, a to cukier musi być bardzo drobno zmielony, trzeba dodać trochę mąki kukurydzianej albo w ogóle upiec bezę osobno. Ale gdyby mnie ktoś pytał, znam jedyną niezawodną metodę.*

*Nie bierz się do tego, gdy serce ci pęka.*

#### CIASTO CYTRYNOWE Z BEZĄ

*1 korpus do ciasta, upieczony na ślepo*

#### KREM

*1 1/2 szklanki cukru kryształu*

*6 łyżek stołowych mąki kukurydzianej*

*szczypta soli*

*1 1/3 szklanki zimnej wody*

*2 łyżki stołowe niesolonego masła*

*5 żółtek*

*1/2 szklanki świeżego soku z cytryny*

*1 łyżka stołowa tartej skórki cytrynowej*

Kiedy korpus będzie się piekł, zmieszaj cukier, mąkę kukurydzianą, sól i wodę w rondlu ze stali nierdzewnej. Mieszaj do uzyskania jednolitej masy, a następnie ubij, podgrzewając, aż się zagotuje. Wtedy zdejmij z ognia i dodaj masło.

W osobnej misce ubij żółtka. Dolej odrobinę zagotowanej mieszaniny i ubijaj dalej, a kiedy całość będzie jednolita, przelej do rondla i zagotuj na średnim ogniu, ubijając, aż zgęstnieje [ok. 2 minut). Zdejmij z ognia i dodaj sok oraz skórkę cytrynową.

#### BEZA

*6 dużych białek o temp. pokojowej*

*szczypta kamienia winnego*

*szczypta soli*

*3/4 szklanki cukru*

Ubij białka plus kamień winny i sól mikserem na małej prędkości. Gdy się połączą, zwiększ obroty i ubij na sztywną pianę. Potem wymieszaj pianę z cukrem, dodając go po łyżeczce.

Nagrzej piekarnik do 180°C. Na wypieczony korpus nałóż krem, a na niego wylej pianę z białek. Koniecznie rozprowadź ją równo, aż do brzegów korpusu. Wstaw do piekarnika na 10-15

minut. Po wyjęciu odstaw na dwie godziny do wystygnięcia, a potem schowaj do lodówki. Dzięki temu na bezie nie będzie rosy.

Myśl o czymś miłym, jeśli chcesz uniknąć prawdziwych łez.

## Willow

*Marzec 2009 r.*

W szkole mamy Dzień Setki. Robimy go pod koniec listopada i każdy musi wtedy przynieść sto sztuk czegoś, obojętnie czego. Amelia w pierwszej klasie wzięła do szkoły sto pastylek czekoladowych, ale kiedy wysiadła z autobusu, zostały jej już tylko pięćdziesiąt trzy. Ja przyniosłam listę: siedemdziesiąt pięć kości, które już kiedyś miałam złamane plus dwadzieścia pięć, które mi jeszcze nigdy nie pękły.

Milion to sto pomnożone przez dziesięć tysięcy. Nie potrafię sobie wyobrazić, ile to jest dziesięć tysięcy. Może tyle jest drzew w lesie albo cząsteczek wody w jeziorze. Osiem milionów to jeszcze więcej, a taka właśnie liczba jest wypisana na dużym, niebieskim czeku, który już od prawie sześciu miesięcy wisi na naszej lodówce.

Rodzice dużo rozmawiają o tym czeku. Mówią na przykład, że niedługo nasz samochód rozkraczy się na amen i będzie trzeba ruszyć te pieniądze, żeby kupić nowy - ale potem jakoś daje się go naprawić i dalej nim jeździmy. Albo przypominają sobie nawzajem, że zbliża się termin wysyłania zgłoszeń na obóz dla dzieci takich jak ja i trzeba wpłacić zaliczkę. Na szafce nocnej mam ulotki z różnych takich obozów. Są w nich zdjęcia dzieci o rozmaitych kolorach skóry, a każde z nich ma OI, jak ja. I jest szczęśliwe.

Może tak się właśnie dzieje z dziećmi, kiedy gdzieś wyjadą. Amelia też wyjechała, a jak wróciła, znów miała brązowe włosy i przywiozła ze sobą sztalugi. Maluje cały czas: moje portrety, kiedy śpię, martwe natury z kubkami i gruszkami, krajobrazy w nierealnych kolorach. Na jej rękach już prawie nie widać tamtych srebrzystych blizn i nawet kiedy przyłapie mnie na tym, że jej się przyglądam, nie obciąża rękawów.

To była sobota. Tata zległ przed telewizorem, oglądając mecz Bruinsów. Amelia poszła na dwór ze szkicownikiem. Mama siedziała przy stole w kuchni, układając swoje karty z przepisami jak pasjansa. Miała ich ponad sto (szkoda, że nie była w pierwszej klasie!) i wymyśliła sobie, że wyda książkę kucharską. To był taki kompromis, bo w sumie nie musi już cały czas piec, tak jak kiedyś dla pana DeVille'a. Dalej wystawiała swoje placki, tarty i makaroniki na sprzedaż, kiedy nagle ją naszło na wielkie pieczenie, ale teraz pojawił się ten pomysł z książką kucharską. Wszystkie pieniądze ze sprzedaży chciała przekazać fundacji na rzecz chorych na *osteogenesis imperfecta*.

Nam pieniądze były niepotrzebne, bo mieliśmy to wszystko, co wisiało na lodówce.

- Hej - powiedziała mama, kiedy wdrapałam się na krzesło obok niej. - Co tam?

- Nic. - Zauważyłam na stole listy przyniesione ze skrzynki; leżały rozłożone jak kolorowy szalik.

- Jest tam coś do ciebie, poszukaj - powiedziała mama.

I znalazłam kartkę pocztową. W środku było zdjęcie Marin z chłopakiem mniej więcej w wieku Amelii. Miał wystające górne zęby i skórę koloru czekolady. Nazywał się Anton, a Marin adoptowała go przed dwoma miesiącami.

Piper już do nas nie przychodziła, a Amelia nie przyjaźniła się z Emmą. Nazwisko „Reece” zniknęło z tablicy na budynku, gdzie miała gabinet. Teraz napisane tam było gretel i handelman, kręgarstwo. Ale kiedyś w sobotę poszliśmy z tatą rano do piekarni po bajgle i w kolejce do kasy zobaczyliśmy, że zaraz przed nami stoi Piper. Tata przywitał się z nią, a ona zapytała o moje zdrowie i chociaż starała się uśmiechać, to ten uśmiech był jakiś nie taki, krzywy jak powyginany drut, którego się już nie da porządnie wyprostować. Piper powiedziała, że pracuje na niepełnym etacie w darmowej przychodni dla kobiet w Bostonie i właśnie tam jedzie. Potem przy kasie przewróciła kubek ze słomkami i w ogóle tak się spieszyła do wyjścia, że zapomniała zapłacić za kawę, i dziewczyna, która ją przyniosła, musiała zwrócić jej uwagę, że kawa nie jest za darmo.

Brakowało mi Piper, a mamie chyba jeszcze bardziej. Bo mama nie miała już teraz przyjaciółek. Nie widywała się z nikim, tylko ze mną, Amelią i tatą.

Smutne.

- Upieczemy coś? - zapytałam.

Przewróciła oczami.

- Nie mów, że już jesteś głodna. Dopiero co był obiad.

Nie byłam głodna, tylko mi się nudziło.

Mama popatrzyła na mnie.

- Coś ci powiem. Idź po Amelią i razem wymyślimy, co będziemy dziś robić. Może pojedziemy do kina?

- Naprawdę?

- Jasne.

Teraz mogliśmy sobie pozwolić na kino. I na obiady w restauracji, a ja miałam dostać

sportowy wózek, żeby na wuefie grać ze wszystkimi w kickball. Amelia powiedziała, że możemy teraz sobie wydawać kasę, bo jest ten czek na lodówce. W szkole kilku głupków trąbiło, że jesteśmy bogaci, ale ja wiedziałam, że to wcale nieprawda. Bo przecież w końcu rodzice nie zrealizowali czeku. Wciąż jeździliśmy tym samym samochodem z przerdzewiałą karoserią, mieszkaliśmy w tym samym małym domu i nosiliśmy te same ubrania. Ten łańcuszek zer tak naprawdę nic nie znaczył, oprócz tego, że dawał poczucie bezpieczeństwa - rodzice mogli trochę zaszaleć, bo gdyby im zabrakło, zawsze była rezerwa. No i dzięki temu mniej się kłócili, a tego się nie kupi w żadnym sklepie. Nie znałam się za bardzo na kontach bankowych, ale wiedziałam przynajmniej tyle, że z samego czeku nie ma żadnego pożytku, pieniądze trzeba gdzieś wpłacić. A rodzicom jakoś wcale się z tym nie spieszyło. Co parę tygodni mama mówiła: „Muszę w końcu zanieść to do banku”, a tata mruczał, co miało znaczyć, że się zgadza, tylko że potem im się nie chciało i czek dalej wisiał na lodówce.

Poszłam do przedpokoju, żeby włożyć kurtkę i buty. Dobiegł mnie jeszcze głos mamy:

- Willow...

- ...uważaj - dokończyłam. - Jasne, wiem.

Był już marzec, mimo to na dworze ciągle wiało chłodem, a mój oddech, przebijający się przez szalik, tworzył różne dziwne kształty w powietrzu: jeden obłoczek wyglądał jak kurczak, inny jak hipopotam. Zaczęłam ostrożnie schodzić po pochyłości za domem. Nie było już śniegu, ale ziemia wciąż skrzypiała pod podeszwą, jakby ktoś zgrzytał zębami.

Pomyślałam, że Amelia pewnie poszła do lasu, bo lubiła rysować brzozy; mówiła, że są tragiczne, że coś tak pięknego nie powinno umierać tak szybko. Włożyłam dłonie do kieszeni, a nos wsunęłam pod szalik. Co krok powtarzałam sobie coś, o czym wiedziałam:

Statystyczna kobieta zużywa trzy kilogramy szminki w ciągu całego życia.

Sztuczna wyspa Three Mile wcale nie ma czterech i pół kilometra długości, tylko ponad trzy kilometry.

Karaluchy lubią klej ze znaczków pocztowych.

Mijając sadzawkę, zawahałam się na chwilę. Trzciny rosnące nad brzegiem były prawie tak wysokie jak ja; musiałam się mocno wysilić, żeby przejść na drugą stronę i nie zaplątać ręki ani nogi. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie miałam nic złamanego i chciałam, żeby tak już zostało.

Tata opowiadał kiedyś, jak raz jechał radiowozem i nagle zobaczył, że wszystkie

samochody przed nim stoją w miejscu. Zwolnił, zahamował i wrzucił luz, a potem wysiadł, żeby zobaczyć, co się dzieje. I kiedy tylko postawił stopę na jezdni, wyłożył się jak długi.

Gołoledź; prawdziwy cud, że w ogóle udało mu się bezpiecznie zatrzymać.

Lód na sadzawce był tak przejrzysty, że widać było wodorosty i piasek na dnie, zupełnie jak przez szybę. Uklękałam ostrożnie i powoli ruszyłam na czworakach do przodu.

Nigdy nie wolno mi było wchodzić na lód, więc naturalnie nie mogłam przestać o tym myśleć; tak to już jest z zakazanymi rzeczami.

Nic mi nie groziło - przecież pełzałam sobie powolutku, a poza tym nie szłam na nogach, więc nie mogłam się przewrócić. Plecy wygięte jak u kota, oczy wbite w szklaną taflę. Gdzie chowają się ryby w zimie? Czy można je zobaczyć, kiedy się uważnie poszuka?

Przesunęłam prawe kolano i prawą dłoń. Potem lewe kolano, lewą dłoń. Oddychałam ciężko, ale nie dlatego, że było trudno - dlatego, że nie mogłam uwierzyć, jakie to łatwe.

Przeciągły jęk popłynął nad powierzchnią sadzawki, jakby niebo zaszlochało. I nagle lód dookoła mnie zmienił się w pajęczą sieć, w której zawisłam jak mucha.

Pasikonik ma białą krew. Motyl czuje smak tylnymi odnóżami. Gąsienice mają blisko cztery tysiące mięśni...

- Pomocy - powiedziałam, tylko że nie mogłam jednocześnie krzyczeć i oddychać.

Woda połknęła mnie całą naraz. Chciałam złapać się lodu, ale łamał się wielkimi kawałkami. Próbowalam pływać, ale nie umiałam bez kamizelki ratunkowej. Kurtka, spodnie i buty piły wodę jak gąbka i było zimno, zimno jak odmrożona skóra, jak ból głowy, kiedy połknie się naraz za dużo lodów.

Pancernik umie chodzić pod wodą.

Strzelba potokowa ma zęby w gardle.

Krewetka potrafi pływać do tyłu.

Myślicie pewnie, że się bałam. A ja słyszałam tylko głos mojej mamy, która opowiadała mi bajkę na dobranoc o tym, jak jeden kojot chciał złapać słońce. Wdrapał się na najwyższe drzewo, wsadził słońce do słoika i zabrał ze sobą do domu. Niestety, słoik był zbyt kruchy, żeby przechowywać w nim coś tak potężnego, i rozprysnął się na kawałki. „Rozumiesz teraz, dlaczego wciąż coś w tobie pęka, Wills?“, zapytała mama. „Ty też jesteś po brzegi pełna światła”.

Za szkłem, które miałam nad głową, widziałam niebo, a na nim załzawione oko słońca. Zabębniłam pięściami w tę lodowatą szybę, ale nie mogłam się przebić. Opadło mnie takie

odrętwienie, że przestałam nawet się trząść.

Kiedy woda zalała mi nos i usta, a słońce na niebie zaczęło się kurczyć, coraz bardziej i bardziej, zamknęłam oczy i zacisnęłam dłonie, łapiąc w nie to, co wiedziałam na pewno:

Że przegrzebek ma trzydzieścioro pięcioro oczu, a wszystkie niebieskie.

Że tuńczyk się udusi, jeśli przestanie pływać.

Że ktoś mnie kochał.

Że tym razem to nie we mnie coś pękło.

**Przepis:** (1) komplet instrukcji opisujących sposób przyrządzenia jakiejś potrawy, (2) wskazówka, której wykonanie powinno przynieść określony rezultat.

Najprostsza instrukcja na świecie: przestrzegaj tych zasad, a otrzymasz to, czego chcesz. A jednak czasem może się zdarzyć, że zrobisz wszystko dokładnie tak, jak mówi przepis, i mimo to wyjdzie ci coś, czego bynajmniej sobie nie życzyłaś.

Długo, bardzo długo miałam przed oczami tylko jeden obraz: widziałam, jak toniesz. Twoja skóra była bladoniebieska, a włosy falowały jak u płynącej syrenki. Budziłam się z krzykiem, tłukąc dłońmi w posłanie, jakbym chciała przebić się przez lód i wyciągnąć cię spod niego, uratować.

Lecz to ciało, które utonęło, ten chory szkielet, z którym przyszło ci żyć - to nie byłaś ty. Prawdziwa ty to coś innego, zwiewnego, eterycznego. Odnalazłam cię w mgiełce pary wodnej, która osiadła na lustrze w łazience tamtego ranka, gdy Sean siłą wyciągnął mnie z łóżka i zaprowadził pod prysznic. W kryształach szronu, który po nocnym przymrozku wymalował fantastyczne wzory na szybie samochodu. W rozedrganym powietrzu, które latem wzbija się sponad chodników niczym zjawa. Zostałaś przy mnie.

Nie mam już tamtych pieniędzy. W końcu przecież należały do ciebie. Schowałam czek w fałdach jedwabnego obicia trumny, żegnając się z tobą ostatnim pocałunkiem.

Co wiem na pewno?

Kiedy myślisz, że masz rację, to najprawdopodobniej się mylisz.

To, co można złamać - czy to będzie kość, serce czy też przysięga - można złożyć z powrotem, ale to nigdy już nie będzie jedna całość.

A chociaż mówiłam, że jest inaczej, to jednak można tęsknić za kimś, kogo się nigdy nie znało.

Uczę się tego wciąż na nowo, każdego dnia, który mija mi bez ciebie.

## ZABAIONE À LA WILLOW Z CHMURKAMI

### ZABAJONE

*6 żółtek*

*1 szklanka cukru*

*2 szklanki pełnotłustej bitej śmietany*

*1/2 szklanki lekkiego rumu albo likieru Grand Marnier*

Ubij żółtka z cukrem w kąpieli wodnej. Kiedy już dokładnie się połączą, załóż je z bitą śmietaną. Zdejmij z ognia, przelej przez sitko i dodaj rum.

### CHMURKI

*5 białek*

*szczypta soli*

*1/3 szklanki cukru*

*2 szklanki mleka albo wody*

Zlej białka do miksera, dosyp szczyptę soli i miksuj na niewielkich obrotach, aż będą jednolite. Stopniowo zwiększając obroty, dodawaj cukier, także szczyptami. Ubij na lekką pianę - to jest beza, chmurka, na której teraz mieszkasz [tak to sobie wyobrażam). Podgrzej mleko lub, jeśli wolisz, wodę, a gdy piana będzie gotowa, delikatnie przekładaj ją po łyżce do gotującego się płynu. Gotuj przez 2-3 minuty, a następnie odwróć łyżką durszlakową i po kolejnych 2-3 minutach wyjmij i przełóż na papierowy ręcznik. Te chmurki są kruche i delikatne.

### SYROP DO DEKORACJI

*olej do smażenia (w sprayu)*

*2 szklanki cukru kryształu*

*1 łyżeczka syropu kukurydzianego*

Spryskaj blachę olejem, a jego nadmiar wytrzyj papierowym ręcznikiem.

Wlej syrop kukurydziany do rondla, dosyp cukier i zagotuj na małym ogniu, od czasu do czasu mieszając. Kiedy cukier się rozpuści, zwiększ ogień do maksimum i gotuj mieszankę, dopóki termometr cukierniczy nie pokaże 155°C. Zdejmij z ognia, lekko przestudź i odstaw na mniej więcej minutę, żeby syrop zaczął gęstnieć.

Zanurzonym w syropie widelcem narysuj na blasze długie nitki; stwardnieją niemalże natychmiast. Kiedy nabierzesz wprawy, zaczną ci wychodzić różne wzory: koronki, esy-floresy, litery własnego imienia.



Sposób podania: nałóż porcję kremu zabajone do płytkiej miseczki albo na duży talerz, a na wierzchu przybierz dwoma bezami z wody. Delikatnie obrysuj bezy kilkoma nitkami syropu - dookoła, nie od góry, bo się zapadną.

To jest przepis na dzieło sztuki, które powstanie, jeśli uda ci się prawidłowo wykonać wszystkie skomplikowane czynności. Przede wszystkim pamiętaj: tylko ostrożnie. Ten deser, tak samo jak ty, znika, zanim się obejrzysz. I tak jak ty, ten deser to sama słodycz.

Syci mnie w chwilach największej tęsknoty za tobą.